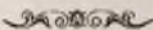


**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 178.

**BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.**

1886.



Tom drugi.

WARSZAWA.  
w Drukarni Józefa Bergera.  
Ulica Elektoralna, Nr. 14.

1886.

BIBLIOTEKA

4620.1886.2

II



30.000,-

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 24 Марта 1886 г.

X-14282	
4620/	II 2.
1886	

# PESSYMIZM

I

## WSZECHWŁADZA PAŃSTWA.

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

Pessimizm, uważający naturę ludzką jako zasadniczo złą i przewrotną, a optymizm, uważający ją jako dobrą, są to dwa sprzeczne poglądy, jak świat stare. Do wysokości filozoficznego systemu podniesionym został dotąd tylko pessimizm i to przez myślicieli szczepu germańskiego, najprzód przez Tomasza Hobbesa w zastosowaniu do teorii państwowych, przez Darwina w zastosowaniu do całego świata organicznego, wreszcie przez Schopenhauera i Hartmanna w zastosowaniu do filozofii w ścisłym znaczeniu tego wyrazu.

Z domniemaną przewagą złego pierwiastka w świecie logicznie wynika teoria „walki o byt,” w której zwycięstwo należy się silniejszemu. Aby jednak nie zrażać tak zwanych przesądów, rzeczywiście zaś wrodzonego naturze ludzkiej poczucia sprawiedliwości, filozofia pessimizmu stroi owego silniejszego zwycięzcę w różne przymioty dodatnie i dowodzi potém, że upadek lub wytepienie żywiołów słabszych przez silniejsze, które już przez to samo są też lepsze i zdolniejsze, najpotężniej służy dobru powszechnemu!

W zastosowaniu do spraw społecznych, państwowych i międzynarodowych, pessimizm wyprowadza z przewrotnej natury ludzkiej pierwotną „wojnę wszystkich z wszystkimi.“ Co może tej wojnie położyć koniec? Albo zniszczenie świata, poczem już nie będzie sposobności do walki, jak twierdził w pewnej fazie filozof berliński Hartmann; albo też żelazna ręka wszechwładnego państwa, jak twierdzi Hartmann dzisiaj za wzorem starego filozofa angielskiego Hobbesa. Cto jeden kierunek pessimizmu energiczny, pozytywny i dogmatyczny. Drugi kierunek

bierny, negatywny i blisko spokrewniony z buddyzmem indyjskim reprezentuje Artur Schopenhauer. Jeżeli natura ludzka z urodzenia jest przewrotna, jeżeli zatém społeczeństwa „składają się w 5/6 z łotrów, oszustów lub głupców,“ natenczas wyjątkowy człowiek rozumny i uczciwy najędrzej sobie postąpi, gdy usunie się do zacisza i unikać będzie wszelkiej styczności z ludźmi i z państwem. W praktyce teorya ta znowu prowadzi do nieograniczonej władzy; bo jeżeli wszyscy ludzie rozumni i uczciwi usuną się od życia publicznego, cesarz albo młoch opanują łatwo państwo. W stosunku międzynarodowym, dla którego optymiści, jak Hugo Grotius lub Bernardin de Saint-Pierre, zalecali bądź to pewne prawa moralne, bądź wyższy związek, strzegący praw pojedynczych państw, t. j. słabszych przeciwko mocniejszym, pesymizm z natury rzeczy nie może uznawać innéj zasady jak tylko prawo mocniejszego czyli siłę przed prawem, albo téż żelazną dyktaturę, czyli tak zwaną monarchią uniwersalną.

Byłoby przesadą, gdybyśmy chcieli twierdzić, że wyłącznie szczep germański praktykował w życiu państwowém i międzynarodowém zasady pesymizmu. Przedewszystkiém jednak sformułowali go naukowo myśliciele tego szczepu. Już w pogańskiej mitologii germańskiej z jéj brutalnemi i bratobójczemi walkami bogów, żywo się odzwierciedla przyrodzony kierunek pesymistyczny tego szczepu. Przeważa on téż w dziejach. Jeżeli są pewne „króle-duchy,“ które w sobie niejako uosobniają cnoty i wady swego narodu i czasu, to np. tak fenomenalne osobistości, jak Aleksander W., Juliusz Cezar, Ludwik XIV-ty lub Napoleon I-szy, którzy pomimo krwawych śladów, jakie pozostawili za sobą, przekazali nam jednak także pamięć niektórych czynów, wyptywających z wspaniałomyślności, miłosierdzia i miłości bliźniego. Natomiast każdy król-duch germański, od najdawniejszych czasów do Barbarossy, Cromvella, Gustawa Adolfa, Fryderyka W. i ks. Bismarcka, zdawał się być uzbrojonym potrójnym panczerem pogardy względem ludzi i przeciwko wymienionym szlachetniejszym ich uczuciom.

To téż teoryi i praktyki pesymizmu, w zastosowaniu do spraw państwowych, nigdzie dokładniej badać nie można, jak w książkach autorów i w czynach bohaterów szczepu germańskiego.

Zaczynamy te badania od najmniej znanego Hobbesa, aby następnie przejść do Schopenhauera i Hartmana.

## I. Tomasz Hobbes.

### I. „Libertas.“

Tomasz Hobbes urodził się 5-go kwietnia r. 1588 w Malmesbury, z ojca pastora. Był to ów rok pamiętny, w którym przygotowany od dawna przez Filipa II-go cios śmiertelny miał ugodzić w Anglię. Powszechna trwoga, z którą tam wyglądało nadejście groźnéj „armady“ hiszpańskiej, ogarnęła także pastorową w Malmesbury

i spowodowała przedwczesny połów. Pozostało to jednak bez ujemnych następstw dla ciała i umysłu dziecięcia. Wcześniej rozwinięty chłopiec z łatwością nauczył się języków starożytnych, potem na wszechnicy oksfordzkiej słuchał logiki i nauk przyrodniczych. Urzędownie panowała jeszcze scholastyka i metoda arystotelesowa, ale nowy empiryczny kierunek Bacona oddziaływał już na wszechnice angielskie. Do nauk prawniczych, jak się zdaje, przyszedł filozof i statysta nie przykładał się. Atoli spory o materje państwowe tak silnie wtedy zaprzętały naród angielski, że musiały wcześniej oddziaływać na umysł Hobbesa.

Już w ostatnich latach panowania Elżbiety wszczęły się spory w parlamencie. Jednak niezwykła popularność dopisała jej aż do śmierci. Ale w r. 1603 wstąpił na tron Jakób I-szy, syn nieszczęśliwej Maryi Stuart, pedant, rubaszny, głęboko przekonany o swęj naukowej i umysłowej wyższości, a jednak zmieniający co chwila zdanie, do rozrzutności hojny dla dworaków i lubiący okazałość, rząd ciągle narażony na kłopoty pieniężne. O władzy królewskiej miał pojęcia najprzesadniejsze. „Półbogiem“ nazywa króla w swych przepisach dla syna. Przybywszy do Londynu, rzekł do posła francuzkiego: „Jestem nieograniczonym monarchą w mojem państwie, jak wasz król, i w niczem niezależny od rady lub postanowień mych poddanych.“ Do parlamentu zaś 1604 r. przemówił w te słowa: „W Szkocyi słuchano mnie nietylko jako króla, lecz także jako doradcę. Tu od rana do nocy nieuję moje wnioski. Tam wszystko, co zalecałem, chętnie przyjmowano, to wszystko podawają w podejrzenie. Postępujecie sobie często bez rozwagi. Używajcie na przyszłość waszjęj wolności z większą skromnością.“ Swój ideał państwowy widział urzeczywistniony w despotycznej Hiszpanii, którą przeto pokochał i z którą, wbrew życzeniom narodu angielskiego, sprzyjającego holandczykom, zawarł pokój (28 sierpnia 1604 r.). Rozrzutność dworu wypróżniała kasy królewskie, parlament okazywał się skąpym, król począł nakładać podatki bez przyzwolenia parlamentu i tęp wskrzesił najdrażliwsze spory konstytucyjne.

Takie było położenie w Anglii, gdy Tomasz Hobbes, skończywszy nauki uniwersyteckie, w r. 1607 jako mentor młodego hrabiego Devonshire, wyjechał do Francji, gdzie wszedł w stosunki z znakomitymi uczonymi. Powróciwszy do Anglii, aby dzięki wsparciu swego protektora oddać się dalszym studjom, postanowił wznieść system filozofii na nowych podstawach, czytał pilnie pisarzy greckich i rzymskich, i spisywał sobie notatki. Przy tęp nie pozostawał, jak Archimedes, głuchy na wzmagający się zgiełk sporów politycznych, lecz ogłosił przekład dziejów Tucydyesa (1628) w wyraźnym zamiarze ostrzeżenia swych ziomek przed demokracją. Walka bowiem pomiędzy tronem a stronnictwem ludowem czyli „purytańskim“, stawała się z każdym dniem namiętniejszą. Rojalisci dobitnie podnosili teorię nieograniczonej władzy królewskiej. Konwokacya duchowna

r. 1606 wygłosiła zasadę bezwzględnego posłuszeństwa. Wydany w r. 1607 i przypisany arcybiskupowi Bancroftowi słownik prawniczy, wystawiał króla jako „absolutnego,” stojącego „ponad prawem,” i przyznawał mu, pomimo przysięgi koronacyjnej, prawo „zmienić lub znieść ustawy.” Równą miarą wzrastał opór. W zimowej sesji parlamentu r. 1610/11 pojawiła się poraz pierwszy teorya, że wybranej przez naród Izbie poselskiej przysługują wyższe prawa, niż w Izbie panów, złożonej w części z zamianowanych przez króla członków. Już w lutym 1611 r. parlament rozwiązano. Przy wyborach r. 1614 opozycja odniosła stanowcze zwycięstwo, rozpoczęły się zatargi pomiędzy dwiema Izbami, po 2-ch miesiącach król Izbę poselską rozwiązał, czterech przywódców opozycji wtrącił do Toweru. Ale opór stawał się coraz powszechniejszym. Gorszące wypadki mnożyły się w kołach dworskich. Wszystko u dworu zdawało się być sprzedajnym: prawo i honor, urzędy i godności, łaska mężczyzn i miłość kobiet! Projekt związku królewicza Karola z infantką i kłeska zięcia królewskiego, falegrafa Fryderyka pod Białą górą, uważana jako zwycięstwo znieprawdzonej Hiszpanii, wywołały dosadnie kroki ze strony utworzonego 30-go stycznia r. 1621 parlamentu. Izba gmin uchwaliła ostrą rezolucyą, przeciwko błędnej polityce zagranicznej i zepsuciu u dworu; kanclerza Bacona, wielkiego uczonego, ale nikczemnego człowieka, oskarżyła o sprzedajność i zmusiła do ustąpienia. Tymczasem projekt związku królewicza z infantką rozbił się, Karol i faworyt jego Buckingham zapłonęli żądzą wojny przeciwko Hiszpanii, król uległ temu prądowi i nastąpiło zbliżenie się do parlamentu. W r. 1624 parlament uchwalił subsydia na wojnę, przeciwnego wojnie ministra skarbu hr. Middlesexa, oskarżył o sprzedajność i złożył z urzędu. Uradowanego upadkiem swego osobistego przeciwnika księcia Buckingham, król strofował trafnym ostrzeżeniem: „Głupcze, sam kręcisz bicz na siebie.” Dumny z swego zwycięstwa parlament wysłał ostre napomnienie do króla, który wkrótce potem, 27-go marca 1625 roku, umarł.

Następca jego 25-cio letni Karol I-szy, miał wrodzony pociąg do intrygi i do tajnych zastrzeżeń przeciwko czynionym publicznie obietnicom. Wada ta unieważniała wszelkie jego przymioty. Nieszczerość w słowach i czynach była tém niebezpieczniejszą, ponieważ albo nie był jój świadom, albo uważał ją jako uprawnioną. Sam mało mówny, moralny, porządny, jak późniejsi Ludwik XVI-ty, ulegał gadaliwemu, wyuzdanemu i marnotrawnemu faworytowi księciu Buckinghamowi. Zebrany 18-go czerwca r. 1625 najprzód w Londynie, potem z powodu zarazy w Oksfordzie parlament natychmiast rozpoczął walkę przeciwko dworowi, zwłaszcza przeciwko ks. Buckingham. „Rządowi—wołał poseł sir Robert Phelips—nie dostaje dobrej rady; władza stała się monopolem.” Przykładami z dziejów Anglii dowodzone, że minister jest odpowiedzialny parlamentowi. Sarkano na zachcianki absolutystyczne. „Jesteśmy ostatnią monarchią — woła

wymieniony sir Phelips, — która przechowała swe pierwotne prawa i pierwotną konstytucyą.“ Już 12-go sierpnia król rozwiązał parlament. Tymczasem obie strony wojowały ze sobą powodzią broszur i pamfletów.

Musieliśmy nieco obszerniej nakreślić to tło polityczne, bo inaczej niepodobna zrozumieć rozwoju teoryi Hobbesa o wszechwładzy państwa. Nie mogło być rzeczą wątpliwą, po której stronie w tej walce stanie Tomasz Hobbes? Temperamentu flegmatycznego, wolny od uczuć namiętnych, utrzymujący się z łaski możnych, trybem życia oddzielony od szerszych warstw narodu, nie dotknięty jego troskami, nie dzielący jego życzeń, Epikurejczyk albo Schopenhauer XVII-go stulecia, miłujący tylko sam siebie i łaknący przedewszystkiēm spokoju—nie mógł inaczej, jak oświadczyć się za nieograniczoną władzą. Bo ta tylko zdawała się być zdolną uśmierzyć waśnie, które się stawały coraz namiętniejszemi, i zapewnić pokój i porządek publiczny. Zajęty głównie formułkami matematyczno-filozoficznymi, Hobbes wprawdzie mało uwagi poświęca dziejom <sup>1)</sup>. W głównych zarysach przecież nie były mu obce. Otóż cały XVI-ty wiek był okresem powszechnēj walki. Walczyła nowa wiara ze starą, wolność obywatelska z despotyzmem, żywioty federacyjne i autonomiczne z centralizacyą i niwelacyą. Różne te prądy ścierają się ze sobą słowem i orężem. Nauka, poezya, dowcip, wymowa, stawają w służbie walki, przegłaszane zgiełkiem broni. Walczą ze sobą państwa, a wojny domowe nie schodzą z porządku dziennego. Czasy to krwawych zbrodni i dzikich czynów. Tu innowiercy płoną na stosie, tam władzcy, Wilhelm Oranii (1589), Henryk III (1589), Henryk IV (1610) giną od sztyletu fanatyka!..

Myśliciel, wierzący w dobroć natury ludzkiej a zatḗm tḗż w stopniowy postę́p, byłby ten okres wojny wszystkich z wszystkimi uważał jako wykołejenie ludzkości z drogi, przepisanej przez prawo przyrodzone, jako stan nienaturalny i zamieszanie chaotyczne, z którego w końcu pierwiastki dobre, wyjdą zwycięzko. Pessimista, jak Tomasz Hobbes, wyrozumiał, że właś́nie ta powszechna wojna jest stanem przyrodzonym ludzkości i że przywrócić spokój, może jedynie nieograniczona władza. „Iluż to zacnych królów — powiada w wstępie do dzieła „De cive“—zostało pozbawionych życia jedynie skutkiem zbrodniczej nauki, że wolno zabić tyrana? Iluż ludzi utraciło życie wskutek błędnego mniemania, że władzca z pewnych powodów przez pewne osoby może być strącony z tronu? Iluż na zgon naraziła błędna teorya, że królowie nie są panami, lecz sługami narodu? Ileż zaburzeń wywołała teorya, że sąd o prawowitości rozporządzeń królew-

<sup>1)</sup> H. Grotius, proszony przez młodego osłowiaka o książkę, z której mógłby się nauczyć polityki, odpowiedział: „Weź księęę białego papieru i idź w świat. Zapisuj uważnie wszystkie publicznie wypadki, a przytḗm czytaj dawno dzieje.“



skich przysługuje osobom prywatnym? Filozofowie starożytni przewidywali to, woleli więc, aby nauka publicznego prawa była ubierana w szaty mitologii, aniżeli narażona na publiczne rozstrząsania. Zanim zaczęto roztrząsać podobne kwestyc, królowie nie tylko przypisywali sobie najwyższą władzę, lecz używali jęj. Bronili jęj nie rozumowaniami, lecz karami na przestępców, opieką dla sprawiedliwych; obywatele zaś prawo sądzili nie według mów osób prywatnych, lecz według ustaw państwa; pokój bywał zabezpieczony nie publicznemi rozprawami o prawie, lecz siłą władzy; najwyższą władzę, czy spoczywała w ręku osoby czy grona, czczono jakby bóstwo. Dla tego ambitni i nikczemni ludzie nie znajdowali, jak teraz towarzyszy do obalenia ustaw państwowych; nie pojmowano, jak można chcieć znosić nawet to, na czém polega własne utrzymanie, bo prostota owych czasów nie była zdolna zrozumieć takiego uczonego głupstwa <sup>1)</sup>). Panowali więc pokój i wiek złoty, który się skończył wtedy, gdy powstała nauka, że wolno i przeciwko królom wziąć się do broni.“

Oprócz sporów domowych, z których miała niebawem wyniknąć wielka rewolucya angielska, głównie przykład wracającęj po długim zamieszaniu do nieograniczonej władzy Francyi, wpłynęła na rozwój teoryi Hobbesa. Jako towarzysz młodego hr. Cliftona r. 1629 zawitał powtórnie do Paryża, gdzie studyował geometryą Euklida i przyswoił sobie tegoż niesmaczną metodę matematyczną. Z młodszym hrabią Wilhelmem Devonshire r. 1631 poraz trzeci przybył do Paryża, gdzie się zaprzyjaźnił z epikurejczykiem Piotrem Gassendim (1592—1655) i z O. Maryanem Mersenne'm, jednym z koryfuszów empiryzmu. W r. 1637 powrócił do Anglii, ale z obawy przed wzmagającą się walką stronnictw, w r. 1640 poraz czwarty przeniósł się do Paryża, gdzie w gronie uczonych przyjaciół, do których przyłączył się Descartes, poświęcał się pracom filozoficznym, a królewiczowi Karolowi, późniejszemu królowi II-mu tego imienia, udzielał lekcyi filozofii i matematyki.

Za każdym nowém przybyciem do Francyi, spostrzegał postęp prądu centralistycznego i absolutystycznego. Od r. 1629 w imieniu Ludwika XIII-go samowładnie rządził kardynał Richelieu, żelazną ręką druzgocąc wszelki opór, czy to możnych, nie wyjąwszy brata królewskiego, czy hugonotów, usuwając z ustroju państwowego dawne sejmy (*états généraux*), nie zwoływane już od roku 1614, pozbawiając znaczenia parlamenty (trybunały sądowe), słowem, wskrzeszając nieograniczoną władzę. Francya wtedy, korzystając zrzęcznie z zamieszek u sąsiadów, śmiało zajmowała pierwsze śród wielkich mocarstw miejsce, z którego zwolna ustępowała Hiszpania. Wtedy to, „widząc ojczyznę zakłóconą zapowiadającemi blizką wojnę domową sporami o prawie władzców i posłuszeństwie obywateli,“ Tomasz Hobbes wydał w Paryżu, z razu w szczupłej liczbie egzemplarzy dla znajomych,

<sup>1)</sup> Odnosi się to do komunistycznej sekty „Levellerów.“

swę „Elementa philosophica de Cive“ (1642). Drugie, przeznaczone dla ogółu wydanie z dedykacją dla hr. Devonshire, datowaną z Paryża 1-go listopada 1646, wyszło w roku następnym w ówczesnej metropolii ruchu księgarskiego Amsterdamie <sup>1)</sup>.

Niedługo potem (1650) wydał w Londynie dzieło: „Leviathan, or the matter, form and authority of government,“ ciekawe o tyle, że tam swemu ideałowi państwowemu nadał trafne imię biblijnego potwora, Leviathana. Co do treści „Leviathan“ jest tylko rozwodnieniem zasad, wypowiedzianych w dawniejszém piśmie „de Cive,“ ale wydany w języku angielskim, zwrócił powszechną uwagę na autora i ściągnął nań nienawiść wyższego duchowieństwa, które go oskarżyło przed Karolem II-im o bezbożność. Wskutek tego musiał opuścić dwór królewicza i Paryż, w r. 1652 powrócił do Anglii, gdzie podczas panowania Cromwella spokojnie żył na jednym z majątków dawnego wychowawcy swego, hrabiego Devonshire, utrzymując ścisłe stosunki z Herweyem, Seldenem, Cowlejem i innymi uczonymi, i zajęty pracami matematycznymi i fizykalnymi, tudzież polemikami <sup>2)</sup>. Umarł bezżenny 4-go grudnia 1679 r. w Hardville, włości hr. Devonshire, przeżywszy lat 91.

Obok urozmaiconego i ożywionego mnóstwem trafnych cytat z pisarzy greckich i rzymskich pomnikowego dzieła „de jure belli ac pacis“ Hugona Grotiusa, i obok zachwycających deklamacji J. J. Rousseau, książka „de cive“ pod względem wykładu zajmuje bardzo niskie miejsce. Wierny ulubionej metodzie geometrycznej, Hobbes wszelkie zalety stylu poświęcił rubasznej jasności. Prawda, że nie można dobitniej, niż to uczynił, z fałszywej przesłanki wyprowadzić logicznych wniosków. Człowiek jest z natury przewrotnym, powstaje przeto walka powszechna, którą kończy i zabezpiecza pokój wszechwładne państwo! Oto w krótkich słowach filozoficzno-państwowa teoria Hobbesa. O modnym wówczas pierwostanie („état de nature,“ „Naturzustand“) traktuje w pierwszej części dzieła swego, noszącej napis „libertas,“ co tu znaczy tyle co swawola, rozwiązłość, anarchia,

1) Dzieło „de cive“ stanowi trzecią część systemu filozofii Hobbesa. Pierwsza „de corporo“ wyszła w Londynie dopiero 1655 r.; druga „de homine,“ tamże, 1658 r. Już w r. 1649 wyszedł przekład francuzki dzieła „de cive“ przez p. Sorbiera. Pomnikowe dzieło Hugona Grotiusa „de jure belli et pacis,“ na które przyjdzie nam niekiedy odwołać się, wyszło w Paryżu r. 1625, a zatem w 17 lat przed pierwszym wydaniem dzieła „de cive.“ „Le contrat social“ J. J. Rousseau wyszedł w Paryżu 1762 r.

2) W r. 1654 wydał rozprawę „O wolności i konieczności,“ w której, co zresztą logicznie wynikało z jego systemu, negował wolną wolę. Dr. John Bramhall, biskup Derby, wystąpił w obronę wolnej woli („défense de la vraie liberté“ etc.). Hobbes odpowiedział pismem „Quaestiones de libertate, necessitate i t. d., 1656 i t. d.

i wszelka zgroza. Przypisanie wyrazowi „libertas“ tak ujemnego znaczenia nikogo nie zadziwi, kto pozna ideał państwowy Hobbesa. O uzasadnienie swój przesłanki nie starał się. Mógł to uczynić albo a priori, jak później Schopenhauer, podnosząc jednostronnie wszystkie ujemne strony charakteru ludzkiego, i wykazując w ten sposób, że człowiek jest najnikczemniejsze i najokrutniejsze stworzenie pod słońcem; albo też empirycznie, zbierając dowody z życia ludów pierwotnych, dzikich i nie ujętych jeszcze w karby państwowe, gdzie zapewne mógł znaleźć niejedyn fakt, jakiego potrzebował, choćby ich można odszukać więcej na poparcie przeciwnej teoryi.

Ale Hobbes wybrał drogę wygodniejszą, powołując się po prostu na stosunki społeczne, a mianowicie angielskie. „Na pierwszym miejscu—powiada w wstępie—kładę powszechnie znany z doświadczenia pewnik, że ludzie, gdyby ich nie hamowała bojaźń przed władzą, podejrzewaliby się ciągle i bali przed sobą, oraz że każdy, o ile starczą siły, może i chce się bronić przed drugim. Niektórzy temu przeczą. Atoli widzimy, że wszystkie państwa, nawet w czasie pokoju, zabezpieczają swe granice warowniami i załogami, miastami wałami, rowami i bramami. Po co, gdyby się nie obawiano sąsiadów? Nawet wewnątrz państw, gdzie istnieją prawa i kary na przestępców, nikt nie wyjedzie w podróż bez broni, ani się uda na spoczynek, zanim zamknięto bramy przeciwko spółobywatelom; wszakże nawet w obec domowników używamy zamków i zapór. Czyż ludzie mogą dobitniej objawiać swą wzajemną nieufność? Tak czynią państwa i jednostki. Tylko w słowach przeczy się temu i z natogu sprzeciwiania się drugim, sami sobie kłam zadajemy.“ Jeżeli to wszystko było trafnym odnośnie do stosunków społecznych, czyż niem było także w zastosowaniu do pierwostanu, kiedy jeszcze nie znano miast, warowni, zamków i kluczy? „Rozprawiając ciągle o potrzebach, chciwości, ucisku, ambicyi i dumie, przenosimy do stanu natury wyobrażenia, zaczerpnięte z teraźniejszości; mówimy nibyto o człowieku pierwotnym, a malujemy człowieka, będącego członkiem teraźniejszego ustroju społecznego i państwowego“<sup>1)</sup>. Gdy pesymista Hobbes w spaczonych stosunkach społecznych szuka przykładów na wyjaśnienie przyrodzonej przewrotności ludzkiej, optymista J. J. Rousseau działa odwrotnie. Myśliciel francuski pisał wtedy, gdy absolutystyczne marzenia Hobbesa niemal w całej Europie były urzeczywistnione. Świat nie stał się przeto lepszym, lecz raczej gorszym. Czyliż rząd Rousseau wyprowadził wniosek, że natura ludzka musi być istotnie przewrotna? Nie, sądził, że spaczoną instytucjami społecznymi i państwami, tudzież dziejami ludzkimi trzeba odświeżyć, wracając do zdrowych zasad i zwyczajów pierwostanu, czyli do owej „libertas“, którą w tak czarnym świetle wystawił Hobbes. Nadto było niedorzecznością, opiera-

<sup>1)</sup> Jean Jacques Rousseau: „Discours sur l'origine de l'inégalité parmi les hommes.“

jąc się głównie na stosunkach angielskich, wyprowadzić ztąd ogólny system filozofii. O Anglii trafnie zauważył Montesquieu: „duch tego narodu sprawia, że mniej się zajmuje własném szczęściem, niż zazdrością na powodzenie drugich; zazdrość jest główną cechą charakteru angielskiego, czego dowodzą między innymi wszystkie handlowe i marynarskie ustawy angielskie.“ Ale, jak to już zauważył starożytny pisarz Porphyzjus, „niektóre narody zdziczały i stały się nieczłowiekami; sprawiedliwy sędzia ich winy nie powinien kłaść na karb natury ludzkiej“.

Oprócz nie dowodzących niczego przykładów, zaczerpniętych z stosunków społecznych, mianowicie angielskich, Tomasz Hobbes na poparcie swój przesłanki, stawia dogmat: człowiek, nie posiadający wolnej woli, działa z konieczności, a powoduje się jedynie miłością własną, a zatem: to żądzą, to obawą. Nieprawda—był odpowiedział na podobne twierdzenia Aristippa i Epikura, wierzący w cnoty ludzkie Hugon Grotius: „Człowiek bowiem jest stworzeniem (animans), wyższego rodzaju od wszystkich innych. Pomiedzy odróżniającemi ludzi od innych stworzeń właściwościami, znajduje się pociąg do towarzysztwa (appetitus societatis), nie tylko do jakiegobądź spółności, lecz do owego spokojnego i rozumnie uporządkowanego spółnictwa z bliźnimi, co stoicy zwali *Oikeiowon*. Zdanie, że każde stworzenie szuka tylko swój korzyści, nie jest w tej ogólności trafném. I tak u dzieci z natury objawia się pewna skłonność do dobroczynności, którą już obserwował Plutarch, tudzież przyrodzone miłosierdzie. Człowiek dojrzały z owym popędem towarzyskim, do którego sam jeden pośród innych stworzeń posiada narzędzie stosowne w mowie, łączy zdolności działania według ogólnych prawideł, czém znowu różni się od innych stworzeń. Ten odpowiadający rozumowi ludzkiemu popęd towarzyski jest źródłem (naturalnego) prawa, do czego należy poszanowanie cudzej własności, zwrócenie jéj, dotrzymanie obietnic, naprawienie wyrządzonej krzywdy i ukaranie przestępcy“<sup>1)</sup>.

Podobnie Jean Jacques Rousseau podnosi wielkie znaczenie mowy, jako czynnika towarzyskiego, a spółczucie uważa jako podstawę wszystkich innych cnót, których odmawiają ludzom: „En effet qu'est ce que la générosité, la clémence, l'humanité, si non la pitié appliquée aux faibles, aux coupables ou à l'espèce humaine en général?“

U szczepu germańskiego, jak uczą przeszło tysiącletnie dzieje, to uczucie miłosierdzia, miłości bliźniego, ujęcie się za bliźnim, a co dopiero poświęcenie się za niego, było zawsze nieznaném. Wprawdzie jednostki, podniosły się ponad poziom szczepowego samolubstwa, mogły niekiedy okazać się zdolnemi do miłości bliźniego i poświęcenia się, ale zbiorowo, jako szczep, germanie nigdy nie zaznaczyli téj zdolności<sup>2)</sup>. Jeżeli niekiedy pod wpływem ogólnych prądów

1) „De juro belli ac pacis,“ prolegomena § 6—8.

2) Zaznaczyli ją niejednokrotnie francuzi, choć znano słowa Salvan-

zaczęli przynajmniej w słowach ujmować się za uciśnionymi, wywołało to natychmiast ostre napomnienie ze strony tych, których uważać trzeba jako najznakomitszych reprezentatów germańskiego ducha narodowego. Angielski pesymista pozostał więc wierny duchowi germańskiemu, gdy zaprzeczając ludziom wszelkich cnót, egoizm uznał jako jedyną pobudkę ich czynów.

„Prawie wszyscy pisarze—powiada w § 2-im rozdziału o „wolności,“—którzy traktowali o początkach państwa, przypuszczają lub twierdzą, że człowiek posiada przyrodzone uzdolnienie do życia towarzyskiego, co grecy zowią—ζῶον πολιτικόν. Na tém przypuszczeniu opierają swą teorią państwową <sup>1)</sup>). Błędne to mniemanie wynika z zbyt powierzchownego badania natury ludzkiej. Głębiej się zastanawiając nad powodami, z którą łączą się ludzie, łatwo zrozumiemy, że nie dla tego, aby z przyrodzenia inaczej nie mogli, lecz z przyczyn postronnych. Gdyby człowiek z przyrodzenia kochał drugiego, dla czegożby każdy nie kochał równym sposobem wszystkich, gdyż wszyscy są ludźmi, lecz szukał tylko towarzystwa pewnych osób? Nie z popędu wrodzonego człowiek go szuka, lecz aby uzyskać pochwałę lub korzyść. O to mu chodzi przedewszystkiém. I tak, w spółce handlowej (przykład dziwny, gdy się bada pierwostan!), każdy ma na oku pożytek nie spółników, lecz swój własny. Gdy ludzie łączą się celem uzyskania urzędów, powstaje wprawdzie pewnego rodzaju koleżeństwo, które jednak mieści w sobie więcej wzajemnej obawy, niż miłości i wytwarza raczej kamaraderyą, niż dobroczynność. W towarzystwie, założoném celem unystowej rozrywki i zabawy, każdy lubuje najwięcej w tém, co śmiech obudza, aby przy porównaniu swój własnej nizekczemności z wadami i ułomnościami drugih, wydawał się lepszym. W takich zebraniach bawimy się kosztem nieobecnych (les absents ont toujours tort!) ich życie, słowa i czyny roztrząsamy, nicujemy i nadużywamy do uszczypliwych dowcipów; własnych towarzyszy spotyka ten sam los, skoro wyjdą za drzwi. Mądrze przeto robił ten, który takie zebrania opuszczał zawsze ostatni. Czy wreszcie mam wspomnieć o tych, którzy chcą być mędrszymi od drugih? Gdy się zbiorą aby mówić o filozofii, to będą chcieli pouczać drugih i uchodzić za mistrzów, ale swych kolegów nie miłują więcej od innych, lecz się pomiędzy sobą nienawidzą. Doświadczenie więc uczy, że ludzie dla tego tylko stowarzyszają się, aby ztąd zjednać sobie korzyść, albo szacunek i poważanie u drugih.“

„...Niepodobna jednak oprzeć trwałego związku na żądzy czci. Bo skoro cześć dostaje się wszystkim towarzyszom, żaden jój nie po-

dego: „Les Français commencent toujours par ce que veut l'honneur, sans s'inquieter de ce qui plairait à la politique,“ tak ogólnie wzięto nie zupełnie się zgadzają z prawdą historyczną.

<sup>1)</sup> Odnosi się to przedewszystkiém do Hugona Grotiusa, którego dzieło Hobbes znał, choć go ani razu nie wymienił.

siada, gdyż część zasada się właśnie na odróżnieniu i przewyższeniu drugich; nadto stawa zdobytą za poparciem drugich, mniej znaczą niż zdobytą własnymi siłami i bez obcej pomocy. Wprawdzie przyjemności życia mogą być zwiększone wzajemnym wspieraniem się, łatwiej i lepiej jednak zapewniamy je sobie panowaniem, to też człowiek, o ile go nie wstrzymuje obawa, szuka raczej panowania, niż towarzystwa. Przyczyny więc szerszych i trwałych związków nie należy dopatrywać się w wzajemnej miłości, lecz w obopólnej obawie 1).

Powód obopólnej obawy spoczywa w tém, że ludzie są sobie wszyscy równi i wszyscy skłonni szkodzić sobie (§ 3). „Równi są bo każdy może zabić drugiego. Wolę szkodzić sobie w pierwotności mają wszyscy, choć nie z jednakowych powodów i nie z tą samą winą (§ 4). Ten, odpowiednio przyrodzonej równości, drugim pozwala tego wszystkiego, co sam sobie pozwala; tak czyni człowiek skromny. Drugi uważa się za wyższego, chce czynić co mu się podoba i domaga się czci i posłuszeństwa od drugich; tak czyni człowiek surowy. U niego wola szkodzić drugim powstaje z próżności i przeceniania swych sił, u pierwszego zaś z potrzeby obrony własnej przed drugimi 2).

1) Przez obawę Hobbes rozumie „wszelki wzgląd na możliwe zło.“  
Przypisek do § 2-go.

2) Choćbyśmy nawet nie posiadali na to w jego własnych pismach dostatecznych dowodów, a priori trzeba by przypuszczać, że Fryderyk II, zasadniczo pogardzał ludźmi i był skrajnym pesymistą. Na tém opiera się cała polityka tego niemieckiego kolegi angielskiego filozofa. Ale też Fryderyk II, nigdy nie ukrywał swych pesymistycznych przekonań, owszem popisując się nimi, niezawodnie dla tego, aby uniewinnić poniekąd własno-rodne czyny. I tak na jednem miejscu powiada: „L'homme restera, malgré les philosophes, le plus méchant bête de l'univers. Il y aura toujours des guerres, comme il y aura toujours des pertes, des banqueroutes, des pertes et des tremblement de terre.“ Pastorowi Sulzerowi, który się raz przed królem odezwał o pociągu ludzi do onoty, Fryderyk II odpowiedział: „Widzę już mój kochany, że nie znasz tak jako ja, przeklętego plemienia, do którego należymy.“ Z świeżo wydanych poufnych rozmów Fryderyka II, z Henrykiem de Catt, można by zostawić cały system pesymizmu. „Prawią, powiada król, raz o miłosierdziu, o spófozuciu i onocie. Tymczasem zalety te w życiu nic nie znaczą, a co gorsza, zbrodniarz, któremu się powodzi znajduje większego uznania, niż człowiek zaony, śoigany nieszczęściem. Zepaucie jest ogromne i wszędzie rozpowszechnione. We wszystkich stanach napotymano na nie, a zwłaszcza u dworów człowiek uczciwy nie doczeka się szczęścia.“ Na inaszém miejscu: „Wszyscy mamy słabości. Moja babka, elektorka hanowerska, razu pewnego zapytała posła francuzkiego, jak to podobna, że tylo francuzek daje się uwieść?

— „Królewska Mość, odparł, diamenty!“

— „Ale któż się sprzeda za diamenty?“

„Niezgoda powstaje przede wszystkim z mierzenia wzajemnych sił umysłowych. Walka ta jest najnamiętniejsza. Nie tylko bowiem, że przeciwnik śmie potępiać nasze zdanie, ale już to, że nie przystaje na nie, obudza naszą nienawiść, albowiem kto choć milcząco odrzuca nasze zdanie, tém samym o błąd nas oskarża. Jeżeli drugi w wielu rzeczach sądzi inaczej od nas, znaczy to że nas uważa za głupców. To téż żadne wojny nie bywają toczone z większą namiętnością, od sprzeczek pomiędzy sektami tego samego wyznania, albo pomiędzy stronnictwami tego samego państwa, walczącymi jedynie o zasady religijne lub polityczne.

„Innym źródłem niezgody jest to, że wielu żąda dla siebie tego samego przedmiotu, chociaż on często nie może być ani wspólnie używany, ani podzielony. Osiągnąć to więc może tylko mocniejszy, a kto nim jest, o tém rozstrzyga walka (§ 6).

„Przy tylu niebezpieczeństwach, grożących człowiekowi od ludzi, musi usiłować ubezpieczyć się ile możności; i nie może nawet czynić inaczej bo każdy pragnie tego, co dla niego jest dobrem, a unika co jest szkodliwym, przede wszystkim więc unika największego naturalnego złego, t. j. śmierci, i to tak koniecznie, jak kamień spada na ziemię. Dla tego człowiek z natury zadaje sobie wszelką pracę, aby ciało swe uchronić przed boleścią i śmiercią, zabezpieczyć swe członki i utrzymać się przy zdrowiu; co zaś zgadza się z rozumem, to nazywamy prawem. Wyraz prawo (w pierwostanie) oznacza tylko wolność każdego, używania swych sił rozumnie. Podstawą więc naturalnego prawa jest, że każdy według możności powinien zabezpieczyć życie i zdrowie swoje. § 7.

„Ponieważ prawo na nic się nie przyda bez odpowiednich środków, przeto każdemu musi być wolno, użyć wszelkich środków celem zatwierdzenia wymienionego prawa § 8.

„Czy zaś środki użyte celem zabezpieczenia życia i zdrowia, były potrzebne lub nie, o tém w pierwostanie sądzi każda jednostka. § 9.

„Przyroda w pierwostanie każdemu dała prawo do wszystkiego. Zanim ludzie związali się umową, każdy mógł czynić, co mu się podobało i przeciwko komu się podobało, tudzież zabrać i używać wszystkiego, o ile chciał lub mógł. Bo skoro wszystko, czego człowiek pożądał, tém samym było pożytecznym i potrzebnym do jego utrzymania, o czém sam tak sądził (§ 9), i skoro to, co uważa jako potrzebne do swego utrzymania, prawnie mu się należy (§ 7): przeto

— „No, a za 100,000 talarów!”

— „Ohydnie, za pieniądzel!”

— „Piękny sznur pereł.”

— „Na miłość Boga, margrabię przestań!”

Babka moja miała wielki nałóg do perła, to była jej słabość. Wiesz pan, takimi to są wszyscy ludzie.“ „Gespräche Friedrichs des Grossen mit Henri de Catt,“ Lipsk 1885, str. 11.

w pierwostanie każdy może wszystko posiadać i czynić. Ztąd wynika, że w tym stanie prawo mierzy się korzyścią. § 10.

„Wszelako to równe prawo wszystkich, do wszystkiego nie przynosiło nikomu korzyści, bo skutek takiego prawa jest taki, jak gdyby nie było żadnego. Chociaż bowiem każdy o wszystkim mógł rzecz: to moje, nie mógł go jednak używać z powodu sąsiada, który równem prawem i równą siłą dowodził, że to do niego należy, § 11.

„Z namiętności ludzkich, mianowicie z próżności i przeceniania się wynika naturalnie skłonność do wzajemnego szkodzenia sobie. Skoro do tego dodamy prawo, że wszystko wszystkim należy, a zatem pierwszy prawnie zaczepia, drugi się prawnie opiera, powstaje ciągłe podejrzenie, obawa jednych przed drugimi; nie można zatem wątpić, że w pierwostanie ludzie znajdowali się w wojnie i to nie w pojedynczej, lecz w wojnie wszystkich z wszystkimi (bellum omnium contra omnes). § 12.

„Nie potrzeba dowodzić, jak zgubną jest nieustająca wojna, która z powodu równości walczących nie może być skończona zwycięstwem jednej strony, bo i chwilowemu zwycięzcy ciągle grozi niebezpieczeństwo, a nawet najsilniejszy chyba cudem dociągnąłby do podeszłego wieku. Przykłady dostarczają nam terażniejsze stosunki w Ameryce; dawniejsze czasy pokazują nam inne narody, które dziś są oświecone i kwitną, ale wtedy były szczupłe liczbą, dzikie, krótkiego życia, ubogie i brzydkie, gdyż im niedostawało tych wszelkich ozdób i wygod, których dostarcza tylko pokój i społeczeństwo. Gdyby więc kto trwierdził, że należało pozostać w owym pierwostanie, gdzie wszystkim było wolno wszystko (co twierdzili niektórzy z tak zwanych „utopistów“), sam staje w sprzeczności ze sobą, bo wszyscy z konieczności pragniemy dobrego (t. j. korzyści), a nikt owę wojnę powszechną, związaną z pierwostaniem (czemu właśnie zaprzeczali utopiści) nie będzie uważał jako rzecz dobrą. Przeto, wskutek wzajemnej obawy uważamy jako rzecz konieczną, wydostać się z takiego stanu i szukać towarzyszy, abyśmy, skoro musi trwać walka, nie prowadzili jój przeciwko wszystkim, ani też bez pomocy. § 13.

„Według prawa przyrodzonego każdy tego, nad którym ma moc, może zmusić aby dostarczył rękojmi posłuszeństwa swego. Zwycięzca więc zwyciężonego bądź to groźbą śmierci, bądź więzieniem zmusza do służenia sobie; tak samo silniejszy może zmusić słabszego do posłuszeństwa. Bo skoro prawo własnej obrony wynika z niebezpieczeństwa, to zaś z równości, nakazuje przeto rozum, zawczasu zabezpieczyć się uzyskaniem posłuszeństwa (od zwyciężonych lub słabszych), nie zaś narazić się w przyszłości na wątpliwą walkę, gdy ci dorosną lub wzmocnią się i uwolnią z pod naszej władzy. Nic nie jest niedorzeczniejszém, jak wypuścić z pod naszej władzy słabego i pozwolić mu, stać się silnym i wrogiem. Ztąd przemoc nadaje też prawo (§ 14).

„Jednak ludzie, którzy się znajdują w pierwostanie, t. j. w nie-



ustającej walce, z powodu równości ludzkich sił i zdolności, nie mają nadziei trwałego zabezpieczenia się. Dla tego rozum nakazuje szukać pokoju, gdy się okaże odnośna nadzieja, a poki nie, starać się o towarzyszy wojennych (§ 15).

Pokój zaś znajdujemy w państwie, o którego powstaniu i atrybucyach traktuje część druga dzieła „de Cive.“ Zanim do niej przystąpimy, trzeba nam przedewszystkiem zastrzedz się przeciwko teorii, która umowę jednostek wystawia jako źródło państwa. Twórca jej Hugo Grotius oparł rzekomą umowę na wrodzonym popędzie towarzyskim; ale ponieważ ludzie w pierwotanie są wszyscy wolni i sobie równi, przeto państwo powinno jak najmniej kępować swobodę jednostek. Takie jest rozumowanie optymizmu, który się zaznacza także w teorii państwowej Jana Jakóba Rousseau. Przeciwnie pesymista Hobbes z rzekomej przyrodzonej niegodziwości ludzi wyprowadził wniosek, że umowa, celem zawarcia związku państwowego, opiera się na obawie i że przeto tylko wszechwładne państwo zdoła przemocą uśmierzyć waśnie i utrzymać pokój. Cała ta teoria tak Grotiusza, jak Hobbesa jest zasadniczo błędną. Albowiem człowiek nigdy nie występuje w rzeczywistości jako oderwana jednostka, jak np. drzewo lub głaz. Przy urodzeniu wstępuje w rodzinę. Gdy zacznie mówić, tém samém staje się członkiem pewnego związku językowego czyli narodowościowego; z rozwinięciem swych wyobrażeń o swym stosunku do Boga i świata, a takie wyobrażenia istnieją nawet u plemion najdzikszych, człowiek przystępuje do pewnego grona religijnego; stopień inteligencji lub zatrudnienia bliżej go łączy z odpowiedniami warstwami społecznymi; wreszcie i kraj i klimat wytwarzają odmienne charaktery i fizyczne typy, bo mieszkaniec stepów innych nabiera cech ducha i ciała, niż mieszkaniec gór lub wybrzeży morskich i t. d. W rzeczywistości więc owe oderwane jednostki czyli atomy ludzkie, któremi liczą statyści téj szkoły co Hugo Grotius i Tomasz Hobbes i później także Jana Jaques Rousseau, nigdy i nigdzie nie istniały. Dzięki świetnemu rozwojowi nauk historycznych, wiemy dziś dokładnie, że państwa powstały w bardzo różny sposób. Niedzie, np. w niektórych stanach północnej Ameryki (Pensylwania) związek państwowy oparto istotnie na umowie emigrantów angielskich. Ale żadną miarą nie można umowy uważać bezwzględnie jako źródło państw.

Lecz wracajmy do wykładu Hobbesa.

## 2. Imperium.

Jak więc podług niego powstaje państwo?

Przedstawiwszy w pierwszej księdze domniemany zwierzęcy pierwotan ludzkości i wojnę wszystkich z wszystkimi, autor w drugiej księdze, noszącej znaczący tytuł: „imperium,“ co się tu równa

wszechwładzy lub omnipotencyi państwa, „absolutum dominium,” i t. d. wyłącza przemianę owego pierwotnego społeczeństwa a raczej zbioru (multitudo) wrogich jednostek w ciało państwowe.

Celem zarządzania środków, koniecznych do utrzymania pokoju, potrzeba jednej woli. Jednostki przeto muszą swą wolę tak poddać bądź to osobie bądź zgromadzeniu <sup>1)</sup>, aby tych wola stała się wolą wszystkich. To poddanie się następuje wtedy, gdy się każdy w obec drugiego zobowiąże, nie odmawiać owój osobie lub owemu zgromadzeniu swych sił i swego mienia. Do uchwalenia aktu poddania się wystarcza większość głosów <sup>2)</sup>. Oto początek państwa. Jest ono osobą, której wola na mocy umowy większości stała się wolą wszystkich i która przeto siłami i mieniem jednostek rozporządza celem spólniej obrony i utrzymania pokoju.

Na rozróżnieniu pomiędzy osobą lub zgromadzeniem, któremu się poddali ludzie, aby się stać obywatelami (cives), zasadzają się różne rodzaje państwowe. Z poddania się jednostce powstaje monarchia; jeżeli się poddano zgromadzeniu, zachodzi pytanie, czy w niem mają udział wszyscy lub nie? W pierwszym razie powstaje demokracja, w drugim arystokracja. Podział ten państw na monarchie, demokracje i arystokracje, Hobbes przejął z Arystotelesa, choć w XVII-ym stuleciu istniały już państwa mieszane.

Jako najdoskonalszą formę państwową uważa monarchiczną. „Nie chcę podnieść że wszechświatem rządzi jeden Bóg; że starożytny świat składał tej zasadzie hołd, przypisując Jowiszowi władzę nad bogami, że na początku narodów wola władców była prawem; że ustanowiona przez Boga władza ojcowska jest monarchiczną, że inne państwa zostały sztucznie utworzone z resztek i odłamów dawniejszych monarchii i że naród wybrany stał pod królami: bo to są tylko przykłady. Ale sam rozum prowadzi do wniosku, że monarchia jest najlepszą formą państwową.“ Bo w monarchii obywatel ponosi mniejsze ciężary, nie jest narażony na tyle niebezpieczeństw i kar, co w demokracji, nie jest więcej uciskany i t. d.

Ale mniejsza o to, czy poddano się woli osoby lub zgromadzenia, w każdym razie najwyższa władza musi być nieograniczona. „Ku zabezpieczeniu publicznego porządku nie wystarcza, aby wszyscy ustnie lub piśmiennie zobowiązali się szanować prawo, bo ludziom wrodzona jest niegodziwość, a doświadczenie uczy, że jedynie obawa przed karą skłania ich do spełnienia obowiązku. Porządku bronią więc nie układy, lecz kary i to wtedy, gdy będą tak surowe, że z popełnienia przestępstwa wyniknie większa szkoda, aniżeli z zaniechania go. Bo wszyscy wybierają to co korzystniejsze, komu będzie od-

<sup>1)</sup> „Przez zgromadzenie rozumiem tu zebranie pewnej liczby ludzi, którzy obradują nad tém, co trzeba uczynić lub czego zaniechać ku wspólnemu dobru.“ V, § 6.

<sup>2)</sup> „Initium civitatis est majoris numeri consentientis.“

dane prawo karania czyli „miecz sprawiedliwości,“ ten otrzyma najwyższą władzę. Kto bowiem dowolnie może nałożyć kary, ten wszystkich może zmusić do wszystkiego a to jest najwyższa władza.“

Téjże przysługuje dalej prawo wojny. „Utrzymanie pokoju na nieby się zdało bez obrony państwa od zewnętrznych wrogów. To wymaga zespolenia wszystkich sił. Ku temu najwyższej władzy musi przysługiwać prawo zwołania w każdej potrzebie wojska, tudzież zawarcia, jeżeli się to okaże korzystnym, pokoju. Trzeba więc przypuścić, że obywatele prawo wojny i pokoju przenieśli na jedną osobę i to tę samą, której oddali miecz sprawiedliwości. Bo nikt nie stanie w szeregu, jeżeli mu nie będzie grozić kara za nieposłuszeństwo <sup>1)</sup>.“

„Taż władza musi posiadać prawo sądenia. Sąd nie może należeć do jednych, wykonanie wyroku do drugich, bo kto nie może wykonać wyroku, na próżno go wygłasza, i staje się sługą tego, który go wykonywa. Przeciwnie, system konstytucyjny zasadza się na oddzieleniu władzy wykonawczej od sądowniczej. Niby to apriorystyczny wniosek filozofa nie jest zresztą niczem innym, jak wynikiem ówczesnych zaburzeń angielskich. Za rządów Jakóba I, izba poselska przed izbą panów wytoczyła proces przeciwko faworytom królewskim. Za rządów Karola I-go dwaj główni doradcy królewscy hr. Strafford i arcybiskup Laud przez Izbę poselską zostali oskarżeni o zdradę stanu. Na mocy uchwalonej przez parlament „bill of atteindre“ Strafford został ścięty w maju r. 1641. W następnym roku wybuchła wojna domowa. Z tych wypadków Hobbes wysnuł potrzebę złączenia władzy sądowniczej i wykonawczej. Ustanowiona przez wymienionych dwóch królów osławiona „izba gwiazdzista“ i „wysoka komisya,“ dopuszczająca się najochydlniejszych gwałtów, mniej uprzedzonego myśliciela mogły doprowadzić do innych wniosków.

Dalej przypisuje on panującemu nieograniczoną władzę prawodawczą. „Bo ważniejsza zapobiedz sporom, aniżeli wybuchte uśmierzać. Spory zaś powstają z sprzecznych zdań o własności, prawie, dobrém i t. d., najwyższa władza więc musi ustanowić i ogłosić spólne prawidła i miary co dobre lub złe, moralne a niemoralne, aby każdy wiedział co czynić, czego zaniechać.“ W państwie konstytucyjnym władzą prawodawczą dzielą się parlamenta, które ustawy uchwalają, z monarchą, który je potwierdza. Tę powszechnie teraz praktykowaną teorią Hobbes zalicza do rzędu „zdań buntowniczych“ które rozsadzają państwa. (XII, § 5). I tu zatargi pomiędzy królami a parlamentem angielskim oddziaływały na rozumowanie naszego filozofa. Zdawało mu się, że bez parlamentu niebyłoby przyszło do rewolucyi.

<sup>1)</sup> Żeby obywatele celem obrony kraju z samego zapalu śpieszyli pod chorągiew, tego naturalnie pesymista, jak Hobbes, nie przypuszcza; natomiast logicznie z jego definicyi natury ludzkiej wynikałoby, że władza zmuszona będzie raczej hamować bojownicze zapędy obywateli, aniżeli ściągać ich do szeregów karami.

Rzeczywiście zaś może byłaby przybrała inne formy, atoli błędy i gwałty Jakóba I-go i Karola I-go byłyby prawdopodobnie wywołały inne ruchy rewolucyjne, jeszcze zgubniejsze dla narodu angielskiego, bądź to, że byłyby sprowadziły nieograniczoną władzę motłochu, albo też całkowity upadek wszelkiej samodzielności i swobody obywatelskiej.

Jako fanatyczny wielbiciel jednolitej i nieograniczonej władzy, Tomasz Hobbes żywi naturalnie wielki wstręt do wszelkich zgromadzeń parlamentarnych. „Może właśnie dla tego Rzeczpospolita wydaje się doskonalszą od monarchii, ponieważ tam, gdzie wszyscy biorą udział w traktowaniu spraw publicznych, wszyscy znajdują sposobność popisywać się na zebraniach publicznych swym rozumem, nauką i wymową. Wskutek przyrodzonej ludziom próżności, dla wielu, którzy się takimi zaletami odznaczają, albo tak sądzą przynajmniej, jest to rzecz bardzo przyjemna a ta droga do zaszczytów i sławy w monarchii (absolutnej) jest zamknięta. Ale czy to jest rzeczywiście nieszczęściem? Cóż się dzieje na zebraniach publicznych? Widzimy, że zdanie człowieka, którym gardzimy, odnosi zwycięstwo nad naszym; że nasz rozum nie znajduje uznania, o próżną sławę rozpoczynamy niepewną walkę przez którą, czy zwyciężymy, czy ulegniemy, ściągniemy na siebie nienawiść, z powodu różnicy zdań musimy nienawidzić lub stać się nienawidzonymi; bez potrzeby musimy się radą naszą dzielić z wszystkimi, a wreszcie zaniedbywać nasze sprawy domowe. Oto trudy i przykrości zebrań publicznych a choćby wabiły zdolniejszych i wywowniejszych, nie może być rzeczą szkodliwą usunąć się od nich.

„Nadto obrady wielkich zgromadzeń są gorsze, niż obrady mniejszego grona, ponieważ do odpowiedniego traktowania spraw państwowych potrzeba znajomości nie tylko wewnętrznych, lecz także zagranicznych stosunków. Co do zewnętrznych trzeba wiedzieć, jakimi środkami utrzymuje i zabezpiecza się państwo, które miejsca stosują się na warownie, z kąd wziąć i opatrzyć wojsko, jakie jest usposobienie obywateli względem władzy i wiele tych podobnych rzeczy. Co do spraw zagranicznych, trzeba nadto wiedzieć na czém się zasada potęga obcych mocarstw, jakich możemy się po nich spodziewać korzyści, lub obawiać krzywd, jak są usposobione względem siebie i jakie żywią zamiary? Tego wszystkiego rzadka jest znajomość w takich zgromadzeniach, złożonych po większej części z osób niedolnych i nieposiadających potrzebnych wiadomości <sup>1)</sup>, jakże więc w obradach mnóstwo osób o błędnych wyobrażeniach może być czém innym tylko przeszkodą.“

„Inna okoliczność, która wielkie zgromadzenia czyni szkodliwemi jest ta, że celem wyjaśnienia zdania naszego musimy wygłaszać długą mowę, którą z próżności i ze względu na słuchaczy usiłujemy

<sup>1)</sup> Tak samo ksiądz Bismarok od 25 lat w parlamentach berlińskich oskarża nieustannie posłów o zupełną nieświadomość kwestyi politycznych zwłaszcza zagranicznych

uczynić jak najświetniejszą i jak najprzyjemniejszą. Otóż sztuka krasomówcza zwykle po nad rzeczywistość powiększa lub zmniejsza dobre i złe, pożyteczne i zbyteczne, słuszne i niesłuszne i bezprawiu nadaje pozory prawa o ile to odpowiada widokom mówcy a zatem staje się namową. Mówca wprowadza wnioskuje logicznie, ale wychodzi z fałszywych założeń lub zakorzenionych przesądów i swych wywodów nie stosuje do natury rzeczy, lecz do namiętności słuchaczy. Uchwały przeto nie zapadają na mocy dokładnie rozważonych powodów, lecz stosownie do popędów namiętności. Nie jest to wina ludzi lecz wymowy, która zasadniczo niema na celu prawdy, lecz zwycięstwo i nie zmierza do pouczenia, lecz do namowy <sup>1)</sup>.

Trzecią wadą zgromadzeń parlamentarnych jest to, że dającą pochop do tworzenia się stronnictw, z których powstają wojny domowe. Bo skoro równie znakomici mówcy walczą ze sobą przeciwnymi argumentami, natenczas zwyciężony zapala się nienawiścią dla przeciwnika i tych wszystkich, którzy idąc za nim, wzgardzili jego własną radą i mądrością, stara się tedy, aby z rady przeciwnika powstała klęska dla państwa, gdyż wtedy jego sława tém jaśniej zabłyśnie. Jeżeli nadto większość głosów nie była zbyt znaczną, tak, iż

<sup>1)</sup> I w tym sądzie o niebezpieczeństwie krasomówstwa w parlamentarnych zebraniach, ks. Bismarck zupełnie się zgadza z filozofem angielskim którego dzieła prawdopodobnie nigdy nie czytał, ale z którym go łączy spólny pociąg ku rządowi absolutnym. W mowie z 30 kwietnia r. 1881 ks. Bismarck oświadczył: „Dobry mówca nie zawsze najtrafniej osądza sprawy polityczne; aby być świetnym mówcą, trzeba być trochę poetą, przedewszystkiem improwizatorem. Ale dobrym mówcom, tak samo jak świetnym improwizatorom nie wolno oddać wpływu na sprawy publiczne, ani stonowiska naczelnika frakcyi, lub ministra. Jak poeta tak też mówca nie trzyma się ściśle prawdy. Musi on być pełen zapału, uczucia i życia, aby rozognić drugich, ale nie będzie dobrze grał w wista, jeszcze mniej w szachy, a najmniej będzie wytrawnym mężem stanu. Czy przy dzisiejszym rozwoju oświaty znajdziemy lekarstwo na tę plagę krasomówstwa, nie wiem, ale dobrze już poznać chorobę. Zawsze przypominamy sobie przykład króla Fryderyka Wilhelma który przysłuchując się wywodom dwóch adwokatów po mowie każdego zawołał: „to zuch, ma racya,“ ale potem tak się oburzył na przewrotność wymowy, że obaj adwokaci za swój nadzwyczajny talent w przedstawieniu rzeczy w przeciwnym świetle ciężko odpokutowali. Musimy sobie zawsze przypominać przykład dawnego naszego króla, gdy kogoś słyszemy mówiącego z taką elokwencyą, że właściwie do innych zatrudnień nie może mieć czasu. Wtedy wyrabia się w nim pewność taka, że już nie potrzebuje suflera. Nie chodzi mu już o rzecz, lecz o upiększenie mowy... W Erfurcie (1848) podziwiałem raz improwizowaną, jak się zdawało mowę pewnego profesora heidelberskiego, aż mi jeden z jego przyjaciół frakcyjnych powiedział: „Szkoda żeś ję pan nie słyszał w zeszłym roku, wtedy wygłosił ją daleko żywiej, dobitniej!“

są widoki uzyskania na inném zebraniu większości, przywódcy zwołują zjazd swych stronników, umawiają się jak na przyszlém walnym zgromadzeniu postawić na swoim, i umiejętnie rozdzielają role. Jeżeli potem przeciwnicy z niedbałości nie zbiorą się dość licznie, plan się uda. Jeżeli zaś stronnictwo pokonane w głosowaniu rzeczywiście jest silniejsze lub tylko o mało co słabsze, sprobuje z bronią w rękę przeprzeć, czego nie zdołało osiągnąć mowami i wykrętami. Może mi ktoś odpowie, że to nie musi się koniecznie wydarzyć i nie często się zdarza; ale tak samo możnaby dowodzić, że mówcy nie są koniecznie ambitni, i że w ważnych sprawach publicznych znakomici mówcy nie potrzebuja być różnego zdania.

„Ztąd wynika, że jeżeli prawodawstwo przysługuje takim zgromadzeniom, prawa nie mogą być stałe, lecz stawają się zmiennymi, nie dla tego, żeby się zmieniły okoliczności lub przekonania, lecz ponieważ dziś to stronnictwo posiada większość a jutro drugie; ztąd prawa kołyszą się, jak fale na morzu.

„Obrady wielkich zgromadzeń i tę sprowadzają niedogodność, że zamiary, które w interesie państwa powinny pozostać tajnymi, zanim mogły być przeprowadzone dochodzą do wiadomości nieprzyjaciół, którzy równie dobrze jak my, wiedzą co możemy, co nie, czego chcemy, czego nie.“ (X. § 9—14).

Wszystkie te zarzuty przeciwko obradom parlamentowym są co najmniej jednostronne. Bezwzględnej doskonałości w urządzeniach ludzkich nie trzeba się domagać, lecz zadawalniać względną. Otóż chociaż Hobbes miał tu na myśli przedewszyskiem sejmy państw demokratycznych, to za jego czasów Szwajcarya, Holandya i Stany Ameryki Północnej o ile te już wtedy można było zaliczać do rzędu państw, choć nie udzielnych, to jednak obdarzonych szeroką autonomią, wykazywały dostatecznie, że parlamentarne traktowanie spraw publicznych nie jest tak zasadniczo szkodliwem, jak mu się wydaje, gdy przeciwnie nieograniczona władza np. w Hiszpanii nie zapobiegata zupełnemu upadkowi kraju. Jeżeli obrady parlamentarne przedstawiają niewątpliwie pewne niedogodności, nagradzają się one wielkim pożytkiem, jaki przynosi kontrola publiczna kroków władzy; kontroli takiej nie dostaje tajnym obradom w gabinecie, gdzie ambicya, chciwość, próżność, kabały, względy stronnice znajdują szersze pole popisu, niż w parlamencie. Dla ludzi tego usposobienia co nasz filozof-pessimista <sup>1)</sup>, udział w sprawach publicznych będzie ciężarem i przykrością, ale zawsze znajdowali się ludzie sprężyści, czynni, energiczni i zdolni, którzy zajęcie się sprawami publicznymi uważali jako zadanie najszlachetniejsze i w szkole parlamentarnój dojrzeli do godności znakomitych

<sup>1)</sup> Tak np. Schopenhauer powiada: „W świecie, w którym co najmniej  $\frac{5}{6}$  jest oszustami, szaleńcami lub głupoami, każdy człowiek należący do pozostającej 6-téj części, może jedynie znaleźć szczęście w zupełném odo-sobnieniu i zaciszu, im więcéj oddalony od drugich, tém łopić.“

mężów stanów. Właśnie Anglia na to dostarczyła najliczniejszych przykładów. Nieprawda też aby znakomity mówca nie mógł być niepospolitym mężem stanu i odwrotnie. To co Hobbes a za nim inni przeciwnicy parlamentaryzmu wystawiają jako regułę, można zastosować tylko do ludzi, których zdolność nie dorównywa ich ambicji i którzy mimo to w zgromadzeniach publicznych usiłują zdobyć sobie pierwsze miejsce. Jak gdyby tacy ludzie nie dobijali się także w państwie absolutném znaczenia i wpływu manowcami i krętaćwem!

Do praw najwyższej władzy Hobbes dalej zalicza mianowanie wszystkich urzędników. „Ponieważ władza nie może w pokoju i wojnie załatwiać spraw publicznych bez urzędników, sądujących sprawiedliwie, przenikających zamiary sąsiadów <sup>1)</sup>, prowadzących z ręcznie wojnę i pracujących zawsze na pożytek państwa, przeto rozum nakazuje, aby ci urzędnicy od tego byli mianowani i zależni, który posiada najwyższą władzę w pokoju i wojnie.“

Wygłosiwszy tak jedność władzy prawodawczej, sądowniczej i wykonawczej, autor zwraca się przeciwko tym, którzy przemawiają za podziałem najwyższej władzy i którzy już za jego czasów mogli się w tym względzie powołać na niejedno państwo, gdzie takowy rzeczywistość istniał. „Przypuśćmy, powiada, państwo mieszane, w którym prawo wojny i mianowanie urzędników przysługiwałoby królowi, sądownictwo arystokratom, uchwalanie podatków ludowi. Czyż wtedy dobrobyt obywateli byłby lepiej zabezpieczony? Nie. Jeżeli bowiem wszyscy są zgodni, chętnie poddają się władzy; jeżeli zaś się powąszą, nastaje wojna domowa i wtedy znowu każdemu przysługuje prawo bronienia się i użycia przemocy.“

Na mocy nieograniczonej władzy prawodawczej, panującemu przysługuje prawo badania i stanowienia o wszystkich naukach lub zdaniach. „Czyny ludzkie bowiem zależą od naszego zdania o tém co dobre, co złe, od nagrody lub kary, której się spodziewamy lub obawiamy. Przeto w interesie pokoju jest rzeczą nader ważną, aby wśród obywateli nie dopuścić nauk lub zdań, według których mogliby mniemać, że nie są obowiązani do posłuszeństwa dla przepisów państwowych, lub że im wolno stawiać takowemu opór, albo też mogliby sądzić, że nieposłuszeństwo dla ustaw nie będzie karane ciężej, niż posłuszeństwo <sup>2)</sup>. Bo skoro jeden nakazuje coś pod groźbą śmierci naturalnej, drugi zaś zakazuje to samo pod groźbą śmierci wiecznej, a obaj prawnie, natenczas wynika stąd, że nie tylko mogą być karani niewinnie obywatele, lecz nadto państwo musi się rozwiązać, albowiem nikt nie może służyć

<sup>1)</sup> Jakoż w średnich wiekach nie rozróżniano zasadniczo pomiędzy ambasadorami a szpiegami.

<sup>2)</sup> To jest wtedy, gdy kościół pod groźbą kar wiecznych zakazuje spełnić to, czego państwo domaga się pod groźbą kar doczesnych.

dwom panom, a ten, któremu czujemy się zobowiązani do posłuszeństwa pod karą potępienia, nie mniej jest panem naszym od tego, którego słuchamy z obawy przed śmiercią doczesną; a nawet pierwszy jest nim w wyższym stopniu. Dla tego najwyższej władzy musi przysługiwać prawo zakazywania nauk i zdań, niebezpiecznych dla pokoju publicznego.“

Pytanie, czy takie nauki, zwłaszcza gdy im sprzyja opinia publiczna, mogą być przytłumione i czy prześladowanie nie przyczynia się raczej do ich rozpowszechnienia, Hobbes nie dotyka, choć doświadczenie mogło mu okazać nieskuteczność wszelkiej walki policyjnej z opiniami; jakoż aby nie wspominać o dziejach męczenników w Rzymie cesarów,—wszelkie prześladowanie pisarzy i palenie ich pism za rządów Karola I, nie zdołało zapobiedz powstaniu. Głównie jednak chodzi autorowi o uzasadnienie wszechwładzy państwa nad kościołem, czyli autorowi o uzasadnienie wszechwładzy państwa nad kościołem, czyli znaną, wygłoszoną najprzód przez protestantów, choć nadużywaną później także przez niektórych monarchów katolickich teorii: „cujus regio, ejus religio.“

Do tego przedmiotu autor wraca kilkakrotnie. „Obywatele, — powiada w rozdziale XV-tym, § 17, — zawierając umowę państwową tyle praw oddali najwyższej władzy, ile mogli na nią przenieść. Prawo uporządkowania służby bożej mogli jej oddać, a zatem też oddali. Że mogli, wynika ztąd, iż przed utworzeniem państwa, każdy służył Bogu według własnego rozumu, otóż każdy swój własny rozum może poddać państwu. Nadto, gdyby każdy w państwie według własnego upodobania chciał służyć Bogu, jedni sprzeczałiby się z drugimi i ostatecznie nie byłoby żadnej czci Bożej. Istota nabożeństwa zasadza się na tém, że jest oznaką wewnętrznego uwielbienia, jednak tylko o tyle, o ile od drugich jest uznana jako taka. Jeżeli zaś jest uznana powszechnie — a to zapewnić może tylko państwo — natenczas staje się tém uroczystszą oznaką czci dla Boga. Nie sprzeciwia się więc to woli Boga, jeżeli mu się oddaje cześć w formie przepisanej przez państwo, a obywatele mogą najwyższej władzy oddać prawo stanowienia o nabożeństwie. A nawet są do tego zobowiązani, ponieważ w przeciwnym razie pojawiłyby się równocześnie w tém samym państwie najprzewrotniejsze zdania o naturze Boga i wszelkie śmieszne obrządki, które kiedykolwiek istniały u różnych narodów, i wtedy każdyby sądził, że drudzy obrażają Boga; o nikim nie możnaby wtedy mówić, że czci Boga w sposób słuszny, bo nabożeństwo dopiero wtedy staje się takim, gdy od drugich jest uważane jako takie <sup>1)</sup>. A zatem tłumaczenie praw świętych, tak samo jak państwowych, przysługuje najwyższej władzy. Bóg rozkazuje przez jej usta, a odwrotnie wszystko, co na-

<sup>1)</sup> Gdyby więc np. pomiędzy chińczykami grono katolików zebrało się na mszę świętą, nie byłoby to ważne nabożeństwo, nie byłoby oddaniem Bogu czci, ponieważ chińczycy nie uznawaliby jej jako takową!



kazuje najwyższa władza w boskich i świeckich sprawach, jest rozkazem Bożym.“

Zasada ta, wprowadzona w praktykę przez Henryka VIII-go, przez obrońców kościoła państwowego była podniesiona do godności kardynalnego prawa Anglii. Atoli rozumowanie Hobbesa wypadło tu bardzo niefortunnie. Próżność ludzka wymaga zewnętrznych oznak czci, którą też można wymusić, jakoż państwo może dowolnie ustanawiać takie oznaki, np. orderzy, mundury i t. d. Ale Bóg chrześcijański domaga się przedewszystkiem wiary i miłości, a tu kończy się władza świecka. Tymczasem angielski fanatyk wszechwładzy państwowój naukę swą posuwa do ostateczności, twierdząc, że choćby władza nakazywała czyny, któreby można uważać jako obrazę Boga — lub nakazywała dawać Bogu nazwę, o której nie wiemy, jak się do Niego stosuje, lub gdyby domagała się dla siebie czci boskiej — to poddani są zobowiązani spełnić takie rozkazy!

Tym sposobem państwo a kościół stawają się synonimem i mogą istnieć tylko kościoły państwowe. „Różne państwa chrześcijańskie nie mogą tworzyć spólnego kościoła! Wprawdzie na mocy umowy mogą się stać jednym kościołem, ale tylko wtedy, jeżeli się złączą w jedno państwo.“ (XVII, § 22). Zwolennicy teoryi wszechwładzy państwowej dziś posługują się w tej kwestyi często innemi argumentami, ale zasada jest ta sama. Znane pruskie „ustawy majowe“ pozostawają w najściślejszym związku z filozofią Tomasza Hobbesa.

Jak według tej filozofii przed powstaniem państwa nie było religii, tak też nie było własności.

Ponieważ stosunek państwa do własności (indywidualnej) jest jedną z najważniejszych i najczęściej dziś roztrząsanych kwestyi społecznych, zastanowimy się nad nim nieco bliżej.

Co to jest własność? W szerszym znaczeniu to wszystko, do czego posiadamy wyłączne prawo, a zatem nasze życie, ciało, nasze umysłowe i cielesne siły, w znaczeniu ściślejszym i pospolitem przedmiot, „który się znajduje w naszej mocy tak, że możemy go dowolnie używać i nim szafować, będąc uprawnieni do wykluczenia drugich od jego posiadania, używania i dysponowania nim“<sup>1)</sup>. Przyrodzone zaś prawo posiadania, nabywania i pomnażania własności (przez zajęcie rzeczy nie należącój do nikogo: „res nullius cedit primo occupanti,“ przez zwiększenie — „accessio,“ — przez podział, ugodę, spadkobierstwo) zasadza się na następujących względach:

I. Do życia i rozwoju swych sił fizycznych i umysłowych człowiek potrzebuje pewnego zasobu zewnętrznych dóbr, jako to pokarmu, pomieszkania, środków nauki i wykształcenia i t. d.; posiadając przyrodzone prawo życia i rozwoju, musi też mieć prawo zapewnienia sobie odpowiednich środków.

<sup>1)</sup> A. Stöckel „Philosophie,“ II, str. 500.

II. Człowiek jest uprawniony i zobowiązany zapewnić sobie i rodzinie utrzymanie nie tylko na chwilę obecną, lecz także na przyszłość, ztąd wynika prawo nabywania własności trwałej i pomnażania jej godziwymi środkami.

III. Społeczeństwo ludzkie nie może istnieć bez pojęcia własności. Gdyby bowiem każdy miał prawo zabrać drugiemu własność, panowałoby jedynie prawo silniejszego i wywiązałyby się wojna wszystkich z wszystkimi, co się sprzeciwia wskazanęj na życie towarzyskie naturze ludzkiej.

IV. Wszelki postęp ludzkości opiera się na prawie własności <sup>1)</sup>.

A zatem tak samo jak życie ludzkie, rodzina, religia, narodowość, także własność jest prawem przyrodzonym, nie zaś wyrobem lub urządzeniem państwowem. Przeczy temu teorya o pierwotnej przyrodzonej spółności dóbr bądź to, że ludzkość jako całość była właścicielem wszystkiego, bądź że każdej jednostce przysługiwało prawo do wszystkiego. Przejście zaś z tego donniemanego pierwostanu komunistycznego do systemu indywidualnej własności jedni tłumaczą tak, że niektórzy zdradziecko przywłaszczyli sobie, co należało do wszystkich. Najwymowniej wypowiedział to Jean Jaques Rousseau w słynnym ustępie swęj rozprawy: „O początkach nierówności pomiędzy ludźmi,“ który się zaczyna od słów: „Pierwszy, co ogrodził kawał ziemi i śmiał powiedzieć: to jest moje, a znalazł prostaków, którzy mu uwierzyli, był rzeczywistym założycielem społeczeństwa cywilnego. Ileż zbrodni, wojen, zabójstw, ile nędzy i zgrozy byłby rodzajowi ludzkiemu oszczędził ten, któryby był wyrwał z ziemi słupy, zapewnił rów i zawołał do swych bliźnich: Strzeżcie się słuchoać tego oszusta, jesteście zgubieni, jeżeli zapomnicie, że owoce należą do wszystkich a ziemia do nikogo <sup>2)</sup>.“ Szkoła komunistyczna rozwinę-

<sup>1)</sup> „Aby jednostki mogły się rozwinąć coraz wszechstronniej i podnieść się coraz wyżej, potrzeba intensywnego postępu oświaty. Ten zaś opiera się na nierówności warunków bytu w społeczeństwie, której służą głównie dwie dzwignie: własność i prawo spadku. Bez nich i wynikających ztąd różnic w społeczeństwie, niemożliwym jest intensywny postęp kultury.“ Brentano: „Die gewerbliche Arbeiterfrage.“ — „Comme la religion, la propriété s'est constituée d'elle même chez tous les peuples élevés à un certain degré de civilisation et elle s'y présente comme le second fondement de l'organisation sociale;“ I, str. 148. — „C'est que l'homme moderne tient plus à ses biens qu'à sa vie même; car ses biens sont sa vie d'abord, puis la vie de sa femme, de ses enfans, de sa posterité.“ Lamartine.

<sup>2)</sup> „Questa bestia crudele uscì dal pondo  
Dell inferno a quel tempo che pur fatti  
Alle campagne i termini, et pu il pondo  
Trovato e la misura e seritti e patti...“

Ariosto: „Orlando furioso,“ Canto XXVI, 40.  
„Co chien est à moi, disaient ces pauvres enfans, cost ma place au

ła te myśli dalej, doszła wreszcie do przekonania, że „la proprieté cest le vol,“ i do wniosku, iż celem przywrócenia prawowitego pierwotnego stanu ludzkości trzeba znieść wszelką własność indywidualną.

Drudzy przejście z domniemaną pierwotną wspólnością dóbr do indywidualnej własności tłumaczą umową. „Nie stało się to jedynie przez wolę osobników — powiada Hugo Grotius „de jure belli“ II. 2—bo wtedy drudzy nie byłiby wiedzieli, czego kto żąda dla siebie i od czego więc powinni się wstrzymać, a wielu też byłoby domagało się tej samej rzeczy. Stało się raczej na mocy ugody, bądź to wyraźnie, jak przy podziale, bądź milcząco, jak przy zajęciu (occupatio).“ Według tej teorii Grotiusa, za którym poszli Puffendorf, Thomasius i t. d. własność mogła powstać przed państwem i niezależnie od niego.

Według teorii Hobbesa, którą przyjęli poniekąd Kant, Fichte i prawie cała tak zwana „historyczna szkoła prawnicza“ w Niemczech, własność powstaje przez państwo, istnieje tylko dzięki państwu i o ile najwyższa władza na to przyzwala. „Ponieważ przed utworzeniem państwa wszystko należy do wszystkich a nikt nie może nazwać swą własnością, czegoby drugi nie mógł pożądać dla siebie, przeto własność powstaje dopiero z państwem i każdy posiada tylko tyle, ile na mocy praw i z dozwolenia najwyższej władzy może zatrzymać dla siebie. Obywatele więc posiadają jako własność to, do czego żaden z współobywateli nie ma prawa; bo ci są poddani tym samym prawom. Natomiast nikt nie posiada własności w tym znaczeniu, że najwyższy władca byłby od niej wykluczony, bo on stanowi prawa, jego wola mieści w sobie wolę wszystkich obywateli, on został wyniesiony na urząd najwyższego sędziego. Wprawdzie władza niekiedy pozwala obywatelom wytoczyć skargę przeciwko skarbowi państwowemu; ale wtedy nie chodzi o to, co najwyższa władza prawnie uczynić może, lecz o to co uczynić chciała.“ „Jeżeli—objaśnia w przypisku—obywatelowi wolno wytoczyć przeciwko najwyższej władzy skargę (o naruszenie własności), nie chodzi wcale o kwestyą, czy władza ma prawo do spornego przedmiotu (bo prawo nieograniczonej władzy do wszystkiego jest niewątpliwe) lecz o to, czy najwyższa władza chciała go zabrać.“ VI. § 15. Jak najdobitniej stosunek nieograniczonej władzy do własności cechuje autor w rozdziale VIII, traktującym o niewolnikach. „Pan nad niewolnikami posiada najwyższą władzę, gdyż o nich, jak o każdym innym żywym lub martwym przedmiocie może powiedzieć: to moje. Ztąd wynika, że wszystko co niewolnik przedtem posiadał, przechodzi na pana i że wszystko co nabywa, jest nabytkiem pana; bo kto ma władzę nad osobą, posiada ją także nad wszystkiém, czém ta osoba rozporządza. Dla tego niewolnik w obec pana nie może sobie rościć pretensyi do żadnej własności.

soleil; voilà le commencement et l'image de l'usurpation de toute la terre.“  
Pascal: „Pensées,“ I, 9 § 53.

Tylko z łaski pana otrzymuje pewną własność, której może bronić przeciwko swym współniewolnikom, tak samo jak obywatelom przeciwko woli najwyższej władzy nie przysługuje żadna własność, choć ją posiadają w obec współobywateli <sup>1)</sup>.”

Twierdzenie, że jednostkom przysługuje nieograniczone prawo własności nie tylko w obec społobywateli, lecz także w obec państwa, autor zalicza do tych buntowniczych teorii, które sprowadzają upadek państwa (XII. § 7).“ Kto ma pana, ten jak wykazałem powyżej, nie może mieć własności. Otóż państwo na mocy powstania swego (przez układ) jest panem wszystkich obywateli. Przed zawarciem umowy państwowej nikt nie miał własności, bo wszystko było wspólnem, a zatem wszelka własność pochodzi z państwa, ponieważ wszyscy przenieśli swe prawa na państwo; a zatem i ten, który wygłasza takie teorye (buntownicze) prawo swe przelał na państwo a własność przysługuje mu tylko o tyle i dopóty państwo na to zezwala, tak samo jak w rodzinie synowie o tyle tylko posiadają własność, o ile na to pozwala ojciec. Wprawdzie statysci po większej części dochodzą do innych wniosków. Według nich, ludzie z natury są równi i nikt nie może mi większém prawem odebrać własności, niż ja jemu. Jakkolwiek więc celem spólnéj obrony czasem potrzeba pieniegdzy, to kto ich żąda, powinien wykazać konieczność i może je wziąć tylko od tych, którzy je ofiarują dobrowolnie. Statysci ci zapominają, że to czego żądają, stało się już przy założeniu państwa; a rozumując tak, jak gdyby istniało jeszcze rozwiązane pospólstwo a nie państwo, rozwiązują właśnie państwo.“ Zbyteczna podnieść jak wielce teorya Hobbesa o własności sprzyja dzisiejszym mrzonkom komunistów. Skoro by w jakim państwie powstała władza komunistyczna, miałyby według systemu Hobbesa, wszelkie prawo do zabrania majątków, fabryk i t. d. i rozdzielenia ich dowolnie. I rozumie się téż, że w imię teoryi Hobbesa, ks. Bismarck nie potrzebowałby nawet wystarać się o 100 milionów marek, gdyby uważał za potrzebne wywłaszczenie wszystkich właścicieli téj lub owéj prowincyi!

Jak o religii i własności, tak o moralności stanowi państwo. „Kradzieży, zabójstwa, cudzołóstwa i wszelkiego uszkodzenia zakazuje wprawdzie prawo przyrodzone. Ale co w państwie będzie uważane jako kradzież, zabójstwo i t. d., o tém orzeka najwyższa władza. Nie każde bowiem odebranie rzeczy, którą posiada drugi, jest kradzieżą, lecz tylko cudzej. W Sparcie wolno było chłopcom przywłaszczać sobie pewne rzeczy, byle się przytém nie dali schwycić, władza w tym razie orzekała, że ukradziona rzecz nie była cudzą, lecz należącą do tego, który ją ukradł. Podobnie zabójstwo nie jest zbrodnią w wojnie, lub popełnione w własnej obronie. Małżeństwo w jedném państwie bywa uznane jako prawne, w drugiem jako nieprawne. I w tém

1) „Przeciwnie Seneca: „ad reges potestas omnium portinet, ad singulos proprietates.“ De Benef. VII. 4.

samém państwie jeden obywatel, zawiera ślub prawnie, drugi nie posiadający prawa zawierania umowy, nieprawnie. Przysięga lub sakrament nie mogą uprawniać umów nieprawnych. A zatem co jest kradzieżą, zabójstwem, cudzołóstwem i w ogóle zbrodnią lub bezprawiem, wynika z prawa cywilnego, czyli z rozporządzeń najwyższej władzy.“ (VI. § 16).

Skoro więc panującemu przysługuje prawo orzekać co złe a co dobre, co sprawiedliwe a co niesprawiedliwe, co przyzwoite a co nieprzyzwoite, „buntownicze są wywody, choć je słyszymy codziennie, jakoby tylko ten był królem, który rządzi sprawiedliwie i jakoby tylko godziwym rozkazom królów należało się posłuszeństwo. Przed utworzeniem państwa nie istniało złe i dobre, ponieważ czyn sam przez się nie jest ani złym, ani dobrym i staje się takim dopiero według tego, czy odpowiada nakazom państwowym lub im się sprzeciwia. Co jest złem, co dobrem, to zależy od uznania władcy. Co więc władca nakazuje, to tém samém staje się dobrem, a złem, czego zakazuje. Jeżeli zaś obywatele roszczą sobie prawo do sądzenia co złe a co dobre, przywłaszczają sobie tém samém władzę królewską, co niezgodne z dobrem państwa.“ (XII, § 1).

To téż poddani, wykonując rozkazy najwyższej władzy, nie pełnią nigdy grzechu. „Jeżeli z rozkazu wykonywam coś, co dla rozkazującego jest grzechem, nie popełniam sam grzechu, skoro rozkazujący jest moim prawowitym panem“ i t. d. Grzechem zresztą w teorii Hobbesa w szerszém znaczeniu jest „wszelkie wykroczenie przeciwko rozumowi,“ w ściślejszém „przeciwko rozumowi państwa,“ bo państwo orzeka co złe a co dobre. (XIV. § 16 i 17).

Ze ztąd wynika dalej bezkarność najwyższej władzy, rozumie się samo przez się. Hobbes jednak wyprowadza to nie z braku prawa, lecz z braku siły po stronie obywateli. „Ponieważ wszyscy swą wolę przeleli na najwyższą władzę a zatem przeciwko niej nie mogą użyć swych sił, więc też niema nikogo, któryby posiadał dostateczną siłę do ukarania władcy, przeto téż nikt nie ma prawa karać go“ (VI, § 12). Oywatele w obec władcy zobowiązani są do bezwzględного posłuszeństwa. Na dotyczące uwagi przeciwników, Hobbes w drugim wydaniu w przypisku odpowiada: 1) że nieograniczona władza może wprawdzie niekiedy stać się złem, ale jest złem nieuniknioném; 2) że wszędzie najwyższa władza była nieograniczona, choć nie de facto, to de jure, (VI. § 13) co jest prostem twierdzeniem, ale nie dowodem.

Daléj najwyższa władza nie jest zobowiązana przestrzegać praw państwowych. „Wola najwyższej władzy, jest wolą państwa i zawiera w sobie wolę wszystkich, przeto osoba, której oddano najwyższą władzę, nie jest krępowana ustawami państwowemi, bo w takim razie byłaby zobowiązana względem siebie saméj, nie względem obywateli.“ (VI. § 14). Zdanie przeciwne należy do teorii buntowniczych, które podkopują państwo, bo sąd o tém, co się zgadza z ustawami

państwa a co nie, przyznaje jednostkom. „Ustałoby posłuszeństwo, bez posłuszeństwa skoroby się rozkaz władzy wydawał nieprawnym, bez posłuszeństwa zaś niema państwa. Pomimo tego błędne to zdanie znalazło licznych zwolenników, pomiędzy niemi Arystotelesa, który sądzi, że ze względu na ułomność ludzką w państwie najwyższą moc powinny mieć ustawy. Ale mężowie ci nie zrozumieli istoty państwa, skoro mniemają, że władzę wykonawczą, wykład ustaw i władzę prawodawczą można powierzyć poddanym. Państwo nie może być zobowiązane swemi ustawami, ponieważ nikt nie może się zobowiązać względem siebie samego“ (XII. § 4).

Jakaż tedy zachodzi różnica pomiędzy monarchią a tyranią? Oczywiście żadna, co też Hobbes bez zastrzeżenia twierdzi <sup>1)</sup>. „Tylko z powodu swych namiętności ludzie nie chcą tego przyznać. Wprawdzie wolą, aby jeden panował zamiast wielu, ale sądzą, że państwo wtedy tylko będzie dobrze rządzone, gdy się zastosuje do ich zdania. Ale czy tyran różni się od króla, tego nie można rozstrzygnąć namiętnością, lecz rozumem. Otóż nie różnią się tém, aby władza owego była wyższą od władzy tegoż, bo nad najwyższą władzę nie ma wyższej; i nie różnią się tém, iżby jeden posiadał nieograniczoną a drugi ograniczoną władzę, bo król z władzą ograniczoną nie jest królem, lecz poddanym tego, który mu zakreśla granice (z czegoby wynikało, że dzisiejsi królowie wszystkich państw konstytucyjnych nie zasługują na tytuł królewski). Także w sposobie nabycia najwyższej władzy nie zachodzi żadna różnica. Gdyby bowiem w państwie arystokratycznym lub demokratycznym abywateł przemocą dobił się najwyższej władzy, to uzyskawszy przyzwolenie ogółu, staje się władcą prawowitym, jeżeli zaś nie uzyska owego przyzwolenia, pozostaje wrogiem, ale nie jest tyranem. Cała różnica więc zasadza się na wykonaniu władzy. Królem ma być ten, co rządzi sprawiedliwie, tyranem ten który rządzi inaczej. Czyli innymi słowy, obywatele prawowitego monarchę, jeżeli rządzi według ich upodobania, pozwalają sobie nazywać królem, w innym razie tyranem. Tyrania i królestwo nie są przeto dwie różne formy państwowe, lecz ten sam władca otrzymuje jako tytuł zaszczytny nazwę króla, jako obelżywy tyrana (według przesądów obywateli jak wiemy, wcale nie uprawnionych do orzekania, czy władca rządzi sprawiedliwie lub nie, dobrze czy źle!). Co zaś w pismach czytamy przeciwko tyranom, pochodzi od pisarzy greków i rzymian, w których władza była przy ludzie lub arystokratach, przeto nie tylko tyrani, lecz także królowie byli zniechwaleni.“ (VII, § 3).

Zachodzi wreszcie pytanie, czy ten potwór wszechmocnego państwa może być prawnie zniesiony, względnie rozwiązany? „Ponieważ

<sup>1)</sup> Natomiast Pliniusz w Panogiryku na Trajana rozdz. 48 powiada: „Sic, ut sunt diversa natura dominatio et principatus, ita non aliis esse principem gratiorom, quam qui maximo dominum graventur.“

najwyższa władza powstała wskutek umowy obywateli, mógłby kto przypuszczać, że też za zgodą wszystkich może być zniesiona. Ale choćby tak było jakież ztąd wyniknie niebezpieczeństwo dla panującego? Ponieważ owa pierwotna umowa obejmuje wszystkich, opór jednego wystarczyłby, aby zwichnąć umowę co do rozwiązania państwa. Otóż nie można przypuścić, aby wszyscy obywatele równocześnie i bez wyjątku oświadczyli się za zniesieniem najwyższej władzy<sup>1)</sup>. Dla tego nie jest rzeczą prawdopodobną, aby panujący legalnie mógł być wyzuty z swój potęgi i swego urzędu. Wprawdzie przeważa zdanie, że skoro obywatele zbiorą się, bądź to zwołani przez władzę, bądź w celach powstańczych, zgoda większości równa się zgodzie wszystkich. Jest to zdanie błędne; bo z natury rzeczy zgoda większości nie jest zgodą wszystkich, ani w powstaniu; jest nią wtedy tylko, jeżeli najwyższa władza zwołuje obywateli i z powodu ich zbyt wielkiej liczby ustanawia, że wybrani mają przemawiać w imieniu wyborców, większość w imieniu ogółu. Tymczasem nie można przypuścić, aby panujący zwoływał obywateli do rozstrząsania swego własnego prawa do władzy, chyba że wskutek uprzykrzenia sobie tronu, pragnie ustąpić.

„Często z nieświadomości przypisujemy legalność uchwałom, zapadłym nietylko wskutek zgody większości, lecz nawet tylko wskutek woli mniejszości solidarnój i zdolnej narzucić swe zdanie zgromadzeniu publicznemu. Ale chociaż władza państwowa powstała na mocy umowy jednostek pomiędzy sobą, prawo panowania nie na nią jedynie się zasadza, lecz nadto na zobowiązaniu się obywateli w obec właściciela najwyższej władzy, (tu więc autor oprócz owój pierwotnej umowy, na której zasadza się państwo, wsuwa jeszcze do swego systemu specjalne zobowiązanie się, czyli darowiznę wobec właściciela najwyższej władzy). Przy umowie każdy obywatel oświadczał: „Przelewam moje prawo na tego, abyś i ty twoje prawo na niego przelał;“ i dla tego prawo każdego celem spólnego pożytku zupełnie oddaném zostało jednej osobie lub jednemu zgromadzeniu (osobie zbiorowej). Ponieważ więc istnieje najprzód umowa zawarta przez jednostki pomiędzy sobą, powtórę zaś darowizna prawa, przelanego na panującego, przeto władza najwyższa jest zabezpieczona dwojakiem zobowiązaniem się. Obywatele zatem, choćby ich było jak najwięcej, nie mogą prawnie strącić władcy z tronu<sup>2)</sup>.“

<sup>1)</sup> Tu nagło autor powołuje się na *liberum voto!*

<sup>2)</sup> Przeciwnie J. J. Rousseau z tój samój zasady umowy dochodzi do wniosku, że władza wykonawcza nie stała się panem narodu, lecz urzędnikiem, i dodaje: „Quand dono il arrive que le peuple institue un gouvernement héréditaire, soit monarchique dans une famille, soit aristocratique dans un ordre de citoyens, ce n'est point un engagement qu'il prend; c'est une forme provisionnelle qu'il donne à l'administration, jusqu'à ce qu'il lui plaise d'en ordonner autrement.“ „Du contrat social,“ III, 18.

„Taki więc jest początek państwa, owego Leviathana <sup>1)</sup> albo dokładnej śmiertelnego Boga, któremu pod nieśmiertelnym Bogiem zawdzięczamy pokój <sup>2)</sup> i opiekę.“ Czuł Hobbes potworność swego ideału państwowego, dla tego go porównał trafnie z Leviathanem, owym mytycznym potworem, o którym mówi księga Hioba: „Ciało jego jakby pokryte stalowymi łuszczkami, z paszczy buchają płomienie i pochodnie, z nosa dym jak z rozpalonego kotła, na swym karku niesie moc, przed nim kroczy nędza; serce jego twarde jak kamień, na ziemi niema potęgi równej mu, bo jest stworzony, aby się nie bał nikogo, a królował nad dziećmi pychy,“ a dodaje objawienie św. Jana: „I kłaniali się bestyi, mówiąc: Któż podobny bestyi? A kto z nią walczyć może. I dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa... I dano jej walkę czynić ze świętymi i zwyciężać je. I dano jej władzę nad wszelkiem pokoleniem i ludem i językiem i narodem!..“ Co tu w słowach apostoła odnosi się niezawodnie do wszechwładnej Romy, w wyższym nierównie stopniu można zastosować do Leviathana Hobbesa. Bo nawet cezaryzm rzymski uznawał pewne starsze od państwowych prawa własności, rodziny i t. d. gdy w teorii angielskiego pesymisty wszechwładne państwo staje się jedynym i wyłącznym źródłem wszelkich praw naturalnych i obywatelskich, tudzież wszelkich pojęć moralnych.

(d. c. n.).

<sup>1)</sup> „Leviathan“ rozdz. 17.

<sup>2)</sup> „On vit tranquille aussi dans les cachots, on est ce assez pour s'y trouver bien?“ J. J. Rousseau.



# Z PSYCHOLOGII EMPIRYCZNEJ.

(Pamięć, Wola i Osobowość wedle T. Ribot).

PRZEZ

*S. Smolikowskiego.*

T. Ribot. — Choroby Woli. Przetłóczył z francuzkiego J. K. Potocki. Warszawa. Nakładem księgarni Gruszeckiego. 1885, str. XXXIV, 165.

Choroby Osobowości. Przetłóczył z francuzkiego J. K. Potocki. Warszawa. Tamże, 1885, str. XXII, 186.

Choroby Pamięci. Przetłóczył z 3-go wydania oryginału Julian Steinhauś. Warszawa. Nakładem księgarni Gruszeckiego. 1886, str. II, 185.

T. Ribot, redaktor wychodzącego od r. 1876 w Paryżu „Przełglądu filozoficznego“ i autor bardzo pożytecznych pod względem informacyjnym dzieł o psychologii współczesnej w Anglii <sup>1)</sup> i w Niemczech <sup>2)</sup>, oraz pięknej pracy o „Dziedziczności psychicznej“ <sup>3)</sup> i rozbiotu filozofii Schopenhauera <sup>4)</sup>, wydrukował w organie swoim filozoficznym w latach 1880—84 szereg ciekawych studyów, odnoszących się do istoty „pamięci“, „woli“ i „osobowości“ ludzkiej. Studya te nie są wynikami własnych badań autora, ani poglądami zupełnie oryginalnymi.

<sup>1)</sup> 1-sze wyd. w 1871; 2-gie w 1875; 3-oie w 81. Posiadamy przekład polski J. Ochorowicza z drugiego wydania p. t. „Współczesna psychologia w Anglii.“ Warszawa, 1877.

<sup>2)</sup> La psychologie allemande contemporaine. École expérimentale. Paris, 1879. Drugie wydanie, 1885.

<sup>3)</sup> Posiadamy przekład polski z 2-go poprawionego wydania St. Bartoszewicza p. t. „Dziedziczność psychologiczna.“ Warszawa, 1885 r.

<sup>4)</sup> La Philosophie de Schopenhauer. Paris, 1874, 2 wyd., 1885.

ginalnemi, ale umiejętnem zestawieniem i usystematyzowaniem naukowym materiału, powstałego ze spostrzeżeń badaczy specjalistów, to jest medyków w ogóle i psychiatrów w szczególności. Materiał ten, odnoszący się do wielu nader ważnych a spornych punktów psychiatrii, na jaw wydobyty, wzbogaca zarazem i psychologią, wcielając do jęj zakresu to, co dotąd stanowiło dodatkowe spostrzeżenia medyków i fizyologów przy specjalnych ich poszukiwaniach klinicznych. Zebranie wielu ciekawych i doniosłych faktów z dziedziny zjawisk psychicznych w pewną systematyczną całość, nadaje tym faktom inne niż dotąd, często zupełnie nowe, a w każdym razie czysto naukowe oświetlenie i ułatwia tym sposobem oryentowanie się wśród materiału, rozrzuconego dotąd po pismach medycznych i przyrodniczych, wskazując przytęm na obecny stan danych kwestyi w literaturze naukowej. Studya te sę tęz wyborną ilustracją kierunku i metody badań nowszej szkoły psychologów empiryków, usiłujących nadać badaniom swoim podstawę ściśle naukową, opartą na analizie faktów, schodzącęj do najelementarniejszych ich składników i szukającęj wyjaśnienia objawów myśli, woli i uczucia w najprostszych zjawiskach biologicznych. Jasność wykładu, właściwa autorowi we wszystkich pracach jego, odznacza szczególnięj wspomniane trzy studya, zwłaszcza w osobnem ich wydaniu skróconem i w części przerobionem <sup>1)</sup>, czyniąc je tym sposobem cennemi nabytkami w specjalnych kwestiach psychologii nowoczesnej.

Chociaż studya nad „pamięcią“, „wolę“ i „osobowością“ ludzką nie sę oryginalnemi, t. j. nie sę wynikiem nowych badań i spostrzeżeń samego autora, mają jednakże cechę samodzielną w dążności swojej, ujawniającęj się w samem nawet ugrupowaniu materiału. Ugrupowanie to bowiem uskutecznił autor w sposób, jaki wydał mu się najodpowiedniejszym dla uwydatnienia myśli jego przewodnięj, a mianowicie: rozpatrywanie zjawisk psychologicznych na tle teorii ewolucyi, oraz zastosowanie do ich badań metody empirycznej, polegającęj w danym przedmiocie na analizie zjawisk ogólnych, sprowadzającęj je do najbardziej elementarnych i wyjaśniającęj złożone ich przejawy najprostszemi ich postaciami. Metoda ta, zastosowana już z powodzeniem przez autora w dziele jego o „Dziedziczności psychicznęj“, i we wspomnianych trzech studiach sprowadza zjawiska psychiczne do biologicznych, psychologię do biologii, a przynajmniej daje jęj za podstawę ogólne funkcyje życiowe, czyniąc najbardziej syntetyczne objawy duchowe uogólnieniem całego łańcucha objawów podrzędnych i schodząc tym sposobem do najpierwotniejszych ich zjawisk. Jest to nowe stanowisko nauki, która rugując ze swego zakresu goszczące w nięj tak dłuęo i tak wy-

<sup>1)</sup> W zbiorze „Bibliothęque de philosophie contemporaine,“ 1881—1885.

łącznie istności oderwane (entités), wyjaśnia odpowiednie im zjawiska z konkretnych danych biologicznych.

Autor rzeczonych monografii nazwał je: „Chorobami“ pamięci, woli i osobowości. Zdawałoby się więc, że traktuje wyłącznie o patologicznych zjawiskach duchowych, ale właściwie objawy chorobne tych aktów psychicznych, służą mu tylko za wskazówkę do zrozumienia natury ich normalnej, czyli ich istoty. I rzeczywiście, zboczenia od danej normy, chorobne rozwijanie się pewnych funkcyj, są najlepszym probierzem pozytywnym w metodzie analitycznej, gdyż owe wybujałości nienormalne, silnie uwydatniając pewne szczególne strony zjawisk, a przez to i ich składniki elementarne, pozwalają zarazem wyprowadzić wnioski o naturze całości złożonej, albo lepiej całości usystematyzowanej organicznie, jakimi wedle Ribota są: pamięć, wola i poczucie osobowości czyli ludzkie: „ja.“ To też takie analizowanie objawów psychicznych, czyli rozkładanie ich na części składowe, fizjologiczne, zastosował on nader umiejętnie przy rozbiórce procesu stopniowego słabnięcia i utracania „pamięci“, „woli“ oraz poczucia „osobowości“, a nadto co do „pamięci“, potwierdzając swe wnioski na przykładach powrotu danych indywiduów od władz utraconych, odbywającym się w odwrotnym lecz stale odpowiednim porządku. Metodę tę badań nazwał Ribot „dysolucyjną“, odpowiada ona w zupełności „ewolucyjnej“, nieraz już w nowszej psychologii stosowanej, głównie przez Herberta Spencera, ale idzie w kierunku wprost przeciwnym.

I. Rozprzeganie się pewnych działań psychicznych pod wpływem chorób lub pewnych specjalnych czynników, daje możność wnioskować o ich powstawaniu i rozwoju w stanie normalnym. I tak np. w „amnezyach postępowych“, t. j. w takich gatunkach „ogólnej choroby pamięciowej“, które „przez powolny i nieustanny proces rozkładu prowadzą do zupełnego zniknięcia pamięci“, bieg choroby jest bardzo pouczający, zdaniem Ribota, „gdyż pokazując nam, w jaki sposób pamięć się rozkłada, objaśnia on nam, jaką jest jej organizacja“<sup>1)</sup>. Badanie różnych przejawów tej choroby przekonywa autora, że istnieje pewne stałe prawo „postępowego rozkładu pamięci“, które formułuje on w ten sposób:

Rozkład postępowy pamięci „zchodzi stopniowo od form niestabilnych do stałych.“ „Rozpoczyna się od najświeższych wspomnień, niedobrze ustalonych w elementach nerwowych a kończy się na pamięci czuciowej, instyktownej, ustalonej w organizmie, stanowiącej jego część, albo raczej jego samego i przedstawiającej najwyższy stopień organizacji“<sup>2)</sup>.

I rzeczywiście porządek ten potwierdzają wszystkie przytoczono-

1) Choroby pamięci, str. 102.

2) str. 107.

ne przez autora spostrzeżenia i badania kliniczne psychiatrów, ale ważniejszymi są przykłady dowodzące odpowiedniego porządku przy powrocie chorych do zdrowia. Takie mianowicie przykłady, w których przy rozwoju choroby utrata pamięci szła od wspomnień najbliższych do najdalszych, a powrót pamięci odbywał się stale w odwrotnym porządku t. j. od najdalszych do najbliższych. Przykładów takich trudniej było autorowi nagromadzić, że dotąd mało zwracano na to uwagi, powtóre, że choroby najodpowiedniejsze do tego rodzaju badań, rzadko kiedy kończą się powrotem do zdrowia. Z kilku przytoczonych wypadków, jeden jednakże zapożyczony z obserwacji Koemfena, pomieszczonej w „Pamiętnikach“ paryżkiej Akademii medyczeń, jeszcze w r. 1835 jest decydującym <sup>1)</sup>.

Ribot uznaje niezbędność stawiania hipotez naukowych dla wyjaśnienia badanych zjawisk, ale przytém sam zaleca zachowanie ostrożności w tym względzie, co w takich przedmiotach jak obserwacje psychologiczne nieraz jest rzeczą bardzo trudną. Prawo to jednakże psychologiczne, które tylko co przedstawiliśmy, uważa on za prawdziwe, dopóki nie napotka dowodów przeciwnych. Pomijając to, że prawo to lepij od innych teorii tłómaczy rzeczony zjawiska, prawdziwość jego potwierdza, zdaniem Ribota, i ta okoliczność, że jest ono zupełnie zgodnem z ogólnem prawem biologicznem, którego téż ma być tylko szczególnym objawem. „Powszechnie znanym jest fakt biologiczny, powiada Ribot, że to co powstało najpóźniej, najwcześniej podlega rozkładowi,“ dalej, że „w zjawiskach biologicznych rozkład odbywa się zawsze w porządku wprost przeciwnym temu, w jakim odbywa się rozwój. Hughlings Jackson pierwszy szczegółowo wykazał, że czynności wyższe, złożone, specjalne, dowolne układu nerwowego znikają najwcześniej, zaś czynności niższe, proste, ogólne, automatyczne — najpóźniej. Obydwa te fakty skonstatowaliśmy w rozwoju pamięci: co nowe, to ginie wcześniej od starego, co złożone — wcześniej od prostego“ <sup>2)</sup>. Łączność ta praw psychologicznych z prawami biologicznymi jest téż kanonem nauki współczesnej, a Ribot nie nuży się w powtarzaniu, że „pamięć jest faktem biologicznym,“ jest to mianowicie „pewna całość skojarzeń dynamicznych, bardzo stałych i zawsze gotowych, aby się zbudzić“ <sup>3)</sup>.

Dalsze wyniki studyum Ribota o pamięci są następujące: „Pamięć jest ogólną czynnością całego układu nerwowego; podstawą jej jest własność elementów, mocą której przechowują one otrzymane modyfikacje i dążą do tworzenia skojarzeń.“ Te skojarzenia wynikające z doświadczenia nazwał autor dynamicznymi, dla odróżnienia od skojarzeń naturalnych czyli anatomicznych. Przechowywanie

<sup>1)</sup> str. 109—111.

<sup>2)</sup> str. 112.

<sup>3)</sup> str. 25.

tych skojarzeń dynamicznych warunkuje się odżywianiem, które odnawiając je bezustannie utrwała; zdolność zaś odtwarzania zależy głównie od obiegu krwi. „Odżywianie i przechowywanie, te najgłówniejsze podstawy pamięci, są więc związane z zasadniczymi czynnościami życiowymi. Reszta—świadomość i dokładne umiejscowienie w czasie—jest tylko udoskonaleniem. Pamięć psychiczna jest tylko najwyższą i najbardziej złożoną formą pamięci“<sup>1)</sup>. Gdyż w ogóle „pamięć świadoma jest tylko szczególnym wypadkiem pamięci biologicznej“<sup>2)</sup>.

II. Podobnie jak w studium o pamięci Ribot usiłował dowieść, że pamięć nie jest oderwaną jakąś siłą, ani odrębną, jednolitą własnością organizmu, tylko syntetycznym powiązaniem różnych funkcji organicznych; tak znowu w studium o woli uwydatnia on, że i ta funkcja organizmu nie jest odrębną jakąś własnością duchową, ale tylko „koordynacją“ to jest pewną „sumą stosunków,“ albo inaczej „sumą skutków,“ „wypadkową, która się zmienia w zależności od swoich pierwiastków“<sup>3)</sup>.

Dla potwierdzenia tego założenia, autor rozwija cały zasób dowodów zaczerpniętych z patologii woli. Metoda nazwana przezeń „disolucyjną,“ a której użył przy analizie pamięci, znalazła też szczególniejsze zastosowanie przy badaniu istoty woli. A zadanie było tu trudniejszym, gdyż samo rozumienie „woli“ mniej jest ustalonym w nauce aniżeli „pamięci,“ a przytém napotyka na trudniejsze zagadnienia i częściej każe uciekać się do hipotez. To też więcej spotykamy tu ciemnych stron teorii, więcej domysłów, niż w pierwszym studium.

Badanie objawów woli, a głównie stanów jęj chorobnych, odkrywa autorowi dwa główne pierwiastki jęj ustroju. Są niemi „skłonności do czynu lub powściągu“ i „charakter.“ Pierwsze są wynikiem przyczyn „zewnątrznych,“ to jest rozwinięte pod wpływem różnych okoliczności, rad, wychowania. Drugi czynnik, pierwiastek główny woli t. j. charakter jest wynikiem przyczyn „wewnętrznych,“ t. j. „wypadkową owęj nieskończonej liczby stanów i niezmiernie małych skłonności wszystkich pierwiastków anatomicznych, składających dany organizm.“ Charakter ów będący „psychologicznym wyrazem pewnego ciała ustrojowego,“ jest zarazem ostateczną podporą, na której spoczywa możność chcenia i na której opiera się ta różnorodność objawów woli, która ją czyni dla nas: energiczną, miękką, niestałą, pospolitą, niezwykłą<sup>4)</sup>.

Rozpatrując dalej wolę, już nie w jęj pierwiastkach składowych, lecz w fazach jakie przebywa zanim się ukonstytuje, przekonywa się

1) str. 183.

2) str. 58.

3) Choroby woli, str. 138—9.

4) str. 139.

autor, że „chcenie jest ostatnim wyrazem stopniowego rozwoju, którego pierwszym i prostym szczeblem jest odruch.“ Naturalnie, że pomiędzy temi krańcowemi przejawami zdolności wykonywania czynów czyli—reagowania, jest cały łańcuch pośrednich jój stopni, a chcenie będące świadomem reagowaniem jest wynikiem przyczyn spoczywających w danym osobniku, w jego otoczeniu i w całym jego gatunku a nawet w gatunkach.

Tak jak patologiczne objawy pamięci dały możność autorowi wykrycia prawa rozkładu pamięci, tak znowu patologia woli wykrywa, zdaniem jego, prawo rządzące rozprzężeniem się woli (dissolucją woli), sformułowane przezeń ostatecznie w następujący sposób: „rozprzężenie (dissolucya) dokonywa się w kierunku wstecznym od bardziej dowolnego i złożonego do mniej dowolnego i prostszego, t. j. do automatyzmu <sup>1)</sup>.“

Jest to porządek wprost przeciwny rozwojowi. Dissolucya wskazuje tu przebieżoną pierwiastkowo ewolucją procesu woli w osobniku: to co uformowało się najpóźniej znika najwcześniejsz, to co najwięcej złożone, ustępuje wprawdzie najpierw niż mniej złożone, objawy najprostsze znikają najpóźniej gdyż są najtrwalsze, najbardziej automatyczne, graniczą niemal z odruchem; „ostatni wyraz ewolucyi“ jest więc „pierwszemu słowem dissolucyi <sup>2)</sup>.“

Powiedzieliśmy, że badanie woli trudniejszym jest od badania pamięci, i rzeczywiście objaw ten psychiczny jest jeszcze bardziej złożonym, i bardziej zagadkowym niż proces pamięci, a więc i dla hipotez większe jeszcze następcza pole. Można się zgodzić z Ribotem co do zaznaczonego przezeń porządku w „koordynacyi stanów woli,“ ale istota tego procesu pozostanie tajemnicą, z mniejszemi widokami odkrycia jój niż w procesie pamięci, od której zresztą nie odrywa się ona w zupełności, czego między innymi dowodzą niektóre wypadki afazy czyli niemoty. Wprawdzie i Ribot przyznaje, iż sposób w jaki wola porusza naszemi członkami jest tajemnicą, ale, dodaje, tylko dla tych którzy w niej widzą uparcie przyczynę a nie skutek, jakim ona jest w istocie. Usuwa więc tę tajemnicę, tłumacząc że jój być nie może w obec przekonania, że „wola“ nie jest przyczyną tylko skutkiem, że nasze „chcę“ zaznacza tylko pewne położenie, lecz go nie tworzy <sup>3)</sup>. „Tajemnicy owęj czynów dokonanych, powiada on, trzeba szukać w naturalnej skłonności uczuć i wyobrażeń do ujawnienia się w ruchu.“

„Mamy tutaj, mówi dalej, pewien bardzo złożony wypadek prawa odruchów, wypadek, gdzie pomiędzy tak zwanym okresem pobudzenia i okresem ruchu ukazują się pierwszorzędny objaw psychiczny „chcenie,“ zaznacza ono, że pierwszy okres się kończy, a zaczyna drugi <sup>4)</sup>.“

<sup>1)</sup> Choroby woli str. 141.

<sup>2)</sup> Tamże str. 147.

<sup>3)</sup> str. 163—4.

<sup>4)</sup> str. 164.

To chcenie jednak, uważane samo w sobie pozbawione jest wszelkiej skuteczności w zakresie czynów, gdyż wola wedle orzeczenia samego Ribota jest tylko „szczęśliwym przypadkiem<sup>1)</sup>.“ W tej wypadkowej zawitej koordynacji, jaką jest wola, głównym czynnikiem jest charakter osobnika. Charakter zaś, który nadaje jój całą siłę i „konkretną jedność zgodności (consensus),“ będący „psychicznym wyrazem ustroju osobnika,“ jest właśnie najtrudniejszym do zbadania zagadnieniem w psychologii, gdyż jest syntezą wszystkich czynników działalności organizmu a więc najbardziej złożonym objawem, dla ścisłych badań prawie niedostępnym. Z jednej więc strony owa „naturalna,“ ale dodajmy, dotąd niewyjaśniona, „skłonność uczuć, wyobrażeń i pojęć do ujawnienia się w ruchu,“ a z drugiej—charakter osobnika, nie przestają być dla nauki tajemnicą. Tajemnicą o tyle naturalnie, o ile nieznamy samego procesu ich tworzenia się. Bo to, że zdajemy sobie sprawę z kolejności tych zjawisk i rozumiemy ich wzajemną zależność, nie wyprowadza nas jeszcze poza sferę prostego konstatowania faktów. Rzecz się ma zupełnie tak samo i z uwewnętrznieniem się tych czynności psychicznych, które nazywamy w ogóle wola, bez względu na to czy ją uważać będziemy za przyczynę czy skutek.

A w obec tego wszystkiego głoszone przez autora usunięcie jakoby téj tajemnicy psychologicznej przez nieszukanie przyczyny tam gdzie jest tylko skutek, aktu prymordyalnego tam gdzie jest tylko siła wypadkowa, nie jest właściwie zupełnym usunięciem jój z zakresu psychologii, ale tylko przesunięciem jój na inny, dalszy plan. Rzecz się tu ma podobnie jak w ogóle z usuwaniem zagadnień filozoficznych z zakresu nauki, dokąd one powracają stale, choć inną drogą i pod inną postacią.

Zresztą bezsilność nauki dotychczasowej w obec tych najwyższych zagadnień umysłowych wcale się nie zmniejsza przez to, iż autor, jako wynik pracy swojej podaje, że „wola człowieka rozsądnego jest koordynacją niezmiernie złożoną i nietrwałą, jest kruchą w skutek samej już swojej wyższości; i kończy słowami Maudsley'a określającymi wolę ludzką jako: „siłę najwyższego porządku, jaką natura zdołała wytworzyć dotąd,—ostatni wykwit, streszczający w sobie wszystkie jój dzieła cudowne<sup>2)</sup>.“

III. Badanie pamięci i woli z istoty swojej prowadzi do innej, równie a nawet więcej jeszcze zagadkowej, a przytém nader ważnej kwestyi wyjaśnienia „osobowości,“ to jest poczucia jaźni naszój czyli odrębności, jednolitości i tożsamości naszogo „ja.“ Kwestya ta jest tak ważną, że nie można się dziwić, jeżeli i dotąd jeszcze psychologia idealistyczna na punkt ten głównie wyteżę swoją uwagę i na nim

1) str. 81.

2) str. 165.

opiera się uparczywie przy udowodnianiu istnienia odrębnej, świadomej i nieśmiertelnej duszy ludzkiej.

Nie takie są dążności przedstawicieli psychologii doświadczalnej, z umysłu krepujących połot swych pragnień w celu wytrwania na stanowisku czystej nauki to jest konstataowania faktów i tylko faktów. Łatwo też zrozumieć z poprzedniego jakie stanowisko zajmie Ribot w tej kwestyi i jaką metodą będzie badał ten ważny objaw psychiczny naszego organizmu. Zresztą i sam tytuł ostatniej z trzech rozpatrywanych przez nas monografii, głoszący „Choroby osobowości“ pokazuje na jaką stronę tych objawów położy on nacisk szczególny, zastosowując też samą co i w poprzednich studyach metodę „disso-lucyjną.“

Powiedzieliśmy, że badanie woli i pamięci prowadzi z istoty swojej do wyjaśnienia osobowości, i rzeczywiście, oznaczone temi terminami procesa psychiczne wiążą się tak ściśle ze sobą, że właściwie rozrywanie ich w badaniach może być usprawiedliwione jedynie dążnością wyśledzenia wybitnych cech i źródeł tych funkcyj, nie zaś uwydatnienia zupełnej ich odrębności. To też, mówiąc jeszcze o pamięci, nie mógł autor pominąć naturalnie z nią łączącej się kwestyi o jaźni i świadomości i podniósł słusznie fakt, że poczucie tożsamości osoby czyli „jedność jaźni“ „nie jest jednością punktu matematycznego, lecz jednością niezmiernie złożonej maszyny. Jest to odczucie naraz wszystkich czynności życiowych, koordynowanych najprzód przez układ nerwowy, tego koordynatora par excellence, a potem przez świadomość, której przyrodzoną formą jest jedność 1).“ Owa ta świadomość nadaje jaźni naszej jedność, ale ta jedność ze swojej strony warunkuje się pamięcią, która umożliwia i zachowuje skojarzenia. I rzeczywiście, przy poczuciu naszej osobowości to jest tożsamości naszego „ja,“ zależność świadomości od pamięci tak jest widoczną, że nader często spotykamy w traktatach psychologii całe rozprawy o tém czy pamięć warunkuje poczucie tożsamości, czy na odwrót poczucie tożsamości jest źródłem pamięci. Wedle jednych bowiem bez pamięci mielibyśmy tylko poczucie teraźniejszości, a więc niemożliibyśmy dojść do pojęcia tożsamości naszej osoby ujawniającej się w kolejności stanów czyli w czasie; wedle innych bez poczucia tożsamości mielibyśmy wprawdzie, dzięki pamięci, świadomość naszych stanów przebytych, ale nie uważalibyśmy ich za nasze własne. Otóż formułowanie pytania tego w sposób powyższy, podobnie jak w ogóle wychodzenie w badaniach psychologicznych od pojęcia z góry powziętego o odrębnej jakiejś sile, jaką jest np. osobowość, jest błędem wedle Ribota. Badając bowiem osobowość ludzką, podobnie jak przy badaniu pamięci i woli, należy, zdaniem jego, przedewszystkiem pozbyć się takićj z góry ułożonej istności nazależnej a natomiast przez analizę samego zjawiska dojść do najelementarniejszych składników tego objawu psychicznego.

Analiza taka będzie zarazem odpowiedzią na powyższe pytanie:

1) Choroby pamięci, str. 96.



który z objawów psychicznych, pamięć czy osobowość jest przyczyną, a które skutkiem? Odpowiedzią znoszącą samo to pytanie, gdyż żaden z tych objawów w obec ich analizy nie przedstawi się jako przyczyna drugiego, ale oba okażą się skutkami, których wspólnie przyczyną tkwią w organizmie <sup>1)</sup>. „Źródło ich wspólne znajduje się w ustroju, w którym i tożsamość i pamięć są właściwie t<sup>ę</sup>m sam<sup>ę</sup>m <sup>2)</sup>.“ Tak zaś jak pamięć organiczna jest podstawą pamięci psychicznej, to jest najwyższej swojej formy, tak samo i indywidualność organiczna, to jest osobowość, jest podstawą wszystkich najwyższych jej form, będących tylko stopniowemi jej udoskonaleniami. A wobec tych faktów, stwierdzonych badaniami patologicznymi ich przeobrażeń się, jasnym staje się dla badacza, że i poczucie tożsamości oraz jedności naszego „ja“, jest zjawiskiem nader złożon<sup>ę</sup>m, że owa jedność jest właściwie wielością usystematyzowaną, czyli całością złożoną, a teoria ewolucyjnie z zastosowaną do niej metodą „dissolucyjną“ potwierdza nadto, że poczucie owe idzie nie z gó r y lecz z d o ł u i że świadomość, podobna jak w procesie pamięci, udoskonala je lecz go nie stanowi, nie stwarza.

Jednym słow<sup>ę</sup>m, autor stara się tu udowodnić to, co jest również podstawą wszystkich jego bada<sup>ń</sup> poprzednich a mianowicie, że wszelkie procesa psychiczne bez wyjątku są udoskonalonemi procesami nerwowemi a więc, że i osobowość psychologiczna jest odbiciem się osobowości biologicznej, że jaki ustrój, taka osobowość, a powtóre, że podobnie jak pamięć i wola, osobowość jest nader komplikowaną koordynacją, a jako wyższy i psychiczny objaw nader to krucha i zmienna synteza.

Oto treść i kierunek prac nagł<sup>ów</sup>k<sup>i</sup>em artykułu niniejszego objętych. Jeżeli można zgodzić się z autorem na ich wyniki, to tylko o tyle, o ile sam on ma poczucie niedostateczności materiału, jaki nauka dotąd zgromadzić zdołała w t<sup>ę</sup>j kwestyi i o ile konsekwentnie z t<sup>ę</sup>m nie przedstawia wyników tych jako ostatecznych, niezbitych dowodów nauki, ale jako wskazówki usprawiedliwiające hipotezę, służyć mającą przedewszystki<sup>ę</sup>m do orientowania się w studyach psychologicznych, które dotąd, wychodząc z nieuzasadnionych doświadczeniem teorii, lekceważyły stron<sup>ę</sup> doświadczalną, empiryczną. Współczesna szkoła psychologii doświadczalnej, a której historią przedewszystki<sup>ę</sup>m zajmował się Ribot sympatyzując z nią najwięcej i idąc sam jej śladem, staje na stanowisku wręcz przeciwn<sup>ę</sup>m szkole idealistycznej; usuwając bowiem pytania dążące do rozstrzygnięcia istoty zjawisk psychicznych, bada ona ich objawy konkretne, dając zaś materiał, pomagający do umiejętnego ugrupowania ich i oznaczenia pewnej stałej pomiędzy niemi prawidłowości, bynajmniej

<sup>1)</sup> Choroby osobowości, str. 104.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 105.

przycém nie rości pretensyi do wypowiedzenia ostatniego słowa nauki, a hipotezy swoje uważa, w teorii przynajmniej, za tymczasowe. Tę drogę właśnie z zasady trzyma się Ribot, to też przeciwko uogólnieniom jego nie można robić zarzutów metodologicznych, gdyż ugrupowane przezeń fakta dają rzeczywiście wskazówki ich wzajemnej łączności i prawdziwości, a hipotezy jego, jako rezultaty zestawień nie tylko w myśli naszej związanych ale i w naturze ujawnionych rzeczy, są rękojmią prawdy, chociaż, dodajmy, nie całej prawdy, tylko tej strony zjawisk, na którą zwrócono przy badaniach uwagę szczególną. Z zastrzeżeniem fragmentarności zdobytych danych, możemy więc uważać je za wyniki nauki a ich uogólnienia za hipotezy naukowe, to jest zgodne z wymaganiami dzisiejszej nauki, ale, dodajmy, czekające dalszego potwierdzenia od nauki jutrzejszej. Nie trzeba bowiem zapominać, że jakkolwiek każdy materiał umiejętnie zebrany, pozostaje zawsze cennym nabytkiem naukowym, to jednak stanowisko badacza względem przyrody nie pozostaje zawsze jednostajnym i stałym. Przeciwnie, stosunek myśli względem obiektu zmienia się ciągle, punkt obserwacyjny badacza a z nim i kąt widzenia jest w ciągłym ruchu, ruch ten pomaga zaznaczać różne strony badanego przedmiotu a z tą razą z nowym materiałem zdobytym drogą obserwacji, rozszerza się jednocześnie i zakres badań i kąt widzenia. Każdy też kierunek badań, bez względu na to czy będziemy go zbyt ściśle nazywać idącym z „dołu,“ lub z „góry,“ jest uzasadnionym o ile bada umiejętnie t. j. naukowo, i o ile nie ulega prądowi frakcyjnemu myśli naszej, dążącemu do identyfikowania pewnego zakresu zjawisk z całością wszechzjawiskową. Dziś psychologia jeżeli chce być nauką nie może obejść się bez podstawy naukowej, bez fizjologii. Już Jan Müller, w pierwszych ćwierci tego wieku, zaraz na początku badań swoich fizjologicznych głosił: „Psychologus nemo nisi Physiologus.“ Ci co dziś jeszcze obawiają się dla psychologii zlania jej z fizjologią są krótkowidzami, nawet ze stanowiska własnego ich, „szkołą“ zacieśnionego, poglądu idealistycznego. Prawda nie jest ani idealistyczną, ani materialistyczną, podobnie jak żaden z tych dwóch zasadniczych kierunków myśli nie jest błędem z upełnym, ani prawdą całą. Im więcej punktów widzenia i im szerszy kąt obserwacyjny, tym więcej rękojmi zbadania danej rzeczy wszechstronnie.

Psychologia nie oświecona biologią, powiedział Lewes, podobną jest do astronomii chaldejczyków, nie opartą na matematyce. Samo obserwowanie gwiazd choćby najcierpliwsze, nie wykryje nam tajemnicy ich obrotów, podobnie jak najsumienniejsze obserwowanie stanów naszej świadomości, nie odkryje ich praw. Bez pomocy i współdziałania innych czynników, całe wieki takich obserwacji nie wydałyby owocu, a nawet niezdołalibyśmy samą taką obserwacją poznać najelementarniejszych zjawisk <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ribot, La psychologie anglaise contemporaine. 1875, p. 371.

Ale z drugiej strony nie należy tracić z oczu i innych kierunków myśli. Dziś już odwrócić można zbyt zaufaną w siebie tezę fizyologów o znaczeniu psychologii i zastosować ją do fizjologii, twierdząc, nie bez zasady, że psychologia wzbogaca również fizjologią i że fizyolog nieznający dokładnie zjawisk psychicznych, nie jest prawdziwym fizyologiem; a więc, że i badanie wewnętrznego doświadczenia na tle biologii nie jest zupełnie czerem i pozbawionem prawdziwej, bo także na tle rzeczywistości opartej, podstawy. Wszakże i socjologia należyce pojęta i zbadana z pewnością wzbogaci kiedyś i samą biologią, bo rozszerzając zakres badanych zjawisk życia, przyczyni się zarazem i do rozszerzenia pojęcia samego życia, a więc w ogóle biologii. Jeżeli zaś korzyść dla biologii z rozwoju socjologii ujawnia się już teraz w literaturze naukowej, to tém bardziej oczekiwać należy podobnej korzyści i dla fizjologii z badań psychologicznych w ścisłym ich znaczeniu, to jest nie tylko w pojęciu nowszej psychologii empirycznej, zlewającej się z fizjologią mózgu, ale także w pojęciu wszelkich badań zjawisk duchowych w ogóle, a więc i t. zw. wewnętrznej obserwacji. Sposób ten badania nie wydał wprawdzie dotąd rezultatu naukowego, gdyż był wyłącznym i zbyt oderwanym pojmovanym; przy innym zastosowaniu i głębszem pojęciu, stać się jednak może nowym, bogatym źródłem wiedzy psychologicznej.

Nauka korzysta zawsze na tém, gdy arsenał jej się zwiększa, pod warunkiem jednak aby znała broń swoją a przede wszystkim jej słabe strony. Żaden myśliciel głęboki nie jest też wyłącznie empirykiem tylko lub tylko idealistą, a gdy przedsięwzięcie badanie jakich zjawisk świata, nie traci przeświadczenia o granicach swojej metody badania. Empiryk prawdziwy nie będzie z materiału danego wysnuwał tego, czego on nie daje. Grupując fakta metodą indukcyjną może on uleść prądowi naturalnemu myśli, biegnącemu często w innym, odwrotnym kierunku niż jej wskazał; rezultatu myśli swojej nie będzie jednak utożsamiał z rezultatem zbadanego materiału. Ideałem mędrca nie jest ten co idzie niewolniczo za prądem epoki i bojąc się zarzutu nienaukowości nieśmie nawet nie wierzyć w to co nauka współczesna mu podaje jako niewątpliwy rezultat swój, jako prawdę naukową, a współczesna mu szkoła filozoficzna jako materiał pozytywny. Prawda, powtarzamy, nie jest ani naukową, ani filozoficzną, ani polityczną, ani oderwaną, ani idealistyczną, ani materialistyczną, ani jest zdobyciem faktu, wniknięciem w stosunki i wzajemną zależność zjawisk, zmierzeniem całej ich strony faktycznej formą myśli naszej, jednym słowem zestawieniem praw zjawisk z prawami myśli, ujęciem faktu—myślą. Wszelka przesada z natury rzeczy popycha w odwrotnym kierunku, bo nie jest ujęciem całej prawdy, tylko jednej jej strony—potrzebującej dopełnienia. To też żadna szkoła nie daje zupełnie błędnego rezultatu badań, gdy ma przeświadczenie swego kierunku i naukowego i gdy nie wykracza ze swym zasobem poza sferę odpowiednią to jest dostępną jej, jednym słowem, jeżeli nauka nie filozofuje, a gdy to czyni, jeżeli czyni ze świadomością. Szkoła empiry-

czna w psychologii o ile nie filozofuje, to jest nie wyciąga wniosków metafizycznych z danych, chociażby zdobytych doświadczeniem, ma też większe prawo do naukowości niż dotychczasowa psychologia idealistyczna, która filozofowała lekceważąc empiryą, i przewyższa ją o tyle o ile nie rozwiązuje tajemnicy. Skoro jednak głosi, że u uwa tę tajemnicę, przekracza tém samém swoje zadanie, to jest tajemnicy téj za znaczenie, a przenosząc tylko punkt ciężkości metafizyczny, wpada w tę samą przesadę i to samo subiektywne snucie jakiego używała i nadużywała szkoła idealistyczna.

Ribota możnaby nazwać pozytywistą czystej wody; jako taki w badaniach swoich z zasady nie przekracza on granic nauki, którą się zajmuje, trzymając się danych zaznaczonych nie wychodzi ze sfery sobie zakreślonej, i o tyle prace jego są cennym nabytkiem i służyć mogą wszelkim szkołom i poglądom do rozważenia. Trudność wytrzymania na takim, odporném względem filozofii, stanowisku pozytywném czyli naukowém, jest znaczną dla umysłów głębszych, powiędzmy ciekawszych, ze stanowiska pozytywizmu nawet zanadto ciekawych. Często téż uogólniają oni zbyt prędko. Dziwić się temu niepodobna, żądać jednak potrzeba aby te uogólnienia podawane były jako hipotezy tymczasowe, wymagające naukowego stwierdzenia. Nie zawsze jednak zastrzeżenie z góry, jakie spotykamy u autorów téj kategorii, że w snuciu hipotez starają się zachować stanowisko możliwie ostrożne i nie wykraczać przeciwko metodzie czysto naukowej, znajduje swoje potwierdzenie w rzeczywistości. To też i wiele uwag Ribota, własnych lub powtarzanych, nosi cechę nie tylko subiektywnych, lub, jakby orzekli pozytywiści, filozoficznych zapatorywań się, ale i strona ich dowodowa nie zawsze jest dostatecznie naukową. Na to trzeba mieć ciągle uwagę zwróconą przy badaniach teorii współczesnej nam szkoły psychologii doświadczałnej; jakkolwiek bowiem i w hipotezach, o ile osnute są na rzeczywistych danych, może być czasem przeczucie jakiej prawdy, należy jednak przyjmować je ostrożniej niż sami ich autorowie, a z drugiej strony nie przeceniać materiału, który często rzekomo tylko jest naukowym. Czasem i najtrzeźwieszym pozytywistom zdarzy się przesada i największym empirykom—iluzya przy pojmowaniu znaczenia i w ocenianiu doniosłości dowodów.

Znaleźliśmy dwa takie słabe punkta u Ribota. Mówiąc o studyum jego o „woli,“ zaznaczyliśmy już zbyt dużą pewność w prawdziwość odpowiedniej hipotezy. Drugim takim punktem nadającym się do krytyki jest przecenienie pewnych danych naukowych i niefilozoficzne rozumowanie przy wysnuwaniu hipotezy o świadomości.

Ze względu na ważność przedmiotu zastanowimy się dłużej nad tém pojęciem świadomości, następczającém autorowi pole do rozumowania, które wydaje nam się nieodpowiedniém i nieuzasadnioném naukowo i stanowi przeto niezrozumiały dla nas wyjątek przy ostrożnej i ścisłej w ogóle metodzie, jaką Ribot stosuje do swoich prac

psychologicznych. Wbrew ustalonym do niedawna jeszcze w psychologii metafizycznej poglądom na świadomość ludzką, jako na istotę duszy odrębnej i niezależnej od organizmu, Ribot wyprowadza świadomość, jak sam powiada, nie z gróry jak to czynią idealiści metafizycy, ale z dołu, to jest z ustroju organicznego, a lubo przyznaje jej wartość psychiczną nader wysoką, nie uważa jej jednakże, ani za dowód istnienia takiej odrębnej jednolitej siły, ani też za najwyższy objaw psychologiczny ustroju nerwowego człowieka. Świadomość, wedle Ribota, przeinacza i uduchowia, że się tak wyrazimy, procesa organiczne zamieniając je na psychologiczne. I tak pamięć organiczna podobnie jak i osobnik organiczny stają się pamięcią i osobnikami psychicznymi dzięki świadomości; ale świadomość nie warunkuje ich bytu. Świadomość bowiem, jak już powiedzieliśmy, nie „stanowi“ wedle autora ani pamięci, ani osobowości, ale je „uzupełnia“, „wykończa.“ I rzeczywiście „nędzną byłaby osobowość, powiada Ribot, nie mająca innej podstawy, oprócz świadomości; niedostateczność takiego przypuszczenia widoczną jest w obec faktów najprostszyc; jak wytłómaczyć sobie np. dla czego po 6 lub 8 godzinach głębokiego snu, odnajdujemy siebie bez wahania? Nadawać istocie naszej osobowości taki rodzaj istnienia, aby zniknęła ona przynajmniej przez trzecią część naszego życia (świadomość)—jest to rozwiązywać zagadnienie w sposób szczególny 1).“ Teorie idealistyczne czyniące świadomość cechą istotną duszy nie przyznawały możności przerwy w świadomości, otóż Ribot swoją hipotezę świadomości jako procesu, że się tak wyrazimy, wtórnego, nieistotnego, opiera głównie na jej przerwaniu w alności (intermittence) 2). Jest to jednak najślabszy punkt jego hipotezy; walcząc przeciwko psychologom idealistom dowodzącym, że myślenie będące cechą duszy towarzyszy jej zawsze, nawet gdy niemamy w pamięci przechowanych jej przejawów, Ribot sądzi, że dosyć udowodnić istnienia snów pozbawionych wszelkich marzeń sennych aby obalić ich teorie. Powołuje się on w tym względzie na świadectwo Despina'a (Psychologie naturelle), opisującego okoliczności w których zdarza się niektórym łączyć chwilę uśnięcia z chwilą przebudzenia w ten sposób jakby okres czasu chwilami temi objęty wcale dla nich nie istniał. Prawda, zdarza się to samo i przy zemdleniu, epileptycznych zawrotach głowy i w innych podobnych przypadkach. Ale zdarza się także, czemu i sam Ribot nie przeczy, że stany świadomości, nie pozostawiając żadnego śladu w pamięci w chwili obudzenia się, mogą odżyć nieco później. „Ograniczymy tu, powiada Ribot 3), do możliwych granic liczby wypadków zupełnego przerwania się świadomości, ale nawet jednego tylko dość będzie, aby nastąpić hy-

1) Choroby osobowości, str. 103.

2) str. IX.

3) str. XIII.

potrzebie, pojmującej duszę jako istotę myślącą, nieprzewyciężone trudności.“

Otóż nam się zdaje, że jest to błędne rozumowanie, gdyż ani obala ono teorii przeciwników Ribota, ani potwierdza własnego jego założenia o istocie świadomości, jak to on sam mylnie mniema. Można zgodzić się z autorem, że świadomość jest tylko dodatkowem zjawiskiem w procesie nerwowym, że ten ostatni jest zasadniczym i czynnym, psychiczny zaś proces (świadomość) jest „współrzędnym,“ „czemś naddatkowem <sup>1)</sup>“, „objawem towarzyszącym“ (un accompagnement) <sup>2)</sup>; ale dla udowodnienia tego, „przerywalność“ jest zbyt słabym argumentem a nadto nie kwadrującym z zasadą ewolucji, będącej podstawą psychologii doświadczalnej. I tak pozwolimy sobie naprzód zauważyć, że zupełnej przerwy świadomości nikt nie jest w stanie udowodnić, nawet owego jednego faktu nie znajdzie autor udowodnionego rzeczywistości, naukowo. Na to nie posiadamy praktycznie żadnych danych, choćby nawet fakt ten był możliwy teoretycznie; ale i teoretycznie nie możemy sobie wyobrazić ścisłej granicy pomiędzy bezwiednym, tak zwanem nieświadomym, a świadomym myśleniem. Możemy być świadomi rezultatu nieświadomego procesu, i na odwrót świadomie szukać rozwiązania zagadnień, których rezultat zjawi się nam bezwiednie. Zresztą myślenie nie wypełnia całego zakresu świadomości i sam autor słusznie rozgranicza pewne stopniowanie w poczuciu osobowości a mianowicie: osobowość organiczną, uczuciową i umysłową. Ale wszystko to nie dowodzi jeszcze aby świadomość, jakkolwiek będąca zjawiskiem dodatkowem w procesach nerwowych, jakkolwiek zależna od pewnych szczególnych warunków im towarzyszących, była przerywaną w zupełności. Pamięć, ów proces psychiczny także w nerwach siedlisko swe mający, a który Ribot identyfikuje często ze świadomością, również nie może być bezwzględnie przerywaną w swojej organicznej działalności. Sam Ribot zwrócił ściślej, niż zwykle to czyniono, uwagę na stronę dynamiczną w procesie nerwowym przy zjawiskach pamięci, i bardzo słusznie, a właśnie ten dyuamizm łącznie z zasadą a raczej faktem ewolucji, mógł być nasunąć mu myśl, że inna rzecz ujawnienie się działań drobinowych komórek nerwowych w postaci zjawiska psychicznego, a inna rzecz sam ich proces psychiczny we wnętrzu, utajony, niedostępny dla ścisłej analizy. Jeżeli zaś nie możemy logicznie przypuścić aby brak świadomości ujawnioną dowodził zawieszenia się odpowiedniego procesu w głębi organizmu, to i argument Ribota przeciwko idealistom nie ma znaczenia. Nie jest on „pozytywny jak fizjologia“ w obec „negatywnego“ argumentu „jak psychologia <sup>3)</sup>“, gdyż właśnie fizjologicznie nie jesteśmy w stanie udowodnić absolutnego braku świadomości tam, gdzie brak

<sup>1)</sup> str. VII.

<sup>2)</sup> str. XX.

<sup>3)</sup> str. XIV.

tén ujawnia się nawet psychologicznie. Wadą w całym tém rozumowaniu jest szukanie istotowej, jakościowej różnicy, tam gdzie jest tylko różnica ilościowa, w stopniowaniu. Zresztą dodajmy, że argument idealistów tak jak go scharakteryzował Ribot nie ma podstawy z ich własnego nawet stanowiska, a więc i obalanie go nie ma naukowej doniosłości.

„Dusza jest liczbą w ruchu,“ orzekł niegdyś Pytagores; dziś mierzenie procesów psychicznych jest modą, ale wymierzając ich wartość liczebną, zapominają fizyologowie i psychologowie, że ujawniają stosunki jednéj tylko strony zjawiskowej, że mierzą samę liczbę, ale nie znają liczby téj ruchu, co więcéj, że miara ta jest raczéj miarą ich własnych myśli, aniżeli procesu jaki badają. Otóż i u Ribota widoczna analiza téj liczby duchowej, ale niewyjaśniony zostaje ruch jéj wewnętrzny, kojarzący całość syntetyczną i warczący bez przerwy w około niewidzialnéj osi, jedném słowem, wypuszczony z uwagi dynamizm organizmu, którego pamięć, wola i osobowość są tylko uewnętrznieniami dla nas. Dynamizm ten wyklucza statykę bezwzględną, a więc i wszelką przerwę istotną ruchu. Dodajmy jeszcze, że i sam Ribot idąc w tym względzie za H. Spencerem, a może schodząc się z nim jednocześnie, szuka logicznie ciągłości zjawisk duchowych w głęboko ukrytéj podstawie organicznej, ztąd słuszne zwrócenie przezeń baczniejszój uwagi na dynamizm w nerwach przy tworzeniu się pamięci. Otóż szukanie przerwy zupełnéj świadomości jest zaprzeczeniem tego przekonania o podstawie organicznej zjawisk psychicznych. Jeżeli zaś zauważy kto, że brak świadomości choćby tylko ilościowo zmniejszonéj, jest argumentem potwierdzającym hipotezę Ribota, powiemy: 1) że teza ta nie potrzebuje tego argumentu w obce uznania zasady ewolucjonizmu, 2) że bynajmniej nie obala ona zasady idealistów. Jeżeliby zaś komu się zdawało, że krytyka rozumowania powyższego Ribota, nie zasługuje na tak szerokie uwzględnienie, powiemy, że punkt ten słaby należało podnieść właśnie dla tego, że uderza on témbardziej w autorze, będącym tak ostrożnym w snuciu hipotez nietylko przy określaniu istoty, ale nawet i warunków zjawiania się procesów psychicznych <sup>1)</sup>. Widocznie uległ on tym razem złudzeniu, powziąwszy raz fałszywe przekonanie: 1) że tylko jego hipoteza o naturze zjawisk świadomości, może wytkłomaczyć główną jakoby jéj cechę—przerywalność, i 2) że przerywalność ta wzmacnia tę hipotezę <sup>2)</sup>. Gdy tymczasem co do 1-go, idealisci mogliby odpowiedzieć, że dusza może myśleć sama w sobie a mózg może odpczywać, co z ich stanowiska, przynającego istnienie odrębnej istoty duchowej, a co właśnie miał obalić Ribot, nie jest zupełną sprzecznością. Co do 2-go zaś, przerywalność ta ani wzmacnia, ani osłabia jego hipotezy, gdyż nie jest zgodną z założeniem

<sup>1)</sup> Choroby osobowości, str. VIII.

<sup>2)</sup> str. IX.

psychologii empirycznej, która powinna by przedewszystki $\acute{e}$ m odr $\acute{o}$ żniać zjawisko świadomości uzewnętrznionej, od procesu samego w sobie wewnątrz-nerwowego. Zresztą i Ribot ostrzega w jedn $\acute{e}$ m miejscu, iż „nie należy brać za jedno indywidualności sam $\acute{e}$ j w sobie, istniejącej jako fakt w naturze rzeczy—z indywidualnością taką, jaka istnieje dla siebie sam $\acute{e}$ j, dzięki świadomości (sobowość)<sup>1)</sup>”. Toż samo uczynił przy „pamięci”<sup>2)</sup>. Otóż tę samą uwagę moglibyśmy zrobić mu odnośnie do samej świadomości. I tu trzeba by dostrzedz różnicy pomiędzy ujawnioną i utajoną, jeśli można tak się wyrazić, świadomością, a wtedy nie byłoby przeskoków w zjawiskach badanych, podobnie jak ich nie ma w naturze. Inaczej zbyt $\acute{e}$ czne rozgraniczanie (jakościowe a nie ilościowe) będzie zawsze wadą w metodzie, podobnie jak jest b $\acute{e}$ łdem co do rzeczywistości. Brak bowiem świadomości, powtarzamy, nie jest brakiem bezwzgl $\acute{e}$ dny $\acute{e}$ m, podobnie jak sen nie jest zupełnym zawieszeniem funkcji psychicznych. A jeżeli słuszn $\acute{e}$ m nawet jest twierdzenie autora, że przy zjawieniu się odpowiednich warunków i okoliczności, świadomość się zjawia, to dodajmy nie powstaje tu nowy proces, ale ujawnia się ukryty, podobnie jak przy przebudzeniu się ze snu, nowe warunki otoczenia nie stanowią nowego rodzaju życia psychicznego, ale są materialnym podkładem, paliwem, pomagającym świadomości uzewnętrzn $\acute{e}$ ć się w inny, bogatszy sposób. Nic t $\acute{e}$ ż nie upoważnia nas do obalenia twierdzenia, że w stanie utajonym, a nawet czynnym do pewnego stopnia, świadomość tkwi jakby we śnie swoim. To co autor nazywa brakiem jest raczej kwestyą stopniowania niż przerwy, to co on nazywa przerwą, jest tylko przerwą ujawnie $\acute{n}$  się, to co nazywa zjawieniem się świadomości, jest j $\acute{e}$ y uzewnętrznieniem się.

Trzy owe studia, których kierunek i znaczenie scharakteryzowaliśmy, zostały niedawno przełożone na j $\acute{e}$ zyk polski. Czy wyb $\acute{o}$ r był trafny? W odpowiedzi na to pytanie należy przedewszystki $\acute{e}$ m mieć wzgląd praktyczny na uwadze, a mianowicie nie tyle wartość rzeczy przełożonych, ile g $\acute{ł$ ównie potrzeby naszej literatury naukowej. Ponieważ zaś wzgląd ten ostatni nie znajduje dotąd dostatecznego u nas zastosowania przy wydawnictwie t $\acute{ł$ umacze $\acute{n}$  rzeczy naukowych a szczególnie $\acute{j}$  filozoficznych, pozwolimy sobie nieco obszerniej na pytanie to odpowiedzie $\acute{c}$ . Otóż zdaje nam się, że przy braku dobrych podręczników og $\acute{o}$ lnych, przedstawiających czy to histor $\acute{y}$ ą pewnego kierunku myśli, czy to ga $\acute{l}$ ęź jaką filozofii w sw $\acute{e}$ j całości systematycznej, t $\acute{ł$ umaczenie specjalnych traktatów, które zresztą i sam autor spożytkuje prawdopodobnie przy dziele całości zjawisk psychicznych

1) str. 108.

2) Choroby pamięci.



przedstawiającem <sup>1)</sup>, jest zbytkiem wydawniczym w ubogiej naszej literaturze filozoficznej. Nazywamy to zbytkiem, nie iżby rzeczy te nie zasługiwały na poznanie, ale ze względu, że wiele innych rzeczy jest nam potrzebniejszych, a więc i pożyteczniejszych dla nas w zakresie miejscowych warunków badań filozoficznych. I tak wspomiane trzy studia są materiałem tylko, chociaż naukowo i umiejętnie ugrupowanym, a powtórę dla specjalistów z pewnością znane w oryginale, bo żaden człowiek nauki nie obejdzie się, zwłaszcza w naszym społeczeństwie, bez znajomości obcych języków; dla przeciętnych zaś czytelników zbyt do specjalne kwestye. Nie mogą więc rzeczono prace mieć znaczenia pedagogicznego w zakresie naszych studiów filozoficznych, a zdaje się mieli to głównie na myśli tłumacze, gdyż gdzieś podali przypiski objaśniające (Choroby woli, choroby osobowości). Gdyby jeszcze przekład był bardzo potoczny, a język zupełnie poprawny, mogłyby podobne broszury zachęcić niejednego do studiów psychologicznych. Przekład obu tłumaczy jest zupełnie wierny <sup>2)</sup>, ale język p. Potockiego nieco ciężki, p. Steinhausena płynniejszy, ale rażący stałem umieszczaniem przymiotnika lub kilku przymiotników przed rzeczownikiem, co sprzeciwia się duchowi języka naszego, o ile jest zastosowanem tak niewolniczo w jednym porządku stale i niezmiennie. Ciemne jest zdanie będące streszczeniem wyników badań autora w zakresie prawa rządzącego zjawiskiem pamięci: „Pamięć polega na procesie organizacyi o stopniach zmiennych, zawartych między dwiema ostatecznymi granicami: stanem nowym i zarejestrowaniem organicznem“ <sup>3)</sup>. Ciemne również są okresy na str. 32, 50 i 138 w Chorobach osobowości, oraz na str. 118 in f. w Chor. woli przekładu p. Potockiego. Na usprawiedliwienie tłumaczy można by powiedzieć, że i w oryginale w miejscach odpowiednich jest pewna niejasność, ale właśnie dla tego należało miejsca te uzupełnić przypiskami objaśniającymi.

Skłonność do wytwarzania nowych terminów naukowych jest usprawiedliwioną tam, gdzie nie ma wyrobionej terminologii, ale zbyt pohopne uleganie tej skłonności, powoduje często utrudnienie raczej niż zrozumienie rzeczy. Nie stosuje się to do tłumaczy rzeczonych

<sup>1)</sup> Zwłaszcza, że powołany niedawno do objęcia katedry psychologii w Sorbonnie, Ribot zniewolonym będzie do systematycznego wykładu całej nauki. Wstępna prelekcya wyszła właśnie oddzielnie z druku p. t. „La psychologie nouvelle, leçon d'ouverture au cours de psychologie expérimentale à la Sorbonne. Paris, 1885.

<sup>2)</sup> Nie można tego powiedzieć o przekładzie d-ra Dunina dziełka Luys'a „Mózg i jego czynności.“ Warszawa, 1879; przekład ów lubo płynny i jedyny jest raczej przeróbką oryginału, nieco nawet skróconą, niż zupełnie wiernym przekładem. Prawda, że styl Luys'a jest nużącym, gdyż podobnie jak niegdyś styl Comto'a przekładowany zbyt wielu zdaniai poboczniemi, ale przy eliminowaniu ich w tłumaczeniu argumentacya autora traci na precyzyi.

<sup>3)</sup> Choroby pamięci, w przekładzie p. Steinhausena, str. 185, oraz toż samo na str. 54, 107.

rozpraw, gdyż zupełnie nową terminologią nie tworzą oni, ale posiłkują się wytworzoną w ostatnich latach dorywczo i przypadkowo terminologią, która wymaga jeszcze rozpatrzenia i sankcyi jeśli nie ogólnej, to przynajmniej większości przedstawicieli nauki. Tu porozumienie się tłumaczy jest koniecznym, ale ono nie nastąpi dopóki nie będzie wydawnictw z planem prowadzonych przez specjalistów, którzy najłatwiej mogliby nomenklaturę naukową unormować. Nie należy walczyć przeciwko nowym terminom z zasady, to jest dla tego, że nowe np. miejscozmienność, uwstecznienie, otamowanie, ale jak nowych terminów będzie tyle ilu tłumaczy, czy to przyczyni się do spopularyzowania nauki? W każdym razie nim to porozumienie kiedy nastąpi, dla jasności należałoby obok nowych tych wyrażzeń umieszczać terminy oryginalne w nawiasie, jak to zresztą czyni czasami p. Potocki.

Niech nam wolno będzie zakończyć uwagę, że dzieła systematyczne, obejmujące całość przedmiotu, albo co jeszcze pożyteczniejsze, historią jego, są dla nas przedewszystkiém pożądane, gdyż dając możliwość orientowania się czytelnikowi w literaturze naukowej i ułatwiając mu wybór dzieł, torują zarazem drogę do obrania pewnego kierunku w studyach, a następnie i do rozwinięcia prac samodzielnych. To też byłoby do życzenia, żeby wspomniani tłumacze, którzy w pracach swoich coraz większą wprawę wykazują, przełożyli także na nasz język inne dzieło tegoż autora, historyczne, przedstawiające rozwój i obecny stan nowego kierunku psychologii w Niemczech, a mianowicie szkoły empirycznej, na czele której stoi Wundt w Lipsku, gromadzący w koło siebie wielu młodych pracowników na niwie psychofizyki<sup>1)</sup>. Posiadamy już przekład psychologii doświadczalnej w Anglii, uskuteczniiony przez Ochrowicza, przegląd téjże szkoły psychologicznej w Niemczech, będący wybornym dopełnieniem pracy poprzedniej, wyszedł właśnie niedawno (1885 r.) w drugim poprawioném i powiększonym wydaniu. Z dwóch tych dzieł systematycznych, Biblioteka Warszawska podała już w swoim czasie obszernie sprawozdanie (1880 r. wrzesień, październik), do którego ciekawszych czytelników odsyłamy.

<sup>1)</sup> W pracowni jego, istotnym laboratorium psychologii doświadczalnej, badano i wymierzano są różne ciekawe zjawiska funkcyi nerwowo-zmysłowych. Rezultaty prac swoich pomieszcza Wundt w wydawanych przez siebie od r. 1881 „Philosophische Studien.“

# DOBRY UCZYNEK.

(NOWELKA).

PRZEZ

T. Z y g m u n t a.

## I.

— Drugi dzwonek do Krakowa!...—zawołał konduktor na dworcu w mieście N. Liczni podróżni powstali z pośpiechem od stołów, które obsiedli byli po salach wszystkich trzech klas. Ten i ów dopijał jeszcze resztę piwa, herbaty lub kawy, inny wołał kelnera dla uiszczenia się za spożyte potrawy, każdy zaś myślał o tém, żeby się nie opóźnić, a przedewszystkiém, żeby sobie jaknajwygodniejsze zapamięć miejsce.

W tym ożywionym, pełnym niezwyklej rozmaitości ruchu, nie dziw, że nikt nie zwracał uwagi na stojący na uboczu stoliczek, od którego w téj chwili dwie powstały osoby...

Była to około 40-tu lat licząca kobieta, ubrana czarno, a pas biały, którym obszyta była jéj suknia, dowodził nieupłynionéj jeszcze żałoby. Smutne, prawie cierpiące rysy jéj twarzy, miały jakiś dziwnie szlachetny wyraz, w którym doświadczony fizjognomista mógłby wyczytać smutek i żal, mający przecież w sobie pewien odcień otuchy, i nadziei...

— Bywaj zdrów Stasiu! — mówiła ona ze łzami do 18-to letniego młodzieńca, który całował ją czule po rękach, — bywaj zdrów, a pamiętaj donosić często o sobie!

Sala już była zupełnie próżna, gdy młodzieniec porwawszy swój kuferek podróżny, i zawoławszy jeszcze raz ostatni — bądź zdrowa najdroższa mateczko!... rzucił się do drzwi, przy których stojący sługa kolejowy zawołał jeszcze za nim:

— Prędkiej panie, prędkiej, bo pociąg odejdzie natychmiast...

Jakoż istotnie było już dosyć późno; wszystkie miejsca zdawały się być zajęte, podróżni zamykali jeszcze tu i owdzie drzwiczki od wagonów, dając zapewne do zrozumienia, że już nie ma miejsca dla nikogo, a tém mniej dla ubogo, choć czysto ubranego młodzieńca, który nadto trzymał w rękach niewielki kufeczek.

— Trzecia klasa p. konduktorze!—wołał młodzieniec proszącym głosem, gdy niecierpliwy konduktor ofuknął go dosyć niegrzecznie.

— Szukajże pan teraz sam sobie miejsca!...

Stanisław biegał szybko od jednego oddziału do drugiego, ale w jednym już było pełno, w innych otworzył mu nie chciano...

Kto wie, czy w obec znaniej grzeczności naszych konduktorów, a niestety i bardzo wielu podróżnych, nie byłby Stanisław zmuszony zaczekać do następnego pociągu. Na szczęście jednak, nadszedł naczelnik stacyi, a widząc, że wagony III-jej klasy były już przepełnione, kazał konduktorowi wpuścić młodzieńca do wagonu klasy drugiej.

Konduktor, mrużąc coś pod nosem, spełnił rozkaz naczelnika, a odebrawszy bilet, zamknął z niecierpliwością drzwiczki wagonu.

W tej chwili dał się słyszeć świst i pociąg ruszył z miejsca.

Stanisław wychylił głowę z okienka i spojrzął ku drzwiom sali klasy 3-jej. Przybliżył rękę do ust i tak ostatni jeszcze posłał pocałunek stojącej tam matce, która z daleka błogostawiła go znakiem krzyża świętego.

Znaczną już przestrzeń ubiegł pociąg, a Stanisław ciągle jeszcze wyzierał przez okienko... aż wreszcie nie mogąc już dojrzeć dworca, otarł łzę i westchnął głęboko...

Teraz dopiero dostrzegł, że nie jest sam, lecz ma towarzysza, którym był jakiś starszy mężczyzna.

Stanisław uchylił zatem kapelusza i skłoniwszy się grzecznie rzekł:

— Przepraszam pana dobrodzieja, że w pierwszej chwili nie uważałem... wszedłem tu zapewne wbrew życzeniu pańskiemu, ale cóż robić—stało się to z rozkazu naczelnika stacyi...

— Bardzo się cieszę z tego—odparł podróżny, lubię towarzysztwo, a już kilkanaście stacyi prawie samotnie przejechałem.

— Koniec wakacyi — mówił dalej Stanisław — wiele młodzieży wyjeżdża do szkół i dlatego zapewne, zwłaszcza wagony III-jej klasy tak przepełnione.

— Ale dokądże pan jedziesz, jeżeli wolno zapytać—przemówił znowu starszy podróżny.

— Do Krakowa—odrzekł Stanisław—gdzie mam zamiar zapisać się na kursa uniwersyteckie...

Tak się rozpoczęła rozmowa między dwoma podróżnymi, którzy w pierwszej już chwili sympatyczne sprawili na siebie wrażenie. Starszy mężczyzna, który w zdrowej, rumianej twarzy młodzieńca czytał wyraz silnej woli, co chwila zapytywał o coś Stanisława... Mło-

dzieniec odpowiadał trafnie i śmiało, a miał w swoim głosie i w sposobie mówienia taką otwartość i szczerłość, że każdy uwierzyłby jego słowom i powzięłby do niego zaufanie,

W ten sposób opowiadał Stanisław, że jest synem niskiego urzędnika, zmarłego przed kilku miesiącami, że ukończył świetnie gimnazjum tarnowskie, a w przyszłości chciałby poświęcić się zawodowi prawniczemu.

— A masz pan z czego się utrzymać? zapytał na to starszy podróżny.

— Spodziewam się znaleźć utrzymanie, mam dobre świadectwo, może znaję jakie lekcye prywatne.

— Nie tak to jednak łatwo! — odparł starszy podróżny. W Krakowie młodych ludzi, chcących udzielać lekcyi, jest bardzo wielu... zresztą chociażbyś pan po wielu mozolach i trudach zdołał ukończyć wydział prawny, lub jakikolwiek inny, czy sądzisz, że zaraz znajdziesz stanowisko. Dziś pełno prawników, lekarzy i profesorów. Dla tego wierz mi pan, radziłbym panu inną pójść drogą.

Stanisław słuchał tych słów uważnie, nie śmiejąc przerywać, gdy tymczasem mówiący ciągnął dalej...

— Dobro kraju nie na tém tylko polega, żebyśmy mieli wykształconych prawników, lekarzy i profesorów, potrzeba się także starać o to, żeby kraj miał zacnych i wykształconych przemysłowców i kupców. Minęły już Bogu dzięki owe czasy, kiedy sądzono, że waga lub łokieć jest ubliżającym dla polaka zajęciem. Dziś między kupcami naszymi spotkasz już wielu ludzi gruntownie wykształconych, a niejednego kupca nazwisko znalazłbyś pan w herbarzu Niesieckiego lub Paprockiego...

— Więc radzisz mi pan, żebym wstąpił do handlu? przerwał Stanisław — o i ja nieraz o tém myślałem, jednak matka moja życzy sobie, żebym został prawnikiem.

— Jeżeli tak, to świętém jest życzenie matki, chociaż nie wątpię, że zdołałbyś ją przekonać, iż na drodze, którą ja ci wskazuję, mógłbyś pan równie być krajowi pożytecznym. Wierzaj mi pan, że i moi kiedyś rodzice marzyli o tém, żebym został księdzem; Bóg jednak zrządził inaczej i oto jestem dziś jednym z najmożliwszych kupców w Krakowie, a co ważniejsza cieszę się przyjaźnią i zaufaniem wielu zacnych i dobrych ludzi.

Zapewne pan odziedzyczyłeś handel po ojcu? — spytał Stanisław.

— Bynajmniej, zdobyłem go sobie własną pracą w warunkach bardzo trudnych i zewszecmiar nieprzyjaznych. Opowiedziałbym nawet panu dzieje mego życia, gdyby to pana zajmowało, i gdyby nie to, że za chwilę dojeżdżamy już do Krakowa.

— O jakże żałuję! — odparł Stanisław, coraz więcej zaciękawiony.

— Jeżeli tak — odpowiedział kupiec — zechciej mnie pan kiedyś w domu moim odwiedzić, a chętnie dotrzymam obietnicy. Ale, ale,

czyż masz pan w Krakowie znajomego, u którego mógłbyś się w pierwszej chwili umieścić?...

— Niestety — odparł Stanisław — nie mam nikogo... zamieszkał tymczasem w jakim niedrogim hoteliku, a spodziewam się wkrótce znaleźć jakie umieszczenie.

— W takim razie musisz pan na to zezwolić, że zabiorę cię ze sobą do mojego pomieszkania, które jest i tak dla mnie starego za obszerne...

Stanisław nie wiedział, co na to odpowiedzieć, nie śmiało zatem odezwał:

— O, byłoby to zbyt wielkiem nadużyciem grzeczności, na którą jeszcze nie zasłużyłem...

— Nie obawiaj się pan o to, nie pierwszy jesteś, któremu taką usługę oddaję; zresztą nie myślę pana więzić, zostaniesz tak długo u mnie, dokąd nie znajdziesz stosownego umieszczenia, któreby ci pomieszkanie i stół zapewniło... Powiem nawet, że możesz mi pan być użytecznym. Ja, stary jestem, mam wzrok osłabiony, dlatego mógłbyś mi czytywać gazety, książki...

Stanisław podniósł ciekawie oczy, jak gdyby go dziwić miało to ostatnie słowo.

— Tak, książki — ciągnął dalej kupiec, i niech to pana nie zdziwia, mam własną bibliotekę, z której w razie potrzeby będziesz mógł korzystać.

Młodzieniec niezmiernie tém zainteresowany, czuł, że niepodobna mu odrzucić tak korzystnej propozycyi, tém bardziej, że ofiarował mu ją człowiek, który od pierwszej chwili obudził w nim żywą sympatją a nadto on, który już od kilku lat utrzymywał się z własnej pracy, mógłby łatwo się domyślcć, że za jedną lub chociażby i więcej godzin czytania nigdzie korzystniejszego nie znalazłby umieszczenia.

— Widzę — odezwał się zatem, — że skuteczném było błogosławieństwo mojej drogiej matki, kiedy już przy samym wstępie do samodzielnego życia, zesłał mi Bóg takiego łaskawego dobrodzieja; przyjmuję zatem podane warunki, bo, doprawdy byłoby grzechem je odrzucać.

Kupiec uściśnął rękę młodzieńca z widoczném zadowoleniem, gdy w tój samej chwili pociąg zatrzymał się na stacyi...

Wśród gwarne go tłumu podróżnych, dwaj nasi znajomi zaledwie przebieć się zdołali do bramy dworca, przed którym już mnóstwo czekało dorożek i powozów...

— Siadaj pan zemną! — odezwał się kupiec do młodzieńca, fiakrowi zaś kazał jechać na ulicę Grodzką, przed sklep Kwiatkowskiego...

— Dobrze panie, — odpowiedział woźnica i zaciął konie...

Powóz pędził szybko, a Stanisław z bijącym sercem przypatrywał się pięknym domom miasta, które raz pierwszy oglądał...

Pan Kwiatkowski, o którego nazwisku teraz dopiero dowiedział się młodzieniec, wskazywał mu ciekawsze przedmioty i wymieniał nazwi-

ska ulic, przez które właśnie przejeżdżali... Nie zadługo wjechali już na ulicę Grodzką, gdy fiakier zatrzymał konie, zeskoczył z koźła, i otworzył drzwiczki od powozu...

Stanisław rzucił okiem na dom, przed którym stanęli i w istocie obaczył szyld „Jan Kwiatkowski.“

Był to sklep korzenny, który pomimo obszernego miejsca, jakie zajmował, nie uderzał na zewnątrz żadną olśniewającą wystawą, bo właściciel jego należał widocznie do tych kupców, którzy mniej dbają o pozór i zewnętrzną wystawę, a zato starają się mieć towary jak najdoskonalsze i stosunkowo nie drogie.

W sklepie, do którego wszedł p. Kwiatkowski, było kupujących tak pełno, że kilkunastu stojących za ladą chłopców i subiektów zaledwie podołać mogło zatrudnieniu.

Stanisław, który w swém mieście rodzinném bywał nieraz w sklepach korzennych, zdziwiony został najprzód wielką czystością, jaką zaledwie w sklepie takim mógł przypuszczać, a powtóre grzecznością i uprzejmością młodzieży handlowej, okazywaną względem kupujących.

Ukazanie się p. Kwiatkowskiego w sklepie, wywołało radość na obliczach wszystkich młodzieńców. Starsi i młodzi poskoczyli téż żywo, aby się z nim przywitać. Pan Kwiatkowski wszystkich nawzajem serdecznie pozdrowiał, mówiąc:

— No, dzięki Bogu, wszyscy jak widzę dobrze i żwawo wyglądacie... Ale,—ale niechaj-no Paweł zaprowadzi tego pana na piętro i otworzy mu pokoik, gdzie jest wasza biblioteczka, bo trzeba wam wiedzieć, że sobie nowego przywiozłem bibliotekarza...

Na te słowa przybiegł służący, odebrał z rąk Stanisława kuferek i bocznymi drzwiami przez szeroką sień kamieniczną zaprowadził go na pierwsze piętro...

Po drodze gadatliwemu słudze nie zamykały się usta, to téż nim Stanisław zdołał wejść do przeznaczonego dla siebie pomieszczenia, dowiedział się już o tém, że w owój biblioteczce od kilku miesięcy nikt nie mieszkał, bo pan Słotwiński, który przedtém ten pokoik zajmował, jest już doktorem medycyny.

— A któż-to był ów p. Słotwiński? — zapytał Stanisław.

— Jakto, to panicz go nie zna, to wychowaniec naszego pana, przed laty 6-ciu przyjechał, tak jak pan dzisiaj razem z p. Kwiatkowskim, zajmował się książkami i panu czytywał gazety, a teraz jest już na własnym chlebie... Ale otóż i pokoik, w którym on mieszkał,—zakończył służący, otwierając drzwi do niewielkiej, ale bardzo schludnej izdebki, gdzie stało kilka szaf zaszkłonych, napełnionych książkami. Kilka krzeseł, stolik, sofka i łóżko, jak gdyby świeżo zasłane, stanowiły resztę sprzętów tego pokoiku...

Stanisław, którego służący zostawił teraz samego, miał dość czasu, aby się rozpatrzyć w tém nowém swoim pomieszczeniu, zbliżył się tedy i do szafek, a już z tytułów na grzbietach książek, przekonywał się, że p. Kwiatkowski ma wcale piękny zbiór dzieł rozmaitych,

które ułożone były w pewnym porządku i wykazywały widoczny postęp od książek treści łatwiejszej, i dla młodego wieku właściwej, do coraz trudniejszych, a nawet wyłącznie naukowych. Więc były tam i małe powiastki obyczajowe, i życiorysy sławnych ludzi, którzy własną pracą i zasługą szeroko zastąpili, opisy podróży, przystępne popularne dzieła historyczne i „Żywoty Świętych“ Piotra Skargi.

W chwili kiedy się Stanisław uważnie książkom tym przypatrywał, wszedł do pokoju p. Kwiatkowski.

— No jakże się tu podoba, panie Stanisławie—zagadnął młodzieńca niespodzianie.

— Jestem nadzwyczaj uszczęśliwiony—odparł Stanisław—i na domiar mam towarzystwo książek, które nadewszystko lubię...

— Tém lepiej, bo właśnie zajmowanie się temi książkami będzie szczególnie obowiązkiem pańskim. Są to książki, jak się pan zapewne już domyśliłeś przeznaczone dla użytku mojej młodzieży handlowej. Oddawna bowiem jest u mnie zwyczajem, a nawet przepisem domowego życia, że część czasu wolnego od zajęcia w sklepie, poświęca młodzież moja czytaniu książek pożytecznych i zajmujących.

— To prześliczna myśl!—zawołał Stanisław.

— Być może—odparł p. Kwiatkowski—ale proszę nie mieć, że była ona tak łatwą do wykonania. Dzisiaj jednakże młodzież moja już tak przywykła do tego pokarmu duchowego, że prawie każdy z nich, aczkolwiek znużony całodziennym w sklepie zajęciem, zanim spać się położy bierze chociażby na pół godziny, jaką pożyteczną książkę do ręki. W ten sposób już przy mój pomocy nie jeden własną pracą wyszedł na kupca światłego i wykształconego. Ale wracam do rzeczy, otóż zwykle miewam kogoś z młodych ludzi, kształcących się w uniwersytecie, który mieszkając u mnie, zajmuje się tą biblioteczką, czuwa nad tém, żeby ona wzrastała zwracając uwagę moją na każdą książkę, którąby dla niej nabyć należało. Prócz tego, obowiązkiem jego jest mieć w ewidencji książki wypożyczane.

— Bardzo chętnie podejmuję się tego wszystkiego, i spodziewam się, że pan dobrodziej będzie ze mnie zupełnie zadowolniony.

## II.

Od owój chwili ubiegło kilka tygodni.

Stanisław zapisał się w poczet studentów uniwersytetu, i z wielkim zapałem oddał się pracy naukowej. Szczęśliwym czuł się zupełnie, bo coraz więcej przywiązywał się do swego dobrodzieja, o którego zacności i szlachetności charakteru niejednokrotnie miał sposobność słyszeć i sam się przekonywać.

Gdzie tylko chodziło o jaki piękny uczynek, o wsparcie dobroczynnych zakładów, o otarcie też nieszczęśliwym ludziom, wszędzie p. Kwiatowski z pierwszym i najhojniejszym pospieszał datkiem.



Nieraz też słyszał Stanisław z ust jego tę zasadę, że nie na to jest się kupcem, aby tylko gromadzić pieniądze, bo one mają tylko wtedy wartość, jeżeli się ich używa do celów szlachetnych, dla dobra kraju i społeczeństwa.

Zasadę tę stwierdzał p. Kwiatkowski sposobem całego swego życia, a znali go dobrze i księgarze, u których dosyć wiele kupował książek, i młodzi malarze i rzeźbiarze u których nieraz zamawiał obrazy i rzeźby...

To też mieszkanie p. Kwiatkowskiego urządzone było z wielkim gustem, choć nie było w nim skaczących w oczy błyskotek, ale natomiast ściany zdobiły piękne, wyłącznie przez polskich artystów wykonane obrazy, a na kolumnach tu i owdzie piękne widzieć można było rzeźby...

Stanisław, im dokładniej poznawał swego dobroczyńcę, tém bardziej zaciekawiony był dowiedzieć się coś o jego przeszłości.

Życzeniu temu nareszcie przyszedł w pomoc sam p. Kwiatkowski, bo wszedłszy razu pewnego do pokoiku Stanisława, tak go zagadnął:

— No, jakże się tam p. Stanisławowi wydział prawny podoba?

— Bardzo jestem z wyboru mego zadowolony, tém więcéj, że, dzięki łasce pana dobrodzieja, mogę, nie kłopotząc się o byt materialny—z całą swobodą oddawać się pracy i nauce...

— No dobrze, dobrze... ale jabym cié przecieź chciał namówić, żebyś został kupcem... ale prawda, obiecałem ci kiedyś opowiedzieć historią mego życia...

— Pamiętam o tém dobrze—odparł Stanisław—ale nie śmiałem obietnicy téj przypominać, zwłaszcza, że pan zawsze tak zatru-dniony.

— Dziś mam jednak trochę czasu wolnego i pokrótce ci opowiem—odparł p. Kwiatkowski, który na prośby Stanisława już od niejakiego czasu zaniechał w rozmowie chłodnego wyrazu „pan“ używać.

— Postuchaj więc, kochany Stanisławie—rzekł po chwili i rozpoczął swe opowiadanie.

— W jedném z miasteczek galicyjskich mieszkał p. Adam K. właściciel małego sklepiku, przynoszącego dochód tak skromny, że zaledwie wystarczyć mógł na utrzymanie żony i jedyne-go syna, który wówczas właśnie ukończył był szkołkę ludową.

Rodzice rozmyślali nad tém, co dalej z chłopcem począć, zwłaszcza, że okazywał wielką ochotę do nauk, nauczyciel miejscowy upa-trywał w nim niepospolite zdolności.

— Gdybyś mógł zostać księdzem—mawiał nieraz ojciec, ale cóż, nie mam go za co posłać do szkół wyższych.

Takimi myślami trapił się biedny ojciec, gdy wkrótce wybuchł pożar ogromny. W jednéj chwili spłonęło mnóstwo domów, które były przeważnie z drzewa. Ogień zagarnął już i tę uliczkę, gdzie właśnie znajdował się sklepik korzenny p. Adama, niebawem zajął

już nawet dom jego, a niestety znikąd nie było ratunku, bo w tak groźnej chwili, każdy myślał przedewszystkiēm o sobie samym.

Ojciec więc i matka przy pomocy pijanego parobka ratowali się sami.

Ale cōż mogły tak słabe siły poradzić przeciw nieszczęsnemu żywiołowi. Jakoż na miejscu biednego domostwa pozostały tylko zgliszcza i popioły...

Co tu teraz począć, gdzie się schronić, tēm bardziej że było to w późnej jesieni, a wiatr już prawie zimowy i mroźny wył przeraźliwie po ulicach.

Jeden z mieszczan, jakiś daleki krewny p. Adama, którego domostwo ocalało, przyrzekł po wielkich prośbach na jakiś czas przytułek dla biednej rodziny.

Trudno opisać wszystkie upokorzenia, jakich nie szczędzono tym ubogim ludziom, przy każdej sposobności dawano im do poznania, że są ostatnimi nędzaczami, że darmo u obcych ludzi chleb jedzą.

Na domiar nieszczęścia, ojciec mój, bo domyślasz się, Stanisławie, że nim był ów pogorzelec, skutkiem zmartwienia i nędzy zachorował ciężko. Nie było za co posłać po lekarza lepszego, a chirurg miejscowy raz tylko raczył zajrzeć, pokiwał głową i odszedł, żadując nie zostawiając nadziei.

Nie długo po tēm było nas już tylko dwoje, ostatni grosz uratowany poszedł na pogrzeb ojca, zatēm nędza dawała się czuć coraz bardziej.

Jednego dnia, chcąc matce mojej ulżyć wyszedłem na rynek miasteczka, prosząc, aby mnie kto wziął na służbę lub najął chociażby do jakiegokolwiek roboty. Ale wszędyje odprawiono mnie z uśmiechem, zacząłem tedy żebrać, lecz zaledwie tu i owdzie rzucono mi kawałek suchego chleba.

Powróciłem więc smutny do matki, ale zastałem ją leżącą w kącie na wilgotnej ziemi, bo w izbie, której nam tymczasowo ustąpiono, nie było nawet podłogi...

— Matka moja wzdychała głęboko i była bezprzytomna. Zacząłem wołać ratunku, wybiegłem wreszcie na ulicę, gdzie na szczęście spotkałem chirurga. Płacz mój połączone z krzykiem rozpacz, sprawił na nim takie wrażenie, że wstąpił do ubogiego domku... ale niestety powiedział to samo, co przed śmiercią ojca. Była to choroba zaraźliwa, podobno tyfus, nie było ratunku... Za kilkanaście dni już i matkę moję złożono na miejscu wiecznego spoczynku.

Zostałem sam jeden na cmentarzu, rzuciłem się na święzą mogilę, płacząc i jęcząc... aż nareszcie usnąłem... Było to już nad ranikiem, gdy grabarz znalazł mię tak leżącego i przeziębłego. Poczciwy staruszek zaniósł mnie jak mógł do siebie, a potēem zaprowadził na probostwo.

Przez czas jakiś tam pozostałem, posługując do mszy św. a niekiedy i pasając trzodę... ale razu pewnego przyjechał do księdza brat

jego, który był kupecem korzennym w Nowym Sączu. Sam nie wiem, jakim sposobem zdołałem mu się podobać. Dość, że odjeżdżając zabrał mnie ze sobą. Tak więc rozpocząłem mój zawód handlowy. Przykre były pierwsze lata mego w Sączu pobytu, zwłaszcza, że oprócz zatrudnienia w sklepie, używano mnie do najrozmaitszych, niekiedy bardzo upokarzających posług... Wytrwałem jednak cierpliwie, myśląc ciągle, aby się z czasem do większego dostać miasta. Pryncypał mój był ze mnie zadowolony, pokładał we mnie zupełne zaufanie, a nawet wkrótce oprócz utrzymania całkowitego, wyznaczył pewną, jak na początek dosyć zachęcającą zapłatę. Ponieważ potrzeby moje na ubranie były bardzo umiarkowane, więc chyba tylko na zakupienie jakiejś pożytecznej książki wydawałem od czasu do czasu po kilka złotych. W ten sposób po upływie lat kilku z oszczędności moich złożyłem sobie kilkaset złotych i sądziłem, że z tém mogę się puścić do Krakowa. Jakoż niedługo potem, wzięwszy od pryncypała mego świadectwo puściłem się w drogę, i po kilkudniowej po większej części pieszo odbytej podróży, stanąłem w murach starego miasta. Wkrótce znalazłem miejsce. Kupiec który mnie przyjął, położył jednak warunek, że bierze mnie tylko na próbę i że przez ten czas próby żadnej nie dostanę zapłaty. Zgodziłem się na wszystko i nie zważając na naigrawania się towarzyszy, którzy śmiali się z moich nawyknień i zwyczajów małomiasteczkowych, z ufnością w lepszą przyszłość pełniłem swoje obowiązki. Wkrótce upłynęły miesiące próby, poczem pryncypał mój, zawezwawszy mnie do siebie, wyraził mi zadowolenie swoje i wyznaczył płacę, która wynosiła dwa razy tyle, co mi w Sączu płacono.

Odtąd już położenie moje stawało się coraz lepsze, płaca moja podwyższała się z każdym rokiem, a mały mój kapitałik, który umieściłem w kasie oszczędności wzrastał coraz bardziej.

Miałem już wówczas lat 28, gdy razu pewnego zobaczyłem w kościele gorąco się modlącą dziewczę. Nie wiedziałem kto ona, ale ze skromnego ubrania domyśleć się łatwo mogłem, że ze średniego pochodziła stanu.

Przez kilka tygodni o tym samym czasie wychodziłem na nabożeństwo niedzielne, i zawsze w tém samym widziałem ją miejscu.

Pewnego dnia czekałem przy drzwiach kościoła, aby ją niepostrzeżenie śledzić, dowiedzieć się, gdzie mieszka i co za jedna.

Starania moje odniosły częściowy skutek; dowiedziałem się bowiem, że była to córka wdowy po podupadłym właścicielu dóbr, wreszcie, że szyciem bielizny siebie i ubogą matkę utrzymywała.

Zrobienie znajomości nie było więc tak trudnem, udałem się z zamówieniem bielizny dla mnie i po kilku tygodniach zacząłem bywać w domu.

Matka Karoliny, bo takie było panny imię, zdawała się przeczuwać moje zamiary, ale cóż kiedy wdowa po byłym właścicielu dóbr ziemskich miała swą dumę rodową i nieraz odzywała się ze zdaniem,

że nie wydałaby córki swój chyba tylko za bogatego kupca. Za bogatego kupca! pomyślałam sobie, zatém nie ma dla mnie widoków, dla mnie, który wówczas tylko byłem subjektem. Ale myśl ta niedawała mi spokoju, tém bardziej, że zdawało mi się, iż zdołałem pozyskać wzajemność pięknej Karoliny.

Zostanę więc kupcem, pomyślałam w końcu t. j. otworzę własny handel, a kto wie, może wkrótce stanę się bogatym i poślubię Karolinę!.. Jakoż nie długo potém nająłem z oszczędności mego kapitału sklep, sprowadziłem towary i otworzyłem handel.

Z początku wiodło mi się dosyć dobrze, ale potém, czy moja miłość, która mi głowę zaprzętała, czy brak potrzebnego kapitału i doświadczenia sprawiły, iż powinęła się noga... że musiałem sklep zamknąć... bo straciłem wszystko...

Wiadomość o tém spadła jak grom na biedną Karolinę... Ja rozpocząłem na nowo zawód subjekta, nie tracąc nadziei, że się jeszcze mogę czegoś dorobić, ale nie mogąc już nawet pomyśleć o Karolinie, w której domu z tego powodu przestałem nawet bywać. W kilka miesięcy potém dowiedziałem się, że Karolina wychodzi za mąż za jakiegoś urzędnika. Byłem na jój ślubie i odtąd jój już nie widziałem, nie pamiętam nazwiska jój męża i nie wiem, gdzie się ona teraz obraca...

— Od tego czasu nie kochałem już żadnej kobiety, i jak widzisz, pozostałem starym kawalerem.

— Zdaje się jednak, że Bóg chciał mi stratę Karoliny powetować w inny sposób... służyło mi szczęście jak rzadko komu, i jestem dzisiaj dość bogatym, a majątek mój, którego nie mogę zapisać dzieciom, zostawię krajowi.

Tak opowiadał p. Kwiatkowski, gdy w téj chwili wszedł służący i oddał jakiś list Stanisławowi.

— To list mojej matki! zawołał z radością Stanisław, a przełamawszy pieczętkę, począł go szybko przebiegać okiem...

Była to istotnie, odpowiedź matki jego na list ostatni, w którym jój donosił o zrobionej z p. Kwiatkowskim znajomości, o umieszczeniu, które znalazł w jego domu...

Stanisław połykał prawie wyrazy listu matczynego, aż napotkał w nim ustęp, który czytając nie dowierzał swym oczom...

— Jako matka moja pisze, że znała pana kiedyś przed laty, i zapytuje czy pan dobr. przypominasz sobie nazwisko Chełmińskiéj...

— Chełmińska! wszakże to nazwisko Karoliny, zawołał pan Kwiatkowski.

— A matka moja — odpowiedział z radością Stanisław — jest z domu Chełmińska, imię zaś jój jest Karolina...

Łatwo sobie wyobrazić rzewną i piękną scenę między tymi dwoma ludźmi, których opatrność w tak dziwny sposób zbliżyła do siebie...

Nie chcę przedłużać opowiadania mego i nadużywać cierpliwości

czytelników, bo może powiedziałbym to tylko, czego się już sami domyślają, a domyślają się zapewne, że p. Kwiatkowski nie długo potem połączył się ślubem dozgonnym z matką Stanisława, i tak pozostał wiernym swemu pierwszemu uczuciu...

Stanisław zaś ukończył prawo, otrzymał stopień akademicki i wreszcie po śmierci swego ojczyma i dobrodzieja stał się właścicielem jednego z pierwszorzędných sklepów korzennych w Krakowie.

Nauka i wykształcenie, które sobie zdobył pracą, a piękny charakter, który w całym życiu okazywał, sprawiły że stał się prawdziwą chlubą obywatelstwa miejskiego.

## KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Uroczystość w Akademii francuzkiej: Przyjęcie pana Halevy: mowa p. Pailleron. — „Wspomnienia z lat sześćdziesięciu,“ przez Ernesta Legouvé. — „Lotaryngia,“ dzieło ilustrowane. — „Raporta Bartłomiej Sturmera,“ komisarza austryackiego na wyspie Świętej Heleny, wydane w Wiedniu. — Nowy akademik Lecomte de Lisle. — „Rok 1802,“ dyalog umarłych, na cześć Wiktora Hugo, przez Renana. — Wagner i Lohengriny. — „Komedyanci w średnich wiekach we Francyi,“ p. profesora Sorbony Petit de Julleville. — Nowe kartony pana Andriollego: „Koncert nad koncertami“ z Pana Tadeusza. — Pomnik grobowy pani Tamberlick, dłuta pana Cypryana Godebskiego.

Uroczystości akademickie powtarzają się bezustanku, nigdzie bowiem śmierć nie czyni takich wyłomów, jak w gronie czterdziestu, zwanych nieśmiertelnymi. W połowie lutego po zmarłym hrabi Haussonville, zajmował miejsce Ludwik Halevy, znany zarówno w teatrze jak i w powieściopisarstwie. Odpowiadał mu świetny autor komedyi Pailleron. Połączenie dwóch tak popularnych imion, obiecywało prawdziwą ucztę duchową publiczności paryzkiej, jakoż obaj koryfeusze pięknej literatury uwiązali się z powszechném zadowoleniem. W obu przemówieniach uderzyła nas szczególnie silna protestacya przeciw grubemu realizmowi, w jakim grzęźnie dziś literatura, pociągając za sobą społeczeństwo.

Halevy podniósł różnostronne prace poprzednika. Rozbiera kolejno jego historyczne pisma, mianowicie czterotomowe dzieło pod tytułem: „Połączenie Lotaryngii z Francją,“ w którym autor wystawia rozumny i dobroczynny wpływ Stanisława Leszczyńskiego; mówca przebiega potem inne prace Haussonvilla: „Kościół rzymski za pierwszego cesarstwa“ i „Wspomnienia z lat młodych.“ O tém ostatniem dziele mówiliśmy szczegółowo w roku zeszłym.

Uczciwszy w poprzedniku biegłego pisarza i wytrawnego męża

stanu, Halevy ukazuje w nim człowieka w wysokiem tego słowa znaczeniu. Przypomina, jak bez względu na podeszłe lata, gdy niebezpieczeństwo zagroziło ojczyźnie, siwy starzec pochwyca karabin, pełni służbę za okopami oblężonej stolicy, jak po klęskach Francyi, gorący ten lotaryńczyk, zakłada w Vesinet pod Paryżem przytułek dla sierot alzackich i lotaryńskich; jak przepływa kilkakrotnie morze, funduje w Algierze osady dla dobrowolnych wygnańców, którzy bądź co bądź pragną pozostać francuzami.

Zakończenie mowy na szczególną zasługuje uwagę, jest to bowiem wyrwana z duszy skarga, w obec panującej dziś choroby pesymizmu.

Haussonville, rzekł mówca, dał nam wielki przykład poświęcenia, a co więcej, do kresu długich dni swoich, dawał nam przykład młodości. Świat dziś pełen młodych ludzi znudzonych życiem, wpród jeszcze zaczęły żyć poczęły, trawionych melancholią, owianych niewytłomaczoną mgłą smutku. Zwyczajne uczucia, pospolite wrażenia, poziome obowiązki, nie mogą im wystarczyć; odrzucają wszelką wiarę, tak religijną jak polityczną; dla nich wszystko zużyte i w niebie i pod niebem; nie czują w sobie siły do ukochania życia. I po cóż nam żyć? mówią, skoro prędzej czy później trzeba będzie umierać? Rzekłby kto, że dawniej ludzie nie wiedzieli o śmierci, że grób nowym jest dziś odkryciem! A jednak, niektórzy z tych młodych myślicieli usiłują rozwiązać zagadkę przeznaczenia swego, niekiedy nawet tęsknią za ideałem, ale zdaniem ich, dawne ideały przeżyły swój czas i dziś przydać się już nie mogą. Potrzeba im nowego, całkiem oryginalnego ideału; szukają go naukowo, psychologicznie, zda się, że go dotychczas nie znaleźli.

„Haussonville, kończy mówca, nie zadawał sobie nigdy takiej pracy, nie skarżył się nigdy na niemożność ukochania życia, która, powiedzmy prawdę, wypływa z niemożności ukochania obowiązku; nie czuł potrzeby analizowania duszy własnej. Trzymał się wiernie tego ideału, który od najdawniejszych wieków, jest światłem sumienia ludzkiego: kochał pracę, kochał honor, kochał kraj własny! Tym sposobem zostawił po sobie dzieła trwałe i żywotne, dzieła rozumu, dzieła zacnego serca!“

Pailleron wystąpił w sposób oryginalny: zamiast pochwał tak oklepanych w tego rodzaju przemówieniach, przypomina twarde zapory, jakie stały na drodze nowemu akademikowi, do zaszczytu, jaki go spotkał. Podnosi zarzuty opinii publicznej wyrażone w dziennikach: najważniejszy z nich dotyczy teatru. „Akademia, mówiono, ma już do zbytku autorów dramatycznych, i czemuż powiększać ich liczbę?“ „Czemu? odpowiada na to Pailleron, bo teatr silnie zaważył w społeczeństwie naszym, bo sztuki nasze rozbiegają się daleko po świecie. Niech tylko który ze zdolnych powieściopisarzy, a nie brak nam takich, ma dosyć zaufania w talencie swoim, aby obchodzić się bez gru-

biańskich bezecenstw, niech który z historyków wykona znakomitą pracę. Powitamy ich z upragnieniem, gdy zakończą do nas. Co zaś do polityków, akademia gotowa przyjąć ich... jak się znajdują.“

W długim ustępie Pailleron zaznacza wpływ teatru na społeczeństwo, wymownie pokazuje, czém powinna być sztuka dramatyczna, jak ma poruszać serca, uszlachetniać myśli, podnosić ją ku wyższym ideałom... Piękne to słowa, ale niestety jakże dziś daleko do tego. Dość przejrzyć repertuar teatrów paryzkich, owe Sapho, Georgetty i półświatkowe heroiny Dumasa, aby przekonać się czyli autorowie używają potężnego talentu na podnoszenie serc i umysłów, czy też za pomocą fajerwerków i sztucznych sprężyn scenicznych, działając na nerwy widzów, szukają wyższej nagrody nad poklask i korzyść materialną? Nie mówimy tego do Paillerona, ani do Hallewego, ależ oni należą do bardzo nielicznych wyjątków.

Przebiegłszy komedye Halewego „Frou-frou,“ „Fanny Lear“ i t. d., mówca przechodzi do pięknych jego powieści, w których okazał prawdziwie samodzielny talent. Zatrzymuje się nad „Rodziną Cardinal,“ nad tym smutnym obrazem zgangrenowanego społeczeństwa, odmalowanym żywo ale bez cynizmu, w humorystyczny sposób. Mówi nakoniec o znakomitej powieści pod tytułem „Książd Konstanty,“ która pozyskała słuszny rozgłos i otworzyła autorowi podwoje Akademii. Słowa te pełne głębokiego znaczenia, określają wybornie dzisiejsze prądy szamoczące literaturą francuzką.

„Speknieś pan ogromny przewrót, mówi Pailleron, w dziele swoim zrehabilitowałeś cnotę, dałeś ją ukochać, przez nią samą i dla niej saméj! Wielka to śmiałość w obecnym stanie rzeczy trudno byłoby oczekiwać powodzenia. Wyznajemy prawdę ze smutkiem: cnota nie należy dziś do postępu!

„Biedna cnota! tłumy szydą z niej. fizyologowie całkiem jęj zaprzeczają, ludzie światowi nazwali ją nudną, ludzie praktyczni nie widzą w niej pożytku. Dramaturgowie nasi, którzy od niepamiętnych czasów, nagradzali ją w piątym akcie, usunęli jęj stanowczo skromne beneficya klasycznego rozwiązania rzeczy, poeci nasi rzucają na nią klątwy; co zaś do powieści, któż nie wie jak cnota całkiem z nich wywołana, jeżeli nie obłudzana zniewaga? Aby ją widzieć otoczoną szacunkiem, trzeba utworzyć chyba tomik różowej biblioteczki dla dzieci; aby ją widzieć nagrodzoną, trzeba przyjść raz na rok do Akademii! Biedna cnota!“

Na dowód, Pailleron wybiegając, jak mówi, na chwilę z akademickich ogrodów, przytacza bardzo charakterystyczną przygodę.

„Znam ją, mówi on, młodą panią bardzo postępową! jakkolwiek lubi świat, chciała przecież umysłowego pokarmu, jakkolwiek cnotliwa, rozmiłowana w niecnotliwej literaturze. Nie dość, że sama przepada za nią, ale broni jęj, rozpowszechnia, głosi ją jako dobrą i pożyteczną, a to z takim zapałem, że powziąłem słuszną obawę.

Dnia jednego odwiedziłem tę panią, była sama, czytała. Spo-



strzegłszy mnie, ukryła spiesznie książkę. Rozmowa nie szła, młoda pani mówiła z roztargnieniem, myśl jej widocznie zwracała się ku innej stronie. Cóż ją tak silnie poruszało? co mogła czytać? zapytwałem sam siebie. W tém przybył ktoś, pani powstała z miejsca; rzuciłem wzrok na książkę czytanaą ukradkiem. Był to „Książd Konstanty.“ I na cóż dziś przyszło biednej cnotci!

„Bo téz to powieść cnotliwa w całym słowa znaczeniu. Jedyny to zarzut jaki jej uczynili krytycy; nie podobna było odmówić jej wdzięku i prawdziwego talentu. Ależ za wiele znaleźli tu baranków, a za mało wilków, za wiele uczciwości, za wiele cnoty, za wiele kwiatów! Ta dobra amerykanka, która ma dobrego męża i dobrą siostrę; ten zakochany w panience dobry oficer, bratanek dobrego plebana; cały ten dobry romans pełen dobrych czynów, zakończony dobrém małżeństwem... wszystko to, mówiono, sprzeczne z prawdą, tak się nie dzieje w rzeczywistości. Taki jedynie zarzut spotkał tę piękną powieść, ale to właśnie, co ganiono w niej, oczarowało mnie i tysiące czytelników, dało nam chwilę miłego spoczynku, podniosło myśl naszą, zmieniło jej kierunek. Zresztą kiedy zostajemy długo w ciężkiej i cuchnącej atmosferze, a ktoś poda nam fiasko orzeźwiającej woni, nie skarżymy się, że zbyt pachnie, ale szukamy w niej otrzeźwienia. Publiczność dusząca się znalazła tę świeżą woń w pięknej książce i wynagradza za nią autora.“

Przebiegając liczne zarzuty, jakie opinia stawiała przeciw obiorowi nowego akademika, Pailleron zwraca w końcu uwagę na zarzut wesołości. Posłuchajmy co mówi:

„Wesołość! niewinna wesołość! najwybitniejsza cecha umysłu francuzkiego, która czyniła powinność łatwiejszą, nieszczęście lżejszém, która wieńczyła inne zalety nasze, nadawała nam świetny polot... cóż się z nią dzisiaj stało? Niestety i ona dotknięta chorobą tej anemii, podgryzującą żywotne siły naszej! O chorobie tej świadczą rozmaite groźne symptomata; owo zatapianie myśli w drobnych rzeczach, a dziwna trwoga w obec wielkich, owo namiętne lubowanie się w bezcennej literaturze, co porównaćby można do ciekawości, z jaką chory człowiek bada lekarskie książki; owa gorączkowa pogoń za wszystkiém, co brudzi i upadła ludzkość, co ją zniża do miary naszego własnego poniżenia, co wmawia w nas: że wszelkie usiłowania nasze daremne są, bo nam brakło nadziei! że świat pusty, bo straciłmy wiarę!

„Tak zaprawdę, kończy Pailleron, ten lud chory jest i nie uwierzę w jego zdrowie, dopóki nie wróci do dawniej wesołości, dopóki nie usłyszę w koło siebie tego śmiechu szczerego, pełnego swobody, jak ranny śpiew galskiego koguta, tego śmiechu, który nie pochodzi z wyschłego serca, ale świadczy o jego żywotności, rozbudza w nim odwagę, daje mu siłę do zapanowania nad sobą. Kobiety wiedzą o tém, one umieją pokryć wesołością tyle bolesnych ran, tyle łez tajemnie zronionych.

„Nie pogardzajmy wesołym śmiechem, uszanujmy go, uczcijmy w nim dobroć Boga, który nim osłodził dolę naszą. Ktokolwiek widział starca, uśmiechającego się do przeszłości, kto pamięta jeszcze radość matki na widok śmiejącego się dziecka, ten wie, że niewinny śmiech to dar stokroć błogosławiony!“

Najpopularniejszy z akademików francuzkich Ernest Legouvé, pełen życia, mimo że ósmy krzyżyk ciąży mu już na barkach, napisał bardzo ciekawą książkę pod tytułem: „Wspomnienia z lat sześćdziesięciu“, drugi tytuł: „Młodość moja“ zapowiada, że dzieło nieskończone, że po kwiecistej wiosnie, nastąpi słoneczne lato i pełna kłosów jesień. Szczerze tego pragniemy, nowa bowiem książka Legouvého, tém jest wśród nawału dzisiejszych utworów literackich, czém zielona oaza wśród piaszczystej Sahary.

Autor przyjął nową całkiem formę w kreśleniu wspomnień swoich. Nie jest to zwyczajna autobiografia, pisana w chronologicznym porządku; nie jest to dziennik, rzucany z dnia na dzień na papier, pod wpływem świeżych wrażeń. To zbiór osobnych, pełnych życia obrazków: każdy z nich uwydnia rysy znanéj w świecie literackim osobistości, której wpływ silnie oddziaływał na umysł i serce autora. Sierota po matce od lat niemowlęcych, po ojcu od piątego roku życia, Ernest Legouvé potrzebował światłych przewodników, którzyby mu zastąpili opiekę rodzicielską. Znajdował ich też na każdym kroku, a wdzięczny za otrzymaną pomoc, rzewne wspomnienie poświęca każdemu z tych zacnych opiekunów swojej młodości.

„Kto z nas, mówi autor, nie zna tego cudnego obrazu z Biblii, kiedy syn Tobiasza, wybierając się na daleką i niebezpieczną wędrówkę, spotyka na placu miejskim pięknego młodzieńca, który obiecuje przewodniczyć mu w drodze. Otóż nie chcąc bynajmniej poporównywać się do biblijnej osobistości, muszę jednak wyznać, że w każdej stanowczej przygodzie, znalazłem, czy to pod postacią starca czy młodziana, zesłańca Bożego, który mi był przewodnikiem.

Wśród pesymizmu zagranicznego w dzisiejszej literaturze, obrazy Legouvého skreślone z miłością, radują serce, koją myśl i budzą zachwianą wiarę u ludzi. Słowa jego pełne wdzięczności, przypominały nam śliczny czterowiecz Pola:

Choć to życie idzie po grudzie,  
Jak mi Bóg miły niezły są ludzie,  
Ten temu brat, ten temu swat,  
A co dobremu, to każdy rad!

Syn poety, słynnego za czasów cesarstwa, Ernest Legouvé od dzieciennych lat szczególnie okazywał pociąg do poezji. Znany frenolog dr. Gall, obejrzawszy kształt jego głowy, oświadczył, że pójdzie ojcowskim śladem i horoskop ten zwrócił go wcześniej na drogę literacką. W szkołach począł pisać już dosyć udatne wiersze. Było to na

lat kilka przed pamiętnym przełomem romantycznym. Wśród poetów błyszczał Kazimierz Delavigne, utalentowany śpiewak „Messynianek,“ obsypany oklaskami autor „Nieszporów sycylijskich.“ Do niego to siedmnaścieletni uczeń poszedł po radę: nie zawiódł się w oczekiwaniu. „Czytałem mu próby moje przez pół godziny, mówi Legouvé, i przez tę krótką chwilę nauczyłem się więcej niż we wszystkich książkach retoryki. Była to żywa krytyka: nie opuścił żadnego błędu, dał uczuć każdą niedokładność.“

Delavigne pożegnał ucznia zachęcającem słowem: do widzenia. Ośmielony tém młodzian, w kilka tygodni potem, kołacze znów do drzwi poety; zanosi mu odeę pod tytułem: „Geniusz“ poświęconą Kazimierzowi Delavigne.

„Zaledwie rozłożyłem papier, mówi Legouvé, poeta zawołał ze śmiechem: Ho! ho! widzę wielki błąd na początku!

— I jakież?—pytam pomieszany.

— W samej dedykacji, moje dziecko, wierzę zupełnie w szczerść twoją, ale przy imieniu mojem położony wyraz geniusz, świadczy tylko, że się na nim nie znasz. Geniusz! to epitet stosowny dla Kornela, Rasyana, Szekspira lub Sofoklesa. Nierozważnym jesteś, ja też będę surowym dla twój ody.

„Odczytałem wiersz, Delavigne milczał głęboko, a potem rzekł stanowczym głosem.

— „Twoja oda, mój chłopcze, nie nie warta. Gdyby szło o samą formę, nie uważałbym na to: usterki pióra, to rzecz zwykła początkującym; co mnie niepokoi, to słabość myśli, więcej się spodziewałem po pierwszych próbach twoich. Przyszła na ciebie chwila przesilenia, możesz się zdobyć na bohaterską odwagę. Przez rok zaniechaj całkiem wierszy. Pozostaw na czas formę, ona się zawsze znajdzie i pracuj nad fundamentem, kuj sobie rozum, ucz się, poznaj arcydzieła wszystkich ludów. Umieść na pamięć Kornela, Rasyana i Moliera; to dobrze, ale nie dosyć. Zbadaj Sofoklesa, Szekspira, tómacz ich, jeśli możesz. Nie zaniedbuj wielkich prozaików naszych; proza jest karmicielką poezyi. Badając drugich szukaj sam siebie. Za rok zobaczymy.

Legouvé do tych uwag dołącza swoje własne. W radach Delavigna wskazuje najmeńszy przepis pedagogiczny dla młodych literatów. „Te słowa, mówi on, szukaj sam siebie w drugich, zdają się zrazu paradoksem, a przecież zawierają w sobie całą sztukę poetyczną. Dawniej mówiono: „Aby pozostać sobą, zamknij się w sobie,“ i była w tém słuszność. Ale dziś kiedy zamknąć się w sobie niepodobna, dziś, kiedy wszystko odrywa nas od siebie samych, kiedy idee krążące wszędzie, wchodzą nam wszystkiemi porami do głowy i do serca, kiedy kursa publiczne, dzienniki, przeglądy, książki, wystawy, rozmowy, podróże, uderzają w nas wielkim prądem najsprzeczniejszych opinii, samoistność nie może już objawiać się naiwnością. Aby poznać siebie potrzeba porównać się z drugimi, kto bada wszystkich, ten

nie naśladowe nikogo. Ciągła styczność z mistrzami rozmaitych szkół, strzeże nas od ślepego uprzedzenia, a budzi wyrozumowany entuzjazm, daje miarę skłonności i sił naszych. Geniusz obejść się może bez tych prawideł, dla talentu są one koniecznością.“

Idąc wiernie za radą Delavigna, Legouvé w rok potem zaniósł mu przekład Agamemnona z Eschyleśa, Romeo i Julii z Szekspira, i plan poematu na konkurs akademicki p. t. „Wynalazek druku.“

Delavigne przyklasnął mu, dodał bodźca do pracy; ucieszył się jak ojciec, kiedy dwudziestoletni poeta zatryumfował na konkursie.

Po tryumfie nastąpiły chwile gorzkich zawodów, po upojeniu smutne rozczarowanie. Legouvé zachęcony wieńcem akademickim, wydał zbiór poezyi. Publiczność obojętnie przyjęła tomik. Zniechęcony młodzian gotów był na zawsze zerwać z poezją, obrać inny praktyczniejszy zawód. Wówczas to Béranger wezwany o radę, uspokoił wzburzony umysł młodzieńca, zatrzymał go na raz obranej drodze. Przytaczamy tu słowa z listu popularnego lirnika, pełne głębokiej prawdy.

„Całe nieszczęście twoje, pisze Béranger, żeś od razu nadto był szczęśliwym. Świat uśmiechnął się do ciebie przy pierwszym wystąpieniu. Przyznaj sam, co cię dręczy? oto duma, pragnienie chwały! Biedne dziecko, gońże sobie za chwałą, strzeż się tylko, żeby ta fatalna organa nie uniosła cię na pustkowie. Jedyne sposob uchroni cię od tego: staraj się być pożytecznym. To prawo Bóg wskazał każdemu człowiekowi; w literaturze tém silniej prawo to musi zobowiązywać. Nie czyn, jak ci wszyscy, którym wystarcza sztuka dla sztuki, szukaj pilnie sam w sobie wiary w jakiś wyższy ideał; przyczep do niego wszystkie usiłowania, wszystkie myśli swoje. Masz serce dobre, umysł szlachetny, niepodobna, aby pieszczoty społeczeństwa, jakich byłeś celem, zatrzeć mogły w tobie miłość bliźniego. Niechże więc to uczucie stanie się przewodnikiem w pracach twoich, przewodnikiem pewniejszym niż najwięksi mędracy świata. Uczucie to wystarczyło, aby ze mnie, istoty marniej, uczynić coś, wprawdzie bardzo błahego, ale zawsze cośkolwiek.“

„Jesteś w dobie najszcześniejszej życia; twe serce młode, nie zajmuj go sobą samym, rozciągnij koło działalności twojej, a przede wszystkim strzeż się tego sztucznego świata, w którym cię los pomieścił. Twój umysł, dusza twoja, znajdą wkrótce żywioł do rozmyślenia, a kierunek przyjdzie sam z siebie. Żadna z danych nam władz nie przepadnie, ale trzeba ję szukać. Ucz się, skoro możesz się uczyć, rozmyślaj, skoro masz do tego czas swobodny, ale nadewszystko zajmuj się więcej drugimi, niżeli sobą samym.“

List ten był dla młodego pisarza, jak sam wyznaje dobroczynnym napomnieniem i wielką na przyszłość nauką.

Najpiękniejszy ustęp w tych wspomnieniach poświęca autor ojcu swemu, scharakteryzował w nim całą epokę pamiętnego przełomu

w literaturze. Przytaczamy w treści ten ustęp, załując, iż ramy nasze nie pozwalają powtórzyć go tu całkowicie.

„Nie znałem prawie ojca mego, mówi Legouvé, ale nigdy żaden ojciec nie uprzytomniał się lepiej w myśli syna. W dziecięcych latach moich, dziadek, babka, których był kiedyś radością i chlubą, mówili mnie o nim, o jego świetnych powodzeniach, wtajemniczali mnie w najdrobniejsze szczegóły jego życia.

Znałem wybornie ojca, umiałem na pamięć wszystkie jego utwory.

„Gdy wszedł pomiędzy ludzi, czułem na każdym kroku słodki wpływ tego niewidzialnego opiekuna. Imię jego torowało mi drogę. Imię to zniewoliło mi Kazimierza Delavigne, zjednało mi względy Lemerciera; imieniu temu zawdzięczam współczucie Akademii. Ilekroć powtarzano imię jego, oczy wszystkich zwracały się ku mnie z życzliwością. Jakaż więc była moja boleść, gdy ujrzałem tę drogą postać strąconą z piedestału, sponiewieraną, obrzuconą szyderstwem.

Nadszedł rok 1831. Walka romantyków z klasykami zawrzała z całą gwałtownością. Literatura z czasów cesarstwa, stała się przedmiotem sarkastycznych pocisków. O pisarzach z téj epoki mówiono z największą pogardą. Owóż ta literatura była polem tryumfów mego ojca. Sarkazmy rzucane na żywych jeszcze towarzyszków spadały na drogą mi jego pamięć. Gdziekolwiek nakreślone z gniewem imiona Jony, Arnould, Lemercier, czytałem opuszczone przez grzeszność imię Legouvého. Czestokroć spotykałem i to imię; śmierć nie rozbroiła zawziętych szermierzy, pastwili się nad zmarłym, utwory jego ośmieszali bez litości.

Wiktor Hugo, w słynnej przedmowie do Cromwella szydzi z tragedyi: Śmierć Henryka IV, ostatniej pracy mego ojca; Sainte Beuve o utworach jego wyrażał się z pogardą.

„Cierpiałem niestęchanie, tém bardziej, iż z całym współczuciem Ignąłem do nowéj szkoły. Jój zuchwałe porywy czarowały mnie, jój pragnienia były mojemu. Będąc studentem jeszcze, powtarzałem z kolegami poczyte Lanartina i pierwsze ody Wiktora Hugo. W godzinach wolnych tłómaczyłem Mackbetta, Larę, Korsarza, ustępy z Childe Harolda. Dzień, w którym doszła wieść o skonie Byrona w Misolunghi, był dla nas dniem żałoby.

„Później na słynnej próbie Hernaniego, należałem do sześćdziesięciu uprzywilejowanych, którzy znaleźli wstęp do teatru, powróciłem do domu zachwycony. Ale zarazem dusza moja zżymała się na ten bezwarunkowy zachwyt, widziałem w tém najprzód ubliżenie drogiej pamięci ojca, a potem program nowéj szkoły oburzał mnie często jako dziwaczny i niesprawiedliwy. Pogarda dla Rasyna była w oczach moich świętokractwem, lekceważenie Kornela, Bossueta, Lafontaine zbrodniczą zniewagą geniuszu. Dodajmy jeszcze, że to oburzenie podzielałi ze mną dawni przyjaciele ojca mego. Byłem na pierwszém przedstawieniu Hernaniego w loży Lemerciera, którego czciłem jako męża wielkiej nauki. Stary klasyk powtarzał co chwila: to niedo-

rzeczność! to nie ma sensu, dawno nie widziałem tak złej sztuki!“ Łatwo pojąć jak burzliwą walkę myśli i uczuć, musiał zbudzać w mój dwudziestoletniej głowie ten nawal najsprzeczniejszych opinii. Byłem zupełnie przygnębiony, rozdarty sam w sobie, jak owa Sabina podczas walki braci swych z Horacyuszem.

Nakoniec szarpany bezustanku, przyszedłem do boleśniejszego jeszcze uczucia: zwątpiłem o talencie ojca mego. Wątpliwość ta rozdzierała mi serce, postanowiłem bądź co bądź rozwiązać tę okrutną zagadkę. Kto ma słuszność? Czy epoka, która podniosła tak wysoko ojca mego, czy nasza, która strąca go w przepaść zapomnienia? Ażaliż stawa jego była kaprysem mody, dowodem skażonego smaku, czy też spoczywała na trwałej podstawie? Na rozwiązanie téj zagadki, jeden był tylko sposób, umyśliłem go użyć. Wziąłem cztery celniejsze prace ojca mego, odczytałem je z wyteżoną uwagą, pomafu, zinnno, jakby dzieło obcego pióra. Odczytałem je przy świetle nowych idei, ale nie przepominając dawnych pojęć. Odrzuciłem na bok z obu szkół wszelki fałszywy blask, wszelkie przesady, szukając tylko bezwarunkowego piękna i prawdy. Było to pracowite studyum, dokonałem go jednak i wyszedłem z próby zaspokojony jako syn, oświecony jako artysta, przekonany sumiennie, że w czterech celniejszych dziełach ojca mego, są niezaprzeczone piękności, które budziły słuszenie hołdy współczesnych i zasługują, aby potomność je poznała.“

Pomijamy trzy piękne tragedye, które Ernest Legouvé rozbięra szczegółowo, pierwsza z nich Śmierć Abła, przedstawioną była w roku 1792, w chwili, kiedy tyłu Kainów ubroczyło ręce we krwi bratniej, druga Eucharis i Neron, grana w r. 1794, podczas gwałtów Robespiera, trzecia Śmierć Henryka IV, obsypana oklaskami za pierwszego cesarstwa. Wszystkie trzy zasłużyłyby na szczególny rozbiór, gdyby pozwalały na to ramy kroniki naszej. Nie podobna jednak pominąć nam poematu, do którego przyrosło szczególnie imię Legouvégo słynnego poematu pod tytułem „Zasługa kobiet“. Autor pokazuje nam rodowód i głębokie znaczenie téj pomnikowej pracy.

„Dzieła wyższego znaczenia, mówi on, tę noszą cechę, że są wpływem swéj epoki a zarazem ją wyprzedzają, że to wypowiadają na głos, co ogół czuje w duchu, co posłyszeć pragnie a czego sam wyrazić nie zdała. I cóż nadało ten ogromny rozgłos Zasług kobiet? To, że ów poemacik był niejako echem publicznego sumienia. Społeczeństwo zaledwie że odetchnęło po rewolucyjnym terroryzmie. Kobiety okazały się w tych czasach szczytne odwagę i poświęceniem. Wszyscy czuli w duszy wdzięczność i uwielbienie dla tych bohaterek i męczennic; kiedy więc poeta, odrzucając nabok dawne epigramata i madrygały, w miejsce satyrycznej chłosty siedemnastego wieku i chciwych pochlebstw osiemnastego stulecia, skreślił poważny obraz zasług i obowiązków kobiety, kiedy odmalował w niej żonę, córkę, siostrę i matkę, chór pochwalny przywótórzył poecie. Wrażenie pozostało tak głębokie, że czas dotąd zatrzeć go nie zdołał.

„Tak jest, oprócz niektórych zwrotów przestarzałych, poemat znany dziś jeszcze nie z samego tytułu. Dotąd pojawia się w nowych wydaniach, dotąd w uczciwem nieszczaństwie paryżkiem, młodzian składa go w darze narzeczoněj. Słowem powiedzieć można, że ważne pytania podniesione dziś co do wychowania kobiet, polepszenia im losu, zapewnienia im słusznych praw, mają genezę swoją w poemacie *Zasługa kobiet*. My wszyscy, którzy podnosimy głos w tój sprawie, rozwijamy tylko prozą to, co wyśpiewał poeta; co zaś do mnie mówi w końcu Ernest Legouvé, wyznaje śmiało, że w pracy mojej, „*Historji kobiet*,” podtrzymywała mnie najsilniej myśl, że czułem się w niej synem i spadkobiercą ojca mego.“

Wspomnienia z lat młodych, dociągnął autor do roku 1834, do chwili, kiedy w dwudziestym siódmym roku życia, poślubił tę, którą ukochał, mając lat siedmnaście. Tój wiernej towarzysze, zmarłej już od lat wielu, oddaje najchlubniejsze świadectwo.

„Przyjaciele wspomnieni powyżej, mówi on, działali głównie na ukształcenie mojej inteligencji, na kierunek mego umysłu i prac moich; ona ustaliła mój charakter, podniosła uczucia moje, ugruntowała zasady. Jeśli cokolwiek uczyniłem lub chciałem uczynić, to wyłącznie nie pochodzi od niój, moja istota moralna jest wyłącznie jój dziełem.

„Wpływ jój nie objawiał się w zwykły sposób, radą ani namową. Działała na mnie jak światło działa na rośliny i żyjątka, siłą promieni swoich. Ona dała mi odczuć cudny wiersz, w którym Michał Anioł określa spojrzanie ukochaněj:

La luce

Che mi montra la via ch'al Dio mi guide.

(Jój promienisty wzrok ukazał mi drogę, prowadzącą do Boga).

Od czasu Jana z Czarnolasu, który nazwał uczciwą żonę silną podporą domu, ozdobą męża, koroną jego głowy; żaden poeta, o ile wiemy nie uczcił tak chlubnie małżonki swojej, jak Legouvé w pięknych wspomnieniach.

Pojawiło się w tych czasach illustrowane dzieło pod tytułem „*Lotaryngia*.” Jest to obszerna monografia tój prowincji, rozszarpanej na dwoje przed laty czternastu. Wkrótce po klęskach 1871 roku, Teofil Gautier wraz z Gustawem Doré umyślili wykonać tę pracę. Nim się do niój zabrali umarł Gautier w r. 1874; rzecz poszła w odwłokę nim Doré znalazł nowego współpracownika. Tymczasem Niemcy, dumni z odniesionych tryumfów, wydali w Stutgardzie ozdobne dzieło o Alzacji i Lotaryngii. Dodało to bodźca francuzom. Kilku znanych pisarzy, rodem lotaryńczyków, rozdzieliwszy pracę między siebie, zabrało się gorliwie do niój; dzięki ich wspólnym usiłowaniom, wyszła na świat ozdobna publikacya. Autorowie, unikając pilnie wszelkich politycznych sporów, traktują rzecz zupełnie przedmiotowo: nakreślili obraz Lotaryngii, jaką była do roku 1870, ostatnie lat czternaście pozostawili w cieniu.

Wstęp do dzieła napisał Augustyn Prost, znakomity paleograf, archeolog i historyk, oddany wyłącznie erudycyjnym pracom nad Lotaryngią. W obszernym zarysie historycznym, pokazuje autor całą przepaść, jaka oddziela cesarstwo Rzymskie z epoki Karola Wielkiego i Ottonów, od tegoż cesarstwa w epoce Karola V-go i następnych Habsburgów. W pierwotnym ustroju swoim cesarstwo było prawdziwą federacją społeczeństwa, złożoną z drobnych centrów administracyjnych, które walczyły z sobą, jako państwa niepodległe, ale stanowiły ścisłą jedność, reprezentowaną przez cesarza w rzeczach polityki, a przez papieża w sprawach religijnych. Ustrój ten odpowiadał usposobieniom fizjologiczno-psychicznym ludów Europy: prawdziwa bowiem Europa, poszarpana mnóstwem rzek, poprzecinana łańcuchami gór, już przez samo geograficzne położenie zmuszała mieszkańców swoich do wyrobu indywidualizmu, tak nieodpowiedniego mieszkańcom równin nadwożańskich.

Żywiół zwany germańskim reprezentowany był w Europie przez Gotów, Nemetów, Burgundów, Franków, Waragów czyli Normandów i inne ludy. Żywiół ten wyrabiał ów charakter indywidualistyczny, który później tak zabłysnął w instytucjach, zwanych dziś prowincjonalnymi, i tak wysoko podniósł poczucie godności obywatelskiej człowieka.

Aby dobrze ocenić stan Europy za cesarstwa tamtych wieków, trzeba porównać go ze stanem rzeczy w wiekach XVII i XVIII-ym, kiedy centralizacja państwowa sparaliżowała rozwój indywidualizmu, i doprowadziła ludy do ostatniego poniżenia. Żaden Otton ani Barbarossa nie byłby odważył się zawołać: „Państwo to ja!“, jak wołał Ludwik XIV-ty. Kilkaset państw udzielnych zawołałoby: to fałsz! gdy tymczasem uczeni i statyści Europy, odpowiedzieli poklaskiem na pyszne słowa Sardanapala wersalskiego.

Tę niepodległość osobnych państwerek, stanowiących cesarstwo Rzymskie, doskonale charakteryzuje miasto Metz. Ilekroć cesarz odwiedzał ten gród, na placach i ulicach przeciągnięte były żelazne łańcuchy określające ściśle miejsca, które wolno było zwiedzać monarchę. Umawiano się naprzód co do liczby osób, składających orszak cesarski. Przy wjeździe do miasta cesarz wykonywał przysięgę, jako nie naruszy w niczém praw jego i przywilejów. Zbrojna milicya czuwała w ukryciu, dla tém większego bezpieczeństwa. Słowem, oprócz opłaty pieniędzy, miasto żadną nie obciążone było zależnością. Takie same prawa dotyczyły całej Lotaryngii. Kraj ten odpadł od związku wskutek traktatów z roku 1648 i 1738, zgodnie z przyzwoleniem samego cesarstwa Rzymskiego.

Po historycznym zarysie następuje opis departamentu Mozelli przez Loredana Larchey. Znajdujemy tu obszerną monografią warownego miasta Metz, opis wspaniałej katedry, celniejszych gmachów, instytucji naukowych, jak słynnej niegdyś szkoły politechnicznej i t. p. Wspomina autor imiona znakomych ludzi, szczególnie w zawo-



dzie wojskowym, jakich wydała ta część Lotaryngii. Nad wszystkimi góruje Ney, syn ubogiego bednarza, prosty kowalczyk, który przeszedłszy wszystkie szczeble hierarchii wojskowej, zaszczycony tytułem marszałka państwa i księcia Moskwy, skończył życie rozstrzelany w Paryżu za restauracyi Burbonów.

Utalentowany powieściopisarz i poeta Andrzej Theuriet, opisał z miłością rodzinne strony swoje nad Meuzą, dawne księstwo Baru, oddane niegdyś pod zarząd naszego króla Stanisława. W mieście Commercy wspomina dawną rezydencją tego króla i założony przez niego przepyszny park na wzór wersalskiego, zniszczony dziś bez śladu.

Opis Wogezów przez Ludwika Jouve, obejmuje ciekawy obraz wsi Domremy, rodzinnego gniazda Joanny d'Arc. W kilku drzeworytach widzimy jój domek, jakim przedstawiał się w różnych czasach. Domek to mały, o spiczastym dachu, o jedném niewysokiem pięttrze. Odnowiony poraz ostatni przed laty kilku zachował dawny kształt, dodano tylko dwa małe budynki, jeden przeznaczony na szkółkę dla dziewcząt, drugi na muzeum, szczupły bowiem domek nie mógł objąć wszystkich pamiątek, jakie tu zewsząd nadsyłało. W tém dobudowanym skrzydle oprócz broni ówczesnej, nagromadzono mnóstwo rycin i obrazów, przedstawiających bohaterkę w różnych chwilach jój życia, to młodą dziewczętką przy ognisku domowém, to w rycerskich zapaśkach, to w więzieniu i na ławie sądowej. Anglik jeden darował obraz: „Joannę pielęgnującą ранego nieprzyjaciela.“

Nad główném wejściem domu wyrzeźbione w kamieniu dwa herby: jeden francuzki: trzy lilie, drugi herb Joanny: trzy lemieszce od pług, pod niemi napis: *Vive labeur, vive la Roy Louis 1450*. W pierwszej izbie znajduje się model posągu dłuta księżniczki orleańskiej i inny model pomnika z epoki Ludwika XI-go. Na lewo ogromny konin; na ścianach porozwieszane obrazy, w izdebce stoły marmurowe i t. d. Druga izdebka, niegdyś sypialnia Joanny, ciemna, z małym okienkiem wychodzącém na ogród; pułap wsparty na grubych belkach. W zagłębieniu stoi odwieczna szafa, ozdobiona prostą rzeźbą. Według podania szafa ta sięga czasów Joanny. Podróźni, zwłaszcza anglicy, powyszczerbiali ją na wszystkie strony.

Dom ten jest dziś własnością narodową. W r. 1814 należał jeszcze do wieśniaka, który umiał uszanować drogą pamiątkę, odmówił bowiem znacznej zapłaty, jaką mu ofiarował zamożny anglik. Co chciał anglik uczynić z tym domem—niewiadomo. Pragnął może zatrzyć wspomnienie hańby, ciężającej na jego narodzie; a może też zamierzył przewieść dom do Anglii. Rada departamentalna zakupiła go wtedy na własność, i zamieniła na pomnik narodowy.

W bliskości domu przed kościołem stoi posąg Joanny, dłuta miejscowego rzeźbiarza. Przedstawia ją klęczącą w odzieży wiejskiej; jedną rękę trzyma na sercu, drugą podniosła ku niebu, jakby uderzo-

na jakimś cudowném zjawiskiem. Posąg ten umieszczony w maleńkiej otwartéj kapliczce.

Niezliczone wizerunki Dziewicy Orleańskiej, czy to wykute z kamienia, czy oddane pędzlem, albo rylcem, są prosto utworem wyobraźni. Mistrze każdej epoki przedstawiali ją na swój sposób, stosownie do panującego smaku. Wizerunki z piętnastego wieku sztywne nieudatne pod względem formy, mają przecież naiwny wdzięk, pełen religijnego natchnienia. W epoce renaissansu, ukazywano Joannę w postaci amazonki greckiej, lub rzymskiej bohaterki, strojnój w togę i hełm z pioropuszem. W czasach Ludwika XIV-go postać jój stała się jeszcze pompatyczniejszą, pęk strusich piór na kasku, przybrał kształt piramidalnej peruki, jaką moda ówczesna przyjęła; epoka romantyzmu nadała jój cechę osyanicznej heroiny; realizm nakoniec dzisiaj z idealnych wyżyn ściągnął ją znów na ziemię. Archeologowie przecież, jak mówi Jouve, wpadli obecnie na trop autentycznego wizerunku Joanny. W procesie zapisano że szkot jeden wymalował jój portret w Arras, gdzie anglicy trzymali ją w więzieniu w r. 1430. Co się stało z tym portretem niewiadomo. Ale znaleziono w manuskrypcie wykonanym w Arras p. t. „Champion des Dames,“ bardzo ważną miniaturę z r. 1440, która jak utrzymują musiała być kopią owego portretu. Joanna w stojącej postawie, trzyma w prawem rękę długą włócznię, lewą oparła na wielkiej tarczy z herbem. Na głowie pochylonój w bok, ma kapelusz filcowy z szerokimi skrzydłami; włosy ciemne wybiegają na ramiona. Z pod blaszanego pancerza, spada brunatna spódniczka, krótka do kolan, brunatne rękawy pokrywają drugie barwy pomarańczowej. Trzewiki ma grube z czarnej skóry, powyżej nogi otoczone do kolan blachą. Rękopis ten znajduje się obecnie w Bibliotece narodowej.

Z żywem zajęciem czytaliśmy opis departamentu Meurty; spotykamy tu bowiem co chwila drogie nam imię Stanisława Leszyńskiego. Obszerny opis téj najważniejszej części Lotaryngii, wykonał p. Edgard Auguien. Przeprowadza nas autor z Nancy do Lunewillu: tak w jedném jak w drugim mieście pamięć króla, przetrwała dotąd nie tylko w nazwach ulic i gmachów, nie tylko w kolosalnym pomniku na wielkim placu w Nancy, nie tylko w pysznych grobowcach, ale co więcej w instytucjach drgających dotąd życiem. Do takich należy akademia Stanisława. Założona w roku 1750, przez sto trzydzieści pięć lat swego istnienia, wydała długi szereg ludzi znakomitych w różnych gałęziach nauk. Światły król uczynił tę instytucyą, nie tylko nagrodą za położone już usługi, ale nadewszystko żywém ogniskiem, które skupiło w sobie wszystkie siły inteligencyi, i rozbudziło umysłowy ruch w kraju. Silnym bodźcem do tego, stały się nagrody konkursowe. W pierszych zaraz latach, uwieńczono siedmdziesięciu laureatów. Dzielną pomocą królowi był w tém Solignac, mąż głębokiej nauki, poufny sekretarz, który poprawiał francuzki język króla w li-

terackich jego pracach. On to pod kierunkiem Stanisława napisał dzieje Polski (*Histoire générale de Pologne*).

Solignac mianowany stałym sekretarzem Akademii, zajął się jój rozwojem z niesłychaną gorliwością, a dzięki usiłowaniom jego, i czynnej opiece królewskiej, instytucja ta znalazła w sobie taki zasób żywotności, że z wyjątkiem kilku lat burzy rewolucyjnej, od r. 1793 do 1802, posiedzenia jój odbywały się stale, i odbywają dotąd bez przerwy.

P. Auguin wylicza wszystkie zabytki w Nancy, do których przyrosto imię Stanisława. W bibliotece mnóstwo jest książek, oprawnych w safian czerwony, ozdobionych herbem Leszczyńskich. Wśród nich ogromny wolumin in folio, obejmuje wszystkie rękopisy króla, tak ogłoszone drukiem jak i niewydane w liczbie sześćdziesięciu czterech. Ostatnie z nich kreślone ręką już ociemniałego starca, pismem tak niewyraźnym, tak drobnem, że mimo całej usilności, erudyci nantejscy odczytać ich nie mogli.

Wspaniałe grobowce Leszczyńskich i córki ich królowej Maryi, której serce pochowane obok rodzicielskich zwłok w kościele N. Panny du Bon Secours, opisane tu i oddane w pięknych drzeworytach. Znajdujemy przytém ciekawe szczegóły z czasów rewolucyi, zaprzeczające mylnym pogłoskom, jakoby zwłoki króla Stanisława, uleż miały podobnej zniewadze, jaka spotkała w St. Denis prochy Walezyuszów i Burbonów. Rząd rewolucyjny wprawdzie sprzedał kościół, wraz z dobrami należącemi do zgromadzenia Wizytek; nowy właściciel o mało że nie zburzył owego kościoła, już nawet wyłamano wewnętrzne kraty wykute mistrzowską ręką Jana Lamour. Rozpoczęto właśnie dzieło zniczczenia, kiedy okoliczni wieśniacy, idąc na targ do Nancy, spostrzegłszy to że zgrozą, podniecili wiejską ludność do oporu. Kobiety szczególną okazywały energią. Żyły ich sprawy, że odwołano sprzedaż. Zabezpieczono deskami chór, obejmujący groby królewskie. Wypadek to jedyny w swoim rodzaju, podczas szalonej burzy rewolucyjnej.

Na groźby niejakiego Laureur, zwłoki Leszczyńskich ocalone zostały od wściekłości rozhulanój tłuszczy. Zachowano je w muzeum, zkład przeniesiono do kościoła przywróconego za cesarstwa czci religijnej.

W opisie Lunewillu ulubionój rezydencji Stanisława, spotykamy się tóż co chwila z drogiem jego imieniem. Ze śmiercią króla przyémil się blask, który z dworu spływał na miasto, ale domy sierot, szpitale i inne miłosierne zakłady, istnieją dotąd jako żywe świadectwa dobroczynnej działalności filozofa chrześcijańskiego. Upadł od dawna słynny zakład kadetów, do którego młodzież polska zbiegała się niegdyś jakby do nowych Aten, ale promień światła przyniesiony z tamtąd do kraju rozjaśnił w cudowny sposób, gruby pomrok epoki saskiej. Przy tym promieniu czteroletni sejm tworzył nowe ustawy, przy nim Izba edukacyjna zreformowała wychowanie publi-

czne. Dzięki temu promykowi, przyniesionemu z Lunewillu, wielki nasz historyk miał prawo nazwać kraj odradzającym się, w czasach wielkich klęsk jakie na niego spadły.

Obudziła tu żywe zajęcie, wydana w Wiedniu książka w języku niemieckim, obejmująca nieznaną dotąd szczegóły, z czasu niewoli Napoleona na wyspie św. Heleny. Są to urzędowe raporta komisarza austriackiego, Bartłomieja Sturmera, wydobyte z archiwów cesarskich. Poufny ten wystaniec donosi cesarzowi Franciszkowi o wszystkich, co się dzieje na wyspie: szczególnym obowiązkiem jego śledzić stan zdrowia dostojnego jeńca i uwiadamiać o tém gabinet wiedeński.

Rzecz widoczna, że obawa nowego zamachu ze strony Napoleona była dla cesarskiego teścia pobudką do takiej troskliwości; uczucie nie miało w tém udziału. Zrozumiał to Sturmer, i w tym duchu redaguje raporta swoje. Píše naprzykład w kwietniu r. 1816: Cesarz zupełnie zdrow, można się obawiać, że długo jeszcze pożyje.

Rząd austriacki nie sprzyjał bynajmniej zdetronizowanemu monarsze. Wieść o przybyciu Napoleona do św. Heleny na Bellerofonie, przejęła radością dwór wiedeński. „Teraz nareszcie, pisał Metternich do cesarza Franciszka, możemy liczyć na stały pokój.“

Położenie Sturmera nadzwyczaj było trudne. Dane mu instrukcyje zakazywały wszelkich stosunków nieurzędowych z Napoleonem i otaczającymi go osobami: obowiązkiem jego było tylko donosić, czy cesarz jeszcze żyje. W ciągu dwuletniej misyi ani razu nie widział jeńca. Napoleon bowiem, protestując przeciw niewoli swojej, odmawiał stanowczo urzędowego przyjęcia reprezentantom różnych państw, grożąc nawet, że strzałem z pistoletu przyjmie każdego, ktokolwiekby chciał w urzędowym charakterze przekroczyć jego progi. Przeciwnie zaś, pragnął Napoleon wszelkimi siłami spotkać Sturmera i żonę jego francuzkę, w jakim domu prywatnym. Raz nawet kiedy był chory, zaprosił go do sypialni swojej przez hr. Montholon, życząc sobie, by słowa jego powtórzone były tajemnie cesarzowi austriackiemu. Sturmer odmówił wręcz: Cesarz Franciszek nie chciał obudzić podejrzania Anglii, ztąd zalecał wysłańcowi swemu nadzwyczajną ostrożność. I tak już sama obecność Sturmera, niepokoiła rząd angielski. Hudson-Lowe utyskiwał wielokrotnie, że nie ma prawa nad obcymi komisarzami: „Gdyby mógł, wszystkichby powywieszał.“

Sturmer nawzajem, w najczarniejszych barwach maluje postać Hudson-Lowa. „Im ściślej badam jego postępowanie, píše do Metternicha, tém mocniej dziwię się, że ministeryum angielskie mogło wybrać tak nieczemną osobistość. Brakłoż w Angii ludzi godnych zaufania, a równie nie przedajnych jak Hudson? Trudno tymczasem wynaleść nieczęścijszego i dziwaczniejszego człowieka, każda czynność jego nacechowana chytrnością i podstępem.“

Hudson-Lowe skłócił się wkrótce z całą wyspą. Napoleon nie-

nawidził go: Irlandczyk doktor O'Meara stanął mu silnie oporem, odmawiając roli szpiega: komisarze francuzki, niemiecki, rosyjski, parzyli nań z pogardą.

„Aby zyskać względy gubernatora, pisze Sturmer, trzeba iść za nim na oślep, potakiwać mu we wszystkim, kłócić się i szpiegować jego wrogów, powtarzać mu każde ich słowo.“

Zarzuty dziwactwa i barbarzyństwa odpierał Hudson, tłumacząc się uczciwą intencją. Wszyscy jednak nienawidzili go; wielu sądziło, że ma zmacone zmysły. Inaczej patrzy na to agent austriacki; zdaniem jego, Hudson działał w myśl rządu angielskiego.

Sturmer podziwia niesłychany urok, jaki wywierał w koło siebie mocarz upadły bez pieniędzy, bez siły materyjalnej. „Rzecz niepojęta, mówi on, jak ten więzień trzymany pod strażą, panuje dotąd nad otaczającym go kółkiem. Niezłomna moc ducha, pamięć dawniej potęgi, urok geniuszu, majestat monarszy: wszystko to sprawia, że każdy pochyla przed nim głowę. Francuzi, towarzysze niewoli, patrzą nań z zachwyceniem. Las-Cazes powtarza nieraz: „Życie na téj dalekiej wyspie osładza mi myśl, że mam szczęście widzieć to, co świat wydał największego!“ Napoleon zachował zresztą postawę i przywyknienia cesarskie. Osoby, które przypuszcza do stołu swego każdej niedzieli, zmuszone występować w uroczystym stroju. Przed ucztą cesarz ogląda stroje kobiet. Jeżeli przypadną mu do smaku chwali je z zadowoleniem, w przeciwnym razie okazuje widoczną niechęć. „Co znaczy ten śmieszny ubiór? mówi z gniewem, wyglądasz pani jak pokojówka.“

Z pomiędzy licznego grona kobiet najwyższe względy cesarskie, zjednała sobie hrabina de Montholon, hrabia patrzył na to chętnym okiem, bez cienia zazdrości, do której nie było słusznego powodu. Inaczej uważał rzecz generał Gourmand. W obawie, aby wpływ pani Montholon nie odebrał mu ufności cesarskiej, zaczepiał hrabiego ciągłymi przymówkami. Byłoby przyszło do pojedynku, gdyby nie wyraźny zakaz Napoleona: „Czego chce ten człowiek? mówił cesarz, rzekłby kto, że się zakochał we mnie!“

Jakkolwiek Sturmer nie miał wstępu do dworu, nie jednak nie uszło przed baczny jego wzrokiem. Szczegółowo opisuje codzienny tryb życia Napoleona. „Cesarz, mówi on, wstaje o dwunastej w południe, je śniadanie i pracuje do trzeciej. Potem wychodzi na przechadzkę lub wyjeżdża pojazdem uprzężonym w sześć koni. O ósmiej siada do stołu: obiad trwa trzy kwadransy. Po obiedzie gra w szachy albo w bilard, poczem udaje się na spoczynek. Wśród nocy wstaje, pisze pamiętniki, posiłkuje się Monitorem. Uczy się angielskiego języka. Jeżeli dobrze usposobiony deklamuje wieczorami przy pokłasku całego kółka swego: powtarza najczęściej rolę Nerona z Brytanikusa, albo Augusta z Cynny. Usiłuje naśladować Talmę, tak w postawie jak w ruchu. Niekiedy prosi panią Montholon o zaśpiewanie arii włoskiej.“

Ostatni raport Sturmera nosi datę 7 lipca 1818 roku. Cesarz Franciszek wkrótce potem odwołał go do Wiednia. Odtąd komisarz Ludwika XVIII, reprezentował Austryą na wyspie Świętej Heleny.

Znany literatom i filologom, ale nie zbyt popularny poeta Lecomte de Lisle, otrzymał w Akademii krzesło po Wiktorze Hugo. Chęć uczczenia woli zmarłego, wpłynęła zapewne na wyborców; wiadomo bowiem, że kiedy przed laty ośmiu Lecomte de Lisle podawał się na członka poważnego ciała, otrzymał głos jedyny Wiktora Hugo. Z tego to powodu odrzucony kandydat napisał list drukowany w dziennikach: „Uważam się za członka akademii, ponieważ jedyny głos, jaki ma u mnie wagę, uznał mnie godnym tego zaszczytu.“

Lecomte de Lisle od lat z górami trzydziestu poświęcił się wyłącznie poezji i badaniom literatury starożytnej. Do znakomitych prac jego należą dwa wielkie zbiory oryginalnych utworów: Poemata starożytne i poemata barbarzyńskie, oraz dramat Errynies, osnuty na mytach greckich. Zasłużył się nie mniej literaturze, wytwornym przekładem całego cyklu poematów heleńskich, zaczawszy od Iliady i Odysei do tragedyi Sofoklesa, Eschyleasa i Eurypidessa. Miał zamiar przełożyć nie mniej komedye Arystofana, ale zaniechał tego, z powodu ustępów grubiańskich aż do obrzydliwości, jakie się w nich znajdują. Zatrzymała go również gra wyrazów często powtarzana, której oddać nie podobna w tłumaczeniu. Dla dopełnienia cyklu homerycznego, zamierza przełożyć jeszcze poemat Quintusa ze Smyrny: jest to dalszy ciąg Iliady, zawarty w piętnastu pieśniach. Epopea ta ułożona wiernie na wzór Homera, obejmuje kilka bardzo pięknych ustępów: między nimi śmierć amazonki Pentesilei, poległej z ręki Achileasa. Bohater, poruszony widokiem umarłej, uczuł dla niej gwałtowną miłość.

Obecnie Lecomte de Lisle pracuje nad wielkim poematem, który ma objąć do 12,000 wierszy pod tytułem: *Etats du Diable*. Wyraz *Etats* wzięty nie w znaczeniu państwa, ale raczej sądu, trybunału.

Będzie to satyra filozoficzno-religijna, złożona ze scen dyalogowanych, pomiędzy historycznymi osobami. Obejmie ona wszystkie wypadki, jakie zaszły od Soboru Nicejskiego w r. 325 aż do końca XVI wieku. Obawiamy się nowych skandalów w duchu Renana i jego szkoły.

Pomimo całej czci dla zmarłego mistrza, Lecomte de Lisle odmówił wręcz dyrektorowi teatru francuzkiego, poematu na dzień urodzin Wiktora Hugo 26 lutego. Rocznicą ta ma być odtąd stale obchodzoną. Nie rozumiemy powodu odmówienia. Gdyby ten obchód był już wielokrotnie powtarzany, jak się to dzieje z rocznicą Moliera, Kornela i Rasyna, możnaby wytłómaczyć tę wstrzemięźliwość; ale w pierwszym obchodzie poeta miał pole przed sobą szerokie i jeszcze nie-  
tknięte. Śnać wszystkie kwiaty retoryki zachować chciał na wieniec,

który ma upleść z obowiązku w chwili, gdy zajmie uroczyście krzesło poprzednika.

P. Renan oświadczył się sam z chęcią napisania dyalogu: zaciekawiony Paryż czekał niecierpliwie na te gody, nigdy bowiem Renan nie pisał dla teatru, a utwory jego jak „Kaliban“ i „Kapłan z Nemi“, oprócz dyalogowanej formy nie posiadają żadnych warunków dramatycznych. Rok 1802 na cześć Huga nie okazał się szczęśliwszym, i gdyby nie imię autora, nigdyby dyrekcya teatru nie zgodziła się na przedstawienie téj ciężkiej clukubracji. Przypatrzmy jęj się bliżęj.

Scena odbywa się na polach Elizejskich (za Styksem) w gaju, przeznaczonym wyłącznie dla nieśmiertelnych cieniów z komedji akademii francuzkiej. Wśród kwiatów i zieleni widać dwie marmurowe ławy. Pierwsi koryfeusze prowadzą dyalog: Kornel, Rasyń, Boileau, Diderot i Wolter. Wszyscy ubrani według mody, jaka panowała za ich czasów, ale sztywni i nieruchomi wyglądają jak posągi z kamienia. Autor pragnął odziać ich w płachty grobowe; oparła się temu dyrekcya. Szaty ich przecięz wyblakłe, zachowały pozór archaiczny. Z wielkim podziwem naszym nie widzimy w pośród nich Moliera; jednakże ta ustroń przeznaczona nie dla samych akademików, ale i dla cieniów z komedji, jak czytamy w programie.

Za podniesieniem kurtyny scena zupełnie pusta. Wbiega skrzydlaty geniuszek Kamill, przynosi książki i buletyny dziennic. Aby duchy nie nudziły się w jednostajnym blasku chwaty i w słodczy wiekui-stego pokoju, wielki geniusz przysyła im codzięć przez gońca swego wiadomości od ziemi. Buletyn literacki z datą 1802 roku, oznajmia ukazanie się Atalii, Chateaubrianda. Buletyn polityczny głosi zwycięstwo na polach Marengo i Hohenlinden.

Kamillus, złożywszy na ławie książki i pisma znika; w téjże chwili Wolter i Diderot ukazują się w głębi sceny. Wolter podejmuje z ławy książkę, przewraca kartki z sarkastycznym uśmiechem. Od drugięj strony wchodzi Kornel i Rasyń, obaj siadają na ławie; Boileau stoi sam zamyślony.

Smutno utyskuje Rasyń nad upadkiem literatury i zaniedbaniem języka. „Ten wiek, rzecze, ma lat dwa, a wokóło tak ciemno i głucho.“

W odpowiedzi na to daje się słyszeć kanonada, połączona z chórem Marsylianki.

Ożywiony wrzawą bojową Kornel nie wątpi o przyszłość. „Wielkie epoki, mówi on, wydają poetów godnych siebie. Więńce z jednych-że uplecione promieni, zdobią czoła wieszczów i bohaterów!“ Tu każdy koryfeusz wypowiada, jakiego poetę pragnie widzieć w odrodzonęj Francji.

„Niech dźwiękiem poważnęj liry, rzecze Kornel, odda żalony jęk, bijący od ziemi w nieskończoność, niech w jęgo wierszu odtentni huk dział, grzmot trąb i poryk piorunów, co rozbrzmia nad jęgo kołyską.“

„Niech będzie dobrym i tkliwym, ozwie się Rasyń, niech orzeźwi wysychłą duszę Francyi, zbudzi uszpiętą jej wyobraźnię, zdroje łez wyściśnie z jej serca.“

„Niech będzie wzniosłym jak wierzchołek Alp, dorzuci Boileau, szerokim jak łozę oceanu. Niech dusza jego stanie się klawiaturą wszechświata, harfą <sup>1)</sup>, w której odgętnią wszystkie dźwięki.“

„Niech toruje drogę postępu dla ludzkości, rzecze Wolter, niech służy ludowi, stanie się jego ulubieńcem, przedmiotem uwielbienia! A jeśli, jak ja, przeżyje lat z górą ośmdziesiąt, niech włos jego siwy poczczoney będzie równo z moimi. Niech mu tłum wyprawi pośmiertną apoteozę, która ma być znamię nowych czasów. Zrazu on mnie przeklinać będzie, wiem o tém, lecz ukocha mnie w końcu; i stanie jak ja na czatach i zbudzi naród z przesądów i z uszpienia.“

„Niech prowadzi dalej nasze dzieło! zawoła Diderot, niech czerpie życie z nas, my przez niego działać będziemy! Jeżeli spełnią się pragnienia nasze, czterej poeci roztoczą nad tym wiekiem odblaski czterech różnorodnych geniuszów, zabłyśnie nam szczytny wieszcz jakiego wzywa Kornel i poeta miłości, powołany głosem Rasyńa, i geniusz wzniosły a głęboki, o jakim marzy Boileau, i patriarchy, przyjaciel ludu, widziany w snach Woltera. Czterech poetów na jeden wiek, to wiele, bardzo wiele!“

Na to wbiega Kamillus: „Wielki geniusz spełnił pragnienia wasze, woła uradowany. Dzień dzisiejszy będzie dla Francyi dniem uroczystym. Imię promienne błysło mi przed oczyma. Czterej poeci wasi zbiegną się w jednym potężnym geniuszu. Będzie on zarówno szczytny i tkliwy, dobry i potężny zarazem!“

Taka jest treść dramatycznego obrazku Renana. Harmonijny styl, właściwy autorowi, stanowi główną a raczej jedyną zaletę utworu, pełnego niesmacznych hyperboli i dziwacznych naciągów. Smutną dolą tych akademickich duchów, znudzonych wśród rozkosznego Elyzeum, którym dla rozrywki skrzydłały geniuszek przynosi codzień stopy gazet i książek, przedęc myśli, wysnutą przez prostych śmiertelników,—bardzo dzisiaj spletaną, i kwiaty uczuć, rozkwitłe na ziemskim padole, zwiędłe dzisiaj pod szronem. Niemniej śmieszny pomysł tego absolutnego przeistoczenia, jakiemu uległ Boileau, który z zaciętego klawyka stał się najzagorzalszym romantykiem, a który, mówiąc o poecie wzniosłym jak szczyty Alp, głębokim jak łono oceanu, przemawia słowami Wiktora Hugo, gdy ten jeszcze się nie urodził.

Krytycy francuzcy najskuszniej zarzucają pominięcie Moliera w gronie duchów, naznaczonych za życia piętnem geniuszu. Wprawdzie Hugo nie pisał komedyi, ale wiadomo, że na wzór Szekspira, wprowadzał komizm do najpoetyczniejszych dramatów; w każdym razie ściślej-

<sup>1)</sup> Cymbale, rzekł Renan, ów ośmieszony u nas instrument zmieniłyśmy na harfę.



szy węzeł łączył go z Moliere'm niż z arcyklasycznym Boileau, którego sztukę poetyczną wyśmiał i zdeptał pogardliwie.

Renan ukazuje w Wiktorze Hugo alfę i omegę poezji francuskiej XIX wieku. Zda się jakoby olbrzym ten zajął tyle miejsca pod słońcem, że ani promyka dla drugich nie zostało. Wymownie też zaprotestował przeciw temu zdolny krytyk Julian Lemaitre. „Kiedy, mówi on, Rasy'n wywołuje poetę, któryby orzeźwił wyschłą duszę Francyi i źródle też wycisnął z jej serca, pomyślałem — nie o Wiktorze Hugo, lecz o Mussecie i Lamartinie, i w duszy mojej wyśpiewałem hymn na cześć zapomnianych liryków!”

W teatrze opery komicznej zapowiedziano przedstawienie Lohengrinów Wagnera. Od trzech lat projekt ten wyrabiał się pomału. Dyrektor opery odbył podróż do wielkich miast niemieckich: Wiednia, Drezna, Monachium, aby się przypatrzeć wystawie tej opery i wystąpić godnie w Paryżu. Już miały rozpocząć się próby. Tymczasem głos publiczny silnie protestuje przeciwko Lohengrinowi, a raczej przeciwko Wagnerowi. Nie zapomniano, że podczas ostatnich klęsk Francyi, maestro napisał niesmaczną farsę i wyszydził w niej pierwszych koryfeuszów francuskich, tak ze świata literackiego jak i politycznego.

Paryż podzielony na dwa stronnictwa, jedno z nich utrzymuje, że sztuka nie ma ojczyzny, że zmarłemu mistrzowi wypada przebaczyć sarkazmy rzucane na Francją, a ocenić jego nieporównany artyzm, który należy nie do samych tylko Niemiec, lecz do całego świata. Inni przeciwnie — przebaczyć nie mogą urazy i nastają silnie na usunięcie Lohengrinów ze sceny opery komicznej. Do tych ostatnich należy pani Julieta Adam, znana redaktorka Nowego Przeglądu. Przytaczamy tu jej protestację, jako zasługującą na uwagę.

„Gdyby, mówi pani Adam, grano kiedy Lohengrinów w Paryżu, niechby to było w teatrze wolnym, popieranym przez kolonię niemiecką, która ma prawo czcić Wagnera, ale nie w teatrze subwencjonowanym przez rząd francuski, któremu płacą podatek synowie i bracia poległych ofiar w roku 1870.

„Odpowiedzą mi na to, że Wagner umarł. Azali przez to zmarłychwstali nasi umarli?”

„Pragnęłabym spokojnie rozpatrzeć tę sprawę, lecz to nie w mojej mocy. Stoją mi w myśli ostatnie chwilę oblężonego Paryża, a potem bolesna chwila kapitulacji.

„Rozwarto bramy miasta. W pierwszym liście jaki otrzymałam z za granicy, czytam słowa Wagnera: „Potrzeba spalić Paryż!”

„Tym, którzy kochają kraj podobnej zniewagi przepomnieć nie podobna.

„Sztuka może stać się pociechą w wielkiej niedoli, ale jedynie pod warunkiem, żeby między nią a bolesnym wspomnieniem, najmniejszego nie było związku.

„Co do mnie, ilekroć słyszę muzykę Wagnera, słyszę pochód zwycięzki żołnierzy, ich pieśni tryumfalne, jęki i łkanie pokonanych! I zaprawdę nie ja sama tak czuję. I w najwyższych sferach społecznych i w mieszczaństwie, i między roboczym ludem istnieje wielki legion kobiet francuzkich, które jak ja pojmują miłość kraju!”

Przeciw gorącym słowom pani Adam liczne odezwały się głosy. Najsilniej ze wszystkich wystąpił dyrektor Carwollo, który tyle poniósł trudów, kosztów i niezliczonych zabiegów. „Zarzucają mi, woła on, brak patriotyzmu! przeciwnie, wprowadzeniem na scenę Lohengrinów spełniam czyn patriotyczny, bronię interesu kompozytorów francuzkich. W ciągu roku 1885 czternaście oper naszych ukazało się na scenie berlińskiej. Widoczna ztąd, że Niemcy w inny sposób pojmują patriotyzm!

„Skoro publiczność pozwala częściowo odgrywać Lohengrinów na koncertach i porankach muzycznych, dla czegoż tak się sroży na myśl o przedstawieniu całości?”

Głos dyrektora nie pozostał bez oddźwięku. Deputacya studentów upewniła go o najspokojniejszym zachowaniu i o dobrém usposobieniu dla Wagnera. Mimo to jednak Lohengriny nie ukazały się dotąd i nie prędko zapewne ukazą się na scenie.

Zte usosobienie muzyków niemieckich dla Francyi od dawna już datuje. Widzimy to ze świeżo wydanej książki Gabryela Monoda, pod tytułem „Francya osądzona przez Niemców w.”

Uderzyła autora systematyczna nienawiść mistrzów zarenskich. Usiłują poniżyć na każdym kroku Francją; Paryż szczególnym jest przedmiotem ich zawziętości. To chłoszczą obyczaje, to szydzą ze smaku muzycznego, słowem poniżają co chwila miasto, które Goethe nazwał stolicą sztuk i literatury, jedyném miastem w świecie.

Zobaczymy w jaki sposób Bethowen, Weber, Mendelson i Wagner, ocenili społeczeństwo francuzkie.

„Bethowen, który napisał marsz tryumfalny na cześć republikanina Bonapartego, później przypisywał nieuctwu francuzkiemu upadek opery swojej *Fide lio*.

„Mendelson, który jak sam mówi, żył w Paryżu życiem pogańskim, pisze potem do Immermana, że u Niemców popędy nierównie szlachetniejsze, większa wytworność w działaniu, więcej prawdy, mniej fałszywych pozorów.

„Weber, uniesiony uczuciem patriotyczném, na każdym kroku depeze znieawidzoną Francją.

„Co do Wagnera, ten nie oszczędzał obelg i chłosty. Zowie Francuzów narodem kryuolinowym, ludem, któremu brak zmysłu do pojęcia wyższej muzyki nad tę, jaką słyszą po kawiarnianych koncertach. Temu przypisuje upadek *Tan hä u z e r ó w*.”

Profesor literatury w Sorbonie p. Petit de Julleville, żywo zajmuje słuchaczy, ukazując im przepomniane zabytki poczty średnio-

wiecznej. Głównym przedmiotem jego wykładów, są pierwotne zawiązki dramatu. Parę lat temu uczony ten filolog wydał już dwutomowe dzieło o *Mysteryach*; teraz wyszła z druku nowa praca pod tytułem: *Komedyanci w średnich wiekach we Francji*.

Nasamprzód autor wymienia i opisuje dokładnie wszystkie stowarzyszenia i korporacje, które zajmowały się odgrywaniem sztuk różnego rodzaju. Przesuwa przed oczyma czytelnika różnobarwne tłumy Żonglerów, Błaznów, Żaków, Palestrantów, Członków bractwa Męki Pańskiej.

Nigdy, mówi profesor, teatr nie zajmował tak żywo publiczności, jak w tych czasach prostoty i szczerego zapału, kiedy krew kipiała w żyłach gorączkowo, nigdy widowiska tak się nie zespoliły z życiem powszechnym, jak wówczas, kiedy wszystkie warstwy ludu brały w nich czynny udział. Niektóre sztuki trwały po kilka dni z kolei; na odegranie ich potrzeba było co najmniej stu aktorów. Sąsiednie miasta zapraszały się wzajem na takie widowiska. Tłumy ludu gromadziły się w polu pod gołębem niebem, zbrojne patrole tymczasem, przebiegały puste ulice, czuwając nad bezpieczeństwem kramów. Widowiska te nie często się powtarzały, co powiększało jeszcze gorączkowe oczekiwanie. Dodajmy, że ówczesne dramata stawiały przed oczy publiczności to, co ją najsilniej zajmowało, z jednej strony żywe sceny z Biblii, z Ewangelii, z Żywotów świętych i legend; z drugiej znowu strony komiczna farsa, żadnym nie skrzepowana względem, szydziła otwarcie ze spraw politycznych i społecznych, chłostała biczem satyry najdostojniejsze osobistości. Tak samo było w Grecji za czasów Arystofana.

Z wielkim życiem opisuje autor owe dramata religijne z Życia Zbawiciela, złożone niekiedy z trzydziestu tysięcy wierszy, którym przysłuchiwało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi, z sercem gorąco bijącym, z twarzą oblaną łzami, z łkaniem w piersi i wykrzykiem szczerego zachwytu. Koniec tym widowiskom położyły naprzód skandaliczne szuderstwa różnowierców, podczas walk religijnych, a potem odkryte zażytki literatury greckiej i łacińskiej, sprowadzone z Aleksandryi. Smak powszechny zwrócił się ku pogańskim tradycjom.

Wielu historyków i filologów podejmowało już ten przedmiot, nikt jednak nie sięgnął do gruntu rzeczy z taką erudycją, z tak głębokim zamiłowaniem, jak dzisiejszy profesor Sorbony.

Zwiedzaliśmy w tych czasach kilkakrotnie pracownią p. Andriolego; nie wiemy sami co bardziej podziwiać, czy niesłychaną siłą twórczą naszego słynnego rysownika, objawiającą się w najrozmaitszych pomysłach, czy też mistrzowskie wykonanie ostatnich utworów, szczególnie sceny z Pana Tadeusza, w której zdaniem naszym, wielki artysta prześcignął dziś sam siebie.

Zaczynamy od rzeczy mniejszą dla nas przedstawiających uwagę, a przecież te rzeczy mniejszej wagi, to prześliczne kartony do

Szekspirowskich dramatów. Pracę tę miał podjąć Gustaw Doré, o niej marzył na łożu śmierci, w niej widział koronę artystycznego zawodu swego. Podjął tę pracę pan Andriolli i część jej wykonał już z całą potęgą talentu, z całą sumiennością archeologa. Dziesięć kartonów z Romeo i Julii do wydawnictwa Didota, świetnie rozpoczynają tę pomnikową publikacją. Nie możemy tu opisywać tego szeregu scen, począwszy od bójki na placu werońskim, dwóch wrogich stronictw Montekich i Kapuletich do dramatycznej sceny w sklepieniu grobowém, kiedy Julia, podnosząc głowę z trumny, widzi u stóp swoich martwe zwłoki Romea. Sceny te wykonane z zadziwiającą szybkością, były przedmiotem długich i pracowitych studyow. Dla nich to p. Andriolli odbył podróż do Werony, dla nich zwertował foliały w bibliotekach włoskich i francuzkich. Każdy szczegół oddany dokładnie z głębokim namysłem, nadaje tym rysunkom ową barwę czasu i miejsca, którą zrozumieją tylko erudyci, ale którą ogół odczuwa instyktowo.

Obecnie p. Andriolli rozpoczął nową seryą kartonów do Hamleta. Jak łatwo odgadnąć z pierwszych prób, serya ta nie ustąpi w niezém poprzedniej.

Z przedmiotów bliżej nas obchodzących wspomnijmy najprzód polowanie na niedźwiedzia. Jest to las litewski: snać zbadał artysta jego wewnętrzne tajemnice, odtworzył bowiem po mistrzowsku ów

Zwał pniów, kłód, korzeni

Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni,

Z ziemią zielskiem zarosłą i kopcami mrowisk,

Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.

Zima, strumienie zamarzyły, ziemia zasłana śniegiem, z pod którego sterczą badyle zielsk zmrożonych. Tu i owdzie stary dąb, olbrzym puszczy podnosi rosochate konary. Na pierwszym planie niedźwiedź wychyla łeb z barłogu, na drugim stoją łowcy, zbrojni w fuzyą i rohatynę. Trzeci myśliwiec z rewolwerem w rękę przystępuje śmiało do kudłacza: tym myśliwcem hr. Tyszkiewicz.

Inny karton przedstawia zasadzkę w puszczy litewskiej: tu już nie proste polowanie, ale wielka obława: widać to z tłumu nagromadzonych łowców. Obraz pełen ruchu, drga niezrównaném życiem.

Do odmiennéj całkiem kategorii należy inna scena. Z puszczy litewskiej przenosimy się w światy niedościgłe ludzkiemu oku, światy, których zaskonę odchylić chyba może fantazyja artysty, a niekiedy boleść utęsknionego serca. Z tych dwóch pobudek powstał prześliczny obraz: przedstawia on zaświatową przestrzeń jakoby dolinę Jozefata; w około sterczą skały, wśród nich przechadzają się roje powiewnych duchów. Z opoki, wysuniętej na pierwszy plan kaskada stacza się w bezdenną przepaść. Nad ową przepaścią stoi niewiasta w bieli, rzuca w nią kwiaty pełną ręką.

W takiej postaci, w takim otoczeniu zmarła małżonka przedstawiła się we śnie hrabiemu Tyszkiewiczowi. Artysta pochwycił w przelocie myśl dziwnie poetyczną i odtworzył ją w chwili prawdziwego natchnienia.

Przystąpmy wreszcie do najznakomitszej pracy pana Andriollego, wykonanej w tych czasach w Paryżu, ale wypiastowanej długo w sercu i wyobraźni. Jest to scena z ostatniej pieśni Pana Tadeusza, ów koncert nad koncertami, którym Mickiewicz tak świetnie ukoronował swój poemat.

Wielki karton szeroki na półtora metra, wysoki na metr i ćwierć uderza już samym ogromem. Potrzeba też było takich rozmiarów, na pomieszczenie tłumy osób; w sześćdziesięciu z nich rozpoznajemy wyraźnie typowe postacie z poematu.

Tłum ten zapełnia wielki dziedziniec przed starym zamkiem Horeszków, którego wzręby wsparte na kolumnach, uwieńczone u spodu szeregiem lip stuletnich. W głębi po lewej ręce widać dwór sędziego Soplicy; promień zachodzącego słońca oświeca białe ściany.

Po uczcie w sali zamkowej goście wylegli na dziedziniec; lud wiejski, który tu przed chwilą uczłował, usunął się w głąb sceny. Służba zapełnia ganek, chłopcy wiejskie obsiadły drzewa; każdy słucha i patrzy. Wszystkie osoby z poematu tak głęboko odczute, z taką oddaną prawdą, że kto raz w życiu czytał Pana Padeusza — a i ktoś go nie czytał, — każdą z nich poznaje od razu.

Na pierwszym planie w środku siedzi stary Jankiel w chałacie; dwoje skulonych pacholąt podtrzymuje cymbalki. Naprzeciw stoi krzepki starzec w kontuszu, w białej czapce, ozdobnej piórem czapłem. To podkomorzy: zajął pierwsze miejsce.

Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy. Po prawicy podkomorzego widzimy grupę wodzów: góruje nad nią Kniaziewicz wzrostem najstuszniejszy; przy nim generał Dąbrowski w stósowanym kapeluszu z założonemi na piersi rękoma, dalej Pac, Małachowski. Rysy ich oddane wiernie ze współczesnych portretów. Poza nimi widać hrabiego w czapce ułańskiej: wsparty romantycznie o lipę, bohater z Birbante Rocca, zmalował jakoś przy bohaterach z Lodi i Arkołu; żal mu owego zamku, do którego rościł prawo, jako dziedzic Horeszków po kądzieli; sarkastyczny też uśmiech igra na jego ustach.

Przy podkomorzym stoi Telimena, strojna podług ówczesnej mody z wielkim wachlarzem w ręku. Przy niej podkomorzyna, typ matrony polskiej w wysokim czepcu i kryzie, otoczona córkami; bliżej prześlizczona para, Tadeusz dziarski ułan z uroczą Zosią w wianku i gorseciku wiejskim; przy Zosi poważny sędzia obok wojskiego jednej z najwybitniejszych postaci. Poza nimi dwaj zapaśnicy o kusego i sokoła: rejent niezgrabny, sztywny „jakby kij połknął,” przebrany po francuzku na żądanie Telimeny i asesor w mundurze z długą szablą.

Po lewej ręce wysunięci naprzód stoją dwaj nieodstępne druhy: woźny Gerwazy z głową do góry podniesioną, i Protazy z pękiem klu-

czy u pasa, smutny z czołem pochyloném, z oczyma ręką przysłoniętymi.

W głębi uderza mnóstwo typów, wziętych żywcem z natury: tu wieśniak z długim włosiem, z pochyłemi barki, śnać tylko co odbiegły od pługą, tam dzielny wojak z miną marsowatą i podkreconym wąsem, tu znów Kokosińska w ogromnym kornecie, tam skrzypkowie i kobeźnicy.

Wszystkie oczy wlepione w Jankła, na wszystkich twarzach radość połączona ze smutną zadumą. Chwila to radosna, dzień potrójnych zaręczyn, uświetniony przybyciem dostojnych i upragnionych gości, cień jednak przebiegł po każdój twarzy; łatwo odgadnąć powód, stary bowiem cymbalista:

Puścił fałszywy akord, jak syk węża,  
 Jak zgrzyt żelaza po szkłe, przejął wszystkich dreszczem,  
 I wesołość pomieszał przeczućmi złowieszczem.  
 Zasmuceni, strwożeni słuchacze zwątpili  
 Czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli;  
 Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca  
 Wciąż tę zdradziecką nutę, co melodyę znięca.  
 Coraz głośnień targając akord rozdąsany  
 Przeciwno zgodzie tonów skonfederowanój.  
 Aż klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica,  
 I krzyknął: znam, znam głos ten...  
 I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca!

Cymbalista podniósł do góry drażek, śnać gotów uderzyć w nową, raźniejszą nutę.

Obraz to godny wielkiego poematu: wkrótce zapewne ujrzymy go w licznych reprodukcjach. Nie wątpimy, że które z Towarzystw Zachęty Sztuk Pięknych, Warszawskie lub Krakowskie obierze ten piękny utwór na premium dla członków swoich. Oryginał rysunek własnością jest hr. Tyszkiewicza. Obecnie fotograf Nadar reprodukuje go w ogromnych rozmiarach.

Dowiadujemy się, że p. Andriolli wszedł w układ o nową pracę. Od nowego roku wydawca Goupil rozpoczął wielką zbiorową publikację p. t.: *Literatura i sztuka* (les lettres et les Arts). Wysły dotąd dwa zeszyty. Jeden z następnych nosić będzie tytuł: *Rycerz polski z XVII wieku*. Znakomity rysownik znajdzie tu bogate pole do rozwinięcia twórczych natchnień. Epoka to Kirchholmu, Tyssowicz, Chocimia, zakończona wiekopomnym tryumfem wiedeńskim!

Dziś właśnie po ukończeniu kroniki naszej widzieliśmy w pracowni pana Godebskiego, znakomite dzieło tego mistrza, pomnik grobowy, przeznaczony dla pani Tamberlick, małżonki znanego tenora, a matki pani Gałęzowskićj, żony słynnego okulisty. Pomysł to

pełen poezji. Na sarkofagu widzimy siedzącego anioła w wieńcu, z gwiazdą nad czołem. Owinięty leciuchną draperyą, podtrzymuje w niej mnóstwo kwiatów; jeden z nich porzuca na ziemię, prawą ręką naprzód wysuniętą, zaokrągloną od rannienia z nieporównanym wdziękiem. Postać anioła powiewna, niebiańska, promienista. Z pod draperyi przegląda ciało wymodelowane miękko, mistrzowskim dłutem. Całość pełna prostoty i nadzwyczajnej harmonii. To anioł pociechy, zesłaniec Boży, co nadzieją nieśmiertelności osładza żal i tęsknotę osieroconych.

Pomnik ten będzie ozdobą salonu majowego.

Przyglądając się téj pięknej pracy stanął nam w myśli inny grobowiec, domagający się ręki takiego mistrza. Na cmentarzu Montmartre pomnik grobowy Juliusza Słowackiego, w opłakanym znajduje się stanie. Gdyby liczni miłośnicy poety „zestrzelili myśli i chęci w jedno ognisko,“ twórca *Kordyana* i *Anhellego*, miałby wkrótce godny siebie monument, a w fantastycznych obrazach mistrza słowa, taki mistrz dłuta jak pan Godebski, znalazłby silną pobudkę do twórczych swych pomysłów.

# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Pamiętnik fizyograficzny,“ tom V za rok 1885. Wydawcy E. Dziewulski i Br. Znatowicz. Warszawa, druk E. Skiwskiego. 8-ka wielka, arkuszy 38, stronie 607, tablic litograficznych 24.

Zbiorowe to dzieło, gromadzące wszechstronne badania nad przyrodą kraju naszego, wychodzi od r. 1881 corocznie w jednym dużym tomie, świadcząc o niezmordowanej wytrwałości wydawców, a mówiąc otwarcie, o wielkiem ich dla umiłowanej idei poświęceniu, nie zrażającem się ani trudnościami przedsięwzięcia, ani zawiedzionemi nadziejami poparcia przez ogół ukształcony. Uznanie dla tych prac, dających mieszkańcom kraju poznać w sposób ściśle naukowy jego uposażenie przez naturę, tudzież życzliwość, wyrażona jednogodnie przez wszystkie organa prasy, mogą dla wydawnictwa być pewną otuchą, ale losów jego dotąd nie polepszyły. Prawdą jest z jednej strony, że kraj nasz przechodzi w latach ostatnich ciężkie kłęski ekonomiczne, zniewalające każdego do liczenia się z wydatkami, lecz również prawdą jest, że nie wszyscy jasne mają pojęcie o kierunku w jakim oszczędzać, a w jakim z pewną nawet prywatną i wysiłkiem obowiązek nakazuje służyć dobru publicznemu. Potrzeby narodu i warunki jego życia nie zamykają się wyłącznie na polu ekonomiczném; oświata gruntowna, praca duchowa są warunkami egzystencyi narodu tak niezbędnymi jak znośny byt materyalny. Zbyt mała liczba ludzi zamożniejszych poczuwa się u nas do tych obowiązków i spełnia je, to też nieliczni upadają prawie pod ciężarem, który rozłożony sprawiedliwiej nie byłoby tak gniotącym, a skutki usiłowań zbiorowych byłyby bardziej pocieszające. Zaprzeczyć także niepodobna, że czytająca publi-



czność nasza nawykła karmić się albo łakociami, albo ostrym niezdrowym pokarmem. Na stołach więcej preteusjonalnych spotkać można kilka wydań zbytkowych, treści różnej, które wszakże nie mogą zakryć ogólnego ubóstwa umysłowego.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej, oceniając znaczenie tój pożytecznej dla kraju publikacyi, starała się czytelników swoich informować corocznie o treści każdego tomu Pamiętnika. W zeszytacie lutowym r. b. podano tylko sumaryczną wzmiankę o wyjściu tomu V-go, w zeszytacie niniejszym po rozpatrzeniu książki, możemy pierwszą wiadomość bibliograficzną uzupełnić szczegółowym przeglądem materiału złożonego w tym tomie.

### Dział I. Meteorologia i Hydrografia.

Z pięciu artykułów do wymienionego działu w tym roku wchodzących, dwa są dalszym ciągiem prac przez wszystkie poprzednie tomy Pamiętnika prowadzonych, i to właśnie potęguje naukowe ich znaczenie, w meteorologii bowiem tylko długość peryodu obserwacyi i nieprzerwana ich ciągłość doprowadza do wywodów ogólnych.

Dr. J. Kowalczyk podał wykaz spostrzeżeń meteorologicznych Obserwatorium warszawskiego z roku 1883. Tablice ułożone według wzoru lat poprzednich, z trzech codziennych obserwacyi o godzinie 7 r., o 1-ém dnia i o 9 wieczorem, obejmują: wysokość barometru w milimetrach sprowadzoną do 0° t.; temperaturę w stopniach Celsusza; średnią temp. dzienną, tudzież jój maksimum i minimum według termografu; wilgoć względną w %; kierunek i siłę wiatru; stopień zachmurzenia nieba; wielkość opadu atmosferycznego, i w uwagach zjawiska powietrzne. Na końcu podana sumaryczna tabelka, przedstawia wypadki średnie ze wszystkich miesięcy roku 1883. Jest to zatem jedno jeszcze ogniwo dodane do szeregu spostrzeżeń, bez przerwy prowadzonych w Obserwatorium warszawskiem od roku 1825.

Dr. J. Jędrzejewicz. Spostrzeżenia stacyi meteorologicznej w Płońsku za rok 1884. Jest to ciąg dalszy spostrzeżeń wytrwale przez uczonego meteorologa od r. 1881 prowadzonych w obserwatorium własném, w miasteczku Płońsku na Mazowszu Płockiem. Układ tablic jest taki jak w Obserwatorium warszawskiem z dodaniem rubryki spostrzeżeń ozonometrycznych. Godziny obserwacyi są: 7 r., 2 d. i 9 w.

Spostrzeżenia meteorologiczne w Lublinie za rok 1884.

Na początku oznaczone jest położenie geograficzne Lublina i wzniesienie nad poziom morza, dalej wymienione przyrządy do obserwacyi użyte, własnością miejscowego gimnazjum będące. Układ tablic jest zgodny z powyższymi, dodano tylko obok kierunku wiatru jego prędkość na sekundę, wyrażoną w metrach. Do artykułu dołączono tablicę, przedstawiającą graficznie temperatury i wysokości barometru w Lublinie na każdy dzień roku 1884. Godziny obserwacyi są: 7 r., 1½ dnia i 9 wieczór. Jest to pierwszy dopiero rok spostrze-

żeń, jeżeli nie zajdzie przeszkoda w prowadzeniu ich przez dłuższy okres czasu i bez przerwy, badania klimatologiczne kraju zyskają cenny materiał, pochodzący z okolicy wyróżniającej się pewnymi właściwościami topograficznymi, znacznie większem niż Obserwatorium warszawskie wzniesieniem nad powierzchnią morza (Lublin 185,64 M. Warszawa 119,4, różnica 66,24 M=230 stopom warszawskim). Wreszcie klimatem wybitnie kontynentalnym.

Ap. Pietkiewicz. Studium nad dziełem akademika Wilda „O temperaturze powietrza w Cesarstwie Rosyjskiem“ wydanem w r. 1878 i 1882. Praca ta ściśle naukowa, krytycznie oceniająca dzieło, wymaga od czytelnika odpowiedniego przygotowania, lecz ułatwia obeznanie się z faktami na wielkim obszarze państwa, z pomocą rządową zebranymi przez Wilda. Obszerne to dzieło, opatrzone atlasem przedstawiającym graficznie wszystkie stosunki termiczne traktowane w tekście, z powodu wysokiej ceny jest mało dostępne, nas zaś obchodzi bliżej nie tyle ze względu, że obejmuje dane pochodzące z najodleglejszych stron państwa Rosyjskiego, lecz, że je zestawia z faktami wziętymi z Europy zachodniej, i że korzysta ze spostrzeżeń robionych w Krakowie przez prof. Karlińskiego i dawniejszych jeszcze spostrzeżeń w Warszawie prof. Magiera i jego następców.

II. Cybulski. Spostrzeżenia fitofenologiczne poczynione w Ogrodzie Botanicznym w Warszawie od r. 1865 do 1885.

Wskazane są naprzód: położenie geograficzne miejsca spostrzeżeń, jego wzniesienie nad poziom morza Bałtyckiego, wynoszące 109 metrów, i względne wzniesienie nad poziom Wisły 33 metry, następnie określona natura gruntu i wystawa miejsca na zimne wiatry wiosenne. Spostrzeżenia obejmują okres lat 21 od r. 1865 do 1885 włącznie, a pod uwagę biorą tylko pojawianie się na roślinie pierwszych kwiatów. Roślin obserwowanych wymieniana autor 95, z których część pewną dopiero z biegiem czasu przybrano. Wypadki zestawił autor w formie tablic, w których rośliny ułożone są porządkiem alfabetycznym nazw łacińskich, osobna zaś dla każdego roku rubryka jest przeznaczona na wpisanie daty rozkwitu. Praca niniejsza p. Cybulskiego, doświadczonego obserwatora i znawcy, wpłynęła na uproszczenie instrukcji i schematów do prowadzenia spostrzeżeń w dziedzinie zjawisk życia roślin, ułożonej w roku przeszłym i przez Redakcją Wszechświata rozestanej do wszystkich prenumeratorów. Na przyszłość ma być zaniechane zapisywanie zjawisk mniej ważnych lub trudnych do dokładnego zaznaczenia, zaś spis roślin poleconych do obserwowania ma być przejrzany i ułożony według następstwa pory kwitnienia.

## Dział II. Geologia z Chemią.

Obejmuje w tym roku artykułów pięć.

Dr. J. Trejdosiewicz. Kilka słów o budowie geologicznej i po-

kładach węgla brunatnego najbliższej okolicy Krzemieńca. Z mapą geologiczną.

Jest to relacya z wycieczki odbytej w kwietniu r. p. dla obejrzenia pokładów węgla brunatnego w Krzemieńcu. Autor zwiedził trzy miejsca, gdzie węgiel wychodzi na powierzchnię i punkta te zaznaczył na mapie; leżą one w pobliżu miasta ku zachodowi, na linii blisko 6 werst dłużej z wygięciem blisko 2 wersty szerokiém. Z obejrzenia wychodni i dokładniejszego w jednej z nich zbadania chodnika okazuje się, że grubość pokładu wynosi w miejscu jednym przeszło 3 metry, w obudwóch zaś innych około 2 metrów. Ze skąpych tych danych autor oblicza w przybliżeniu zapas złożonego tu węgla na 220 milionów korcey, wartości co najmniej 11 milionów rubli. Próby chemiczne świadczą, że węgiel krzemieniecki należy do lepszych w tym gatunku. Dokładniejszych informacyi wycieczka pobieżna dostarczyć nie może, wskazuje tylko ważność kwestyi i potrzebę dokładnych studyów geologicznych i górniczych do zbadania grubości pokładu, jego ciągłości i granic rozpostarcia. Jest to bogactwo rodzime złożone w łonie ziemi, oczekujące na eksploatacyę umiętęną i z odpowiedniami siłami podjętą.

A. Michalski inż. górń. Formacya jurajska w Polsce. Z mapą.

Badania geologiczne prowadzi autor z polecenia komitetu geologicznego w Petersburgu, rezultaty prac dokonanych w latach 1882 i 83, w gub. Kieleckiej i Radomskiej są umieszczone w tomie III i tomie IV Pamięt. Fizyogr. W roku 1884 autor badał okolicę Częstochowy i Wielunia, i tu znalazł się na gruncie poprzednio już badanym przez Zejsznera a następnie przez wrocławskiego prof. Roemera, który objął nawet tę okolicę w swojej mapie geologicznej Szlązka Górnego. Różnice w poglądach naukowych autora z badaczami poprzednimi, tudzież porównania utworów téj okolicy z odpowiedniami utworami w innych krajach, są zbyt specjalne aby było możliwém zdać z nich sprawę krótko i przystępnie dla wszystkich. Ogół poprzestać może na wiadomości że badania te mają rzeczywistą naukową wartość.

J. B. Pusch. Nowe przyczynki do geognozyi Polski z rękopisów pozostałych po autorze przełożył Br. Rejchman.

VI. O względnym wieku formacyi w Polsce.

Krainę leżącą na północ Karpat od Odry do morza Czarnego rozpatruje tu autor aby oznaczyć wiek podniesienia znajdujących się tu gór i wyżyn. Po ostrzeżeniu że nie każdy systemat gór jest wynikiem jednorazowego aktu wzniesienia, lecz częściej szeregu w różnych okresach geologicznych ponawianych podniesień, wykazuje, że system gór środkowo-polski i sandomirski jest dalszym ciągiem północnego systemu gór niemieckich (Las Teutoburski, Hare), a od systemu Karpackiego jest orograficznie i geognostycznie odmienny, podniesiony zaś został pomiędzy okresem jurajskim i kredowym. Dalej na wschód ciągnąca się od Dniestru aż za Dniepr wyżyna granitowa podniesioną była później, w części pod koniec okresu miocenicznego, w części

w okresie dyluwialnym. W końcu bada autor skalistą wyżynę polsko-szląską, obejmującą kąt południowo-zachodni Królestwa Polskiego, i znaczną część Szlązka, wykazując jej związek z Sudetami; podniesienia tutejsze charakteryzują liczne przebiccia przez porfiry i inne skały plutoniczne, prawdopodobnie wcześniejsze od utworzenia się wapienia muszlowego formacyi tryasowej.

Dr. J. Siemiradzki. Otwór świdrowy w Wildze nad Wisłą. Relacya z wycieczki zrobionój w kwietniu r. p. dla obejrzenia robót świdrowych przy poszukiwaniu lignitu. Po krótkim zarysie topograficznym miejscowości podaje autor wykaz warstw przebitych przez dwa otwory świdrowe. Jeden doprowadzony do głębokości 202 stóp, po dojściu do zbitego piaskowca szarego został zaniechany, drugi pogłębiony już do 122 stóp przebił 75' pokładów aluwialnych i starszych dyluwialnych złożonych z piasków i żwirów z głazami narzutowemi, tudzież 45 1/2' w pokładach trzeciorzędowych, złożonych z piasków grubych z ostrokanciastymi okruchami kwarcu i lidytu, tudzież z różnych glin twardych mocno zabarwionych. W końcu artykułu wyraża autor życzenie aby przedsiębiorcy wiercenie świdrowe zechcieli o tój robocie zawiadamiać redakcyą Pamięt. Fyzjograficznego.

Br. Znatowicz. Rozbiory chemiczne wody wiślanój, przez różnych badaczy wykonane. Autor wezwany przez magistrat warszawski do zbadania wód używanych za napój w Warszawie, miał w rękę cały materiał analityczny odnoszący się do tój kwestyi, i wypadki wszystkich rozbiorów ułożył w tablicę wskazującą nazwę chemika, miejsce zkąd wodę czerpano, i ilość materyi składowych w 100,000 części na wagę. Nazwisk chemików jest 7, miejsc w Warszawie, już to wprost na rzece, już kranów wodociągowych wymieniono 11. Oprócz tego p. Matuszewski prof. szkoły realnój we Włocławku nadesłał rozbiór wody z niższej części rzeki. Przegląd tablicy wykazuje znaczne różnice w wypadkach. Uwagę także zwraca, że woda z dołu rzeki wydaje się w pewnych względach czystsza niż pod Warszawą.

### Dział III. Botanika i Zoologia.

Dział ten we wszystkich poprzednich tomach Pamiętnika najobficiej wypełniony, w roku ubiegłym pozyskał jeszcze w dziedzinie botaniki czterech świeżych pracowników, tom niniejszy obejmuje przeto artykułów botanicznych 11, nazwisk autorów 6; w Zoologii artykułów 4 i tyleż nazwisk.

K. Łapczyński. Trzy notaty. I) Wycieczka na Podole. II) Rośliny nadkubańskie. III) Kilka słów o Bialskiej puszczy. Czytelnicy Pamiętnika znają metodę autora. W artykule pierwszym zaznajamia najprzód z krainą, następnie określa stanowiska zebranych roślin, w końcu podaje spis, w którym wie co zasługuje na wymienienie, a co jako balast bezwartościowy należy pominąć, uwagi tu i owdzie jakby od niechcenia rzucone, zawsze albo wyjaśniają wątpliwość jaką w sy-

nonimii, albo dają wskazówki rozmieszczenia i granic. Znacząca znajdzie w tym spisie nowe dla flory naszej nabytki, jak owa święta druidów jemiola, *Loranthus europaeus*, której krzak okazały o gałęziach calowej grubości wraz z konarem dębu, który go wykarmił, mieli sposobność oglądać, po raz pierwszy w życiu, botanicy nasi na ostatniej wystawie ogrodniczej w Warszawie. Artykuł drugi dla fizyografii kraju ma znaczenie większe niżby powierzchownemu czytelnikowi zdawać się mogło z tytułu. Wykaz roślin z krainy daleko na Wschód po za krańce nawet Zaporozża posuniętej, ale na szlaku przedhistorycznej wędrówki ludów, i w ogóle ruchu życiowego leżącój, objaśnia wiele stosunków geograficznych pod względem rozmieszczenia roślin, i użytecznym jest komentarzem do artykułu o Podolu. Nakoniec krótka wycieczka do puszczy Bialskiej, dotąd przez botaników naszych nie zwiedzanej, podając pierwszy zarys jej roślinności, może się stać podniecią do należytego zbadania zasługującego na to zakątka.

Po raz pierwszy w pracach Pam. Fizyograf. uczestniczący pp. Drymmer, Majchrowski i Eismond przedsięwzięli zwiedzić okolice Królestwa najmniej dotąd badane, i każdy powrócił z materiałem przynoszącym coś nowego.

K. Drymmer. Spis roślin zebranych w powiecie Kutnowskim, w okolicach Żychlina, Kutna, Krośniewic i Orłowa. Z mapą. Po krótkiej charakterystyce krainy i wymienieniu stanowisk, oznaczonych także na mapie, podaje autor spis roślin ze wskazaniem miejsc znalezienia i pory kwitnienia. Rzadszych roślin jest kilkanaście. Osobno podał autor drugi spis roślin, dawniej t. j. w r. 1880 i 1881 zebranych w okolicy Hanuszyszek w gub. Kowieńskiej na granicy Kurlandyi. Spis ten godzien jest uwagi ze względu położenia miejsca posuniętego ku północy, a klimatu łagodzonego bliskością morza, to też znajdujemy tam obok siebie sybirską Moroszkę, *Rubus Chamaemorus*, i naszą Tarninę, które niewiadomo czy się gdzie indziej z sobą spotykają.

Wł. Majchrowski. Sprawozdanie z wycieczki botanicznej do powiatu Ciechanowskiego i Mławskiego w czasie letnich wakacji w r. 1884. Z mapą. Miesiące wakacyjne nie sprzyjają poszukiwaniom florystycznym, rośliny już po większej części przekwitły, a nasion dojrziałych jeszcze nie mają; gdy jednak nie każdy może korzystać z pory dogodniejszej, robi co da się zrobić. Z krótkiego zarysu okolicy i jej roślinności dowiaduje się czytelnik o faktach nowych, jak np. *Elodea canadensis* (w spisie opuszczona) i tam już zjawiała się nawet w drobnych rzeczkach, *Galinsoga parviflora* także już tam doszła. W spisie roślin znajduje się kilka gatunków rzadszych, jak *Andropogon Ischaemum* (stanowisko nie wskazane), *Arnica montana*, w lesie Lekowskim.

A. Ejsmond. Sprawozdanie z wycieczki botanicznej w Opoczyńskie, w lecie 1884 r. Z mapą. Wycieczka również wakacyjna; w sprawozdaniu widoczne jest prowadzenie dziennika zajęć, gdyż opis okolicy autor ożywia obrazem czynności, a obszar w ogóle mało żyzny uroz-

maica wskazaniem miejsc bogatszą uposażonych roślinnością. Spis roślin zaznacza przy wszystkich rzadziej spotykanych miejsca znalezienia. Florę Królestwa obdarzył p. Ejsmond rośliną dotychczas tutaj nie dostrzeżoną: *Salvia Aethiopsis*, o czém jeszcze wiedzieć nie mógł autor spisu roślin nadkubańskich, zaliczając roślinę tę do kategorii rosnących na Podolu, lecz nie znajdujących w Królestwie.

Panna Marya Hempel nadesłała dwa spisy roślin, zbieranych w dwóch odległych od siebie okolicach, jeden w Słupi Nadbrzeżnej leżącej po lewej stronie Wisły w powiecie Opatowskim, drugi w Teresinie dóbr Białopole w powiecie Hrubieszowskim gubernii Lubelskiej. Spis pierwszy liczący przeszło 600 gatunków, obejmuje najmniej kilkanaście roślin niedostrzeżanych w okolicach Warszawy i nie znajdujących się we Florze J. Wagi, jak *Colchicum autumnale*, *Carex humilis*, *Cephalanthera grandiflora*, *Rosa gallica* i i. Spis drugi przedstawia tylko wybór roślin, ale między niemi są takie, których spis pierwszy nie obejmuje, jak *Veratrum nigrum*, *Gynnenadenia conopsea*, *Cypripedium*, *Calceolus*, prócz tego spis ten dodaje do flory krajowej nową roślinę, *Echium rubrum*, rosnącą na Podolu, w Węgrzech i na Morawie. W obydwóch spisach kilkadziesiąt rzadszych roślin otrzymuje wskazówki stanowisk dotąd wcale nieznanych.

Pani Marya Twardowska nieprzestaje udzielać swoich prac z odległego ustronia. W tomie niniejszym Pamiętnika umieściła wiadomość o Śluzowcach (grzybkach najniższego ustroju), których zbieraniem i determinowaniem zajmuje się od lat kilku. Prócz tego do spisu roślin z okolic Szemetowszczyzny, powiatu Świenciańskiego gubernii Wileńskiej, drukowanego w tomie III Pamiętnika, dołączyła teraz mały dodatek, w którym znajdują się dwie rzadkie rośliny skrytokwiatowe, *Lycopodium complanatum* i *Botrychium Lunaria*.

Do działu botanicznego powinny być jeszcze wejść trzy artykuły pomieszczone w dziale dodatkowym. Łączność przedmiotu zniwala zdać z nich tutaj sprawę.

Wł. ks. Massalski. Szkic klimatu i flory Druskienik. Z mapą. Część botaniczną poprzedza zarys topografii i geologii Druskienik i bliskiej okolicy, o źródłach mineralnych autor nie mówi. Korzystając ze znalezionej w tamecznej stacyi meteorologicznej materyału, zebrał go, naukowo obrobił i przedstawił wszechstronny obraz klimatu. Część botaniczną stanowi Spis roślin jawnokwiatowych flory druskienickiej, obejmujący 437 gatunków. W spisie nadmieniono, że Akacya biała wytrzymuje zimy i wyrasta w wysokie drzewo, Tarnina nie wymieniona, Róży dzikiej zwyczajnej, *Rosa canina*, w spisie nie ma, a jest wymieniona Róża majowa, *Rosa cinnamomea*, z datą kwitnienia 27 czerwca (rok 1883 był anormalnie zimny i rośliny kwitły później niż zwykle). W części czwartej grupuje autor rośliny według stanowisk na wodne, błotne, łąkowe i t. d., grup takich wymienia sześć, grupy solankowej nie ma i roślin solankowych tak obfitych w Cieclocinku, ani jednej spis nie wykazuje.

Dr J. Rostafiński. Spis roślin znalezionych przez prof. Stan. Cyrynę Dogiela z uczniami Szkoły Wojewódzkiej Sejneńskiej, w okolicach Sejn, od r. 1827—1830.

Jest to poważne świadectwo życia naukowego u nas z lat dawno minionych, i nieliczni owój epoki weterani mogliby jeszcze z osobistej z Dogielem i z Chrapczyńskim znajomości, dostarczyć profesorowi Rostafińskiemu pożądaných przez niego szczegółów z życia mężów takiej zacności charakteru i takiego umiłowania nauki i uczniów. Spis obejmuje przeszło 400 gatunków i dzisiaj jeszcze po sześćdziesięciu latach posiada wartość lokalną, wydany jest w szacie nieco zmodernizowanej, układ lineuszowski zmieniono na jeden z nowych układów przyrodzonych, nazwy rodzajów lineuszowskie zastąpiono nazwami późniejszymi z zachowaniem jednak nomenklatury oryginału w odsyłaczach.

Dr Fr. Kamieński. Spis paproci krajowych. Ogłaszane dotychczas spisy roślin z różnych okolic kraju poprzestają najczęściej na roślinach jawnokwiatowych, dla zapewnienia tego braku podał autor spis niniejszy obejmujący 24 gatunki paproci krajowych, aby zaś upowszechnić ich znajomość wystawił je na widok publiczny podczas ostatniej wystawy ogrodniczej, w doborowych okazach swojego zielnika.

Do zoognozyi kraju odnoszą się prace następujące:

Dr H. Dziedzicki. Drugi przyczynek do fauny owadów dwuskrzydłych. Rodzaje nowe: Hertwigia i Eurycera i nowe gatunki rodzajów Boletina, Sciophila. Sześć tablic litograf. 135 figur przedstawiających w powiększeniu szczegóły anatomiczne narządu płciowego.— W dalszym ciągu badań nad owadami z grupy komarów grzybnych podaje tu autor określenie dwóch nowych rodzajów i opisy 48 gatunków. Praca samodzielna, przeznaczona dla powszechnej społeczności naukowej, musi odpowiednią mieć formę: dyagnozy są po łacinie, opisy szczegółowe po polsku. Metoda opiera się na budowie narządu płciowego. Materiał zebrany po części osobiście na Białorusi, na Litwie, na Kujawach i w okolicach Warszawy, po części udzielony autorowi przez ks. dziekana Grzegorzka z Bochni, wreszcie miał autor do rozporządzenia typy ze zbioru Winnertza. Praca ta Dr D. wychodzi współcześnie w przekładzie niemieckim w Wiedniu.

Z. Fiszer. Materiały do fauny skorupiaków liścionogich (Phyllopoda). Pięć tablic litografów. 30 figur przedstawiających osobniki w wielkości naturalnej i szczegóły anatomiczne w powiększeniu. Tablica porównawcza gatunków należących do rodzajów Lepidurus i Apus.— Młody zoolog lwowski opracował tu pod kierownictwem prof. Dybowskiego gatunki krajowe Przekopnie, które uważa za różniące się od znanych dotąd gatunków europejskich Lepidurus productus i Apus caneriformis. Nowe te gatunki oznaczył nazwami L. Kozubowski, A. varsaviensis, A. halicensis i A. lublinensis. Materiał zebrany osobiście w Galicyi, po części zebrany przez prof. Dybowskiego w okolicach Warszawy, tudzież w Lubelskiem.

F. Osterloff. O Chrzęszczach krajowych. Ciąg dalszy. Jest to katalog rozumowany bogatego zbioru chrzęszczów krajowych, gromadzonego przez autora wytrwale od lat przeszło trzydziestu; gatunki niewątpliwego w kraju znajdowania, choćby ich zbiór nie posiadał, są także wymienione. Katalog ten może być bardzo dla specjalistów pomocny do sprawdzeń i studyów szczegółowych w kolekcji i to stanowi jego naukowe znaczenie; umieszczany częściowo od II tomu Pamiętnika, w tomie niniejszym zawiera chrzęszcze roślinożerne z oddziału Pałkorożkowych (Clavicornia) i Pitkorożkowych (Serricornia).

A. Wałeckci. Materyały do zoografii krajowej. 1) Micromammalia (drobne zwierzątka ssące). 2) Żubr i Bóbr (według najświeższych o nich wiadomości). — Autor przekonany że tylko spostrzeżenia umiejętne i fakta niewątpliwie przynoszą materyał pożyteczny w badaniu przyrody krajowej i zbliżają do celu, uważa za jedną z najpilniejszych na tén polu potrzeb opracowanie treściwych przewodników; taka przygotowawcza praca może powołać większą liczbę odpowiednio uzdolnionych współpracowników, i zajęciami ich pokierować. Nieznane dotąd np. są u nas granice rozpostarcia wielu gatunków zwierząt zwłaszcza zimnokrwistych, i póty wytknięcia granic oczekiwać nie można, póki znajomość gatunków nie będzie więcej upowszechnioną. Dążność tę wyrażają wszystkie prace autora pomieszczone od początku wydawnictwa w Pamiętn. Fyzjograf. W tym roku są tu podane tablice analityczne do determinowania krajowych niedoperzy i zwierzątek owadożernych (Ryjkonosów). Osobno dołączono wiadomość o Żubrze i o Bobrze, opartą na świadectwach najpóźniejszych o liczbie żyjących jeszcze u nas tych rzadkich zwierząt.

#### Dział IV. Antropologia.

J. Zawisza. Urna twarzowa z Sokołowa. Z figurą litografowaną. W Sokołowie nad rz. Zgłowiączką o pół mili od Brześcia Kujawskiego w r. 1879 przy pogłębianiu orki natrafiono na grób przedhistoryczny tak zwany skrzynkowy, t. j. obłożony płytami kamiennymi, z trzech urn znalezionych w grobie jedna ozdobiona była wyobrażeniem twarzy ludzkiej. Zdaniem autora urny téj formy wprowadzili do nas wędrujący nad Bałtyk po bursztyn Etruskowie, kształt twarzy o nosie pociągłym małych ustach wyraża typ południowo europejski, o kształcie czaszki wiedzieć nie można, kości są spalone, w popiele znaleziono szczątki bronzu. Urna znajduje się w zbiorze autora.

T. Żuniewski. Starożytne żarna w Polsce. Cztery tablice litogr. figur 21. Po wstępie erudycją wspartym wymienia autor znajdowane w kraju kamienie granitowe widocznie używane niegdyś do rozcierania ziarna; kształt wszystkich płaski podługowaty z wklęsłością po środku. Znajdowano je w miejscach różnych, w ścianach grobów skrzynkowych, w fundamentach budowli, wreszcie rzucone luźnie przy chatkach i drogach. Siedmiu takich kamieni ze zbioru własnego w Ko-



rytnicy, pow. Węgrowski gub. Siedlec., podaje autor wymiary i rysunki, przytém nadmienienia o innych znajdujących się w zbiorach ks. Jamiotkowskiego w Kuleszach, pow. Mazowiecki gub. Łomżyń., Zygm. Glogiera w Jeżewie tegoż powiatu, prof. J. Przyborowskiego w Warszawie. Na międzynarodowy symbol dla żarn proponuje autor archeologom znak  $\ominus$  (żłobek z głazikiem trącym).

Dr J. L. Kozłowski. Ludowe nazwy niektórych roślin z Prus królewskich. Zbiorek ten nazw ludowych zebranych na pomorzu Gdańskim i u Kaszubów, obejmuje zaledwie kilka nazwisk, któreby wreszcie kraju były nieznanne (kidza, dzerdza, pujki wijąg..), inne wyróżniają się najczęściej tylko fonetycznym skażeniem wyrazów czysto polskich, po części i niemieckich, i nie przyczynią się zapewne do wzbogacenia słownika polskiego.

J. Karłowicz. O imionach własnych polskich miejsc i ludzi. Obszerne to studjum nad tą wyrazów naszego języka kategorią, która obejmuje nazwy miejsc i nazwiska rodowe wykazuje drogi ich tworzenia się, tudzież nie wyczerpany ich rozród i przemiany przez dodawanie różnych suffiksów i różnych końcówek, przez przyczepianie różnych przedstawk na początku lub na odwrot, przez oderwanie początkowej części wyrazu pierwotnego. Na szczegółowe objaśnianie metody miejsca tu nie ma, ograniczyć się więc trzeba zarysem ogólnym. Autor bierze pod uwagę tylko małą część imion własnych, mianowicie te, które wyprowadzają się od imion ludzkich, już to chrestnych poczerpniętych z języków starożytnych, już też imion swojskich przedchrześcijańskich. Wymienia imiona i wykazuje pochodne od nich nazwy miejsc i rodów; prawie każde imię dostarcza kilku tematów, a z każdego wysnuwa się przez różne dodatki, zdrobnienia, skrócenia, szereg imion różnego znaczenia zależnego głównie od końcówki. O mnogości tej rzeszy powziąć można wyobrażenie z kilku rysów: imię Bolesław daje pięć tematów twórczych, a z tych 39 imion pochodnych oznaczających miejsca i ludzi. Nieużywane dziś imię Chwalisław daje 8 tematów a 86 pochodnych. Piotr z 12 tematów twórczych dostarcza 76 imion. Łukasz, od tematów pełnych i skróconych, prawie tyleż. Jan ze spieszczeniami, pochodnych kilkadziesiąt. Mikołaj może jeszcze więcej, inne imiona w podobnej mierze. Podany na końcu spis obejmuje przeszło półtora tysiąca nazwisk wymienionych w tekście. Nie wszystkie zapewne wywody autora trzeba przyjmować bezwzględnie, sam on ostrzega, że nie wszystko ma za pewne, wiele jest tylko przypuszczeniem, zawsze jednak mniej lub więcej usprawiedliwionem. Celem rozprawy, słowa autora, było poruszenie tej części językoznawstwa polskiego, która dotychczas najmniej była opracowywaną, a budzić może i powinna zajęcie ogólne. Nosimy przecież wszyscy nazwiska, zamieszkujemy miejsca od wieków ponazywane, czyż więc obojętną może być rzeczą, dla czego, jaką drogą i kiedy imiona te nam i ziemi naszej się dostały.

W. Nałkowski. Jezioro Lepelskie w systemacie Berezynskim. Z mapą. Jezioro Lepelskie mające połączenie naturalne z Dźwiiną przez rzekę Utę, a z Berezyną przez system kanałów, leży na jednej z dróg wodnych łączących morze Czarne z Bałtykiem. Żegluga była tu przed kilkudziesięciu laty dosyć ożywiona, statki różnemi produktami ładowne chodziły w obie strony, obecnie spław tylko tratw odbywa się do Rygi. Szczegółowy opis jeziora jest dla hydrografii kraju cennym przyczynkiem; perspektywa wód, zarysy brzegów i okolicy przedstawiającej dotąd ślady lodnikowej moreny zajmą zarówno topografa jak i geologa. Ciemną na tym ożywionym obrazie plamą jest chmurne niebo a jeszcze bardziej nędza materialna i moralna ludu, jedną tylko iskierką mignęło tu życie podnioślejsze, dom p. Kuścińskiego w Zawidziczach.

Z okolic oddalonych od ognisk życia umysłowego wiadomości nadchodzą rzadko i trudno je zbierać, wartość ich zależy od ukształcenia świadka i jego zdolności obserwacyjnej, u kogo przymiotów tych jest więcej od tego i wymaga się więcej.

Wycieczka niniejsza już samą odległością miejsca budzi zajęcie i oczekiwania, autor wywiązał się z niej w wielu względach należyście, w innych atoli nie dostrzegł, że rzeczy ważne potrącił mimochodem nie przyczyniając się do ich wyjaśnienia.

Do zadań trudniejszych w badaniach przyrody kraju należy wytknięcie granic geograficznego rozpostarcia niektórych gatunków zwierząt, wymaga to bowiem zebrania świadectw licznych i niewątpliwych.

Z tej kategorii fizyografii naszej wycieczka ta przynosi tylko dwie wiadomości: 1) grzebułka (*Hirundo riparia*) dolatuje aż tam pod 55° szer. pn. i gnieździ się obficie w wysokich brzegach jeziora i rzek; 2) muszelka mała przyczepiająca się do różnych przedmiotów podwodnych, o której autor robi wzmiankę pod miejscową nazwą czerepaszki, z krótkich lecz trafnych wskazówek domyślać się można z całą pewnością, jest *Tichognia polymorpha*, której osobliwsze przygody warto jest choć w kilku słowach tu dodać: pierwotnie pochodzi ona z morza Kaspijskiego i Wołgi, z biegiem czasu zawleczona przez statki coraz dalej na północ i zachód; przed kilkudziesiątkami lat w Wiśle jeszcze jej nie było, obecnie dostała się już nawet do rur wodociągowych w Warszawie i grozi ich zatkanie. Dostrzeżono ją już w Elbie a nawet w Tamizie. W pochodzie swym na zachód muszelka ta spotkała się już z drugim jak ona natrętem, z rośliną wodną *Elodea canadensis* pochodzącą z Ameryki, która w nieznanym sposób przeniesiona z oceanu zadziwiająco rozmnaża się w wodach śródkich Europy, sięga coraz dalej na wschód i grozi zamulaniem głównie kanałów spławnych. Dalej nie dowie się już czytelnik czy w wodach jeziora poławia się Sicława, ryba wyłącznie w głębokich jeziorach północnego pasa kraju żyjąca. Nie odgadnie jaki to gatunek jaszczurki uwija się po tamecznych odłogach; najpospolitsza w średniej strefie kraju *L. agilis*

niewiadomo czy dochodzi tak daleko na północ, przynajmniej z okolic Mińska nadsyłane przez ś. p. J. Wańkowicza okazy były zawsze Jaszczurką żyworodną, *L. vivipara*. Trudniejszą do rozwikłania od wymienionych dotąd jest kwestya żab, o których wspomina autor, że wchodzą do mieszkań ludzkich, wieczorami przy świetle lampy chwytają po podłodze muchy i wyprawiają serenady. U nas do mieszkań włazi Ropucha szara, gatunek najobszerniej rozmieszczony i powszechnie znany, lecz ta głosu prawie nie wydaje, żab właściwych wewnątrz mieszkań nie dostrzegano. Inne gatunki skrzeków bezogonowych, z wyjątkiem Żabki drzewnej i Kunka wodnej mało są znane, wiadomo tylko że z ośmiu krajowych gatunków tylko trzy żyją w całym kraju, pięć nie dochodzi do krańców północnych. Są to wszystko szczegóły dopominające się rozwiązania od badaczy przyrody krajowej. Zapewne że podróżnik z wytkniętym celem wycieczki nie może oddawać się różnorodnym poszukiwaniom, powinien jednak korzystać ze sposobności, które same się nadarzają, nie można wymagać od niego specjalnych wiadomości we wszystkich gałęziach nauki, ale godzi się oczekiwać baczniejszego poglądu na główne właściwości zwiedzanej okolicy, zwłaszcza odległej i klimatem różnej. Wybadanie miejscowych rybaków, przywiezienie kilku okazów zwierzątek zachowanych w spirytusie, a choćby tylko po prostu zasuszonych dałoby możność oznaczenia ich gatunku, i nauce przyniosłoby odrobinę pożytku, którego nie da żadna humorystyczna wycieczka na pole dla rozumu ludzkiego niedostępne, a z zadaniem wydawnictwa najmniejszego nie mające związku.

Przegląd piątego tomu Pamiętnika Fizyograficznego zamykamy odwołaniem się do sprawozdania z roku przeszłego w zeszycie lutowym, z którego czytelnicy *Bibl. Warsz.* będą mogli poznać ciągłość pracy i jedność naukowego kierunku w tém zbiorowym dziele. Sprawozdanie z lat dawniejszych pisane przez nieżyjącego już F. Sulimierskiego było może więcej ożywione, serdeczniej witające usiłowania pracowników, zadaniem niniejszego jest głównie przedmiotowy przegląd materiału w celu zaznajomienia z nim naszego ukształconego ogółu.

A. W.

*Histoire de la litterature portugaise depuis ses origines jusqu'à nos jours par Loiseau Paris 1886, stronic 409.*

„Ze wszystkich literatur europejskich—mówi p. L. we wstępie do swego dzieła, portugalska jest najbardziej zaniedbywana.“ Że zaś „naród, który dokonał tylu czynów, rozwinął tyle dzielności i potęgi ducha zarówno w dobrej jak w złej doli, którego patriotyzm wznosił się aż do wyżyn szczytności, nie zasługuje ani na pogardę ani na nie-

pamięć potomnych;“ przeto autor postanowił wzbogacić literaturę europejską dziejami literatury portugalskiej. Widoczna pretensjonalność słów powyższych p. L. (który nawet „pour ne pas trop depayser les lecteurs portugais et bresiliens“ przyjął w swęj książce pisownią narodową imion własnych) wzbudza mniemanie, że autor wziął na swe barki brzemie uprawy pola zupełnie odłogiem leżącego i że praca jakiej dokonał, ma być źródłem informacyjnem nawet dla współziomków Kamoensa. Czyżby dotąd nie nie zrobiono w tym kierunku?.. Literatura portugalska była rzeczywiście do niedawna jeszcze po macoszemu traktowana w kraju i zagranicą. Portugalczykom nie leżała widocznie na sercu sprawa jęj dziejów, a Europa zdawała się ograniczać ważność tego przedmiotu do Kamoensa, który sam jeden reprezentował parnas Luzytanii przez długie lata. Pierwsze wiadomości obszerniejsze o skarbach literatury ojczystej zawdzięczają portugalczyki dwu cudzoziemcom Buterwekowi i Sismondemu, ale wówczas Portugalia, przedstawiała się jeszcze, „jako jedna z wysp owych, których brzegi widzieli wprawdzie podróżnicy, nie mając jednak pojęcia o skarbach, jakie się na nich znajdowały.“ To też następny pracownik w tym kierunku Ferdynand Denis, znów cudzoziemiec, w przedmowie do pracy swęj p. t: „Resumé de l'histoire litteraire du Portugal“ (Paris 1826) przyznaje z całą słusnością, że historia literatury portugalskiej „est encore à faire.“ Brak książki odpowiedniej w tym przedmiocie odczuwał należycie J. B. Leitao d'Almeida Garrett i dla tego na czele edycyi paryzkiej „Parnasu Portugalskiego“ umieścił swoje prace p. t: „Bosquejo da historia da poesia e lingua portugueza.“ Oto co pisze w przedmowie do tego szkicu: „Mniemam, że oddaję pewną przystugę literaturze narodowej, drukując ten szkic pobieżny historii języka i poezyi. Kto wie, że miałem rozpocząć przedmiot nowy, o którym nie pisał żaden z portugalczyków <sup>1)</sup> a dwaj cudzoziemcy: Buterwek i Sismondi, najnieudokładniej i w taki sposób, że raczej przeszkodzą niż pomogą do poznania i osądzenia hist. liter. portugalskiej <sup>2)</sup> ten pojmie ile mnie kosztowała pracy wielkiej, niewysławionęj (indizivel) ta próba.“ Co prawda nie znać owych trudów nadzwyczajnych w tym szkicu bardzo pobieżnym i niedokładnym, którego zresztą i sam autor nie podawał „por cabal e perfeito,” tłómacząc pobieżność pracy szczupłością miejsca na którém ograniczyć się musiał. Wzmiankowane powyżej prace potrzebowały przedewszystkiém uzupełnienia w pierwszej połowie, przedstawiały bowiem w zarysie wielce niedokładnym historią literatury portugalskiej w okresach najdawniejszych aż do XVI-go wieku, t. j. do początku t. z. okresu klasycznego z Sá de Miranda i Antonio Ferreira. Brakowi temu zara-

<sup>1)</sup> Quem sabe que tive de enoetar materia nova, portuguez non hum d'ella escreveu“ p. V, (Parnaso Lusitano paris 1826).

<sup>2)</sup> „incorrectissimamente e de tal modo que mais confundem do que ajudam a conceber e ajuizar...“ p. VI.

dził w znacznej części znów cudzoziemiec dr. Bellermann, który po dłuższym pobycie w Portugalii i o władnięciu źródłami całkiem świeżemi, wydał dzieło poważne p. t. „Die alten Liederbücher der Portugiesen oder Beiträge zur Geschichte der portugiesischen Poesie vom dreizehnten bis zum Anfang des XVI Jahrhunderts nebst Proben aus Handschriften und alten Drucken,“ Berlin 1840. Ważność tego dzieła ocenił w swoim czasie słynny romanista Ferdynand Wolf z właściwą sobie gruntownością <sup>1)</sup>).

W pięć lat po wyjściu książki Bellermana Franciszek Freire de Carvalho wydał w Lizbonie (1845) „Primeiro ensaio sobre a historia litteraria de Portugal, desde a sua mais remota origem até o presente tempo, seguido de diferentes opusculos, que servem para sua maior illustração.“ Książka ta stanowi jedynie podręcznik, daleki od pragmatyzmu i dokładności. Nie większą ma wartość następną z kolei praca w tym kierunku, napisana przez José Silvestre Ribeiro p. t. „Primeiros traços d'uma resenha da litteratura portugueza“ (Lisboa 1853). Wbrew tytułowi autor podał tu nie historią literatury, lecz tylko jej bibliografią, i w dodatku bardzo niedokładną. Nieporównanie większą przysługę piśmiennictwu wyświadczył José Maria da Costa e Silva przez wydanie dziesięciotomowego dzieła p. t. „Ensaio biographico—critico sobre os meliores poetas portuguezes“ (Lisboa 1850—1856). Jakkolwiek nie jest to jeszcze historia literatury, w ścisłym znaczeniu tego słowa; to przecież zawiera do niej materiały bardzo bogate. Jest to szereg monografii o pojedynczych pisarzach od najdawniejszych czasów aż do połowy XVIII w. Autor nie przeceniał bynajmniej swego dzieła, musiał jednak czuć jego ważność, gdy w tomie I wypowiedział te słowa pełne goryczy: „Sądzę, że w dzisiejszych warunkach literatury naszej, praca ta, zła czy dobra, nie będzie bezużyteczną, jesteśmy bowiem jedynym narodem w Europie, gdzie krytyka literacka jeszcze się dotąd nie urodziła, jedynym narodem „que não possui a historia da sua litteratura, nem mesmo da sua poesia,“ jedynym narodem, który musi radzić się cudzoziemców, jeśli pragnie coś wiedzieć o swoich mędrach, historykach, mówcach i poetach, których wydał.“

W r. 1855 wyszły jeszcze w Lizbonie „Memorias de litteratura contemporanea“ przez A. P. Lopes de Mendonça, ale książka ta zajmuje się tylko literaturą trzech ostatnich stuleci, następną zaś dzieło Ortiza (1857) ma zakres jeszcze szerszy, gdyż zawiera jedynie historią literatury portugalskiej w XIX wieku. Ważnym przyczynkiem do historyki literatury portugalskiej była następnie gruntowna praca Fryderyka Dieza, który w swém dziele p. t. „Ueber die erste portugiesische Kunst und Hof-Poesie“ 1863 poddał subtelną krytykę tak zwany „Cancioneiro de D. Diniz“ a mianowicie przedstawił syntezę

<sup>1)</sup> Studien zur Geschichte der spanischen und portugiesischen Nationalliteratur, Berlin 1859, p. 690—736.

historyczną owęj epoki literackiej, analizę form poetycznych i studyum nad językiem pieśni. W 3 lat później (1866) wyszło w Paryżu dzieło J. M. Pereira da Silva p. t. „La litterature portugaise, son passé son état actuel,“ całokształt dziejów literatury w szczerpym zarysie. Wszystkie prace powyższe ustąpić muszą pierwszeństwa dziełu Teofila Bragi, który na podstawie gruntownych studyów samodzielnych oparł swój całokształt literatury portugalskiej. Otóż w r. 1870 wydał „Introdução á historia da litteratura portugueza“ (stronic 355) gdzie autor podług słów przedmowy „zatożył podwaliny, określił żywioł narodowy, rozebrał wpływy literatur i cywilizacyi obcych, które oddziaływały na portugalską; powiązał kulturę portugalską z wielkimi tradycjami wieków średnich Europy a wreszcie zainaugurował krytykę nową.”

Po tym wstępie wyczerpującym wydał autor tom drugi p. t. „Trovadores galecio—portuguezes“ (cancioneiros provençaes) Porto 1871 w którym szczegółowo rozebrał zbiory pieśni tworzonych pod wpływem poezyi prowansalskiej (stronic 345). W tomie 3-im p. t. Epopêas da Raça mosárabe“ (Porto 1871 str. 378) Braga zajmuje się żywiołem gotyckim a nadewszystko arabskim w poezyi ludowej, analizując drobniązgowo jęj zabytki—jest to wizerunek szkoły narodowej. W tomie następnym p. t. „Poetas palacionos“ (Porto 1871 str. 434) autor charakteryzuje szkołę hiszpańską, przedstawia rozwój poezyi na dworze Alfonsa V, i Jana II a wreszcie rozbiera szczegółowo najważniejszy pomnik literatury portugalskiej z XV-go w. tak zwany „Cancioneiro geral.“ Tom piąty nosi tytuł „Bernardim Ribeiro e os bucolistas“ i zawiera studyum nad autorem nowelli „Menina e Moça,“ nad Christevam Falcão a wreszcie rozbiór tak zwanęj „Szkoły staręj“ (Gil Vicente, jako poeta liryczny, Dona Joanna da Gama, Gonçalo Annes Bandarra, Balthazar Estação) Porto 1872 stronic 316. Tom VI zatytułował autor „Historia das Quinhentistas“ (Porto 1871 str. 328). Jest tu mowa o liryce wytworzonęj pod wpływem renesansu włoskiego. Połowę tomu poświęcił Braga życiu i działalności Sá de Miranda, połowę zaś szkole tego poety. Trzy ostatnie tomy poświęcił autor życiu i działalności Kamoensa, oraz dwu szkołom jego: lirycznęj i epicznęj. Każdy z powyższych tomów stanowi całość oddzielną, podobnie jak i będąca uzupełnieniem tęj pracy czterotomowa „Historia teatru portugalskiego.“ Pierwszy z nich mianowicie obejmuje wiek XVI, to jest działalność Gil Vicente i jego szkoły (Porto 1870 stronic 326) drugi przedstawia teatr w wieku XVI i XVII t. j. rozbiera komedye klasyczne i tragikomedye (Porto 1870 str. 364); trzeci zawiera historię komedyi niższęj (baixa) i opery w wieku XVIII, czwarty nakoniec odzwierciedla dzieje pracy Garretta i rozbiór utworów dramatycznych wieku XIX. (Porto 1871 str. 296). Jak widzimy, Teofil Braga dokonał pracy olbrzymiej. Dzieło to nie jest bynajmniej wolne od usterek bardzo poważnych, że wspomnimy tu tylko o zbytęcznym rozwijaniu szczegółów bez znaczenia i wielkięj w układzie chaotycznosci; bądź co bądź jednak pierwsza to praca w tym kierunku gruntowna, źródło-

wa, na skalę bardzo obszerną pomyślana, przedsięwzięcie istotnie wielkie w kraju, gdzie jak mówi sam autor „nada se estuda e nada se respeita.” Ten sam autor wydał jeszcze w r. 1872 „Theoria da historia da litteratura portugueza,” która doczekała się już kilku wydań. Jest to niewielka książeczka o 206 stronicach małej ósemki, (Porto, 1881, 3-e wydanie) w której autor podzieliwszy rzecz na trzy sekcye: (das formas epicas, liricas i dramaticas) przebiega dzieje literatury z uwzględnieniem szczególnym tych czynników obcych, które na nich w każdej epoce oddziaływały. W 4 lata po wyjściu podręcznika Bragi, p. Bougeault w tomie III swojej „Histoire des litteratures étrangères (Paris 1876) umieścił historią literatury portugalskiej (447–518), która jak i całe dzieło niema żadnej wartości naukowej.

Z powyższego przeglądu widzimy, że jakkolwiek inne narody nie mają dotąd dzieła obejmującego całokształt dziejów literatury portugalskiej, oparty bądź na samodzielnych studiach krytycznych, bądź też na dość już licznych opracowaniach i monografiach, to jednakże Portugalia zdobyła się już na takie dzieło a poza nią nie brakło w tym kierunku pewnych mniej lub więcej szczęśliwych usiłowań. Jeżeli zaś p. Loiseau napisał „Historię” spowodowany temi względami, że naród portugalski „ne merite ni le dedain ni l'oubli de la posterité;” to naturalnie musi uważać książkę swoją za pracę jakiej dotychczas brakowało, t. j. za dzieło, przedstawiające źródłowo i dokładnie bogactwa literatury tego narodu.

Zobaczmy o ile to przekonanie autora ostać się może wobec krytyki.

Powiedziawszy słów kilka o początku historycznym królestwa portugalskiego p. L. przechodzi do pierwszych pomników literackich i powtarzając za pisarzami dawniejszymi, odnosi tu zarówno wiersze żałobne przypisywane Gonzalowi Herminges jak i pieśń miłosną Egasza Moniz do Violanty (str. 6). Tymczasem już Ribeiro w r. 1810 zakwestyonował starożytność tych zabytków, a trzydzieści lat temu Casta e Silva oświadczył się przeciwko autentyczności tak zwanych „Coplas” Moniza, krytyka zaś niemiecka (Bellerman, Wolff) wykazała z całą ścisłością, że pierwszy z tych poematów jest późniejszą przeróbką starożytnej sagi ludowej, drugi zaś jest apokryfem rzeczywistym „ein Machwerk des Andrade.” W dalszym ciągu autor mówi pobieżnie (podług Baret'a) o wpływie trubadurów francuzkich i o dworzec poetycznym króla Don Diniza, poczem rozbiiera tak zwane *cancioneiros* t. j. zbiory poezyi trubadurów portugalskich z czasu pomiędzy wiekiem XIII a XVI. O pierwszym z tych zbiorów, zwanym „Cancioneiro Del Rei Diniz” albo „da Vaticana” (z powodu, że go znalaziono w bibliotece watykańskiej), autor twierdzi, że jest „presque entièrement rempli des oeuvres du roi poete” (str. 18). Otóż twierdzenie to całkiem błędne. Prawdą jest, że ten zbiór pieśni, który wydrukowano w Paryżu w r. 1847, zawiera prawie wyłącznie utwory króla Deniz'a, ależ nazwa zbioru tego monarchy obejmuje, jak wiado-

mo, oprócz pieśni króla, poezye synów jego, krewnych i współczesnych poetów dworskich. To téż zaraz po wyjściu zbioru paryzkiego Costa e Silva pisał o wydawcy, że „miałby większe prawo do wdzięczności naszej, gdyby był ogłosił prace i innych trubadurów, które się znajdowały w zbiorach króla Deniza“<sup>1)</sup>. Wolff wykazał (o czém p. L. nic nie wie), że w pochodzącym z XV wieku rękopisie „Zbioru pieśni króla Deniza,“ z którego same tylko jego utwory przedrukowano, znajdują się wiersze 127 poetów<sup>2)</sup> z imienia i nazwiska wyszczególnionych. Fakt to nie małej wagi, świadczy bowiem do jakiego stopnia rozwój poezyi dworskiej był silny w owój epoce. Jeżeli autor nie zna książki Wolfa, to powinien był uważniej przeczytać podręcznik Bragi, który na stronie 199 podaje, że „Fernando Wolf publicou o catalogo dos trovadores do Cancioneiro da Vaticana.“ Charakteryzując te pieśni królewskie p. L. twierdzi słusznie, że „tonem panującym w nich jest miłość powściągliwa, płynąca z rozumu raczej niż z serca“ (str. 19) tymczasem o 25 stronic dalej przy porównaniu z temi pieśniami późniejszych poezyi, przejawiających pewien rozmyśl, autor twierdzi, że gdy te każą przypuszczać „un auteur,“ w tamtych czuło się „un homme inspiré“ (str. 45). Jeżeli owe pieśni dawniejsze były płodem „rozumu“ tylko, to nie mogą jednocześnie płynąć z natchnienia. Widoczna niekonsekwencya!

Przechodząc do drugiego zbioru pieśni najdawniejszych, zwanego dawniej „Cancioneiro do Collegio dos Nobres“ albo „Nobiliario,“ autor podaje tylko tę ostatnią nazwę nic nie wzmiankując, że od r. 1825 ważny ten pomnik literacki znany jest pod nazwą „Cancioneiro da Ajuda“<sup>3)</sup>. To nieuwzględnienie nazwy dzisiejszej mogłoby właśnie „depayer les lecteurs portugais.“ Ale mniejsza o nazwę. Posłuchajmy co autor mówi o tym zbiorze. „Nobiliario“ ma dla nas ten wielki interes, że zawiera biografie trubadurów, którzy śpiewali na dworze króla Deniza, co pozwala wnioskować, że byli oni najwięcej znani w téj epoce (co za bystrość krytyczna!!) i że nie trzeba ich mieszać z innymi trubadurami Galicyi, Kastylii i Aragonu.“ Jaki jest związek téj przestrogi dziwacznej z treścią zbioru?! Przytoczywszy kilka nazwisk trubadurów owych, p. L. mówi dalej: „Nobiliario“ zawdzięcza swój początek pragnieniu władzy królewskiej oswobodzenia się od szlachty“ (29). Czy kto jest w stanie zrozumieć tę dziwną genezę pomników poetycznych?.. Jakie znaczenie mieć może powyższa charakterystyka zbioru takich pieśni, które w całości swój do ostatnich prawie czasów, uważane były przez pierwszorzędných krytyków por-

1) „Porem o soudireito a nossa gratidão seria maior, se elle tivesse publicado as obras dos outros trovadores que se achavam juntas com as deste cancionero.“

2) loc. cit. p. 701.

3) Zmiana nazwy poszła stąd, że zabytek ten, przechowywany w Kolegium królewskim w Lizbonie, przeniesiony został do biblioteki królewskiej, d' Ajuda“ (Wolf l. c. 710; Braga 196).



tugalskich i niemieckich, za utwór Pedra, hrabiego Barcellos, opiewający „Geschichte der Liebe des Dichters und des Verhältnisses zu seiner Herrin“ i najnowsze dopiero poszukiwania nie pozwoliły przypisać zbioru tego jednemu autorowi?! Zresztą przy tak ważnym pomniku nietylko treść ale i formę jego uwzględnić należało przez porównanie z poprzednim zbiorem zwłaszcza, że w „Nobilario“ trafiają się nawet przykłady formy dyalogowej. Nie mniejszym było obowiązkiem autora zaznaczyć w jakim stosunku pozostawał ten drugi zbiór pieśni portugalskich do poezji trubadorów francuzkich, skoro już Fauriel kategorycznie twierdził, że w nich jest nie tylko „imitation continue“, ale nawet często „une pure traduction“<sup>1)</sup>.

W rozdziale o romansach rycerskich p. Loiseau pyta: „kto jest autorem historyi „Amadysa z Galii,“ poczem, wspomniawszy o pretensjach francuzów i hiszpanów do tego utworu, przypuszcza pierwszeństwo Portugalii, idąc za zdaniem Bragi (str. 55). A przecież zmysł krytyczny powinien był podszeptywać autorowi, że kwesty, w której przeciwnicy, gwoli próżnostkom patryotycznym, uciekają się aż do... fałszowania dokumentów, nie można rozstrzygać na podstawie dowodów strony interesowanej. Kto zaś nie może robić sam studyów źródłowych, niechaj korzysta z tego co ludzie przed nim zrobili. Otóż w r. 1876 dr. Ludwik Braunfels wydał w Lipsku rozprawę p. t. „Kritischer Versuch über den Roman Amadis von Gallien“ w której poddawszy niezmiernie subtel-nemu rozbirowi wszystkie źródła, jakie tylko do tego przedmiotu zgromadzić można, przyszedł do wniosków niezbitych, że „Amadis“ jest wyłączną własnością Hiszpanii, oraz że pretensye portugalskie gruntują się jedynie na dwu źródłach, z których jedno jest wrętem późniejszym do tekstu kroniki, a zatem jest sfałszowane; drugie zaś jest „durchhaus unhistorisch.“ Wszystkie zaś rozumowania Bragi w tym przedmiocie, które się wydały p. L. odpowiednikami, są wobec argumentów dr. Braunfelsa „Monstrum von Logik“ (str. 159). Wywody tego uczonego są tak gruntowne i przekonywające, że po nich dalsze spory w tój kwestyi byłyby wprost bezcelowe.

Cała gawęda o prototypie rycerza, poety i kochanka, zwanego „Macias enamorado,“ z której dowiadujemy się w rezultacie, że poe-zye jego „malheureusement sont presque toutes perdues“ (str. 62), jest żywcem przepisana z niedotężnej kompilacji Bougeault'a<sup>2)</sup>. Oryginalnością autora są zato przesadne pochwały bez motywów i... konsekwencyi. „Żadne tłumaczenie — pisze p. L. (str. 51), bez względu na wartość jego, nie może odtworzyć romansów portugalskich z tą świeżością i powabem, jaki mają w języku rodzinnym;“ opinia ta wszakże nie przeszkodziła autorowi, o kilka kartek dalej, nazwać przekładu francuzkiego Beaumelle'a „bardzo szczęśliwym“ (str. 63), a na str. 66 przy utworach Ribeiry znów powtórzyć, że „quelque

1) Histoire de la poesie provençale, Paris 1846 I—36.

2) Porów tom III, str. 451 i 2.

exacte, élégante et poetique que soit une traduction de Ribeiro, elle ne rendra jamais la melodie tendre“ poczty tego pisarza. A co za chaos w charakterystyce tego poety, opartej na czczych frazesach!.. I tak Ribeiro jest poetą „par excellence“ (str. 69), jego czwarta ekloga „zdaje się być najdoskonalsza“ (68), a piąta znów jest tak piękna, że „on ne peut rien imaginer de plus frais, de plus seduissant“ (69), pomimo tego jednak poeta „naśladuje Sannazara,“ utwory jego „w swych rysach wybitniejszych przypominają concetti włoskie“ (67), a w ogóle Ribeiro „nie jest wolny od pewnej monotonii“ (66). Rozstawszy się z tym poetą już znów autor nie ma słów uwielbienia dla następnego Christovala Falcao. Sielanka jego „Crisfal“ „jest jednym z najwymowniejszych i najnamiętniejszych utworów literatury portugalskiej,“ gdyż uczucia boleści i miłości „nie pod obna wyrazić z większą prawdą i delikatnością“ (str. 73). Tę przesadę, posuniętą do śmieszności, ma autor nie tylko dla poetów. Mówiąc o kronikarzu Fernão Lopes, przytacza z jego kroniki kilkadziesiąt wierszów o zamordowaniu hr. Andeiro i kończy frazesem ulubionym „im possible de mieux peindre une scene dramatique.“ O „Wyprawie Alfonsa V do Afryki“ historyka Azurary mówi, że „nad jego opowieść nie ma nic prawdziwszego“ (str. 82).

Cały rozdział IV-ty, złożony z trzydziestu stronic (86—118) poświęcił autor językowi portugalskiemu. P. Loiseau, gramatyk, specjalny badacz języka francuzkiego <sup>1)</sup>, pragnąc dać upust swoim upodobaniom językowym, nie wahał się, z wielką krzywdą dla swego dzieła, poświęcić tyle miejsca studjom gramatycznym i słownikarskim, którym zresztą to tylko zarzucić można, że są najzupełniej nie na miejscu. W „Historji literatury portugalskiej“ o 400 stronicach, zupełnie byłoby wystarczające zaznaczenie ogólne żywiołów, które się złożyły na ukształtowanie języka bez wyciągania z niego setek wyrazów, pochodzenia łacińskiego, francuzkiego, celtyckiego, germańskiego, arabskiego, kastylskiego i „od innych narodów.“ Że przedmiot ten interesował autora wyjątkowo, dowodzi większa staranność w nagromadzeniu potrzebnych do niego źródeł; jeśli więc czytelnik nie spotka się tu z nowym dorobkiem naukowym, będzie miał jednak streszczony rezultat badań takich pisarzy, jak: Diaz, Nunes de Leão, de Sousa, Coelho, Soromento i innych.

Rozdział V-ty traktuje o teatrze. Charakterystyka Gil Vicentego, ojca komedyi portugalskiej, nie daje nam przybliżonego nawet pojęcia o naturze działalności tego pisarza, którego utwory są niezmiernie cennym ówczesnej epoki wizerunkiem. Streszczając swoje nad tym pisarzem uwagi p. L. mówi, że „heroizm rycerski i religijność stanowią istotę jego utworów“ (str. 132), w których też „patriotyzm zajmuje miejsce poważne“ (134). Otóż nie przeczę, że te pier-

<sup>1)</sup> Napisał dzieło p t: „Histoire de la langue francaise“ a także „Histoire des progrès de la grammaire en France.“

wiastki są także w komediach Gil'a, przeważa w nich jednak stanowczo satyra z wyjątkową śmiałością przez tego poetę uprawiana. Wprawdzie p. L. zaznacza ironią i satyryczność w autosie „ou Gil Vicente annonce une grande vente en l'honneur de la Vierge Marie“ (126), robi to jednak tylko przy tym jednym utworze, tak, że czytelnik musi ów objaw satyryczności uważać za całkiem wyjątkowy u ojca komedyi portugalskiej. Tymczasem Rabelais we Francyi, Skelton w Anglii, Hutten w Niemczech odpowiadają Gil Vicente'mu w Portugalii. Żeby twierdzenie to poprzeć faktami podam przykłady. Powszechnie posługiwanie się całemi zastępami niewolników i będącą następstwem tego bezczynność, oraz żądzę przepychu zewnętrznego, wychłostał poeta w farsie p. t. „Almocreves“ (dozorcy mutów) (1535). Widząc rozpustę do tego stopnia powszechną w Portugalii, że rzadkością było, podług słów historyka, spotkać „um mancebo contrahir uma ligação legitima,“ Gil Vicente karci rodaków za ten występek w farsie p. t. „Quem tem farellos...“ Ten sam przedmiot porusza autor i w innej farsie p. t. „Auto da India,“ przedstawiając rozpacz zawiedzionej małżonki, której mąż zaniechał nagle przedsięwziętej na Wschód podróży. Medycyna ówczesna, zasadzająca się na praktykach zabobonnych, nie mogła spodobać się trzeźwemu umysłowi Gil Vicente'go, więc też wyszydził ją naleźycie w farsie pod tyt. „Physicos.“

Największą jednak energią rozwinął poeta w walce z fanatyzmem religijnym i z kościołem, ztąd też uważany bywa za jednego z pierwszych zwiastunów reformacyi. Jakoż istotnie już w r. 1506 wystąpił z pierwszą satyrą w tym kierunku, bardzo gwałtowną. Gdy D. Manuel wezwał poetę do Abrantes (gdzie dwór się schronił przed zarazą) dla uczczenia przedstawieniem scenicznym urodzin infanta D. Luiza, poeta w miejsce autosu lub farsy zapowiedział kazanie wierszóm (Sermão en verso). Obecni na dworze mnichowie sprzeciwiali się temu z uwagi, że człek świecki nie powinien kazać wygłaszać, Gil Vicente jednakże przemógł opór i wygłosił mowę „pełną idei reformacyjnych.“ W farsie p. t. „Clerigo de Beira“ wyśmiewa poeta forsowne nawracanie na katolicyzm murzynów, którzy z powodu wielkiej ciemnoty nie byli podług autora, zdolni pojąć zasady wiary. Kładzie tedy Vicente w usta murzyna „Ojcie nasz“ i „Zdrowaś Marya,“ przekręcając te modlitwy w sposób wielce humorystyczny. W r. 1513 w tragikomedyi p. t. „Exortação de guerra“ występuje przeciwko żebractwu mnichów, a po wystąpieniu Lutra, gdy wszyscy pisarze współcześni w Portugalii przeklinali reformacyą, on jeden stawał w jój obronie, co widać z „Auto da Feira,“ utworu piornującego na symonją, z „Fragoa de Amor“ tragikomedyi podnoszącej ożenienie się Lutra a wreszcie z „Romagem de Aggravados“ (1533) gdzie w bohaterze przedstawia uosobienie kleru, sprzeciwiającego się wszelkimi środkami nowym ideom. Tak wygląda Gil Vicente w świetle utworów własnych, a p. L. najznamienniejszych rysów tego poety

nawet szkicowo nie zaznaczył. Nie rozumiemy dla czego podoba się autorowi robić tego poetę koniecznie złotnikiem, kiedy wszyscy nowsi pisarze świadczą iż był potomkiem bardzo wybitnej rodziny i na uniwersytecie studiował prawo: U Dohma czytamy: „Er stammte aus einer vornehmen Familie, die ihm für das Studium der Rechte bestimmte“<sup>1)</sup> Prölls nazywa go tylko „der Sohn eines Edelmanns“<sup>2)</sup> Alcantara Garcia twierdzi że pochodził „de una familia distinguida“ i że pierwotnie sposobił się „a la carrera del foro“<sup>3)</sup>. Wreszcie najpoważniejsze źródło, Braga, podaje bez żadnych zastrzeżeń, że Gil Vicente był „de illustre linhagem“ i że „cursou a Universidade de Lisboa, seguindo a faculdade de leis“<sup>4)</sup>. Zkądże więc panu L. owo złotnictwo?! Czy czasem autorowi nie utkwiał w pamięci hiszpański komedyopisarz Lope de Rueda, który był istotnie „un batidor de oro!“

P. L. mając nieustannie przed oczyma cel jeden: stworzenia panegiryku na wielką skalę, puszcza się co chwila na dziwne spostrzeżenia i uwagi, które świadczą albo o jego nieznajomości przedmiotu albo o rozmyślném naciąganiu rzeczy. Twierdzi on, że „Gil Vicente pierwszy na półwyspie przedstawiał sztuki teatralne, że Lope de Vega i Calderon poszli tylko za jego przykładem i że jeśli mają więcej fantazyi i twórczości, poezją zaś świetniejszą i bogatszą—to zapominać nie trzeba o różnicy dwu języków, dat i zajęć obu narodów i bacznie na to, że literaci portugalscy sami robili szpadą.“—(str. 134). Wszystko to błędne! Naprzód nie Gil Vicente lecz Juan de Encina przedstawiał pierwszy na półwyspie małe komedyjki intryg o istotnie dramatycznym charakterze i to już nie w kościele lub na rynku, lecz na scenie przy pomocy aktorów z profesyi, akcesoryi teatralnych i wobec publiki wykształconej, na dworze księcia Alby. Pierwsza praca Vicentego p. t.: „Monologo do Vaqueiro“ (Monolog pasterza) daleka od wszelkiej sceniczności, deklamowana była w r. 1502 wobec króla D. Manoela, podczas gdy wszystkie utwory Enciny były przedstawione w końcu XV-go wieku („se representasen en Castilla estas sus composiciones en los ultimos anos de XV siglo,“ uwaga zamieszczona przy utworach Enciny w książce p. t.: „Teatro espanol anterior á Lope de Vega“ Hamburgo 1832 p. 2). Jakoż nie ulega wątpliwości, że Encina wywołał Gil'a Vicente'go, który nawet mógł korzystać i z innego poprzednika swego w Hiszpanii t. j. z Lucas'a Fernandez'a. Pisarz ten przez czas długi pozostawał w zapomnieniu niezastężoném tak, że najznakomitsi pisarze aż do Amadora de los Rios zupełnie go ignorowali. Pierwszy Gallardo zajął się przypomnieniem zasług tego poety, a Akademia hiszpańska wydała w r. 1867

1) Die spanische National—Literatur Berlin 1867, p. 143.

2) Geschichte des neueren Dramas Leipzig 1881, I—224.

3) Historia de la literatura espanola Madrid 1877 p. 352.

4) Historia do theatro portuguez (Vida de Gil Vicente Porto 1870, p. 27).

zbiór dzieł Fernandezza, zawierający 6 sztuk dramatycznych i dyalog do śpiewu. We wstępie, umieszczonym na czele tego wydawnictwa, Manuel Cañete, określając stanowisko Fernandezza, robi porównanie, że „Encina fué el Lope de Vega y Fernandez el Calderon del tiempo de los Reyes catolicos.“ Otóż utwory tego pisarza były także w końcu XV w. przedstawiane, a więc przed pracami Gil Vicentego, który mógł nawet swój radykalizm przejąć od Fernandezza, pisarz ten bowiem występował śmiało przeciwko fałszywej pobożności i świętoszkom, za co Inkwizycya niszczyła jego farsas zamieniając je w białe kruki. Daléj, jeśli Lope de Vega i Calderon stoją nieskończenie wyżej od Gil Vicentego, to nie z powodu różnicy języków, które w téj dobie były prawie jednakowo ukształtowane lub czasu, albowiem Chiado lub J. Ribeiro nie mają przecież tego znaczenia choć są późniejsi, lecz dla téj prostéj przyczyny, że posiadają nieporównanie więcéj... talentu. Wreszcie co do owego robienia bronią zaznaczyć potrzeba, że właśnie ono jest arcypospolite u pisarzy hiszpańskich z téj epoki i następnéj. Ci sami słynni autorowie, którzy kończyli karierę na sukience duchownéj, rozpoczynali życie publiczne od korda. Boscan, Garcilaso, Diego de Mendoza, Montemayor, Castilejo, Cervantes, Lope de Vega, D. Alonzo de Ercilla i w. in. walczyli bohatersko za ojczyznę.

Rozstając się z Gil Vicentem p. L. nie mówi ani słowa o jego wpływie na współczesnych, o szkole przezeń wytworzonéj. A przecież gdzie tylko z dworem przebywał zostawił swoich epigonów. Jego pobyt w Évora wywołał poetów: Alfonsa Alvares i dwu Ribeirów, w Santarem Antonio Prestes przejął tradycyę mistrza, a w Coimbra Jorge Ferreira de Vasconcellos. Najmniejszém wzmianki nie poświęcił także p. L. takim pisarzom dramatycznym jak Jorge Pinto, Anrique Lopes, Baltazar Dias, którego praca „O Auto de Santo Aleixo,“ przedstawia stan ducha ludu portugalskiego po strasznych klęskach w Afryce, a wreszcie Simão Machado, ostatni reprezentat sztuki narodowéj w wieku XVI pośród wpływu hiszpańskiego i włoskiego. Nie wspomniał téż autor o tak zwanych „Os pateos das Comedias (1588—1595). Jak dalece autor unika rozmyślnie faktów świadczących o wpływie stanowczym literatury hiszpańskiéj na portugalską, dowodzi między innymi to przejście gwałtowne od Gil Vicentego do Sá de Mirandy. Dla czego p. L. téj luki nie wypełnił? Oto musiałby się rozpisac o „Celestynie“ Rojasa, a tego widocznie chciał uniknąć. Otóż zanim jeszcze Sá de Miranda powrócił ze swojéj do Włoch podróży, już na niwie dramatycznój wystąpił z nowym kierunkiem Jorge Ferreira de Vasconcellos, o którym p. Loiseau nie mówi. A przecież życie tego pisarza obejmuje cały okres upadku zupełnego Portugalii i on to pierwszy w komedyi „Eufrosina“ rozstał się z redondillami ludowemi, których dotąd w autosach używano, a przeszedł do „prosa vernacula.“ Rewolucyi téj dokonał właśnie pod wpływem „Celestyny“ hiszpańskiéj, która do wyjścia „Eufrozyny“ (1527) miała już (1500—1525)

sześć wydań i była znaną wszystkim pisarzom portugalskim XVI w. W tej samej formie, bo pod tymże wpływem (jak sam przyznaje w prologach), napisał Jorge Ferreira i dwie inne komedye „Ulissipo“ i „Aulegraphia.“ Sá de Miranda już tedy w swój pierwszej komedyi „Estrangeiros“ poszedł drogą przez Vasconcellosa otworzoną, choć jak sam przyznaje, wprowadził go na nią wpływ Aryosta. Że ta reforma wywołała gwałtowną walkę szkoły narodowej z klasyczną o tém wiemy choćby i z prologu do komedyi „Bristo“ Antoniego Ferreiry—ale o tych ważnych szczegółach p. L. nic nie mówi, zapewne nie z braku miejsca, skoro go tyle poświęcił językowi portugalskiemu.

Uwagi nad Ant. Ferreirą znów autor wypisuje dosłownie z Bougeaulta <sup>1)</sup>, a mówiąc o tragedyi „Ignez de Castro“ przytacza z niej ten sam wyjątek, który już znają Francuzi z książki Mennechet'a, pomimo, że utwór zawiera wiele epizodów „qui ne sont pas moins dignes d'attention“ <sup>2)</sup>. Rozstając się z teatrem XVI w. nic nie mówi o przyczynach jego upadku i w ogóle nie daje tu żadnego tła społecznego. Natomiast za wiele miejsca poświęca autor takiemu lichemu wierszokleci i człowiekowi niskiego charakteru jak Andrade Caminha, którego nikczemnych napaści na Kamoensa i podstęp denuncyacyi przeciw zacnemu kronikarzowi Damiao de Goes, zgładzonemu w skutek tego przez Inkwizycyę, ani słówkiem autor nie zaznaczył <sup>3)</sup>. I literacka działalność tego pisarza nie odtworzona z dokładnością, albowiem autor nie wspominał nawet, że Caminha wojował głównie epigrafami, epitafiami, epitalamjami i epigramatami.

Rozdział VII o 30 kartach, poświęcony Kamoensowi, opracował autor stosukowo najlepiej. Kawaler orderu Chrystusa, którą to oznakę otrzymał za wiersz po łacinie p. t.: „Ad Lusitanos,“ w trzecią rocznicę zgonu Kamoensa, p. L. uważał za konieczne poświęcić wielkiem pocie tyle miejsca. Nie ma tu wprawdzie ani nowych szczegółów do biografii, ani świeżych na „Luzyadę“ poglądów, jest wszakże całość dająca dostateczne pojęcie o życiu i pracach Kamoensa. Autor szedł tu w części za Lamarrem (Camoens et les Lusiades, Paris 1878), częścią zaś za Latino Coelho („Luiz de Camões“ Lisboa — bez roku), jak to widać z ustępu traktującego pierwiastek cudowności w Luzyadzie. Coelho mówi na str. 298 „Entre quatro generos de maravilhoso podia recair a eleição do vate nos Lusiadas“ i dalej następuje wyczerpująca charakterystyka tych czterech rodzajów cudowności. Otóż p. Loiseau powtarza w streszczeniu te poglądy zaczynając je od słów: „Il avoit à sa disposition quatre sortes de merveilleux (223). Zresztą nie robi-

<sup>1)</sup> Porów.: u Bougeault'a str. 459, u Loiseau 147, u B. 460, u L. 153.

<sup>2)</sup> Dours complet de litterature moderne, Paris I—431—4.

<sup>3)</sup> „Delatação estúpida, miseravel e infamo, que foi agravar a sorte de um homem de bom que caíra nas garras da Inquisição“ (Braga, Historia dos quincentistas p. 238).

my z tego zarzutu p. L., gdyż tym razem czerpie ze źródeł najlepszych, zaznaczamy tylko ten fakt, niezbędny do scharakteryzowania książki p. L. Na nieszczęście zaraz w rozdziale następnym wraca autor do ulubionego Bougeault'a i przepisuje z niego blade frazesy. P. B. mówiąc o poemacie Jeronima Corte Real p. t.: „Naufrage de Manoel Sepulveda“ twierdzi, że praca ta nie ma „wielkości epicznej“ i że autor „zepsuł poemat wprowadzając do niego pierwiastek nadnaturalny“ (str. 483), p. Loiseau powtarza za panią matką pacierz, że „la grandeur epique fait defaut au sujet“ i autor „l'a encore gaté par...“ i t. d. (str. 237). P. B. robiąc wzmiankę o poemacie „Elegiada“ Ludwika Pereiry Brandão kończy ogólnikiem: „raczej wzrusza niekiedy, aniżeli interesuje“ (str. 483), p. L. powtarza ten frazes niedorzeczny „il emeut parfois, mais il n'interesse pas“, zapominając, że jeżeli coś zdoła nas wzruszać to już eo ipso budzi interes. Należało więc powiedzieć, że poza ustępami wzruszającymi nie w tym poemacie nie interesuje czytelnika. P. B. mówi, że „to samo uczucie (nieszczęście kraju) natchnęło Manziuha Quebeda do napisania „Alfonsa afrykańskiego“, poematu, którego zalety przyćmiewa plan wadliwy (484), a p. L. powtarza za nim „ce sont aussi les malheures de la patrie qui ont inspiré a Quevedo son poème où un plau defectueux compromet toutes les autres qualités“ (237), p. B. mówi: „Gabriel Pereira de Castro musi dla stylu znaleźć miejsce nie daleko śpiewaka Luzyady. Biorąc za przedmiot swego poematu „Ulyseas“ założenie Lizbony, przypisywane Ulissesowi, mógł jednocześnie i schlebić patriotyzmowi portugalskiemu i zbliżyć się do fikcyj starożytnych“ (484). P. Loiseau powtarza te ogólniki słowo w słowo: „pour la pureté du style il doit être placé non loin du chantre des Lusitades. Par le sujet de son poème l'Ulyseas, ou le fondation de Lisbonne attribuée a Ulyse, il put tout à la fois flatter le patriotisme portugais et se rapprocher des fictions antiques“ (240). Musielibyśmy rozszerzyć do znacznych rozmiarów nasz artykuł, gdybyśmy chcieli przepisać wszystkie tego rodzaju wspólności dwu autorów; zdaje się jednak, że przykłady powyższe są dostatecznym świadectwem oryginalności dziełka p. L., a co gorsza, że i u p. Bougeault, z którego autor przepisuje, nie ma ani słowa oryginalnego. Tło dziejowe, w ogóle u p. L. bardzo blade, powtarza się niekiedy prawie dosłownie. Na początku rozdziału o naśladowcach Kamoensa (str. 234), mówi autor o losach monarchii po zgonie Sebastyana, jedenasty zaś rozdział rozpoczyna się tą samą opowieścią, tylko cokolwiek rozszerzoną (str. 276). Po takim wstępie niefortunnym autor, zdąża już ku końcowi coraz szybciej, poświęcając oddzielnym gałęziom literatury zaledwie po parę stronice. I tak na str. 294 autor, mówiąc w kilkunastu wierszach o teatrze, poprzestaje na zaznaczeniu, że teatr w XVII wieku nie przedstawia żadnego dzieła godnego interesu. Co jednak spowodowało ten upadek sztuki dramatycznej, tak pięknie niegdyś kielkującej—o tém autor wcale nie wspominał, pomimo, że miał w tym względzie bogaty materyał w książce Bragi.

Streszczenie jednego choćby rozdziału z tego pisarza p. t.: „O index expurgatorio de 1624,“ byłoby rzecz wyjaśniło. Nie mniej powinien był autor dać krótką chociażby charakterystykę tragikomedyj uprawianych przez Jezuitów. Całemu wiekowi XVIII poświęca autor zaledwie 15 kartek, nie mógł więc, rzecz prosta, dać przybliżonego nawet obrazu literatury w tej epoce. W tym rysie króciutkim teatr zupełnie zaniedbany, a jednak należało choć słów kilka powiedzieć o bohaterze głównym wszystkich sztuk teatralnych, o owym fidalgo pobre, który był symbolem narodu bogatego w tradycje bohaterskie a wówczas unicestwionego całkowicie. Jakkolwiek mizerną jeszcze była sztuka dramatyczna tej epoki, to przecież nie ulega wątpliwości, że w XVIII w.: rozpoczęło się odrodzenie teatru portugalskiego. Jeszcze mniejszą ma wartość rozdział ostatni, obejmujący historią literatury XIX w. kilkanaście nazwisk, kilkadziesiąt tytułów i wiązka ogólników bez znaczenia — oto wszystko co tu znajdujemy. Dla wykazania tylko braków tego rozdziału musielibyśmy napisać drugi, co najmniej równy mu pod względem obszerności. Żeby jednak uzupełnić nasz rozbiór i dać pojęcie o wartości dziełka p. L., weźmiemy jeden przykład: Teofil Braga (z dzieł którego autor zna widocznie tylko podręcznik do literatury w jednym tomiku), jest jednym z najznakomitszych pisarzy współczesnych Portugalii i wydał dzieła następujące: 1) „Folhas verdes,“ 2) „Visão dos tempos,“ 3) „Tempestades sonoras,“ 4) „Ondina do Lago,“ 5) „Torrentes.“ Są to utwory poetyczne, do których dodać trzeba 6) „Contos fantasticos“ (powieści). Ze studyów nad historią, tradycjami, pedagogią, polityką, krytyką i polemiką Braga ogłosił: 7) „Cancioneiro e Romanceiro geral portuguez“ w 5-u tomach, zatytułowanych: „Cancioneiro popular,“ „Romanceiro geral,“ „Contos populares do Archipelago açoriano,“ „Floresta de romanees.“ 8) „Historia da Literatura Portugueza“ w 9 tomach, których tytuły na początku tego artykułu wymieniliśmy, 9) „Ideas republicanas em Portugal,“ 10) „Historia do Dereito (prawa) portuguez,“ 11) „Theoria do Historia da Literatura portugueza,“ 12) „Caracteristicas dos Actos Comerciais,“ 13) „Espirito do Dereito civil moderno,“ 14) „Michelet conferencia historica,“ 15) „Voltaire, conferencia do Centenario,“ 16) „Theocracias literarias,“ 17) „Os criticos da Historia da Literatura,“ 18) „Estudos da Edade media“ (Studia nad wiekami średnimi), 19) „Excavações (poszukiwania) bibliographicas,“ 20) „Questões de Literatura e Arte portugueza,“ 21) „Sobre a origem portugueza do Amadis de Gaula,“ 22) Historia do Theatro portugez” w 4 tomach, 23) „Bocage sua vida e epoca,“ 24) „Historia do romantismo,“ 25) „Manual da Historia da Literatura portugueza,“ 26) „Gramatica portugueza elementar,“ 27) „Poesia do Dereito,“ 28) „Traços gerais (rysy główne) de filosofia positiva comprovados pelas descobertas (stwierdzone przez odkrycia) scientificas modernas,“ 29) „Historia Universal Esboços (szkice) de Sociologia descriptiva,“ 30) „Historia universal, civilisações cosmopolitas propagadoras das civilisações isoladas.“



Wreszcie pod ogólnym tytułem „Soluções positivas da politica portu-  
gueza“ ogłosił następujące trzy tomy: 31) „Da aspiração revolucionaria e sua disciplina em opiniao democratica,“ 32) „Do sistema constitucional como transigencia provisoria entre o absolutismo e a revolução i 33) „Historia das obras primas de Balzac.“

Oprócz tych wszystkich prac naukowych i literackich Braga ogłosił w wydaniach krytycznych: „Cancioneiro portugues da Vaticana;“ „Obras completas de Camões,“ „Obras poeticas de Bocage,“ „Obras de Christovam Falcão, Gaia i João Vaz,“ dalej ułożył „Antologia portugueza“ i „Parnaso portuguez moderno.“ Wreszcie wydał tom tłumaczeń p. t.: „Obras primas de Chateaubriand.“

Nakoniec dla uzupełnienia obrazu dodać musimy, że T. Braga był stałym współpracownikiem następujących organów naukowych politycznych i literackich: *Revue de philosophie positive* (Paryż), *Atheneum* (Londyn), *Rivista de philologia romanza* (Rzym), *Rivista de Leteratura popolare* (Rzym), *Zeitschrift für romanische Literatur* (Wrocław), *Academia* (Madryd), *Bibliografia critica* (Porto), *Opositivismo* (Porto), *Chrisalida i Instituto* (Coimbra), *Renascença* (Porto) i *Seculo* (Lizbona).

Z powyższego widzimy, że nie każdy z narodów europejskich poszczycić się może téj skali jak Braga pracownikiem na niwie literatury ojczystej. Stworzył on całą bibliotekę prac różnorodnych, z których dosyć jest wyróżnić jedną chociaż wyczerpującą i źródłową o dziejach literatury portugalskiej.

Otóż, gdyby czytelnik francuzki, polski czy portugalski chciał się dowiedzieć czegoś o takim tytanie pracy jak Braga z książki p. Loiseau, znajdzie na stronicy 388 taką wzmiankę: „Theophile Braga le politique ardent et le vulgarisateur de la litterature portugaise“ i... ani jednego słoweczka więcej. Nawet daty urodzenia autor nie podał (24 lutego 1843). Można mieć z tego pojęcie jak się autor z innemi załatwił pisarzami współczesnymi, jeżeli już którego z nich raczył wspomnieć. A przecież w tytule książki czytamy, że jest to historia literatury portugalskiej „depuis ses origines jusqu'a nos jours!“

Streszczając powyższy przegląd przychodzimy do wniosku, że książka p. Loiseau jest słabą kompilacją, że autor nie tylko nie robił żadnych studyów samodzielnych nad przedmiotem, nie tylko nie zna zupełnie najpoważniejszych do niego źródeł, ale w dodatku nawet tych opracowań, które miał pod ręką należycie zekspluatować nie umiał. Rzecz prosta nie poświęcilibyśmy książce p. L. tyle miejsca, gdyby nie pretensjonalność przedmowy, którą przecież autor pozwoił sobie w ten sens zakończyć: „Puissent les Francais nous savoir gré de les *initier* (!) à une litterature plus riche et plus variée qu'on en croit!“... Oj! ta blaga!...

J. A. Święcicki.

„Il Libro dell' Amore“. — Poesie italiane raccolte, e straniere raccolte e tradotte, da Marco Antonio Canini (volume 1). Venezia, 1885.

Pierwszy raz w życiu zdarza się nam widziéć podobnego rodzaju antologią jak ta, którą tytuł powyższy określa. Kiedy u nas wyszła świeżo książka p. t. „Kobieta w poezji polskiej,“ chwaliliśmy nietylko wybór, ale i staranność nie szczędzącą czasu na wyszukanie ustępów odpowiednich przedmiotowi idealnemu, około którego zgrupować się miały, jako żywy komentarz. Praca to nie kunsztowna, ale zmusna, a pożyteczna o tyle, że, dobrze poprowadzona, ułatwia dowiedzenie się tego jak dotąd nasz świat poetyczny zapatrywał się na przedmiot. Jeżeli cenimy zadanie takie, dokonane na rzecz jednéj tylko literatury, i to nienajbogatszej; zadanie, które wreszcie polega tylko na wyszukaniu i przepisaniu, cóż powiedzieć o pracy jaką podjął professor Canini.

Przedmiotem jego nie jest kobieta w ogólności, ale miłość, i to nie w ogólności, ale miłość wyłącznie erotyczna, owo uczucie, mające wprawdzie grunt czysto zmysłowy, ale uduchowiające się z postępem obyczajów i cywilizacyi; uczucie stanowiące rozkosz wieku młodzieńczego, cement małżeństwa, podstawę rodziny. Miłość od początku świata stanowiła i stanowi najwyższy interes życia, boć ona jest jego zarzewiem: zdolna do największych poświęceń, wyrasta na najwyższym popędzie egoistycznym, a ztąd stanowi największe szczęście albo największą boleść jednostki. Nie dziw tedy, że jako tak ważny bodziec w życiu, miłość od wieków była téż przedmiotem najtkliwszych zewnętrznień mających za przedmiot człowieka i jego losy. Poezja chwyciła ją najpierwsza i pielęgnuje aż dotąd nieprzerwanie na wszystkich stopniach kultury społecznej; wybiera za treść do form rozmaitych, przeważnie opiewa ją w strofach lirycznych.

Owoż, księga, którą mamy przed sobą, wzięła sobie za zadanie przedstawić jak się wyobraża uczucie miłości w poezji wszystkich możliwie społeczeństw i wszystkich epok świata, czyli w tym wieńcu poetycznym złożonym z kwiatów najrozmaitszej barwy połączyć psychologią z etnologią. Zadanie pracy olbrzymiej, kto wie czy nawet opłacające się ważnością rezultatów moralnych i literackich. Zadanie to podejmując prof. Canini, miał wprawdzie poprzedników, ale w bardzo szczupłym zakresie, prawie nie znaczącym w porównaniu z zakresem jaki on sobie naznaczył. Według jego programu, zamieszczonego w przedmowie:—, przed oczami czytelnika przejdą wiersze miłosne wszystkich czasów, od najodleglejszej starożytności aż do dni naszych, od chińskich Sei-King, siggających przynajmniej dziesiątego wieku przed Chrystusem, od egipskich papyrusów Harrisa, pochodzących prawdopodobnie z czasów dwudziestéj dynastyi, aż do portugal-

skich, węgierskich i czeskich,“ które to ostatnie, według zdania prof. Caniniego, są najlepsze jakie ukazały się w ostatnich czasach. A jak odległość czasów, tak i odległość przestrzeni, oddziela od siebie zebrane tu wiersze; od skwarów równikowych, do lodowatęj Laponii, reprezentowane są tu wszystkie klimaty: podobnież wszystkie stopnie hierarchii społecznej i ukształcenia umysłowego, od pieśni króla Salomona, do westchnień Irokeza lub Murzyna.

Jakież to więc ogromny zebrać trzeba inwentarz, ażeby w nim wynaleźć przedmioty odpowiadające zadaniu i uporządkować. Nie dosyć na tém: trzeba tę różnorodność sprowadzić do jednego języka. Owoż i zebranie materyału i przekład jest dziełem jednej osoby.

Jakim sposobem p. Canini poradził sobie z tém wszystkiém, nie wiemy. W jego wielkiej antologii mieszczą się i wiersze włoskie, odpowiednie przedmiotowi, które naturalnie, po wyszukaniu, potrzebował tylko przepisać; ale, oprócz włoskiego, czerpie on z jakich około stu języków. Wiadomo, że p. Canini jest polyglottą, ale czyż do tego stopnia? Otoż, obok długiej przedmowy, w której kreśli zapatrywanie się swoje na przedmiot a zarazem czyni treściwy przegląd literatur dawniejszych i dzisiejszych; obok wielu wyjaśnień jakie daje odnośnie do celu swój pracy i sposobu jój wykonania, zachodzi jeden brak. Nie określa on przedewszystkiém bliżej i szczegółowo źródła z którego bierze pewne ustępy, tak iżby do niego trafić można w chęci porównania przekładu z oryginałem; powtóre, nie objaśnia które przekłady dokonywane są wprost z oryginałów, które zaś pochodzą z tłumaczeń, i z jakich. I tak, zaraz pod pierwszym ustępem, złożonym z trzech zwrotek, podpisany jest Sofokles. Przypuszczamy, że człowiek tak klasycznie wykształcony jak p. Canini, mógł przetłumaczyć ten ustęp wprost z oryginału; ale tylko nasza osobista zażyłość z Sofoklesem pozwoliła się domyśleć, że ustęp ten oddaje jedną strofę chóru z tragedyi „Anty-gona“, opiewającą potęgę Miłości.—Nie tak łatwe będzie nasze przypuszczenie co do ustępów czerpanych naprzykład z sanskrytu, prakrytu, z języków malajskich lub staroamerykańskich: zacytowanie zatem źródła, bądź oryginalnego, bądź tłumaczonego, byłoby požądaniem, nietylko dla ułatwienia porównań i sprawdzeń, ale dla samej powagi pracy.

By dać wyobrażenie o jój ogromie, notujemy, że, oprócz przedmowy, sam przekład wierszy zajmuje w książce dużego formatu siedmset stronic ścisłego druku; a jest to dopiero tom pierwszy, czyli połowa zamierzonej całości. Ażeby zaprowadzić jakiś ład w tych rozrzuconych pyłkach poetycznych, można było wziąć za zasadę porządek chronologiczny albo etnograficzny, i właściwie mówiąc, tłumacz uwzględnia w pewnej mierze tę zwłaszcza drugą zasadę: widzimy tam zebrane razem grupy ustępów pewnych literatur. Lecz główny jego system polega na porządku upatrzonym w samej naturze przedmiotu, w jego objawach i szczególnych postaciach. I tak, ten pierwszy tom zawiera działy następujące: 1) Co to jest miłość? 2) Piękność i kobie-

ta. 3) Potrzeba kochania. 4) Pierwsza miłość. 5) Wiosna i miłość. 6) Dwie miłości: platoniczna i zmysłowa. 7) Wyraz miłości w sonetach. 8) Wyraz miłości w wierszach rozmaitych.—Następny tom ma mieć inne jeszcze, bardziej szczegółowe podziały.

Zachodzi oczywiście pytanie, jaki może być pożytek z tak rozległej i mozolnej pracy, która, koniec końców, oprócz samego przedmiotu, nie przedstawia żadnej innej jedności, ani całości? Czy naprzykład, nie byłoby pożyteczniej (mówimy że stanowiska włoskiego), gdyby tłumacz, zamiast mnóstwa drobnych ustępów, liczbą wierszy przenoszących razem wzięte Iliadę i Odysseję, przyswoił literaturze swojej kilka wielkich arcydzieł jednolitych, kilku całkowitych mistrzów? Nie do nas atoli należy sąd o tém coby nastąpiło, gdyby p. Canini pracę swą zużył w innym kierunku. Książka jego taka jaką jest przedstawia nasamprzód ten pożytek, że w jednym zbiorze, w próbkach charakterystycznych, odkrywa nam usposobienia człowieka z pod rozmaitych stref i z rozmaitych epok, a kogo to interesuje, ten z niezmierną ciekawością szuka tych różnic i podobieństw, jako psycholog; upatruje różnic w formach twórczości, jako literat. Z żywém téż zajęciem odbywaliśmy tę ekskursyą, za przewodnictwem tłumacza, po rozmaitych punktach wprowadzonej tu przezeń twórczości rozmaitych ludów, tych zwłaszcza, gdzieśmy się najniżej poezyi spodzieć mogli; chciwie chwytałyśmy objawy uczuć i myśli wydarte z duszy malajczyków, azteków, aurakańczyków, i tym podobnych plemion, o których ledwie głuche do nas dochodzą wieści. Powtóre, bez względu na korzyść wynikającą z tego rodzaju porównań, książka prof. Caniniego, już tylko jako, że tak powiem, wyrób poetyczny, przedstawia mozaikę rzadkiej artystycznej piękności. Prof. Canini posiada widocznie dar wtajemniczenia się w indywidualności poetów, ci bowiem z nich, których znamy z oryginałów, przedstawiają się nam u niego wiernie. Wtajemnicza się on zarówno dobrze w treść jak i w formy, a nie mówimy tu tylko o tych formach, które polegają na danej rozciągłości wiersza, lecz o tych, które są wyrazem pewnego nastroju ducha lub narodowej właściwości. A jakkolwiek wszędzie p. Canini używa wiersza rymowego według zasad przyjętych w poetyce włoskiej, trudność ta nie powoduje zbytecznych parafraz, tak iż jego tłumaczenie z możliwą wiernością odzwierciedla pierwowzór, zatrzymując charakterystyczne myśli i koloryt obrazów, zwłaszcza w pieśniach utworu ludowego, których ton zachowuje przedziwnie.

Specjalnie nas obchodzić może to jak tłumacz w swój pracy obeszł się z literaturą polską. W proporcji do innych mniej ona w antologii zajmuje miejsca; zostawia on ją sobie podobno na obszerniejszą skalę do tomu drugiego. Tu, mamy kilka wybornych próbek z pieśni ludowych, między innymi: „Cztery lata wierniem służył gospodarzowi,“ której początek po włosku brzmi tak:

Quatr'anni ho fedelmente il mio padron servito:  
 La paglia per tagliare alzarmi ognor solea'  
 Di buon mattino; questo io per amor facea  
 Solo della ragazza, sol di lei per amor,  
 Chè qual pece attaccato era ad essa il mio cor.

Z poetów książkowych przedstawiają się tu w drobnych ułamkach: Książnin, Mickiewicz, Malczewski, Krasiński, Słowacki, Lenartowicz, Asnyk, nareszcie Witwicki ze znanym wierszykiem, unieśmiertelnionym melodyą Szopena: „Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,“ który, ażeby dać wyobrażenie jak umiejętnie tłumacz sprawia się z duchem i tonem pierwowzorów, podajemy tu całkowicie w szacie włoskiej:

Il sole esser vorrei!  
 Non ad altri, a te sola,  
 Mio bene, splenderei,  
 Non sul lago, nei boschi,  
 Ma a te vicino ognora:  
 Solo alla tua finestra  
 Vorrei mostrarmi allora.  
 Il sole esser vorrei.

Oh! fossi un ucellino!  
 Sol per te, non per altri,  
 E solo a te vicino  
 Canterei, non nei boschi,  
 O sul lago, o! diletta,  
 Starmene ognor vorrei  
 Alla tua finostretta.  
 Oh! fossi un ucellino!

Takież same warunki dokładności i zręczność cechują przekłady ustępów innych, wymienionych tu poetów naszych. Spodziewać się należy, że p. Canini, bawiący w Wenecyi, mając w blizkiem sąsiedztwie jednego z najdzielniejszych przedstawicieli naszej poezyi, porozumie się z nim co do wyboru ustępów mających zbogacić tom drugi. Bez względu na to, skoro sam tłumacz zapowiada gotowość zajęcia się poezją naszą, pożądaném byłoby, ażeby nasi poeci żyjący przestali mu swoje utwory do wyboru, i wreszcie ażeby miłośnicy piękna poparli wydawnictwo, które sympatycznie i nasze uwzględnia stosunki.

*Kazimierz Kaszewski.*

## KORESPONDENCYA.

---

### I.

*Pani Biggs przesała „Redakcyi Bibl.“ uwagi swoje (w języku angielskim z tłumaczeniem polskiem p. Naganowskiego), jakie jej nastregczył rozbiór tłumaczenia „P. Tadeusza“ przez p. Maryą Wentz’l, z prośbą o wydrukowanie ich w Bibliotece. Prośbie tej czynimy tém chętniej zadość, że odpowiada pod każdym względem warunkom poważnej dyskusyi.*

Przeczytawszy w styczniowym zeszycie „Biblioteki“ artykuł, oceniający mój przekład „Pana Tadeusza“, z surową nieco krytyką, ośmielałem się podnieść głos w obronie własnej i wyjaśnić powody, dla których obrałam drogę, przez szan. recenzentkę zaznaczoną, a zastosowaną do przekładu nie bez wszechstronnego zastanowienia się nad najlepszą metodą podejmowanej pracy. Piszę zaś bez zamiaru rozprawiania o krytyce słusznej, lecz jedynie w celu wyjaśnienia mojego stanowiska.

Pani Marya Wentz’l zdaje się głównie zarzucać mi, iż byłam nadto wyłącznie tłumaczem liter i słów Mickiewicza ze szkodą jego poematu; żałuje również, iż — zamiast starać się o odtworzenie, ile możności najwierniejsze słów polskich w języku angielskim — nie napisałam poematu angielskiego, wyrównywającego „Panu Tadeuszowi.“ Przyszaję zupełnie, że samo dostowne i trafne oddanie znaczenia słów, jest w tłumaczeniu niedostatecznym sposobem odtwarzenia barwy i harmonii, oraz tego czegoś nieokreślonego, co powstało pod mistrzowską ręką w dziele oryginalném. Widziałam w Rzymie obok wspaniałego obrazu „Przemienienia“ kopie artystów nowożytnych, nadsładowujące wprawdzie formę i kontury cudownego malowidła, lecz bynajmniej artystycznie go nie zastępujące. Inaczej téż być nie może, dopóki nowy jaki Rafael nie stworzy drugiego „Przemienienia;“ lecz jużci to nie powód, dla czegoby nie miały się dzisiaj mnożyć słabe nadsładowania fotografów i podrzędnych malarzy, gdy takie podrzędne odtworzenia są dla ogromnej większości ludzi, nie opuszczających swego

kraju, jedynymi wzorami włoskiej sztuki, jakie mogą widzieć. Podobnież przekład arcydzieła literackiego, nie będąc dokładnym jego odtworzeniem, może bardzo dobrze być jedynym środkiem przedstawienia go mnóstwu ludzi, domatorom, którzy nie mogli nigdy zwiedzić dalekich krajów lub nieznanymi literatur. Większość anglików, nierozumiejących języka polskiego może tylko w przekładzie angielskim, mieć sposobność zabrania znajomości z arcydziełami polskiego piśmiennictwa, a ztąd powstaje konieczność takiego przekładu, któryby formą i zarysem odbijał jak najwierniej utwór oryginalny i tym sposobem dawał o nim pojęcie—choć niedoskonałe. Nie znam zaś odpowiedniejszej ku temu metody, nad wierne i ściśle dosłowne tłumaczenie, słowo w słowo, o ile tylko pozwala na to różnica między jednym językiem a drugim.

Wracając raz jeszcze do podobieństwa między obydwojma sztukami siostrzanemi, nie mogę utaić przekonania, że piśmienniczy naśladowca ma zadanie trudniejsze, aniżeli malarz, który używa tych samych, lub prawie tych samych materyałów, barw, pędzli i płótna, jakie służyły do utworzenia dzieła naśladowanego; gdy tymczasem tłumacz usiłuje odtworzyć oryginał swój za pomocą zasobów różnych, innych. Innym bowiem jest zasób wyrażen angielskich, innym—polskich; sprawić więc jeden i taki sam efekt za pomocą obydwojch, byłoby to wymalować jeden i taki sam przedmiot farbami wodnymi co... olejujami.

Powziąwszy jednakże zamiar odkopiowania arcydzieła Mickiewicza, zabrałam się do wykonania go w taki sam sposób, jakbym to uczyniła, gdyby mi przyszło kopiować obraz jakiego dawnego mistrza; t. j. zdjęłam kontury ściśłą miarą, wybrałam i zespoliłam wyrazy i wyrażenia z języka angielskiego, jakbym wybrała i połączyła zawartości różnych naczyń z pudra malarskiego — w celu wytworzenia tonów i kolorów, ile możności najpodobniejszych do oryginalnych. Skutek okazał się taki sam: obraz dzieła naśladowanego, mniej doskonały, bo odtworzony umysłem pisarza niższego rzędu, i niedokładny bezwątpienia w pewnych punktach, bo daleko trudniej zapewne pochwycić bez pomyłki wszystkie różnice tonu i barwy w wielkim dziele literackim, aniżeli w dziele pędzla. Bodaj niesłuszną jest opinia, jakobym spodziewała się odtworzyć Mickiewicza w sposób doskonały prostą wiernością przekładu; nie miałam téj nadziei, lecz—usiłując oddać jak najdokładniej znaczenie wyrazów, tak, jak się znajdują w oryginale, kosztem nawet wprowadzenia „polonizmów“ i wyrażen dziwnych, w angielskim języku niezwykłych,—sądziłam, iż będę mogła pokazać, co wieszec chciał powiedzieć, a pokazać lepiej, aniżeli gdybym sobie pofolgowała w większej swobodzie przekładu, podłożyła wyrazy i frazesy własnego wynalazku.

Przystępuję teraz do więcej szczegółowych zarzutów, zawartych w artykule pani M. Wentz'1. Względnie do błędów, którebym, mówiąc ogólnie, nazwała „błędami słownikowemi,“ przekonuję się, iżem

nie zawsze tak była poprawną, jakbym sobie mogła życzyć—i uznaję się zobowiązaną pani Wentz'l, iż wskazała to, czegom odkryć nie potrafiła. Jeżeli praca moja doczeka się kiedykolwiek drugiego wydania, to nie omieszkam poprawić błędów i należyście uwzględnić podsuniętych mi uwag, z tego też powodu żałuję, że nie we wszystkich przypadkach znalazłam dokładne wyrazy w moim języku. Co do wyrazu „Regent“ za „Rejenta“ — to wołałam użyć tego samego, lub niemal tego samego wyrazu co w oryginale, na oznaczenie urzędnika, jaki, zdaje mi się, nie jest wcale reprezentowany w Anglii; podobnie jak „Wojski“ jest bezwątpienia czysto polską nazwą.

Gdzie tylko mogłam użyć nazwy angielskiej, uczyniłam to; lecz gdzie zmuszona byłam zachować oryginalną, tam zawsze dodałam przypisek wyjaśniający. Wiersze:

„The dogs as mad they whip about the court,  
Then haste, and clap the collars ou their necks.“

nie miały zawierać (ani też nie zawierają, sędzę, dla czytelników języka angielskiego) śmiesznego znaczenia, przypisanego im przez panią Wentz'l. Powierzchnowa uwaga wskaże, że trzy słowa—*whip, haste, clap* — odnoszą się do zaimka „they,“ i żadną miarą nie można uważać „dogs“ za mianownik.

W wierszach:

„Our elders learned it from discourse of lords,  
The living history of the country.“

„discourse“ jest oczywiście „the living history“ w jasnej składni zdania <sup>1)</sup>.

Pomijając różnicę między jarzyną i włoszczyzną, oraz omyłki w nazwach niektórych roślin, które można zaliczyć wszystkie do kategorii błędów słownikowych; niechże mi będzie wolno zaznaczyć, iż żaden dotychczas krytyk angielski nie zganił mi ani gramatyki, ani stylu przekładu. Wspomnę jednak, że „to go about a house“ (chodzić, krzątać się około domu) jest codzienném wyrażeniem w angielskiém gospodarstwie domowém.

Obrałam wiersz biały w przekładzie, po należytem rozmyśleniu się, a to dla tego, by nie być zmuszoną oddalić się od dosłownego przekładu, gdyby mi przychodziło użyć w zakończeniu każdego dwóch wierszy wyrazów z równobrzmiącemi końcówkami. Miałam wprawdzie zamiar spróbować, czybym nie mogła naśladować szczególnie pięknego, lecz iście polskiego rytmu oryginału; lecz mniemałam, że wytworzyłby się ztąd rodzaj monotonnego „sing-song,“ nieznośnego w przydłuższym poemacie, jakkolwiek nie rażący w poemacie krótszém.

<sup>1)</sup> Red. wyznaje, że ani tego zdania, ani takiej składni zrozumieć nie jest w stanie.



Można łatwo spostrzedz to w następującej próbie przekładu czterech wstępnych wierszy „Pana Tadeusza“ angielską miarą, podobną do oryginału:

„O Litwa, my country, like health that is flown,  
Thy value he knoweth who lost thee alone.  
To-day in its brightness thy beauty I see,  
I see it, and sing of it, longing for thee.“

Myślałam także, inną razą, użyć miary bohaterских poematów Scotta, któraby, mniemam, nie źle odpowiadała przedmiotowi i ogólnemu duchowi „Pana Tadeusza;“ metoda ta wabiła mnie mocno, jako łatwa, gładko płynąca, przyjemna zarówno w czytaniu, jak i w pisaniu; lecz zamiar dosłownego przekładu przeważył i postanowiłam przyjąć miarę nierymowaną Shakespeare’a i Milтона.

Przystępuję teraz do zarzutu użycia wyrazu „whiskers“ dla przetłómaczenia polskiego wyrazu „wąsy;“ tu jednakże pobieżna znajomość wzorów literatury angielskiej, nie mówiąc o języku współczesnego towarzystwa angielskiego, dowodzi, iż wyrażeniem tém oznaczano pierwotnie włosy rosnące na górnej wardze, nie zaś rosnące wzdłuż policzków; to bowiem ostatnie zastosowanie wyrazu jest nowożytném. Przypomnieć trzeba wspomnieć tylko o „whiskers of a cat,“ które, jeśli się nie mylę, i w polskim języku zowią się „wąsami kota.“ Jużci ja z pewnością nie wyobrażałam sobie szlachty polskiej starój daty z faworytami „modelu Dundreary;“ wspomnieć wszakże winnaam, tak ze względu na samą siebie, jak i na p. Naganowskiego, który mi tak uprzejmie pomógł w przygotowaniu przekładu, że i ten punkt był między innymi przedyskutowany przez nas i ostatecznie zdecydowany.

Co do tytułu dzieła „Master Thaddeus,“ nie odpowiada może całkowicie „Panu Tadeuszowi,“ w pełném znaczeniu słowa „Pan;“ lecz bodaj można znaleźć tytuł angielski trafniejszy, lub choćby ogólniejszego znaczenia. Ani téż nie podsuwa pani Wentz’l odpowiedniejszego słowa. Jeden tylko z dwóch innych był możliwy: Sir lub Lord. Pierwszy z nich był po wszystkie czasy oznaką rycerstwa, później także „baronetów,“ a ztąd nader ograniczonego użytku. „Lord“ byłby zarówno błędnym, ile że ogranicza się do tytułowania parów W. Brytanii (choć przez grzeczność używany jest przy nazwiskach synów wysokiej szlachty)—warstwy, której pozycja i stanowisko socyalne różnią się wielce od pozycji „szlachty“ polskiej, lub którejbądź innéj. Tytuł „Master“ ostatniemi czasy zepsuty na „Mister,“ choć dzisiaj zastosowany w swej formie pierwotnej tylko do chłopców—był, za czasów Elżbiety powszechną oznaką każdego męża nie-rycerza i nie-para, zarówno synów szlachty, jak mężczyzn z klasy średniej czyli mieszczańskéj. Nie sądzę, by „Master Thaddeus Soplica“ brzmiało gorzej, aniżeli „Master Philip Sidney,“ później Sir Philip, który to —niepotrzebuję tego bodaj przypominać czytelnikom „Biblioteki“—był siostrzanem hrabiego Leicester. A już „Pan Tadeusz,“ nie będąc

ani synem angielskiego para, ani—o ile wiemy—nie mając szczęścia otrzymać zaszczytu rycerstwa z rąk monarchy angielskiego, nie mógł, przybывая do Anglii, sprzeciwić się, by go nie tytułowano mianem, które z nim dzieliłoby wielu najszlachetniejszych anglików.

Na zakończenie powiem tylko, że jakkolwiek błędy, z niewiadomości lub niedbalstwa wkradły się do przekładu, i jakkolwiek mogłam się okazać niezdolną do wyrażenia myśli Mickiewicza w sposób, w jakiby on sam je wyraził, gdyby był pisał po angielsku—nie było to z braku uznania, lub serdecznego podziwu dla wielkiego poety, którego dzieła pierwsza niemal miałam zaszczyt wprowadzić do méj ojczyzny. Przecież i dziwić się mało kto może, iż praca—którą się zajmowałam w różnych porach i wśród różnych okoliczności—wykończona jest z niejednostajną doskonałością; dla tego też widzę z przyjemnością, że sąd pani Wentz'l zgadza się z moim w pewnych ustępach przez nią pochwalonych, w tych mianowicie, w których najmniej czułam trudności i nad którymi pracowałam z największą łatwością i zapałem. Jeżeli nadto rezultatem moich starań będzie zachęcenie moich więcej utalentowanych rodaków do rozpoczęcia studyów nad wielkim moim pierwowzorem—to praca moja nie będzie bezowocna, ani nawet błędy moje nie pozostaną bez pożytku, ile że wskażą przyśłym i zdolniejszym tłumaczom, jak ich uniknąć.

London, 24-go stycznia 1886 r.

*Maude Ashurst Biggs.*

## ODPOWIEDŹ.

Żałuję mocno, że sąd mój o tłumaczeniu poematu Mickiewicza przez Szan. Panią, wydał się Jój niezwykle surowym, a pogląd mój na zadanie tłumaczenia z jednego języka na drugi nader wymagającym. Żal mój jest tém dotkliwszy, że jeżeli kto, to zapewne niżej podpisana, czytając kilkakrotnie przekład, rozbierając ustępy, które ją więcej uderzały, miała sposobność ocenić zasługę olbrzymiej sumiennej pracy tłumacza. Po dojrzałym też dopiero namyśle i po rozważném przestudyowaniu dzieła, ośmieliłam się zrobić pewne uwagi, wynikające z poglądu mojego na zadanie tłumaczenia arcydzieł jednego języka na drugi. Zasługi literackiej tłumaczenia w ogóle szukałabym głównie w tém, aby tłumaczenie stanowiło prawdziwe z bogacenię literatury, do której wprowadzamy utwory obcego ducha, uczucia obcego serca, wyobrażenia obcej fantazyi. Słowa, które z tego punktu widzenia napisałam, dyktował mi przedewszystkiem szacunek dla pracy sumiennej i przeważnie szczęśliwej, za jaką tłumaczenie Sz. Pani uważam, a obok tego nie opuszczała mnie miłość dla oryginału, który w kilku szczegółach w tłumaczeniu Jój nieco ucierpiał tak, że mógł się cudzoziemcowi przedstawić w świetle pod mylnym kątem złamania. Dla

téj przyczyny, w dowód uznania pracy Sz. Pani i odwzajemniając się za Jój uprzejmą polemikę, dowodzącą wyższego umysłu, pragnęłabym choćby kilku słowy objaśnić zarzuty, które stały się powodem korespondencyi niniejszój.

W tomie I na str. 66, zaznaczyłam niejasność w przekładzie wiadomego wiersza:

„The dogs, as mad they wip about the court,  
„Then haste, and clap the collars on their necks.“

Z odpowiedzi p. B. widzę, że tak jak ona oryginał rozumie, słusność byłaby po jój stronie, bo widocznie przez zaimek *they* nie zamierzyła wskazać psów, ale coś innego, może szczwaczów; lecz Mickiewicz mówi:

„Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,  
„Potém biegą i kładą szyję pod obroże.“

Do czegoż mamy więc odnieść ten zaimek *they*? Jeżeli p. B. jeszcze raz zechce porównać oryginał z przekładem, wtedy zrozumie zapewne, o co mi chodziło.

W tomie II str. 247, wiersz 6-ty od dołu jest: „to go round the house“ nie zaś *about*; temu ostatniemu bowiem z pewnością nie ośmieliłabym się robić żadnego zarzutu. Zajrzałam raz jeszcze do tekstu angielskiego i znajduję najwyraźniej *round*. Może to być pomyłka zecera tém prawdopodobniejsza, że, jak się dowiaduję z listów z Anglii do „Kłósów“<sup>1)</sup>, korekta tłumaczenia p. Tadeusza była nader utrudnioną.

Co zaś do faworytów zamiast wąsów, o które oprócz zupełnie słusznej i nadzwyczaj delikatnej odpowiedzi Sz. Pani, wojował już ze mną poprzednio recenzent „Kuryera Warszawskiego“ ze „słownikami“ w ręku, to kwestya ta potrzebuje cokolwiek dłuższego wyjaśnienia. Najpierw nie przeczę wcale, że „*whiskers*“ może w przytoczanych słownikach być objaśnianém w wiadomy już sposób, lecz dziś w Anglii oraz na początku bieżącego stulecia, (w którym to czasie akcja p. Tadeusza się rozgrywa) wyraz *whiskers* oznaczał i oznacza tylko faworyty, bo na wąsy, nie noszone przez żadnego Anglika zawodu cywilnego, z wyjątkiem osób służących w wojsku, nie było téż nazwy angielskiej. Zachodzi zatem pytanie, co tłumacz miał na celu, przekładając poemat Mickiewicza; sędzę, iż zaznajomienie swoich współziomków z poematem Mickiewicza, przy zachowaniu jego barwy charakterystycznej równie pod względem epoki, zwyczajów i obyczajów jak i pod względem ducha pojęć i wyobrażeń ówczesnych. W tym celu przekład winien być jaknajwierniejszą kopia—jeśli mi wolno uciec się do porównania sztuki malarskiej z poezją, wskazanego na początku pisma p. Biggs. Przeciętny atoli czytelnik angielski nawet

<sup>1)</sup> Patrz Kłósy n. 1079.

ten naturalista, który słyszał o whiskers u kotów, nie będzie szukał w dziejach języka angielskiego rozwoju znaczenia leksykalnego wyrazu whiskers; ale rozumieć go będzie w znaczeniu powszechnie i jedynie dziś używaném. Ogół cudzoziemców z małemi tylko wyjątkami, zbyt słabe ma wyobrażenie o naszej historii i literaturze, a cóż dopiero o strojach i obyczajach, aby przy tym wyrazie mógł się domyśleć, iż powinien rozumieć ten wyraz w znaczeniu inném, aniżeli w tém, w którym jest codziennie używanym. W obec takiego stanu rzeczy nie widzę powodu, dla któregooby nie można było położyć obcego wprawdzie, ale każdemu anglikowi dobrze znanego wyrazu *mustachio*?

Co zaś do tytułu, któremu poważyłam się zarzucić pewną niewłaściwość, to czytelnik zrozumie od razu, iż rzecz dzieje się na początku tego wieku, razić go więc będzie, o ile się domyślam owo „Master,” które jak p. Biggs sama wyjaśnia, miało znaczenie poważne daleko dawniej, bo za czasów Elżbiety.

Upoważniona przez Sz. Autorkę ośmielam się wskazać sposób w jaki możnaby zupełnie uniknąć nazwy „master,” kładąc tytuł taki: *Thaddeus -- or the last foray in Lithuania etc.*

Tych kilka słów odpowiedzi na uprzejme uwagi p. Biggs sądziłam się być winną zarówno pismu, które mi powierzyło recenzją tłumaczenia „P. Tadeusza“ jak i Sz. Autorce, przebywającej chętnie w straponiej krainie naszego ducha poetycznego, autorce, która poważną swą pracą, odznaczającą się wielu zaletami, zyskała sobie powszechne między nami uznanie, jakiego jej i w literaturze angielskiej z serca życzyć się ośmielam.

Izdebno d. 19-go marca 1886 r.

*Marya Wentz'l.*

## II.

Niemieckie Towarzystwo historyczne W-go Ks. Poznańskiego przesłało Redakcyi Biblioteki Warsz. pod dn. 12-go marca r. b. wyciąg z posiedzenia swego z dnia 10 listopada 1885 r., na którym przewodniczący dr. Endrulat odpierał zarzuty uczynione przez p. Callier przeciwko rozprawie dr. Warschauera. „O cechach w Poznaniu w wiekach średnich,” drukowanej w 1-ym zeszycie tegoż Towarzystwa niemieckiego. Dr. Endrulat twierdzi, że p. Callier, ogłaszając referat swój w Dzienniku poznańskim i w Bibliotece Warszawskiej w zesz. za mies. październik 1885 r., podał (str. 155) fałszywie treść tej rozprawy i powoływał błędnie ustępy, które na poparcie swoich wywodów przytaczał, jakoby „główném zadaniem rozprawy dr. Warschauera było dowieść, że już za polskich czasów było w Polsce wiele lokacyi na prawie niemieckiem, które oczekiwały tylko upadku państwa

polskiego, ażeby zadokumentować odwieczną niemieckość swoją.“ Dr. Endrulat twierdzi, że artykuł dr. Warschauera mówi tylko o walce, jaką prowadziło państwo polskie przeciwko prawu niemieckiemu. Oprócz tego potępia dr. Endrulat domysły p. Callier'a co do wniosku, do jakiego ma dojść dr. Max Beheim-Schwarzbach w artykule swoim „Aus südpreuussischer Zeit:“ „że ponieważ najskuteczniejszą zasłoną jest uderzenie, rządzić polakami trzeba maczugą... (str. 156), uważając podobny domysł za sąd zbyt płaski (Plattheit), żeby go można głosić bezkarnie w gronie Towarzystwa naukowego, jakim jest Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.

Czytelnicy Bibl. przypominają sobie, że wiadomość podana przez Bibl. Warsz. w paźdz. 1885 r. donosiła o sprawozdaniu, które czytał p. Callier na posiedzeniu Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu o treści 1-go zeszytu Niemieckiego Tow. histor. w Poznaniu. Red., nie posiadając wzmiankowanej publikacji niemieckiej, nie może rozbierać zasadności poglądu sprawozdania p. Callier. Gdy jednak sprawa ta, po przeprowadzeniu polemiki w Poznaniu, znalazła objaśnienie w oświadczeniu przewodniczącego p. Wład. Bentkowskiego na posiedzeniu Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu z dn. 17-go listopada (zob. Dziennik poznański nr. 264), przeto się z nią niniejszém łączymy. P. Bentkowski oświadczył, że Tow. nie komunikuje urzędowych sprawozdań prasie, ale jest jej wdzięczne za tę usługę publicystyczną, gdy obznajmia publiczność z pracami Towarzystwa, i nie może żadnym sposobem wpływać na to, aby sprawozdawcom odmówić prawa osobistych poglądów i wniosków, objawia jednak prośbę do sz. Referentów, aby sprawozdania swoje przedstawiali w takiej formie, któraby nie pozostawiała najmniejszej wątpliwości co do obiektywnego referatu o dyskusyi, które się na posiedzeniach toczyć zwykły. Tę samą prośbę znosi i Redakcja Bibl. do życzliwego swego Referenta.

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

— 315 —

Kilka słów o stosunkach publicznych w Europie. — Wzburzenia socjalistyczne we Francji, Anglii i Belgii. — Zachmurzony horyzont polityczny z powodu niepewności stosunków na Wschodzie. — Dalszy ciąg robót antyeconomicznych i anti-społecznych w Prusach, oświeconych przez smutne dla nas dane statystyczne o stosunku polskiej własności ziemskiej do niemieckiej w W. Ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich. — Ostrzegający głos Ferdynanda ks. Radziwiłła w Izbie panów dnia 27-go lutego 1886 r. — Przyczyny fałszywej opinii prasy europejskiej o zasadniczych ideach naszego życia społecznego. — Ruch umysłowy: I) w Akademii umiejętności w Krakowie: a) Rozprawa St. Smolki: „Projekta reformy wojskowej i skarbowej za Zygmunta I-go; b) Stef. Szolc-Rogozińskiego: „Rysy charakterystyczne narzecza murzyńskiego Bakwiri w górach Kamoruńskich;“ c) Posiedzenie sekcji antropologicznej; d) P. Kawoziński: „Poszukiwania rytmiczne.“ II) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: a) ks. prałat Likowski: „O przygotowaniu do unii brzeskiej (dokończenie), b) ks. kanonik Korytkowski: „O księciu Floryanie Kazimierzu Czartoryskim, arcybiskupie gnieźnieńskim († 1674). — Konkurs króla szwedzkiego z dziedziny literatury semickiej. — Otwarcie nowej drukarni uniwersyteckiej w Krakowie. — Towarzystwo geograficzne w Krakowie. — Z Towarzystwa zachęty sztuk pięknych: Obraz Munkaczego „Chrystus przed Pilatem.“ — Z teatru (Mozera „Porucznik Szykowski“ i „Wojna podczas pokoju;“ Przybylskiego „Pst.“ Tomaszowicza „Za późno“). — Wynik konkursu imienia Wojciecha Bogusławskiego. — Spółki spożywcze. — Z Tow. popierania przemysłu i handlu: narady rolników, młynarzy. — Sprawozdanie I-sze Tow. ogrodniczego w Warszawie. — Lecznice w Warszawie.

Z wysokości tronów, z krzesła ministeryalnych, z ław parlamentów i z biur prasy rządowej dolatują nas bezustannie głosy o potrzebie ugruntowania rządu silnego, trwałego. W imieniu monarchów równie jak i w imieniu republik powtarza się to hasło niby dla zaspokojenia strwożonych społeczeństw, które spostrzegają, że zamierzenia wielu rządów, wynikiłe nie z naturalnego rozwoju danych stosunków historycznych i economicznych, nie z kompetencji właściwej państwu władzy rządowej; ale z pobudek filantropijnych, z wyobrażeń liberali-

zmu kosmopolitycznego, skojarzonego z socjalizmem kosmopolitycznym, z pojęć nowój szkoły ekonomicznej per abusum przybierającej miano szkoły narodowej; że, mówię, zamierzenia te prowadzą koniecznie do nihilizmu. Trzeba bowiem uważać za najzłudniejszą chimerę, gdy maż stanu sądzi, że można ugruntować rząd silny na terażniejszej drodze postępowania, gdy się popiera idee, które nie dopuszczają rządu trwałego, gdy się łączy ze stronnictwami, które dążą do gwałtów, które bez skrupułu depczą świętość zobowiązań monarszych, i z tém się nawet nie tają, jak np. ks. Bismarck, który za pomocą prusaczyzny burząc Niemcy, zamąca spokój ekonomiczny sąsiadów, pęta swobodę ruchu międzynarodowego w dziedzinie kapitału i pracy! Czy to chodzi o sprawy religii i kościoła, czy o organizacyą armii, czy o ustalenie budżetu (np. we Francyi), ministrowie nie cofną się przed transakcyą z żadném stronnictwem, choćby najradykalniejszym, byle tylko sklecić większość ministeryalną, nie cofną się przed związkiem z tymi, którzy otwarcie wypowiadają wojnę idei sprawiedliwości, zbawieniennym wpływom religii, rodziny, gminy, interesom autonomii lokalnej, zapominając o tém, że pozwalając doktrynerom na wszystkie ich teorye, nie podobna ufundować niczego, coby jakakolwiek trwałość obiecywać mogło. Wśród tej roboty nad wytworzeniem większości ministeryalnej zużywają się wszystkie sprężyny żywotne narodu, wyczerpuje się siła wewnętrzna społeczeństw, pojęcia moralności zacieśniają się coraz bardziej, tępieją, słabną. Wytworzona sztucznym sposobem większość wlece się przez czas niejakiś; lecz dezorganizacya postępuje swoją drogą i wybucha lada chwilę, podobna do niespodziewanego wypadku tragicznego, jak np. ów morderczy wybuch socyalistyczny w Decazville, rabunki w Londynie, w Leodyum i w innych miejscowościach Belgii, oświetlające złowrogiem światłem mordów, rozboju i pożogi stan moralny społeczeństw, któreśmy przez teorye filantropijne i przewrotne doktryny ekonomiczne, sami przez długi czas dopomagali wytworzyć.

Przed miesiącem nie spodziewał się nikt, że jedna z najważniejszych kwestyi dla Europy, wywołana przez ostatnie wypadki na półwyspie Bałkańskim, nie przestanie dotychczas niepokoić państw europejskich. Tymczasem widnokrąg życia publicznego z tej strony nietylko się nie rozjaśnia i nie wypogąda, ale podnoszą się wciąż na nim nowe chmury i coraz bliższe straszą nas gromy. Kwestya wschodnia, przebudzona antagonizmem ludów na półwyspie Bałkańskim, nie umilkła dotychczas. Grecya, rujnując się na uzbrojenia, zostaje głuchą na monita areopagu mocarstw europejskich i wyczekuje z bronią na ramieniu chwili sposobnej do rozpoczęcia akcji wojennej na razie z Turcyą; lecz nie tai się z obawą, że walka, rozpoczęta z Turcyą, musiałaby się kończyć zapasami z ideą panowania narodowości słowiańskich na całym półwyspie Bałkańskim. Transakcyja pokojowa Serbii z Bułgaryą, dokonana teoretycznie w Bukareszcie, nie zamknę-

ła podwoi dla antagonizmu przeróżnych wpływów, które z nadmiaru troskliwości o racjonalny rozwój interesów narodowych ludów słowiańskich na półwyspie, nie godzą się na poglądy i zasady, podług których strony interesowane pragną ułożyć sprawę swoje domowe i ościenne. Wśród téj sytuacji wystąpiła obok dawnéj doktryny federacyi ludów bałkańskich, nowa idea ligi militarnéj narodów słowiańskich z Turcyą <sup>1)</sup>, na której oparła się ugoda pomiędzy Aleksandrem ks. bułgarskim, a W. Portą. Idea ta wydała się jednak gabinetowi petersburskiemu obrazą zasad, na których podstawie prowadzono walkę krzyża z półksiężcem. Otwarte zatem veto gabinetu petersburskiego spotęgowało się ostatecznie w różnicy poglądów dyplomacyi co do formy, pragnącej zachować stypulacye traktatu berlińskiego, i co do terminu przyznać się mającej władzy panującego—księciu Battenberskiemu, jako panu Bułgarii i Rumelii. Czarna ta chmura nie znikła z widnokręgu dzisiejszych konstelacyi politycznych w Europie!

Anglia poskromiła buntownika w Indyach w sposób tak doraźny, żeby go się nawet Prusak ani wieku XIII-go, ani XIX-go, nie powstydzili. Trudniejsze do rozwikłania pozostają jeszcze sprawy egipskie. W kwestyi najżywotniejszej dla dalszego rozwoju idei państwowej W. Brytanii w Europie, mianowicie w kwestyi irlandzkiej, zdaje się, że gwałtowna niesprawiedliwość zaborców Zielonéj wyspy, nie mogąca się ulegalizować faktem tyłowiecznym, będzie nareszcie musiała kapitulować przed wytrwałymi obrońcami nieprzedawnionych praw narodu irlandzkiego.

Francya, niepokojona przez jak najradykałniejsze doktryny, wysiła swój dowcip na wyszukiwanie z przeszłości czegoś, coby jeszcze zburzyć należało. Nie milkną głosy, dopominające się (czyby za przykładem państwa Pruskiego?) panowania praw wyjątkowych. Radykalizm grozi potomkom rodzin panujących banicyą, pozbawieniem ich opieki prawa, na którym się Rzplta gruntuje, wojuje z konkordiatem, który jest jeszcze jedyną, jakkolwiek bardzo słabą tarczą kościoła katolickiego we Francyi. Doktrynerzy łamią sobie wśród rozpraw budżetowych głowę nad przyczynami i nad doniosłością cholery podczas akcyi w Tonkinie, a inteligencya cieszy się rezultatami badań Pasteura, leczącego skutecznie wściekliznę!

Rosya i Austria, wolne od aktualnych kłopotów zagranicznych, prowadzą swoją robotę państwową w obranym raz kierunku, mianowicie: na drodze potęgującej się coraz bardziej centralizacyi i przychodzącej do coraz większej ufnosci w siebie federacyi autonomistycznej krajów,

<sup>1)</sup> Znaczącóm zjawiskiem tego poglądu jest broszura serbskiego męża stanu Macieja Bana (pod. tyt. „Solution de la question d'Orient par Mathias Ban. Belgrad. Imprimerie d'État, 1885), z której treścią nie omieszkamy zaznajomić czytelników Biblioteki w jednym z najbliższych zeszytów.



tworzących z pewną dumną samowiedzą najsilniejsze organa potężnego państwa.

Na półwyspie Pyrenejskim odzywają się nieśmiało reminiscencyo zwyciężonych niedawno doktryn i pretendentów. Północ i południe, Skandynawia i Włochy, porządkują swoje sprawy wewnętrzne i nie budzą szerszego niepokoju.

Prusy nie potrafiły się jeszcze uspokoić w swojej polonofobii, mimo przedstawionego komisjom materiału statystycznego, dowodzącego zmniejszania się przestrzeni polskiej własności ziemskiej. Z zestawienia, przesłanego przez rząd komisji, wynika, że: Wielkie Księstwo Poznańskie liczy 2,053 dóbr większych (włącznie z dobrami koronnymi, kościelnymi i t. p.), obejmujących 1,584,297 hektarów powierzchni i to 203,855 hekt. (czyli 13 procent) dóbr należących do korony, kościołów i innych korporacji i 1,380,342 hekt. (czyli 87 procent) posiadłości prywatnej.

Obwód rejencyi kwidzyńskiej liczy 639 dóbr z 550,828,45 hekt. powierzchni i to 130,175,62 hekt. (czyli 24 procent), należących do korony i t. d., a 420,651,83 hektarów (czyli 76 proc.) własności prywatnej.

Obwód rejencyi gdańskiej liczy 448 dóbr z 315,852,13 hektarami powierzchni i to 113,972,13 hekt. (czyli 36 proc.) własności rządowej, kościelnej i t. d., a 201,880 hekt. (czyli 64 proc.) własności prywatnej.

W trzech tych dzielnicach mamy ogółem 3,140 dóbr z 2,450,977,58 hektarami powierzchni, z których 458,103,75 hektarów (czyli 18 proc.) należy do rządu i t. d., a 2,002,873,83 hekt. (czyli 82 proc.) do prywatnych właścicieli.

Toby były cyfry ogólne. Przypatrzmy się teraz, jak wygląda stosunek własności prywatnej Polaków a Niemców.

W Wielkiem Księstwie Poznańskim: Liczba właścicieli Polaków wynosi 649 — Niemców 1010. Polacy posiadają 656,479 hekt. (42 proc.) — Niemcy 729,899 hektarów (45 proc.). Posiadłość niemiecka przewyższa polską o 67,420 hekt. czyli o 3 proc.

W obwodzie rejencyi kwidzyńskiej: Liczba właścicieli Polaków wynosi 116 — Niemców 523. Polacy posiadają 84,115,23 hekt. (15 procent) — Niemcy 336,536,59 hekt. (61 procent). Posiadłość niemiecka przewyższa polską o 252,421,36 hekt. czyli o 46 proc.

W obwodzie rejencyi gdańskiej: Liczba właścicieli Polaków wynosi 42 — Niemców 326. Polacy posiadają 18,468,48 hektarów (6 procent), Niemcy 183,411,5 hekt. (42 proc.). Własność niemiecka przewyższa polską o 164,943,04 hektary, czyli o 52 procent.

Ogółem w tych trzech dzielnicach jest 807 właścicieli Polaków, posiadających 759,062,71 hektarów czyli 31 proc. powierzchni, a 1,859 właścicieli Niemców, posiadających 1,243,847,11, czyli 51 procent po-

wierzchni; tak więc niemieckie posiadłości większe są od polskich o 484,784,40 hekt., czyli o 20 procent.

Wymalowany przez administracyą pruską na ścianie granicy wschodniej zły duch „Zalewu polskiego,” gotującego niechybną ruinę słabnącego germanizmu, mimo udowodnionego przez statystykę korzystnego dla niemczyzny położenia, nie tylko nie znika; ale sroży się już systematycznie w komisjach parlamentarnych i wymyśla w prasie rozmaite sztuczki, na które w dawniejszych epokach zawsze łapali się polacy, bez względu na źródło, z którego płynęły, choćby ono jadem śmiertelnym było zatrute. Służalcze pióro „*pewnego poważnego obywatela z Wołynia*“ w „Gazecie szlązkiej,” podniesione za pomocą funduszu gadzinowego do znaczenia publicystycznego w broszurze, E. von Reile („Die Zukunft der Polen und ihre Politik.“ Berlin, 1886, str. 26), ofiaruje polakom za zrzeczenie się idei rewindykowania dla mającej się przez Bismarcka wskrzesić Polski, dawniejszych ziem polskich na rzecz prusaczyzny; ofiaruje, mówię, w zamian za to Polskę odepchniętą od Bałtyku, ale posuniętą do morza Czarnego! Reputacya naszego rozumu politycznego — w przeszłości w ogóle nie wielka niestety! — musiała upaść w ostatniej epoce już do najniższego poziomu, skoro w taki sposób można rozprawiać publicznie o podobnych bredniach! Przepraszamy za takie wyrażenie czytelnika Biblioteki; autorowie zaś tak niecných piśmideł nie wezmą sobie tego za urazę. Oni są zapłaćeni!

Niemcy szczycą się i poniekąd słusznie gruntownością i logicznością swoich prac naukowych, teoretycznych; ale w stosunkach realnych grzeszą łatwo niekonsekwencyą. Jeszcze nie przebrzmiało echo mów kanclerza i jego popleczników w parlamencie, szydzących z nauk Hefterów, Bluntschlich i i., gdy z téj samej trybuny patryoci pruscy wzywają kilkunastu polaków, zasiadających w Izbie pruskiej, niby stronę równorzędną kontraktującą do jakiegoś nowego układu, mającego wyrażać abdykacyą z dotychczasowych ich nadziei. Podstęp tak nikczemny dąży do tego, aby skompromitować reprezentantów polskich moralnie, a ośmieszywszy ich w oczach Europy, oskarżać ich potem z całą czelnością, jako burzycieli porządku publicznego, ustanowionego przez traktaty. Nawoływania atoli tego rodzaju — zkańkolwiekby one wychodziły — pozostać muszą bez odpowiedzi, ponieważ każdy światlejszy mąż stanu pojmuje, że bez względu na stronę formalną takiej manifestacyi, pozostaćby ona musiała bez wszelkiego znaczenia realnego i praktycznego, jak tego dowodzą następujące konsyderacye, które w formie zapytania stawiamy sąsiadom naszym z nad Szprei.

Czy prusacy wierzą w trwałość stypulacyi traktatu frankfurckiego, zawartego w imię Trójcy Ś-tój między współrzednymi państwami, według których Francya zrzekła się na wieczne czasy Alzacyi i Lotaryngii? Czy zaprzysiężony i ratyfikowany ten traktat stłumił i zniszczył w umysłach i sercach, w duszy i wyobraźni wszystkich tera-

źniejszych i przyszłych pokoleń francuzkich wszelką myśl odwetu? Czy ten traktat przyłożył na wytworzone dziś stosunki pieczęć, której nawet przy straży przeróżnych bestyi apokaliptycznych i przy czujności żandarmerii pruskiej, żadne wypadki nigdy nie naruszają, nie złamią? Wątpimy! Wątpliwości atoli naszej nie podnosimy do znaczenia zasady, lekceważącej świętość zobowiązań międzynarodowych, jak to czynią pruscy mężowie stanu; ale opieramy ją na nauce dotychczasowych dziejów ludzkości.

Czy odrodzenie się polityczne ludów słowiańskich na półwyspie Bałkańskim ma swoje źródło w braku takiej manifestacji dyplomatycznej, lub czy jest raczej wynikiem ogólnej konstelacji politycznej, partej przez gabinet petersburski?

Czy dzieło Cromwella stało się przez to trwalszem, że zostało przeprowadzone w sposób szydzący ze wszystkich praw przyrodzonych? Czy w obec tego domagał się ktokolwiek od irlandczyków takiej abdykacji praw przyrodzonych, abdykacji, nie mogącej mieć żadnego znaczenia dla pokoleń późniejszych?

Nie żądajcie zatem cynicy wieku XIX-go manifestacji, której historia nie pozwala ufać. Traktaty, jakkolwiek przez gwałcicieli sprawiedliwości deptane, stanowią zawsze ważne momenta prawa międzynarodowego; gdy tymczasem deklaracya garstki reprezentantów poddanych pruskiej narodowości polskiej, uciśnionej, ściganiej przepisami wyjątkowemi, broniącej w spokojnej pracy swęj indywidualności narodowej—nie wejdzie nigdy do Corpus juris gentium! Użyto by jęj zapowne tylko za argument, dowodzący obłudy, hipokryzyi, anarchii i t. p. intryg polskich. Społeczność polska ma unormowane stosunki swoje w traktatach międzynarodowych, a prawodawstwa państw odpowiednich zapewniły jęj na równi z resztą poddanych bezpieczeństwo własności, religii i języka; zostawcie ją na tym legalnym gruncie, a nie turbujcie jęj spokoju przepisami wyjątkowemi. Szymierze polityczni, występujący na mównicy parlamentów i w prasie w obronie drakańskich projektów ks. Bismarcka, uciekają się lekkomyślnie, ale skwapliwie do reminiscencyi historycznych; a równocześnie zamykają tendencyjnie oczy na zmianę położenia i opinii publicznej społeczeństwa polskiego, jaka się w umysłach polskich dokonała po ostatniem gwałtownem wstrząśnieniu w kraju i to właśnie dokonała w chwili, gdy pod żelaznym sterem ks. Bismarcka prusaczyzna najbardziej się wzmogła (w czasie od 1866 do 1870). Na tę stanowczą ewolucyą opinii umysłów polskich w owęj chwili zwrócił publicznie uwagę rząd i reprezentantów pruskich Ferdynand ks. Radziwiłł na posiedzeniu Izby panów w dniu 27-go lutego r. b., zaznaczając, „że w owym orzeźwiający procesie doskonalącej się opinii narodu polskiego wyrabiła i utrwaliła się zasada, według której każdy polak powinien lojalnie spełniać swoje obowiązki względem państwa, do którego politycznie należy, że tylko na tym gruncie powinien dalej pracować około utrzymania i rozwoju tych skarbów i tego dobra narodowego w granicach tego ustroju

duchowego, którego żaden naród wyrzec się nie może. Wielka ta chrześcijańska zasada w znaczeniu konserwatywném stanowi ów przełom, stanowi odtąd ową przewodnią ideę dla wszystkich części dawnéj Polski, jak daleko tylko sięga ludność polska w granicach trzech mocarstw, które posiadają części dawnéj Polski. Jeżeli pod wpływem tego konserwatywnego rozwoju okazały się i w Prusach wśród ludności polskiej pocieszające postępy w dziedzinie kultury w ogóle, na polu sztuki, w krainie nauk i w objawach społeczno-narodowego życia, to niegodném jest tak wielkiego narodu, jakim są niemcy, ażeby miał niezyczliwie temu rozwojowi się sprzeciwić i usuwać téj pokojowej pracy narodowej grunt pod nogami przez wyjątkowe przepisy prawne. Rozprawiać o politycznych granicach państwa, mówi dalej Ferd. ks. Radziwiłł, nie mamy żadnego prawa ani obowiązku, bo do tego nie posiadamy najmniejszej kompetencji; ale to jest naszym powołaniem i do tego zmierzają wszystkie nasze usiłowania w téj wielkiej walce duchów, która wre w granicach państwa pomiędzy chrześcijaństwem a nowoczesném pogaństwem, abyśmy także zajęli nasze stanowisko w tym boju pod chorągwią prawdy, wolności i prawa... obok naszych współobywateli narodowości niemieckiej. Spełniając w sposób najlojalniejszy nasze obowiązki względem Prus... toczyć będziemy tę walkę... Spodziewamy się zaś, że nikt z Członków rządu ani żaden z Was, Panowie téj wysokiej Izby, nie zechce zaprzeczyć temu, że jeżeli wykończenie budowy konstytucyi państwa, ma się opierać na podwalinach konserwatywnych, co za warunek konieczny uważamy, to nie powinniście lekceważyć a tém bardziej nie powinniście się pozbawiać tych pożądaných cegiełek, które możecie znaleźć w ludności polskiej w narodowym jéj ustroju, opierającym się na gruncie zasad chrześcijańskich <sup>1)</sup>."

Pogląd ten nie nawrocił jednak potomków krzyżackich, zapędzonych w nienawiści żywiołu polskiego, bo nawet stanowisko i znaczenie Galicyi, będącej dziś, w skutek polityki przez ks. Radziwiłła wskazanej, jednym z silniejszych filarów monarchii habsburskiej, nie potrafiło ich przekonać o zasadności wywodów powyższych.

Nie tylko wrogie nam plemię germańskie w Prusach; ale i inne narody Europy zachodniej nie mają jasnego pojęcia o teraźniejszem położeniu narodu polskiego, ani téż gruntownej znajomości o istotnym nastrój umysłów narodu polskiego; bo opinia o tém wytwarza się zazwyczaj w sposób sztuczny, tendencyjny, stroniący od poważnego, przedmiotowego rzeczy rozbioru. Na wytworzenie się atoli téj jak najdziwaczniejszej o nas opinii europejskiej wpływają nie tylko wrogowie nasi, cychający na naszą zagładę; ale w znacznej

<sup>1)</sup> Stenographische Berichte. Herrenhaus. Sechste Sitzung d. 27 Febr. 1886, str. 87, 88.

części i my sami. Trafne co do tego uwagi znajdujemy w korespondencji z Londynu w ostatnim nrze „Kraju.“

Nieprzychylnie i wrogie nam wpływy pracowały od dawna i pracują bez wytchnienia w prasie niemieckiej, francuzkiej i angielskiej w dwojakim kierunku, mianowicie: a) jeżeli sięgają sfer wyższych, to starają się zespolić polskość z rewolucją, z anarchią międzynarodową, z warcholstwem, wskazując nawet na sztandary komuny paryżkiej; b) jeżeli zaś mają przystęp do warstw niższych, albo jeżeli w danej chwili kokietują z liberalizmem i radykalizmem kosmopolitycznym albo z socjalizmem niemieckim, francuzkim lub z nihilizmem rosyjskim, to przedstawiają społeczeństwo polskie współczesne jako przestarzały, zacofany, sentymentalny czynnik ultramontańskiej arystokracji, będącej pierwszym agentem we wszystkich robotach, krępujących żywą energią rozwoju elementarnych sił narodu.

Dyplomacya oficjalna i nieoficjalna, rozpisując się za pomocą usługanych skrybentów w organach publicystyki europejskiej tych lub owych dążności o międzynarodowych kwestyach bieżących, nie może się wstrzymać od obryzganania błotem tych, których całą winą jest to, że wzrósłszy wśród pracy cywilizacyjnej wieków na podstawie kultury chrześcijańskiej obok narodów ucywilizowanych, pragną i nadal na własnym pozostać gruncie. Słyszymy tedy z ust cudzoziemców dystygnowanych np. takie opinie o nas: „nie wszyscy polacy są nihilistami, bo są między nimi ultramontanie i arystokraci, tak jak nie wszyscy Niemcy są socyalistami, Rosjanie nihilistami, Angliacy fenienistami, Francuzi komunistami!“

Masę tułających się po obczyźnie, a mianowicie po stolicach państw europejskich, Polaków, z wyjątkiem bardzo szczupłej liczby z wyższm wykształceniem, stanowią albo bezmyślni, za sybarytyzmem goniący bogacze, albo też artyści i publicyści kosmopolitycznego polotu,—dalej rzemieślnicy i robotnicy, subjecci handlowi, fryzyerzy, restauratorowie, drobni urzędnicy bankowi, stróże w portach lub z miotłą na ulicach, pomiędzy którymi wielu nie umiejących czytać i pisać. Obok tego kilku przemysłowców średniej zamożności, którzy, nie mając relacji z możnymi tego świata, mimo najlepszych chęci, nie mogą wpływać na wyrobienie za granicą sprawiedliwego sądu o naszym charakterze, położeniu, uspołecznieniu i dążnościach cywilizacyjnych. Poważny zastęp artystów w świątyni malarstwa, rzeźby i śpiewu, oddany swemu zawodowi szuka chleba na arenie zarobku kosmopolitycznego. Obok szczupłej liczby zdolniejszych publicystów większa liczba ambitnych pracowników pióra służy pod chorągwią warsztatu, w którym pracuje i nie wpływa na ugruntowanie uzasadnionych poglądów redakcyi na sprawy nasze. Nadto odcięta przez dłuższy czas od kraju, traci niebawem poczucie z każdorazowem drganiem uczuć i aspiracyi narodowych, poddaje się łatwo wszelkiej illuzyi, szukając dla niej utłudnej satysfakcyi w kosmopolitycznych robotach.

Prasa konserwatywna, nie mogąc znaleźć między Polakami dzia-

łączy swojej myśli; ale owszem, spotykając się w prasie polskiej z głosami sympatyj dla uciśnionych irlandczyków, krzywdzonych duńczyków, alzateczyków i t. d. odwraca się od mniemanych rewolucjonistów, którzy walczyli na czele komuny i t. p.

Prasa liberalna, subwencyonowana przez stronnictwo, któremu ma służyć, nie rachuje się z potrzebami dalekiego narodu, który kupi się około sztandaru kościoła, poniewieranego przez wszystkich doktrynerów liberalizmu. „Dzienniki np. angielskie nawet sympatyczne nam, nie wiedzą, czy przymusowe wykupywanie własności polskiej ma być zastosowaniem do polaków niepruskich, czy też do pruskich. Jeżeli do tych ostatnich, to niech się osiedlają w monarchii pruskiej, gdzie mogą wywierac wpływ na niemców tak szydereo traktowanych przez ks. Bismarcka; (The Freeman's Journal podług koresp. „Kraju.“) niech uprzędą żelazną rękę ceklarzy pruskich, niech zadadzą kłam potwarzy, rzucenój przez niego na efekt Europie, jakoby przerosili Paryż i Monaco nad głębę ojczystą: niechże sami skupują dobra i zastują sobie na kanclerski komplement: *hands off!*“

Cóż to za nieznamość—najzyczliwsza bez wątpienia—stosunków miejscowych i procedury administracyi pruskiej!

A w naszej prasie czy milkną namiętne podjazdy polemiczne antagonistów sztucznie podtrzymywanych obozów konserwatystów i postępowców, arystokratów i demokratów, klerykałów, liberałów i radykałów, materyalistów, pozytywistów i wszelkich mnogich artystów na wszystkie ręce! Wszystko to odbija się w zwierciadle naszej publicystyki, oraz w umysłach nie przywykłych do samodzielnego myślenia. Cóż tedy dziwnego, że cudzoziemiec wybierze z tego chaosu, nie uporządkowanego racjonalnie, to, co do jego gustu przypada! Różnica opinii jest w każdym organizmie społecznym potrzebna; ale namiętna zawiść jednego kierunku myśli względem drugiego, zaprawiona jadem podejrzliwości, tendencyjnych insynuacyi, arogancya monopolizowania idei postępu, dobra ogólnego i t. p., przynosi zawsze szkodę zdrowiu publicznemu!

Obrady w sejmie pruskim dostarczą nam—oprócz dotychczasowych, jeszcze wiele ciekawych poglądów na społeczeństwo nasze, które choćby sposobem kronikarskim zaznaczyć należy, o ile szczupłość miejsca od czasu do czasu na to pozwala.

Z dziedziny ruchu umysłowego mamy w ostatnim czasie do zanotowania zjawiska następujące:

Dnia 10-go lutego b. r. odbyło się w Akademii umiejętności posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem dyrektora prof. dr. Heyzmauna, na którym prof. dr. Smolka przedstawił sprawę projektów reformy wojskowej i skarbowej za Zygmunta I. Na sejmie krakowskim w lutym 1512 r., ułożył król z kołem senatorskióm projekt reformy skarbowej i wojskowej, polegający na zasadzie

skupienia służby wojskowej w pospolitem ruszeniu. Celem projektu było: utworzenie stałej armii dla potocznej obrony kresów, 2,600 koni, 400 piechoty i artylerii. Do obrony téj przykładać się miały trzy czynniki: 1) skarb prywatny królewski, 2) duchowieństwo i miasta, 3) społeczeństwo ziemiańskie. Skarb prywatny królewski miał wziąć na siebie żołąd dla hetmana, oraz utrzymanie 300 koni i artylerii. Duchowieństwo miało płacić ryczałt 2,000 florenów, co wraz z dochodem z szosu i czopowego starczyć miało na utrzymanie drugiego oddziału jazdy (300 koni) i piechoty. Pobór łąnowy, ciężący na kmiecjach dóbr królewskich, duchownych i szlacheckich miał być zniesiony, pospolite ruszenie ograniczone do najkonieczniejszych potrzeb (obrony kraju wewnętrznój). Natomiast każdy szlacheć posesyonat, obowiązany do pospolitego ruszenia secundum facultatem bonorum, miał płacić pewną kwotę od konia według ilości koni, jakiej dostarczał na pospolite ruszenie. Obok tego podział ziem koronnych na 5 okręgów: ciężar podatkowy spadać miał kolejną co rok na inny okręg. Każdy szlacheć posesyonat miał zaś rozłożyć przypadający nań kontyngens podatkowy na swoich kmieci, którzy odtąd łąnowego nie byłiby płacili; on jednak odpowiedzialny wobec skarbu.

Projekt powyższy miał być wprowadzony na lat pięć na próbę, dopóki kolej nie obejdzie pięciu okręgów.

Projekt wniesiono najpierw na sejmiku generalnym wielkopolskim w Kole 25 kwietnia 1512 r., gdzie go przyjęto z tą zmianą, że zamiast proponowanej kwoty 6 flor. od konia, uchwalono 5 fl. Na sejmie piotrkowskim w jesieni 1512 r. uległ projekt znaczniejszym zmianom: podział na 5 okręgów przyjęto i zasadę kolejności; w zasadzie jednak utrzymano obowiązek osobistej służby, dopuszczając skupowania ciężaru, tylko jako środka zastępczego, natomiast obowiązek służby ograniczono na czas od Wielkanocy do św. Marcina.

Korona wraca jednak do dawnego projektu i przychodzi z nim znowu przed sejmik generalny wielkopolski w Poznaniu w styczniu 1513 r. Szlachta wielkopolska godzi się znowu na pierwotne brzmienie projektu, podnosząc kwotę rełucyi na 12½ fl. od konia, ale z tym warunkiem, że Małopolska zgodzi się na to podwyższenie. I na sejmiku małopolskim w Korczynie na wiosnę 1513 r. projekt przeszedł, nie zgodzono się tylko na podwyższenie kwoty rełucyi, proponowane przez wielkopolan. Od Małopolski jako pierwszego okręgu, zaczęły się lustracje dla ustanowienia kontyngensu podatkowego, jakiby na każdego posesyonatu przypadła. Wśród tych lustracji rzecz cała upadła, do wykonania nie przysła.

Dnia 22-go lutego w poniedziałek w Akademii umiejętności, pod przewodnictwem d-ra Estreichera, odbyło się posiedzenie zwyczajne wydziału filologicznego, na którym p. Stefan Szolc-Rogoziński, odczytał pracę pod tytułem „Rysy charakterystyczne murzyńskiego narzecza Bakwiri, używanego w górach Kameruńskich, z uwzglę-

dniem niektórych pokrewnych narzeczy.“ Prelegent w rozprawie tej podał rezultaty trzechletnich studyów swoich nad językiem Bakwiri. Wymieniwszy na wstępie nieliczne prace misjonarzy, traktujące o narzeczach murzynów Kameruńskich, p. Rogoziński oznaczył związek tych narzeczy z innymi językami grupy, zwanój Bandu i zakreślił ich granice geograficzne. Najbliższe sobie są cztery narzecza: Bakwiri, Isubu, Dualla i Bakundu; podobne też do tych narzeczy, jakkolwiek w mniejszym stopniu są idiomy Benta i Bakele. Stopień podobieństwa tych sześciu narzeczy wykazał autor na licznych przykładach, przytaczając cały szereg wyrazów. Następnie p. Rogoziński podał systematyczny przegląd głosek narzecza Bakwiri i wyjaśnił porównawczo fizyologiczne warunki ich brzmienia. Z charakterystycznych dźwięków zasługują na uwagę dwójki spółgłosek, np. mb (mboa miasto), ng, ndź (ngundze mała, ndźo słoń), nd (ndabo dom). Za to dźwięków klaszczących, właściwych południowo-afrykańskim narzeczom Hottentotów, języki kameruńskie nie znają. Interesującą właściwością fonetyczną narzeczy kameruńskich jest tak nazwana przez prelegenta alliteracya, to jest: stosowanie się początkowych głosek pewnych wyrazów do początku wyrazów poprzedzających. Tak np. am w języku Bakwiri znaczy mój, sango am pan mój, lecz motu mam człowiek mój, batu bam ludzie moi, jungo jam garnek mój, diso dam oko moje, motu ma kwiri znaczy: człowiek z gąszczu, lecz batu ba kwiri ludzie z gąszczu—zjadł nazwa plemienia Bakwiri.

W dalszym ciągu prelegent traktował inne ustępy gramatyki bakwirskiej, tak np. wskazał prawa tworzenia się liczby mnogiej, czasu przeszłego, wyłożył zasady składni, przytoczył niektóre wyrazy onomatopoetyczne i t. p., przy liczebnikach zwrócił uwagę na system liczenia piątkowy (Bakundu) i trzydziestkowy (Isubu). Za podstawę rachuby czasu służą miesiące, dni i pory deszczowe. Godne uwagi, że murzyni nie mają oddzielnych nazw; na oznaczenie koloru czerwonego i żółtego służy jedna nazwa; podobnie nie ma różnicy między zielonym i niebieskim; czarnym i granatowym i t. p. Prelegent przytoczył też wyrazy, przyswojone z języków europejskich, a mianowicie z angielskiego: bilandi-brandy wódka, ti-tea herbata, manua-man of war okręt wojenny europejski, tulungitrunk kuferek; z hiszpańskiego np. buam-bueno dobry, na sawi no sabe nie wiem i t. p. Do rzeczy o wykrzyknikach autor nawiązał nader zajmujące kwestye pantognomiczne, t. j. przedstawił właściwości mimiczne murzynów pod wpływem afektów i nastroju duszy, a to na podstawie kwestyonażarza, napisanego dla podróżników przez Ch. Darwina. Do rozprawy dołączony będzie słownik narzeczy kameruńskich. W dyskusyi nad wykładem p. Rogozińskiego zabierali głos prezes Majer i dr. Estreicher. Wydział uchwalił pracę p. Rogozińskiego ogłosić w swoich rozprawach.

Z kolei prof. Morawski zdał sprawę z pracy d-ra M. Kawczyń-



skiego, docenta literatury niemieckiej w uniwersytecie lwowskim, p. t. „Poszukiwania rytmiczne porównawcze — część I, teoria pochodzenia i rozwoju rytmiczności.“ Prof. Morawski polecił pracę p. K. wydziałowi, z zastrzeżeniem kilku kwestyi, w których sekretarz ma się porozumieć z autorem. Rozprawę odstąpiono jednemu z członków, dla zdania sprawy z części muzycznej. Wskutek tego na posiedzeniu 8-go marca dr. Stanisław Tomkowicz złożył referat o pracy d-ra M. Kawczyńskiego p. t. „Poszukiwania rytmiczne,“ polecając ją najmocniej wydziałowi. Również chlubne świadectwo dał o niej prof. dr. W. Creizenach. Wydział uchwalił rozprawę p. Kawczyńskiego ogłosić w swoich wydaniach, po uzupełnieniu jej nadesłaniami przez autora poprawkami i dodatkami, w myśl uwag prof. Morawskiego dokonanimi. W dalszym ciągu sekretarz złożył drugą pracę d-ra Kawczyńskiego p. t. „Studia Romańskie. I. Łacińsko-romański wokalizm,“ i wyłożył jej treść. Pracę tę odstąpiono do referatu jednemu z członków. Następnie prof. Morawski podał treść rozprawy p. Zacharyasza Dembitzera, p. t. „O wyrażaniu stosunku wzajemności w stariej łacinie, przyczynek do historii łaciny.“ Rozprawę tę uchwalono ogłosić w wydaniach wydziału. Pracę p. Jana Bartkowskiego p. t. „Uczniowie polacy w Akademii genewskiej od r. 1559—1834,“ odstąpiono komisji literackiej. Nadesłane na konkurs ś. p. Kacpra Bieleckiego prace, wydział odstąpił do referatu jednemu z członków,

Posiedzenie Komisji antropologicznej Akademii umiejętności odbyło się d. 23 lutego r. b. pod przewodnictwem prezesa Akademii d-ra I. Majera, który po odczytaniu przez sekretarza protokołu z posiedzenia poprzedniego, zagaikł obrady powitaniem obecnego na niem gościa Ad. hr. Sierakowskiego, a następnie powiadomił członków, iż druk X tomu „Zbioru wiadomości do Antropologii krajowej,“ już się rozpoczął od trzeciej części tej publikacji, t. j. od części etnograficznej, że wreszcie dr. Kopernicki, powróciwszy do zdrowia, będzie nadal pełnić obowiązki sekretarza komisji. Następnie przedstawił prace literackie do publikacji komisyjnych i dary, złożone przez rozmaite osoby do zbiorów Akademii. Prace literackie nadesłali: Dr. Bogdanik „O średnim trwaniu życia w Białej,“ p. Chełchowski „Zbiór pieśni z okolic Przasnysza,“ p. Janasiński „Zbiór misterjów religijnych na św. B. Narodzenia w Grybowie,“ nakoniec p. Ciszewski z Olkusza „Monografia ludu rolniczo-górniczego w okolicy Sławkowa.“ Wszystkie te prace uchwalono zamieścić w rozpoczynającym się X i następnych tomach „Zbioru wiad. do Ant. kraj.“ Dary, przedstawione na tém posiedzeniu, zwracają na siebie uwagę szczególną tak co do swjej ilości, jako téż i co do wysokości naukowj ich wartości. Sekretarz Kopernicki składa dar Stan. hr. Mola, którym jest wykopalisko, złożone z wielkiej ilości przedmiotów bronzowych, stanowiących odzież szkieletu w grobie przedhistorycznym nie ciałopal-

nym, odkrytym przypadkowo w Wyszkach, w powiecie dynaburskim, majątności ofiarodawcy. Są to rozmaite naramienniki, naszyjuiki, bransolety, przyozdobienia głowy, skrętki spiralne, sprzążki i liczne ozdoby drobne, pokryte dobrze zachowaną patyną i w znacznej części przyozdobione ornamentyką. Razem z tymi przedmiotami ocalała także pewna ilość tkaniny. Całość tego wykopaliska należy do bardzo rzadkich, wyjątkowych w naszym kraju nabytków archeologicznych, który komisya przyjęła do zbiorów akademickich z wyrazem należnego uznania i wdzięczności dla ofiarodawcy. Następnie, członek komisji, p. G. Ossowski, składa doreczone mu przez ks. kan. Wład. Siarkowskiego w darze dla tychże zbiorów nader liczne przedhistoryczne przedmioty. Krzemienne, kamienne, szlifowane, kościane zabytki ceramiki, oraz wyroby metalowe z brązu i żelaza. Przedmioty te pochodzą w większej części z miejscowości przez samego ofiarodawcę badanych, a po części znalezione zostały luźnie. Do pierwszych należą zabytki zdobyte z osad przedhistorycznych w Rembowie nad Nidą (powiat Pińczowski), w Trzcionej pod Kielcami, w Leszczynach (na uroczysku Turek) pod tymże miastem, z cmentarzyska z urnami odosobnionemi w Gorbatowicach (powiat Pińczowski) i we Włoszczowój, a nakoniec z Grodziska w Umianowicach (w tymże powiecie). Luźnie znalezione przedmioty pochodzą z Bożykowej pod Chnielnikiem, z Morawicy pod Kielcami, z Gortatowic i z pod Włocławka. Referent zwraca uwagę na szczególnie piękne i więcej rzadkie wyroby tego daru, do których należą liczne piękne strzałki krzemienne z Rembowa, z Leszczyn i z Morawicy, toporki, kliny i dłuta szlifowane z Rembowa, Leszczyn i Bożykowej, oraz na jedyny prawie u nas okaz wielkiego młota wyrobionego z naturalnego kwarcytu stoczkowego (cailloux roulés), znalezione pod Włocławkiem. Wartość tego daru podnosi wiele jeszcze to, iż każdy przedmiot zaopatrzonej jest odpowiednią notatą, zawierającą jego legitymacją archeologiczną. Oprócz tego daru ks. Wł. Siarkowski składa także swą pracę pod napisem: „Wiadomość o zabytkach przedhistorycznych w okolicy Rembowa,“ której treść referent przytoczył w krótkości. Uchwalono cenę daru ks. Siarkowskiego przyjąć do zbiorów Akademii, a pracę jego zamieścić w pierwszym dziale rozpoczętego X-go tomu „Zbioru wiad. do Antropologii krajowej,“ Z kolei porządku dziennego, tenże p. G. Ossowski zdawał sprawę z czynności własnych w badaniach jaskiń krajowych podczas zeszłego lata. Badania te były dalszym ciągiem badań rozpoczętych przez niego w r. 1884 w jaskini Wierzchowskić-Górnój. Badał ją tym razem w sześciu rozmaitych punktach. Wynikiem tych robót było zdobycie znacznej ilości wyrobów krzemiennych, kamiennych, szlifowanych, kościanych, z rogu jeleniego, oraz zabytków ceramiki przedhistorycznej i łupanych kości zwierzęcych. W warstwie głębszej gliniasto-czarnoziemnej, zdobyto w wielu miejscach ogromną ilość kości zwierząt zaginionych. Należały one prze-  
ważnie do licznych indywiduów niedźwiedzia jaskiniowego (Ursus spe-

laeus), a w mniejszej ilości do lwa kopalnego (*Felis spelaeus*), hyeny, łośa, konia i gatunków psich. Szczególnie interesującym miejscem w teraźniejszych badaniach, była część jaskini, zwana z powodu niezmierniej ilości, znajdujących się w niej owych szczątków „Kostnicą.“ Tu przebito trzy mocne i grube skorupy stalagmitowe, przedzielone pokładami namuliska gliniastego. Tak samo w stalagmitach jak i w namulisku zawierała się ogromna ilość kości, wymienionych gatunków zwierzęcych. W głębokości 2 metrów, pod poziomem trzeciej skorupy stalagmitowej, odkryto się wejście do dalszego ciągu jaskini w kształcie korytarza, w który tym razem przejść można było kilkadziesiąt metrów. Ściany i sklepienie tego głębokiego podziemia jaskiniowego zawieszono są licznymi stalaktytami tworzącymi ozdobne grupy. W téjże głębokości pośród mnóstwa kostnych szczątków zwierzęcych, znaleziono pierwsze w tém miejscu woroby ręki ludzkiej, które są dwa przednie zęby (siekacze) niedźwiedzia jaskiniowego, mające pod samą koroną zębową, głębokie i szeroko otwarte nacięcia poprzeczne, dokonane najwidoczniej krzemieniem. Sprawozdawca okazał zdobyte wyroby, oraz widoki dwu wejść do téj jaskini, które jako staranne studia z natury, objaśniają kształt uwarstwień skalnych i tworzenie się próżni jaskini.

G. O.

W Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu dokończył ks. prałat Likowski w końcu lutego na jedném z posiedzeń wydziału historyczno-literackiego wykład swój „o przygotowaniach do unii brzeskiej,“ (1593—1596). Uczony ks. prałat przedstawił tu działalność ks. Konstantego Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, tego potężnego magnata i jakoby „prymasa“ cerkwi ruskiej, i Bałabana, oraz metropolity Michała Rahozy, — dalej Pocięja i Cyryla Terleckiego. Pobyt obu tych biskupów w Rzymie, akt unii (z d. 23 grudnia 1595), dokonanej przez papieża Klemensa VIII, oraz trudności, jakie Pocięj i Terlecki zastali w ojczyźnie po powrocie z Rzymu — to stanowiło treść zajmującego wykładu, który ma być drukowany w Krakowie w „Przeglądzie polskim.“

Ks. kanonik Korytkowski czytał na jedném z następnych posiedzeń tegoż wydziału ciekawą nader rozprawę o księciu Floryanie Kazimierzu Czartoryskim, arcybiskupie guieźnieńskim. Ks. Floryan, wnuk Jerzego a syn Mikołaja, księcia na Klewaniu, urodził się 1604 r. umarł zaś 1674, był kapłanem z powołania, biskupem dbałym o dobro kościoła i o szczęście ojczyzny. Na dwór się nie cisnął, dostojęństw nie szukał; ale ponieważ zasługiwał na nie przez pracę około duchowego dobra swych rodaków, przeto i one go nie minęły. Wykształcony u Jezuitów w Rzymie, głównie pod przewodnictwem późniejszego kardynała de Lugo, pracował po powrocie z Rzymu i po wyświęceniu na kapłana przy kościele w Klewaniu, który wzbogacił relikwiami św. Bonifacego, przywiezionymi z Rzymu. Niebawem powołany na kanonika wileńskiego, zasłynął kaznodziejską wymową i gor-

liwością w służbie Bożej. Zaliczony w poczet sekretarzy królewskich, mianowany później kanonikiem płockim i krakowskim, zrzekł się dwóch pierwszych kanonii i sekretaryatu królewskiego, aby osieść w Krakowie i znów w sumienném wypełnianiu obowiązków swego zawodu szukać spokoju i szczęścia. W roku 1650 po śmierci Andrzeja Szołdrskiego, został mianowany biskupem poznańskim i dzierżył tę wielkopolską stolicę przez lat 4, od roku 1651 — 1655. W roku 1654 wybrany został Czarторыski, po śmierci księdza Gniewosza, biskupem kujawskim, i sprawował te obowiązki przez lat blisko dwadzieścia, świadcząc kościołowi swemu i ojczyźnie wielkie usługi. Sumarycznie opowiedział ks. Korytkowski udział Czarторыskiego w nieszczęśliwych dla kraju wypadkach wojny szwedzkiej, wśród której najezdnicy pustoszyli i plądrowali Wolbórz i Smardzewice (rezydencje biskupa kujawskiego), podczas gdy biskup Czarторыski towarzyszył Janowi Kazimierzowi wraz z innymi dostojnikami na smutne tułactwo i dobrowolne wygnanie. Za rządów króla Michała Wiśniowieckiego oddał Czarторыski krajowi walną usługę, przywodząc do skutku ugodę między królem a związkiem wojskowym. W ogóle jako mąż zgody i pokoju, mediator *ex imius*, zyskał w kraju szerokie uznanie i zaskarbił sobie względy króla Michała. W uznaniu zasług księcia Floryana polecił król Michał wybór jego na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, osierocone przez śmierć arcybiskupa Prażmowskiego (dnia 16 kwietnia 1673 r.). Mimo protestacyi, jaką kanonicy gnieźnieńscy założyli (nie przeciw osobie poleconego biskupa, lecz przeciwko formie tego polecenia, ściśniającej wolny wybór arcybiskupa)—wybrała kapituła zgodnemi głosy biskupa kujawskiego prymasem krony polskiej pod koniec kwietnia 1673 r.—niestety tylko na to, aby w maju r. 1674 stanąć nad jego zwłokami w kościele Ojców Jezuitów w Warszawie. Charakterystyką Czarторыskiego zakończył ks. Korytkowski swoje wyczerpujące, na źródłach archiwalnych opracowane studjum.

Król szwedzki Oskar, wyznaczył z własnych funduszów nagrodę za najlepsze opracowanie dwóch ważnych tematów naukowych. Tematy te są: 1) Dzieje języków semickich; 2) Przedstawienie stanu cywilizacyjnego Arabów przed Mahometem. Nagrodę w obu tych konkursach stanowi wielki złoty medal wartości 1,000 szwedzkich koron, oraz kwota 1,250 koron gotówką. W komisji konkursowej, oprócz uczonych szwedzkich, zasiadają: tajny radca prof. dr. H. L. Fleischer w Lipsku, prof. dr. Th. Nöldecke w Strassbourgu i dr. Karol hr. Landberg w Stuttgardzie. Ostatni z wymienionych jest zarazem sekretarzem komisji. Prace winny być wniesione najpóźniej do 30 czerwca 1888, a mają być pisane albo w językach skandynawskich, lub też po łacinie, niemiecku, francuzku, angielsku, włosku albo po arabsku.

Przy sposobności aktu poświęcenia Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniu 16 lutego 1886 r., urządzonój w zakupionym i na ten cel przebudowanym gmachu przy ulicy Wolskiej, przytoczył J. M. rektor J. Łepkowski w mowie swojej ciekawe szczegóły z przeszłości tego zakładu, wstępującego do nowego gmachu i w nowy okres — oby jak najszczęśliwszego rozwoju!

Świadectwo Bedermana (z r. 1505) w słowach listu jego do Jana ze Stobnicy o wydaniu Hezyjoda w Uniwersytecie krakowskim (in studio nostro Cracoviensi) u Hallera, wskazywałoby Almę krakowską jako rozkrzewicielkę druku u jego kolebki w Krakowie. *Judicia*, owe pierwsze Kalendarze, nie tylko koncept swój od nas brały, ale mogłyby nasunąć domysł, że z naszych oficyn wychodziły, ukazując się w druku już w końcu XV stulecia. Bibliografom zostawić trzeba szczegółowy wywód genealogii, jako dzisiejsza drukarnia uniwersytecka w Krakowie łączy się w przeszłości dziedzictwem z pierwszemi drukarniami w Polsce, od XV wieku powstającemi. Przypominamy tu tylko o prastarój oficynie Piotrkowczyków, którą w r. 1676 nasz Uniwersytet posiadał — także o drukarni Cezarych, uzyskanój z ofiary ks. kan. Waleiszewskiego (r. 1731) i biskupiej, darowanój Uniwersytetowi przez ks. Jędrzeja Załuskiego. Ma też jeszcze i drugą rodową, że tak powiem, cechą ten Zakład, że z ofiar powstały a będący Uniwersytetu własnością, ma obowiązek służyć nauce, obracając na wydawnictwa dochody swoje.

Czas i przeróżne biedy, zostawiły Uniwersytetowi cenne okruchy z tych bogatych sukcesyj, tak, że godzi się spytać: która z drukarni zagranicznych, może się poszczycić równie zasobnym jak nasz, zbiorem drzeworytów? Mamy ich prawie 3000, oryginalnych, dobrze dochowanych, używanych do Biblii Leopoldy, Postylli Wujka, Bielskiego Kroniki Świata, Miechowity, Paprockiego Gniazda Cnoty, Zielników i bardzo wielu książek z XVI i XVII wieku, wydawanych w drukarniach krakowskich: Wictorowskiój, Unglera, Szarfenbergerów, Piotrkowczyków i Siebenejcherowskiój.

Piękna spuścizna! Niektóre z owych klisz zasługują na studia jako zabytki — inne cenne z uwagi, że je znakomicie swoi i obcy rytownicy wykonali — a prawie wszystkich, przynajmniej bardzo wielu, użyć znowu można jako ozdobę wydań, z chlubą: że nie naśladowane, ale oryginalne. Bandtkie już przed 70 laty cenić je nauczył, a Muczkowski dał poznać badaczom. Uniwersytet to dziedzictwo oddaje Drukarni swojój.

Jak historia Jagiellońskiój Almy jest dziejami oświaty polskiój, tak bibliografia tych drukarni, które się łączą w owóm genealogicznóm drzewie tego Zakładu, objęłaby co najcelniejsze dzieła literatury polskiój. Upadła ta Drukarnia Uniwersytecka za dzierżawy prywatnój, trwającój od r. 1815 do 1838, tak prawie doszczętnie, że kiedy ją w r. 1840 dźwignął Brodowicz, nie było ani czionek, ani sprzętu, ani nakładów; a dziwić się potrzeba, że mogło to choćby z pamiątek pozost-

stać, co w chwili nowej reformy, na wiano tej instytucji dać było można. Oddano jej też obecnie ładę z dokumentami towarzystwa, bractwa, konfraternii typografów, które przy tej naszej Drukarni od wieków, pod zwierzchnictwem rektorów zostawało; używając Gryfa, malowanego na wieku tej skrzyni (w r. 1683) wyrytowanego na pieczęci (z r. 1726), pojawiającego się już (z datą 1512) na drukach Unglera (Bandtke Hist. dr. krak. 271). Na najdawniejszych też książkach wychodzących z oficyn krakowskich obok herbu miasta i Rzeczypospolitej, godło rektorskie dawano. Ów Gryf wyobrażony także na ciekawym zabytku, zasuwce drewnianej, jakby pugilaresie używanym do obsytki na sesyie, gdzie wymalowany obok orła z herbem saskim na piersiach i bereł naszych, zaś z odwrotu przedstawieni pracujący: zecerzy i preserzy. Herb saski wskazuje, że sprawiona ta zasuwka wtedy, gdy August II w r. 1697 potwierdził wcześniejsze nadania Rektora X. Franciszka Przewoskiego (1691). Przechowały się też w tej skrzyni ordynacye rektorów od r. 1675, będąc cennym materiałem do dziejów zarówno kongregacji typografów, jak w ogóle do historii drukarstwa w Polsce. W ordynacyach tych znajdziemy dowody, iż typografowie dawni rządzą się przepisami pilnującemi prawdy, uczciwości i moralności wzorowej. W ordynacyach tych mądrość wielka. Nie tylko bowiem chodziło o kształcenie praktykujących w zawodzie drukarskim, w specjalności, ale szło także o wychowanie ich na dobrych ludzi.

Towarzystwo geograficzne. Dnia 4-go marca zgromadziło się w lokalu Muzeum przemysłowego w Krakowie, pod przewodnictwem prof. Kuczyńskiego, około czterdziestu zwolenników założenia Towarzystwa geograficznego. Prof. Czerny odczytał na wezwanie prezesa projekt przyszłych statutów Towarzystwa. Zgromadzenie osądziło, że przedyskutowanie poszczególnych artykułów projektowanego statutu daleko skuteczniej odbyć się może w mniejszym gronie znawców, niż w licznym zgromadzeniu. Uchwaliło więc uzupełnienie tymczasowego komitetu pewną liczbą nowych członków, wskazanych na posiedzeniu i upoważniło wzmocniony w ten sposób komitet do rozważenia odczytanego projektu, ostatecznego ułożenia statutów i przesłania ich kompetentnej władzy do zatwierdzenia.

Na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych spotykamy się od czasu do czasu ze znakomitszemi utworami obcych artystów; innowacya ta, datująca dopiero od roku, okazała się bardzo praktyczną, dzięki jej bowiem wystawa zyskała na urozmaiceniu, ściągając większe tłumy zwiedzających, a w rezultacie i kasa Towarzystwa nie musi na tém źle wychodzić. Pozostawałoby tylko życzyć, aby obrazy obcych artystów okazywały się zawsze wartemi zachodu i kosztów, połączonych z ich sprowadzaniem. Obrazy Brozika i Girona dowiodły, że komitet Towarzystwa przestrzega tej zasady, — a prawdziwie już

wdzięczność miłośników sztuki zaskarbił sobie wystawieniem głośnego obrazu Munka z czego „Chrystus przed Piłatem.”

Munkaczy należy do tych nielicznych jeszcze malarzy przedmiotów historycznych, którzy zapatrując się na swe zadanie z poważniejszego punktu widzenia, usiłują z pomocą materyalnych środków, jakimi sztuka rozporządza, odtworzyć nietylko zewnętrzną, obrazową stronę danego epizodu, lecz nasycić go myślą, przedstawić rzecz w oświeceniu idei, w jakim się fakt ze stanowiska krytyki przedstawia, i niejako narzucić widzom własny swój pogląd na wskrzeszoną pędzlem chwilę życia dziejowego. Nie maluje on fantazyi, jak Kaulbach, ani wystaw teatralnych jak Piloty i Makart, lecz przedewszystkiém szuka prawdy i życia, dając akcyi zdrowy psychologiczny podkład charakterów i temperamentów.

Takie stanowisko wyróżnia Munkaczego zarówno i od ilustratorów, schodzących do skromnej roli objaśniaczy tekstów, i od suchych kronikarzy, nie umiejących wznieść się po nad zewnętrzne szczegóły faktów, i od tych wszystkich wreszcie, którzy w dziejach jedynie anegdotycznie dopatrują się strony. Z tych powodów stawilibyśmy go obok Matejki, gdyby nie okoliczność, że braknie mu tego trafnego zmysłu historycznego, który tak wysoko nauczyliśmy się cenić w utworach krakowskiego mistrza. Zato jednak musimy przyznać, że przedziwną jasnością w rozwinięciu obrazowego motywu, tudzież umiejętnym podporządkowaniem drobiazgow i szczegółów temu, co rzecz główną stanowi, a przedewszystkiém wyraźnym zaznaczeniem planów—Munkaczy osiąga w swoich utworach przedziwny ład i spokój: przymioty bardzo cenne, a jak wiadomo niezmiernie rzadkie w kompozycjach Matejki, grzeszących najczęściej brakiem powietrza i pewną chaotycznością. Matejko kreśli charaktery zamasyżcie, z istic szekspirowską szerokością; podnosząc i uwydatniając najtajniejsze rysy życia indywidualnego, snuje przed naszymi oczami galerye niezmiernie interesujących, głęboko wystudyowanych typów;—Munkaczy natomiast trzyma się innej drogi: nie chodzi mu o typy; w rysach figur i ich ruchu uwzględnia motywa psychologiczne o tyle, o ile jest mu to koniecznie potrzebném do jasnego, zrozumiałego przeprowadzenia akcyi; jego charakterystyka jest trafna, ale nie wychodzi prawie nigdy z granic pewnej przeciętnej powszedniości. W tych atoli granicach, chętnie to przyznajemy, jest on genialnym interpretatorem życia, które maluje z porywającą prawdą realną.

Tak jest, Munkaczy podobnie jak Matejko, jak wreszcie większa część dzisiejszych mistrzów pędzla, jest zwolennikiem realnego kierunku w sztuce. Pociąga to za sobą pewne obniżenie estetycznej skali, uderzające zwłaszcza w traktowaniu podnioślejszych, idealniejszych tematów, nie dających się żadną miarą wtłoczyć w ciasne ramy form powszedniego życia—i takie właśnie obniżenie nastroju czuć się przedewszystkiém daje w „Chrystusie przed Piłatem.” Nie przeprowadzając dalej ciekawej zresztą paraleli pomiędzy tymi dwoma mistrza-

mi, rozpatrzmy się natomiast w samym obrazie, który nam najlepiej cechy i zalety pędzia jego autora odsłoni.

W obszernej sali sądowej o wyraźnych cechach rzymskiej architektury, oddzielonej rozpiętą szeroko arkadą od dalszej części gmachu, pograżonej w półcieniu i opatrzonej w głębi przedsionkiem o czworobocznych filarach, z poza których odsłania się widok na miasto — zasiadł z prawej strony Pontius Pilatus na stolicy, żeby sędzić stawionego przed jego obliczem Chrystusa. Rabinini, uczeni w piśmie i przedstawiciele starszyny żydowskiej zajęli miejsce na najbliższych ławach po obu stronach rzymskiego prokuratora, pośrodku stanął Chrystus pod strażą żołdaka, resztę zaś płótna wypełniają tłumy podburzonej gawiedzi, której główne masy zalegają pograżone w mroku zagłębienie obrazu. Światło padające naprost, jakby z poza widzów, oblewa jasnym blaskiem Piłata, Chrystusa i postacie pierwszego planu, to jest główne figury akcji. Tym sposobem artysta wybornie podniósł ich estetyczną wartość wobec mas motłochu, mających znaczenie jedynie dodatkowe, i zlewających się w jedno przyziemione tło, na którym właśnie pierwszo-planowe figury konturują się jasno, z całą plastyczną wyrazistością. Malownicza strona kompozycji zyskuje na tym niemało.

Szczególniej taką wyrazistością odznacza się — jak to zresztą z samego założenia kompozycji logicznie wynika — sama postać Chrystusa, w białej sukni układającej się w pionowe, spadające do ziemi fałdy, z rękami skrępowanemi na przedzie; ujęta w linie poważne, sprawiałaby ona istotnie wrażenie wzniosłe, gdyby tej godności postawy odpowiadał wyraz oblicza, które pragnęlibyśmy widzieć rozjaśnione tym świętym posłannictwem, do którego Syn Człowieczy na ziemi został powołany, i spełniwszy je, staje teraz przed sądem, z całą świadomością, że mu je przyjdzie poświęceniem się na Golgocie przypieczętować. Bo tylko tak pojęta postać Chrystusa, posiadałaby warunki potrzebne do zrównoważenia swoją estetyczną i moralną wartością i surowego Piłata, i swych zawziętych oskarżycieli, i całe owo tłumne otoczenie; i przez to skupiłaby na sobie główny interes kompozycji. A do życzenia byłoby, żeby nietylko równoważyła całe swoje otoczenie, ale żeby nad niem dominować mogła. Wówczas jedynie cały epizod w właściwszém, prawdziwszém ukazałby się świetle. Węgierski mistrz jednak nie stawiał swego Chrystusa na tej idealnej wyżynie; w ogólności rzeczby można, że kreśląc jego postać nie brał on za punkt wyjścia tekstów Ewangelii, sprowadzając rzecz całą na grunt bardziej poziomy, czyli, jak się to mówić zwykło, na grunt bardziej realny. Jego Chrystus nie zdaje się też wyróżniać swoją naturą od reszty śmiertelników. Munkaczy, pozostawiając na stronie tradycje Kościoła i chrześcijańskiej sztuki, chciał wyrazić nagą historyczną prawdę — i stworzył ostatecznie fikcyą. Nie myślimy tu spierać się z tymi, którzy, jak Renau, Synowi człowieczemu odmawiają Boskiego pochodzenia; musimy jednak zwrócić uwagę, że i wówczas nawet pozostałby on niemniej wielką postacią, której świat swoje odrodzenie duchowe



zawdzięcza, i która w oświeceniu dziejowym rośnie, potężnieje i rzecby można wszelką skalę ludzką przerasta. Postać Chrystusa powinna być koniecznie mierzona skalą jego potężnego wpływu, ogarniającego cały świat chrześcijański i wypełniającego XIX wieków. Wszelka inna miara, zastosowana do Chrystusa, będzie fałszywa — i trzymający się jej artysta, zamiast prawdy realnej, zdobędzie się tylko na doktrynerskie urojenie.

Zadaleko pusunięte zapędy realizmu albo właściwiej naturalizmu, są w traktowaniu podobnych motywów złym przewodnikiem; przesadne bowiem ubieganie się o poziome i koniec końców wcale podrzędne szczegóły, spycha na plan ostatni główną ideę dzieła, którą ten balast realny z wielką szkodą ekspresji przytłumia. Tak np. Siemiradzki w swój „Jawnogrzesznicy,“ ubiegając się o tak zwaną prawdę realną i w tym celu, do malowania Chrystusa z jego otoczeniem, dobierając etnograficznych barw z życia dzisiejszych Arabów, — ani się spostrzegł, że się właśnie z upragnioną prawdą rozminął, a na swém dziele wyrył cechę poziomą powszedniości. Munkaczy wprawdzie nie czyni wycieczki do dzisiejszej Arabii, wszakże z tych samych co Siemiradzki powodów, nie zdaje się dostrzegać różnicy, jaka zachodzić musi między mieszkańcami doliny Jordanu z przed XIX wieków, a dzisiejszymi, rozproszonymi wśród nas żydami, których typ pod wpływem północnego nieba i odmiennych z gruntu warunków bytu, stracił wiele na swój pierwotnej charakterystyce.

Nie podnosilibyśmy zgoła tej okoliczności, małej zresztą doniosłości w kompozycji historyczno-religijnej, gdyby nie to właśnie, że obaj ci mistrzowie przenieśli na nią cały niemal środek ciężkości: u jednego jak u drugiego Chrystus, chociaż na pierwszy plan wysunięty, nie imponuje majestatem, a choćby tylko wzniosłą godnością, nad swoim otoczeniem; nie imponuje nawet w takim stopniu, jak w známym nam obrazie Brozika Hus dominował nad zgromadzeniem sądownym, choć to był tylko Hus — nie Chrystus.

Przyjrząwszy się bliżej Chrystusowi Munkaczego, musimy jednak przyznać, że figura to ciekawa: zuchwały ten sektator i burzyciel spokoju, któremu zgubę zaprzysięgli fanatyczni rabini i faryzeusze, zdaje się lekceważyć grozę swego położenia, jakby spodziewał się wykreść z niego jakim fortelem. Od ciemno rudych włosów spadających mu na ramiona i takież barwy zarostu odbija jego twarz biała, pociągła, wyrazista. Na sklepieniu wysoko czole i w błyszczącym oku, którym świdruje sędzię, maluje się pewien odcień przebiegłości w połączeniu z czelnością, a w podniesionych nieco w górę kącikach ust osiadł szyderyczy uśmiech. Figura, powtarzamy, bardzo ciekawa; niezrozumiałą tylko wydaje się nam taka charakterystyka w obec Piłata, którego typowe rysy rzymskie wyrażają surowość i sprawiedliwość, ale się w nich najmniejszy odcień złej woli i zawziętości nie przebija. Wyższym on jest od sfanatyzowanych tłumów, których zapalczywość nie znajduje doń przystępu. Siadł na wzniesieniu osłonięty białą togą

rzymskiego senatora, a ruchem rąk wtóruje sobie do myśli, ważąc czynione podsądnemu zarzuty i nie znajdując winy.

Najciekawszą jest charakterystyka starszyny żydowskiej i tłumów gawiedzi. Przedewszystkiem ściąga na się uwagę główny oskarżyciel, zaciekły choleryk, o bujnej siwej brodzie; stanął on przed Piłatem, i wskazując prawicą na oskarżonego Króla żydowskiego, rzuca nań gromy potępienia; z całej jego postaci widać nieubłaganą zaciętość, z jaką na jego życie nastaje. Wyborny z nią kontrast stanowi postać jakiegoś wpływowego personata o dobrej tuszy, nawykłego do grania ważnej roli i imponowania tłumom swoją powagą,— który i tu, w sali sądowej folgując swym nawykniением, rozsiadł się szeroko, podparł rękami o kolana i z poczuciem swęj godności wodzi wzrokiem po obecnych. Nie występuje on w tęj sprawie w roli czynnej, i samą tylko swoją powagę rzuca na szalę.

Równie trafną jest charakterystyka każdej niemal figury: z gry fizyognomii i zachowania się każdej łatwo czytasz, co myśli, jakie nią w tęj chwili owładnęło uczucie, i w jakim stopniu bierze udział w rozgrywającej się sprawie. Najdosadniej atoli może skreślona jest postać owego wybiadłego fanatyka, należącego oczywiście do starszyny żydowskiej, który stanąwszy na ławie pod ścianą, z twarzą zwróconą do pospólstwa, założonemi w tył rękami i zadartą do góry brodą, zdaje się czekać niecierpliwie końca sprawy, o którym ani wątpi, że zupełnie po jego wypadnie myśli. W całej jego postawie wyraża się pewność i zadowolenie z obrotu rzeczy; i ani wątpić, że musi to być jeden z najbardziej nastających na zgubę religijnego nowatora; jątrzył przeciwko niemu umysły i podburzał — a teraz spokojnie już czeka wyroku, jako owocu swęj agitacyi.

Inni przysłuchują się uważnie grzmiącej mowie oskarżyciela, lub rozprawiają między sobą po cichu, rozprasząc wzajemne wątpiwości i utwierdzając w przekonaniach; inni wrzeszczą w bezmyślném zaślepieniu, jak ów obdartus bez zarostu w białęj koszuli, o brudnych wykoszlawionych nogach i z podniesionemi w górę rękami,— albo przyglądają się ciekawie Chrystusowi, jak ów młodzik o śniadęj cerze i głupowatym a cynicznym uśmiechem, który aż w pół się przechylił żeby oskarżonemu w same zajrzeć oczy. Wszystko razem składa się na obraz niezmiernie interesujący, pełen istotnego życia i realnej prawdy, która jednak w pewnych szczegółach, jak owe potwornie brzydkie bosc stopy dwóch skrajnych figur z lewęj strony, bodaj zadaleko już posuniętą została.

Niepodobna przypuścić, aby w tłumie, towarzyszącym obwinionemu do sali sądowej, nie znajdował się nikt z bliższych mu sercem, nikt coby znał wzniosłość jego nauki i wierzył w jego niewinność, nikt, słowem, z nawróconych przez Niego, których tak wielkie rzesze za Nim chodziły; w obrazie Munkaczego daremnie jednak szukamy osób, których nastroj i zachowanie się świadczyłyby o miłości i przywiązaniu do swego mistrza. Wszyscy, uniej lub więcej, na oskarżonego zgubę

zdają się nastawać. Co najwyżej, spotkasz tu i owdzie jaką twarz obojętną — ale sympaty i spółczucia nigdzie, ztąd w charakterystyce pewna jednostajność. Wyjątek stanowi wychylająca się z tłumy postać młodej kobiety z dziecięciem na rękę, która ku Jezusowi z Nazaretu z pewnym spółczuciem pogląda, ale prawdopodobnie tylko z wrodzonej tkliwości niewieściego serca. I ów brunet średniego wieku w ciemno-malinowym zawoju, o surowych rysach, którego widzimy w głębi, między Chrystusem a żołnierzem, zdaje się coś ważyć, zastanawiać, i widać, że go fanatyzm nie zaślepia — ale ztąd daleko jeszcze do spółczucia dla oskarżonego i solidaryzowania się z jego nauką.

Obraz Munkaczego uchodzi za arcydzieło — i słusznie. Można się nie godzić na to obniżenie idei obrazu, która Chrystusa sprowadza do roli pospolitego nowatora, sekciarza; przyznać jednak trzeba, że w rozwinięciu téż idei Munkaczy okazał się wytrawnym mistrzem, dysponującym środkami techniki trafnie, z taktem i niesłychaną łatwością. Robota jego przypomina obrazy Brozika, co ztąd pochodzi, że czeski artysta dużo od Munkaczego przejął; — gdy atoli tamten wpadał niekiedy w akademicką sztywność, ostatni olśniewa natomiast swobodą, naturalnością i różnaitością. Podziwiać trzeba, zaprawdę, tę miarę, z jaką Munkaczy, mistrz w plastycznym uwidatnianiu szczegółów, unika wszelkich jaskrawości i optycznych efektów. Tą samą miarą i powściągliwością zaleca się traktowanie drapey i akcesoryów, które zamiast rzucać się w oczy i sprawiać niepotrzebny rozgardyasz, sprowadzone zostały w obrazie do właściwej roli podrzędnych szczegółów. Wspomniałem już wyżej o światłocieniu, którego wybornéj dyspozycyji zawdzięcza obraz wysunięcie naprzód głównych figur; wprowadziło to do kompozycyji ład i jasność planów, które w połączeniu z doskonałą perspektywą, napełniają obraz powietrzem, dają widzowi jasne poczucie przestrzeni, w której jest dość miejsca dla każdej z działających osób, i w której téż poruszają się one z zupełną swobodą. Realizm pędzla Munkaczego sprawia, że „Chrystus przed Piłatem,” odbiegając od stylowych wzorów malarstwa historyczno-religijnego, sprawia wrażenie obrazu rodzajowego, wykonanego na wielką skalę. Stanowi to już indywidualną właściwość mistrza.

Umieszczenie obrazu na Wystawie, jego mianowicie oświetlenie, nie możemy nazwać szczęśliwém. Zadano sobie dużo trudu z ciemnymi zasłonami, pamiętano o tém (niekoniecznie potrzebnie) aby na obraz oblaty światłem, publiczność patrzyła z miejsca pogrążonego w cieniu — a zapomniano zabezpieczyć obraz od skutków łamania się promieni światła o gładką jego powierzchnię, co sprawia, że lśni się ona i mieni, z niemalą dla niego szkodą. Jest to niedogodność tém większa, że z powodu światła, padającego z góry, widz w żaden sposób nie może jéj uniknąć przez zmianę punktu widzenia.

Przeszłomiesięczne żniwo teatralne przedstawia się bardzo ubogo, nędznie. Jedynym trwalszym nabytkiem jest farsa Teatru Małc-

go p. t. „Porucznik Szykowski“ Mozera, tłumaczona i zlokalizowana na gruncie galicyjskim, a stanowiąca dalszy ciąg farsy tegoż autora: „Wojna podczas pokoju.“ Zaletę obu tych fars stanowi wesołość zdrowa, schludna. Upodobanie z jakim publiczność przyjmuje ciągle te dwa utwory, stanowi pewną wskazówkę, że jęj się już nieco przejadły niechlujne farsy przenoszone z błota paryzkiego, które nie tak jeszcze dawno miały prawie wyłączny przywilej przyciągania tłumów, dopóki nie znudziły jednostajnością conceptów i jednostajnością plugastwa. Teatr Mały, przy dwóch powyższych farsach, z których każda wypełnia humorem cały wieczór, trafił dla siebie na dobrą żyłę, bo one nawzajem wypełniają mu kasę, a publiczności dostarczają nie gorszącej rozrywki.

Ale za to teatr Rozmaitości przez ten czas nie miał szansy. P. Zygmunt Przybylski ośmielił się z afisza zawołać: „Pst!“ Co to takiego? Oto autor debiutujący w teatrze, przestrzega w ten sposób rozśmieszone towarzystwo w loży ażeby nie przeszkadzało jego arcydziełu na scenie. Oczy jego przy tym rozpaczliwym wykrzykniku krzyżują się ze wzrokiem młodej panny z tegoż towarzystwa, a ztąd wzajemne zajęcie, następnie wizyta improwizowana, i prawdopodobne małżeństwo. Sztuka jego wygwizdana, ale niepowodzenie to wynagradza się mu sukcesem miłosnym. Temat rzeczywiście na farsę, gdyby go ujął w ręce sprytny fabrykant francuzki. Panu Przybylskiemu brak tego temperamentu, tego *entrain*, które za pomocą conceptów i śmiesznych sytuacji wydyma błyskotliwie bańki mydlane. Jego dowcipy obmyślane, ciężkie i popolite; jego sytuacje nakręcone a nie okupione humorem, nie zdołały zabarwić bańki, która też pękła niczyjego nie olśniwszy oka, a publiczność po kilku przedstawieniach do reżyseryi zawołała: Pst!

Jeszcze reżyserya nie ochłoneła po tój jednoaktowej kłesce, kiedy spotkała ją inna pięcioaktowa w postaci komedii nieznanego dotąd autora, p. Tomaszewicza, p. t. „Zapóźno.“ Przed dwoma laty komedya ta na konkursie dyrekcji Teatrów została odznaczoną, a nawet zaleconą do grania, pod warunkiem pewnych zmian i modyfikacyi. Czy i jakie zostały zaprowadzone, nie wiemy, na scenie wszelako ukazała się pełną wad. Przedmiot jęj znowu stanowi wiarołomstwo, i to podwójne. Córa karmazynów, która z nędry dała się poprowadzić do ołtarza miernój zamożności mieszczaninowi, ucieka z kochankiem, zubożałym pankiem, ożenionym nawzajem, także dla interesu, z posiadłą córką mieszczańską. Te dwie wzajemności i te dwa kontrasty zaprowadziły tóż pod względem budowy zupełny dualizm w sztuce, rozplątały ją jakby na dwie osobne połowy, pomiędzy którymi jedynym łącznikiem jest ów pan Roman, w jednej połowie mąż, w drugiej kochanek. Wreszcie rodziny te nawet nie znają się z sobą, nie spotykają, tak, że sceny odegrywają się każda w inném mieszkaniu, i cały utwór ma jakby dwie szuffady do schowania dwóch dzwon. Czy wdział kto coś architektonalnie bardziej niezgrabnego na scenie? To tóż

strona techniczna stoi niżej wszelkiej krytyki. Nie lepiej zaleca się i strona społeczna Eliza, postać główna, owa arystokratka w jarzmie mieszczańskim, jako kobieta przedstawia potworę egoizmu i zmysłowości. Autor kreśli ją taką jakby była z góry predestynowaną na kokotkę, która, dla użycia i świecideł, z przekonania i z przyjemnością poświęci wszystko co świat uznaje za święte. Niema tu więc nawet upadku kobiety, staczającej się skutkiem pewnych fatalności psychologicznie motywowanych stopniowem osłabieniem duchowej straży, niema żadnej walki pomiędzy zasadą a ponętą, ale upadek był przewidziany z góry: Eliza upadła była przed urodzeniem. Ona nie kocha męża, ale nie kocha i gacha; idzie z nim, a żeby przewidywaną skutkiem bankructwa nędzę przy boku męża, zamienić na zbytek przy boku kochanka; a gdy ten ją porzuca, ona nie uczuwa ani żalu, ani niesławy; oświadcza poprostu, że znajdzie sobie stu innych. Próbuje wrócić do męża, a gdy się to nie udaje, odchodzi, zapewne szukać szczęścia wśród najweselszych cór rzeszy cypryjskiej, zapłacona za kwartał miłosnej posługi przez kochanka, który w skrusze powraca do domowego ogniska, jak syn marnotrawny, przyjęty tłustem koźlęciem.

Jest to zatem wypadek jeden z wielu na jakich się zużyły pióra protokulistów sądowo-policyjnych i reporterów kuryerowych: tylko niema w tém ani dramatu, ani komedyi; ot! prosty epizod tuzinkowej rozpusty, dla uratowania honoru sceny zabarwiony jakimś memento o złém wychowaniu i źle skojarzonych związkach małżeńskich.

Autor wysilił się a żeby postać główną Elizy uczynić znaczącą, a zdołał uczynić ją tylko wstrętną. Kazał jej dużo mówić, dużo grymasić i gniewać się, i mniemał może iż stworzył kobietę, gdy tymczasem jest to tylko aparat do wygłaszania obmierzłych zdań i upodobań. Jej mąż, poczciwy kupiec, wykrojony na miarę mazgaja; idyotyczna mama w swém samoubóstwieniu, zgębiona postępkami córki nie dla jego wartości moralnej, ale dla dyshonoru rodowego, zaobserwowana dość trafnie: oto skład pierwszej grupy. Druga grupa złożona z ojca mieszczanina, matki i córki, przedstawia się korzystniej w swém zacieszu domowem, w swych manierach z lekkim odcieniem komicznym, w swęj wreszcie prawości charakteru. Jako obrazek, akt trzeci nie prawie do życzenia nie pozostawia, gdybyśmy go wzięli odrębnie. Ale kiedy ta sama grupa powraca w akcie piątym, już autor mdleje i nie więcej do poprzedniej charakterystyki osób dodać nie może. Czekałiśmy, ażali ten uwodziciel Roman nie zabłyśnie choć raz jakim rysem wydatniejszym; daremnie: to rozpaczliwa nicość, manekin wypchany frazesami.

Jakież to ciężkie zadanie aktorów, zmuszonych wlewać życie w tak wąty organizm. A jednak sprawili się oni z całym artyzmem jaki tylko dał się zastosować. Niedziw. Byli tam sami prawie cenniejsi: Tatarkiewicz, Ładnowski i Ostrowski; były panie Niewiarowska i Czaki, tój ostatniej udało się nawet stworzyć wcale młuchny swojski wizerunek młodej mężatki cichej, kochającej a wesołej; były panie

Borkowska i Micińska z wyborym nastrojem komicznym. Nic więc dziwnego, bo to siły wypróbowane. Ale osobna uwaga należy się panie Noiret, która po siednioniesięcznym oczekiwaniu otrzymała narreszcie rolę w sztuce nieznanej, ale jakąż rolę! Jój to kazano być tą potworną Elizą, i temu chyba zawdzięczać trzeba, że postać ta zainteresowała. Panna Noiret włożyła w nią całą świeżość duszy młodej i utalentowanej, piękność dykcji, gracyę w poruszeniu, niemą grę inteligentną; w obec tóż takiego traktowania Eliza mogła obudzić zajęcie artystyczne. Szkoda jednak tój pracy, widocznie wzgorywającej do wyższych zadań artystycznych, bo dni utworu są policzone.

Zawiedzeni na scenie, możemy się pocieszyć niespodziewanie świetnym wynikiem konkursu, na cześć którego przez cały miesiąc dmie w surmy prasa peryodyczna bardziej zbliżona do stołu konkursowego. „Albert Wójt“ jako dramat, „Minowski“ jako komedia, według modulacji sprawozdawczych mają być arcydziełami. Ponieważ druk się już rozpoczął niebawem więc i ogół będzie miał sposobność sądem swym dostroić się do tonu uprzedzającej faufary. Nikt od nas więcćj cieszyć się nie będzie z pojawu nowych sił w najszlachetniejszym z zawodów literackich, ale oby tylko wrażenie ostateczne dorównało potędze zapowiedzi.

Przed 15 laty inteligencya warszawska, pragnąc przeszczepić na nasz grunt świeżo za granicą powstałe „Spółki spożywcze,“ założyła pierwsze w kraju tego rodzaju stowarzyszenie p. n. „Merkury.“ Było to w 1869 r. Agitacya, jaką w sprawie spółek podnieśli ówczesni ich inicjatorowie, dała takie owoce, że w następnym zaraz roku powstały jeszcze dwa stowarzyszenia — „Zgoda“ w Płocku i „Oszczędność“ w Radomiu. Ale i na tём koniec: ruch ówczesny szerszego koła nie zakreślił. Od tego czasu upłynęło 12 lat zupełnego w dziedzinie spółek spożywczych zastoju, aż oto od 1882 r. zaczynają one wyrastać, jak grzyby po deszczu. W 1882 r. powstaje stowarzyszenie urzędników kolei Nadwiślańskiej w Warszawie, w 1884 r. spółki w Miechowie, Suchedniowie i Łodzi, w 1885 r. w Żyrardowie, Dąbrowie i Zawierciu, w 1886 r. w Pruszkowie, Słupcy, Siedlcach, Kaliszu, Radomiu (urzędników kolei Dąbrowieckiej) i Warszawie (urzędników kolei Warszaw.-Wiedeń.); ostatnie jeszcze formalnie się nie ukonstytuowały. Przed 10 laty liczba uczestników w spółkach spożywczych wynosiła 1,874 osoby z kapitałem 20,448 rs., dziś dosięga 4,600 uczestników z kapitałem do 40,000 rs. Na tak dodatni zwrot wpłynęły dwie okoliczności — wpływ zachęcający trzech najstarszych spółek i pozyskanie ustawy normalnej, za jaką władze rządowe uznały statut urzędników kolei Nadwiśl. w Warszawie, zatwierdzony w d. 17 lipca 1882 r. Ostatnia szczególnie okoliczność wywarła dobroczynny wpływ na dalsze losy spółek w Królestwie, niezmiernie ułatwiając ich rozpowszechnienie, wszystkie bowiem spółki, założone od 1882 r. — oprócz Miechowskiej, rejeentalnie zawartój — sko-

rzystały z ustawy normalnej. Rok ubiegły, znowu upamiętnił się nowym w dziejach tych pożytecznych przedsięwzięć faktem, który zapewne najsilniej oddziała na ich utrwalenie. W d. 7 grudnia 1885 r. zjechali się do Warszawy delegaci wszystkich stowarzyszeń i postanowili zjednoczyć się w jedną „spółkę spółek.“ Zadaniem powstałego w ten sposób związku jest — z jednej strony centralizacja interesów spółek oraz ich pomoc wzajemna, z drugiej ułatwianie nabywania towarów z pierwszej ręki. Zjednoczenie to jest pomysłem jedną z najmłodszych spółek Żyrardowskięj, urzeczywistnione zaś zostało głównie dzięki poparciu, udzielonemu przez spółkę najstarszą — „Merkurego.“ Związek więc urządził swe biuro w kancelaryi „Merkurego,“ tu zgromadził ustawy, sprawozdania, wzory ksiąg i t. d., a jednocześnie na podstawie kontraktu z „Merkurym,“ opracował regulamin handlowy, według którego „Merkury“ ma dostarczać wszystkim spółkom związkowym towarów po cenie kupna hurtowego z doliczeniem 3—5% tytułem komisowego. Nad związkiem czuwa komitet, przez zjazd grudniowy wybrany, którego obowiązkiem jest załatwiać interesy spółek, wygotować wzory ksiąg buchalteryjnych, jednakowe dla wszystkich stowarzyszeń, dopomagać im radą i wskazówkami, a zarazem okazywać wszelką pomoc osobom, pragnącym zakładać stowarzyszenia spożywcze. Wprawdzie spółki spożywcze są drobnymi przedsięwzięciami, rozporządzają skromnym funduszem z udziałów stowarzyszonych, nie mniej przecież opisany powyżej ruch w ich sferze budzi najżywsze zajęcie, jest on bowiem dowodem, że zasada łączności i samopomocy zapuszcza coraz głębsze wpływy na klasy pracujące, że społeczeństwo nasze zaczyna pojmować cnotę drobnych oszczędności. Dziś, mamy 17 spółek, — kto wie jednak, czy za sprawą związku liczba ta wkrótce się nie podwoi, a wówczas będzie to już sieć stowarzyszeń, z którą w każdym razie liczyć się wypadnie.

Najwybitniejszym faktem ekonomicznym ubiegłego miesiąca były, niewątpliwie, na rady rolników, zwołane przez tutejszy oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, a głównie przez prezesa oddziału hr. Krasieńskiego, którego inicjatywę zawdzięczamy wytworzenie w Towar. oddzielnej komisji dla interesów ziemiańskich. Wiadomo, iż podczas organizacji oddziału, silnie był popierany projekt utworzenia w nim, obok wydziałów przemysłowo-handlowych, i specjalnej sekcji rolnęj, ostatecznie jednak względy ogólne przeważały i rolnictwo pozostało w nowęj instytucji bez należnej sobie reprezentacji. Natomiast, postanowiono załatwiać sprawy, dotyczące gospodarstw naszych, za pośrednictwem bądź „komisji ekspertów,“ bądź ad hoc zwoływanych konferencyj. Tak rzeczy stały do miesiąca marca r. b., w którym oddziałowi przyszło się załatwić z olbrzymim materiałem, zebrany przez ankietę handlowo-rolniczą.

W tém miejscu — słówko wyjaśnienia z powodu owęj ankiety, będącej punktem wyjścia dla wspomnianych wyżej porad marcowych.

W październiku 1884 r. zarząd Towar. przygotował „kwestyonaryusz w przedmiocie stałego obniżania się cen najważniejszych produktów wywozowych kraju,“ który następnie w 1,800 egzem. został rozesłany właścicielom ziemskim, celem zasiągnięcia fachowej opinii co do źródeł złego i środków naprawy stosunków gospodarczych w Królestwie. Kwestyonaryusz wywołał 65 odpowiedzi, które nadchodziły w czasie od d. 8 listop. 1884 r. do d. 25 sierpnia r. z. Do usystematyzowania w ten sposób zebranego materiału zarząd wyznaczył dwóch sprawozdawców pp. Tadeusza Kowalskiego i Franciszka Olszewskiego, których prace następnie ogłosił drukiem, a na podstawie desideratów, wyrażonych w odpowiedziach, postawił 17 wniosków, pomyślnie rozstrzygnięciem których mogłoby zapewnić gospodarstwu rolnym różnorodnie korzyści. Nadto, ponieważ „kwestyonaryusz“ między innymi żądał téż wyjaśnienia tak specjalnej kwestyi, jak znaczenie konkurencyi zaoceanowej, przeto Towar. wyznaczyło trzeciego jeszcze do téj sprawy referenta, w osobie p. W. Wścieklicy.

Otóż, jak wspomnieliśmy, po zamknięciu czynności przygotowawczych okazała się potrzeba wyprowadzenia z dokonanych badań rezultatów pozytywnych, t. j. takiego uzasadnienia wniosków, ażeby Towar. mogło wystąpić z nimi do właściwej władzy. Zadanie takie poruczone zostało „delegacyi przemysłowo-rolnej,“ zwołanej na d. 12 marca r. b. Potém, cośmy dotąd powiedzieli, staje się widoczném, że pierwsze posiedzenia delegacyi mogły być tylko czysto organizacyjne, — i takimi téż były w istocie. Zaproszeni, w liczbie 100, na narady właściciele ziemscy ukonstytuowali stałe biuro delegacyi, na którego czele stanęli pp. Ludwik Górski, Adam Goltz i Aleksander Kłobukowski, wysłuchali sprawozdań referentów i postawione przez Towar. wnioski rozegrali pomiędzy siebie do opracowania. Ztąd powstało 17 specjalnych komisyj, po jednej do każdego wniosku, a mianowicie: 1) taryfowa do zaprojektowania korzystnych dla rolnictwa zmian w taryfach kolejowych, 2) handlowa do zbadania ważności portu w Libawie dla handlu zbożowego Królestwa, 3) serwitutowa do wskazania środków, mogących przyspieszyć ostateczne uregulowanie służebności włościńskich, 4) włościńska do oceny znaczenia praktycznego przepisów o niepodzielności gruntów włościńskich, 5) wodna do opracowania ustawy o przyjmowaniu wód, 6) administracyjna do wygotowania przepisów o przysięgłych stróżach połowych i leśnych, 7) szarwarkowa, 8) ubezpieczeń od ognia, 9) ubezpieczeń od gradu, 10) ubezpieczeń inwentarza od księgოსuszu, 11) kredytowa do zaprojektowania środków zaopatrzenia rolników w dostępny kapitał obrotowy i amortyzacyjny, 12) stacyi doświadczalnej, 13) podatków gminnych, 14) gorzelnicza, 15) zabezpieczenia losu oficjalistów i służby folwarcznej, 16) spółek handlowych i 17) kwarantanna.

Oprócz tych komisyj szczegółowych, do których weszło po 4—7 członków, delegacya, zawsze kierując się wskazówkami Towarzystwa,



wybrała jeszcze 4 komisje ogólne, z których pierwsza, kolejowa, ma się zająć zbadaniem wpływu dróg żelaznych na produkcję rolną Cesarstwa i na handel zamienny Królestwa z guberniami wewnętrznymi i wschodnimi Rosyi, druga handlu zewnętrznego ma ocenić istotne znaczenie dla rolnictwa krajowego, współzawodnictwa Ameryki, Indyj i Australii, trzecia buchalteryjna do ułożenia metody obliczania kosztów produkcji rolnéj i czwarta, ekonomiczna dla zbadania obecnego stanu gospodarstw i wskazania środków, stan ten polepszyć mogących. Przytoczyliśmy tytuły wszystkich komisyj, ażeby dać miarę, jak obszernym jest program czynności delegacji rolnéj, mających być ukończonemi na d. 17 czerwca r. b., w którym odbyć się ma drugie z kolei, tym razem już tylko sprawozdawcze zebranie rolników. Przeglądając ten program, istotnie przyznać musimy, że Towarzystwo zawarło w nim wszelkie biedy, trapiące gospodarstwo krajowe. Nieraz zdarzyło się nam słyszeć, już po zamknięciu obrad, że delegacja zanađto formalistycznie potraktowała swoje zadanie, że niepotrzebnie tworzyła 17 godności przewodniczących i sprawozdawców. Taka opozycja *quand même* nie jest u nas nowością, więc téż nie dziwnego, że dotknęła i nową delegacją, nam się jednak zdaje, że taki drobiazgowy podział pracy znakomicie ułatwi czynności i przyspieszy ich ukończenie. Zresztą, czyż winą delegacji, że w ciągu ubiegłych lat 20 zebrała się taka masa niezaspokojonych potrzeb rolnictwa, że pozbawione steru, rozbija się ono o tysiące przeszkód zewnętrznych! Wprawdzie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu waha się podjąć rzucony ster interesów ziemiańskich, lecz w dzisiejszym stanie sił rozproszonych i to już za zastugę poczytać mu należy, że w jaki taki sposób pragnie dalszej rozterce położyć tamę i samych rolników przywołuje do głosu nad wspólnemi potrzebami. Nie przesądzamy rezultatu świeżo podjętej pracy. Być może, że nie odpowiedzą one nadziejom, szczególnie o ile ich dokonanie przechodzi zakres własnej mocy rolników,— ale nie przestaniemy powtarzać, cośmy już raz mówili o oddziale warszawskim Towar. w ogóle, że niezależnie od tych rezultatów, sam fakt możności obradowania nad wspólnemi interesami, w naszych przynajmniej stosunkach, bynajmniej nie jest do pogardzenia. Zapewne, ani oddział, ani tém bardziej delegacja, nie zmieniają ustaw, nie ulepszą warunków bytu ekonomicznego. Co do tego ludzic się niepodobna. Lecz, nie sięgając téż tak daleko, ograniczmy na teraz nasze zabiegi, a może z czasem, szczupłe ich koło samo się rozszerzy.

Jednocześnie prawie z rolnikami, w lokalu tegoż Towarzystwa w d. 15 z. m. obradowali młynarze. Był to dalszy ciąg zebrań, zarządzonych przez p. Władysława Przyłubskiego i mających na celu wyjaśnienie pytania, czy, ze względu na trudności w handlu pszenicą na rynkach zagranicznych, nie byłoby możliwém część pszenicy wywozić w postaci mąki? Jakkolwiek pytanie to było postawione na czele

porządku dziennego, uczestnicy jednak zjazdu, zapewne skutkiem liczniejszego udziału producentów zboża, wdali się w przewleklą, a jak się potem okazało, bezcelową dyskusją nad stosunkiem rolnictwa do młynarstwa, powiadamy bezcelową, gdyż mimo analiz chemicznych i względów klimatycznych, właściciele młynów zawyrokowali, że pszenica krajowa do przerobu młynarskiego się nie nadaje. „Gluten,“ „banatka,“ „stosunek wypieku“ były tu głównymi pociskami i głównymi argumentami, około których obracała się parogodzinna, żwawa utarczka rolników i młynarzy. Ostatecznie, obie strony pozostały przy swoim: rolnicy przez usta p. Kowalskiego dowodzili, że gatunków uprawianej pszenicy dla kaprysu młynarzy zmienić nie mogą, młynarze zaś twierdzili, że nowy system mlewa walcowego wyklucza pszenice białe, miękkie, przeważnie u nas hodowane i musi szukać ziarna twardego, szklistego. Nie wchodzimy w rozbiór słuszności tego lub drugiego zdania, zwracamy tylko uwagę na śmiałość, z jaką wygłaszane były na zjeździe wielkie przepowiednie ekonomiczne. Tak, według jednego z przedstawicieli młynarstwa, przyszłość młynów leży w systemie walcowym, gdy więc system ten stanie się panującym, produkcya pszenicy zniknie z powierzchni Europy zachodniej! Wówczas „spichlerzem“ starego świata będą jedynie kraje, mogące uprawiać ziarno szkliste. Słowem, banatka i gluten tak dalece zawróciła głowę młynarzom naszym, że poprostu mówiąc, dogadać się z nimi nie można. Na złagodzenie wszakże wyroku dla pszenicy i ponurych prognozyków młynarzy, pospieszamy zanotować inne jeszcze wrażenie, jakie z obrad drugiego zjazdu wynieśliśmy, — sprzeczności w poglądach młynarzy. Słuchając obszernych wywodów o systemie walcowym i cudownych zaletach glutenu — o którym, przyznajemy szczerze, niewiele miało dokładne pojęcie — gotowiśmy byli uwierzyć, że w istocie godziny naszej pszenicy są już policzone, aż tu naraz, z ust tychże samych zwolenników szklistego ziarna dowiadujemy się, iż na rynkach zagranicznych mąka nasza może liczyć na szeroki zbyt, lecz tylko mąka delikatna, biała, z pszenicy miękkiej. Jedynie chaosowi pojęć panującemu w kole uczestników zjazdu, przypisać należy, że sprzeczność ta nie została ujawniona, że nie wydobyto jej na wierzch dyskusyi.

Tak więc druga konferencya młynarska znowu stanęła w polowie zasadniczego pytania, dla rozstrzygnięcia którego wyznaczono trzecie zebranie na d. 10 czerwca r. b. W przerwie zaś dwumiesięcznej, przed tym terminem, ma funkcyonować komisya, przez zjazd wybrana, dla opracowania projektu giełdy produktowej w Warszawie, uzasadnienia petycyi o zniesienie cła od worków i dla obmyślenia sposobów obniżki wysokich dziś opłat asekuracyi ogniowej.

Rocznik I-y Towarzystwa ogrodniczego, za rok 1885, zaznajamia czytelników z rozwojem i czynnościami tej instytucyi. Z końcem r. z. liczyło towarzystwo członków: założycieli 24, rzeczywistych dożywotnych 44, korespondentów 20, honorowych 1. Ogólnych zebrań od-

było się 12; wystawa urządzona staraniem zarządu towarzystwa, kosztowała rs. 9,927, a że przyniosła dochodu 9,951 kop. 17, osiągnięto więc przewyżki rs. 25 kop. 16. Projekt budżetu na r. 1886 przewiduje dochodu 4,847 i prawie tyleż rozchodu, rezerwując tylko rs. 150 na nieprzewidziane wydatki i rs. 135, na powiększenie kapitału zapasowego. Odczytów dla członków towarzystwa wygłosili 6 pp. J. Boguski, E. Jankowski, P. Hozer, A. Ślusarski i N. Markiewicz. Biblioteka liczy tomów 174, a na powiększenie jój proponowaną jest w budżecie suma rs. 400. Oprócz szczegółowego sprawozdania z funduszów i czynności Towarzystwa czytamy w Roczniku dwie prace, mianowicie: p. E. Jankowskiego. „Obecny stan ogrodnictwa w Królestwie i Cesarstwie; i p. J. Kaczyńskiego: „Produkcya warzyw pod Warszawą na Woli i Czystem.“

Świeżo ogół nasz warszawski zainteresowała kwestya lecznic publicznych, podniesiona w broszurze d-ra Kadlera. Lekarz ten oświadcza się bardzo stanowczo przeciw istnieniu tych zakładów, uważając je raczej za szkodliwe niż pożyteczne, tak dla publiczności jako i dla ogółu lekarzy. Spadliśmy jak z nieba: bo cóż wydawać się mogło pożyteczniejszém niż instytucya, gdzie za 25 kopiejek można otrzymać poradę i pomoc w sprawie tak ważnej jak zdrowie. Tymczasem pięknych o tém dowiadujemy się rzeczy. Dr. Kadler nieprzychylny swój wyrok motywuje tém: że w lecznicach, z powodu wielkiej liczby chorych a krótkości czasu, rady udzielają się pobieżnie, a więc ze szkodą pacyenta; że lekarz, działający nie pod własnym nazwiskiem, ale pod osłoną firmy, mniej czuje się odpowiedzialnym, a łatwiej przeto chorego naraża na zawód; że wreszcie cały materiał naukowy ginie w lecznicach, które nie notują obserwacyi i sprawy żadnej naukowej nie zdają. Co gorsza, lecznice służą za narzędzia już to malwersacyi, już reklamy. Są one założone właściwie dla ubogich, tymczasem pod tych ubogich podszywają się i zamożni, którzy tym sposobem oszczędzają to, co musieliby ofiarować lekarzowi przyzwanemu do domu, albo nawet, przez wstyd, w jego własnym mieszkaniu; z drugiej zaś strony lekarz lecznicowy, mając przed sobą zamożniejszego pacyenta, usiłuje przeciągnąć go do domu, licząc na korzystniejszy zarobek. Niedosyć na tém, ubodzy, nęceni niską ceną porady, ładzą się tylko; bo mieszkając zwykle na krańcach miasta, opodal od lecznic, nagromadzonych w jego środku, a przytém godzinami wyczekując na spóźniających się ordynatorów, tracą czas wartujący więcej niż to, co oszczędzą na wynagrodzeniu lekarza. Wreszcie i ta oszczędność jest, tylko pozorną, gdyż według zapewnienia d-ra Kadlera, „każdy chory bez względu na stan majątkowy, może zasięgać rady w mieszkaniu lekarza, za wynagrodzeniem stosowném do możliwości, lub bez wy-nagrodzenia.

Gdyby tak wszystko było, jak mówi autor broszury, a mówi on z mocnym przekonaniem i odwagą, to lecznice stanowiłyby tylko zy-

wiół konkurencyjny, zajmowałyby stanowisko niegodne tego charakteru kapłaństwa, jaki społeczeństwo nawykła widzieć w lekarzu; byłyby to miejsca dogodne tylko dla tych, którzy mając fundusz dostateczny dla poratowania zdrowia, woleliby sprawić to za dwa złote niż za rubla, bez nieprzyzwoitości. Słowem, z broszury wynikałoby, że lecznice warszawskie są tylko błagą, przystugującą sprawom zgoła nie naukowym i nie filantropijnym.

Ale usłyszeliśmy dotąd jedną tylko stronę, stronę zarzutów. Prasa peryodyczna, lubo w ogólności stara się doniosłość tych zarzutów osłabić, ale chwieje się w sądzie. I nic dziwnego. Lecznice, jako instytucje, przedstawiają się nie tylko ze strony społecznej, ale i ze strony specjalno-lekarskiej. Musimy więc poczekać przemówienia strony oskarżonej; wszak ona ma swój organ w czasopiśmie lekarskich, a wreszcie i wszystkie inne stoją jej otworem. Dotąd jednak, to jest do drugiej połowy marca, nic jeszcze nie przemówiła.

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

---

W Krakowie wyszło dziełko prof. Jerzego dr. Mycielskiego pod tyt. „Porwana z klasztoru.“ Kartka z dziejów obyczajowych (zapewne sz. profesor chciał powiedzieć: z historii obyczajów. *Red.*) Polski XVII-go wieku. Kraków, 1886, str. 220.—W zeszycie sierpniowym 1885 r., str. 317, podała Bibl. Warsz. krótką wzmiankę o rozprawie, którą prof. Mycielski czytał na jedném z posiedzeń Akademii um. w miesiącu lipcu, „O procesie przeciwko Aleks. Koniecpolskiemu, z powodu porwania przez niego panien Dembińskich z klasztoru.“ W zesz. wrześniowym 1885 r. str. 472, podała Bibl. całą osnowę przedmiotu, przedstawionego w „Przeglądzie polskim,“ tak, że z powodu książki, która na tym gruncie powstała, nie mamy wiele nowego do powiedzenia, nadmieniamy tylko, że fakt sam nie zasługiwał na tyle zachodu, jaki widzimy w tém nader szczegółowém studyum, które, przekraczając w wielu razach granice danego tematu, łączy z nim kwestye postronne i amplifikuje zanadto przedmiot charakterystyczny wprawdzie pod względem obyczajów; ale nie mogący rościć sobie pretensyi do znaczenia faktu historycznego. Szan. autor, zajmwszy się przedmiotem, przecenił jego doniosłość historyczną i przedstawia go czasem w szacie zbyt poważnej. Czytamy np. na str. 200: „Nadszedł był bowiem w końcu złowrogi dla bohatera opowieści naszej dzień 18 marca 1615 r., w którym dlań ostatni ów termin, po ostatniój wyznaczony arrestacyi, upływał. Staęli przed sądem“ i t. d. Zakrawa to na: Venit illud ineluctabile tempus—fatum! Cały I-y rozdział nie licuje z przedmiotem. Styl książki nie nastęcza w ogólności powodu do zarzutów donioślejszych z wyjątkiem tych miejsc, gdzie autor olśniony wielkością swojego tematu, z pewną afektecyą stroni od szyku wyrazów naturalnego w zdaniach, które w polskim języku nie od słowa, nie od orzeczenia, ale od podmiotu, od subyektu rozpoczynać się zwykły. Str. 31 na początku: „Zmieniać poczynał skład swój i fizyognomią, prześwietny senat korony Rzeczypospolitej polskiej, na rozdrożu XVI-go i XVII-go stulecia“ — zamiast: Senat Rzplitéj polskiej w chwili przej-

ścia z XVI-go do XVII-go wieku poczynął zmieniać skład swój, (rzecz naturalna, bo i senatorowie się postarzelili i wielu pomarło)—i fizyognomią i t. d.

Dr. Albert Zipper wydał we Lwowie studjum literackie p. t. „Franciszek Grillparzer,“ (Życie i dzieła) z pięknym stalorytowym portretem poety i z dedykacją J. I. Kraszewskiemu (1886, str. 96, rub. 1,50). Jestto przeważnie życiorys, trzymany od początku do końca w tonie mocno panegirycznym. I dla poety i dla dzieł jego ma autor same prawie słowa zachwytu, podług niego bowiem „obywatel austriacki staje obok klasyków wejmarskich, a opiera prawo swoje do miejsca w poczcie tych koryfuszów literatury niemieckiej na wzniosłości pojęć estetycznych, i surowości wymagań swych od poezyi, na wzorowem wykończeniu znakomitych postaci, które wyobrażnia i sztuka jego wyciosały, na długim szeregu doskonałych dzieł, na których stworzenie dnie i noce żywota się złożyły. Ktokolwiek wstępuje do świątyni jego muzy, tego odwiea odrazu czyste technicznie olimpijskiego eteru i poznaje natychmiast czar żywiołu niebiańskiego...“ Takie jest credo p. Zippera odnośnie do autora „Matki Rodu,“ szkoda tylko, że nie poparte odpowiednimi argumentami; podana bowiem treść utworów ważniejszych bez analizy krytycznej, jest niedostateczną do rozbudzenia w czytelnikach tej wiary w geniusz Grillparzera, jaką p. Z. jest przejęty. Nie zaprzeczamy bynajmniej temu pisarzowi stanowiska poważnego w literaturze niemieckiej, sądzimy jednak, że je p. Z. trochę przecenił. O „Ahnfrau“ mówi: „Sypie tam poezya prawdziwe klejnoty, tryska z każdego słowa ognista wyobrania i ogniste serce, ale najwyższy podziw wzbudza spokojna pewność techniki“ (str. 22). W „Safonie“ poeta wykazał „głębką znajomość sceny,“ „monologi oświecone najwznioslejszą poezyą w słowach i obrazach,“ „charaktery, dosięgające wyżyny, do jakiej tylko przedmiot taki dorość zdoła“ (str. 30). „Złote runo“ jest podług autora „kreacją olbrzymią, jedną z największych w piśmiennictwie niemieckim,“ a wobec bohaterki tego utworu Medei „znikają wszystkie postacie poetów starożytnych i nowożytnych nawet Eurypidesa i Corneill'a,“ a i inne postacie „stoją godnie obok tej Medei“ (46). „Króla Ottokara szczęście i koniec“ jest to „dramat w całej pełni znaczenia,“ jest to „tragedya pod każdym względem znakomita“ (50). „Ein treuer Diener seines Herrn“ jest znów „najoryginalniejszym dramatem Grillparzera“ (6). „Morza i miłości fale,“ to tragedia precudowna, „w której nie wiedzicie co najwięcej podziwiać: czy twórczość wyobraźni, czy wzniosłość uczucia, czy znajomość tajników serca, czy świeżą, wonną rosę poezyi“ (65). Nowelka „Iris“ „należy do klejnotów literatury“ (84); „Wasz bratnią w rodzinie Habsburgów“ uważa znów autor za dzieło „jedno z największych i najoryginalniejszych,“ „mistrzowskim i godnym podziwienia po wszystkie czasy, jest przeprowadzenie arcytrudnego charakteru starca dziwaka na tronie,“ a „śmiały charakter Ra-

cheli (w Żydówce z Toledo) należy do najtrudniejszych zadań, których geniusz poety szczęśliwie dokonał“ (90). Takie ekstazy przepełniają pracę p. Ż., która z drugiej strony przedstawia dość barwnie samą postać poety, jako człowieka i dla tego rzecz tę przeczytać można z zajęciem i z pożytkiem: szkoda tylko, że język często wadliwy. Oto próbki; „Pourość i bezkształtność (?) lat dziecinnych“ (6), „posiada też wszystkie cechujące budowle ówczesne wady“ (6), „Męczeniacy tak dalece rozпалиły go“ (8), „Wakacye te omal życiem nie przypłacił“ (14); „Szukał z a pamiątkami“ (41), „szukał za bohaterem“ (48), „dramatyk nadworny“, „dyrektor cytował go przed siebie“ (44); „O ogólne wrażenie nie można było nazwać zadawalniającem“ (65) i tamże „z reguły Grillparzer tworzył z żywej intuicyi a nie środkami refleksyi“ (?), „arbitralne rubryki“, „kaustyczne epigramy“, „preparowana strawa“ (81), „już wcale dopiero po śmierci“ (90), „piątrze“ i w. innych. Wydanie książki ładne.

Nakładem Redakcyi Biblioteki Umiejętności Prawnych, wyszła bardzo cenna praca ekonomiczna p. J. Kirsztrot-Prawnickiego pod tyt. „Kredyt włościański.“ (Warsz. 1886. str. 91), zawierająca treść następującą: 1) Wytwórczość wielkiej i małej własności ziemskiej. 2) Kredyt indemnizacyjny. 3) Podzielność gruntów włościańskich. 4) Nabywanie ziemi przez włościan. 5) Bank włościański w Cesarstwie. 6) Hypoteka włościańska. 7) Kredyt hipoteczny. 8) Projekty Tow. kredytowego ziemskiego. 9) Galicyjski zakład kredytowy włościański. 10) Bank włościański w Poznaniu. 11) Kasy pożyczkowe systemu Szulzego-Delitsch. 12) Gminne kasy pożyczkowo-wkładowe. XIII. Kasy pożyczkowe systemu Raiffeisena. Przy rozbiore kwestyi kredytu włościańskiego, któryśmy drukowali w zeszycie styczniowym Bibl. Warsz. w artykule „Z ekonomiki“ mieli czytelnicy Bibl. Warsz. sposobność obznajmienia się z tą sprawą. Pracę p. J. Kirsztrot-Prawnickiego uważać trzeba za ważny przyczynek do wszechstronnego rozjaśnienia tego przedmiotu.

W tomie 8-ym, wydanym przez Komisją archeograficzną „Rosyjskiej Biblioteki historycznej“ (Petersburg, 1884), spotykamy dużo ciekawego materiału historycznego do epoki samozwańców, przedstawiającego szczegółowy obraz stanu W. ks. moskiewskiego w tych czasach. Oprócz tego znajdujemy tam także ważne dokumenta do dziejów Rusi zadnieprskiej. Ostatnie numera zawierają akta poselskie dworzanina carskiego Iwana Żelabużskiego, wyprawionego w r. 1657 do Jerzego II Rakoczego, księcia siedmiogrodzkiego i do pułkownika kozackiego, Antoniego Zdanowicza,—rzucające jasne światło na ostatni rok życia i działalność Bohdana Chmielnickiego, na jego stosunki z ks. Siedmiogrodzkim i wspólne ich zamiary z W. ks. moskiewskiem i z Chmielnickim względem szarpanej wówczas na wszystkie strony Rzpltej polskiej. Do dziejów owego niespodziewanego najazdu Rako-

czego i wiążących się z tą wyprawą siedmiogrodzką kwestyi (wybór następcy za życia Jana Kazimierza) jest to przyczynek bardzo pożądanym.

Już od kilku lat spotykamy się coraz częściej w literaturze rosyjskiej z dziełami poważnej nauki, poświęconemi dziejom prowincyi nadbałtyckich, któremi dotychczas zajmowali się prawie wyłącznie uczeni niemieccy. Autorami są zwykle uczeni pochodzenia łotewskiego, wychowani w uniwersytetach rosyjskich. Ze względu na ważność kwestyi i dla naszych dziejów, korzystając z relacyi „Przeglądu powszechnego“ (Kraków, grudzień, 1885), zwracamy uwagę czytelników na 2 następujące studia, oparte na źródłach i na gruntownej znajomości swego przedmiotu, mianowicie:

1) Truwnan: „Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Infantach.“ Petersburg, 1884, str. 542. Znajdujemy tu szczegółowy obraz etnografii i religii fińskich Estów, autochtonów prowincyi nadbałtyckich, oraz ludów grupy łotewskiej (litwinów i łotyszów) przed przyjęciem chrześcijaństwa; dalej czytamy opis stosunków krajowców ze Wschodem i Zachodem do w. XIII-go, wzmianka o przybyciu Niemców nad dolną Dźwinę, o rozwoju wewnętrznym ludności miejscowej pod wpływem chrześcijaństwa, niemniej i o stosunkach książąt ruskich z prowincjami nadbałtyckimi, które następczyty później powód do wojen, które Polska prowadzić musiała z W. ks. moskiewskim.

2) Forsten: „Walka o panowanie na morzu Bałtyckim w XV-ym i XVI-ym wieku.“ Petersburg, 1884, str. 619. Dzieło Forstena, przedstawiający przegląd krytyczny wydawnictw źródłowych, jako też i studyów, mających związek z historią ziem niegdyś zakonnych, zajmuje się głównie sprawami Hanzy i losem wybrzeży bałtyckich od czasów najdawniejszych do początków w. XVI-go, nie dosięga zatem jeszcze ognia właściwej walki, która rzeczywiście rozpoczyna się dopiero z chwilą wmięszania się Polski w sprawę inflanckie w roku 1557.

Materyały do historii gub. Podolskiej. (1792 do 1796). W dodatkach do „Podolskich Gubernskich Wiedom.“ z roku zeszłego 1885 wydrukowane zostały akta do historii Podola z lat 1792—1796. Całość, obecnie ukończona, stanowi zbiór materyałów, ciekawych jako dotyczących organizacyi i nowo wprowadzonych urzędzeń po drugim rozbiórce Polski. Szereg ukazów, rozporządzeń, korespondencyi władz i t. d., rozpoczyna reskrypt cesarzowej Katarzyny II (8 grudnia 1791) do generała Kreczetnikowa, zamianowanego generał-gubernatorem. Instrukcyje, spisane w tym reskrypcie, równie jak i w dalszych ukazach, dotyczą nowo wprowadzonych reform, rozporządzenia zaś i rozkazy samego Kreczetnikowa zawierają wiele szczegółów nadzwyczaj ciekawych co do zarządu prowincyi i spraw administracyi. Z czasów zaś generał-gubernatorstwa Tutołmina (1792—1796), znajdujemy tu sporo dokumentów do spraw religijnych i politycznych, również cieka-



we szczegóły w sprawie dóbr koronnych (starostw), majątków konfiskowanych lub zwracanych właścicielom, dóbr oddawanych prywatnych w opiekę i t. d. W ogóle wszystkich aktów jest 137, które stanowią pierwszorzędny materiał do historyi Podola w danej epoce, uzupełniają nagromadzone akta w 43 i dalszych tomach „Połn. sobr. rus. zakonow.“ Materiały, wydane w powyższej publikacji, dostarczone zostały w części przez dr. A. I. Rollego, w części zaś wzięte z archiwum kancelarii gubernatorskiej.

Znany sławista Fr. Miklosich wydał w zeszłym miesiącu „Słownik etymologiczny języków słowiańskich“ (Etymologisches Wörterbuch der slavischen Sprachen—Wien 1886, 8 większa, str. VIII i 547). W przedmowie wyłuszcza autor powody, dla których się nie trzyma nowszych teoryj, dotyczących wokalizmu indo-europejskiego. Po słowniku następują jeszcze dopełnienia i sprostowania (str. 414—432) a potem „Index,“ zawierający te wyrazy, których w nagłówkach nie ma, a wyszukanie ich sprawia pewne trudności. Zamykają dzieła skrócenia (pierwsze w swym rodzaju w literaturze gramatycznej słowiańskiej), podane na ostatnich dwu stronicach.

## N e k r o l o g i a.

— † Dnia 25-go lutego 1886 r. umarł po krótkich cierpieniach w dobrach swoich Pojeziory w gub. suwałkowskiej ś. p. **Zygmunt Gawroński**, jeden z zasłużonych ziemian-obywateli w 69-ym roku życia. Ś. p. Zygmunt urodził się w r. 1816-ym w augustowskim. Po ukończeniu szkół warszawskich, syn zamożnych rodziców, udał się za granicę i w Niemczech odbywał studia na polu nauk społecznych i agronomicznych. Powróciwszy do kraju osiadł w rozległych dobrach, gdzie jako obywatel i rolnik rozwinął szeroką działalność na polu podniesienia racjonalnego gospodarstwa w okolicy i w sprawie regulowania stosunków włościańskich. W epoce téj był współpracownikiem Towarzystwa naukowego krakowskiego i korespondentem do „Gazety rolniczej“ za redakcyi Mieczyskiego. Zdobywszy sobie przez wybitną działalność obywatelską zaufanie ziemian, wybrany został na prezesa Zebrania wyborczego do władz Tow. kredytowego ziemskiego w Król. Polskiem w oddziale suwałkowskim w r. 1864-ym, a niebawem powołany na radcę komitetu tegoż Towarzystwa (1876—1880). W r. 1880-ym został wybrany jednomyślnie na Członka-redaktora „Biblioteki Warszawskiej“, której prace wspierał gorliwie jako szlachetny mecenas. Obok tych zajęć nie spuszczał z oka stosunków włościańskich i uczynków miłosiernych, z których słynął w okolicy. Dla uczczenia tych zasług obywatelskich, zjechali się też tłumnie obywatele i duchowieństwo z augustowskiego i ze Żmudzi w dniu 2-go marca do pałacu w Pojeziarach na pogrzeb uroczysty, któremu przewodniczył ks. sufragan Hollak do grobów familjnych w Olesinie w obec mnóstwa ludu okolicznego. Ś. p. Zygmunt był mężem szlachetnego serca i podniosłego obywatelskiego ducha: śmierć jego uważać trzeba za dotkliwą stratę dla społeczeństwa polskiego. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 31 marca o godzinie 7 $\frac{1}{2}$  rano 1886 r. w Villepreux pod Paryżem umarł **Józef Bohdan Zaleski**, ostania świetna gwiazda epoki poezyi mickiewiczowskiej. Odbierając w ostatniej chwili zamknięcia zeszytu tę smutną wiadomość musimy tymczasem poprzestać na wynurzeniu żalu serdecznego po stracie tak bolesnej, którą całe społeczeństwo polskie odczuje. Ś. p. Bohdan Z. urodził się dnia 14-go lutego 1802 r. na Ukrainie nad Rosją i Rosową na po-

graniczu stepów i legendowych mogił ukraińskich we wsi Bohaterce w gub. kijowskiej. Nauki szkolne pobierał w Humanu razem z Goszczyńskim, Grozą, Grabowskim M. i i. W r. 1819 wystąpił poraz pierwszy w „Dzienniku wileńskim“ z wierszem według szkoły klasycznej pod tyt: „Do Pirry.“ W r. 1820 wszedł do uniwersytetu warszawskiego, gdzie nowy ruch w literaturze (K. Brodziński) pociągnął za sobą Zaleskiego. Przez czas niejaki trudnił się potem nauczaniem prywatnem, domowem w kilku możliwych rodzinach, (Górskich, Szembeków), mieszcząc to w mieście to na prowincyi. Od r. 1822 pojawiały się coraz częściej jego utwory poetyczne („w Pamiętniku warszawskim“ i w „Melitele“ jak „Nieszczęśliwa rodzina,“ balada „Lubor,“—„Dumka hetmana Kosińskiego,“ „Rusałki,“ w których Zaleski uwydatnił w języku polskim tyle pięściwości i tyle wdzięku, że sobie na miano „słowika ukraińskiego“ zasłużył. Zamieszkawszy po r. 1831-ym w Paryżu a następnie na resztę żywota pod Paryżem, w ustronnym domku, wśród rodziny, otoczony czcią rodaków stał nieporuszony wiernie przy sztandarze tradycyi narodowych, głuchy na pokusy Towiańczyków nawet Mickiewicza, chociaż prądów ówczesnego mistycyzmu i mesyanizmu zupełnie nie uniknął („Żgryzota i łaska“—„Przenajświętsza rodzina“). W r. 1862 wyszedł większych rozmiarów poemat epiczno-liryczny Zaleskiego: „Duch od stepu.“ Z wydań poezyi Zaleskiego (Paryż 1841. Poznań 1842, 2 tomy. Petersburg 4 tomy 1851), najkompletniejsze lwowskie: Wydanie zbiorowe, przejrzone przez autora w 4 tomach we Lwowie 1877, nakł. Gubrynowicza i Schmidta. Nuta poważna, religijna zajmowała u Z. z postępem wieku miejsce dawniejszych „szumek, dumek i rusałek“—i dolatywała nas rzewna zawsze, chociaż rzadko. Cześć pamięci szlachetnego obywatela-poety!

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.

# LUKASZ GÓRNICKI.

(Kilka nieznanych szczegółów z życia dzierżawcy tykocińskiego i wasilkowskiego).

PRZEZ

St. Ptaszyckiego.

Osobistość oraz przygody życia autora „Dworzanina“ są już od bardzo dawna przedmiotem skrzętnych poszukiwań badaczy literatury polskiej. Od chwili wystąpienia Trebickiego w „Bibliotece Warszawskiej“ r. 1843-go ze „Zbiorem wiadomości o życiu i pismach Łukasza Górnickiego,“ wzrastał coraz bardziej materiał do życiorysu historyka wieku Zygmuntońskiego; gromadziły się nowe dane jeżeli nie systematycznie, to przynajmniej sporadycznie. Nareszcie pojawiły się w literaturze polskiej prawie równocześnie aż dwa studia, poświęcone już nie samemu surowemu materiałowi, lecz życiu pisarza. Zdawaćby się mogło, że prace tego rodzaju, dokonane według metody naukowej na podstawie autentycznego po większej części materiału źródłowego, zadowolnią badaczy na czas dłuższy. Pierwszemu z powołanych wyżej studyów była praca p. Czarnika, podówczas słuchacza filozofii we Lwowie. Jako praca seminaryjna studenta jeszcze się uczącego nie mogła być wyczerpującą. P. Czarnik musiał poprzestać na materiale, jaki znalazł we Lwowie i jaki dostarczono mu z Krakowa i z Warszawy. Powstała w takich warunkach książka p. Czarnika, nie mogła zadawalniać pod względem dokładności materiału źródłowego. Pomijając tę stronę ujemną dzieła, przedstawia studium p. Czarnika wiele stron dodatnich, świadczących o umiejętności autora przedstawienia kwestyi i o wybornej szkole, z jakiej wyszedł.

Autorem drugiego studyum jest p. R. Loewenfeld, który się już poprzednio był dał poznać przez swoje literackie i publicystyczne stu-

dya. P. Loewenfeld znalazł się w położeniu znacznie dogodniejszym niż p. Czarnik, miał bowiem możność poznać osobiście archiwa w Warszawie, Krakowie, Lwowie; dłuższy czas bawił nawet w Petersburgu i w Moskwie. Przy takim ułatwieniu zdawało się, że materiały znany p. Czarnikowi, p. Loewenfeld znacznie wzbogaci i da życiorys Górnickiego o wiele dokładniejszy. Ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, co słyszeli o przygotowującym się nowym dziele „O Łukaszu Górnickim“ i co byli pewni, że powinnyby się zbierać więcej dat nowych, p. L. we wstępie do swego dzieła otwarcie wyznaje: „Wówczas, gdy pracowaliśmy nad złączeniem tych drobnych, tu i owdzie porozrzucanych prac o Górnickim w jedną całość, uzupełnioną spożytkowanymi aktami, z których zarząd archiwów krakowskiego i warszawskiego oraz Biblioteka Zamoyskiego korzystać nam pozwoliła, wówczas właśnie ukazała się praca p. Czarnika. Naturalnie czerpaliliśmy wiadomości z tych samych dokumentów, któremi się posługiwał p. Czarnik, ponieważ i on zwrócił się do wymienionych archiwów, i obydwaj w równej mierze doświadczyliśmy uprzejmości panów dyrektorów.“ P. Loewenfeld powiększył liczbę dokumentów, znanych p. Czarnikowi tylko przez listy, ogłoszone w *Ateneum* (1883, lipiec), jakby one ostatecznie zamykać miały skarbnicę źródeł do życiorysu Górnickiego. Pomimo to ośmielamy się wystąpić z nowym, jakkolwiek skromnym, materiałem źródłowym, który pozwala przypuszczać, że jeszcze wiele wiadomości do życia Ł. Górnickiego kryje się po archiwach i to nie pośledniej wagi. Dochodzą nas wieści, że w Krakowie można odnaleźć ważne dokumenta, zresztą że tak być musi, dowodzą dokumenta wydane przez p. Windakiewicza <sup>1)</sup>; sami posiadamy dokumenta nieznanne dotąd, które chociaż są okruciami tylko, to zawsze bardzo pożądanymi. W Wilnie zapewne nie mało by się znalazło, lecz księgi tameczne nie mają żadnych regestrów, dla tego poszukiwania są znacznie utrudnione. Temu należałoby poświęcić się specjalnie. Z akt drohiczyńskich mamy jeden dokument, dotyczący się córki Górnickiego, Zofii Mężyńskiej. Dyrektor archiwum wileńskiego p. Sprogie na prośbę naszą, robił tam poszukiwania z lat 1571 i 1572-go, dla określenia daty postąpienia G. na starostwo tykocińskie, lecz oświadczył, że Górnickiego nie znalazł. Nareszcie w Petersburgu, gdzie p. Loewenfeld przebywał czas dłuższy, metryka litewska przedstawia nie mało ciekawych dat, które stanowczo prostują przypuszczenie p. Loewenfelda. Otóż zdaniem naszym, jeżeli p. L. chciał rzeczywiście dać możliwie zaokrąglony obraz żywota Górnickiego, należało mu staranniej przewertować archiwa, a potem przystąpić do ułożenia całości. Myśmy nigdy nie pracowali wyłącznie nad Górnickim, i w bliższej przyszłości nie mamy zamiaru jemu się poświęcać. Los jednak zrzadził, że pracując w innym zakre-

<sup>1)</sup> „Prace filologiczne“ t. I, zes. 1. Warszawa, 1885, str. 224 i nast.

się mogliśmy i dla Górnickiego wyczerpać materiały, znajdujący się w Metryce litewskiej w Petersburgu. Daty te chociaż urywkowo, ponieważ zmieniają obecne twierdzenia i przypuszczenia. Odnoszą się one wyłącznie do Tykocina i Wasilkowa i do stosunku Górnickiego do nich. Pierwotnie nie spieszyliśmy z ogłoszeniem tej nie wielkiej wiązanki. Ustępując namowom naszych literackich przyjaciół, wyjmujemy je nareszcie z ukrycia. Może kto z nich zrobi większy użytek, a może kogo zachęca do przejrzania na nowo archiwów, a szczególnie wileńskiego.

Nie podajemy naszych dokumentów in extenso, lecz skracamy je lub streszczamy ze względu, że forma ich nie przedstawia nic nowego, pisane są według ogólnych formularzy, których powtarzanie byłoby rzeczą zbyteczną. Mogłoby to być skuteczniejsze w kodeksie specjalnym, a zbyteczne w luźnej notatce.

Dokumenta nasze pochodzą przeważnie z archiwum Metryki litewskiej, znajdującej się w Petersburgu <sup>1)</sup>. Przy każdym dokumencie wskazujemy w jakiej księdze odnośny akt zapisany, przy czém trzymamy się obecnego podziału, zaprowadzonego już w Petersburgu. Dla zwięzłości przyjęliśmy następujące skrócenia: Z.—Księgi Zapisowe; S.—Sądowe; P.—Publicznych Spraw. Liczba pierwsza oznacza tom, druga kartę lub stronę. Nakoniec podajemy w streszczeniu łaskawie nam udzielone dokumenty z archiwum głównego w Warszawie z ksiąg wyroków lubelskich. Jeden dokument będący wierzytelną kopią, sporządzoną w wieku XVII-ym, z ksiąg drohiczyńskich mamy z rąk prywatnych. Po tych kilku przedwstępnych uwagach, jakie uważaliśmy za potrzebne zrobić, wstępujemy in medias res, przypuszczając, że rzecz nasza może zainteresować tylko ludzi specjalnie z kwestyą obeznanych.

Z dziejów Tykocina posiadamy tylko dorywcze wiadomości. Z początkiem wieku XV-go należał on do ksiąząt mazowieckich, i jeszcze w roku 1424 „post dominicam laetare“ (2 kwietnia) Janusz, książę mazowiecki, nadaje urząd wójtowski w Tykocinie Piotrowi de Gumow <sup>2)</sup>. W roku 1426 dnia 31 grudnia, Witold przywilejem danym z Trok temuż „Petro de Gumow advocatiam in Tykocino oppido quinque mansos continentem iure perpetuo donat <sup>3)</sup>. Po śmierci Witolda Zygmunt Wielki, ks. litewski, darował na wieczność miasteczko Tykocin ze wsiami Łopuchow i Złotoryą Janowi Gasztoldowi i jego po-

1) O tém archiwum krótkie wiadomości daje nasza notatka w „Gwieździe Petersburskiej“ za rok 1884 p. t. „Biblioteki i archiwa petersburskie.“

2) Inventarium omnium privilegiorum an. 1682. Wydał Rykaczewski w Paryżu 1862. Wydania tego nie mamy pod ręką, korzystamy z ks. Metryki, f. 281.

3) Oryginał znajduje się w Warszawie w arch. gł. pomiędzy pargami-nami pod nr. 622, facsimile u Strączyńskiego nr. 59.

tomkom, z przyczyny zasług jego dla wiary i służby, którą czynił za-  
cnemu księciu Witoldowi, przodkowi i bratu jego miłemu. Przywilej  
datowany na zamku trockim w piątek przed świętem ś. Walentego  
(13 lutego) 1433 roku (Z. 1, 15). Gasztold, po objęciu Tykocina 4 lu-  
tego 1436 r., potwierdził Piotrowi, wójtowi tykocińskiemu, przywileje  
dane mu przez Witolda i Janusza Mazowieckiego <sup>1)</sup>. W XVI-ym wie-  
ku (1514 roku w lutym) przeprowadzoną została granica pomiędzy  
majątkością Gasztolda Tykocinem, a Goniądzem, należącym do Miko-  
łaja Radziwiłła <sup>2)</sup>. We władaniu Gasztoldów Tykocin pozostawał  
jeszcze w r. 1540 dnia 20 kwietnia, kiedy Stanisław Olbrachtowicz  
Gasztold dał żydowi tykocińskiemu, Abramowi Mosiejewiczowi, trzy  
włóki we wsi Sannikach, należące do Tykocina. W roku 1569 8 gru-  
dnia nabył te włóki u żyda rotmistrza zamku tykocińskiego, Klimnt  
Biliński, a Zygmunt August kupno to zatwierdził (Z. 53, 24). W tym-  
że czasie Tykocin przechodzi do rąk królewskich <sup>3)</sup>; gdyż 14 lipca

<sup>1)</sup> Sieries archivorum rogni an. 1730, ks. Metryki lit. f. 321 v. nr. 9.

<sup>2)</sup> Inventarium roku 1682, f. 283 v.

<sup>3)</sup> P. Czarnik powtarza za Niesieckim, że około roku 1540 dzierżaw-  
cą tykocińskim był Grzegorz Aleksander (Aleksandrowicz, nie zaś Aleksan-  
der) Chodkiewicz. Starostą tykocińskim nazywa Nies. Grzegorza pod Wisznio-  
wicekami, kiedy mówi, że „oórka Iwana W. Katarzyna, wydana kęło r. 1540  
za Grzegorza Aleksandrowicza Chodkiewicza na ten czas starostę ty-  
kocińskiego in Monum. Coll. Ostrog. (IX, 357). Mówiąc zaś o Chod-  
kiewiczach N. zaznacza, że pod rokiem 1540 Grzegorz nazwany starostiez be-  
restejski (I, 306). Podanie to nie da się niczem udowodnić. Dokumen-  
ty, jakieśmy mieli w ręku, pozwalają stanowczo twierdzić, że Grzegorz  
Ch. starostą tykocińskim nie był. 17 stycznia 1541 roku występuje tylko  
jako „starostiez berestejskij“ (s. 12, 29), pod dniem 14 maja 1546 ro-  
ku wspomniany, jako podkomorzy litewski, starosta kowieński, dzierżawca  
wilkijski (S. 18, 30). a 14 lipca 1547 starostą tykocińskim już był Jan Ra-  
dziwiłł. Na godnościach Grzegorz postępował w sposób następujący: 1554  
wojewoda wileński, 1555 wojewoda kijowski, 1559 kasztelan trocki, 1561  
hetman nadworny, 1561 hetman wielki, 1572 umiera (Wolff. Senatorowie i dy-  
gnitarze vide sub v. Chodkiewicz). Prawdopodobnie pomyłka zaszła tu z tego  
powodu, że ojciec Grzegorza, Aleksander, był starostą knyszyńskim: z tym ty-  
tułem spotykaliśmy go już pod rokiem 1535: starosta brzeski, marszałek,  
dzierżawca wilkiejski, ostoyński, knyszyński (Z. 19, 44). Na dniu 14  
maja 1546 roku spotykamy razem ojca z synem: Sudili na sprawach sudo-  
wych pan Jan jeho miłost' Jurjewicza Hlebowicza wojewoda wileńskij, a pan  
Aleksander Iwanowicz Chotkiewicza starosta beresteski, dzier-  
żawca knyszyński i ostryński, a pri ich miłosti na tot czas byli pan  
Hrihorej Aleksandrowicz Chotkiewicza podkomorij hospo-  
darski starosta kowieński, dzierżawca wilkijski... (S. 18, 30). W aktach nieraz stawiano Tykocin zamiast Knyszyna przez pomyłkę,  
co zobaczymy jeszcze raz niżej.

1547 roku spotykamy z tytułem starosty tykocińskiego Jana Janowicza Radziwiłła, krajczego litewskiego (Z. 31, 113). Radziwiłł pozostawał starostą aż do śmierci, t. j. do 27 września 1551 roku (Wolff, Senatorowie, 226). Według rejestru poborowego z dnia 27 listopada 1551 roku, Tykocin miał zapłacić 30 kop „krom ludy wołosnych i żydów.“ W spisie zachowany porządek następujący: z Wilna 500 kop, Kowna 100, Grodna 51, Trok 20, Bielska 100, Narwy 15, Surazha 30, Kleszczel 20, Mielnika 30, Wysokiego 20, Milejczyc 20, Tykocina 30 i t. d. (Z. 28, 113). 2 września 1567 r. król nałożył podatek na miasta na potrzeby wojenne, jako pożyczkę, która później miała być ze skarbu zwróconą, w następujących rozmiarach: z Kowna 1,000 kop, z Trok 100, Grodna 120, Tykocina 60, Drohiczyzna 60, Brześcia 200, Kijowa 200 i t. d. (p. g. 1).

Spisy te pokazują, jakie miejsce zajmował Tykocin pod względem siły podatkowej.

Nie mamy dokładniejszych wskazówek dla określenia, kto objął bezpośrednio starostwo po Radziwiłłach. Na początku roku 1554 na tym urzędzie spotykamy Stanisława Mikołajewicza Geżgajłę <sup>1)</sup>, podczaszego i starostę mohylowskiego. 18 stycznia tego roku w Knyszynie sporządził Geżgajło testament, wyjeżdżając „na lekarstwo“ do Krakowa, który nazajutrz 19 stycznia, król podczas pobytu swego w Knyszynie potwierdził (Z. 35, 159). 19-go lutego tego roku występuje przed sądem urzędnik St. Geżgajły, nie wspominając o jego śmierci (S. 36, 6). Pod datą 2 sierpnia 1554 r. z tytułem starosty tykocińskiego występuje Jan Szymkowicz, pozwany przez niejakiego Iwana Iwanowicza Ładzkiego (S. 33, 14). W tymże miesiącu rozpoczynają dochodzenie kredytorowie Geżgajły, jako nieboszczyka (S. 34, 14). Szymkowicz pozostawał starostą tykocińskim do swjej śmierci, do roku 1569.

Leccz nie zaraz po nim objął starostwo Górnicki, jak chce Loewenfeld.

W chwili śmierci Szymkowicza Górnicki nie był w Tykocinie, może przebywał razem z królem w Lublinie, zkąd Zygmunt August 16 kwietnia (dzień nie zupełnie pewny) opatruje go listem, w którym powiada: rozkazujemy wam, abyście tam do Tikocina krom żadnego zamieszkania zjchali, dostatecznie spisali i inwentarz sprawiwszy tamto starostwo Tikockie,.. w sprawę władność podstarościemu do in-szej nauki naszej zlecili. Abyście jeden inwentarz przy niem zostawili, a drugi do nas bez omieszkania posłali (Z. 52, 1). Podstarościemu, Floryanowi Łobeskiemu, król pisze: iż marszałek nasz starosta Thikoczinski, Jan Szymkowicz, tych niedawnych zeszyłych czasów z tego świata zszedł... posyłamy tam do Tikoczina jurgieltnika naszego

<sup>1)</sup> W sierpniu 1551 roku S. Geżgajło występuje jako stolnik, starosta mohylowski, dzierzawca raduński, kowieński i dubiński (S. 24, 27) bez tytułu tykocińskiego. Nazwisko Geżgajło piszemy w ten sposób, gdyż w ruskich dokumentach zjawia się ono w formie Кезкайтль, t. j. Gozgnjł, a nie Kieźgnjł.



Łukasza Górnickiego, któremu rozkazujemy, aby folwarki, gumna, obory, bydło, i poddane, i wszystkie pożytki spisał i tamto starostwo w sprawę i władność W. T. do inszej nauki naszej zlecił (76). Równocześnie o tem zostali zawiadomieni i mieszkańcy tykocińscy: „Wszem wobec i każdemu zosobna — wojtu i wszystkiemu urzędowi miasta naszego Thikoczińskiego, także bojarom putnym, ławnikom i wszystkim poddanym naszym wołosti Tikockiej... pod łaską naszą rozkazujemy, iżbyście wszelakie posłuszeństwo ku podstaroścemu działali (76). W ten więc sposób po śmierci Szymkowicza nie otrzymał Górnicki zaraz starostwa, które wakowało przez czas niejakiś i podstarości Floryan Łobeski rządził nim, porozumiewając się z Górnickim, o czém król wspomina, mianując Łobeskiego 24 maja 1569 r. leśniczym tykocińskim; „a iżby tym sposobniej pożytki z puszczy tak i siana porządnie sprzążane być mogli, tedy ku temuż leśnictwu folwark nasz Tikociński pod puszczą i pod bielami leżący, Trzcianą, i ku niemu wsi pewne, t. j. wieś Trzcianą i Chobotni, k'temu solenniki i ogrodniki ku temuż folwarku należące, i wole, które w puszczy Tikocińskiej na brezinach zasiadają i co jeszcze potym na wołach zasadzono, być może w osobliwą dzierżawę od starostwa Tikoczińskiego V. T. jako leśniczemu tamtejszemu poruczamy... A inszą wszystkie dzierżawę Tikoczińską, cośmy już V. T. osobliwie zlečili, przedsię w sprawie i zawiadowaniu swoim miejcie i wszelakich pożytków naszych, (porozumiewając się z sekretarzem naszym Łukaszem Górnickim, który inwentarz pożytków onej dzierżawie sprawował), dogładajcie do tego czasu aż ten urząd Tykociński komu w dzierżawę zleciemy (Z. 52, 18).“ Jednocześnie poddani zamku Tykocińskiego w Trzcianach i Chobotkach mieszkający, a także solennicy i ogrodnicy otrzymali rozkaz być posłusznymi osobliwemu leśniczemu i sienniczemu Floryanowi Łobeskiemu. Do Górnickiego posłany został list zaszyty o poddanie tego leśnictwa podstaroścemu (Tamże). List ten, jako zaszyty nie został zaniesiony do ksiąg Metryki. W owym czasie G. spełnia i inne polecenia królewskie. Tak 15 maja 1569 r. król poleca urodzonym Andrzejowi Dybowskiemu, dzierżawcy Knyszyńskiemu i Zabielskiemu <sup>1)</sup>, i sekretarzowi swemu Łukaszowi Górnickiemu, aby na Lipskiem i na podanych augustowskich szkody paniej Włoszkowej otprawili (Z. 52, 7).

Fakt ten może świadczyć, że polecenia dawane Górnickiemu względem Tykocina, nie były usposobianiem jego do objęcia urzędu starościńskiego. Król nie śpieszył z zamianowaniem Górnickiego sta-

<sup>1)</sup> A. Dybowskiego spotykamy jako dzierżawcę Knyszyńskiego, Zabielskiego i Augustowskiego jeszcze 2 paździer. 1569 r. (Z. 52, 54). Od 8 grudnia tego roku z tymiż tytułami zjawia się Stefan Bielawski. W kilku dokumentach przez pomyłkę w tytułach nazwany dzierżawcą tykocińskim, kiedy w środku jak się należało (Z. 52, 76). Taka sama pomyłka musiała zajść w dokumencie przytoczonym przez Przędzieckiego, o czém wspomina p. Czarnik (38).

rosta i, co najważniejsza, wakujące starostwo, około którego już się G. krzątał, gdzie stale przebywał, oddaje komu innemu. Pod dniem 14 czerwca 1570 r. jako dzierżawca tykociński występuje Jop Prajtfosz, horodniczy wileński, dzierżawca Wolkienicki i Wasilkowski, z władzą sądową: „Powiedział nam marszałek nasz, podkomorzy oszmiański, dzierżawca niemonojecki, Jan Paluski, iż żyd miasta grodzieńskiego, imieniem Ahron, wziął od niego na pewną i doskonałą zapłatę 600 beczek żyta naszego własnego z gumna niemonojeckiego. Zapłaty nieudzielawszy z miasta grodzieńskiego uciekszy, snać w mieście naszym Tikoczińskim przemieszkał... rozkazujemy, jeśliby żyd pomieniony Ahron w mieście naszym T. przemieszkiwał, a Jan Paluski sprawiedliwości o to żyto nasze z nim urzędu Wier. T. potrzebował, iżbyś temu żydowi przed sobą stać i wedle zapisu zapłatę, jako za własne zboże nasze rozkazał“ (Z. 52, 114). Ten Prajtfosz występuje kilkakrotnie z tytułem dzierżawcy tykocińskiego <sup>1)</sup>. Ostatnią wzmiankę o nim spotkaliśmy pod dniem 8 września 1571 roku, w sprawie żyda Abrahama Izanowicza, któremu zabrano młyn i sianożęć na potrzeby zamku Tykocińskiego dla zbudowania cegielnicy i wapiennicy. Za co król na przedstawienie księdza Pilchowskiego, który rewidował Tykocin, zwalnia żyda od płacenia czynszu z dwu włók, jakie on przy Tykocinie trzymał, i przywodzi o tém ku wiadomości Prajtfosza, dzierżawcę dóbr Tykocińskich i namiestników jego na potym będących (Z. 53, 57). Późniejszych wzmianek o Prajtfoszu nie spotkaliśmy. Wystąpienie opiekunów nieboszczyka Jopa Pretwusa, horodniczego wileńskiego, starosty wolkinickiego i tykocińskiego, 21 marca 1586 r. (S. 65, 189) nie ma dla nas żadnego znaczenia, gdyż wiemy z pewnością, że 8 maja 1572 r. Górnicki już był starostą <sup>2)</sup>. Daty któreśmy tu zestawili, dowodzą wymownie, że w roku 1570 Górnicki nie był jeszcze starostą <sup>3)</sup>, że nie otrzymał dzierżawy w rok po śmierci Szymkowicza i że nie mógł otrzymać tego urzędu wcześniej; jak po usunięciu się Prajtfosza, który jeszcze 8 września 1571 r. spełniał swoje obowiązki. Zdaje się, że nie zbyt będziemy dalecy od prawdy, kiedy czas nominacji Górnickiego odsuniemy aż na rok 1572 i to na zasadzie na-

<sup>1)</sup> 19 lipca 1570 r. na zażalenie plebana Wysowieckiego, ks. Mar. Grolńskiego, poleca król Prajtfoszowi wypłacić dziesięcinę zaległą za rok 62 i 69 ze wsi Broku i Zielonój Dąbrowy, na folwarku Mazurowskim, dzierżawy Tykocińskiej (Z. 52, 134). 7 sierpnia 1571 król mianuje wójtem tykocińskim Frąca Wolskiego, zaleconego przez dzierżawcę tyk. Prajtfosza, któremu rozkazuje podać Wolskiemu wójtowstwo i za wójta opowiedzieć (Z. 53, 54).

<sup>2)</sup> Testament Nideckiego pod dniem 8 maja 1572 r. Morawski: *Audrzej Patrycy Nidecki*. Kraków, 1884, str. 182.

<sup>3)</sup> Rok 1570, jako data postąpienia G. na Tykocin, opierano na liście G. z d. 28 marca 1602 r., gdzie on wspomina: „jakom starostą jest będzie rychło 32 lecie.“ (Gloger *Bibl. Warsz.*, 1875, III, 141). W obec naszych dat świadectwo Górnickiego upaść musi.

stępującej. Po śmierci Szymkowicza król poleca Górnickiemu sprawić inwentarz starostwa i jeden egzemplarz każe zostawić przy podstarościm, a drugi odesłać do króla. Cóż w r. 1765 w archiwum krakowskiem znajdował się pod nr. 197—Regestr czyli Inwentarz dochodów wszelakich tak z miasta, jak i z wsiów do starostwa tykocińskiego należących, sporządzonych w roku 1572 <sup>1)</sup>. Niezawodnie inwentarz ten sporządzony został przy obejmowaniu dzierżawy przez Górnickiego. Spotykamy wprawdzie i późniejsze inwentarze, jak zatracony z roku 1574, sporządzony przez G. <sup>2)</sup>, jak ogłoszony przez p. Wejnerta z r. 1576, ale to były spisy, które się ogólnie nazywały *Ratio de proventis et distributis*.

Bądź co bądź na podstawie nawet samych dat niewątpliwych możemy śmiało twierdzić, że starostwo tykocińskie objął Górnicki nie wcześniej jak w roku 1572. W tym wypadku te trzy lata zwłoki (od śmierci Szymkowicza) naprowadzają na myśl, że Zygmunt August nie tak był skorym w promowaniu swego „ulubieńca.“ Na ten fakt biografowie Górnickiego powinni by zwrócić szczególną uwagę przy charakterystyce jego stosunku do króla.

\* \* \*

Za pobytu Górnickiego w Tykocinie uskuteczniła się budowa zamku tykocińskiego. Nie mamy najmniejszego śladu, któryby nam wskazywał jakikolwiek bądź udział w tém Górnickiego. Robota ta ukończoną zresztą być mogła jeszcze przed objęciem przez niego starostwa, kiedy Górnickiego powoływano do doglądania spraw starościńskich. Do dziejów budowy zamku posiadamy kilka ciekawych dokumentów, na które tu wskazujemy, chociaż one nie przyczyniają wiadomości dla biografy Górnickiego. W roku 1558 „dano kwit do skarbu panu Janowi Szymkowiczowi, iż wskazano jemu pieniądze wszystkie dochodowe za owies, siano, kury, gęsi, woły, cokolwiek ich do skarbu przychodzić miało w roku terażniejszym 58 ze starostwa tykocińskiego, zostawić dla budowania zamku tykocińskiego“ (Z. 37, 213).

31 sierpnia 1566 roku poleca król staroście mscibogowskiemu rozkazać mieszkańcom Wasilkowa spuścić do rzeki drzewo potrzebne dla budowy zamku: „rozkazali jeszcze zamek w Tykotinie budowati i robiti, ino iż do toje roboty derewa nie mało pilnoja potrzeba jest tohdy prikazujem tobie, szto by jesi wsiem poddanym naszym miasta wołosti Wasilkowskoje imieniem naszymi gospodarskim rozkazał iżby oni każde wołoki miestskeje i wołostnoje, szto kolwiek ich na onych wołach osiołych jest, derewa po osmi bierwien z wołoki odnoje w puszczi tamoszniej wypustiwszy, wodojo do zamku tikotinskoho

<sup>1)</sup> Index munimentorum et librorum ex archivo Cracov. an. 1765 Varsoviam transportatorum. Ex quibus nonnulla ad Archiwum thesauri regni tradita nonnulla quoque circa acta Metricos regni relicta sunt. Ms. Metr. lit. f. 11,

<sup>2)</sup> Tamże f. 12.

otprawdili i spustili nikotoroho słoszeństwa w tom nieczynieczy, bo hdie by na tych czasiech toje derewo w Tykotinie byli nie mieło, tohdyby welikoje omieszkanie w robotie dietisie musieło, w czom by było nie mała szkoda nasza hospodarskaja. Pro to konieczno mieti choczem, aby toje derewo pokul zima nie zajdjetyje poddanyje naszich wol wasilkowskich spustili. A hdyby oni toho derewa spustiti nie hoteli, wymowlajuczisia iż jeszcze woli nie wysiedieli, ino to im poddanym naszym tiazko nie jest, wolnostej i pozytkow na hruntiech naszych uziwajuczi, w toj potrzebie naszoj bez wymowy dosyt cziniti; dla czoho by sia i sam ku tomu s pilnostju prziznił i nam oznajmił jak mnoho toho derewa, spuszczauczi z odnoje wołoki po osmi berwien, ot tych wolan wasilkowskich budiet“ (Z. 47, 88).

Dokument ten ciekawy i pod tym względem, że od czasu jak Grzegorz Wołowicz osadził w puszczy grodzieńskiej Wasilków, nie był skuteczniony pomiar, kancelarya królewska nie wiedziała wiele włók gruntu posiada cała osada.

Tegoz dnia rozesłano listy do „sprawiec“ dworów grodzieńskich o wyprawienie poddanych do puszczy Wasilkowskiej dla spuszczenia drzewa na budawanie zamku tykocińskiego. Mamy tylko jeden list, ciekawy pod tym względem, że określa długość i jakość berwion: rozkazujem, „aby wyprawili derewa berwenja kruhłogo po peti sazon—30, a berwenja mocnoho i towstoho sosnowoho, szto by sia ku zakładieniu budowania hodiło po peti i szesti sazon kop 20, a derewa welikoho na balki hodnoho wdowż po 26 łokot kop 2, spuszczi tamosznieje wyroboti i wodou do zamku tykotinskoho spustiti“ (Z. 47, 88).

Do roboty zamku sprowadzani byli ludzie ze wszystkich dzierżaw królewskich. Listami królewskimi zwoływani byli robotnicy na pewien termin, o czém zawczasu każdy dzierżawca zostawał powiadomiony. Oto ogólny schemat: Dzierżawcy perstunskomu: „W roku tepereszniem 1568 ot 23 maja do dnia 8 junia czełowiekow 25 na dwie niedieli posłał; ot 25 jula do dnia 8 awhusta czerez niediel 2 tujuże liczbę; ot 19 sentiebra do oktiabra czerez niediel 2; ot 14 nojabra do 28 tohoż mca tujuż liczbę; ot 16 henwaria do 28 tohoż mca i ot 14 marta do 28, tujuż liczbę. Itoje wsieje liczby zawždy na každy czerezu dwie czasti ludiej s konmi i wozy, a tretja czast pieczych. Iżby jeti wojtom samym pri nich byti kazał... a za tuju robotu tykotinskiju iżby jesi wsim poddanym naszym, tym kotoryje około zamku naszoho tykotinskoho roboti budet', na každy tydeń každy, chto z wozom roboti budet' po dwa hroszi i po 4 penezi, a peszomu po 16 penezej s czynszow naszych otpuszczał“ (p. 9, 68). Takie listy rozsyłano po całej Litwie. Byłyby one wielce ceunym materyałem, gdyby się wszystkie dochowały, na nieszczęście w księgach metrycznych dochowały się tylko spisy: kiedy, do kogo i z kim posłano podobne listy z krótką wzmianką—„takowy listy pisany S. N.“ Ostatni list z taką treścią znamy z dnia 24 marca 1569 roku. Potóm nastąpiła chwilowa zmiana w sposobie dostawiania robotnika, poczém znouwu powróco-

no do pierwotnego sposobu, jak to widzieć możemy z listu królewskiego do kasztelana wileńskiego Grzegorza Chodkiewicza, pośtanego z Knyszyna 8 września 1569 roku... Jakośmy tych niedawnych teraz czasów pilne byli WW. rozkazali, iżbyście już poddanych naszych wedle pierwszego roskazania i listów naszych na robotę tykocińską nie posyłali, ale abyście pieniędzmi za te roboty z każdej włoki po gr. 8 wybierali, za te pieniądze, folgując poddanym, ludzie ku robotom zamku mieli być najmowani... Jakobyśmy dla uciążenia poddanych naszych, radniejszy to, aby roboty tykocińskie ludźmi najemnymi odprawowane byli widzieli, ale iż ludzie najemni za pieniądze ku tym robotom żadną miarą pod tym czasem sposobieni być nie mogą, a około zamku naszego tykocińskiego roboty są bardzo pilne, tedy chcemy mieć, iżbyście tych pieniędzy nie wybierali, ale wedle pierwszego rozkazowania naszego, poddanych naszych ludzi osadnych posyłali" (Z. 52, 36). Takie same listy zostały wysłane i do innych starostw i dzierżaw.

Z dziejów budowy zamku w Tykocinie mamy list królewski z Lublina pisany pod dniem 13 czerwca 1569 roku: „Wszem i każdemu z osobna... a zwłaszcza mytnikom naszym... ich pisarzom i strażnikom... Posyła do Tykocina urodzony Michajto Jało Maliński, marszałek nasz, sto wołów za rozkazaniem naszym i za pieniądze nasze skupione dla roboty do zamku Tykockiego. A tak rozkazujemy wam abyście ten poczet wołów wolno przez wszelakiego hamowania i myta wyciągania wszędzie przepuścili i przepuścić rozkazali. Dan w Lublinie na sejmie walnym koronnym" (Z. 52, 23).

W ten więc sposób powstawał zamek tykociński.

\* \* \*

Oprócz starostwa Tykocińskiego posiadał Górniciki starostwo wasilkowskie. Kiedy i od kogo je otrzymał rzecz o tyle sporna, że dwaj najnowsi biografowie, piszący prawie razem, różnią się co do daty o całe lat 14. P. Czarnik stara się dowieść, że Górniciki otrzymał Wasilków od Batorego w ostatnich czterech miesiącach jego życia (od początku sierpnia do 12 grudnia 1586 r.), P. Loewenfeld zaś przypuszcza, iż „otrzymał je dodatkowo od tak łaskawego nań monarchy. Zygmunt August ukończył (?) budowę miasteczka Wasilkowa w r. 1568. Oddzielnego starostwa utworzyć zeń nie mógł, ponieważ całe jego dochody nie przenosiły półtory beczki, dołączył je więc dla ulubieńca swego do większego Tykocina.“ Twierdzenia obydwóch autorów są mylne. Posiadamy pewną datę mianowania Górniciego starostą wasilkowskim.

Pierwój jednak kilka słów o Wasilkowie. Nie rozumiemy z kąd p. L. wie, że Zygmunt August w r. 1568 ukończył budowę Wasilkowa i w jaki to sposób można ukończyć budowę miasta? Kiedy Wasilków został założonym, nie wiemy. Nazwę Wasilkowa spotykamy 6 sierpnia 1528 r. w przywileju Zygmunta I, który „concedit oppido Tykociniensi et villis Złotoria liberum ingressum in nemora Grodnensia et Wasilkoviensia inter fluvios Suprad et Sokołka“ (Inventarium an. 1682 f. 285). Miasto to egzystowało

już w 1564, jak można wnosić z wyroku zapadłego 11 sierpnia 1565 r. „między mieszczaninami Wasilkowskimi, a żydem arendarzem bielskim o zebranie przeszłej zimy 120 kwart horełki“ (Sąd. 49, 28). Widzieliśmy wyżej wzmiankę o nim na dniu 31 sierpnia 1566 roku. 15 grudnia tegoż roku król podczas pobytu swego w Grodnie nadał miastu temu prawo magdeburskie. Z przywileju dowiadujemy się, że Wasilków założonym został z rozkazania królewskiego przez Grzegorza Wołowicza, kiedy on osadzał wolne miejsca w puszczy grodzieńskiej. Zygmunt August, na prośbę mieszczan wasilkowskich, 15 grudnia 1566 nadał im prawo magdeburskie, utwierdził pieczęć:—głowa łosia. Dla opatrzenia ich potrzeb nadał im prawo „sołodowni i browary s kottami mieti, waźnien, pomiernoje i jatki miesnyje, także i mostowoho, na rece Suprosle ot woza kupeckoho po dwa penezi, tyje wsi pożytki mająt' oni do skrynki miestkoje wybirati i tym ratusz i inyje potreby onoho miasta otprawowati... wolno też budet' dla potrzeb swoich żorny w domiech swoich mieti, i gdyby w mliniech naszich, abo dla wielikosti abo dla niedostatku wod mliwo byti nie mohło, w nich zbożje i krupy dla potrzeb swoich mołoti... K'tomu jak pierwěj pan Grigoriej Wołowicz lesow, boru, i senożatěj gruntu naszoho włostnoho hospodarskaho ku rozroblenju tym mieszczanom zawieł, zograniczyl, i pered nami o tych hranicach dostatočno sprawki dał, tohdy my tyje grunty... nadajem i sim listom utwerzdajem“ (Z. 48, 43 i 50, 40). Dalój następuje szczegółowa granica gruntów miasteczka, która w chwili obecnej nas mniej może obchodzić.

Po tém objaśnieniu przechodzimy do Górnickiego.

Wasilków Górnicki otrzymał od Stefana Batorego 21 lipca 1576 roku podczas jego pobytu w Tykocinie. Był to dzień ważny dla Górnickiego. Po koronacyi zjechał Batory do Tykocina, gdzie bawił od 16—23 lipca 1576 roku. Po przybyciu króla mieszkańcy wsi Mazurawa, należącój do Tykocina, zanieśli skargę na Górnickiego. Król wyznaczył dla rozpatrzenia tój sprawy lustratorów, którzy zdali sprawę, nie wspominając w relacyi o Górnickim. Późniejsi biografowie, biorąc z tego pochop, twierdzą, że położenie jego było nie do zazdrości, że nagły przyjazd Batorego do Tykocina zadraźnił go, zmieształ i zadziwił, że wreszcie król dotknął go boleśnie, postępując przeciw niemu z całą surowością. Zdanie to starał się zbić p. Gloger. Najlepszym jednak dowodem, że król nie dotknął Górnickiego boleśnie jest przywilėj na Wasilkowo, gdzie czytamy: „iż my gospodar majuczci wiadomost' ot ich miłosti panow rad naszich koronnych i W. Kn. Litowskoho o hodnych i pilnych zasłuhach sekretaria naszoho starosty Tykotinskoho Łukasza Górnickoho, kotorymi on ot czasow dawnych korolu JM sławnoje pamieti Zigimontu Awhustu, prodku naszomu, i roci pospolitotoje paustw naszich wo wsiakich sprawach na niego JK. Msti prodka naszoho perekładanych wiernie i cnotliwie, pilnie i nakładnie z nielitowaniem znacznych utrat na majetnosti swojej służył i teper zasłuhowati nie perestawajet'; jakoż na tot czas buduczci pri nas hospodari ich msti panowie rady naszi, a mianowicie—pan wilen-

skij, pan Jan Jaronimowicz Chodkiewicz, pan trockij podkanclerij WKL. pan Ostafiej Wołowicz i podkanclerij korony polskoje pan Jan Zamojskij służby wpered reczonoho Ł. G. nam zalecali i w przicinie za nim nas żedali pro to my jak zastuhi Ł. G. nam ot J. M. ponow rad naszich zaleconyje mejucci i sami dielnost' i hodnost' jeho do służob wszelakich ku nam gospodaru i reczi pospolitoje obaczajuczi... dali jeszcze do jeho żywota folwarok wasilkowskij... niczoho na nas gospodaru i do skarbu naszoho zo wsich pożytkow folwarku mlinow i wołosti wasilkowskoje prichodiaczych nie wyjmujuczi. A k' tomu zostawujem pri pomienienom Łukaszu G. miasto Wasilkowskoje, kotoroje do sieho czasu on że sam dierzit ziwłodnostju wrada wojtowskoho, do jeho żywota takim sposobom, iż on miasto Wasilkowo w dierzaniu swoim majuczi wszelakie požitki, kotoryje z onoho miesta do skarbu naszoho prichodiat, do skarbu naszoho otdawati i liczba tych požitków w skarbie naszom cziađti budet' powinien..." (Z. 58, 14 i 63, 9). Przywilej ten w każdym razie świadczy oczywiście, że Górnicki wcale nie był dotknięty boleśnie przez nowego króla, sama taka odezwa pochlebna mogła wynagrodzić szczupłość materyalnego daru. Wasilków rzeczywiście dawał bardzo niewiele. Razem z przywilejem wpisany został do ksiąg wyciąg z inwentarza Wasilkowa, który podajemy.

„Wasilkow miasto, y Folwark, y Wołosć.

Według pomiaru rewizorskiego na pasznią dworną obrócono włók 8, ale nie są wyrobione, tylko tak wiele wyrobiono, że się żyta posiało anno 70 beczek 28, z tego się było nażęto kop 85, namłocyło się tylko b. 25.

#### Miasto Wasilkow.

Rynkowych prętów	164 $\frac{1}{2}$	po den.	7 $\frac{1}{2}$	czyni kop.	2, 3, 2.
Ulicznych	2583	„	5	„	21, 31, 5.
Ogrodowych	1106	„	2 $\frac{1}{2}$	„	4, 36, 5.
Morgów polnych	243 $\frac{1}{2}$	„	2 $\frac{1}{2}$	„	10, 8, 5.

Z sianożętnych prętów tylko gr. 10; włók miejskich 119 $\frac{1}{2}$  po gr. 42 czyni k. 83,39.

Suma z miasta, według ustawy rewizorskiej, czynićby miała kop 122, 18, 7; ale tego miasta dobrze więtsza połowica spostarzało, nie tylko prze głód, powietrze, ogień, ale więcej przez złe grunty piaskowate, na których nie jest nadzieja, aby się ludzie osadzać mieli, bo i domy ich opadły.

Do tego miasta dwie wsi są, to jest:

Sioło Studzianka włók 100, z których z dawna pustych włók 45 $\frac{1}{6}$ . Na wójta wolnych włók 2, a osadnych włók 52 $\frac{5}{6}$ , s kaźdój po gr. 50 czynićby miało kop 44.

Sioło Dąbrówka włók 15. Z tych pusta z dawna włóka 1, a z włók 14 płacą po gr. 50 czyni kop 11, 40.

Z tych dwóch wsi czyni kop 55, 40. Z tém ze wszystkich młynów arendę dają kop 24.

Suma summarum: według opisanja rewizorskiego miałyby czynić ze wszytkiej dzierżawy wasilkowskiej (gdyby wszytko osiadło, co być nie może), kop 201, 58, 7.

Ale teraz wszytkiego, i potym i połowice nie uczyni; kopszczyzny w inwentarzu nie opisano, podobno się to w wolności miejskiej zamyka“ (Z. 63, 20).

Że Wasilków nie dawał wiele, to kwestyi nie ulega. Wątpić bardzo jednak należy w dosłowność cyfr podanych w inwentarzu. Toć to była wieś, do której trzeba było dokładać: 28 beczek posiano, a 25 zebrano! Cóż się tedy mogło dostać Górnickiemu. Dochód z miasta i wszelkie z niego pożytki dzierżawca, według przywileju, musiał wybierać i oddawać do skarbu. Jemu się dostawały tylko pożytki z folwarków, z których liczby nie miał czynić do skarbu do żywota swego. Tych folwarków było trzy—Wasilków, Studzienica i Dąbrowka. Do Wasilkowa należało dolożyć, nie wystarczyło na zasiew, a inne wsie dają 55 kop 40 złotych. Jeżeli sądzić z tego inwentarza, to nie wiele potrzebował Batory zrobić, aby mieć Górnickiego „jeszcze ochotniejszego i sposobniejszego do służeb.“

Widzieliśmy z przywileju na Wasilków, że w owym czasie Górnicki pełnił obowiązki wójta, co mu nadal pozostawił Batory. Do urzędu tego należały 3 włoiki wójtowskie dwie w Studzienicy i jedna w Dąbrowce. Musiał z nich Górnicki korzystać do chwili przyjazdu króla. Urząd jednak wójtowski, nadany przez Zygmunta Augusta Zdzitowskiemu i jego potomkom. Po śmierci Zdzitowskiego pozostała wdowa, która po roku 1576 pospieszyła się wyjść za mąż powtórnie, i nieletnie dzieci. Otóż po wyjeździe króla z Tykocina dnia 25 lipca 1576 r. w Knyszynie owa wdowa, Hanna Żembocianka, wespołem z mężem swym Piotrem Maciejewskim biła czołem królowi i pokładała list króla JEM. „sławnoje pamiati Zigimonta Awhusta, kotorym korol JM. mužu jeje pierszomu Wasilju Zditowskiemu i potomkom jeho, kotoryje by na to hadnymi buduczzi z woli JKM. podany byli, dati raczył wójtowstwo w mieście naszom Wasilkowskom, na katoroje wójtowstwo w tomże mieście Wasilkowskom tri wołoki zemli, od wsich płatow wolno, pridanyje jest. A iż tot wójt miasto Wasilkowskoho z toho swieta zszoł a dieti jeho let nie dorosłyje zostali, za czim toje wójtowstwo do ruk i szafunku naszoho hospodarskoho prziszło, tohdy my uważajuczi pro nie doszłyje leta swoje dieti Wasila Zditowskoho onym wrodom wójtowstwa Wasilkowskoho sprawowati nie mohl, wierchu mianowanoe wójtowstwo, to jest władza sudu majdeburskoho do let dietinnych tobie Górnickij zlecili pod takim sposobom: iż ty na onoe wójtowstwo lentwójtom na miescu swoim słuh swoich ani żadnoje moje osoby obczoje stawiti nie mojež, tolko z tamtych że poddanych naszich wasilkowskich, tam w mieście Wasilkowie dobrze osiętych. A wiedze wzgladom toho prawa, katoroje korol JM. Zigimont Awhust nieboszcziku wójtowi Wasilkowskiemu i potomkom jeho dati raczył, pozwolili jesmo, i sim listom naszym pozwolajem wpieried rieczenoj Hannie Żemboczance i mužu jeje Pietru Matiejewskomu,



jako tomu, kotoryj diety pierszoho wojta w opiece swojej majet', tych troh wołok, szto na wojtowstwo Wasilkowskoje ot JKM. nadany, okrom władzy spraw sudowych prawa majdeborskocho, także i domu włostnoho, kotoryj ona ot pierszoho muža swojeho zapisanyj majet', wolna... dierzati i używati: ...A iż tiepier tych troch wołok wojtowskich ty uziwajesz pro to ot sieho czasu, abyś wśo Pietru Matiejewskomu i żonie jegho Hannie Żemboczance w uziwanje postąpił.“ (Z. 63, 18). W ten więc sposób urząd pozostał przy Górnickim, a włoki przy kim innym...

W późniejszych czasach z dochodów starostwa Wasilkowskiego Górnicki wypłacał katedrze wileńskiej 31 kop groszy litewskich. Z tego powodu Zygmunt III, dnia 30 maja 1596 roku, „mając wzgląd na posługi jego, odpuścił mu podwodne pieniądze, które przezeń skarbowi po ten wszystek czas używania dzierzawy wasilkowskiej aż dotąd zatrzymane są. A chcąc mu jeszcze większą łaskę pokazać, daruje te wszystkie podwodne pieniądze, któreby do skarbu z dzierzawy wasilkowskiej przychodziły i przychodzą aż do jego śmierci, gdyż on inszą powinność, według przywileju na dzierzawę wasilkowską sobie danego, pełniąc, kapitule wileńskiej kop litewskich trzydzieści i jedną na rok każdy płaci“ (Z. 83, 100). W teje kwestyi dany był list podskarbiemu Demetremu Chaleckiemu, treści następującej: Zygmunt III etc. Mamy tę wiadomość, iż Uprz. W. starostę naszego tykocińskiego i wasilkowskiego ur. Łukasza Górnickiego o niewydanie podwodnych pieniędzy z dzierzawy wasilkowskiej na sąd nasz pociągać checsz, których pomieniony Łukasz Górnicki, rozumiejąc mieć prawo na to, iż mu ze wszystkim te dzierzawę wasilkowską dano, za tym też iż się i w te podwodne pieniądze includowały rozumiał, do skarbu naszego nie oddawał, upatrując tedy, iż nie złym umysłem to czynił; więc mając wzgląd na posługi jego, które przodkom naszym i nam samym wyrządzał, odpuściliśmy i tym listem odpuszczamy...“ Dalej następuje powtórzenie tego co powiedziano w liście do Górnickiego (H. 100 v.).

Odpuszczenie zatem podwodnego z Wasilkowa wyprzedziło niemal o rok cały (27 lutego 1597 r.) nadanie Górnickiemu wszystkich dochodów zestarostwa tykocińskiego przez Zygmunta III. (Czarnik, 55).

\* \* \*

Niżej podajemy kilka szczegółów dorywczych z życia Górnickiego, które w ogólniej masie mogą przedstawić pewien interes, i choć są okruciami, niech nie giną w zapomnieniu. Piętnaście pierwszych notatek pochodzi z ksiąg Wyroków lubelskich, znajdujących się w Warszawie w arch. gł.

Księga 36: 1. 1589, VII, 12. W sprawie poddanych St. Fogelwедера przeciwko Ł. Górnickiemu, tenutaryuszowi dóbr królewskich Tykocina, a dziedzicowi na Tokowisku, o zabranie siana trybunał nakazuje przysięgę powodom w sądzie bielskim w Surażu (f. 52 v.).

2. 1589, 18, VII. W sprawie Jerzego Brzoski, pisarza ziemi bielskiej przeciwko Ł. G., iż tenże w zmwowie z żydami tykocińskimi—Jaczeko, Juda Sulkowicz—zamknął powoda w wieży i więził, sąd potwierdza wyrok ziemski i nakazuje Górnickiemu złożyć oczyszczającą przysięgę w sądzie surażskim, *quod actorem non captivavit nec incarceravit* (f. 336).

3. Tenże Brzoska przeciwko Ł. G. za niedopełnienie wymiaru sprawiedliwości przeciwko żydom, którzy temuż Brzosce jakoby rany zadali, co na 600 grzywien sobie ocenił. Sąd tryb. żądanie powoda uchyla (344).

4. Tenże pozywa Ł. G. o wycięcie 3,000 drzew w lesie dóbr Szafranki, należących do powoda, sąd tryb. odsyła sprawę do sądu ziemskiego, i poleca Górnickiemu wykonać wraz z 2-ma szlachty przysięgę oczyszczającą, *quia 3 milia arborum non excidit*. (371).

5. Seweryn Jankowski, dziedzic dóbr Sikory Tomkowieckie, przeciwko Ł. G. o niesłuszne jakoby zaaresztowanie powodowi różnych rzeczy ruchomych, skrzyń żelazem okutych wraz z różnemi rzeczami, odzieżą, futrami i t. p. Trybunał uwalnia pozwanego G. od wszelkiej odpowiedzialności (477).

6. Tenże S. Jankowski zaocznie odsądzony od pretensyi, jakie zakładał sobie przeciwko Górnickiemu, za zabranie jakoby 75 złotych z dziesięciny wsi Złotoryi, przez Jankowskiego dzierżawioną (540).

7. Tenże Jankowski zaocznie odsądzony od pretensyi, jakie zakładał przeciwko G. o to, iż go niesłusznie uwięził, „*vocatum* (t. j. Jankowskiego) *ad mutua colloquia ad bona Lipniki residentiam tuam protunc tenute tuo a S. R. Mstate*“ (554) <sup>1)</sup>.

8. 1590, V, 22. Jan Wielicki, dziekan i oficyał Sandomirski, pozwał Ł. G. o dziesięciny w snopach, należące do dekanatu sandomierskiego, zabrane we wsi Zaduszniki w latach 1568, 1586 i 1587, ceniąc je na 30 grzywien i tyleż szkód. Sprawa ze sądu sandomierskiego przeszła drogą apelacyi do trybunału, który postanowił po ostateczną decyzją odesłać strony do sejmu, który miał się zebrać w celu uporządkowania spraw o dziesięciny między stanem świeckim a duchownym (41, 152).

Księga 57: 9. 1594 po 17 kwietnia (post conductus Pasche). Poddany z Wólki Zielonej, której tenutaryuszem Łukasz G., starosta tykociński, pozywa szl. Rafała Kalinowskiego o zabranie dwóch owiec (124).

10. Paweł, syn Andrzeja de Grzymały z powiatu Zambrowskiego, pozwał Ł. G. o niewykonanie sprawiedliwości przeciwko poddanym wsi Sanniki i Pajewo, i uzyskał na nim karę dwakroć szczęściu grzywien (*binas poenas VI marcarum*), którą Ł. G. przez swego famulusa *nobilem Nicolaum Głodowski* zapłacił w obec sądu (414—418).

11. Tenże pozywa Ł. G. o niespełnianie sprawiedliwości względem swego podstarościego, Stanisława Komorowskiego, za gwałty,

<sup>1)</sup> Wszystkie dokumenta od 3—7 pod jedną datą.

których się względem powoda dopuścił. Trybunał odsyła sprawę do sądu ziemskiego tykocińskiego (498).

12. Łukasza G. pozywają Stanisław, Feliks, synowie Alberta Herman, Jan Srednicki, Czochońscy i w. i. heredes in Hermany et comparticipes o zepsucie granicy ich, o pooranie ściany dawniej, która dzieliła grunt pozwanych od gruntu królewskiego, (Hermany nadane zostały powodom przez Zygmunta Augusta), dzierżawy tykocińskiej, o uczynienie nowej ściany i t. d. Trybunał nakazuje przysięgę pozwanemu, oczyszczającą ze dwoma ze szlachty (1329).

13. Ł. G., jako powód pozywa Józefa Ożarowskiego de Ożarów, iż tenże sprzedawszy Górnickiemu przed aktami sandomierskimi wieś Leszczkow, nie dostatecznie zabezpieczył tytuł własności od nagabania krewnych i współuczestników. Powód nie staje przed sądem, strona pozwana od pretensyi się uwalnia (60, 370)<sup>1)</sup>.

14. 1596. Ł. Górnicki uzyskuje wyrok banicyi przeciwko Czochońskim, Hermanom i in. o niesłuszną pretensyę (vide nr. 12), (68, 383).

15. 1598. Pozwany przez Stanisława z Kruszewa Kruszewskiego, Ł. G. o odmówienie sprawiedliwości nad poddanymi wsi Mazury, uwolniony od odpowiedzialności (ks. 76).

16. 1604, III, 29. Jakób Mężeński zeznał na dniu 10-go maja 1604 roku przed aktami ziemskimi drohiczyńskimi obligacją, uczynioną przed sądem ziemskim bielskim, odprawionym w Brańsku 29 marca 1604 r., w której Mikołaj Kiszka, starosta drohiczyński, potwierdził, że dobra swe Ostrożany i Jaszczołty zastawił w 3,500 zł. córce nieboszczyka Łukasza Górnickiego, Zofii, wdowie po nieboszczyku Maksimilianie Mężeńskim (kopia wierzytelna z archiwum prywatnego).

Więc Zofia nie długo po śmierci ojca owdowiała.

Podane wyżej szczegóły usprawiedliwiają następujące sprostowanie w datach, podawanych przez biografów Górnickiego:

1. Górnicki nie otrzymał dzierżawy tykocińskiej bezpośrednio po śmierci Jana Szymkowicza (1569).

2. Daty postąpienia Górnickiego na starostwo tykocińskie należy szukać pomiędzy 8 września 1571 r. a 8 maja 1572 roku. Najprawdopodobniej nominacja zapadła w roku 1572.

3. Wasilków dostał Górnicki od Stefana Batorego w dniu 21 lipca 1576 roku.

4. Jednocześnie Stefan polecił mu pełnienie urzędu wójtownskiego w Wasilkowie, do pełnych lat dzieci pierwszego wójta, Zdzisłowskiego.

Petersburg, we wrześniu 1885 roku.

<sup>1)</sup> Od 9—18 jedna data.

# SZKOŁY LUDOWE W GALICYI.

PRZEZ

*H. d-ra Biegeleisena.*

1. Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją prof. dr. Tadeusza Pilata, tom IX, zeszyt I. Lwów, drukarnia związkowa, 1886, str. 72 in folio.

2. Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie wychowania publicznego w roku szkolnym 1883/4. Szkoły ludowe i seminaria nauczycielskie. We Lwowie, 1886, nakładem c. k. Rady szkolnej krajowej, str. 52, in folio.

Sprawa reformy szkoły ludowej w Galicyi, będąca przedmiotem obrad na każdej niemal sesyi sejmowej, nie doczekała się dotąd, mimo różnych przemian, stanowczego załatwienia. Szkoły ludowe domagają się obecnie w dwóch głównie kierunkach reformy: w kierunku dydaktycznym żądamy, aby naukę udzielaną w szkołach ludowych, przystosowano bardziej do stosunków i potrzeb praktycznych tej najlicniejszej części ludności, która poprzestaje na elementarném wykształceniu; w kierunku administracyjnym żądamy, aby zarząd funduszami szkolnymi, należycie uporządkowano i przeniesiono w ręce, zdolne odpowiednio go sprawować, a następnie, aby administracya szkolna, zwróciła starania swoje i zasoby, któremi rozporządza, głównie ku zakładaniu szkół ludowych w gminach, które ich dotąd nie mają, zamiast pomnażać liczbę klas w szkołach już istniejących. Prócz tych żądań, które dotąd były głównym przedmiotem dyskusyi równie w sejmie jak i w jego komisjach, i na zgromadzeniach publicznych, podnoszono w prasie jeszcze inne żądania, jak sprawę szerszego zastosowania nauki półdzienniej, co pozwoliło-

by poprzestać na mniejszej liczbie sił nauczycielskich, dalej sprawę odmiennego rozkładu ciężarów szkolnych i t. p. kwestye mniejszej doniosłości. Żądaniom tym, odnoszącym się do strony administracyjnej, stało się w małej tylko części zadość przez rozporządzenie Rady szkolnej i przez ustawy krajowe z lat ostatnich. Wszczęły się więc z tego powodu spory między Radą szkolną krajową a wydziałem sejmu krajowego, które dotychczas nie zostały rozstrzygnięte. Jak się to często zdarza w sprawach publicznych, tak i tu krytykę istniejących urzędzeń tudzież żądanych zmian utrudniają wielce liczne uprzedzenia i nieporozumienia, po większej części ztąd wynikające, że spierający się oceniają stan rzeczy w całym kraju, według własnych spostrzeżeń z najbliższego otoczenia zaczerpniętych, a zbyt pośpiesznie zgeneralizowanych i że w ogólności panuje wiele niejasności co do istotnego stanu rzeczy. W obec tego koniecznym zadaniem, jakie spełnić należy dla uchylenia owych nieporozumień i uprzedzeń, dla ograniczenia zakresu dyskusyi i stworzenia dla niej wspólnej przedmiotowej podstawy, jest niewątpliwie dokładne przedstawienie faktycznego stanu rzeczy. Zadanie to, wchodzące całkowicie w zakres pracy statystycznej, spełniają sumiennie wiadomości statystyczne, wydawane przez prof. T. Pilata (Lwów, 1886), zestawiające najważniejsze i najświeższe daty, odnoszące się do strony administracyjnej i finansowej urzędzeń szkolnych.

Zanim podamy wyniki badań prof. Pilata, przedstawimy w kilku słowach obecny stan szkół ludowych w Galicyi.

Ustawy galicyjskie różnią dwie kategorye szkół ludowych, stosownie do tego, czym kosztem szkoły się utrzymują. Szkoły ludowe utrzymywane w całości lub w części z funduszków państwa, kraju, powiatu lub gminy, są szkołami publicznymi, wszystkie inne są szkołami prywatnymi.

Publiczne szkoły ludowe zostają pod nadzorem rad szkolnych miejscowych, a w dalszym rzędzie rad szkolnych okręgowych i rady szkolnej krajowej. Szkoły prywatne nie podlegają nadzorowi rad szkolnych miejscowych, lecz tylko zwierzchniemu nadzorowi wyższych władz szkolnych, chętnie udzielających pozwolenia na otwarcie takiego zakładu. Nauczycieli uczących w tych szkołach dobiera sobie właściciel zakładu, muszą oni jednak posiadać odpowiednie uzdolnienie. Plan nauki musi odpowiadać co do celu wymaganiom, postanowionym dla szkoły publicznej tego samego stopnia, lecz może obejmować jeszcze dalsze kierunki. Co do urzędzeń szkolnych istnieje ten tylko warunek, aby nie budziły obawy o zdrowie dzieci. Minister wyznań i oświaty może przyznać szkołom prywatnym prawo wydawania świadectw, mających to samo znaczenie prawne, co świadectwa udzielane przez szkoły publiczne. Ponieważ organizacja publicznych szkół ludowych nie jest dotychczas przeprowadzoną w całym kraju, dla tego istnieją jeszcze publiczne szkoły ludowe, urządzone na podstawie dawniejszych przepisów szkolnych, które odróżniamy od szkół

zreorganizowanych, t. j. urządzonych na podstawie ustaw szkolnych z r. 1873. Szkoły ludowe publiczne zorganizowane dzielą się podług zakresu nauki na szkoły wydziałowe i pospolite. Pospolite szkoły ludowe mogą być albo etatowe albo filialne. W tych ostatnich udzielają nauki nauczyciele szkoły sąsiedniej, bądź stale utrzymywani, bądź dochodzący, lub też nauczyciele nadetatowi. Publiczne szkoły ludowe służą równocześnie dla nauki chłopców i dziewcząt. Wszakże gdzie tylko wystarczają miejscowe fundusze, albo gdzie jest wielki napływ uczniów, mają dziewczęta pobierać naukę oddzielnie, lub mają być urządzone oddzielne szkoły żeńskie. Podług ilości klas, dzielą się szkoły ludowe na jedno- dwu- lub więcej klasowe, stosownie do tego, czy w nich uczy jeden tylko nauczyciel, czy też dwóch lub więcej. Podział szkół zatem według ilości klas jest podziałem według ilości sił nauczycielskich. Przy szkołach prywatnych zaś podział na klasy nie stoi w związku z ilością nauczycieli, lecz oznacza tak samo, jak w szkołach średnich, ilość stopni nauki.

Według I-jej tablicy statystycznej prof. Pilata, było w całym kraju w ostatnim roku szkolnym tylko 14 szkół wydziałowych (8 męskich a 6 żeńskich). Wszystkie miały po ośm klas, a zatem obejmowały także niższe stopnie nauki, wchodzące w zakres szkół ludowych pospolitych. Razem mamy szkół ludowych publicznych, urządzonych na podstawie obowiązujących ustaw szkolnych, 2,721, takich zaś, których organizacja polega na dawniejszych przepisach, jest w bieżącym roku szkolnym jeszcze 348. Szkół prywatnych, których liczba daleko częściej się zmienia niż liczba szkół publicznych, było z początkiem bieżącego roku szkolnego ogółem 318, nie licząc ochronek, ani też chajderów żydowskich, których część ma także charakter ochronek, lecz liczby ich dokładnie dotychczas nie znamy. Z ogólnej liczby (318) szkół prywatnych utrzymują: gminy wyznaniowe (wyłącznie prawie ewangelickie) szkół 73, zgromadzenia zakonne — 32, inne stowarzyszenia — 10, osoby prywatne aż — 194; z tej ostatniej liczby mamy szkół ludowych, utrzymywanych przez obszary dworskie w całym kraju tylko 9, licząc w to szkołę w Zakopanem, do której utrzymania przyczyniają się robotnicy przy hamerni. Kiedy tymczasem resztę, około sto kilkadziesiąt szkół, utrzymują właścianie, którzy składają się na wspólnego nauczyciela dla dzieci swoich. Nauka ta odbywa się przeważnie tylko w zimowych miesiącach, zazwyczaj po chatach, ograniczając się do nauki czytania, pisania i rachunków, a udzielaną jest przez ugodzonego nauczyciela, którego kwalifikacja bywa bardzo rozmaita. Jeżeli zwłaszcza z tego ostatniego względu, jakoś nauki udzielanej w takich szkołach nieraz może wiele pozostawiać do życzenia, to z drugiej strony szkoły takie są w każdym razie chlubnym dowodem samoistnego poczucia potrzeby oświaty u ludności wiejskiej. Między szkołami prywatnymi znajduje się szkoła w Lipniku pod Białą, utrzymywana przez stowarzyszenie szkolne niemieckie (deutscher Schulverein). Jest to jedyna szkoła w Galicyi, subwen-

cyonowana przez rzeczne stowarzyszenie, którego celem jest popieranie germanizacji w krajach z ludnością mieszaną. Aby ocenić, o ile kraj nasz zaopatrzony jest w szkoły ludowe, dość powiedzieć, iż mamy jeszcze 2,376 gmin wcale nie zaopatrzonych w szkoły ludowe, a gminy te obejmują 1,350,000 ludności, czyli czwartą prawie część ludności całego kraju. Ztąd, że procent ludności nie zaopatrzonej w publiczne szkoły ludowe jest blisko dwa razy mniejszy, niż procent gmin, w których ta ludność mieszka, wynika, iż między niezaopatrzonymi dotąd w publiczne szkoły ludowe, znajdują się przeważnie gminy małe, liczące nie wiele mieszkańców, a skutkiem tego rozporządzające daleko skromniejszymi środkami materialnymi. Tablice statystyczne prof. Pilata świadczą, że do powiatów najgorzej zaopatrzonych w szkoły ludowe, należą powiaty zachodnie i niektóre środkowej części kraju. Do powiatów zaś najlepiej zaopatrzonych, należą powiaty wschodnie i niektóre na południu środkowej części kraju położone. Szkoły prywatne nie mają obowiązku przyjmowania zgłaszających się uczniów, trudno zatem obliczyć, w jakim stopniu istnienie tych szkół czyni zbędnym, lub przynajmniej mniej pilnym zakładanie szkół publicznych w tych samych gminach. Ze stanowiska oświaty musimy jednak uwzględnić, że jakkolwiek nauka w szkole publicznej jest zazwyczaj więcej uregulowaną i obejmuje zwykle większą ilość młodzieży, to przecie szkoły prywatne mogą spełniać zadanie edukacji równie dobrze, a czasem w miarę lepszych sił nauczycielskich nawet lepiej, niż sąsiednie szkoły publiczne. W tej też myśli stanowi ostatnia nowela szkolna, że, „gdzie prywatna szkoła ludowa czyni zadość potrzebie, tam nie zachodzi konieczność założenia publicznej szkoły ludowej.“ W skutek uchwał sejmowych, wzywających rząd do zwrócenia szczególniejszej uwagi na zakładanie szkół w okolicach dotąd w szkoły niezaopatrzonych, zaczęła wzrastać w ostatnich latach ilość szkół nowozałożonych. W ostatnim preliminarzu z r. 1885 wykazano szkół nowozałożonych 131. Przypuściwszy, iż w latach następnych zakładanoby po 131 szkół corocznie, upłynęłoby jeszcze więcej niż 12 lat, zanimby wszystkie gminy w kraju zaopatrzone zostały w szkoły ludowe. Stosunek gmin, utrzymujących szkoły u siebie do gmin, przydzielonych do gmin sąsiednich przedstawia się tak, że obecnie z ogółu gmin, zaopatrzonych już w szkoły, trzy czwarte mają je u siebie, a jedna czwarta przydzieloną jest do szkół w gminach sąsiednich. W ostatecznym rezultacie wypadnie założyć w całym kraju jeszcze 1,796 szkół ludowych publicznych. Rozwój szkoły ludowej odpowiadającej intencjom ustawodawstwa, tudzież łożonym na nie znacznym ofiarom z funduszków publicznych, zależy niewątpliwie od ciągłego nadzoru nad zachowaniem się nauczycieli, od czuwania ciągłego nad tém, aby według właściwej metody udzielali nauki i należycie postępowali z dziećmi. Tymczasem już pogląd na obszar i zaludnienie okręgów szkolnych wskazuje, że część ich jest za rozległą, aby inspektorowie mogli ów nadzór należycie spełnić. Jeden inspektor okrę-

gowsy może należycie dozorować najwięcej 120 szkół. Tymczasem z okręgów szkolnych, w których liczba szkół publicznych, nie licząc wcale szkół prywatnych, choć te także nadzorowi podlegają, przekracza tę miarę, ma okrąg np. Złoczowski do 200 szkół. Reforma więc nadzoru szkolnego jest konieczną. Może ona polegać albo na pomnożeniu liczby rad szkolnych okręgowych, przez co zmiejszyłyby się obszar okręgów szkolnych, albo też na pomnożeniu liczby inspektorów szkolnych okręgowych przez przydanie drugiego inspektora okręgow, w których liczba szkół jest zbyt znaczną. Pierwszy środek, za którym przemawia żywszy udział powiatów w zarządzie szkolnym, jeśli tenże ma swoją siedzibę w obrębie powiatu, wymagałyby ustawy krajowej; drugi środek t. j. samo pomnożenie liczby inspektorów okręgowych przewidziany jest w ustawie z d. 25 czerwca 1873 i mógłby być zastosowanym w drodze rozporządzenia, skoroby ze skarbu państwa, który opłaca inspektorów okręgowych, wyznaczony został potrzebny w tym celu kredyt. Ustawa krajowa z d. 2 lutego 1885 wkłada obowiązek zakładania i utrzymywania publicznych szkół ludowych, w pierwszym rządzie na gminy, wcielone do zakresu szkolnego, zobowiązując zarazem obszary dworskie, należące do tej samej gminy podatkowej do przyczyniania się na te cele. Obowiązkowe te „prestacje“ pieniężne gmin i obszarów dworskich na rzecz szkoły, wpływają wraz z karami ściąganiem od rodziców za opieszałość w posyłaniu dzieci do szkoły, oraz z innymi dochodami do funduszu szkolnego. Fundusze te szkolne, czyli co na jedno wychodzi, ciężary, połączone z urządzeniem i utrzymaniem publicznych szkół ludowych oparte są w kraju naszym przeważnie na podstawie podatkowej. W obec tego, chcąc rozpatrzeć stronę finansową zarządu szkół ludowych, wypada przedewszystkiem zyskać pogląd na ową podstawę podatkową. Jest nią z jednej strony gmina, z drugiej obszar dworski. Ogólna kwota rządowych podatków bezpośrednich opłacanych w Galicyi, wynosi przeszło jedenaście i ćwierć miliona zł. rocznie. Owa kwota podatków, służących za podstawę do wymiaru dodatków na pokrycie wszelkich potrzeb samorządu krajowego, rozkłada się w ten sposób, że na obszary dworskie przypada 31% ogólnej kwoty podatkowej, na gminy wiejskie i miasteczka aż 57%, na resztę miast tylko 12%. Udział właścicieli większych posiadłości jest najmniejszy tam, gdzie większa własność składa się prawie wyłącznie z lasów, jak to ma miejsce przedewszystkiem w górach, za to zaś stosunkowo najznaczniejszym jest na Podolu, gdzie grunta większej własności należą przeważnie do kategorii ról, tudzież w okolicach, w których więksi właściciele posiadają znaczniejsze przedsiębiorstwa przemysłowe. Kwota roczna t. zw. rzeczowych wydatków szkolnych t. j. wydatków na wystawienie lub najem i trzymanie budynków szkolnych i mieszkań dla nauczycieli, tudzież na ich opał i oświetlenie, nie da się obliczyć ściśle. Dla najogólniejszego jednak zoryentowania się, gdybyśmy przyjęli, zgodnie z Radą szkolną krajową kwotę 284 zł., ja-



ko przeciętną roczną wysokość wydatków rzeczowych, to w obec tego, że ilość szkół ludowych publicznych dojdzie prawdopodobnie, po dokonaniu organizacji w całym kraju, do cyfry 5,000, wydatki rzeczowe funduszów szkolnych miejscowych, wynosiłyby wtenczas w całym kraju z wyłączeniem Lwowa i Krakowa rocznie 1,373,708 zł. Rozłożywszy tę sumę w myśl ustawy na opodatkowanych wypadnie: na właścicieli większych posiadłości około 15,000 zł.; kiedy na gminy wiejskie i miasteczka wypadnie do 1 miliona.

Co do innych wydatków na publiczne szkoły ludowe, do których należą przedewszystkiem płace nauczycieli, ustawa przepisuje granicę obciążania „dodatkami do podatków“ tak na rzecz funduszów szkolnych miejscowych, jak i okręgowych. Najwyższy zasób „prestacyj“ podatkowych na rzecz funduszów szkolnych miejscowych wynosi 9% od podatków w gminach, a tylko 3% od podatków na obszarach dworskich. Przychody funduszów szkolnych miejscowych, przeznaczone na opłacanie nauczycieli, w myśl ustawy szkolnej przelewane bywają do funduszu szkolnego okręgowego, a ten do krajowego, powiększają się zaś głównie przychodami „z dodatków do podatków,“ uchwalonych przez rady powiatowe. Otóż w zarządzie tymi funduszami, okazały się wielkie „mankamenta,“ które były przedmiotem gorących walk władz szkolnych ze sejmowemi. Wiadomości statystyczne, jako oficjalny organ wydziału krajowego podają następujące „przyczyny znacznych wadliwości“ w zarządzie funduszu szkolnego krajowego. W pierwszym rzędzie leżała wadliwość w tém, że rady szkolne okręgowe, którym władze polityczne mają dostarczać potrzebnych sił pomocniczych, nie rozporządzając w dostatecznej mierze takimi siłami, nie prowadziły należycie ksiąg kontowych funduszów szkolnych okręgowych a nie mając wskutek tego ewidencji stanu rzeczonych funduszów nie mogły przedstawiać Radzie szkolnej zamknięć rachunkowych i należycie ułożonych preliminarzy. Dalsza przyczyna leżała w tém, że rady szkolne okręgowe nie pilnowały wczesnego ściągania przychodów swoich, a mianowicie przeznaczonych na opłacanie nauczycieli, a wydatki szkolne, które powinny i mogły być pokryte temi przychodami, pokrywały zasilkami z funduszu szkolnego krajowego. Trzecia przyczyna wadliwości leżała w tém, że ustawa szkolna poruciła ściąganie „prestacyj,“ przeznaczonych na płace nauczycielskie, a wpływających następnie do funduszu szkolnego okręgowego, w pierwszym rzędzie radzie szkolnej miejscowej. Rada szkolna miejscowa zaś i wybrany z pośród niej przewodniczący nie mogą podołać temu obowiązkowi, ponieważ nie służy im prawo egzekucyi. Prócz tego brak im zbyt często i chęci do gorliwego pilnowania, aby przychody funduszu szkolnego miejscowego regularnie wpływały; z drugiej zaś strony ani rady szkolne okręgowe, ani rada szkolna krajowa, nie mają sposobu zmusić je do pełnienia obowiązków, gdyż ustawa o nadzorach szkolnych nie obmyśliła w téj mierze żadnych środków. Według ustawy téj, rady szkolne miejscowe i ich przewodniczący nie po-

dlegają władzy dyscyplinarnej wyższych władz szkolnych, a jedyną skuteczną atrybucją, jaka służy w obec nich radzie szkolnej okręgowej, jest prawo odjęcia zarządu funduszem szkolnym miejscowym i poruczenia go innej radzie szkolnej miejscowej, lub objęcie go we własne ręce. Pierwsza ewentualność nie może przynieść pożytku w praktyce, druga obarcza radę szkolną okręgową, nie mogącą najczęściej poddać własnym obowiązkom, znacznym nowym ciężarem. Wreszcie czwartą przyczyną jest ta okoliczność, że ustawa o kosztach utrzymania szkół, tworząc trzy stopnie funduszków szkolnych, wprowadziła je w taką od siebie zależność, iż regularny zarząd funduszu szkolnego krajowego, zawisł od regularnego zarządu funduszami szkolnymi okręgowymi, a ten znowu od należytego zarządu funduszami szkolnymi miejscowymi. Każde więc zaniedbanie w zarządzie tych ostatnich funduszków, musi koniecznie odbijać się na funduszu szkolnym krajowym. Niedostatki te w urzędzeniu i zarządzie funduszków szkolnych wykazywano kilkakrotnie w sejmie krajowym, lecz nigdy nie przyszło do zmian w przepisach ustawy. Natomiast władze szkolne poczyniły w drodze administracyjnej doniosłe zmiany w tej mierze. Obok tych zmian zarządziła rada szkolna krajowa przedtém jeszcze likwidacyą funduszków szkolnych okręgowych za ostatnich lat 10.

W ciągu lata roku 1885 uskuteczono wreszcie zamknięcie rachunków funduszu szkolnego za rok 1884. Równie owe rachunki funduszków szkolnych okręgowych z ostatniego dziesięciolecia, wykazujące po raz pierwszy, jakie przychody i jakie wydatki miały powyższe fundusze od czasu założenia swego, jak i wspomniane zamknięcie rachunków funduszu szkolnego krajowego z r. 1884, ułożone po raz pierwszy na podstawie rachunku funduszków szkolnych okręgowych z tegoż roku,—okazały się bardzo niedokładne, co dało nowy powód do skarg i sporów dotąd niezakończonych. Całą tę zawiłą sprawę wyjaśniają tablice statystyczne prof. T. Pilata.

Równocześnie z „Wiadomościami statystycznymi“ wyszło uzupełniające je sprawozdanie Rady szkolnej krajowej (we Lwowie 1886), którego wyniki podaję tu w streszczeniu.

Najprzód co się tyczy szkół wydziałowych, to zestawienie cyfr szkół tej kategorii świadczy, że frekwencya klas niższych, połączonych ze szkołami wydziałowemi, jest bardzo silna, zarówno w szkołach męskich jak i żeńskich. Natomiast co do frekwencyi trzech klas najwyższych wydziałowych, to ludność korzysta z nich chętnie tylko dla nauki dziewcząt, udział zaś chłopców jest bardzo nieznaczny. Jeśli się zawiąsko to zestawii z przeludnieniem, panującym w niższych klasach gimnazjów, i z niską frekwencyą szkół realnych, natenczas można dojść do wniosku, że jedna z głównych przyczyn tego stanu leży w panującym wśród całego społeczeństwa prądzie, którym powodowani rodzice odsuwają jak najdalej decyzją względem przyszłego zawodu dzieci, dążąc przedewszystkiem do utorowania im wstępu do wyższych stanowisk

w życiu społeczném. Szkoły wydziałowe nie mogły rozwinąć się w tych miejscowościach, w których istnieją szkoły średnie. Ani bowiem miasto stołeczne (Lwów i Kraków), ani miasta takie jak Stanisławów, Tarnopol, Rzeszów, nie wytworzyły warunków dla założenia szkół wydziałowych męzkich. Cyfra dzieci, uczęszczających do nich w stosunkach normalnych, bywa zawsze cokolwiek niższą od cyfry dzieci zapisanych. Zwykle bowiem ostrość pory roku, choroby, i tym podobne powody sprawiają niejako przerzedzenie szeregów dziatwy szkolnej, zapisanej z początkiem roku szkolnego. W szkołach wiejskich sprawia znaczne ubytki pora, w której rodzice używają dzieci do pomocy przy robotach gospodarskich. W szkołach galicyjskich jednakże występują znaczne różnice między cyfrą zapisanych, a uczęszczających do szkoły z winy rodziców, którzy, mimo wywieranego przez władze nacisku, zaniedbują obowiązek posyłania dzieci do szkoły. Bywają gminy, w których pod parciem napomnień i kar, wymierzanych przez Rady szkolne miejscowe lub okręgowe, zapisy wykazują wysokie bardzo cyfry dzieci, z tych jednakże później bardzo znaczna ilość w ciągu roku ubywa. Ogólna suma dzieci, pobierających naukę w zakresie szkół ludowych, wynosiła w roku szkolnym 1883/4 w całości... tylko 413,483. Cyfrę dzieci, będących w wieku szkolnym, a pobierających naukę w zakładach wyższych (gimnazyach, szkołach realnych, w szkołach przemysłowych i tym podobnych zakładach specjalnych, tudzież otrzymujących przepisaną naukę w domu), można oznaczyć w przybliżeniu na 10,308.

W szkołach ludowych przeważa pod względem wyznań chrześcijańskich liczba chłopców znacznie liczbę dziewcząt, najsilniej w obrządku grecko-katolickim. Natomiast co do dzieci wyznania mojżeszowego przeważają w szkołach publicznych znacznie dziewczęta, ponieważ mniej oświecone klasy ludności izraelskiej u młodzieży płci męskiej kładą większą wagę na nauki talmudyczne i posyłają dla tego chłopców w znacznie większej ilości do hajderów. W ogóle walczą wyznawcy religii mojżeszowej z mniejszemi uprzedzeniami co do nauki dziewcząt niż co do nauki chłopców. W szkołach prywatnych zaś przeważa ilość dziewcząt znacznie nad ilością chłopców, z wyjątkiem dzieci wyznania ewangelickiego. Tłómaczy się to tém, że między prywatnymi zakładami zajmują liczebnie niepoślednie miejsce szkoły klasztorne i pensyonaty, specjalnie dla płci żeńskiej przeznaczone. Zliczywszy dzieci każdego wyznania, uczęszczające do szkół publicznych i prywatnych, i porównawszy je z wykazaną liczbą obowiązanych dzieci tego samego wyznania, dochodzi się do następujących rezultatów:

Wyznania:	Wykazano dzieci		Różnica
	obowiązanych	uczęszczających	
Rzymsko-katolickie	285,763	177,459	108,304
Grecko-katolickie	247,041	128,589	118,452
Ewangelickie	6,182	5,302	880
Mojżeszowe	83,202	39,705	43,497
Razem	622,188	351,055	271,133

Z powyższego wynika, że stosunek dzieci uczęszczających do obowiązanych przedstawia się najkorzystniej u dzieci ewangelickich, a najniekorzystniej u dzieci wyznania mojżeszowego, których cyfra uczęszczających do szkoły nie dochodzi nawet do połowy. Wysoka cyfra dzieci 288,381 nie pobierających żadnej nauki w gminach posiadających szkoły, dowodzi, że środki przymusowe przeciwko rodzicom i opiekunom niedopełniającym obowiązku posyłania dzieci do szkoły, nie odniosły pożądanego skutku. Za nieposyłanie dzieci do szkół pospolitych wydano w Galicyi orzeczeń, skazujących na karę aresztu (1 dzień i wyżej) osób 3,904. Wykonano orzeczeń, skazujących na karę aresztu, w ogólności osób 2,819. Wydano orzeczeń skazujących na grzywny pieniężne 28,983. Suma ściągniętych grzywien pieniężnych wynosiła w całym kraju 10,245 zł.

Między poszczególnymi okręgami szkolnymi panowały co do zastosowywania tych środków przymusowych wielkie różnice. Niektóre Rady szkolne okręgowe oświadczają się słusznie zasadniczo przeciwko zastosowywaniu kar aresztu za winy tego rodzaju, a to z tego powodu, że kara aresztu powstrzymuje winnych od pracy, do której ich przynaglają kary pieniężne. Nadto wskazują niektóre Rady okręgowe trudności, jakie napotyka tego rodzaju ekzekucya, nie nakładają ich przeto wcale, ażeby przez niewykonanie nałożonych nie osłabiać powagi prawa. Kar pieniężnych nie ekzekwowano w niektórych okolicach z powodu klęsk elementarnych, które je nawiedziły (np. powodzie), co Rady szkolne okręgowe wyraźnie zaznaczają.

Warunki, pod któremi czasowo nieobecność dziecka w szkole może być usprawiedliwioną, określa regulamin szkolny w tych słowach: „nieobecność dziecka w szkole usprawiedliwia się 1) słabością jego udowodnioną; 2) słabością rodziców lub krewnych, wymagającą pozostawienia dziecka w domu 3) niepogodą, którąby zdrowie jego naraziła na niebezpieczeństwo, 4) złą drogą do tego stopnia, że niepodobna mu było dostać się do szkoły.“ Ze sprawozdań wynika jednakże, że rady szkolne miejscowe, powołane do czuwania nad wykonaniem tych przepisów, zbyt często przy zwalnianiu dzieci wychodzą

poza zakres, dopuszczony regulaminem szkolnym. Dowodzi tego wysoka cyfra 120,238 dzieci uwolnionych formalnie przez Rady szkolne miejscowe od uczęszczania do szkoły.

Między motywami, uzasadniającymi uwalnianie od uczęszczania do szkoły, podają Rady szkolne miejscowe, prócz wymienionych w regulaminie, jeszcze następujące przyczyny: wielkie ubóstwo wielu rodziców, którzy wskutek tego nie mogą dzieciom swoim dać nie tylko potrzebnych przyborów, ale nawet niekiedy zaopatrzyć je w niezbędne ze względu na porę roku odzienie i obuwie. Wczesne używanie dzieci do posług w gospodarstwie, a mianowicie do pasania bydła. W wielu okolicach zaś znaczna odległość mieszkań od szkoły. Stosuje się to mianowicie do miejscowości położonych w górach. Przepełnienie klas, bądź to z powodu szczupłości budynków szkolnych, bądź też z powodu trudności w uzyskaniu środków na otwarcie klas nowych. Wszystkie te powody mają tylko czasowe znaczenie. Nie oparte na ustawie, nie mogą one uzasadnić stałego uwolnienia od uczęszczania do szkoły i wkładają na władze szkolne obowiązek zaradzenia potrzebie, przez usuwanie przeszkód, utrudniających tym dzieciom korzystanie z dobrodziejstwa nauki szkolnej, o ile to jest w ich mocy, o ile to należy do zakresu ich działalności. Aby nauka szkolna wydała należyte owoce, niezbędną jest rzecz, ażeby dzieci uczęszczały do szkoły przez całe prawem przepisane sześciolecie. Wymaga tego przedewszystkiem rozkład nauk. Dopiero na wyższych stopniach nauki, mianowicie w 4, 5, i 6 roku, gdy trudności początkowe są zupełnie pokonane, można z korzyścią podawać dzieciom obfitsze wiadomości, mogące się im przydać później w życiu praktycznym. Dzieci opuszczające szkołę przed ukończeniem przepisanej ustawy sześciolecia, będą miały nawet w zakresie najpotrzebniejszych wiadomości wiedzę bardzo niedokładną. Dla utrwalenia podawanych wiadomości choćby w najskromniejszym zakresie, potrzeba więc zapobiegać zbyt wczesnemu przerywaniu nauki szkolnej. Konieczności tej dowodzi psychologiczna obserwacja natury dziecka. U dzieci zacierają się szybko i łatwo wrażenia odebrane, jakkolwiek zrazu silne i wyraźne. W miejscowościach, w których katalogi pierwszego roku nauki są przepełnione, a frekwencya na wyższych stopniach znacznie i nagle maleje, nie może szkoła wydać należytych i pokaźnych owoców. Stosunek liczebny frekwencyi klas wyższych do niższych dowodzi, że jeszcze przeważna część dzieci szkolnych w kraju naszym poprzestaje na najniższych stopniach nauki. Uderza też w cyfrze dzieci, uczęszczających do szkół publicznych, nagłe spadania ogólniej cyfry od klasy do klasy. Wiele też dzieci przerywa już w pierwszych latach uczęszczanie do szkoły, do której je rodzice tylko pod groźbę przymusowych środków zapisali. W szkołach prywatnych przedstawiają się te stosunki korzystniej. Różnica między szkołami publicznymi a prywatnymi tłumaczy się tym, że dzieci, uczęszczające do szkół prywatnych, pensjonatów w miastach

większych, pochodzą z klas zamożniejszych i wyżej wykształconych, których rodzice bez użycia środków przymusowych, sami dbają o to, ażeby dzieci odebrały wykształcenie. Oprócz tego znaczna część frekwencyi szkół prywatnych przypada na dzieci, uczęszczające do wyznaniowych szkół ewangelickich i izraelskich. Ludność zaś gmin ewangelickich, przeważnie niemieckiego pochodzenia, dąży jak świadczą liczne objawy, z pełną świadomością do dania dzieciom zupełnego wykształcenia szkolnego. Uboższe i mniej wykształcone warstwy ludności wyznania izraelskiego w wielu okolicach jeszcze stronią od szkół publicznych a nawet od szkół wyznaniowych. Jeżeli jednakże przełamają panujące w tej mierze uprzedzenia, natenczas garną się do szkół z zapałem i odznaczają się wytrwałością w dochodzeniu do kresu, przepisanego planem szkoły. Spostrzeżenie to uczyniono nie tylko na prowincyi, ale nawet i w stolicy kraju, gdzie w niektórych szkołach (o znacznie mieszanój frekwencyi) dzieci wyznania mojżeszowego w najwyższych klasach stanowią daleko wyższy procent, aniżeli w niższych klasach tej samej szkoły.

Najnowsza ustawa krajowa wprowadziła obowiązek posyłania dzieci, po ukończeniu nauk w szkole ludowej na tak zwaną naukę niedzielną, na którą przeznaczyla trzy lata, po 4—6 godzin tygodniowo. Celem nauki niedzielnej jest z jednej strony powtórzenie tego z dziećmi, czego się uczyły przez lat sześć w szkole, a z drugiej uzupełnienie ich wiedzy przez naukę takich przedmiotów, które im w życiu praktycznym są niezbędnie potrzebne. W szkołach zatem wiejskich powinien nauczyciel przeważnie uczyć w szkole niedzielnej gospodarstwa wiejskiego, ogrodnictwa i pszczolnictwa, gospodarstwa domowego kobiecego, rachunków gospodarskich i stylistyki praktycznej. W szkołach zaś miejskich winna nauka ta uwzględnić przeważnie rzemiosła, przemysł miejscowy i handel. W szkołach żeńskich należy przedewszystkiem uczyć głównie tego, co w domowym gospodarstwie i zarządzie domu jest niezbędnym. Nauka niedzielna, czyli dopełniająca nie wydała jednak spodziewanych owoców, ponieważ nauczyciele sami mają zbyt mało wiadomości praktycznych w gospodarstwie i przemyśle, a powtóre dla tego, że brak u nas dotychczas podreżników w tym kierunku

# PESSYMIZM

## I

# WSZECHWŁADZA PAŃSTWA.

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego \*).

### 3. Teorya a praktyka.

Jak Aleksander W. Homera, tak Gustaw Adolf król szwedzki na swych wyprawach wojennych woził ze sobą dzieło Grotiusza, które po katastrofie w bitwie pod Lützen znaleziono w namiocie królewskim. Czytając to dzieło, król zwykł był raz po raz wołać: „jeden tylko jest Grotius;“ atoli niekiedy zauważał, że łatwo mógłby mu dowieść, iż wielka zachodzi różnica pomiędzy teoryą a praktyką, a łatwiej coś napisać, aniżeli wykonać i zastosować do danych okoliczności. Innego zdania był Jean Jacques Rousseau, który w wstępie do „Contrat social“ oświadcza: „On me demandera, si je suis prince ou legislateur pour écrire sur la politique? Je reponds que non et que c'est pour cela que j'écris sur la politique. Si j'étais prince ou legislateur, je ne perdrais pas mon temps à dire ce qu'il faut faire, je le ferais ou je me tairais.“ Myśliciel francuzki więc nie rozróżniał, jak król szwedzki, pomiędzy teoryą a praktyką, lecz był mocno przekonany nie tylko o konieczności, lecz nawet o możliwości naprawienia stosunków publicznych odpowiednio do swój teoryi. Istotnie najprzód pod koniec zeszłego stulecia we Francyi, a potem niemal we wszystkich innych państwach europejskich, zwyciężyła główna zasada teoryi Rus-

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. kwiecień r. b.

sa, t. j. zasada woli ludu przeciwstawiona zasadzie nieograniczonej władzy <sup>1)</sup>. Żadne inne dzieło nie wywarło tak bezpośredniego i potężnego wpływu, jak *Le contrat social*. Świadczy o tём w równej mierze historia parlamentaryzmu i nowoczesnego piśmiennictwa politycznego. I rzecz to całkiem naturalna, bo świat, choć zwolna, postępuje wciąż naprzód, to też optymizm czyli wiara w postęp, ostatecznie powszechniejszego w ogóle dostępuje uznania, aniżeli brutalny germański pesymizm, oparty na pogardzie natury ludzkiej.

Mniej doniosłym w skutkach było dzieła Grotiusa. Wprawdzie autor został mianowany pośłem szwedzkim u dworu francuzkiego, a przy najznakomitszych wszechnicach powstały specjalne katedry dla wykładu jego wickopomnego dzieła, jak w Włoszech istniały katedry Dantego. Jednak nie udało mu się przekonać świata o konieczności uszanowania pewnych moralnych praw w stosunkach międzynarodowych, bo i dziś góruje w nich „prawo nad siłą.“ Ale jeżeli i teraz jeszcze przeważa przypisane przez Plutarcha Brennusowi „najstarsze z wszystkich praw, które sięga od Boga aż do zwierząt, a silniejszemu daje władzę nad mieniem słabszych,“ jeżeli wojny nie stały się rzadszemi ani łagodniejszymi, lecz przeciwnie namiętniejszemi i podobniejszymi do łupieztwa, to znowu głównie do tego przyczynił się pesymizm germański, od którego pokonania zależy dalszy postęp.

Co do Hobbesa, nie doczekał on się rozgłosu takiego, jak Hugo Grotius, lub J. J. Rousseau. Każdy polityk zna ich dzieła; mało który czytał dzieło „*De cive*.“ A jednak w chwili śmierci autora teoria jego w głównej części zapanowała niemal w całej Europie. Hobbes nie poruszył i nie ożywił prądu absolutystycznego, lecz teoretycznie go uzasadnił i sformułował. Choćby atoli tak samo, jak dzisiaj inny pesymista germański, Hartmann, nie był twórcą pewnego systemu polityczno-filozoficznego, lecz tylko komentatorem i woźnym, to jednak dzieło jego w nader donośny sposób służy do zupełnego wyjaśnienia jednego z najohydniejszych okresów dziejów ludzkości, który trwał mniej więcej od r. 1650 do 1789.

Na filozofie angielskim sprawdziły się słowa Pisma ś-tego, że nikt nie jest w ojczyźnie swojej prorokiem; bo właśnie jego ojczyzna, z której zatargów domowych wziął pochop do ułożenia swój teorii i dla której zbawienia ją wygłosił—właśnie Anglia jedna poszła drogą odmienną! Jeszcze za życia Hobbesa r. 1666 parlament w umyślniej uchwale potępił „*Leviathana*,“ a po jego śmierci wszechnica oksfordzka 21 lipca 1683 r. i „*Leviathana*“ i „*De cive*,“ uznała jako dzieła niemoralne i nakazała ich spalenie. Przywrócenie dynastyi Stuartów zdawało się zapowiadać teoryom Hobbesa zwycięstwo

<sup>1)</sup> Konwencya francuzka była tylko epizodem i chwilową dyktaturą, i wcale nie wynikała z teorii państwowych J. J. Rousseau, ani się zgadzała z jego humanitarnemi dążnościami.



Dnia 25 maja r. 1660, w 30-tą rocznicę swych urodzin, Karol II-gi, uczeń Hobbesa, wśród powszechnego zapału znużonej gwałtownymi przewrotami ludności, odprawił wjazd tryumfalny do Londynu. Domy były przystrojone kobiercami i chorągwiami, ulice wysypane kwiatami, a gdy burmistrz i marszałkowie obu Izb parlamentu przywitani króla przemowami, pełnymi wiernopoddańczej lojalności, Karol odparł nie bez przymieszki ironii: „Widocznie to tylko moja wina, że nie stanąłem tu wcześniej; dzisiaj przynajmniej nie spotkałem nikogo, któryby nie był zaręczany, że zawsze pragnął przywrócenia prawowitego tronu.“ Niebawem rozpoczęła się gwałtowna reakcja przeciwko uczestnikom rewolucji. Z sędziów Karola I-go, adwokat generalny Coke, Harrison i 5 ławników położyło głowy pod topór; tenże los spotkał pułkowników Axtela i Hackera, którzy byli strzegli króla w więzieniu, a nawet kapelana Hugh Petersa. Wszyscy z odwagą męczenników wstępowali na rusztowanie, wołając, że nie minie zemsta za krew niewinnie przelaną i że wkrótce sprawa króla upadnie. Nawet nad umarłymi pastwiła się reakcja. Karol V-ty przed grobowcem Lutra, gdy mu radzono wyrzucić zwłoki arcy-kacerza, odpowiedział: „Toczę wojnę z żyjącymi, nie z umarłymi.“ Karol II kazał wydobyć z grobów zwłoki Cromwella, Bradshawa i Iretona, powiesić je na szubienicy, potem pod nią zasypać. Szkocki ksiądz Guthrie, który zwołał zgromadzenie ludowe, aby królowi przypomnieć jego obowiązki, został ścięty, a parlament w uniesieniu słuźalczém w osobnym prawie każdemu, któryby śmiał mówić o uwiezieniu lub oskarżeniu króla, zagroził karami, nałożonemi na zdradę stanu.

Ministryum „Cabal“ (Clifford, Ashley, Buckingham, Arlington i Lauderdale), rozpoczęło systematyczną pracę nad przywróceniem nieograniczonej władzy królewskiej, ale przez to wywołało tylko stanowczy opór narodu. Karol II-gi, jak zauważa Macaulay, stwierdził tylko na nowo prawdę, że dzieje są najlepszą, ale najmniej słuchaną mistrzynią w sprawach politycznych. Popełniał te same błędy, które ojca jego pozbawiły korony i życia. Tylko nagła śmierć króla, 12-go lutego 1685 r., zapobiegła powtórzeniu się podobnych katastrof. 25-cio letnie rządy Karola II-go, wykazały atoli niemożliwość pogodzenia dynastji Stuartów z aspiracyami narodowemi. Znienawidzony brat i następca jego Jakób II, już w trzecim roku panowania musiał ustąpić tronu zięciowi swemu, księciu Wilhelmowi Oranii. Nowy król jako warunek panowania swego, dnia 18-go lutego 1689 r., potwierdził słynny bill of rights. Była to także poniekąd „umowa,“ tylko wielce odmienna od aktu poddania się, w myśl Hobbesa. Według tej umowy bowiem nie wolno królowi zawieszać wykonania praw, ani ustanawiać specjalnych trybunałów dla spraw kościelnych, nakładać bez przyzwolenia parlamentu podatków, ani utrzymywać wojska w czasie pokoju; wybory do parlamentu miały być wolne, o mowach posłów nie miał sędzić żaden trybunał, lecz tylko sam parlament! Kiedy Karolowi I-u 17-go czerwca r. 1642 parlament przedłożył słynne 19 artykułów,

powtórzone potem w bill of rights, król odparł: „Gdybym te uchwały potwierdził i nadal zdejmowanoby przedemną kapelusz, całowanoby mi ręce, odzywanooby się do mnie: Wasza Królewska Mość, a rozkazy wasze ukrywałyby się poza formułką: wola królewska, objawiona przez obie Izby! Noszonoby przedemną miecz i laski, i mógłbym się radować widokiem korony i berła, ale co do rzeczywistej potęgi byłby był malowanym obrazem, cieniem króla.“ Wilhelmowi III-mu i jego następcom, pomimo tak stanowczego ograniczenia władzy królewskiej, pozostało dosyć blasku i potęgi. „Bill of rights,“ tudzież uchwalony 22 czerwca 1701 r. celem zapewnienia następstwa dynastji hanowerskiej „act of settlement,“ stały się podstawą nowoczesnego konstytucyjnego ustroju Anglii, a zapewniwszy ję nie tylko potęgę, lecz także pokój wewnętrzny, najdobitniej zaprzeczyły teoryi Hobbesa, jakoby go zabezpieczyć mogła jedynie nieograniczona i niepodzielona władza.

Tylko w Irlandyi przez cały wiek XVIII, od haniebnego złamania traktatu limerickiego aż do zniesienia parlamentu irlandzkiego w r. 1801, z brutalnością, cechującą szczerp germański, zastosowywano do praktyki teorią, prawie mocniejszego i o wszechwładzy państwa nad mieniem i sumieniem poddanych. Dziś i tam system ten okazał się niezdolnym do zabezpieczenia pokoju publicznego i utrzymania się wbrew woli ludności. Liczące 230 milionów obywateli lub podanych królestwo W. Brytanii a cesarstwo Indyi, widzi się zmuszonem pomyśleć o ugodzie z 5-cio milionową Irlandyą! <sup>1)</sup>

Najświetniejszym reprezentantem systemu Hobbesa, który swym przykładem głównie się przyczynił do rozpowszechnienia go w Europie, był niezawodnie Ludwik XIV-ty. Dzieła „De cive“ zapewne nie czytał, bo czytać nie lubił, a raczej przez intuicyą i wrodzony zmysł autokratyczny praktykował, co wyrozumował pesymista angielski. Wprawdzie już w r. 1564 we Francyi sformułowano nieograniczoną władzę królewską w tych słowach: „Król może prowadzić wojnę, zawierać rozejm i pokój, kiedy mu się podoba, może nakładać podatki, wygłaszać prawa, statuty i ordonanse, tworzyć urzędy, według swego upodobania; wszystko, co mówi, ma wartość prawa i uważa się na równi z wyrocznią Apolina“ <sup>2)</sup>. Była to jednak teoria, któręj na każdym kroku przeczyła odmienna rzeczywistość, dopóki król dzielił się najwyższą władzą z sejmami (états généraux), parlamentem, kościołem, niemal niezależnymi gubernatorami prowincyi i wielkimi dostojnikami, jak w. hetman koronny (connetable), w. admirał i t. d., i dopóki istniała można i do oporu pochopna szlachta, tudzież samodzielna korporacya wyznaniowa (hugenoci). W czasie małoletności króla (1643—1661), za rządów kardynała Ma-

<sup>1)</sup> Piszemy to w chwili, gdy w Londynie ministeryum przedstawiło bill o przywróceniu parlamentu w Irlandyi.

<sup>2)</sup> Vincent de la Loupe: „Livre des dignitez, magistrats et offices“ i t. d. Paryż, 1564.

zariniego, zamieszki domowe (fronde 1648) wykazały dobitnie, że nawet kardynał Richelieu nie zdołał przełamać wszystkich żywiołów samodzielnych, że nie zdołał trwale zabezpieczyć nieograniczonej władzy królewskiej. Odkąd atoli w marcu roku 1661, król Ludwik XIV-ty liczący wówczas lat 23, objął rządy z oświadczeniem, że sam będzie swym pierwszym ministrem <sup>1)</sup> i pod hasłem, całkiem zgodnym z teorią Hobbesa: „l'état c'est moi;”—wykonywał przez 54 lat tę najwyższą i nieograniczoną władzę, nie napotykał ani razu na poważniejszy opór.

Wykonywał ją zaś z wszelką świadomością swych praw domniemanych. „Francya—powiada w swych przestroгах dla następcy tronu—jest monarchią w najszerszém znaczeniu wyrazu; wszelka władza spoczywa w ręku króla i nie może być w kraju inna, tylko ustanowiona przez króla. Ta forma państwowa najlepiej odpowiada charakterowi narodu i jego położeniu. Wszystko, cokolwiek się w państwie naszym znajduje, czémkolwiekby było, należy do nas z tego samego tytułu prawnego. Pieniędźmi, znajdującymi się w naszej szkatule i w ręku skarbników, jako też temi, które pozostawiamy w obrocie publicznym, możemy rozporządzać dowolnie.“ Pod koniec życia, dotknięty skrupułem co do téj teoryi, wynurzył się przed spowiednikiem O. Tellierem. Ten prosił o kilka dni namysłu, wreszcie powrócił z oświadczeniem najbieglejszych doktorów Sorbonny, wykazującym niezbitemi dowodami (tak upadła brak wolności), że wszelkie mienie poddanych jest własnością króla, który zabierając je, odbiera tylko swą własność. Odtąd król już nie wątpił, „que tous les biens de ses sujets ne fussent siens et que ce qu'il n'en prenait pas et qu'il leur laissait, était pure grâces“ <sup>2)</sup>.

Dopóki kosztowne wojny i zbytki dworu nie wypróżniły zupełnie kas poddanych, z których król czerpał, jakoby z swych własnych; dopóki znajdował zdolnych ministrów, jak Colbert i Louvois, wodzów jak Turenne, dopóty dopisywało mu szczęście i olśniewało świat cały. W końcu jednak wystąpiły na jaw ujemne strony nieograniczonej, niekontrolowanej przez nikogo, ale też nie wspieranej znikąd szczerą radą i przestrogą władzy. „Król francuzki—szydził później Montesquieu pod maską persy, podróżującego po Francyi <sup>3)</sup>—jest najpotężniejszym monarchą na ziemi. Nie posiada wprawdzie kopalni złota, jak jego sąsiad król hiszpański, ale jest bogatszym od niego, bo ciągnie swe dochody z niewyczerpanej próżności swych poddanych. Jest on też wielkim czarownikiem, bo panuje nad rozumem swych pod-

<sup>1)</sup> W przemowie króla do kanclerza: „Je vous ai fait assembler avec mes ministres et mes secrétaires d'Etat pour vous dire que jusqu'à présent j'ai bien voulu laisser gouverner mes affaires par feu M. le cardinal (Mazarin): je serai à l'avenir mon premier ministre. Vous m'aidez de vos conseils quand je vous les demanderai.

<sup>2)</sup> Mémoires du duc de Saint-Simon, IX, str. 9.

<sup>3)</sup> „Lettres persanes,“ list z r. 1712.

danych i zmusza ich myśleć, jak mu się podoba. Mając w skarbie tylko milion, a potrzebując dwóch, oświadcza swym poddanym, że talar wart dwa i wierzą mu. Wmówił w nich nawet, że dotknięciem swęj ręki może ich wyleczyć z wszelkich chorób <sup>1)</sup>. Zastanawiając się nad jego charakterem, odkryłem w nim trudne do rozwiązania sprzeczności. I tak np. ma ministra, który liczy dopiero 18 lat, a metrese, liczącą 80; przywiązany do swęj religii, nie lubi tych, co twierdzą, że trzeba spełniać jęj przepisy; lubuje się w zwycięztwach i trofeach, ale mieć na czele swych wojsk zdolnego wodza, jest dla niego równie przykrém, jak gdyby go widział na czele nieprzyjacielskiego; w rozdawaniu zaszczytów i nagród postępuje sobie samowolnie, nie pytając, czy obdarzony jest mężem zasłużonym, mniema, że wybór jego czyni go takim; tak generałowi, który się cofnął 2 mile nadał skromną pensyą, drugiemu, który uciekł 4 mile, intratną posadę gubernatora“ <sup>2)</sup>.

Zarówno jak względem własności, tak też i w sprawach kościelnych Ludwik XIV powodował się teoryami Hobbesa <sup>3)</sup> o wyższości państwa nad kościołem. Z tych teorii przedewszystkiém wynika potrzeba kościołów narodowych. To też Ludwik XIV-ty na tęg drodze uczynił ważny krok, skłaniając biskupów francuzkich do uchwalenia znanej „*déclaration du clergé de France*“, 19 marca 1682, która się miała stać podstawą kościoła „galikańskiego.“ W swych stosunkach z stolicą apostolską Ludwik XIV też częściej okazywał się jako wszechmocny król Francyi, aniżeli jako „najstarszy syn kościoła,“ i nie szczędził ani groźb, ani otwartęj wojny, gdy mu chodziło o utrzymanie swych prerogatyw królewskich, mianowicie w znanym zatargu o prawo przytułku ambasadorów, uwierzytelnionych u dworu papieżkiego. Z drugięj strony z owęj teorii nieograniczonęj władzy wynika także zasada „*cujus regio, illius religio*.“ Ludwik XIV zastosował ją w sposób brutalny do hugenotów. Kardynał Richelieu był im odebrał tak zwane „miasta bezpieczeństwa,“ aby nie tworzyli nadal państwa w państwie; ale nie targnął się na zabezpieczone im w edyktie nantejskim przez Henryka IV-go swobody religijne. Ludwik XIV okazał się gorliwszym od kardynała. Najwięcej przemówiły do jęj przekonania podszepty, że nie jest właściwie nieograniczonym władcą, dopóki 2 miliony francuzów wyznają odmienną od niego wiarę, i że

1) „*Lo roi te touche, Dieu te guerisse*.“

2) Takie pomyłki łatwo się tłómaczą, skoro osoba, choćby najgenialniejsza, sama załatwia wszystko w państwie. Filip II hiszpański, który tak samo jak Ludwik XIV-ty, był na prawdę swym pierwszym ministrem, w jednym z swych listów do córki, z powodu popełnionęj pomyłki, pisze: „*Verrois quele devo andar la cabeça con tantas cosas como la organ*.“ — Wiesz co się dzieć musi w mojęj głowie, obarczonęj tak różnorodnemi sprawami.“ Jest to właśnie dobitny dowód przeciwko pożyteczności bezwzględnie nieograniczonęj władzy.

3) Porównań str. 16.

mądry Henryk IV-ty z pewnością nie byłby wydał edyktu nantejskiego, gdyby wtedy władza królewska była stała na wyższym stopniu. Rozpoczęły się więc misye przy asystencji wojskowej, ohydne dragonady, konfiskaty dóbr, aż wreszcie 18 października 1685 r. wyszło rozporządzenie królewskie, znoszące edykt nantejski pod pretekstem, że wskutek nawrócenia się największej części hugenotów stało się owo prawo zbytecznym <sup>1)</sup>.

W ten sposób we Francyi Leviathan-państwo stało się rzeczywistością, a Ludwik XIV mógł się także uważać za „śmiertelnego Boga.“ Jakoż w swych pismach oświadcza: „Ten, co ludziom dał króli, chce ich widzieć szanowanych jako swych zastępców i sam sobie zastrzegł prawo roztrząsania ich czynów. Kto urodził się jako poddany, zobowiązany jest wyłącznie do posłuszeństwa. Główne zadanie królów polega na tém, aby działali według swego geniuszu. Bóg, który ich stworzył królami, oczywiście udziela im też potrzebnego światła i niezawodnie w wielu rzeczach, w których niejako zastępujemy Boga, posiadamy część jego władzy i rozumu, jako przy sądzeniu ludzi, rozdawaniu urzędów i łask” i t. d. W „réflexions sur le métier de roi“ dodaje: „Błędy, które popełniłem i które mi sprawiają zgrzyotę, wynikły z uprzejmości, z jaką słuchałem niekiedy zdania drugich!“

Mało który monarcha tak był niepospolitemi przymiotami umysłu i charakteru uzdolniony do urzeczywistnienia teoryi o nieograniczonej władzy, jak Ludwik XIV, zasługujący ze wszech miar na przydomek wielkiego. Niezłomność jego charakteru jaśniała w pełni, zwłaszcza w zmiennych kolejach losu podczas sukcesyjnej wojny hiszpańskiej. W czynach, ruchach i słowach odznaczający się majestatyczną powagą, nie był to koronowany komediant, jak królowie hiszpańscy, lecz samowładca w każdej chwili życia pałający rzeczywistą ambicją monarszą. To też w szczęściu nie pastwił się nad zwycięzonymi, lecz często składał dowody wspaniałomyślności, nie żądając haraczu lecz przeproszenia, w niepowodzeniu zaś narażał się raczej na najgroźniejsze niebezpieczeństwo, aniżeli by się był upokorzył. Z dumą osobistą łączył gorącą miłość wielkości i honoru Francyi. Uważając się za uosobnienie państwa, czuł się też odpowiedzialnym za jego pomyślność. Bez wszelkiej przesady raz się odezwał do Villarsa: „Jestem więcej francuzem niż królem.“ Nie poprzestając na wawrzynach wojny i zręcznej dyplomacyi, na polu nauk ścisłych, poczty <sup>2)</sup>, budownictwa, zwyczajów towarzyskich i ogłady, swym przy-

<sup>1)</sup> W Berlinie przed kilku miesiącami obchodzono nader uroczysto 200-ną rocznicę tego wypadku oraz gościnnego przyjęcia hugenotów w Prusach, jak gdyby brutalne wydalenie 40,000 spokojnych pracowitych ludzi z Prus pod koniec XIX-go stulecia nie było czynem haniebniejszym, niż zniesienie edyktu nantejskiego.

<sup>2)</sup> „Tous ces grands hommes furent connus et protégés de Louis XIV, excepté La Fontaine“ Voltaire: Siècle de Louis XIV.“

kładem i swą mądrą opieką wywołał rozkwit tak świetny, że Francya stała się ogniskiem, Paryż stolicą Europy.

A jednak monarcha tak niepospolitych zdolności nie zdołał utrwalić ani dowieść bezwzględnej użyteczności systemu, którego był reprezentantem. W ostatnich czasach jego panowania potrzeba zmiany stawała się coraz widoczniejsza. Nawet Fénelon wypowiedział wtedy niepatryotyczne zdanie: „Cóż nas ocali, jeżeli z tej wojny wrócimy bez dotkliwej porażki?“ Zaledwo wszechmocny król skonał w Wersalu, gdy parlament paryzki zniweczył jego testament, a dwóch niedołączonych następców przywiódło dynastją burbońską do upadku.

Równocześnie z wstąpieniem Karola II-go na tron angielski i objęciem rządów Francji przez Ludwika XIV, prąd absolutystyczny w sposób dramatyczny zwyciężył w Danii. Tam od r. 1648 panował Fryderyk III. Wojna z Szwecją naraziła Danią na dotkliwe straty, zatwierdzone traktatami w Roeskilde (1658) i Kopenhadze (1660). Król umiał zręcznie zwalić całą winę na panujący stan szlachecki, wielce skompromitowany zdradą wielkiego hofmistrza, hr. Korfütza Ulfelda, który zrażony intrygami królewskimi udał się do Szwecji, gdzie podobnie jak nasz podkanclerzy Radziejowski, podlegał króla szwedzkiego do wojny z Danią.

Król postanowił skorzystać z wrogiego szlachcie usposobienia stanu mieszczańskiego celem uwolnienia się od kłopotliwych władz monarszą ustaw państwowych. Jakoż bez przyzwolenia rady państwa, nie było mu wolno rozpoczynać wojny, zawierać pokoju lub przymierzy, wydalać się z kraju, ani rozdawać urzędów inaczej jak na propozycją rady państwa; gdyby król naruszył tę ustawę państwową, radzie państwa przysługiwało prawo, działać według ustaw krajowych. Łatwo sobie wyobrazić do jakiego stopnia ciążyły dworowi te przepisy, odnawiane przy wstąpieniu każdego nowego króla w tak zwanych „kapitulacyach elekcyjnych“ (pacta conventa) a tak sprzeczne z samowładczym prądem czasu! Otwarty dnia 8 września r. 1660 sejm, miał postużyć do przeprowadzenia królewskiego zamachu stanu. Pomiędzy dworem a stanem mieszczańskim, na którego czele stał 62-letni burmistrz Kopenhagi, Hans Nansen, który się był odznaczył mężstwem w czasie oblężenia stolicy przez szwedów, a stanem duchownym, kierowanym przez zdolnego mówcę i zdolnego intryganta superintendenta Hansa Suanego, pośredniczył sekretarz królewski Krysztof Gabel. Ta trójca występowała pod hasłem: „Dania królestwo dziedziczne.“

Dnia 7 paźd. dwa stany mieszczański i duchowny zaproponowały postom szlachty przyznanie królowi w nagrodę za okazaną, w czasie wojny szwedzkiej wytrwałość i waleczność korony dziedzicznej, wskutek czego upadłyby kapitulacye. Szlachta w dwa dni potem odpowiedziała odmownie. Wtedy dwa niższe stany w uroczystym pochodzie udały się do zamku królewskiego i wręczyły monarsze swe uchwały, przyjęte łaskawie. Tymczasem feldmarszałek Hans Schack trzymał w pogotowiu wojsko, studenci uzbroili się, bramy miasta zamknięto

aby zapobiedz oddaleniu się szlachty i zerwaniu sejmu, zbrojne tłumy zebrały się przed gmachem obrad i zmusiły szlachtę przystać na wnioski dwóch innych stanów. Dnia 14 paździer. sejm uznał dziedziczność tronu i zniósł kapitulacye. Dnia 18 paźdz. wśród wielkich uroczystości składano królowi przysięgę, a w styczniu następnego roku stany podpisały deklaracyą, uznając nieograniczoną władzę królewską.

Jak każda rewolucya, tak i ta, znacznie przekroczyła pierwotne cele. Zamierzano osłabić wpływ szlachty, skończyło się na wskrzeszeniu absolutyzmu. Sejm bowiem r. 1665, dnia 14 listopada, w tak zwaném „prawie królewskim“ orzekł wyraźnie, że król jest nieograniczonym naczelnikiem we wszystkich świeckich i kościelnych sprawach, że posiada wyłączne prawo ustanawiania i znoszenia ustaw, nakładania podatków, rozpoczynania wojny, zawarcia pokoju i t. d., że słowem: tylko Bogu odpowiedzialnym za swe czyny, pod warunkiem jednak utrzymania wyznania augsburskiego, jako relegii państwowój.

W tragiczniejszych warunkach, choć mniej skutecznie prąd samowładczy oddziałał w Węgrzech. Tam od czasu złotój buli króla Andrzeja II władza królewska była ściśle określona, sejm uchwalał ustawy i podatki a musiał prawnie być zwoływany co trzy lata. Nadto szlachta posiadała legalne prawo insurrekcyi, gdyby król naruszył konstytucyą; w czasie nieobecności króla rządził palatyn, obcokrajowcy byli wykluczeni od urzędów, obce wojska nie miały mieć wstępu do kraju.

Królowie z rodu habsburskiego od czasu wybrania Ferdynanda I-go królem węgierskim (1526) systematycznie dążyli do rozszerzenia swój władzy. Ztąd wywiązywały się nieustanne zatargi pomiędzy narodem a królem <sup>1)</sup>, zaostrzone kwestyą religijną, gdyż znaczna część Węgrów przeszła na protestantyzm. Niekorzystny pokój, zawarty przez cesarza Leopolda I-go z Turcyą w Waszarze (w sierpniu r. 1664), wywołał powszechne oburzenie i skłonił katolików i protestantów do spólnój akcyi przeciwko dworowi wiedeńskiemu. Najwyższy sędzia (judex curiae), hrabia Nadazdy i ban Chorwacyi, hrabia Piotr Zrinyi, brat sławnego obrońcy Szigeta, w porozumieniu z młodym Franciszkiem Rakoczym, synem ostatniego wojewody siedmiogrodzkiego, stanęli na czele ruchu, wspierani przez posła francuzkiego w Wiedniu p. de Gremonville <sup>2)</sup>. Ale cesarz energicznemi środkami wyprzedził spiskowców. Rakoczy został pobity na głowę, Nadazdy i Zrinyi zdradzieckim sposobem uwięzieni, odwiezieni do Wiednia i ścięci zarówno

<sup>1)</sup> Węgrzy mówili: „Król ma być naszym opiekunem, nie panem, a wolność nasza nie zgadza się z poddaństwem.“ Pesel wencyański Molin.

<sup>2)</sup> Ludwik XIV w swych radach dla następcy tronu pod r. 1666 zauważa: „Utrzymywałem także tajne stosunki z hrabią Zrinyim, aby wywołać powstanie w Węgrzech na przypadek, gdybym był wciągnięty w wojnę z cesarzem.“

z hrabiami Frangipani i Tattenbach w kwietniu r. 1671. Hr. Tattenbach właściwie nic nie zawinił. Z dziwną, snąc nieświadomą wcale doniosłości swych wyznań szczerością, pisał wówczas ces. Leopold do swego posła w Madrycie hr. Pöttinga: „Niechętnie przystałem na egzekucyę Tattenbacha, ale musiałem przyzwolić, aby w Węgrzech nie sądzono, że karzę tylko Madziarów!“ Widocznie jednak Leopold I, choć monarcha o najciaśniejszych wyobrażeniach, zrozumiał, że sam ten akt okrutnej sprawiedliwości w niesprawiedliwości—nie zjedna mu Węgrów. Dla tego wystął tam generała Gaspara Ampringena, zaopatrzono go w władzę dyktatorską, z której korzystał tak samo, jak w r. 1849 Haynau. Biograf zaś i panegirysta Leopolda O. Wagner w swém dziele terroryzm usprawiedliwia twierdzeniem: „Gens dura et perversa non nisi atrocibus supplicis, et quae alibi sacra videntur, coerceretur.“

W Wiedniu wtedy za inicjatywę ministra Lobkowicza, który później z powodu przyjmowania podarunków od Ludwika XIV, został oddalony od dworu, zabrano się do zupełnego zniesienia konstytucyjnych swobód Węgier. Nasamprzód ogłoszono zabrane u spiskowców papiery, a ponieważ z nich wynikało, że niemal cała szlachta węgierska była w ich plan wtajemniczona lub o nim wiedziała, wnioskowano ztąd, że cały naród węgierski, jako współwinny insurekcji, stał się niegodnym swych przywilejów. Celem przeprowadzenia zamierzonych „reform“ na drodze nibyto legalnej, cesarz zwołał sejm węgierski; gdy nikt na nim nie stanął, dnia 21 marca r. 1671, wydano rozporządzenie, obowiązujące Węgry do utrzymywania 30-tysięcznego wojska niemieckiego. Nowe rozporządzenie z 6 czerwca znosiło wszelkie swobody Węgrów i wprowadzało nieograniczoną władzę cesarską, to wszystko w imię prawa „jako korona otrzymała od Boga.“ Znienawidzony Ampringen, wielki mistrz niemieckiego zakonu rycerskiego, został potwierdzony na posadzie generał-gubernatora.

Atoli ten austriako-węgierski zamach stanu pozostał bez trwałego skutku. Już w r. 1674 młody magnat Emerich Tekely, zięć ściegłego hr. Zrinyiego, wszczął powstanie „pro libertate et justitia,” które trwało lat 10. Po oswobodzeniu Wiednia przez Jana III i wyparciu Osmanów z Węgier, dwór wiedeński, pomimo napomnień sprzymierzeńca i zbawcy swego, rozpoczął w Węgrzech na wielką skalę wytopienie szlachty. Miało się tu powtórzyć to, co w Czechach działo się po bitwie pod Białą górą. Generał Caraffa w Eperies osiadł z trybunałem wojennym, w którym sam spełniał obowiązki oskarżyciela i sędziego. Wieszano, ścinano i ćwiertowano. Gdy cesarz sądził, że opór złamany, zwołał sejm do Preszburga. Ale licznie zgromadzona szlachta wprawdzie uznała tron jako dziedziczny i zniósła prawo insurekcji, stanowczo jednak oparła się absolutystycznemu zachciankom dworu (31 paźdz. 1687). Król musiał i nadal składać przysięgę na konstytucyę kraju. Jakoż sejmy węgierskie zwycięzko przetrwały okres wszechwładzy państwa okres, któryby można nazwać okresem Hobbesa.



Popęd do samowładztwa tak był wówczas silny, że ulegały mu nawet społeczeństwa republikańskie. W Prowincjach-Zjednoczonych, taki był urzędowy tytuł dzisiejszej Holandyi, od dawna stronnictwo republikańskie walczyło o przewagę z dążącym do samowładzy rodem książąt Oranii. Sprawami rzeczypospolitej kierował wtedy zręcznie i ogłędnie wielki pensyonaryusz Jan de Witt. W wojnie z Karolem II angielskim, który pragnął zapewnić przewagę swemu siostrzeńcowi, 10-letniemu ks. Wilhelmowi Oranii (1665—1667), flota holenderska pod wodzą Ruytera okryła się nieśmiertelną sławą. Wkrótce potem zatrważające postępy Ludwika XIV-go wywołały sojusz Anglii, Holandyi i Szwecyi celem poparcia Austrii. W skutek tego, za pośrednictwem Papieża, Ludwik XIV zawarł 1 maja 1668 r. pokój z Austryą w Akwisgranie. Olśnieni takim powodzeniem holendrzy kazali wybić medal z popiersiem swego pośła u dworu francuzkiego, pana Jozuy, z napisem: „In conspectu meo stetit sol,” jak gdyby pośel holenderski był unieruchomił króla Francyi, zwanego przez swych pochlebców „słońcem.“ Nadto de Witt przeparał w radzie związkowej uchwałę, tak zwany „akt harmonii,” według której nadal urząd wielkiego kapitana i admirała nigdy nie miał być powierzany stathouderowi, którym był ks. Oranii.

W tej chwili więc stanowcza przewaga znajdowała się po stronie obozu republikańskiego. Ale niebawem miał nastąpić całkowity przewrót. Ludwik XIV nie zapomniał obrazy. W roku 1672 zażądał od Holandyi przyznania katolikom swobód religijnych. Gdy Holandya odmówiła, rozpoczęła się wojna (6 kwietnia). Już w czerwcu wojska francuzkie, zdobywszy kilkanaście miast, stanęły w samej Holandyi (prowincyi). Opór zdawał się niemożliwym i Jan de Witt, za pośrednictwem Piotra de Groot, syna sławnego Hugona Grotiusa, rozpoczął z rządem francuzkim układy o pokój. Tymczasem stronnictwo ks. Oranii umiało zręcznie rozpowszechnić pomiędzy pospółstwem potwarz, że de Witt został przekupiony przez Ludwika XIV-go, że powiedział, iż woli się stać poddanym króla Francyi, niż księcia Oranii, i t. d. Dnia 22 czerwca w nocy, wracając z posiedzenia rady związkowej de Witt został napadnięty przez 4 opryszków; broniąc się jednak mężnie, zdołał ocalić swe życie. Był to wszelako tylko wstęp do zamierzonego zamachu stanu. Dnia 2 lipca pospółstwo wymusiło na radzie związkowej zniesienie „aktu harmonii,” poczem Wilhelm został obwołany dziedzicznym stathouderem, kapitanem i admirałem. De Witt 4 sierpnia złożył urząd. Ale i to nie uśmierzyło mściwej nienawiści przeciwnej strony.

Zjawia się znany łotr Tichelaer z oskarżeniem, że przez znanego powszechnie z zachości i uczciwości admirała Corneliusza de Witt był namawiany do zabicia ks. Wilhelma. Uwięziono więc Corneliusza i poddano torturze. Zaledwo przeżył straszne męczarnie, gdy, współ z zwabionym pod fałszywym pretekstem Janem, przez motłoch został wydobyty z więzienia i rozszarpany. Działo się to w Hadze 20 sier-

pnia. Książę Wilhelm, postępując sobie w obec pokonanych przeciwników politycznych równie podstępnie, jak później w obec swego teścia, króla Jakóba II, nie tylko nie ukarał zbrodniarzy, lecz wymienionemu Tichelaerowi nadał pensyą. Usuwając zaś wszystkich urzędników, podejrzanych o sympatyę dla strony de Witt, zabezpieczył zamachowi stanu praktyczny skutek.

Najpóźniej prąd absolutystyczny przemógł w Szwecyi. W czasie małoletności króla, Karola XI-go, który przy śmierci ojca r. 1660 liczył dopiero 5 lat, sejm był sobie przywłaszczył niemal wszystkie atrybucye korony. Karol XI-ty od r. 1674 rozpoczął systematyczną pracę nad podkopaniem powagi sejmu, a mianowicie szlachty. Posługując się zrećznie zazdrością i antagonizmem stanu mieszczańskiego i włościańskiego przeciwko szlachcie, na sejmie r. 1680 przeprowadził uchwałę, aby rachunki regencyi były przejrzane i sprawdzone. Wyznaczona w tym celu komisya odkryła liczne nadużycia i przeniewierstwa, poczem winnych—przywódców szlachty szwedzkiej—skazano na kilka milionów talarów grzywien. Osłabiwszy w ten sposób moralnie szlachtę, król zmusił ją potem do zwrotu wszystkich od r. 1604 nabytych dóbr koronnych. Nagle więc bogata szlachta stała się ubogą; uboga zaś korona bogatą. Prąd monarchiczny nie pozostał na tém. Stany wystąpiły z oświadczeniem, że władza królewska jest nieograniczoną. W r. 1682 korzystając z nowych nieporozumień pomiędzy szlachtą a innemi stanami, dwór wymusił na sejmie formalną uchwałę, że król może bez przyzwolenia sejmu ustanawiać prawa i nie ma nikomu być odpowiedzialnym za swe czyny.

W ciągu 20 lat prąd, dążący do urzeczywistnienia tego, co Hobbes nazwał „imperium“, odniósł stanowcze zwycięztwo w tych państwach, które wtedy stały na czele polityki europejskiej lub głównie brały w niej udział. Nigdzie teorya nie została co do joty wprowadzona w praktykę, ale podstawowe jej zasady, dzięki koalicji królów z niższemi warstwami przeciwko wyższym, pod koniec wieku XVII-go przeważyły tak w państwach powyżej wymienionych, jako też w innych, w których albo nie było potrzeba przemocą usuwać zapór nieograniczonej władzy, ponieważ tam nigdy nie istniały, jak np. w margrabstwie brandenburskiem, albo też jak np. w Austrii, prąd ów rozwijał się nieznacznie, a w cichości i bez tak głośnych przewrotów, jak w Danii lub Szwecyi <sup>1)</sup>.

Patrząc dziś po 200-tu latach na ów przewrót, dokonany nie pod imieniem Hobbesa, ale w myśl jego teoryi o państwie, trzeba go uważać tylko za jeden z przechodnich epizodów w dziejach ludzkości. Hiszpania, która najprzód, bo już w XVI-ém stuleciu urzeczywistniła u siebie ideał wszechwładnego państwa, pierwsza ze

<sup>1)</sup> W Polsce dynastyczne projekty Maryi Ludwiki, wprowadzono do propozycyi korony przez Jana Kazimierza w r. 1661-ym. *Red.*

stanowiska wielkiego mocarstwa zesłała na poziom drugorzędnego; we Francji potęga i sława nie długo przeżyła Ludwika XIV-go, natomiast Anglia, która przy upadku Jakóba II-go stanowczo wyłamała się z pod teorii nieograniczonej władzy, stanęła najwyżej—co świadczy, że wszechwładza nie jest koniecznym warunkiem potęgi i szczęścia państw. Wreszcie fakt, że owo „imperium“ już po 100 latach przeżyło się, a przejście do formy państwowej z władzą ograniczoną i podzieloną, dokonało się równie szybko, jak w XVII-ém stuleciu przewrót w odmiennym kierunku,—fakt ten dowodzi, że nie mogą być bezwzględnie słusznymi pojęcia filozoficzne o naturze ludzkiej, z których pesymista angielski wysnuł swą teorią. Nie, człowiek nie jest z przyrodzenia złym, przewrotnym i chciwym i dla tego też nie potrzeba koniecznie Państwa Leviathana, aby zabezpieczyć pokój pomiędzy ludźmi!

Jeżeli dziś są tacy, co bez zastrzeżenia pojęcie nowożytnego państwa stawiają na równi z wszechwładnym, i jeżeli tę praktykę popiera filozofia niemiecka, wychodząca z tych samych założeń, co Hobbes, nowy ten epizod, choć się cieszy tak potężnym reprezentantem, jak ks. Bismarck, nie będzie także trwał.

# Z EKONOMIKI.

## XI.

### Oswobodzenie włościan na Litwie i Rusi.

Dane statystyczne co do liczby poddanych w Cesarstwie, zebrane w 1855 r. przez Kawielinę. — Liczba poddanych na Litwie i Rusi w czasie wojny krymskiej. — Komitet sekretny. — Projekty prywatne. — Udział inteligencji polskiej w sprawie reformy włościańskiej. — Adres szlachty litewskiej do panującego. — Reskrypt cesarza Aleksandra II-go w odpowiedzi na ten adres. — Niechęć dworzan i możnowładztwa. — Utworzenie na Litwie komitetów gubernialnych i komisji ogólnej w Wilnie. — Instrukcja Łanskoja dana Nazimowowi. — Główne zasady wyzwolenia i uwłaszczenia włościan na Litwie. — Skład osobisty komisji ogólnych w Wilnie i Kijowie, oraz komitetów gubernialnych. — Cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów. — Komitet główny do spraw włościańskich. — Początkowa bezczynność. — Wéjście W. Ks. Konstantego do komitetu. — Program zajęć komitetów gubernialnych. — Komisya specjalna. — Wydział ziemiański. — Komisje redakcyjne, ich skład i program. — Komisya finansowa. — Moźnowładztwo i operacya. — Coup d'état. Ks. Paskiewicz i hr. Piotr Szuwałow. — Wytrwałe postanowienie reformy ces. Aleksandra II-go. — Główni działacze: Rostowcew, Milutyn i Sołowjew. — Pierwszy okres prac komisji redakcyjnych. — Powołanie ekspertów do Petersburga. — Wydawnictwo urzędowe téj epoki. — Bibliografia.

Konstanty Kawielin w marcu 1855 r. przedstawił rządowi memoriał w sprawie włościańskiej w Rosyi, którego jedna część pojawiła się w druku i spowodowała wielkie oburzenie w sferach dworzańskich. W memoriale tym, dopiero niedawno w całości wydrukowanym, znajdujemy ciekawe cyfry poddanych w Rosyi, które dla lepszej ilustracyi przedmiotu, o jakim mówić zamierzamy, będzie pożyteczną rzeczą poznać w celu porównania stosunków społecznych w różnych czę-

ściach ogromnego imperyum. Podług tych wiadomości, opierających się na tak zwanym 9-ym spisie ludności, nie rącząc naturalnie za akuratność wszystkich cyfr przy braku dokładnej statystyki, było w owym czasie:

	mężczyzn	kobiet
włościan pod zarządem dep. udziałów, gabinetu i dworu	852,144	946,564
„ zaliczonych do państwowych stadnin	91,290	86,766
„ różnych instytutów	12,342	17,379
„ zarządów miejskich i magistrackich	15,304	16,595
„ archirejskich i monastyrskich	5,091	—
„ fabrycznych i górniczych	209,222	225,829
„ majstrów dworskich	748	932
„ majstrów górniczych, fabrycznych i solnych	137,408	106,980
„ puszkarzy tułskich	9,061	9,682
„ osiedleńców floty czarnomorskiej	8,507	8,563
„ locmanów	1,557	—
„ straży leśnej	920	649
„ łaszmanów	115,981	—
„ jamszczyków	26,320	31,933
„ regularnych osiedleńców wojennych	320,941	308,261
„ przewoźników soli przy jeziorze Eltońskim	426	258
razem poddanych skarbowych było wtedy	<u>2,004,772</u>	<u>2,049,925</u>
	4,054,697	

W tymże czasie było poddanych włościan, należących do obywateli ziemskich: w cesarstwie	10,080,407	10,508,771
służby dworskiej	521,939	513,985
	<u>11,602,346</u>	<u>11,022,756</u>
	21,625,102	

Ogółem było poddanych 25,679,799 ludzi w obec ogólnej liczby mieszkańców 56,313,323 osób. Na Litwę i na Ruś przypada zaś strącić z owej cyfry poddanych:

w gubernii wileńskiej	197,897	dusz męzkich
„ kowieńskiej	175,208	„
„ grodzieńskiej	197,182	„
„ mińskiej	288,336	„
„ mohylewskiej	287,889	„
„ witebskiej	218,707	„
„ wołyńskiej	440,554	„
„ podolskiej	485,960	„
„ kijowskiej	521,245	„
razem na Litwie i Rusi było poddanych	<u>2,812,978</u> dusz męzkich	

Kawielin, mając na uwadze stosunki Cesarstwa, proponował w wymienionym memoryale: 1) sprzedać lub wydzierżawić wszelkie fabryki rządowe, a włościanom, do nich zaliczonym dozwolić swobodnego obrania sobie zajęcia; 2) wszystkich włościan państwowych, przydzielonych do jakichkolwiek zarządów, oddać w zawiadywanie jednego zarządu, zrównać z włościanami wolnymi, oswobodziwszy ich od specjalnych pieniężnych i naturalnych powinności; 3) znieść kantonistów, pozwalając im zapisać się do tego stanu, do którego należał ich ojciec przed branką; 4) postanowić, aby rekruci byli używani wyłącznie do służby wojskowej; 5) oznaczyć termin służby wojskowej na lat siedm, uczyniwszy ją obowiązkową dla wszystkich stanów, począwszy od lat 18 i t. d.

Projekt ten w danej chwili pozostał w sferze marzeń. Opozycja dworzan była silną i jednolitą, wrogo usposobioną dla zmian jakichkolwiek. Twierdzono, że oswobodzenie włościan spowoduje wybuch socyalny, że wyleją się potoki krwi szlacheckiej, nie mówiąc już o stratach materyalnych.

Po ogłoszeniu manifestu z d. 31 marca 1856 r. o zawarciu pokoju, zamykającego wojnę krymską, cesarz Aleksander II-gi pojechał do Moskwy i wezwawszy przewodników dworzan gub. moskiewskiej, przemówił do nich temi słowy: „dowiedziałem się, panowie, że między wami rozeszły się wieści o moim zamiarze zniesienia poddaństwa. Prostując te nieuzasadnione wieści w kwestyi tak ważnej, uważam za potrzebne objawić wam, że ja nie mam zamiaru zrobić tego w tej chwili; lecz zapewne sami pojmujecie, że istniejący porządek władania duszami, nie może pozostać bez zmiany. Lepiej znieść poddaństwo z góry, niż czekać na tę chwilę, gdy ono zacznie poruszać się z dołu. Proszę was, abyście pomyśleli o tém, jakimby sposobem to wykonać i abyście zakomunikowali te moje myśli dworzaństwu.“ Słowa powyższe otwierały nowy okres przygotowawczy w tej sprawie, wkrótce bowiem utworzono Komitet sekretny, który poraz pierwszy zebrał się w d. 15 stycznia 1857 r. pod prezydencją cesarza. W skład jego wchodził: ks. Orłow, Łanskoj, minister spraw wewnętrznych, hr. Błudow, minister finansów Brock, hr. W. Adlerberg, ks. W. Dołgorukow, szef żandarmeryi, M. Murawjew, minister dóbr państwa, Czewkin, ks. P. Gagarin, M. Korf i J. Rostowcew. Na pierwszém posiedzeniu komitet skonstatował ogólny niepokój włościan i powszechne oczekiwanie czegoś niezwykłego, czego sami dokładnie określić nie mogli, spodziewając się tylko, że to coś zmieni dotychczasową ich niedolę. Większość komitetu w zasadzie wrogo była usposobioną względem idei oswobodzenia włościan, zalecając stopniowe tylko polepszenie bytu włościan, gdy mniejszość, złożona z Łanskoja, Błudowa, Rostowcewa i sekretarza komitetu, Butkowa, domagała się oswobodzenia włościan. Cesarz zapytał członków komitetu, czy uważają chwilę obecną za odpowiednią do zajęcia się sprawą włościańską. Wszyscy, z wyjątkiem ks. Gagarina, odpowiedzieli twierdząco, poczem odczytano me-

moryał Lewszyna, mający służyć za podstawę obrad. Okazało się jednak, że ogół członków komitetu nie był przygotowanym do tak ważnej pracy i nie wiedział jakim sposobem zabrać się do dzieła. Schodził więc czas na sporach i na pogadankach, co budziło w cesarzu Aleksandrze II-im wielkie nieukontentowanie.

Tymczasem nadchodziło mnóstwo memoriałów i projektów, dotyczących sprawy włościańskiej. Komitet postanowił zatem przedewszystkiem z nimi się obznajmiać. Wszelkiego rodzaju projektów i listów okazało się 390, pomiędzy którymi były:

a) List Ludwika Tegoborskiego do prezesa rady państwa o oswo-  
bodzeniu włościan (z decyzją cesarską);

b) Memoriał Strechorowicza w języku francuzkim p. t. „uwagi nad projektami oswożenia włościan;

c) Rakowicza myśli o przemianie włościan obywatelskich na państwowych;

d) List obywatela Steckiego do W. Ks. Konstantego z memoriałem o potrzebie utworzenia w Petersburgu komitetów szlacheckich dla rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej;

e) Memoriał w języku francuzkim ks. Wilhelma Radziwiłła o systemie, jaki należy przyjąć przy uwłaszczeniu włościan (z decyzją cesarską);

f) Projekt kupca Więckowskiego o utworzeniu towarzystw kredytowych ziemskich, lub banków w miastach gubernialnych;

g) List hr. Zygmunta Krasickiego do cesarza, o oswożeniu włościan z nadaniem im na własność ziemi za wynagrodzeniem;

h) List Cypryana Lachnickiego do cesarza, o najodpowiedniejszym sposobie rozstrzygnięcia kwestyi włościańskiej (z uwagą cesarską).

i) List ks. Władysława Sanguszki do prezydującego w głównym komitecie w kwestyi oswożenia włościan;

k) Broszura w języku niemieckim Rodowicza-Oświecimskiego o niewoli i poddaństwie;

l) Uwagi r. r. s. Józefowicza w kwestyi włościańskiej;

m) Uwagi marszałka szlachty gub. kijowskiej Jaroszyńskiego, o sprzedaży włościanom osad i obdarowaniu ich ziemią;

n) List szlachcica Rudnickiego do cesarza wraz z projektem polepszenia bytu włościan.

o) Myśli Korybut-Daszkiwicza do ustawy polepszenia bytu włościan;

p) Traktat w języku polskim Butrymowicza pod tyt. „Dwór i wieś;“

q) Obywatela Grabianki: 1) wzorowa tablica i skrócony wyciąg z projektu o obdarowaniu włościan ziemią, 2) list w przedmiocie wykupu ziem włościańskich, 3) list z finansowemi projektami;

r) Projekt kupca Węckowskiego o utworzeniu kolonii w Rosyi zachodniej;

s) List Barszczewskiego, obywatela witebskiego, z uwagami nad pracami komisji;

t) Projekt Małyszewicza o urządzeniu bytu włościan w guberniach zachodnich;

u) Listy Włodzimierza Siwickiego, właściciela Kamienno-Brodu w gub. kijowski;

w) List w języku francuzkim Emila Oskierki, o sposobie oznaczenia powinności;

z) Projekt Marcinkiewicza, marszałka szlachty powiatu proskurowskiego;

ż) List Brzezińskiego do cesarza wraz z memoryałem.

Ze wszystkich jednak projektów najważniejsze były: Koszelewa, Samarina i Kawieliina. Bliższe rozpatrzenie tych wszystkich projektów komitet poruczył Rostowcewowi, bar. Korfowi i ks. Gagarinowi; lecz ci nie bardzo śpieszyli, tak, że do wiosny 1857 r. prawie nie nie zdziałano. W tym czasie cesarz wyjechał zagranicę, poleciwszy nadać sobie memoryały trzech wyżej wymienionych członków, które różniły się najwybitniej pomiędzy sobą. W lecie tegoż roku powrócił cesarz na krótki czas do Petersburga i mocno się rozgniewał na bezczynność komitetu. Dla dania bodźca mianował w połowie sierpnia W. Ks. Konstantego członkiem komitetu. Bawiąc w 1857 r. zagranicą, cesarz Aleksander II-gi szczególnie zajmował się kwestyą włościańską, zarówno z wewnętrznego przekonania jako też skutkiem wpływu króla pruskiego, W. Ks. Heleny Pawłówny i niemieckiego publicysty barona Hacksthausena, osobistości w sprawie oswożenia włościan wybitne zajmującej miejsce. (Zob. „Die ländliche Verfassung Russlands, ihre Entwicklung und ihre Feststellung in der Gesetzgebung von 1861. Leipzig, 1866 u Brockhause).

Z wejściem do komitetu W. Ks. Konstantego działalność odrazu się ożywiła, zgodzono się na 10-cio letni termin przechodni, po którego upływie włościanie mieli być w zupełności oswobodzeni. W tym peryodzie miano włościanom nadać na własność: osadę z ogrodem, konopinikiem i wygonem za pewnym wynagrodzeniem. Prócz tego pozostawić włościanom część ziemi na zasadach czynszu lub pańszczyzny. Nakoniec, po kilku nader burzliwych posiedzeniach komitetu, ułożono szereg pytań, które uprzednio należało rozstrzygnąć, mianowicie: 1) czy można dozwolić poddanym wstępować w związki makżeńskie bez zezwolenia obywatela, 2) czy można włościanom nadać prawo kupna ziemi bez zezwolenia dziedzica; 3) czy można ograniczyć prawo dziedzica rozstrzygania sporów pomiędzy włościanami; 4) w jakim stopniu można ograniczyć obywateli w prawie karania włościan; 5) czy można pozbawić dziedzica prawa zsyłki włościan na Syberyę; 6) czy należy ograniczyć prawo obywateli oddawania włościan w rekruty; 7) czy można ograniczyć prawo dziedziców interwencji przy



spełnianiu przez włościan powinności<sup>1)</sup>; 8) jakie należy przedsięwziąć środki w celu ściślejszego oznaczenia powinności, spełnianych przez włościan na korzyść obywateli; 9) czy można dopuścić skargi włościan na obywateli; 10) czy można obdarzyć włościan prawem wykupu ziemi za umówioną cenę; 11) jakie należy przedsięwziąć środki celem zmniejszenia służby dworskiej; 12) jakie należy przedsięwziąć środki dla przyspieszenia umów włościan z obywatelami; 13) czy nie należy już obecnie przedsięwziąć jakichkolwiek środków dla polepszenia doli włościan, i 14) jakim sposobem należy przystąpić do wykonania tych środków, które komitet uchwali, a cesarz potwierdzi? Mimo to wszystko sprawa nader słabo posuwała się naprzód, czuć było jakieś tajne prądy, które niweczyły najlepsze zamiary i chęci niektórych członków komitetu.

W tym stanie kwestyi niebawem zaszedł fakt wielkiej doniosłości, który reformę włościańską pchnął na nowe tory i powszechną zwrócił uwagę na szlachtę litewską. Podczas gdy dworzanie Cesarstwa jednomyślnie niemal przeciwni byli reformom w d. 30 sierpnia 1857 r., nadszedł adres szlachty litewskiej trzech gubernii: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej, proszący o oswożenie włościan, z zachowaniem prawa właścicieli do ziemi. Adres ten przedstawiony przez wileńskiego generał-gubernatora Nazimowa, w sferach dworskich wywołał nadzwyczajne wrażenie i radość. Równocześnie spowodował reskrypt cesarza Aleksandra II-go z d. 2 grudnia 1857 r., który jako pierwszy i niezmierniej wagi dokument w dosłownym tłumaczeniu podajemy:

„W guberniach kowieńskiej, grodzieńskiej i wileńskiej były utworzone osobne komitety z marszałków szlachty i innych obywateli, dla rozpatrzenia obowiązujących tamże przepisów inwentarnych.

Obecnie minister spraw wewnętrznych doniósł mi o błogich zamiarach, objawionych przez komitety względem włościan dworskich rzeczonych gubernii.

Uznając zamiary tych przedstawicieli szlachty gubernii kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej, za odpowiadające w zupełności moim widokom i chęciom, dozwalam stanowi szlacheckiemu tych gubernii zająć się ułożeniem projektów, na zasadzie których zamiary komitetów mogłyby być wykonane w rzeczywistości, lecz nie inaczej jak tylko stopniowo, aby nie naruszyć istniejącego porządku gospodarczego w majątkach obywatelskich.

W tym celu rozkazuję:

1) Utworzyć obecnie w gubernii kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej Komitety przygotowawcze, po jednym w każdej, a następnie dla wszystkich trzech gubernii razem jedną Komisją ogólną w Wilnie.

2) Każdy gubernialny komitet pod prezydencją gubernialnego marszałka szlachty, składać się ma z członków: a) po jednym z ka-

<sup>1)</sup> ? Red.

zdego powiatu gubernii, wybranym z pomiędzy szlachty, władającą majątkiem zaludnionym, i b) z dwóch ekspertów obywateli téż gubernii z bezpośredniego wyboru gubernatora.

3) Aby Komisya ogólna składała się z następujących osób: a) z dwóch członków od każdego z trzech komitetów gubernialnych i z ich wyboru; b) z jednego obywatela eksperta z każdej gubernii z wyboru generał-gubernatora i c) jednego członka ministerjum spraw wewnętrznych. Prezesa komitetu pozostawia się panu wybrać z pośród obywatelstwa miejscowego.

Komitety gubernialne po ich otwarciu powinny przystąpić do ułożenia dla każdej gubernii zgodnie z ich własną inicjatywą szczegółowych projektów o urządzeniu i polepszeniu bytu włościan obywatelskich, mając na względzie następujące główne zasady:

1. Obywatelom zachowane będzie prawo własności na całą ziemię, włościanom zaś pozostawioną będzie osada, którą oni w ciągu oznaczonego czasu nabędą na własność sposobem wykupu; prócz tego oddaném będzie włościanom dla właściwego użytku, zgodnie z miejscowemi warunkami dla zabezpieczenia ich bytu i dania możności spełniania obowiązków względem państwa i dziedziców ilość ziemi, za którą oni mają płacić czynsz (obrok) lub wykonywać pańszczyznę obywatelowi.

2. Włościanie winni być podzieleni na wiejskie gromady, obywatelom zaś pozostawiona będzie władza policyjna wiejska i

3. Przy urządzaniu przyszłych stosunków obywateli z włościanami, winno być odpowiednim sposobem zabezpieczone punktualne płacenie państwowych i ziemskich podatków i składek pieniężnych.

Rozwinięcie tych zasad i zastosowanie ich do miejscowych warunków każdej z trzech wymienionych gubernii, pozostawia się komitetom gubernialnym. Minister spraw wewnętrznych zakomunikuje panu swoje poglądy, mogące być użytecznemi komitetom w ich zajęciach.

Komitety gubernialne, po ukończeniu swych prac, winny przedstawić rezultat swoich badań komisji ogólnej. Komisya, przejrawszy i rozstrząsnąwszy wszelkie przedstawienia komitetów gubernialnych, i porównawszy je z wyżej wymienionemi zasadami, winna ostatecznie zadecydować projekt ustawy ogólnej dla wszystkich trzech gubernii, z odpowiedniami dla każdej wyjątkami lub dopełnieniami.

Poruczając Panu główny nadzór i kierunek tej ważnej w ogóle sprawy, w podległych panu guberniach: kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej, poruczam panu wydać zarówno komitetom gubernialnym tych trzech gubernii, jako téż i komisji ogólnej odpowiednie wskazówki, celem właściwej procedury i ukończenia poruczonych im zajęć. Gubernatorowie winni pomagać panu w spełnieniu tego obowiązku. Wygotowany przez komisją ogólną projekt łącznie z pańską opinią, przesyłasz pan ministrowi spraw wewnętrznych dla przedstawienia mnie do rozpatrzenia.

Dając tym sposobem szlachcie gubernii kowieńskiej, wileńskiej

i grodzieńskiej sposobność urzeczywistnienia błogich jój zamiarów, na wskazanych przezemnie zasadach, spodziewam się, że szlachta zśięci zaufanie okazywane przezemnie temu stanowi przez powołanie go do uczestnictwa w tój ważnej sprawie, i że przy pomocy Bożej i światłem współudziale szlachty, sprawa ta będzie ukończoną z należytą korzyścią.

Pan i naczelnicy powierzonych Panu gubernii obowiązani jesteście ściśle baczyć, aby włościanie, pozostając w zupełnej uległości dla szlachty, nie podlegali żadnym złym podszeptom i kłamliwym wieściom.

Pozostaję zawsze życzliwym Panu *Alexander*."

Oto jest całkowita osnowa reskryptu cesarskiego do generał-gubernatora Nazimowa. Jest to pierwszy ujawniony akt urzędowy, który właściwie rozpoczął wielką reformę włościańską nie tylko na Litwie i Rusi, ale i w całym państwie Rosyjskim. Akt ten ma dla nas podwójne specjalne znaczenie, ponieważ okrył zasłużoną chwałą szlachtę litewską, która w chwili, gdy całe niemal dworzaństwo rosyjskie było przeciwne oswobodzeniu włościan, nie zawahała się ani na chwilę wystąpić z inicjatywą zgodną z zamiarami cesarza Aleksandra II-go. Litwinom więc należy się stawa, że pierwsi w poczuciu obywatelskiem podjęli sprawę polepszenia niedoli włościan. Po dwudziestu dziewięciu latach jakże się czasy zmieniły? Większość tych pionierów leży w grobie, lub chcąc nie chcąc rozproszyła się po całym niemal świecie, mała tylko garstka pozostała na rodzinnej glebie, a i ta coraz częściej jest niepokojoną, ścieśnianą i oskarżaną przez zaciekłą i namiętą część prasy o buntownicze i anarchiczne knowania, których w rzeczywistości nigdy nie żywiła. Byłaby to nagroda lub zemsta za inicjatywę, że to oni pierwsi, a nie kto inny, zapragnęli urzeczywistnić zamiary cesarza Aleksandra II-go.

Komitet gubernialny wileński <sup>1)</sup> pierwszy rozpoczął czynności w d. 3 marca 1858 r. i ukończył je w d. 20 grudnia t. r. Następnie zebrał się komitet gubernialny grodzieński <sup>2)</sup> w d. 10-ym

<sup>1)</sup> Komitet gubernialny wileński, pod prezydencją Aleksandra Domejki i vice-przesostwem Ignacego Chodźki, składali delegaci powiatów: wileńskiego 1) Rudolf Jasiński, zastępa Konstanty Jeleński (na miejsce zmarłego Stanisława Sidorowicza); oszmiańskiego: 2) Jan Lubański, zast. Karol Czernicki (na miejsce zmarłego Józefa Śniadeckiego); wilojskiego: 3) Mieczysław Tukallo, zast. Aleksander Olgdzki; święszczańskiego: 4) Ignacy Chodźko, zast. Ksawery Dowgialło; trockiego: 5) Stanisław Romer, zast. Ludwik Jeleński; dziśnieńskiego: 6) Aleksander Szyryn, zast. Cypryan Dłużniewski; lidzkiego: 7) Narcyz Żurawski, zast. Tomasz Szalewicz. Członek od rządu: 8) Karol Heling i Konstanty Giocewicz (na miejsce Piotra Wittgensteina). Gubernatorem wileńskim był podówczas Michał Pochwisniew.

<sup>2)</sup> Komitet gubernialny grodzieński pod prezydencją Kaliksta Orzeszki i vice-przesostwem Antoniego Głazera składali delegaci powiatów: grodzień-

marca 1858 r. i zamknął czynności 26 listopada t. r.; ostatnim zaś był komitet gubernialny kowieński <sup>1)</sup>, który rozpoczął czynności 18 marca 1858 r. i ukończył je 27 listopada t. r. Gdy więc komitety gubernialne ukończyły obrady w myśl reskryptu cesarskiego, zebrała się w Wilnie Komisya ogólna w d. 29 grudnia 1858 r. pod prezydencją Kaliksta Orzeszki, złożona z członków: od wileńskiego komitetu gubernialnego: 1) Aleksander Domejko, 2) Mieczysław Tukatto, zastępca Stanisław Romer. Od komitetu gub. grodzieńskiego: 3) Kalikst Orzeszko, 4) Antoni Glazer. Od komitetu gub. kowieńskiego: 5) Kleofas Dymśza, 6) Franciszek Giedgowd, zastępca Waleryan Janczewski. Członkowie od rządu: 7) Jan Lubański, 8) hr. Stanisław Sołtan (na miejsce Wiktora Poroszyzna), 9) hr. Rejnhold Tyzenhaus. Członek od ministryum spraw wewnętrznych: 10) Mikołaj Kołoszin. Komisya wileńska ukończyła prace 5 lipca 1859 r.

Na drugi dzień po wydaniu reskryptu cesarskiego, t. j. w d. 3 grudnia 1857 r., Łanskoj, minister spraw wewnętrznych, przesłał Nazimowowi odezwę, w której bliżej objaśnia zasady na których reforma się ma opierać. W odezwie tej czytamy między innymi, że komitety gubernialne winny ukończyć swe prace w ciągu sześciu miesięcy od daty ich otwarcia, oraz

I. „Zniesienie poddaństwa włościan winno nastąpić nie nagle, ale stopniowo. W tym celu włościanie początkowo winni być pozostawieni w stanie przechodnim, mniej lub więcej przywiązani do ziemi, następnie dopiero w stanie ostatecznym lub wolnym, gdy rząd dozwoli im zmieniać miejsce pobytu pod odpowiednimi warunkami

skiego: 1) Antoni Glazer, zast. Franciszek Bogatko; sokólskiego: 2) Stanisław Karwowski, zast. Władysław Torpiłowski; białostockiego: 3) Jakób Sakowicz, zast. Kazimierz Michałowski (na miejsca Seweryna Michałowskiego; białskiego 4) Ryszard Korybut-Daszkiewicz, zast. Marcin Zawadzki; biel-skiego: 5) Paweł Jagmin, zast. Konstanty Karłowicz; prużańskiego: 6) Aleksander Osuchowski, zast. Seweryn Moraczewski; słonimskiego: 7) Wandalin Pusłowski, zast. Florentyn Mikulski; wolkowskiego: 8) Tadeusz Sicheń, zast. Ignacy Szyrma; kolryńskiego: 9) Jan Żuk, zast. Bolesław Żuk. Członkowie ze strony rządu: 10) Wiktor Poroszyzn; 11) Aleksander von Liephardt. Gubernator grodzieński: Iwan Speier.

<sup>1)</sup> Komitet gubernialny Kowieński pod prezydencją Józefa Dowgir-da i vice prezesostwem Kłeta Burby, składali delegaci powiatów: kowieńskiego 1) Klet Burba, zast. Jakób Giejsztor; wilkomierskiego: 2) Julian Pac-Pomarnacki, zast. Medard Kończa; nowo-aleksandryjskiego 3) Edward Romer, Franciszek Leduchowski; poniewieżskiego 4) Karol Grotus, zast. baron Ludwik Ropp; rosiońskiego 5) Franciszek Giedgowd, zast. Jan Grużewski; szawelskiego 6) Waleryan Janczewski, zast. hr. Karol Kajzerling; telszewskiego 7) Kleofas Dymśza, zast. Tytus Gadon. Członkowie ze strony rządu 8) Ks. Ironusz Ogiński i 9) Feliks Siosicki. Gubernator kowieński, Stanisław Chomiński.

i ograniczeniami. Dla stanu przejściowego należy oznaczyć czas zgodnie z zapatrywaniem komitetów gubernialnych, nie dłuższy jednak nad lat dwanaście.

II. Na zasadzie wskazówek wyłuszczonej w najwyższym restrypcie obywatele zachowują prawo własności do całej ziemi, aby zaś uchronić stan włościański od szkodliwej ruchliwości i włóczęgostwa, kmicciem pozostawioną będzie na własność ich siedziba, nabyta przez nich sposobem wykupu, w ciągu oznaczonego czasu. Prócz tego pozostawioną będzie włościanom do odpowiedniego użytkowania, zgodnie z miejscowymi warunkami, ku zabezpieczeniu ich bytu i daniu im możności wypełnienia zobowiązań względem państwa i dziedziców, pewna ilość ziemi, za którą mają płacić czynsz, lub odraabiać właścicielowi. W szczegółówóm rozwinięciu i zastosowaniu tych zasad należy mieć na uwadze, co następuje:

1. Siedzibę włościanina stanowi izba lub chata, w której mieszka, z podwórzem i przynależnościami, z ogrodem i ziemią.

2. Prawo stanu wolnego i prawo własności tej ziemi, włościanie nabywają dopiero po wniesieniu przez nich w epoce przechodniej wykupu, którego wysokość nie powinna przewyższać wartości nabytej na własność osady.

3. Spłata powyższa może być dokonana albo pieniędzmi, albo też robocizną, niezależnie od tej, którą włościanie obowiązani spełniają za ziemię, oddaną im w użytkowanie na zasadzie punktu 5-go.

4. Pozostała ziemia winna być rozdzielona, zgodnie z jej przeznaczeniem na dworską (gospodskoju) i na oddaną w użytkowanie włościan.

5. Ziemia, raz oddana w użytkowanie włościan, nie może być włączoną do pól dworskich, lecz winna stale pozostawać w użytkowaniu włościan w ogóle, zapłacona czy to przez spełnianie przez nich względem dziedziców powinności w naturze i przez robocizną, czy też za spłatą dziedzicowi czynszu pieniędzmi lub produktami.

6. Ilość ziemi, pozostawionej na tej zasadzie w użytkowaniu włościan, celem zabezpieczenia ich bytu, dania możności wypełniania zobowiązań względem państwa i obywateli, należy oznaczyć podług miejscowych warunków i zwyczajów.

7. Sposób użytkowania tej ziemi ustanowiony będzie także zgodnie z miejscowymi zwyczajami. Tam, gdzie istnieje własność (ustroństwo) wspólna, należy, nie naruszając jej, zachować każdej rodzinie prawo do udziału ziemi, starając się nie dopuszczać częstego rozdrabniania lub przeistaczania pól. Tam, gdzie istnieje osobiste (podworne) użytkowanie z ziemi i gdzie ziemia oddana w użytkowanie włościan, rozdzielona jest na osady i fermy, z gospodarzami i chałupnikami, należy przedsięwziąć środki możliwego zabezpieczenia osiadłości chałupników (komorników) i stanowczego oznaczenia stosunku ich do gospodarzy.

8. Spełnianiu naturalnych powinności i robocizny, albo spłaty czynszu na korzyść właściciela, mogą podlegać tylko ci włościanie, którym nadano ziemię w tychże miejscowościach, gdzie włościanie dzielą się na gospodarzy i chałupników lub robotników bez roli; tych zaś ostatnich można zmuszać do roboty tylko za zapłatą.

9. Rozmiar czynszu i naturalnych powinności winien być stanowczo oznaczony odpowiednio do przestrzeni i gatunku ziemi, oddanej w użytkowanie włościan.

10. Powinności w naturze i pańszczyznę odbywać się będzie na zasadzie szczegółowych urządzeń, które winny być ułożone przez komitety gubernialne, na zasadach o ile możności prostych i jasnych—i

11. Na przypadek nieakuratności spłaty czynszu obywatelowi, pozostawia się prawo używać nieakuratnego dłużnika do robót w naturze i właściciel może go pozbawić tego działka ziemi, którym włada nieakuratny dłużnik.

III. Policja wiejska pozostawia się przy obywatelu. Włościanie winni być rozdzieleni na gromady wiejskie. Zawiadywanie wiejskimi sprawami każdej gromady i wiejskie obrady pozostawione będą wiecom (mirskim schodam), albo też wiejskim sądom, złożonym z kmieci, pod nadzorem i potwierdzeniem obywateli.

IV. Dla nadzoru nad wprowadzeniem i wykonaniem nowych przepisów i dla rozstrzygnięcia kwestyi, mogących zajść pomiędzy właścicielami i włościanami, mają być ustanowione specjalne w każdym powiecie urzędy. W tym celu byłoby pożytecznym zastosować choć w pewnej mierze postanowienia, obowiązujące w gub. nadbałtyckich, o ile to zastosowanie okaże się możebnym i pożytecznym dla miejscowych właściwości, składu zarządu i systemu procedury sądowej w ogóle w guberniach kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej.

V. Z chwilą wprowadzenia nowej ustawy w wykonanie:

1. Przedaż, darowizna i wszelki przelew (?) włościan bezrolnych jak również przesiedlanie włościan wbrew ich woli do drugich majątków, winno być zaniechaném; z drugiej zaś strony włościanom do chwili ostatecznego ich oswobodzenia nie może być dozwoloném opuszczanie majątku bez zezwolenia właściciela, na którego ziemi zostali osiedleni.

2. Przemiany włościan na czeladź należy zaniechać i łącznie z tém należy przedsięwziąć środki stopniowego z początku zmniejszenia, a następnie zniszczenia tej klasy ludzi za pośrednictwem przemiany ich we włościan, obdzielonych ziemią, lub też przez zaliczenie ich, za zgodą obywateli, do stanu wolnego.

3. Podczas całej epoki przechodniej obywatelom pozostawione będzie prawo występnych włościan oddawać za zgodą włościan w rekruty lub do rozporządzenia rządu, celem osiedlenia w innych guberniach, lecz tylko z zatwierdzenia tych władz, które będą utworzone w powiatach na zasadzie nowej ustawy.

VI. W ułożonych przez komitety gubernialne projektach winny być oznaczone i wskazane:

1. Przepisy spełniania przez włościan powinności rekruckiej: wyznaczanie rekrutów winno być pozostawione samym obywatelom przy zatwierdzeniu dziedzica.

2. Sposób zabezpieczenia zapasów żywności ludu (narodnago prodowlstwija) i punktualnego wpływu podatków. W tym celu pożytecznymby może było lepsze urządzenie magazynów wiejskich, przy zaprowadzeniu wspólnych zasiewów i gromadzkich kapitałów.

3. Środki konieczne dla rozpowszechnienia pomiędzy włościanami oświaty i rzemioł pożytecznych dla opieki starców i kalek, pomocy chorym i t. p....“

W trzy dni po wydaniu reskryptu cesarskiego na imię Nazimowa, t. j. w d. 6 grudnia 1857 r., z inicjatywy W. Ks. Konstantego ułożono cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów i marszałków szlachty, oraz przewodników dworzan treści następującej:

„W gubernii kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej utworzone z marszałków szlachty i właścicieli ziemskich komitety specjalne dla rozpatrzenia przepisów inwentarnych, uznały koniecznym polepszyć i utrwalić byt włościan przez oswobodzenie ich z poddaństwa. Najjaśniejszy Pan, dowiedziawszy się z zadowoleniem o tak szlachetnym zamiarze przedstawicieli szlachty tychże gubernii, reskrypcją z d. 2-go grudnia r. b. na imię wileńskiego, grodzieńskiego i kowieńskiego generał-gubernatora, raczył dozwolić szlachcie tychże gubernii zająć się ułożeniem odpowiednich projektów, i utworzyć w tym celu w każdej gubernii specjalne komitety ze szlachty-właścicieli ziemskich i jedną ogólną komisją dla tych gubernii, z nadmienieniem, aby oni w pracach swoich kierowali się zasadami wskazanymi w reskrypcie. Łącznie z tém, z zezwolenia J. C. Mości ja zakomunikowałem temuż generał-gubernatorowi swoje poglądy, służyć mające za materyał i pomoc komitetom gubernialnym w ich zajęciach. Dokumenty te mam honor w kopii załączyć j. w. Panu dla pańskiej wiadomości i oryentowania się, na wypadek, gdyby szlachta (ewentualnie dworzaństwo) podległej Panu gubernii wykazała podobne zamiary. Łanskoj.“

Cyrkularz ten wygotowany był w wielkim sekrecie i gotowy już podany do podpisu Łanskoja. Niektórzy członkowie komitetu chcieli go cofnąć, ale już było zapóźno, gdyż z odsyłką nie zwlekano ani jednej chwili.

W dalszym ciągu w dniu 21 marca 1858 r., wydany został reskrypt na imię ks. Wasilecykowa o utworzeniu Komisji ogólnej w Kijowie dla gubernii: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, oraz komitetów gubernialnych. Komitet gubernialny kijowski <sup>1)</sup> rozpo-

<sup>1)</sup> Komitet gubernialny kijowski pod prezydencją Oktawiana Jarożyńskiego i vice-prezesostwem Zenobjusza Hołowińskiego składali delegaci powiatów: kijowski 1) Włodzimierz Butowicz 2) Rościsław Ryłski, zast.

czął czynności 6 lipca 1858 r. i ukończył prace w d. 15 kwietnia 1859 roku. Drugim z kolei był komitet gubernialny podolski <sup>1)</sup>, który rozpoczął czynności w d. 14 lipca 1858 r. i ukończył — 5 stycznia 1859 r. Nakoniec komitet gubernialny wołyński <sup>2)</sup> rozpoczął

Bazyli Frejgang; taraszczańskiego 3) Feliks Szóstakowski, 4) Piotr Lipkowski, zast. Wiktor Florkowski; wasilkowskiego 5) Mikołaj Gudim-Liwkowiec 6) hr. Władysław Branicki, zast. bar. Karol Ramm i Julian Lewandowski; czerkaskiego 7) Walenty Florkowski, 8) Gustaw Macewicz, zast. Mikołaj Białokopytów; lipowieckiego 9) Seweryn Seroczyński, 10) Tadeusz Bobrowski, zast. Józef Sarnocki; zwinogrodzkiego 11) Daniel Jenicz zast. Narcyz Kaliński; skwirskiego 13) Julian Popowski, 14) Józef Straszyński; humańskiego 15) Włodzimierz Czarnowski, 16) hr. Bolesław Moszcozeński, zast. Michał Krzyżanowski; berdyczowskiego 17) Julian Zalewski, 18) Maryan Wasutyński, zast. Izidor Michalski; kaniowskiego 19) Zenobjusz Hołowiński, 20) Leon Modzelewski, zast. Ludwik Jankowski; achryńskiego 21) Zygmunt Koturzyński, 22) Karol Trypolski, zast. Wincenty Dobrowolski; radomyskiego 23) Aleksander Horwatt, 24) Jan Hański (na miejsce Łukasza Kiełowskiego); zast. Dzwonkowski (na miejsce Hańskiego). Członkowie ze strony rządu 25) hr. Adam Bierzyński, 26) Kacper Kozakowski. Gubernatorem kijowskim był Hesse.

<sup>1)</sup> Komitet gubernialny podolski pod prezydencją Jana Sulatyckiego i vice-prezesostwem Narcyza Makowieckiego składali delegaci powiatów: kamienieckiego 1) Wacław Giżycki, 2) Zygmunt Starorypiński, zast. Ludwik Trzeciński, uszyckiego 3) Cypryan Karaszewicz-Tokarzewski, 4) Ignacy Chełmiński, zast. Mieczysław Regulski; proskurowskiego 5) Konstancy Gadowski, 6) Zygmunt Raciborski, zast. Tytus Iwanowski; latyczowskiego 7) Ludwik Bernatowicz, 8) Ignacy Zgórski, zast. Fryderyk dr. Krause; lityńskiego 9) Karol Dorożyński, Aleksander Piatin, zast. Salezy Kożuchowski; winnickiego 11) Karol Jakubowski, 12) Antoni Kornelowski, zast. Kazimierz Markowski; bractawskiego 13) Feliks Sobański, 14) Edward Jaroszyński zast. Tytus Kossowski; mohylowskiego 15) Władysław Górski, 16) Antoni Bienkiewicz, zast. Grzegorz Hec; jampolskiego 17) Emeryk Mańkowski, 18) Stanisław Pertowski, zast. Seweryn Górski; hajsyńskiego 19) Henryk Lipkowski, 20) Adolf Jelowicki, zast. Alojzy Czarnowski; oliwopolskiego 21) Mikołaj Czarnomski, 22) Bolesław Lipiński (na miejsce Zenona Brzezińskiego), zast. Konstancy Heyman; bałckiego: Konstancy Kulikowski; 24) hr. Edward Roniker zast. Hilary Rafałowski. Członkowie od rządu 25) Narcyz Makowiecki, 26) Aleksander Krokowski. Generał-gubernatorem kijowskim, wołyńskim i podolskim był ks. Wasilczykow. Gubernatorem podolskim: Pfeler.

<sup>2)</sup> Komitet gubernialny wołyński pod prezydencją Karola Mikulicza i vice-prezesostwem Romualda Ledóchowskiego składali delegaci powiatów: żytomierskiego 1) Józef Wezelko, 2) Zygmunt Pruszyński; owruckiego 3) Leopold Rudnicki, 4) Felicjan Młodziejowski (na miejsce Edmunda Steckiego); nowogródek-wołyńskiego 5) Ludwik Rudnicki, 6) Serafin Nagrodzki; starokonstantynowskiego 7) Jan Głębocki, 8) Adolf Borkowski, zast. Władysław Kulesza; zasławskiego 9) Aleksander Nartow, 10) Mieczysław Grocholski,



czynności 20 lipca 1858 r. i ukończył w d. 11 kwietnia 1859 r. Po ukończeniu czynności przez komitety gubernialne, zebrała się Komisya ogólna w Kijowie 1 maja 1859 r. na posiedzenia, z których ostatnie odbyło się 9-go września t. r. Komisją tę pod prezydencją Oktawiana Jaroszyńskiego i vice-prezesostwem Karola Mikulicza, składali członkowie od komitetu gub. kijowskiego: 1) Tadeusz Bobrowski, 2) Feliks Szóstakowski, zast. hr. Władysław Branicki. Od komitetu gub. wołyńskiego: 3) Karol Mikulicz, 4) Zygmunt Prószyński, zast. hr. Aleksander Ryzyszczewski. Od komitetu gub. podolskiego: 5) Ludwik Bernatowicz, 6) Feliks Sobański, zast. Karol Dorożyński. Członkowie ze strony rządu: 7) Oktawian Jaroszyński, 8) Choński, 9) Henryk Lipkowski (na miejsce Władysława Górskiego). Członek ze strony ministeryum spraw wewnętrznych: Paweł von Schultz.

Następnie rozpoczęły czynności trzy komitety gubernialne, do których nieformowano już komisji ogólnej, mianowicie: Komitet gubernialny mohylewski <sup>1)</sup> rozpoczął czynności 28 sierpnia 1858 r. i ukończył 6 czerwca 1859 r. Komitet gubernialny witebski <sup>2)</sup> ze-

zast. Władysław Cichoński; ostrońskiego 11) Feliks Lenkiewicz, 12) Ksawery Jodko, zast. Ignacy Wysocki; rówieńskiego 13) ks. Karol Radziwiłł, 14) Stanisław Chamiec zast. Karol Stecki; dubiańskiego 15) Romuald Ledóchowski, 16) Rafał Strojnowski, zast. hr. Kazimierz Tarnowski, krzemienieckiego 17) hr. Aleksander Ryzyszczewski, 18) Antoni Boguski, zast. Karol Drzewiecki; łuckiego 19) Erazm Stecki, 20) Hipolit Młodzianowski, włodzimierskiego 21) Alojzy Zagórski, 22) Alfons Zielinski, zast. Wicenty Wydźga; kowalskiego 23) Adam Przesmycki, 24) Andrzej Brzostowski, zast. Filip Bielajow. Członkowie ze strony rządu 25) Włodzimierz Świejkowski, 26) Kazimierz Choński. Gubernatorem wołyńskim był: ks. Michał Drucki-Sokoliński.

<sup>1)</sup> Komitet gubernialny mohylewski pod prezydencją ks. Stefana Lubomirskiego i vice-prezesostwem Eustachego Kolowrath-Czerwińskiego składali delegaci powiatów: mohylewskiego 1) Bazyli Korolko, 2) Jan Sipajło, zast. Konstanty Kotwicki; tychowskiego 3) Jakób Byszewski, 4) Edward Żukowski, zast. Antoni Szaniawski; rogaczewskiego 5) Ludwik Stuczanowski, 6) Aleksander Fromandier zast. Józef Wykowski; homelskiego 7) Jan Pereświt Soltan, 8) Józef Uścińowicz zast. Konstanty Bajkow; czarykowskiego 9) Dymitr Hołyński, 10) Teofil Kamieński, zast. Jan Wasilewski; sienińskiego 11) Kazimierz Dunin, 12) Mieczysław Świętorzecki, zast. Ludwik Hornowski; orszańskiego 13) Eustachy Kolowrath-Czerwiński, 14) Paweł Brzozowski, zast. Andrzej Birula; kopyskiego 15) Wincenty Sławiński, 16) Ignacy Mężyński, zast. Witold Sławiński; mścisławskiego 17) Kazimierz Stachowski, 18) Michał Wojnicz Sianożęcki, zast. Aleksander Rucioński; klimowieckiego 19) Ignacy Komar, 20) Ignacy Ciechanowiecki, zast. Ignacy Zubowicz; czausowskiego 21) Jakób Rakusza-Suszczewski, 22) Antoni Chodkiewicz, zast. Eugeniusz Makowiecki; Członkowie ze strony rządu 23) Stefan Hołyński, 24) Aleksander Mężyński. Gubernatorem mohylewskim był Aleksander Bieklemiszew.

<sup>2)</sup> Komitet gubernialny witebski pod prezydencją Stanisława Jurjo-

brał się na pierwszą sesyą 13 lipca 1858 r. i na ostatnią 21 lutego 1859 r., i komitet gubernialny miński <sup>1)</sup> otworzony w d. 11 września 1858 r., ukończył czynności 23 maja 1859 r.

Z rozkazu cesarskiego minister spraw wewnętrznych w d. 3 maja 1858 r., rozesał cyrkularz do gubernatorów oraz 25 egzemplarzy programów zajęć komitetów gubernialnych, wygotowanych przez komitet główny. Program ten wskazywał, że obowiązek komitetów gubernialnych polega na wynalezieniu środków polepszenia bytu włościan na zasadach wskazanych w reskryptach, oraz

wicza i vice-przesostwem Jana de Lippe-Lipskiego składali delegaci powiatów: surażskiego 1) Rafał Bogdanowicz, 2) Michał Lisowski, zast. Konstanty Szembek; witebskiego 3) Aleksy Ciechanowiecki, 4) Modest Reksó, zast. Wincenty Sałatko-Petryszcza (na miejsce Stanisława Drozdowskiego); rzeczyckiego 5) Ignacy Bohomolec (na miejsce Kazimierza Wodzyńskiego), 6) Justyn Zagórski, zast. Wład. Sołtan; lepelskiego 7) Euzebiusz Snarski, 8) Kazimierz Przysiecki, zast. Jakób Lisowski; nawelskiego 9) Aleksy Żukowski, 10) Ignacy Petrykowski, zast. Mikołaj Jowrejnow; drysieńskiego 11) Ignacy Chrapowicki, 12) Leon Sulistrowski, zast. Michał Szczytt; siebiezkiego 13) hr. Gustaw Wielhorski, 14) Józef Łabuński, zast. August Targoński; ludyńskiego 15) Józef Rodziewicz 16) Jan de Lipo-Lipski, zast. Aleksander Zaremba; wielizkiego 17) Aleksander Herngross, 18) Sylwan Gliński, zast. Michał Kaweck; gródzkiego 19) Bohdan Azanczewski, 20) Jan Galiof, zast. Antoni Jachimowicz; połockiego, 21) Piotr Kulesza, 22) August Roszkowski zast. Edward Rentt; dyneburskiego 23) hr. Stanisław Plater-Zyberg, 24) hr. Ludwik Plater, zast. Józef Młodzinowski. Członkowie ze strony rządu 25) Paweł Ciechanowiecki (na miejsce Mikołaja Grzebnickiego, 26) Piotr Milkiewicz (na miejsce Józefa Rentta).

Z tych członków: Lisowski, Ciechanowiecki, Żukowski, Wielhorski, Łabuński, Herngross, Galiof, Roszkowski i P. Ciechanowiecki, ułożyli ustawę inflandzką. Zagórski, Sołtan, Chrapowicki, Sulistrowski, Rodziewicz, de Lippe-Lipski i Platerowie stanowili mniejszość komitetu witebskiego. Gubernatorem witebskim był Paweł Kłuszyn.

<sup>1)</sup> Komitet gubernialny miński, pod prezydencją Ludwika Słotwińskiego i vice-przesostwem Ottona Horwatta, składali delegaci powiatów: mińskiego 1) Ignacy Bogdaszewski, 2) Bolesław Świętorzecki, zast. Adam Wańkowicz; boryowskiego 3) Wiktor Świda, 4) hr. Konstanty Tyszkiewicz, zast. Ignacy Bieliński; i humańskiego 5) August Janiszewski, 6) Jakób Łukaszewicz, zast. Otton Jodko; rzeczyckiego 7) Otton Horwath, 8) Edmund Łaszcz, zast. Stefan Kuncewicz; pińskiego 9) Aleksander Skirmunt, 10) Mateusz Tukalski-Nielubowicz, zast. Adam Statkowski; słuckiego 11) Kazimierz Jeleński, 12) Bronisław Zaleski, zast. Marek Uzłowski, nowogródzkiego 13) hr. Aleksander O'Rurk, 14) Karol Kaszyo, zast. Aleksander Danejko; bobrujskiego 15) Aleksander Łappa, 16) Michał Puszczyń, zast. Eugeniusz Panszanowski; mozyrskiego 17) Napoleon Jeleński, 18) Artur Horwath, zast. Hieronim Kiniowicz. Członkowie ze strony rządu 19) hr. Floryan Rzewuski, 20) Aleksander Osierko. Gubernatorem mińskim był hr. Edward Keller.

na skreśleniu projektu ogólnego w tej sprawie. Po spełnieniu tych obowiązków komitety miały być powtórnie wezwane celem wprowadzenia w wykonanie zatwierdzonych ustaw, a następnie w ściślejszym komplecie komitety gubernialne miały się zająć ułożeniem projektu ogólnej ustawy wiejskiej, regulującej szczegółowo byt nowych obywateli państwa — kmieci. Tym sposobem czynności komitetów gubernialnych podzielono na trzy peryody: 1) ułożenie projektu ustawy, zawierającej główne zasady polepszenia bytu włościan; 2) wprowadzenie w wykonanie tej ustawy, po jej zatwierdzeniu w każdym po szczególe majątku i 3) skreślenie ustawy wiejskiej, regulującej byt włościan.

W pierwszym peryodzie czynności komitet zajmie się najprzód zebraniem wiadomości i powiatowemi naradami. Zebranie wiadomości odnosiło się do: 1) liczby dusz w każdym majątku, 2) podziału włościan podług stosunku spełnianych powinności, 3) liczby osad z oznaczeniem ilości ich ziemi, 4) ogólnej przestrzeni ziemi z majątku, 5) podziału pól dworskich i włościańskich, 6) stosunku ogólnej przestrzeni majątku do liczby dusz, 7) stosunku przestrzeni włościańskiej do liczby mieszkańców, 8) wartości osad, budowli i ziemi, 9) wartości pól stosownie do ceny bieżącej, ceny robotnika na dziesięcinę, kosztów obróbki, średniego dochodu brutto z dziesięciny, 10) przemysłu włościańskiego: rolniczego, rzemieślniczego, fabrycznego, transportowego, 11) powinności włościan: podatki i czynsze, powinności w naturze, liczba dni roboczych, roboty na wydział, wartość dnia roboczego, 12) kmieci dworskich: zaliczonych do domów i kapitałów, majątków z podzieleniem na czeladź domową i rolną, 13) z włościan: pisarze, kantorowicze, leśniczowie, muzykanci, śpiewacy, felerzerzy, weterynarze, gorzelani, ogrodnicy, młynarze, pastuchy i t. p., ich liczba i byt ekonomiczny, 14) liczby piśmiennych włościan w majątku i sposób krzewienia oświaty, 15) urzędzeń ekonomicznych i dobroczynnych, 16) długi bankowe i zaległości podatkowe, ciężące na majątkach po dzień 1 stycznia 1858 r. Ostateczne zajęcia komitetów gubernialnych w pierwszym peryodzie były następujące: ogólny wykaz ówczesnego stanu majątków, zajęć narad powiatowych, rozpatrzenie tych wszystkich przedmiotów, które weszły do projektów, oraz skreślenie samego projektu ustawy.

W drugim peryodzie komitety gubernialne miały się zająć wprowadzeniem w wykonanie ustawy po jej zatwierdzeniu, przy czém właścicielom ziemskim pozostawiono prawo uszczelnienia w komitecie gubernialnym przy rozpatrzeniu szczegółowych aktów jego majątku dotyczących.

W trzecim peryodzie należało do komitetów gubernialnych skreślenie projektu ustawy wiejskiej, regulującej byt włościan, w skutek czego polecono komitetom bacznie śledzić za biegiem reformy włościańskiej, a to w celu dokładniejszego poznamienia się z bytem i potrzebami włościan.

W dniu 20 stycznia 1858 komitet tajny przekształcony został na „komitet główny do spraw włościańskich.“ Instytucją tę pod prezydencją cesarza Alexandra II składali: prezes rady państwa ks. Orłow z prawem przewodniczenia w zastępstwie cesarza i członkowie rady państwa: W. Ks. Konstanty, hr. Błudow, hr. Adlerberg, ks. Gagarin, Łanskoj, bar. Korf, hr. Panin, ks. Dołgorukow, Czewkin, Murawjew (wilieński), Broch i Rostowcew. Sekretarzem komitetu cesarz mianował Butkowa, pomocnikiem zaś jego Żukowskiego. Nieco później 27 lipca 1858 z łona komitetu głównego oddzieloną została komisya specjalna, złożona z Łanskoja, Panina, Murawjewa i Rostowcewa, z sekretarzem Żukowskim, do pierwszego rozpatrzenia projektów nadesłanych przez komitety gubernialne.

Nader wybitną rolę w sprawie reformy włościańskiej odegrał Wydział ziemiański, utworzony 16 marca 1858 r. przy Centralnym Komitecie statystycznym ministeryum spraw wewnętrznych. Do niego należało pierwsze rozpatrzenie i obrobienie wszelkich kwestyi, dotyczących urządzeń ziemiańsko-gospodarczych. Wydział ziemiański, pod prezydencją towarzysza ministra spraw wewnętrznych, składali: Mikołaj Milutyn, i Jakób Sołowjew, a mogli być do niego jeszcze wzywani z prawem głosu gubernatorowie, marszałkowie i przewodnicy szlachty, uczeni, obywateli, fabrykanci, kupcy i t. p.

W dalszym ciągu komitet główny do spraw włościańskich postanowił 24 lipca 1858 r., aby każdy komitet gubernialny wydelegował dwóch członków do Petersburga w celu objaśnienia ułożonego przez niego projektu, z zastrzeżeniem, aby tam, gdzie komitet gubernialny nie działał jednomyślnie, jeden z delegatów należał do większości, a drugi do mniejszości członków.

Następnie 1 marca 1859 r. ustanowiono Komisye redakcyjne w celu systematycznego ugrupowania materyatów, nadsyłanych przez komitety gubernialne. Prace rozdzielono na dwie części: na wydział ogólny postanowić dla całego państwa, z poruczeniem mu spraw dotyczących osobistych praw włościan, praw dziedziców do ziemi, ludności dworskiej i utworzenia grup włościańskich, oraz na wydział postanowić miejscowych o osadach, nadzie, powinnościach włościan i przemianie włościan ze stanu poddaństwa do wyzwolonego stanu wiejskiego za pośrednictwem wykupu lub innego sposobu. W tym celu ustanowiono:

1) Komisją redakcyi postanowień ogólnych, złożoną z urzędników ministeryum spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, dóbr państwa i II wydziału własnej J. C. Mości kancelaryi.

2) Komisją redakcyi postanowień specjalnych złożoną z ekspertów, wybranych przez komitet główny do spraw włościańskich z przedstawicieli ministeryum spraw wewnętrznych, dóbr państwa, II wydziału i deputatów od komitetów gubernialnych.

3) Komisją finansową, pod kierunkiem ministerjum finansów, złożoną ze specjalistów nauk finansowych i praktycznie znających państwo, mianowanych przez cesarza.

Pierwszym dwóm komisjom polecono systematyczne ułożenie zbioru postanowień na zasadzie materyałów, nadesłanych przez komitety gubernialne, oraz reskryptów cesarskich, postanowień komitetu głównego, komisji specjalnej, materyałów, zebranych przez ministerjum spraw wewnętrznych i dóbr państwa. Przyniem cesarz polecił komisjom nie ścieśniać się żadnemi wydanemi postanowieniami, z zastrzeżeniem, aby komisye w razie zasadniczej zmiany tych postanowień, czyniły przedstawienie do cesarza za pośrednictwem komitetu głównego do spraw włościańskich.

Prezesem komisji redakcyjnych mianowano J. Rostowcewa, członków zaś liczyły te komisye 31, pomiędzy którymi byli: Stefan Żukowski, obywatel witebski, Mikołaj Milutyn, dyrektor dep. wiejskiego min. spraw wewnątrz., Jakow Sołowiew, członek wydziału ziemskiego (pomieszczyk samarski), Marek Luboszczyński, Konstanty Gieczewicz czł. wileńskiego komitetu, Andrzej Grabianka, obywatel podolski, Bronisław Zaleski, czł. mińskiego kom., ks. Włodzimierz Czerkaski, czł. tulskiego kom., Oktawjan Jaroszyński, prezes kijowskiej komisji ogólnej. Prace komisji redakcyjnych przechodziły do komisji specjalnej, a z téj do komitetu głównego do spraw włościańskich.

Na jedném z posiedzeń komisji redakcyjnych debatowano nad kwestyą włościańską i postanowiono, że: „wyzwolenie włościan winno nastąpić na podstawie bezwarunkowej sprawiedliwości i bezstronności dla obu stanów, szlacheckiego i włościańskiego; należy się starać usunąć między nimi nieporozumienia, aby w spokojnym rozstrzygnięciu téj kwestyi Rosya była zabezpieczoną od wstrząśnień, i aby zgodnie z wolą panującego, włościanie natychmiast poczuli, że byt ich polepszono, a szlachciec bezzwłocznie się uspokoił, że prawa jego zabezpieczono...“ Złote to słowa, jak daleko jednak późniejsze czyny odbiegły od wspaniałych zamiarów.... Na téjże sesji przyjęto za zasadę, że obywatele winni otrzymać sprawiedliwe i w zupełności wystarczające wynagrodzenie za ziemię, które włościanie wykupią. Roczne spłaty włościan tak kapitału jak i odsetek nie powinny przenosić wysokości obecnych powinności. Kwestya władania wspólnego lub osobistego ziemią winna być rozstrzygnięta zgodnie z miejscowemi warunkami i należy się wstrzymać od nacisku rządu w wyborze jednego lub drugiego systemu władania.

Następnie przedmiot zajęć komisji redakcyjnych podzielono na trzy części: prawną, administracyjną i gospodarczą. W sferę Wydziału prawnego wchodziło: zniesienie poddaństwa, ograniczenie praw obywateli i odjęcie obowiązków wyływających z poddaństwa; nadanie włościanom praw osobistych i familijnych; prawa włościan rzeczowe; prawa włościan umawiania się i zobowiązywania; przemysłowo-rzemieślnicze i handlowe prawa włościan, nadanie włościanom praw sądowych;

przejście włościan do innych stanów; prawa obywateli do ziemi; urządzenie gospodarcze majątków i oddawanie ich w dzierżawę; zastaw i zbyt majątków obywatelskich, oraz sposób spadkobierstwa; prawa obywateli do szczególnych, pojedynczych użytków (łąki, stawy, pastwiska i t. p.).

Do zajęć wydziału gospodarczego należało: ustanowienie i oznaczenie działu włościańskiego; osobne użytki, ustąpione kmieciom; wyznaczenie zasiania (?) ziem; prawo użytkowania przez włościan ich działów; ustanowienie i oznaczenie osad; zasady szacunku i wykupu osad włościańskich; przenoszenie osad kmiecych; prawo użytkowania z osady przed wykupem i prawo własności wykupionej osady; maksymalne i minimalne przestrzenie działów kmiecych; zasady i sposoby oznaczenia powinności względem obywateli, ogólne cechy powinności, rodzaje powinności, wzajemny ich stosunek i sposób przemienny jednych na drugie; rozmaite rodzaje powinności naturalnych i sposoby ich spełniania; sposób odzyskiwania powinności pieniężnych, służba włościan, którzy otrzymali techniczne wykształcenie kosztem dziedzica i spełniają rozmaite obowiązki w jego majątku; zabezpieczenie akuratego spełniania obowiązków względem obywateli; normalny zakres powinności; powinności skarbowe. Połączone wydziały prawny i gospodarski zajmowały się urządzeniem czeladzi dworskiej.

W zakres czynności Wydziału administracyjnego wchodziły: ogólne zasady urządzenia gromad wiejskich: normalny zakres gromad wiejskich; sposób podziału włościan na gromady wiejskie z oznaczeniem miejsc zarządów gminnych; ogólny skład zarządu wiejskiego, wiece wiejskie, ich skład, atrybucye i sposób załatwiania spraw; organa zarządu wiejskiego; obrady wiejskie i sąd włościański; stosunek obywateli do gromad wiejskich.

W wydziale prawnym przydywał Stefan Żukowski, w skład jego zaś wchodził między innymi Marek Luboraczyński i Jakow Sołowjew. W wydziale administracyjnym uczestniczyli: Konstanty Gieczewicz, Andrzej Grabianka, Stefan Żukowski, Bronisław Zaleski, Oktawjan Jaroszyński, Samarin, Sołowjew, Czerkaskij i inni. W wydziale gospodarczym przydywał Mikołaj Milutyn, przy członkach: Gieczewicz, Grabianka, Żukowski, Zaleski, Jaroszyński, Czerkaskij, Sołowjew itd.

Oprócz dwóch komisij redakcyjnych, jak nadmieniliśmy wyżej, utworzono jeszcze trzecią, mianowicie Komisją finansową w d. 9 maja 1859 r. pod prezydencją J. Rostowcewa, w skład której wchodził: Juliusz Hagemeister, Michał Reutern, Mikołaj Christofari, Mikołaj Milutyn, Eugeniusz Łamański, Mikołaj Bunge, Andrzej Zabłockij-Dicsiatowski, Konstanty Domontowicz i Michał Posen. Komisya finansowa powołaną była w celu wynalezienia finansowych środków dla ułatwienia wykupu włościan z współudziałem państwa. Prace tej komisji również przekazywano komisji specjalnej, która łącznie z ministrem skarbu projekty rozpatrywała i wraz z opinią komunikowała Komitetowi Głównemu.

Ks. Orłow, zawiadamiając o utworzeniu komisji finansowej, wskazywał główne zasady, któremi w pracach swoich winna się kierować, mianowicie: zamierzony wykup ziem włościańskich winien być dobrowolny, nieobowiązkowy, przy współdziałaniu rządu. Nadmieniał przytém, że majątki obywatelskie obciążone są długami względem instytucji kredytowych państwowych w sumie około 400 milionów rubli. Co się tyczy dobrowolnego wykupu, to w dalszym ciągu wyjaśniono, że on nie może nastąpić bez formalnej zgody dziedzica na sprzedaż, a włościanina na kupno ziemi, z wyłączeniem atoli osad, których sprzedaż była obowiązkową dla (?) obywateli. Wykup urzędzeń rolnych winien być dokonany albo w formie prywatnej pomiędzy dziedzicem i kmicciem środkami ostatniego, albo też przy współdziałaniu rządu.

Daléj wzięto na uwagę, że skoro ugoda dziedzica z kmicciem o wykup ma być dobrowolną, to i same warunki wykupu również winny być polubowne. Gdyby jednak strony nie zgodziły się co do ceny pojedynczych działów, to spór rozstrzygać ma zgodnie z sumieniem (po siewieści) są d p o l u b o w n y, przez nie wybrany. Na kapitalną sumę wykupu rząd wyda obywatelom gwarantowane przez niego tytuły pieniężne, do których włościanie mają płacić rządowi 6%. 1% obracany będzie na umorzenie tych tytułów, a 5% na odsetki od nich. Suma płacona przez kmiccia nie ma być wyższą od dotychczasowego obroku (czynszu). Na pokrycie niedoborów rząd postanowił corocznie przekazywać 5 milionów rubli z dochodów dóbr państwa. Cała operacja finansowa obliczoną została na miliard rubli, z których jednak należy odliczyć 400 mil. r. długów bankowych, oraz te wszystkie umowy, które polubownie bez udziału skarbu mają być zawarte pomiędzy obywatelami i kmicciami.

Wyżej już nadmieniliśmy o wrogiem usposobieniu większości członków komitetu głównego względem wszelkich zasadniczych zmian w stanie dotychczasowym bytu włościan. Na czele opozycji stali ks. Orłow, Panin i Murawjew wileński, szczególnie ten ostatni, rozjeżdżając po różnych stronach, wszędzie zapewniał dworzan, że „niczego nie budiet.“ Nie mniejsze też przeciwiństwo wykazywały zgromadzenia dworzańskie, zwłaszcza też moskiewski komitet gubernialny liczył wiele na swoją bezczynność. Ale wola cesarza Aleksandra II przeprowadzenia reformy włościańskiej była niezłomną, tém wytrwalszą, że znalazła już odgłos u szlachty litewskiej i ukraińskiej, 12 września 1858 cesarz odezwał się do dworzan moskiewskich „Ja wskazałem wam zasady i od nich nie odstąpię.“ Słowa te miały ten skutek, że komitety gubernialne przyspieszyły prace, lubo i wtedy opozycja nie przestała nurtować. Posiedzenia komisji redakcyjnych były coraz burzliwsze, zwłaszcza 18, 21 i 25 maja 1859 r., na których ks. Paskiewicz i hr. Piotr Szuwałow jaśniej sformułowali swoje zarzuty i dołączyli do protokołu posiedzeń treści następującej: niżej podpisani członkowie nie uważają bezwarunkowo za możliwe zgodzić się ze zdaniem Prezesa i większości komisji a to dla przyczyn następujących. W pro-

jękcie prezesa łączą się dwa cele, których osiągnięcie, zdaniem podpisanych, zawisło od zupełnie różnych przyczyn, mianowicie od zniesienia poddaństwa i od dobrowolnego wykupu ziemi przez włościan od obywateli. Kwestya zniesienia poddaństwa i konieczność urządzenia bytu, nie może być zawisłą ani od wykupu dobrowolnego, ani też od jakiegokolwiek umowy; rozstrzygnięcie téj kwestyi potrzebuje zastosowania środków, mogących bezwarunkowo być urzeczywistnionemi. Odnośnie do włościan należy mieć na uwadze, aby mające się im przyznać prawa cywilne nie były ograniczone stosunkami majątkowemi, obowiązkowo włożonemi na włościan. Materyalny byt włościan będzie zabezpieczony, jeżeli się im pozostawi na warunkach sprawiedliwych i trwałych prawo bezterminowego użytkowania i wydziałonych im udziałów. Osiągnięcie na tych zasadach moralnego i rzeczowego zabezpieczenia bytu włościan w okresie stanowczo oznaczonym i o ile możności krótkim, stanowią, zdaniem podpisanych, tę część kwestyi włościańskiej, w której rozstrzygnięciu tylko winna uczestniczyć władza prawodawcza i obowiązkowa interwencya rządu. Co się tyczy wykupu ziemi przez włościan, to czynność ta, zgodnie z stanowczemi wskazówkami rządu, jest tylko dobrowolną umową, pochodzącą w każdym wypadku z obustronnej zgody. Tu rząd nie rozkazuje obywatelom lub kmieciom, a tylko pomaga swoim kredytem zawarciu umów wzajemnie korzystnych. Gdy takie jest znaczenie wykupu, to w łonie komisyj redakcyjnych nie może być żadnych wątpliwości, zwłaszcza w obec ostatnich objaśnień prezesa. Lecz niemniej podporządkowanie kwestyi włościańskiej wykupowi i nieokreślone wskazanie przyszłych zamiarów rządu, w razie nieudania się téj operacyi, może wzbudzić w opinii publicznej wątpliwość, czy wykup jest lub nie jest obowiązkowym. Brak stanowczego określenia może być znaczną przeszkodą w utrwaleniu tego spokoju i tego bezspornego uznania praw cudzych, bez których nie może być z korzyścią przeprowadzona zamierzona reforma. Zdaniem podpisanych, należy aby od czasu stanowczego rozgraniczenia stosunków majątkowych dziedzica i włościan, prawo własności obywateli z temi ograniczeniami, które będą usprawiedliwione, oraz prawo użytkowania przez włościan, w tym zakresie, który im będzie pozostawiony, weszły do ogólnego zbioru praw cywilnych. Tylko przy zachowaniu warunku tego zawarte pomiędzy dziedzicami i włościanami umowy wykupowe, będą miały cechę aktów rzeczywiście dobrowolnych, których wykonaniu nie będzie stać na przeszkodzie oczekiwanie jakiegś nieokreślonej reformy. Wtedy to, z drugiej strony współudział rządu swemi kapitałami lub kredytem przyniesie oczekiwaną korzyść i bez wszelkiego ścieśnienia prawa cudzego rozdział ziem sprowadzi te ogólne następstwa, które rząd chce osiągnąć. Na zasadzie powyższego nie można niewyrazić żalu, że w skreśleniu zasad mających służyć za podstawę komisjom nie wspomniano o stanowczym terminie oswożenia włościan, niezależnie od wykupu, od wszelkich zobowiązań rzeczowych przez nich dobrowolnie nie przyjętych, i że z dru-



gięj strony sprawa wykupu nie została postawioną zupełnie oddzielnie od określenia praw osobistych i majątkowych włościan.

Umyslnie przytoczyliśmy treść protokularnéj opinii ks. Paskiewicza i hr. Szuwałowa, gdyż ona najlepiej charakteryzuje ówczesny nastrój umysłów i była niejako *coup d'état* całej opozycji dworzania, a po części i szlachty. Po pamiętnych słowach cesarza Aleksandra II w Moskwie, że od zasad przez siebie wskazanych nie odstąpi, opozycja nareszcie przyszła do przekonania, że reforma włościańska ziścić się musi. Pogodzono się więc z myślą reformy, ale jednocześnie potężnemi wpływami chciano ją rozbić na dwie części, na oswobodzenie, na które w obec niezłomnéj woli panującego zgodzić się musiano, oraz na kwestyą wykupu ziemi, w której bezwarunkowo nie chciano dopuścić interwencji rządu. Opozycja miała dość twardy grunt pod nogami, zwłaszcza w obec chwijności rządu, pochodzącéj głównie z braku tego specjalnego przygotowania, które w każdéj sprawie nadaje pewność i tak wielce wpływa na wytrwałé przeprowadzenie zamiarów. Rząd w osobie cesarza Aleksandra II wiedział do czego dąży, ale téj świadomości i pewności siebie nie miały jeszcze odnośne najwyższe organa, zwłaszcza komitet główny do spraw włościańskich bądź z braku specjalnego przygotowania, a może téż ze względu na możnowładztwo, jednolicie wrogo usposobione względem reformy, możnowładztwo, podówczas jeszcze potężne i pamiętne tych czasów, gdy na ich skinienie dokonywały się przewroty..... Wystąpienie więc dwóch możnowładzców nie mogło być przyjemném ani dla sfer dworskich, ani dla tych nielicznych działaczy, którzy obcy kastowym uprzedzeniom całą duszą oddani byli przeprowadzeniu tak humanitarnéj reformy, skutkiem czego obaj prosili o zwolnienie ich od uczestniczenia w dalszych obradach.

Jak wyżej nadmieniliśmy, w sprawie reformy włościańskéj nader ważną rolę odegrał wydział ziemiański ministeryum spraw wewnętrznych, który łącznie z Rostowcewem był istotnym kierownikiem całego dzieła. Nie wdając się nateraz w ocenę późniejszój działalności, mianowicie w Królestwie Polskiém (uczynimy to następnie) dwóch członków wydziału ziemiańskiego, Milutyna i Sołowjewa, dziś po uśmierzeniu się namiętności, przyznać musimy, że w pierwszój epoce reformy włościańskéj ci dwaj działacze oddali istotnie wielkie dodatnie usługi sprawie oswobodzenia włościan. Dziś już nie ulega wątpliwości, że gdyby nie gorliwa pomoc Rostowcewa, Mikołaja Milutyna i Sołowjewa, to humanitarne zamiary cesarza Aleksandra II-go względem 25 milionów poddanych nie mogłyby być urzeczywistnione.

W pierwszój połowie czerwca 1859 r., komisye redakcyjne ukończyły prace przygotowawcze, dotyczące 21 gubernij: w téj liczbie mińskiej i witebskiéj, mianowicie: rozpatrzyły wszelkie projekta prywatne, porównały projekta nadesłane przez komitety gubernialne i przystą-

piły do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyj specjalnych. W dalszym ciągu Rostowcew zwrócił uwagę komisyj redakcyjnych na kilka kwestyj, mających bezpośrednią lub pośrednią łączność z reformą włościańską, nad którymi z kolei należało się zastanowić. Kwestye te dotyczyły: ustawy wiejskiej i leśnej, zmiany ustawy pasportowej, powinności rekruckiej, stosunku przyszłego sądu włościańskiego do sądów cywilnych, stosunku włościan do bezpośrednich władz administracyjnych, długoletnich kontraktów dzierżawnych, oraz miejscowego zarządu.

Podług przyjętego programu ustawa wiejska miała być rozpatrywaną w trzecim peryodzie zajęć, obecnie jednak postanowiono przyspieszyć jej ułożenie, gdyż dotąd mienie obywateli było pod opieką dziedziców, należało więc ze zmianą stosunków władzę dziedzica zastąpić innemi organami. W ustawie leśnej zamierzano rozciągnąć na lasy prywatne niektóre z przepisów obowiązujących lasy skarbowe, głównie zaś dotyczące straży leśnej i porębów. Co się tyczy miejscowego zarządu, to zwrócono uwagę na sposób spełniania powinności w naturze, na ustanowienie dla włościan wzajemnego ubezpieczenia od ognia, nieurodzaju, gradobicia i t. p. na sposób przejścia zapasowych magazynów zbożowych w zawiadywanie gromad, na znaczenie zakresu prawa nadzoru nad kapitałami gminnemi, oraz na środki zachęty gromad wiejskich przy otwieraniu szkół na ich rachunek, zakładów dobroczynnych, oraz opieki nad świątyniami. Dla bliższego zastanowienia się nad powyższemi przedmiotami komisye redakcyjne wybrały z łona swego komisję specjalną, w której skład weszli: Stefan Żukowski, Marek Luboraczyński, Mikołaj Milutyn, Jurij Samarin i ks. W. Czerkaskij.

W końcu lipca 1859 r. Rostowcew zawiadomił ministra spraw wewnętrznych o ukończeniu prac przygotowawczych dla 21 gubernij, prosząc o wezwanie do Petersburga ekspertów, wybranych z pośród komitetów gubernialnych tychże gubernij, celem przedstawienia bliższych wiadomości i objaśnień. Każdy komitet gubernialny miał wydelegować dwóch członków, z których jeden reprezentował większość, a drugi mniejszość, — jeżeli zaś komitet wygotował dwa projekta, to delegował trzech członków, z których jeden od większości, a dwóch od mniejszości członków. Wszystkich delegatów wezwanych było 44, pomiędzy którymi od komitetu gubernialnego witebskiego (powiatów białoruskich) przedstawiciel większości Stanisław Jurjewicz i mniejszości Aleksy Ciechanowiecki, oraz od powiatów infantyjskich hr. Stanisław Plater-Zyberg; od komitetu gub. mińskiego: Aleksander Skirmunt i Aleksander Oskierko; od rzańskiego: Aleksander Koszelew (późniejszy dyrektor gł. komisji skarbu w Król. Polskim); od czernihowskiego: Waleryan Podwyski i Aleksander Markowicz. Pierwsze posiedzenie delegatów wezwanych do Petersburga miało miejsce 6 września 1859 r. podług następującego programu zatwierdzonego przez cesarza: prezes komisji redakcyjnych winien przedewszystkiem zażądać

od delegatów bliższych objaśnień co do tych kwestyj, które wynikły przy dalszém opracowaniu projektów. Następnie prezes komisyj redakcyjnych winien każdemu z delegatów doręczyć jeden egzemplarz drukowany prac przygotowanych przez komisye (pierwonaczelnych matierjałów) i zażądać od nich objaśnień w tój materji. Bliższe wiadomości i objaśnienia delegaci składali piśmiennie, które wraz z opinią komisyj redakcyjnych przedstawiane były do decyzji komitetowi głównemu do spraw włościańskich. Oprócz tego na wspólném posiedzeniu komisyj redakcyjnych i delegatów zastanawiano się nad sposobami ochrony lasów prywatnych, nad porządkiem zawarcia umów o najmie robotników, nad środkami mierniczemi, nad sposobem przekształcenia miejscowości przemysłowych na osady lub na miasteczka, nad większemi magazynami zbożowemi, nad wzajemnym ubezpieczeniem i dozwoleńiem kupna majątków ziemskich osobom nienależącym do stanu szlacheckiego lub dworzańskiego.

Po szczegółowym rozbiórce powyższych kwestyj ukończony został pierwszy peryod prac komisyj redakcyjnych, których owocem było: „Pierwoje izdanie matierjałów Redakcyjnych Komisij“ w 3 tomach in 8-o. Prócz tego w tymże czasie wydrukowano: „Sbornik uzakonienij o pomieszcziczich krestjanach“ str. 447, oraz „Sistematiczeskij swod projektow położenij po 21 gubernii“ obejmujący 1,271 stron. W 1860 zaś roku wydrukowano „Priloženja k'trudam Redakcyjnych kommisij. Swiedenija o pomieszcziajach imienjach“ w sześciu wielkich tomach in 4. Wydawnictwo to zawiera nader bogaty materyał ekonomiczny, zupełnie dotąd nieużytkowany w literaturze naszej.

*(Dok. nastąpi.)*

Pisałem 16 marca 1886 r.

*F. Rendi.*

# Hessy O'Grady.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

OSNUTA NA TLE STOSUNKÓW OBECNYCH W IRLANDYI \*).

NAPISAŁ

*Działosa.*

## XV.

O'Grady zmuszony był pozostawić zwłoki siostry w domu Michała Mylesa, bo pominąwszy obawę o rozgłos w hrabstwie, wiedział o postanowieniu Michała, który nie chciał, aby przy ciele nieboszczki odbywało się powszechnie w Irlandyi tak zwane „czuwanie,“ owszem pragnął, żeby do izby, w której zwłoki złożone były, można wchodzić tylko za wyraźnem pozwoleniem Marcina.

Myles, postępując w ten sposób, czuł całą przykrość téj ofiary, ponieważ w południowej zwłaszcza Irlandyi mało znajdziesz takich rodzin włościańskich, wśród którychby się nie przechował zwyczaj przedchrześcijański, tak zwanych „czuwań“ przy zwłokach, który w ten sposób się objawia. W dzień zgonu nieboszczyka, gdy już ciało zostało umyte, przyodziane i w trumnie złożone—schodzą się do izby, w której zwłoki wystawiono, zaproszeni krewni, przyjaciele i znajomi; dom otwarty jest dla przechodniów. W około otwartéj trumny ustawiają stoły z jadłem i napojem, z mnóstwem świec zapalonych, z książkami starych legend, ballad i baśni. Skoro upłynie dwanaście godzin od chwili śmierci nieboszczyka, goście i rodzina siadają do

\*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. marzec r. b.

stołów, zapalają światła i rozpoczynają ucztę, przepłatanaą częstemi toastami na cześć zmarłego. W izbie aż do pogrzebu nie powinno zabraknąć ani jadła, ani trunku, ani świec, ani tytoniu. Co do gości, to jedni wychodzą, drudzy przybywają, a nikt sobie nie żałuje:—po wszystkich izbach domu i na przyźbie, i w ogrodzie, gdziebądź rozsiadają się mężczyźni, kobiety i dzieci, folgując sobie w używaniu darów Bożych aż do zbytku. Jeżeli dom ubogi,— to zapasów spożywczych mniej lub tyle tylko, ile kto z sobą przyniesie; wódki jednak, potyny i tytoniu musi być obficie, choćby przyszło suknie ściągnąć z trupa i sprzedać... czego nie rzadkie wcale bywają przykłady. Dwa dni i dwie noce trwa taka wstrętna stypa. Przed samym pogrzebem, w chwili zamykania trumny, pozostali goście wśród płaczów i lamentów śpiewają starożytną „dirge,” pieśń za umarłych smutnej melodyi, życzą zmarłemu „krótkiego czyśca“ i zakazują mu uroczyście molestować pozostałych. Z ukazaniem się kapłana w progu, ustępują „czuwający;“ jedni wracają do domów, inni towarzyszą nieboszczykowi na cmentarz.

Michał nie żałował tyle samego „czuwania,” ile bolał nad utratą sposobności, jakaby mu ono dostarczyło do przygotowania, lub może i do wykonania skrytych zamiarów swoich; lecz od chwili, w której postanowił zażądać od Marcina ręki jego przybranój córki, starał się ile możności o to, aby zjednać sobie choć w części względy starca. Nie zrozumiał atoli dokładnie sceny, jaka zaszła przy łożu Agnieszki, gdy się ukazał niespodzianie w towarzystwie kapitana; owszem, z wiadomością o młodych latach siostry Marcinowej, podejrzania jego zwróciły się raczej przeciwko Mitchellowi, nie oszczędzając pamięci nieboszczki.

O'Grady pozostawił w Kuyvertou Maryannę, która zajęła izbę pośmiertną z Julią Mylesową i starą matką Kirwanową, a sam pośpieszył z świeżo osieroconą Hesterką do Topoli, by poczynić przygotowania do pogrzebu.

Stary Jan wręczył mu przed chatą list, który sam przyniósł przed południem z miasteczka. Poznał Marcina pismo i pocztowe stemple — list był od syna, z Ameryki. Donosił Patryk po ktrótce, że dowiedziawszy się z gazet o okropnej klęsce w ojezyźnie, postanowił wracać; firma jednak pryncypałów, nie chcąc utracić doskonałego urzędnika, ofiarowała mu ważną agenturę swego przemysłu z miejscem pobytu w Dublinie. Lada dzień więc obiecał Patryk odwiedzić ojca i „miss Hessy“ w Topoli, a na wszelki wypadek i dla zażegnania możliwych nieprzyjemności ze strony plenipotentą, dołączył w liście przekaz bankowy na połowę swego kapitaliku, zaoszczędzonego w Stanach.

O'Grady, który już był zrozpaczył zupełnie o możebności uratowania Topoli swym synom, nie ociągał się z wykonaniem zamiaru, najwłaściwszego w takich okolicznościach; znając z posłuchów plany lordów i ich plenipotentów, napisał do urzędnika kancelaryi water-

fordzkiej, i uprzedził go o swęj gotowości do spłacenia rat czynszowych w terminie najbliższym. Potęm złożył pieniądze Patryka w banku prowincjonalnym, wraz z przekazem na całą sumę czynszową, wystawionym na imię plenipotenta dóbr Grosvenorskich.

Ale te jego czynności nie mogły pozostać tajemnicą. Rychło się o nich dowiedzieli sąsiedzi dzierżawcy i osadnicy: — jedni z nich przyjmując wiadomość z niedowierzaniem, inni z oburzeniem — większość zaś ogromna z przekonaniem, że Marcin da się odwieść od spełnienia swego zamiaru. Nie należy bowiem tracić z uwagi rozlewając się po kraju agitacyi Ligi Ziemskiej, jak nie należy zapominać o rosnącej potędze związków rewolucyjnych... na kwestyi ziemskiej opierających całą swą działalność. Liga oświadczyła wyraźnie, że żaden osadnik nie może być prawnie zmuszonym do sprzedania swych praw gruntowych na pokrycie długów czynszowych; anarchiści postąpili dalej: dowodzili bowiem iż nawet straszliwa klęska krajowa na dobre wyjść powinna ludowi, gdyż jedynym jej rezultatem powinno być przyspieszenie wielkiej eksterminacyi landlordyzmu. Dla tego głosili, że nikt nie powinien się ważyć spłacać czynszu jakiegolwiek, choć by nawet mógł to z łatwością uczynić. Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego! takie miało być teraz hasło irlandzkich rolników... Liga domagała się od właścicieli znizienia stopy czynszowej i cierpliwości, wyrozumienia; — od rządu zaś żądała pożyczki, któraby umożliwiła długoletnim fermerom wykupienie osad na własność wieczystą. Anarchia, podniósłszy okrzyk: „Irlandya dla irlandczyków!“ zabroniła włościąństwu stanowczo i surowo wszelkich z „brytanizmem“ układów, obiecując popierać każdy opór choćby najsroższym teroryzmem.

Nadechodzili więc do Topoli sąsiedzi z bliższych osad i z dalszych, przekładając Marcinowi konieczność łącznej akcyi opornej i groźne niebezpieczeństwo sprawy, zachwianej skutkiem jego decyzyi. O'Grady nie dał się wszakże ani przekonać, ani zachwiać w postanowieniu. Nie unikał też rozumnej dyskusyi, owszem rozstrząsał z fermerami każdą trudność położenia, ale kończył zawsze temi słowy:

— Przodkowie moi, a ja po nich przyjęliśmy zobowiązania. Każdy z nas w Topolach płacił, kiedy mógł i ile mógł... Gdybym, jak było przed kilku dniami, nie mógł się uiszczyć z prawnych zobowiązań — szukałbym pomocy Ligi... tylko siła brutalna zdołałaby mnie wyrzucić z ojcowizny! Lecz, mogąc zapłacić, zapłacę: raz dla tego, że to mój obowiązek, — a potem i dla tego, by tém samém dowieść, jako między nami fermerami nie zła wola i nie krnąbrne sprzysiężenie spór zrodziły — tylko dopuszczenie Boże, co spadło na grunt, przygotowany przez ucisk i nierząd saksonów!

Sąsiedzi więc opuścili Marcina. Jedni mu tego wyłączenia się wyrozumieć nie chcieli, drudzy — małoduszni — stronić od niego poczęli. Pierwsi jednakże nie zadowolnili się protestem i łagodnemi środkami na złamanie, jak mówili, samolubstwa jego. Oni to różnieśli śpiesznie po całym hrabstwie wieść o „zdradzie“ dzierżawcy

Topoli i stawili go przed sądem włościąństwa. Wyrok nastąpił taki,—na jaki Marcin był dobrze przygotowany i przygotował swych domowników... O'Grady był skazany na karę, wynalezioną od zaledwie paru tygodni, zastosowaną po raz pierwszy do wdowca po zabitój pani Boycott—i od nazwiska jego znaną jako „boycotting.“

Irlandzki ten system ostracyzmu polega przedewszystkiém na całkowitém wykluczeniu winowajcy ze społeczności narodowej. Nikomu do niego słowa przemówić nie wolno. Gdy się ukaże w kościele na nabożeństwie, lud kościół tłumnie opuszcza; nikomu z nim i dla niego pracować nie wolno, nikt mu nie sprzeda choćby kawałka chleba, szczypty soli, nikt też od niego nie kupi bydłęcia, ani nawet wiązki siana; kto z nim przestaje, kto jakikolwiek z nim zachowuje stosunek, ten z nim zarówno jest „boycotted!“

Marcin O'Grady, jak powiedzieliśmy, był przygotowany; zasobów niezbędnych do życia, nagromadził w czasie na czas niejaki, przekonany, że się sędziowie jego z czasem opamiętają... gdy przyjdzie niebawem chwila, że on sam jeden w baronii będzie ich ziemską opatrnością! Najtrudniejsza była sprawa z parobkami—żaden z nich, prócz starego Jana, nie chciał pozostać w Topolach... choć niemal wszystkim żal było widocznie straconego kawałka chleba i uczciwego chlebowdawcy.

Z wyjątkiem proboszcza, mieszkańcy Topoli widzieli się więc opuszczonymi przez wszystkich przyjaciół, znajomych i „true patrios...“ Proboszczowi nikt zabronić nie śmiał i nie mógł, że zachodził do osady—boć nie bywało nigdy w kraju, by lud się kapłanom sprzeciwił otwarciem... nawet wtedy, gdy rad ich, przestroóg i próśb słuchać nie myślał.

Jeden człowiek atoli, teraz nie równie częściej, niż kiedykolwiek zjawiał się w Topolach. Michał Myles przychodził tam... pozornie w roli pośrednika między włościąństwem i „the boycotted house“—a w samój rzeczy z zamiarem, którego wyrzec się nie zdołał mimo największych wysiłów—mimo pewności niemal, iż chyba szaleństwo istne może podtrzymać jakąkolwiek nadzieję.. Przed rokiem jeszcze, wszystkie myśli Mylesa zmierzały ku osadzie O'Gradych, wszystka żądza i ambicya zierzała się u niego w jednym celu: usunięcia przeszkód i zostania dzierżawcą Topoli. Tajnym jego machinacyom powiodło się skorzystać z trudności Marcina, w czasie ostatniej „emigracyi z południa;“ on to zobowiązał się plenipotentowi, iż po eksmisyi O'Gradych, gotówby zająć Topole, jako caretaker, zarządca—lub, w danym razie, płacić Gandy'emu czynsz wysoki za kontraktem rocznym... Wiemy, w jaki sposób usunął następnie nieszczęśliwego Tomasza. Próbował później przyspieszyć ruinę Marcina, sam mu dopomagając do spłaty zaległości; gdy zaś ten manewr spełznął na niczem, Myles zwrócił uwagę na tę, którą uważał za córkę dzierżawcy... Plany jego musiały być głęboko założone, gdyż pozostawał im wiernym, chociaż znał doskonalegrunt, na jakim stał w obec niego stary

Marcin O'Grady. To też nigdy się w jego obecności nie zdradził z uczuciami swemi a spotykając Hesterkę, trzymał uczucia swe na wodzy.

I czyż dziwna, że w miarę czasu uczucia te stawały się coraz głębsze i... coraz czystsze? Michał Myles, znajdując się w pobliżu hożej i cudnej dziewczeczki, zapominał o Topolach, o Gandym, o „chłopcach“ i o zamku dublińskim!

## XVI.

Nieraz zdarza się, że pożar wybucha z budowli i w okamgnieniu całą ogarnia, a podsycany wihrem i materiałem palnym, niszczy ją z przerażającą szybkością... zanim ludzie potrafią zdać sobie sprawę, z przyczyny, która go spowodowała. Podobnie zdarza się nieraz w życiu ludzkim — iż ostateczne ukołysanie wezbranych uczuć następuje wśród jakiegoś oszołomienia,... spowodowanego naturalnymi przyczynami. Z jednej strony, zaostwiają się i uwydatniają charakterystyczne rysy wypadków, naglających nas do akcji, do rozwinięcia czujnej energii;... z drugiej zaś wypadki te następują po sobie z szybkością wybuchów w podminowanej skale... Załedwie ochłonieliśmy z wrażeń po pierwszym wybuchu, następuje drugi i trzeci! a następne już rozpoczyna się to... co jest końcem i dokonaniem zniszczenia... wśród czego działalność człowieka, a raczej możliwość akcji zamiera, traci tętno świadomości wszelkiej. Człowiek wtedy, jeśli jest sam aktorem—sprawcą, ofiarą, bohaterem—rzucić się musi w wir szalony nagle rozerwanych upustów,... moralne zasoby ducha jego i charakteru nie decydują już o jego akcji, bo stokroć potężniejszym siłom oprzeć się nie potrafią—lecz one to właśnie przyspieszają rozwiązanie. Widz, świadek podobnej katastrofy, traci również świadomość swego sądu i swych myśli... choć w nierównie słabszym stosunku; łącząc się bowiem i jednoczy z owym wirem sceny końcowej. Gdy spokój powróci, widz odzyskuje równowagę swych własnych myśli, z nią sąd—z sądem ostatnie wrażenie.

Checieliśmy... by opowieść nasza była obrazem. Tylko bowiem obraz, przedstawiający ostatnią scenę dramatu czy tragedyi, może odślonić ją z żywą wyrazistością wszystkich charakterów.

Wyobraźnia, która pędzłem zlewa całość bohaterskiej epopei — nie zdolna piórem skreślić catości obrazka... chyba, że czytelnik zechce przypatrywać się obrazkowi częściowo, odsłaniając raz tę, drugi raz inną część obrazu, — aż ostatnią uchyliwszy zasłonę odrzuci cały...

Michał Myles zapowiedział sąsiadom i sąsiadkom, „że czuwania“ nie będzie przy ciele zmarłej w jego domu Agnieszki. Nie dziwno się temu, bo znano Marcina O'Grady—wiedziano też, że Mitchell,



nniemany wdowiec, choć był katolikiem, był przecie też i „saksonem.“ Dziwiono się zaś w sąsiedztwie, gdy Myles obiecał niektórym kompanom i znajomym, że jednak o tyle zachowa dawny zwyczaj że... wyprawi stypę pośmiertną po pogrzebie. Coż go do tego zamiaru skłoniło? Nie obowiązek—bo obowiązek, jeżeli istniał, ustawał z wyniesiem ciała z chaty gospodarza; nie rozrzutność lekkomyślna—bo o taką nikt go nie posądzał; nie gościnność, ani chęć uraczenia sąsiadów, — bo i tych przymiotów nie przypuszczał nikt u p. dzierżawcy, czy zarządcy (nikt nie wiedział) Knyverton'u. Tymczasem jednak oczekiwano pogrzebu i... stypy.

Przy zwłokach nieboszczki, odzianych w suknie, jakie z sobą do Knyverton zabrała, — w izbie, w której jedyne światło rzucały dwie zapalone zgonnice, ustawione po obu stronach śmiertelnego łoża, czuwały trzy kobiety. Były to Maryanna, Julia Mylesowa i stara Kirwanowa, która przerywała sen swój i mechanicznie odmawiane pacierze rozmową z Maryanną. O'Grady przychodził każdego rana i każdego popołudnia w towarzystwie Hesterki, i wraz z nią długo kłęczał przy zwłokach, zatopiony w modlitwie i dumaniu.

Ostatniego wieczoru przed pogrzebem, gdy matka Kirwan skończyła ostatni swój pacierz i zabierała się do wyjścia do przyległej izby, odczuwała się Maryanna do niej po gaelicku i równocześnie wyciągnęła ku niej rękę. Kirwanowa zamiast odpowiedzi, wydobyla z pod kaftana, którym była otulona, worek skórzany i podała go dziewczynie. Ręce jej zadrżały, gdy Maryanna uchwyciła worek z nietajoną skwapliwością... ale, nie mówiąc słowa, uczyniła znak krzyża w stronę ciała umarłej i opuściła izbę.

— Arrahl mistress Julio—rzekła Maryanna do Mylesowój, siedzącej przy ubogiej trumnie, którą stolarz przyniósł tu z miasteczka po zachodzie słońca — arrahl jużci i pewnie biednej duszy św. Patryk otworzy bramę niebieską, kiedy już tak dobrze, musza, jak gdyby się obrachowała z całym światem!.. Wejrasthrul ktoby téż pomyślał, że matka Kirwan, to matka téj dziewczuchy, co to była w izbie, kiedy wielebny ojciec O'Riordan złączył naszą nieboszczkę, ma vorney, ślubem świętym z tym... co to go tu nie nazwać po nazwisku! Ano, begorra! jużci Gandy ani krzty tyła rozumu nie miał, co ta Kirwanka!.. Och! żeby tak z Hameryki tu przyszła, a widziała... dh u ishla!..

Kiedy niebawem do izby wszedł Marcin z Hesterką, by się już z nieboszczką nie rozstać aż do cmentarza, Maryanna wręczyła mu świadectwo aktu ślubnego, podpisane przez O'Riordana i... Ewę Kirwan, jako świadka.

— Musha! wam mówiłam, że jużci stara Kirwanowa w grób się z tym papierem nie położy!—szepnęła mu na ucho i przycupnąwszy na podłodze, zaczęła pacierze, nie odwracając oczu od Marcina.

Ten zaś, po uważném obejrzeniu świadectwa westchnął głęboko i złożył je na piersi martwego ciała, do którego tuliła się klęcząca Hsssyy.

Tój samój nocy, na pochyłości wzgórza, wznoszącego się przed zagrodą Knyverton, stał pogrążony w głębokiej zadumie wysokiego wzrostu mężczyzna. Twarzy jego nie podobna było rozpoznać, bo stał odwrócony plecami do pogodnej tarczy księżycowej, która w tój chwili, z zatoki morskiej wypływając, srebrne strugi swego światła słała dalekimi promieniami po drżących falach przystani.

Mężczyzna miał szeroki kapelusz zaciśnięty na czoło, głowę schyloną ku chacie Mylesa, obie ręce wsparte na grubój lasce przed sobą.

Nieco bliżej wierzchołka wzgórza, o jakich dwadzieścia kroków dalej, stał ktoś drugi, oparty o pierwszą sosnę zagajenia, które rozciągało się ztąd aż do tramorskiego parku. Niktby tam jego obecności nie odgadł, gdyby od czasu do czasu nie wychylał głowy, przykrytój wojskową furazerką, to w prawą, to w lewą stronę—lub gdyby nie odzywał się często — energicznie, choć przytłumionym głosem, do olbrzymiego brytana, który wietrząc i pomrukując, kręcił się poważnie lecz niespokojnie około sosny.

— Do nogi, Nep!—szepnął Mitchell (bo on to czuwał nad bezpieczeństwem swego pana) — jeżeli te króliki spokoju ci nie dają, toś powinien ogon podwinąć między nogi i usiąść tu na nim.. ty, siłacz taki! a jeżeli to inna jaka zwierzyna, to po co łazisz około sosny, jak-byś węż zgubił i...

Nep, który w ciągu tój admonicyi zatrzymał się z uszanowaniem, lecz wietrzył nie przestawał — zawył nagle, głucho i krótko...

— Bestya wie, gdzie stoil rzekł Mitchell i zamilkł, patrząc na jedyne okno chaty, z którego przecierało światło przez zamknięte okienice.

I znów nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Pezerwał ją głos plenipotenta.

— Mitchell!

— Yes, sir! i zbiegł, jak mógł najciszej do kapitana. Yes, sir! powtórzył, gdy stanął obok niego—ale kapitan milczał... Brytan oddalił się nieco, w stronę zatoki; łeb miał podniesiony i ostrożnie—jak gdyby się bał zakłócić ciszy nocnej najmniejszym szelestem, wciągał powietrze, krocząc lekko, zwolna ku poblizkim krzakom, lub skałom wybrzeża.

— Wołaliście mnie?—zapytał Mitchell po chwili.

— Tak... to jest—nie... jeszcze nie; ale wrócimy do domu... zaraz...

Gandy wymawiał te słowa, wpół nieświadomie, wpół nieśmiało. Łaska z rąk mu wypadła — złożył ręce na piersiach i jęknął głęboko...

— A! Mitchell, to okropność!. obowiązek zbyt twardy... Jestże to obowiązek?

Stary sługa słów tych nie rozumiał. Nie chcąc nadużyć swego położenia, odstąpił kilka kroków; równocześnie spostrzegł, że psa nie ma... Spojrzawszy dokoła, jak daleko mu dozwoliły nieregularne cienie drzew i wklęsłości gruntu—chciał zawołać, gdy kapitan, podniósłszy laskę, ruszył z miejsca.

— Chodźmy, Mitchell,—rzekł pewniejszym głosem:—gdzie jest pies?..

W tój chwili—kilka następujących szybko po sobie strzałów, rozległo się przeciągtem echem po zatoce...

Wrażenia, jakie to echo sprawiło na kapitanie, który przecież nie był tchórzem, trudno opisać. Coś nieskończenie uroczystego musiało dotknąć umysł jego siłą piorunującą, — bo rysy twarzy jego, zwróconej ku pełni księżyca, zmieniły się prawie do niepoznania! . Lewą ręką chwycił się za czoło, prawą rozpiął płaszcz i surdut i szukał czegoś przy sobie. Równocześnie odezwał się do Mitchella, przerażonego zarówno stanem plenipotenty, jak przyczyną, która tę zmianę wywołała—w te słowa:

— Mitchell, patrz — dam ci pakiet... papierów — ten oto... weź go, schowaj go!... po — po mojej śmierci... kiedy mnie zamordują — słyszysz?

— Yes, sir—odrzekł Mitchell—ale...

— Po mojej śmierci, pójdziesz do Topoli, do Marcina O'Grady — oddasz jemu ten pakiet!... słyszysz?

— Panie kapitanie...

— Jemu samemu... albo—mojej córce, miss Hessay... Gandy!... słyszysz?

— Yes, sir.

— Albo proboszczowi tramorskiemu, Mitchell! To mój rozkaz, Mitchell—i wola i... Mitchell, niech cię Bóg błogosławi!... Ja pójde sam do domu—ty idź tam (wskazując na skały)—biedne psisko...

— Panie kapitanie! —zawołał kamerdyner, zapominając tą razą zwykłej swęj służbistości i, chwytając plenipotentę za rękę;... ale Gandy ścisnął tylko silnie dłoń żołnierza i przerwał mu:

— Nie bój się, stary! Raz trzeci będzie dla mnie... ale nie dzisiaj; znam ja ich — kilka dni, albo i kilka tygodni mogę się obejść bez broni, chodźć między nimi o każdój porze!... Zostaw mnie tu i... Mitchell! słyszysz? nigdy mi nie mów o tém, com ci tu powiedział. Dobranoc, Mitchell! Szukaj psa!...

Kamerdyner odszedł, rzucając badawcze spojrzenie dokoła. Plenipotent popatrzał za nim, potem zeszedł po pochyłości wzgórza, aż do stóp jego przy drodze. Od chaty, gdzie spoczywały zwłoki Agnieszki, dzieliło go zaledwie dziesięć kroków. Drzwi główne były otwarte... Gandy dostrzegł to. Wolnym krokiem, jak gdyby we śnie,

przeszedł drogę, ogródek i stanął w progu chaty. Cisza panowała w izbach.

Kapitan zdjął kapelusz z głowy i wszedł do izby śmiertelnéj...

Dwie gromnice, spalone do połowy, rzuciły smutne światło na odkrytą trumnę, w której spoczywało martwe ciało. Twarz Agnieszki przybrała po zgonie ten słodki spokój i wdzięk niewieściéj piękności, jaki sobie przypomniał kapitan z żywój, choć dość dawnéj przeszłości. Jój palce trzymały wizerunek Odkupiciela—jój szaty ostatnie zakryto kwiatami.

Oczu nie zdejmując z twarzy nieboszczki, kapitan ukląkł przy łożu.

— Uczyniłem to, Agnieszko! — rzekł głośno, jak gdyby chciał ze snu zbudzić umarłą—bom wiedział, żeś chciała, bym to uczynił... O przebac mi, przebac, Agnieszko, moja żono!... Nie wiedziałem, com robił—nie byłem samym sobą, kiedym zatarł nasze małżeństwo... a potem myślałem, że cię Bóg zabrał z tego świata...

Z zewnątrz, przez drzwi otwarte, doszedł do izby odgłos wołań na wzgórze. Plenipotent powstał, pochylił się nad trumną i złożył swe usta na zimném czole nieboszczki.

— Módl się za mną w niebie! — rzekł, wpatrzony w krucyfiks; potem, nagłą dotknięty myślą, zdjął z palca własną ślubną obrączkę i z najgłębszą czcią, nie bez trudności, wsunął na palec umarłéj... Obrączkę oczyściła łza, która na nią spadła i zrosiła palec Agnieszki.

Plenipotent opuścił izbę—nieświadomy, iż miał świadków swego pojednania się z cieniem i z pamięcią téj, która była prawną jego małżonką. Naprzeciw trumny siedziały Julia Mylesowa i Maryanna. Lecz żadna z nich nie śmiała przerwać uroczystego aktu, a obie po wyjściu kapitana wróciły w milczeniu do pacierzy — tą razą dziękczynnych.

Drzwi chaty Mylesa były otwarte, bo na odgłos wystrzałów, Marcin O'Grady zerwał się z krzesła i wybiegł ku skałom zatoki. Obeznaný z usposobieniem włościństwa w baronii i znając z długoletniego doświadczenia miarę cierpliwości „chłopców“, obawiał się, by te wystrzały nie były albo sygnałem do zebrania się „księżycowéj wyprawy“ na jaką zagrodę skazaną, lub téż nie oznajmiały spełnionej zbrodni.

Nie wybiegł atoli sam. Hessy, która naprózno starała się zatrzymać go, wołając za nim z progu chaty, pocięła za nim. Doszedłszy do pierwszych zarośli na szczycie wzgórza, widziała starca spiczącego ku skałom na przeciwnéj pochyłości. Roztropność nakazywała jój zachować milczenie... ostrożnie więc i w cieniu zarośli puściła się zwinnie i lekko ku skałom.

Tramorskie skały stanowią przedmiot niewyczerpanéj ciekawości turystów malarzy. Rozgrupowane w posepnie i dziko kapryśnych kształtach wzdłuż wielkiego łuku zatoki, to się piętrzą ku niebiosom

ostremi kończynami, to karłowacieją od razu, tworząc między sobą przepaściste szczeliny, zalane wodą w przypływie, rozliczne i głębokie pieczary, wzniosłe tarasy, lub daleko w zatokę rozrzucone rumowiska. Chodzenie po tych skałach bardzo jest niebezpieczne nieznanemu ich rozkładowi. Szeroka nieraz i łatwa między rozpadlinami ścieżka prowadzi tylko do zakrętu—niebaczno czeka tu śmierć niechybna, jeżeli nie zdąży cofnąć się po śliskim i omszonym kamieniu z nad bezdenną, zda się, przepaścią—rozdzierającej w tém miejscu dwie skały, i huczając w swęj czeluści rozpryskanemi bałwanami morza.

Hessy stąpała coraz ostrożniej. Zmuszona patrzeć przed siebie, straciła znów z oczu postać przybranego ojca. Przyszło jej więc na myśl, że starzec obrał może znaną sobie ścieżkę, schodzącą między skały z połowy pochyłości wzgórza. Zawróciła więc z drogi i zeszała poniżej, między krzewy. W samą rzecz, napotkała pewnego rodzaju przejście między zaroślami i puściła się dalej — choć na chybił trafił. Wkrótce atoli znalazła się pod ogromnym i naprzód wystającym złomem... gdzie nie już nie kierowało jej kroków. Złom ten, ni by sztucznie wydrążony, przegradzał jej drogę; aby go minąć, wypadało jej trzymać się jak najbliższej jego wklęsłej ściany i, wzdłuż niej postępując coraz wyżej, wciągnąć się na koniec rękoma na jej sklepienie.

Hessy nie namyślała się długo i domacawszy się rękoma wilgotnej ściany, rozpoczęła swą przeprawę... Nagle—zadrżała i o mało nie wydała okrzyku przerażenia... Tu, w bezpośredniem niemal pobliżu, usłyszała najwyraźniej zmieszane głosy ludzkie! Dreszcz ją przeszedł śmiertelny od stóp do głów, a na czoło jej wystąpiły krople lodowatego potu. Lewą rękę wysunęła naprzód wzdłuż skały, by na łupkowym gruncie nie poślizgnąć się i nie upaść... a tém samém nie zwrócić na siebie uwagi tajemniczych obecnych. 'Téj saméj chwili poznała swój błąd!... W otaczającej ją ciemności nie dostrzegła, że półkoliste wydrążenie złomu przerwane było w samym środku—i że ztąd, wązkie i niskie przejście pod skałą, torowało drogę—może aż do stołu skał, do brzegu morza, lub może do jakiejś głębokiej pieczary. Hessy uczuła się nieco spokojniejszą: przejść mimo otworu nie miała odwagi, bo musiałaby się wystawić na widok nieznanych ludzi, obecnych pod skałą—ale odwrót miała bezpieczny. Z podwójną więc ostrożnością odwróciła się w miejscu, gdy... dosłyszała głos pojedynczy, dobrze sobie znany.

— A ja ci powtarzam raz jeszcze, Mick — mówił Myles tonem rozkazującym—że, jeżeli się ztąd ruszysz o krok jeden tylko, to ci tym nożem oto brzuch rozplątam, jak wieprzowi!

— A c h a r ù! a c h a r ù! i już cię jego honor, pan Gandy, nie będzie tu co noc przychodził i czekał cierpliwie na swoją porcyą otwuiw... Begorra! Kapitanie najskodszy, toż już sama grzeczność każe mieć wzgląd, że jego honor na wilgoci tylko się niezdrowiska nabawi i zachoruje nam, mus ha!

— Słuchaj, kapitanie—odezwał się z dalszej głębi głos trzeci—wszystko to bardzo dobrze i według prawa: Bridget swoje zrobiła... i daliśmy mu dwa zwykłe „pocałunki“ — raz z onym wspaniałym rumakiem, a teraz z tém biedném psiskiem, co się tam skuliło po skałach... benske wiedzą gdzie! Wszystko to bardzo ładnie, kapitanie mavorney—i skarżyć się nie może, że go traktujemy z grubiańska... Ale, hm!

— O cóż ci idzie?—zapytał kapitan „księżycowych.“

— O to, jak się do niego dostać...

— Oh! i pewnie, jak jego honor uściskać, kiedy się go pocałowało!—dodał Mick.

— Wszystko się uradzi jutro wieczór, na stypie—odparł Myles.

— Ba! a któż ci zaręczy, że będziemy mieć lepszą okazyą... toż tu nam tak miło, wygodnie i bezpiecznie, że—Mick Dawley! ostrożnie ze skorupą, boś już dwie stłukł tej nocy... a nie tyś przyniósł jaja!

— Ok bather shin! juźcić jeszcze jej nie stłukł; nie ma się czego gniewać — odburknął Mick, mlaskając ustami... a ztąd łatwo wnioskować, że wysłużony „brat-odźwierny“ tramorskich chłopców nie zapomniał zaopatrzyć siebie i towarzyszków w nieodzowną potynę, którą, w braku odpowiedniejszych naczyń, włościństwo irlandzkie popija w łatwych do nabycia skorupach od jaj...

— Gadajcie dalej!—dodał Mick—aż wam pod językiem nie zaschnie...

— Chciałem poradzić, byśmy oto tutaj zdecydowali, jak się dostać do skóry plenipotenta... który teraz bez całej psiarni szeryfa łba z domu nie wychylił

— O to kłopotu najmińej!—rzekł Myles—zostawcie mnie to samemu, chłopcy!

— Héj! kapitanie złotko moje—zawołał, lamentując, Mick Dawley—i pewnie, że nie wszystko sobie samemu odłożysz na stronę... a nam, ucziwym chłopcom, nie dasz powąchać ani jednego kęsa sasenachów!

— Jeszcze też losy nie padły!—dodał gniewnie drugi towarzysz Mylesa.

— Jutro się wszystko załatwi, chłopcy! — rzekł tenże. W każdym razie, trzeba mieć cierpliwość — przynajmniej jeszcze parę dni... a potem, jeżeliby nam trudno było zająć go po naszymu, to zrobimy, jak robili chłopcy w 48-ym i 67-ym.

— Molly! — zawołałi obaj towarzysze, a Mick miał właśnie odezwać się z słynną piosnką o „Molly Mavorney“—gdy Myles uprzedził jego zapal, dodając:

— A juźcić Molly! Ale ja mam plan, który musi się nam udać... słuchajcie!

Hessy, struchlała z przerażenia—gdyż na życie to jój własnego ojca gotowano tu zamach stanowczy — wyteżyła całą swą uwagę, by dosłyszć i zrozumieć jak najlepiej wyrazy Mylesa... Tyle jednakże

tylko zrozumiwała z szeptów trzech „księżycowych,” że—ażeby zaskoczyć kapitana niespodzianie i bez eskorty — postanowiono najpierwszej nocy ciemnej podłożyć ogień pod stóg siana przed dworskimi stajniami, obok parku. Plenipotent musiałby—zareczał Myles—spostrziedz płomienie z okien biblioteki, w której zwykł przesiadywać do późnej godziny. Liczono więc, iż zapomni o środkach bezpieczeństwa dla siebie samego i wybiegnie do stajni... W furcie ogrodowej miała czekać na niego „Molly“ — i z gąszcza krzewów róż rodyjskich, tworzących tam wysoki szpaler, zadać mu śmierć amerykańskim bowie-knife... Kapitan nie powinienby wydać ani jęku, wśród popłochu stajennych i służących pałacowych, miała się „Molly“ oddalić śpiesznie, znaną sobie drogą, przez park do nadmorskiej kryjówki...

— Ano, kapitanie serduszek! — zawołał Mick Dawley, gdy Michał przestał mówić — kiedy tak, to już ci daruję twoje okrucieństwo tej nocy... zawieszenie wyroku nad jego honorem... bo póki Mick Dawley dysze w Munsterze, on tylko jeden wie, begorra, gdzie szukać Molly mavorney!... Pst! Słuchajcie — kot miauczy... to nasz Sherlock! Do łodzi!

Hessy nie dosłyszała już słów ostatnich. W całej jęj istocie zaszła atoli wielka zmiana:—dziewczę w jednej chwili uczuło wyraźny wpływ nieznanych sobie dotąd czynników, przetwarzających jęj serce i umysł. Podobnie, jak cała jęj istota lgnęła do pamięci utraconej matki, nie tyle miłosném dzieckiem przywiązaniem, ile litością... tak również zrywała się w tej chwili do nieszczęśliwego człowieka — w imię największych uczuć przyrodzonych i w imię uroczystego obowiązku,— Hessy, oddalając się śpiesznie z miejsca schadzki „księżycowych,” powtarzała sobie ostatnie słowa nieboszczki, której zwłoki czekały tylko pogrzebu.

Gdzież był Marcin O'Grady? Znał on dobrze skały pod Knyverton, bo między nimi to ukrywał się przed „emigracją Grubba“ młodszy syn jego, Tomasz, zanim go Myles namówił do szukania schronienia w chacie rybaka, po tamtej stronie zatoki...

Zaledwie starzec znalazł się u stoku tych złomów fantastycznych, gdy uszu jego doszedł świst, a równocześnie uczuł się pochwyconym w silne ramiona kogoś, kto napadł z tyłu.

— Nie tak prędko! — ozwał się piskliwy głos, znany Marciniowi — powoli! poczekajmy sobie, aż nadejdzie szanowny mój... Błogosławiony mężu!! (zawołał nagle, wpatrując się w twarz fermiera)—toż to najzaciejszy pan Marcin O'Grady z Topolil...

— Puście mnie, Trump, omyliliście się... któż to tu śpieszy ku nam?

Był to Sherlock, kolega agenta i—nicrozłączny w ostatnich tygodniach jego towarzysza.

— Omyłka fatalna—rzekł do niego Trump, głosem naturalnym

— ale nie traćmy czasu! Ja słyshałem z pod skały tój oto kogoś biegnącego górą i zdążającego do wybrzeża...

— Sądźcie więc—przerwał Marcin—że opryszki tu zejda? Czy stało się jakie nieszczęście?...

— Widzicie tę łódkę, panie O'Grady?—spytał detektyw, wskazując na czółno rybackie, opodal wyciągnięte na piasek do połowy. Ona to mnie zainteresowała okrutnie, kiedyś z panem kolegą moim wracał tego wieczora z Dunmore—brzegiem zatoki, dla skrócenia drogi.. Hml! wszak to jutro pogrzeb tój biednej Mitchellowej (dodał z naciskiem) — wdowiec pewnie poszedł do Knyverton... a chłopcy wiernych sług nie szanują!

— Cóż znaczą te wystrzały?.. zapytał Marcin niecierpliwie. Miał on odrazę narodową do tajnych agentów władzy, a ostatnie zdanie Trumpa nagliło go do powrotu do chaty.

— Położyły psa kapitana — odrzekł Sherlock, który do tój chwili milczał, śledząc bystrym wzrokiem kończyny złomów i zarośla wzgórze. Biedne zwierzę, ugodzone jedną kulą między same ślepie, a dwoma w brzuch, spadło po skałach, rozstraskało się po ostrych złomach... leży tu blisko na piasku.

Wiadomość ta przeraziła Marcina. Przekonała go bowiem, że kapitan znajdował się w pobliżu Knyverton.. a więc jemu to groziło największe niebezpieczeństwo — ojeu Hesterki, od którego zależała teraz przyszłość dziewczyny! Chciał więc skierować obu agentów ku wzgórzom, gdy wszyscy trzej usłyszeli tuż za sobą głośny bieg po wirze nadbrzeżnym i... odwracając się, poznali Mitchella.

— Kroć set tysięcy kartaczy!— krzyknął stary wachmistrz, sapiąc i dysząc z trudnością—Al! to wy... cóż? macie ich?.. czego tu stoicie! Na gorze—kapitan sam... pies...

— Nie ma czego szukać ich na gorze—rzekł Sherlock—policya jest w parku, tamtędy nie wyjda; to czółno ma swoje zadanie i tędy najpewniejszy dla nich odwrót.

— Ale trzeba kogoś kapitanowi — i Mitchell objaśnił położenie swego pana. Zaczem Trump postanowił wrócić z kamerdynerem na wzgórze, a przy łódce zostawić Sherlocka. Tém chętniej zamiar ten wykonał, że to dało mu sposobność do działania niezależnie od amerykanina, którego argumentom nie mógł nie ulegać, ani towarzystwa jego się wyrzec, gdy tenże nie odstępował go na chwilę i w niejednej trudnej sprawie dopomógł znakomicie — wynajdując genialnie (w opinii Trumpa) sposoby ułatwienia sobie i jemu wstępu między chłopców. Trump był już kilkakrotnie blizkim spełnienia swój misyi, zebrania dowodów przekonywających o istotnym charakterze Mylexa i jego przeszłości — zaarrestowania go nawet — lecz Sherlock, w ostatniej chwili, namówił go raz jeszcze do zwłoki, wystawiając konieczność dojścia do jądra rzeczy, wyświecenia stosunków Mylexa z Dermottem. Sherlock był bowiem przekonany, że lada dzień uda



mu się pochwycić samego herszta Niezwycięzonych... z bezwiedną pomocą kapitana chłopców księżycowych.

Skoro tylko zamkowy detektyw zniknął z kamerdynerem między skałami, a O'Grady, okrążając łańcuch wzgórzy odszedł spiesźnie do Knyverton, amerykańnik zbliżył się do czółna, spuścił je silnym pchnięciem ramion na fale i, stojąc w wodzie i trzymając brzeg łódki, ściągnął usta, otworzył je cokolwiek i wydał głos przeciągły, naśladujący doskonale półgłębne miauczenie kota... Po chwili, powtórzył to samo, lecz z przydaniem kilku tonów głośniejszych—myślałby kto, niewidzący go, że w sąsiedztwie chaty Mylesa dwa wrogie koty dały sobie hasło do nieuniknionej walki...

Niebawem—między rumowiskiem stoku złomów ukazał się człowiek jeden—potém drugi—w końcu trzeci. Zanim opuścili jednak otaczające ich ukrycia, amerykańnik wskoczył do czółna i chwycił za wiosła. Wtedy, wszyscy trzej zeszli na żwir i w parę sekund stanęli obok łódki. Myles siadł pierwszy na przecznicy; za nim wsiadł do czółna Mick Dowley—ostatnim był.. ten sam rybak, do którego lepianki udał się był przed kilkunastu miesiącami Marcin O'Grady, szukając tam syna swego Tomasza.

— Dokąd? spytał Myles.

— Do pomostu w miasteczku! — odpowiedział amerykańnik. Łódka zniknęła wkrótce wśród gęstej mgły, powstającej z morskich topieli.

O'Grady dochodził do chaty. Myśli jego podążyły naprzód do izby pośmiertnej, gdzie pozostawił zwłoki siostry. Mogłoby być, myślał, iżby plenipotent czuł żądło robaka, gryzącego mu sumienie?.. i cóż pocnie teraz? ażali zechce naprawić ciężki występki w obec obojga, matki i córki, przywracając sierotę do nazwiska, do należących jej praw ślubnego dziecka?..

Starzec dziękował Bogu, iż z skuteczną pomocą Patryka, będzie mógł stanąć przed kapitanem na gruncie niezależnym, w charakterze rzecznika Hesterki — nikt nie będzie podejrzewał przymieszki choć nie wiem jak usprawiedliwionego interesu własnego! Lecz... Hessyl cóż ona? Porzuci więc przybranego ojca, który ją wypieścił i wychował cnotliwą, czystą i bogatą w przymioty najlepsze serecal..

— Cóż to?.. czyj to głos?.. Hessyl!

Od progu chaty, O'Grady dosłyszał wyraźnie krzyk bóleści, czy przerażenia! Po raz wtóry pobiegł, ile mu pozwoliły siły prawie wyczerpane, w stronę zagajenia, na wzgórze. Biegąc wołał:

— Het! Hessyl córko moja—Hessy, gdzie ty?..

— Tu! — ozwał się głos, którego Marcin nie poznał. Ale poznał człowieka, w którego objęciach znalazł dziewczynę.

— Kapitan! — zawołał starzec, cofając się mimowoli.

— Nie lękajcie się o nią, O'Grady—przemówił tenże poważnie—wraca już do siebie; przestraszyła się bezwątpienia, widząc mnie tu—

taj... nie poznała mnie (dodał z pewną goryczą) i téj saméj chwili potknęła się i upadła. Byłaby może poraniła się ciężko na tym stoku nieregularnym... szczęście, że tu był.

O'Grady nie śmiał uwolnić plenipotentą od ciężaru, który jemu starcowi, był najdroższym skarbem od lat siedemnastu!. Nie wiedział co powiedzieć.

Z chwilowego zakłopotania wybawiło obydwóch przybycie Mitchella i Trumpa. Dziwnem zrzędzeniem losu, tajny policyant, dowiedziawszy się od Mitchella o zachowaniu się brytana przed półgodziną i postępując dla zaspokojenia ciekawości znaną nam już ścieżką między zaroślami—doszedł do wydrążonego złomu, znalazł wązkie w nim przejście i dotarł do miejsca, z którego—jak się wyraził—„wyfrunęły wróble...“ Przy świetle zapalek, znaleźli obaj ludzie jedyny, lecz świeży ślad pobytu chłopców: zmiażdżone skorupy od jaj, cuchnące potyną.

Zstępując głębiej pod skałę, doszli do podobnego pierwszemu otworu i wydostali się na zewnątrz. Czy Trumpa skierowały się z wysokości, na której stał, ku wybrzeżu... Mimo całej siły, z jaką starał się nad sobą zapanować—nieszczęśliwy detektyw nie mógł powstrzymać wybuchu wściekłości:

— Złapał mniel złapał przekłety podły zdrajca!..

— Kto? Sherlock?—zapytał Mitchell.

Ale Trump nie odpowiedział. Zaciął zęby i zawrócił tą samą drogą do ścieżki. Kiedy stanęli przed kapitanem, zdumiał ich widok Hesterki, wracającej do przytomności. W głębi skał, nie dosłyszeli krzyku dziewczęcia.

— Mitchell wam pomoże, O'Grady — rzekł kapitan —przeprowadzić dziewczę do chaty. Dobranoc O'Grady! Dobranoc... Hessy!.. niech cię Bóg błogotawi... Idźmy, Mr. Trump.

(d. c. n.).

# BOHDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

PRZEZ

*Sewerynę Duchlińską.*

„Polsko! piastunko wieszczów, patrzysz ku nim smutnie,  
Bo odchodzą — bo Panu odnoszą swą lutnię.“

Te słowa, rzucone z garstką drgających w słońcu pyłków, wyśpiewał poeta podobno w chwili, kiedy przedostatni z wielkiej plejady, drogi jego sercu autor „Zamku kaniowskiego,“ umarł przed dziesiątkiem lat we Lwowie. Odtąd Zaleski pozostał sam jeden, z lirą oniemiałą, jako żywy pomnik przeszłości. I oczy ziomek z miłością zwracały się ku niemu, i każdy ze czcią pochylał głowę przed tym poważnym starcem, z siwą do pasa brodą, bo każdy czuł, że ten ostatni z grona spadkobiercą jest owęj słynnej drużyny, co trzymała w zakłęciu naród, bo każdy czuł, że aczkolwiek złotostrunna lira wieszczą nie wydawała, już nowych dźwięków, to pierś jego przechowała świętą puściznę po druhach, co go poprzedzili do grobu; jak niegdyś Mickiewicz, tak Zaleski do ostatniego tchnienia, kochał i cierpiał za miliony!

Tak zaprawdę, oczy ziomek zwracały się ku niemu. Któż nie pamięta, jak przed czterema laty, kiedy nasz wieszcz ukończył osmdziesiąt lat życia, ze wszystkich stron kraju, — powiedzmy nawet ze wszystkich krańców ziemi, gdziekolwiek znalazła się garstka ziomek, posypano mu hojną ręką wieńce i słowa serdecznego współczucia. A i dziś oto, wieść o jego skonie wstrząsa do gruntu społeczeństwem naszym.

Pod tém bolesném wrażeniem jesteśmy i my sami, tém więcej, że zmarły wieszcz od lat dwudziestu zaszczycał nas ufnością i przy-

jaźnią, karmił nas wspomnieniami z dzieciennych lat swoich, przepląsanych na stepach Ukrainy i z późniejszych dni, to spędzonych nad Wisłą, to przebolewałych pod obcym niebem. Z owych to, jego własnych wspomnień, pragniemy dziś uwić żałobny wianek, na cześć genialnego lirnika.

Długi żywot Zaleskiego, rozpoczęty w zorzy XIX-go wieku, a zakończony z jego zmierzchem, ogarniający słoneczną epokę literatury naszej, będzie, niezadługo zapewne, przedmiotem głębokich a różnorodnych badań. W pamiętnej dobie odrodzenia poczui polskiej, lirnik ten był jedną z najbarwistszych gwiazd, składających wielką plejadę; samodzielny jego geniusz wycisnął na poezyi naszej nowe, odrębne całkiem piętno. W pieśniach jego czerpać będą pobudki, historycy i etnografowie, słownikarze i przyszli estetycy. „Zaleski — wyrzekł Mickiewicz z katedry collegium — będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samęj, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko, co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach.“ Rozbierać dorywczo utwory takiego mistrza, byłoby zuchwalstwem z naszej strony. Krótkie wspomnienie, jakie ośmielamy się skreślić, jest tylko pogrobowem echem słów, zasłyszanych z drogich nam ust wieszczka, słów, które zachowaliśmy głęboko w sercu i oddajemy dziś wiernie ziomkom, rozżalonym po ciężkiej stracie.

## I.

Bohdan Zaleski przyszedł na świat we wsi Bohaterce, w bliskości Stawiszcz i Białocerkwi, w dniu 14 lutego 1802 roku. Według ruskiego kalendarza był to dzień N. Panny Gromnicznej (2 lutego). Przypomina to poeta w pieśni do matki, zowiąc się „pogrzebowem, gromnicznem jęj dzieciątkiem.“ Pogrzebowem zwać się miał prawo, w tymże bowiem roku, jesienią, odumarła go matka, pochowano ją na cmentarzu w Stawiszczach. Matka ta, Marya Burkatówna, rodem z Mołdawii, pochodziła z rodziny zamożnej, posiadającej tam kilkanaście wiosek. Znaczny ten majątek, jak mówił Zaleski, dostał się w inne ręce. Rodzice tymczasem żyli w miernym dostatku, we wsi Bohaterce, tak zwanęj od bogactwa miejscowych włościan.

Śmierć matki osierociła trzynaścioro dzieci. Wszystkie rozbiegły się jak pisklęta z opuszczonego gniazodka. Najstarszy z braci Elias, o dwadzieścia lat starszy od Bohdana, myślał już sam o sobie; siostry dostały się do krewnych, zkąd wkrótce powychodziły za mąż. Małego Bohdanka odwiózł ojciec do siostry swojej pani Kundziczowej, zamieszkałej w Medwedowie w powiecie kaniowskim. Tak rozporządziwszy liczną rodziną, p. Wawrzeniec Zaleski opuścił Ukrainę i zamieszkał stale na Litwie. Był to człowiek wyższych zdolności:

sprawy trybunalskie w których utonął, nie odebrały mu poetycznej fantazy; pisywał chętnie wiersze.

Smutno rozpoczął się wątek życia sierotki. Ciotka Kundziecowa miała charakter popędliwy; zajęta liczną dziatwą nie zastąpiła matki powierzonemu jej dziecku. „Nie mogłem jej pokochać,“ mówił Zaleski. Nie rozumiejąc jeszcze, jakim nieszczęściem jest sieroctwo, odczuwał je boleśnie; płakał z żalu i zazdrości, widząc, jak inne matki pieściły dzieci swoje. Smutek ten musiał odbić się w postaci, a może nawet oddziaływać na zdrowie dziecka, skoro gdy ukończył lat cztery, oddano go do szkoły w Kaniowie „nie dla nauki, jak mówił, a raczej dla rozrywki.“ Nauczył się czytać prawie sam, zabawiając się książką. W pogodne dni biegał z dziatwą nad Dnieprem. Podczas, gdy starsi chłopcy zajęci byli nauką, mały Bohdanek bawił się w sali, która niekiedy służyła za teatr podczas szkolnych uroczystości. Tam na stronie stały szeregiem ławki, na jednej z nich sadzano chłopczyka.

Z tych czasów jedno zachował wspomnienie. Raz podczas bytności Tadeusza Czackiego, miał właśnie jakąś zabawkę rozłożoną z pestek na ławce; Czacki, przechodząc koło niego, rozrzucił mu żartem owe pestki. Uniesiony gniewem chłopczyk, porywa czapeczkę, rzucając ją na poważnego kuratora. Łatwo pojąć zgorszenie władzy szkolnej, ale Czacki wcale się tém nie zgorszył, uspokoił zwierzchników i wyjednał przebaczenie dla małego zuchwalca.

Po krótkim pobycie w Kaniowie, Bohdanek wrócił do Medwedówki. Fantazyja poetyczna zaczęła rozwijać się w chłopczyku. Opowiadał nam, jak patrząc na latające w powietrzu ptaszęta, zapragnął tóż być ptakiem i bujać swobodnie po błękiecie. Długo przemyślał jakby przysposobić sobie skrzydła do lotu. Zbierał gdzie mógł pióra gęsie i kapłonie; zgarnawszy znaczny ich zapas wszedł na dach, poprzytwardzał do ramion owe pióra i począł podskakiwać w górę, pewien, że go tém łatwiej uniosą. Smutny jednak spotkał go zawód, zleciał biedaczek z dachu. Przerazona ciotka porwała go z ziemi na ręce. Szczęściem wypadek ten nie miał szkodliwych następstw.

Wkrótce potem inny wypadek otworzył przed nim pole do szerokich polotów, już nie na gęsiach ani kaptonich piórach, ale na skrzydłach wyobraźni. Ośmioletni Bohdanek zabawił się pod świernem (lamus, schowanie) z małemi szczeniętami. Pieski to dotknięte były jakąś skórną chorobą, która udzieliła się chłopcu. Ciotka wyczerpała wszelkie środki domowe, lecz te nie pomagały. Wówczas to przyszło jej na myśl oddać Bohdanka na kuracyą do znachora starego Zuja. Ów znachor był to wieśniak ukraiński, osiadły nad Dnieprem u stóp góry zwanój Iwanhorą. Miał liczną rodzinę, kilka dorodnych córek; chata jego odznaczała się zamożnością. Tu zimową porą przybiegała młodzież na wieczorynki; pieśni rozlegały się po izbie, przy furkotaniu wrzecion. Mały Zaleski zachwycał się nimi; wkrótce wyuczył się wszystkich na pamięć i bezustanku je powtarzał. Ztąd ulubieńcem był dziewcząt

i całego domu znachora. Dusza jego, jak mówi, przerosła na wskroś pięknością owych pieśni ludowych.

Pobył w chacie znachora przeciągnął się do ośmnastu miesięcy; uporczywa choroba nie prędzej bowiem ustąpiła. Opowiadał nam jak tu czuł się prawdziwie szczęśliwym, jak smaczno zjadał chleb czarny, jak sypiał w kącie izby, gdzie pod obrazem Najświętszej Panny dniem i nocą płonąła lampka.

Lato innych dostarczało mu uciech. Okolica to przeszliczna: z wierzchołka Iwanhory rozległy widok ciągnie się z jednej strony na szeroki step, bez brzegu i bez końca, z drugiej ogarnia bieg Dniepru i wzgórze okoliczne. Szczyt Iwanhory zalegały rozwaliny zamku, niedgdyś Wiśniowieckich a następnie Szczeniowskich. Mały Zaleski przebiegał tę górę w rozmaitych kierunkach; tu napotykał nieraz starego badurzystę: ów starzec znał mnóstwo dawniejszych podań i opowiadał je chętnie; z szczególnem upodobaniem wspominał podania, przyrosłe do gruzów starego zamku Wiśniowieckich. Snuli się tam inni jeszcze lirnicy i teorbanieści. Z ich ust zasłyszał chłopczyk wieści o sławnym znachorze Naumie, tym piastunie zaporozkich tradycji, który

„Strzeże mogił starych ojców i stawia im krzyże.“

a tak umie wydobywać z przeszłości zakłętą wątek, że nie nie ujdzie przed bystrym jego wzrokiem.

„Co ma sływać zakop, zakop, nie wiedziéć gdzie podziéć,  
Wieszczy znajdzie i rozpowie prawnukom czarodzieji!”

„Nasłuchałem się do syta od starców, mówi Zaleski, tych barwnych opowiadań i pieśni. Powierzali mi je tém ochotniej, że w jarzęcém, bo zadumaném oku lackiego dziecka czytali prawdziwe współzucie.”

Ośmnaście miesięcy przebył nad sinym Dnieprem, u stóp Iwanhory, w pogwarach z bandurzystami, wśród pieśni prządek, przy ognisku znachora Zuja, niesłychaną mają wagę w życiu naszego poety. Wrażenia padały na duszę dziecka jak złote ziarna; przyszłość miała je w bujne rozrodzić plony. Sam Bohdan Zaleski wyraził najlepiej dobroczynny wpływ tych posiewów.

Z teorbanem wyroś ja. Dniepr, Iwanhora,  
Chata gdzieś w gaju starego znachora,  
Widzę—och! jakbym pożegnał je wozora.  
Spiewałoz ptactwo tam byle dzień biały,  
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały;  
To znowu męzki głos wojennej chwały  
W cześć atamanów,—mąciły się społem,  
W pieśń jedną żywą! I pieśń tę polknąłem.

Z takim to zasobem poezji kiełkującej w myśli i sercu, dziewięcio-

letni Zaleski dostał się do domu drugiej ciotki pani Jasińskiej, zamieszkałej we wsi Jerczykach w powiecie Skwirskim, nad Rosią. Była to prawdziwa matrona staropolska. Wdowa, matka licznej rodziny, pod troskliwem okiem wychowywała pięcioro własnych wnucząt i inną jeszcze dźiatwę, przygarniętą do domu. Zaleski znalazł w niej drugą matkę, ukochał ją też całym sercem. Pod czujną jej opieką przeżył dwa lata (1811—1812), „rok straszliwej komety i rok straszliwej wojny napoleońskiej.“ Umysł dziecka dojrzewał wcześniej w obec zewnętrznych wypadków. Po swobodnym życiu u znachora, pilnie chłopczyk zabrał się do nauki wraz z pokrewnym swym rówieśnikiem, Eustachym Jankowskim. Nauczycielem ich był braciszek egzjezuita Biernacki, który po usunięciu zakonu pozostał na Ukrainie i zajmował się wychowaniem dźiatek. Przebywał on długo w Jerczykach. Był to słuszny, poważny i bogobojny starzec; z pomiędzy licznych uczniów szczególnie upodobał sobie Zaleskiego.

Mamy przed sobą list czcigodnego wieszczu, pisany kilka lat temu do Cezarego Jasińskiego, wnuka ukochanej ciotki; w liście tym ogarnia pamięcią swoje lata dziecinne i z żywą miłością kreśli obraz swój opiekunki.

„Byłem ja, mówi, dość pojętny chłopak z rozumkiem żartkim, ale niepraktycznym do najwyższego stopnia, bo imaginacya i uczucia brały ciągle nad nim górę. Ileż to ja razy martwiłem kochaną ciotkę Jasińską z powodu tego rozstroju! Pomimo wszystkich dziwactw moich, ciotka kochała mnie czule, bo lubo szorstki odludek w pożyciu z rówieśnikami, dla niej byłem zawdy jednak serdeczny i potulny. Z nią modliłem się sam na sam, z nią śpiewałem godzinki o świcie dnia, z nią przystępowałem poraz pierwszy do ŚŚ. sakramentów spowiedzi i komunii w Powołoczy, na pogrzebie babki mojej, Burkatowej, zmarłej w Bukach. Wieczny odpoczynek racz dać Panie Annie Jasińskiej! Jęj to zawdzięczam wszczepienie we mnie żywej wiary na dalszy wiek. Była to staropolska niewiasta w całym znaczeniu tego wyrazu. Oby stała się wzorem na żywot i dla prawnuki swój Maryi Jasińskiej. O pobycie moim w Jerczykach mógłbym pisać bez końca. Byłem wtajemniczony w sprawy domowe, w grę życia mnóstwem osób. Poznałem tam dziwne typy ludzi, jakich teraz nie ma już w kraju.“

Jeśli w sercu Zaleskiego dni spędzone w Jerczykach wycisnęły głębokie ślady, to i w Jerczykach nawzajem zaci krewni poczcili jego pamięć. W izdebce na poddaszu, gdzie przemieszkiwał dwa lata matém chłopięciem, wyrysował scyzorykiem kaczkę nad drzwiami. Rysunek ten pociągnięty woskiem istnieje dotąd, jako drogocenna dla rodziny pamiątka.

Ojciec przebywał ciągle na Litwie, Zaleski wcale go nie znał, ale troskliwego opiekuna znalazł w starszym o wiele bracie swym Eliaszu, który mieszkał w Krzywcu, zarządzając dobrami Wiktora Zaleskiego. W roku 1812-ym, gdy chłopczyk ukończył lat dziesięć,

ów brat Eliasz oddał go na naukę do szkół OO. Bazylianów w Humaniu, słynnych na całą Ukrainę. Spotkał tu Zaleski kilku rówieśników, z którymi związana w dzieciennych latach przyjaźń, przetrwać miała do grobu. Do tych należał Seweryn Goszczyński, nieodrodny brat po lirze ukraińskiej, Michał Grabowski, znany później krytyk i powieściopisarz, Seweryn Gałęzowski, słynny lekarz-filantrop, Jan Krechowicki, zmarły przed rokiem we Lwowie. Jeżowski, znakomity filolog-profesor, później jeden z założycieli wileńskiego Towarzystwa promienistych.

Najściślejsza przyjaźń połączyła Zaleskiego z Goszczyńskim, mimo przeciwnego całkiem charakteru. Młodszy o rok Seweryn, ostry w obejściu z kolegami, otrzymał od nich w szkole nazwę *Nerona*, za to, że ich czubił bez ustanku. Zaleski tymczasem otrzymał przydomek *Amameusa*, ztąd, że raz na lekcji łaciny, wymawiając ten wyraz, *a* i *e* przeczytał osobno bez względu na dyftong. Malcy pochwycili to i tak go odtąd nazywali. Zdaniem ich, ten wyraz zgadzał się z kochającym jego usposobieniem. Dzięki tej stodyczy, Zaleski wywierał szczególny wpływ na towarzyszków; ulegał mu nawet srogi *Neron*. W smętném i zadumaném chłopięciu spoczywała jakaś tajemna siła, pociągająca mimowoli ku sobie. Dzieci głębokimi są psychologami; w wiele lat później, miłego towarzysza *amameusa*, nazwał Mickiewicz słowikiem ukraińskim, groźnego *Nerona* Tatarem.

Ten słodki węzeł, łączący go z kolegami, określił poeta nasz w cudnej pieśni:

Patrzaj w szkole

Z nieba spada nań nauka,  
O czym inném śni pacholę,  
Na około do sero puka:  
„Do mnie, do mnie tu rówieśni!  
Co dusz czystych w siebie chłonic,  
Jako wrotki swojej pieśni,  
Pieśni żywej—w dłoniach dłonic,  
Wszystkie wiąże na swém łonie <sup>1)</sup>).

Nie napróżno Zaleski pukał do serc kolegów, wy dobył z nich tyle miłości, że mu chętnie przebaczali tryumfy szkolne, jakie odnosił nad nimi w konkursach. Był zaledwie w drugiej klasie, a już dziesięcioletni uczeń stawał do zapasu z uczniami klasy piątej i ubiegał ich w opracowaniu zadawanych tematów. Te kompozycje posyłał profesorom. Opis wiosny, pełen świeżej barwy, zwrócił szczególną ich uwagę.

Wcześniej też piosenka wybiegała mu z pod pióra. Jeszcze przed czasy szkolnemi siedmioletnie dziecię nie wprawną rączką kreśliło pierwsze zwrotki. Było to zapewne echo piosenek zasłyszanych

<sup>1)</sup> Duch od stopu.



na wieczorynkach, w majdanie starego Zuja. Przepomniat je poeta, wie tylko, ze pisal jakis wierszyk do pszczołki i wiele innych okolicznościowych piosenek, a między innymi wiersz do Napoleona, którego imię roznosił wiatr po stepach Ukrainy. Wierszyki te miał spisane w seksternie. Darował ten zbiorek koledze Chaborskiemu, skutkiem pamiętnej mu przygody. Był zwyczaj u Bazylianów, że za psoty jednego ucznia, trzej koledzy składali sąd i wydawali wyrok. Taki tryumwirat, a raczej t r y u m p u e r a t, złożony z Zaleskiego, z Michała Grabowskiego i Jana Krechowskiego, miał sędzić winowajcę. Był nim biedny Chaborski. Skazano go na klęczenie podczas mszy z podniesionymi w górę rękoma. Delikwent spełnił wyrok, ale potem uskarżał się ze łzami na kolegów, że go narazili na tak wielkie upokorzenie. Zaleski słuchał tych skarg z głębokim żalem; chcąc utulić skazanego na wstyd przyjaciela, darował mu ulubiony swój sekstern, wiedząc, że go w ten sposób najlepiej przebłaga; Chaborski bowiem nadzwyczaj lubił poezyc, i wypisywał wiersze gdziekolwiek je napotkał. Kto więc, czy ta drogocenna pamiątka nie odnajdzie się jeszcze.

Obdarzony wielką pamięcią nasz Zaleski, brał zwykle udział w przedstawieniach teatralnych podczas szkolnych uroczystości. Razu jednego wystąpił w roli dziecka, które porywał jakiś straszny rozbójnik. W chwili gwałtu ów zbójca udrapał go mocno guzikiem, Zaleski w krzyk, zapomina o roli, weła na głos: „Charczewskil Charczewskil co ty robisz? dajcie mi pokój!“ Cała publiczność głośnym odpowiedziała śmiechem; dramat przemienił się w komedię.

Inną śmieszniejszą jeszcze teatralną przygodę wspominał Zaleski z owych czasów. Uczniowie przedstawiali najczęściej dramaciki Bochomolca, przystępne dla ich wieku, do których nie wchodziły kobiety. Na te widowiska liczna zbierała się publiczność, prefekt zatem pragnąc, aby wszystko szło dobrze, służył sam za suflera swoim małym aktorom. Razu jednego szeptał któremuś z malców wyrazy z jego roli: „kiep świat i ja z nim.“ Chłopiec zająknął się, snać roli swój nie umiał. Otóż, gdy szufler wciąż powtarza: i ja z nim, i ja z nim, biedny aktor traci do reszty głowę; bełkocze głosem zdławionym łzami: „kiep świat i pan prefekt z nim!“ Wielka była uciecha widzów; sygnęły się oklaski, do których dał hasło sam prefekt.

Wakacye i święta spędzał zwykle Zaleski u brata swego Eliasza, zamieszkałego w Krzywcu. Ów Eliasz był to już człowiek dojrzały, przeszło trzydziestoletni, nie miał żony i do śmierci nie zawarł związków. Z miłością kreślił nam Zaleski obraz tego brata, który kochał go więcej niż własny ojciec, pieścił go po macierzyńsku, dogadzał wszelkim jego kaprysom i zachciankom, ulegał mu nawet, jakby odczuwał w małym braciszku, jakieś niepospolite usposobienia i zdolności. Nizki, krępy, o szerokich plecach, siłę miał herkulesową, łamał w palcach rubla jak prostą blaszkę. Charakter łagodny, pełen niezmąconej pogody, jednał mu wszystkie serca. Lud wiejski z całej

okolicy kochał go i szanował. I on też rozmiłowany w pocziwych rusinach, znał doskonale ich język, przemawiał nim najchętniej. Poważany również od szlachty okolicznej, wzywany bywał na arbitra we wszystkich sądach polubownych, godził wszelkie spory pomiędzy sąsiadami. Życie prowadził skromne, pełne prostoty. Jedyłą rozrywką jego była fajka i maryasz. Grywając z braciszkiem, lubo gracz zawołany, popełniał dobrowolnie błędy, aby ucieszyć małego partnera.

W domu tego brata czuł się Zaleski prawdziwie swobodnym i szczęśliwym. Nakarmiony już w majdanie znachora i na wyżynach Iwanhory miodem pieśni i chlebem podań ukraińskich, tu w Krzyweu chwycił pełną piersią ów czarodziejski powiew stepowy, w którym „serce uwieził od młodu.“ Ież to razy ubiegł cichaczem z domu; troskliwy brat szukał go niespokojnie, rozsyłał za nim gońców, a on tymczasem całemi godzinami leżał na mogiłach i duchem uniesiony, w dawno ubiegłe bohaterskie czasy, rozrzewniał się i gorącemi zalewał się łzami. Słuch miał nadzwyczaj bystry, chwycił każdy brzęk pszczołki, każdy szelest burzanów kołysanych letnim powiewem. Mickiewicz słusznie powiedział o nim, że „podskubał harmonią wszelkich tworów na stepach Ukrainy, że ujął i przelał w pieśń, zakłęty rytym natury.“

W roku 1814 dotknięty ciężką ospą, leczyl się Zaleski u brata Eliasza w Krzyweu. Podczas téj choroby poznał poraz pierwszy pannę Felicyą Zaleską, późniejszą panią Iwanowską, z którą potem przez długie lata łączyła go najściślejsza przyjaźń. Poznał tu również brata panny Felicyi, Józefa, oficera wojsk polskich, legionistę z czasów Napoleona. O dwanaście lat starszy od Zaleskiego pan Józef ukochał go całym sercem i nawzajem pozyskał jego miłość. Żaden z nich nie przewidywał wówczas, jak tkliwe związki bratnie połączą ich kiedyś na obcej ziemi.

Lata szkolne mijały szybko. Słowik ukraiński począł coraz dźwięczniej świergotać. Piosenki jego zwracały uwagę zwierzchników. Miał lat czternaście kiedy jednę z nich ogłoszono w jakimś piśmie perydodycznym, podobno w Tygodniku wileńskim. Wielka ztąd była radość młodego poety. Opowiadał nam, że nocą, gdy wszyscy spali, rozniecał zapałki i przypatrywał się swoim wierszom, jak one też wyglądają w druku. Smutna to była pieśń, poświęcona pamięci ukochanego kolegi Leona Zbyszewskiego, który skonał na jego rękę. Wypadło to podczas świąt Wielkanocnych; Zaleski nieodstępny od łóżka chorego, nie chciał nawet wyjechać do brata Eliasza na świąteczne wakacje, tak zawsze gorąco upragnione.

Znalazł poeta nasz w Józefie Jeżowskim światłego przewodnika i wiernego przyjaciela. Starszy o lat dziesięć był on przeznaczony za korepetytora młodemu uczniowi, nie mało też wpłynął na umysłowe jego ukształcenie. Oryginał wielki, jak mówił Zaleski, ponury, dziwniej powierzchowności, brunet, kędzierzawy jak murzyn, żył za-

grzebane cały w książkach; oddawał się z zapalem badaniom starożytnych pisarzy. Uczniowie humańscy zwali go chodzącą encyklopedyą wszystkich nauk, tak matematycznych jak i literackich. Zaczem Zaleski opuścił Humań, Jeżowski pospieszył do Wilna, gdzie stał się duszą promienistych. Ścisła przyjaźń połączyła go z Mickiewiczem, który szanował go bardzo i chętnie przyjmował jego rady. Znany ustęp w *Dziadach*: „Kobieto puchu marny!“ jest, jak utrzymywał Zaleski, współutworem Jeżowskiego. W tekście pierwotnym wyrażenia Mickiewicza nie równie miały być ostrzejsze. Ulegając radom przyjaciela, wielki nasz poeta wraz z nim złagodził piorunujący pocisk.

Czternastoletni Zaleski poznał nakoniec ojca swego w roku 1816; wielka była ztąd jego radość, większa jeszcze, kiedy ojciec nie wiedząc o zdolności poetycznej syna, zapytał go, jaki to Zaleski herbu Prawdzic, drukuje udatne wiersze w piśmie wileńskiem. Rzecz odkryła się z uciechą wzajemną. Pochwały uszczęśliwionego ojca podniosły poetę w własnym przekonaniu, dały mu wiarę w swoje siły. Wkrótce potem wystąpił poraz pierwszy z poważniejszym utworem: napisał odę na śmierć Kościuszki. Ta oda musiała już zapowiadać wyższy talent, kiedy bowiem odczytał ją ojcu, tak go zachwycił, że starzec uniesiony jej pięknocią upadł na kolana przed synem. Inaczej osądził Zaleski swój utwór, znalazł go zbyt długim i bezbarwnym. Zraził się bardziej jeszcze, kiedy mu wpadła w rękę, pełna ognia oda Kantorberego Tymowskiego, napisana również na śmierć Kościuszki. Młody lirnik rzucił w ogień własne wiersze, aby śladu po nich nie zostało.

Kurs nauk w Humanium zbliżał się do końca dla naszego poety. W owym to czasie wyszła z druku „*Jagellonida*“, historyczny poemat ukraińca Bończy Tomaszewskiego. Młodzież zachwycała się poematem. Zaleski umiał go prawie cały na pamięć. Obwołano dziełko polską epopeją. Wśród tej gorączki humańskiej ukazuje się dnia jednego w wileńskiem piśmie ostra krytyka, wyśmiewająca niemiłosiernie ów ulubiony utwór; napisał ją Adam Mickiewicz. Zaleski, przeczytawszy ów palący artykuł, wpadł, jak mówić nam, w furę na krytyka. Okoliczność ta była jednym z powodów, że postanowił, po ukończeniu szkół humańskich, udać się na wyższe nauki uniwersyteckie raczej do Warszawy aniżeli do Wilna, dokąd pociągał go silnie Józef Jeżowski. Wkrótce jednak uleciały z wiatrem te chmurki, pomiędzy lotnym już orłem a probującym skrzydeł słowiczkiem ukraińskim. Za pośrednictwem wspólnego przyjaciela Jeżowskiego zamienili korespondencyą, i lubo nieznamomi osobiście i wielką rozdzieleni przestrzenią, znali się przecież i cenili nawzajem, nim na ziemi obcej mieli trwałym połączyć się węzłem.

Inna jeszcze okoliczność przechyliła Zaleskiego na stronę Warszawy. W Wilnie ujrzał życie literackie, tak ponętne dla młodego poety, ale w Warszawie kwitło dziennikarstwo; życie polityczne silniejszym wytryskało tu prądem. Po chwilowem wahanu i naradzie

z Goszczyńskim obaj postanowili puścić się nad Wisłę, po ukończonych w Humanu egzaminach.

Przed opuszczeniem Ukrainy latem 1820 roku, Zaleski udał się do Jerczyk; aby pożegnać ukochaną ciotkę Jasieńską i otrzymać na drogę jej błogostawieństwo. Przybył tam również młody krewny jego Eustachy Jankowski, który pobierał z nim pierwsze nauki, od egzjezuit Biernackiego. Zdarzył się tam nadzwyczajny wypadek. Wieczorem kiedy młodzi krewni rozmawiali z sobą, wchodzi do pokoju stary ich nauczyciel:— przyszedłem, rzecze, pożegnać się z wami... wiem że umrę dzisiejszej nocy.

Młodzi ludzie wzięli to za żart. Biernacki doskonale wyglądał, nic w jego postawie nie wróżyło rychłego zgonu. Znali przytém uwidzenia dawnego mistrza, który był zawsze wielkim oryginałem.

Biernacki jednak kiwał głową. „Mówcie sobie co chcecie, ale ja wiem, że jutra nie dożyję.“ To rzekłszy począł obu ścisnąć i błogostawić, jakby już nie miał zobaczyć ich na ziemi.

Umilkł chwilę: oblicze jego rozpromieniało dziwnym blaskiem; jakby proroczym duchem natchniony, przemówił uroczyscie.

— Ty będziesz kiedyś bogatym, rzekł do Eustachego, a ty sławnym; dodał wskazując na Zaleskiego... i wyszedł z pokoju.

Nazajutrz gdy długo nie wstawał, otworzono drzwi... znaleziono w łóżku zmarłego starca.

Proctwo spełniło się zupełnie: Eustachy Jankowski, ubogi podówczas, dorobił się ogromnego majątku na cukrowniach: Zaleski zabłysnął w nieśmiertelnój plejadzie wieszczów naszych.

## II.

Najściślejsza przyjaźń, jak mówiliśmy, łączyła Zaleskiego z Sewerynem Goszczyńskim. Różnica charakterów wzmocniała jeszcze ten węzeł: dopełniali się wzajem. Obaj przesiąknięci na wskroś technicizmem stepowém, nosili w sercu Ukrainę, obaj czuli się krwią z jej krwi, kością z jej kości, obaj od dzieciennych lat, z jednychże krynic pili żywą wodę, z łona jeduńczej ziemi czerpali niewidome siły, które miały zagrać w ich piersi młodój, ale zagrać na ton całkiem odrębny. Różnica ta objawiała się już w Humanu: lira Seweryna o szorstkich a silnych strunach zapowiadała wcześniej twórcę Zamku kaniowskiego; rzewne dźwięki geśli Zaleskiego zapowiadały śpiewaka Rusatek.

Z bogatym zasobem domowych podań, z iskrą twórczą, nurtującą już w piersi, z gorącą wiarą w przyszłość, dwaj towarzysze puścili się w drogę. Zaleski pociągnął za sobą przyjaciela. Bez niego Seweryn, syn ubogich rodziców, zmuszonych łożyć na wychowanie dziesięciorga dzieci, nie mógł przedsięwziąć téj dalekiej podróży. Ale nasz Zaleski, widząc się po raz pierwszy w życiu panem dwustu dukatów, bryczki i dwóch koni, w mniemaniu swoim był Krezusem. Zabrał więc na własny koszt miłego sercu druha.

Przybyli do Warszawy 8 września r. 1820. Dziwnym zbiegiem w tymże samym dniu Zaleski miał ją opuścić po upływie lat jedenaście.

Wśród ponęt, jakie ciągnęły naszego poetę do Warszawy, jedną z najsilniejszych była chęć zbliżenia się do Kazimierza Brodzińskiego. Ta postać lirnika-legionisty, miała dlań dziwny urok. Zachwycał się Wiesławem, umiał go na pamięć, odczuł w nim ów poetyczny prąd, który miał pchnąć poezją na nowe szlaki, pełne wonnych ty-mianków i swojskich macierzanek. Czytał już Zaleski rozprawę o romantyzmie: to, co mu szeptały mogiły stepowe, co zastyszał dzieckiem w szumie Dniepru, z wyżyn Iwanhory, znalazł w tej rozprawie ujęte w teorię naukową. Słowa Brodzińskiego były dlań drogosciskiem. Czuł że „na niebie zaświtał nowy dzionek, że na doliny upadła srebrna rosa, że czas skowronkom rozwinąć skrzydła i ulecieć w błę-kity.“ Marząc o śpiewaku Wiesława, z bijącym sercem pospieszał od Bugu do Wisły. W myśli układał oracyą, godną ukochanego mistrza.

Młodzi nasi poeci przybyli rankiem do Warszawy, stanęli w do-mu zajezdnym na Krakowskiem-Przedmieściu. Ledwie że zsiadli z bryczki, podczas gdy praktyczniejszy Seweryn zajmuje się rozlokowaniem, niecierpliw Zaleski, zajęty wyłącznie myślą o drogim mu poecie, wybiega na miasto, pyta przechodniów, gdzie mieszka Brodziń-ski. Jedni mijają go obojętnie, tłómacząc się niewiadomością. Zagadniony wreszcie uczeń uniwersytetu, odpowiada z uśmiechem:

Brodziński poeta,  
Przy ulicy Freta,  
Wnijdź w podwórza wnętrze,  
Tam na pierwszym pięttrze.

Uszczęśliwiony Zaleski, biegnie w ukazanym kierunku; bada, py-ta na wszystkie strony; dociera nakoniec na miejsce. Zastaje poetę przy stoliku: pracuje nad korektą, znać to z porozrzucanych kartek. Nasz ukraińiec, radby wypalić mowę obmyślaną w podróży, ale na widok Brodzińskiego, słowo zamiera mu w ustach. Ledwie ma siłę wybeł-kotać nazwisko swoje. Słyszy to profesor: otwiera objęcia, tuli do piersi młodzieńca znanego mu już z rzewnych pieśni drukowanych w Tygodniku wileńskim. Zbiegło im w oka mgnieniu parę godzin. Brodziński rozradowany zachwytem Zaleskiego, czyta mu ostatnie swe utwory. Zaleski odpłaca mu ukraińską dumką. Ale czas mu wracać do domu. Gdzie ten dom?.. on sam nie wie... spostrzegł to z prze-rażeniem wśród gwaru ulicznego. W gorączkowym pośpiechu, nie spojrzawszy na numer pod którym stanął, nie wie nawet jak się zowie ulica. Biega tu i tam, wlepia oczy... niestety napróżno. Spotyka wreszcie podeszłego pana w kontuszu; zagadniony: czego tak pilnie szuka, wyznaje przed nim cały kłopot. Był to Litwin Buczyński za-mieszkały w Warszawie.

Pocziwy litwin śmieje się z młodego zapaleńca, ale bierze do serca jego sprawę, zaręcza mu, że Warszawa nie tak rozległa jak step ukraiński, że kołacząc do zajezdnych domów, trafią nakoniec na właściciwy. Wsiadają obaj do dorozki, ruszają na Krakowskie przedmieście. Nagle błysły Zaleskiemu w oczy, wieże Ś-to Krzyżkiego kościoła.

— To tu gdzieś niedaleko! woła uradowany: poznaję ten kościół, przejeżdżaliśmy koło niego.

I w tójże chwili spostrzega na trotuarze niemniej zakłopotanego Seweryna, który wybiegł w pogoń za towarzyszem.

Przygoda ta posłużyła młodzieńcom. Zaczny opiekun oświadczył im, że ma zbywający pokoiik, który im chętnie odstąpi. Przez rok cały nasi ukraińcy mieszkali i stołowali się u niego za bardzo niską cenę.

Wkrótce potem, nierównie większy kłopot, spotkał młodych przyjaciół. Weszli do stowarzyszenia Karbonarów. Związek ten składali sami prawie literaci; było ich kilkunastu. Jeden z nich, pragnąc popisać się w oczach narzeczonej, wyjawiał przed nią tajemnicę; panienka pod sekretem wyznała rzecz bratu, który był również Karbonarem. Ten związany przysięgą musiał rad nie rad zaskarżyć wielomównego towarzysza. Sąd skazał na śmierć winowajcę. Wszyscy musieli ciągnąć losy, kto ma wykonać wyrok. Zaleski cały drżący, sięgnął ręką po zwitek do kapelusza: szczęściem wyciągnął białą kartkę. Goszczyński sięgnął po nim: byłby on z zimniejszą krwią spełnił straszliwy obowiązek, lecz i jego los chybił. Wyciągnął kartkę jakiś chemik: uradzono, że miał struć delikwenta w kawiarni, dolewając mu do kawy truciznę Aqua-tophana. Na szczęście przed wykonaniem wyroku, wszedł do sali jeden ze starszych w hierarchii, był nim znany wszystkim Łukasiński. Ten, uwzględniając młodzieńczą płochość, zmienił wyrok śmierci na wykluczenie z grona.

W oka mgnieniu Zaleski zaznajomił się z całym kołem literatów warszawskich. Będąc jeszcze dzieckiem poznał w Humanii Franciszka Grzymałę, kiedy ujętego w niewolę w r. 1812, pędzono na Kaukaz: przypomniał się jego pamięci i stałe utrzymywał z nim stosunki. Młody nasz poeta, gorący wielbiciel autora Maryi, pospieszył do niego z serdecznym hołdem. Jakaż była jego radość, gdy Malczewski, posłyszawszy nazwisko, uściśnął go z uczuciem i począł z pamięci powtarzać jego dumki, znane mu z pism wileńskich. Uderzyła Zaleskiego dorodna postać poety, ale zarazem przejęła trwogą pożółkła, jakby pergaminowa cera, świadcząca, że życie jego do gruntu podkopane.

„Hej tyś tu tabun przypędził kozaczce!“ powtarzał Malczewski ilekroć zobaczył młodego ukraińca. Słowa te napełniały go dumą, dawały mu ufność w własne siły; Marya bowiem była, zdaniem jego, prawdziwem arcydziełem, tak pod względem treści i formy, jak i pod względem języka.

Znał Malczewski wartość utworu swego, mówił nam Zaleski,

przypisał też poemat Niemcewiczowi, jako znakomitemu pisarzowi i patryocie, w dowód wielkiego poważania. Ale Niemcewicz nie poznał się od razu na arcydziele: czuł się nawet urażonym, że nieznanemu autorowi śmiało ofiarować mu tak lichy utwór. Raził go szczególnież rozkiełznany język, później jednak odwołał zdanie swoje i oddał Malczewskiemu sprawiedliwość.

Wśród starszych pracowników znalazł Zaleski w Garbińskim <sup>1)</sup> zapalonego wielbiciela. U Brodzińskiego częstym i miłym bywał gościem. Dwa te przezacne serca, jedną ożywione wiarą, jedną płonące miłością ojczyzny, musiały pojąć się i ukochać. Skromny śpiewak Wiesława, odczuł w lirniku ukraińskim tę doskonałość formy, to mistrzostwo w władaniu polską mową, w wydobywaniu z niej pereł i dyamentów, tę niezrównaną wytworność, do jakiej on sam podnieść się nie zdołał: chętnie też odczytywał mu swoje pieśni, zasięgał jego rady z wielką dla siebie korzyścią. Zaleski ze swjej strony, odczuwał pod niewyrobioną częstokroć formą Brodzińskiego wielką potęgę natchnienia, ściagał go z roskoszą w polotach ku najwyższym ideałom.

Rok temu jeszcze, słyszeliśmy czcigodnego wieszczą powtarzającego z uniesieniem Brodzińskiego modlitwę do Boga; od lat sześćdziesięciu z górą wiernie zachował ją w pamięci.

Z Maurycym Mochnackim w ścisłe od razu wszedł związek. Ledwie spojrzeli sobie w oczy, zrozumieli się i ocenili nawzajem. Oryginalna postać Mochnackiego silnie wypiętnowała się w pamięci Zaleskiego. Opowiadał nam dziwne wrażenie, jakie na nim sprawił pierwszy widok tych wyrazistych rysów, tego czoła do samych brwi zarosniętego bujnym włosiem. Oryginalność ta objawiała się na każdym kroku. Miał zwyczaj pracować leżąc na podłodze, pokrytej kołbiercem, z fajką w ustach nieustannie nakładaną. Talent to był wszechstronny. Przytaczamy tu słowa Zaleskiego o muzycznej zdolności Mochnackiego: „Sława jego, jako statysty i pisarza, śmiła pamięć o niepospolitym talencie muzycznym. Owóż mistrzował on i jako fortepianista, był bowiem nieporównanym osobliwie w egzekucyi Mozarta, Bethowena i Webera. Zamierzał ciągle podróż muzykalną po Europie, później zabrakło mu czasu i cierpliwości, zaniedbał fortepian. „Co inszego, mawiał, nosim dziś w umyśle i na sercu.“ Nowa poezya, i nowo rozbujające fale ducha narodowego porwały go w swój wir. Namiętny, rzutki, podejmował się najróżnorodniejszych prac w dziedzinie wiedzy ludzkiej. Z niesłychaną łatwością improwizował na wsze strony, porywając za sobą pokolenie całe nieudany zapałem swoim, tudzież urokiem polszczyzny wskroś skargowskiej. Zaprzyjaźniliśmy się najściślej. Napisałem dlań do Dziennika warszawskiego „Śpiew poety <sup>2)</sup>“,“ Damiana Wiśniowieckiego, i wiele innych rzeczy. Maurycy, po zrudach i nudach codziennej chlebowej pracy

1) Garbiński późniejszy minister oświeconia.

2) Śpiew poety napisany w r. 1823.

w biurach Łzydy i Kuryera polskiego, rad przybiegał do mnie wieczorem na wytchnienie. „Nuże! wykrzykiwał z przyciskiem, nuże daleko gdzie na powiśle, aby zachwycić coś w słuch, z harmonii niebieskich sfer. Jak ze Stefanem Witwickim, tak i z Maurycem na Powązkach, to na Bielanych, przedumialiśmy wiele, o! wiele nocy mięszących!

„Często też, mówi Zaleski, gościliśmy to u Fryderyka Szopena, to u Maurycego, przysłuchując się ich popisom. Szopen wtedy wesoły, młodziuchny, którego też wszyscy zwaliśmy Szopenkiem, wygrywał przed nami cudne swoje utwory. Genialnego rozmysłu, bystry, dowcipny a czuły, igrał ze sztuką, panował nad nią, czarował słuchaczy samorodną bujnością polskiego rytmu swego i melodyi.

Okna domu Lelewelowskiego, ciągnie Zaleski, na rogu ulicy Długiej i Freta, wychodziły na przestrzał, wprost dwom oknom Maurycego, koło Paulinów. Ile razy zacierzewiliśmy się w rozmowie aż do poranku, brzęk szyb z naprzeciwka opamiętywał nas. Pan Joachim z daleka groził palcem. Brodzińskiego również płoszyliśmy nieraz w nocnych przechadzkach na powiśle. Starsi wiekiem, poważni profesorowie, Lelewel i Brodziński, acz obadwaj nie potakiwali marzycielstwu i zagorzaństwu młodych, byli jednak dla nas z uważaniem i miłością. Pod ich to niejako błogosławieństwem rośliśmy i hodowaliśmy się w Warszawie <sup>1)</sup>.

Pamięć tych chwil skroślił Zaleski w wiele lat później w pieśni do zgasłego Stefana:

Wspominasz bodaj noc,  
Gdy na Powiśle sami,  
Bywało, tam w omroce,  
Połujem za pieśniami.

Patrz, cień się już rościela,  
Brodziński duma zbliżka,  
Patrz, w oknie Lelewela  
Lampka wieczyste błyska.

Jeśli Zaleski z zachwytem wspomina Maurycego z równem uniesieniem Mochnacki, wspominał go w dziele o literaturze polskiej XIX-go wieku. „Czasami, mówi, ekscentryczny, po za krańcami prawdziwego świata w idealnej krainie, to znów wewnątrz natury w społeczeństwie i historii, jak tamta naiwny i szczery, jak ta prawdziwy i realny. Żartkiego dowcipu, bystry i przenikliwy, myśl ma prędką jak widzenie, i pochmurną i wesołą. Oko tego wieszca nie zawsze łąą smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej i dalej widzi. I śmieje się i płacze na przemiany. Wyobrażenia Zaleskiego szklana, czysta jak błękitna wód powierzchnia, a fantazyja różnobarwna, różnolicowa, mieniąca się jak gra kolorów, jak ziemskie na obło-

<sup>1)</sup> Poczyo Bohdana Zaleskiego, t. IV, Lwów 1877.



kach malowidła ku schyłkowi dnia jasnego, albo jak farby tęczy na ruchomem powietrzokręgu.“

Trudno lepić określić pieśni Zaleskiego, niż to uczynił Mochnacki, przyrównywając je do różnobarwnej tęczy. Tak zaprawdę, rozbłyśły one po długiej powodzi klasycyzmu, zapowiadając słoneczną pogodę. Łuk owiej tęczy rozciągał się szeroko: z jednej strony dotykał stepowych mogił i zielonych brzegów nadduieprza, drugą stroną sięgał ku Wiśle, gdzie czarodziej, duszą zatopiony w Ukrainie swojej, ożywiał postacie jej sławnych atamanów i poglądając ku niej mokną od łez powieką powtarzał sobie w duchu:

Ku niej tęsknię z wieczora,  
Z jutrznią tęsknię i płaczę,  
Bom pożegnał nie wczora,  
I nie jutro zobaczę.

Wzmogła się tęsknota naszego poety, kiedy nieodstępny towarzysz, Goszczyński, opuścił Warszawę, przebywszy w niej dwa lata. Pozbawiony wszelkiego zasiłku nie mógł się tu utrzymać. Dukaty Zaleskiego od dawna się wyczerpały; chcąc przyjść w pomoc przyjacielowi, który bez grosza, piechotą, z kijem w rękę i tłumoczkim na plecach, wybierał się w daleką podróż, Zaleski sprzedał kołdrę, wziął za nią dziesięć złotych, oddał mu drobną kwotkę. Seweryn kupił za pięć złotych perspektywkę, z drugą pięciozłotówką puścił się w drogę do Krzemieńca. Podróż ta poszła mu jednak z łatwością; gdziekolwiek się zatrzymał, młodzież podejmowała go z uniesieniem, Zapał jego, wymowa, niepospolite ukształcenie, zdolność, jednały wszędy serdeczne przyjęcie, nie brakło mu niczego. Krótco zatrzymał się w Krzemieńcu, peregrynując z miejsca na miejsce dotarł aż na Kaukaz, poczem wrócił na Ukrainę. Tu pozostał dwa lata, przebywał u dwóch szkolnych kolegów, Jana Krechowskiego i Michała Grabowskiego. Wówczas to napisał „Zamek kaniowski.“ Odbył potem z Grabowskim podróż po Włoszech i Niemczech. Nie mogąc otrzymać paszportu na własne imię, wyjechał pod innem jako lokaj. Zaleski uwiadomiony o dniu powrotu przyjaciół z za granicy, biegnie pod ratusz, gdzie mieli się meldować. Zdaleka spostrzega Seweryna w granatowej liberyi z żółtymi wypustkami. Mniemany lokaj skinął głową; spostrzega to Grabowski, w obawie, żeby się czasem młodzi zapaleńcy nie zdradzili przed tłumem, wpada na Seweryna, uderza go w kark, udając zagniewanego pana; łaje go za gapiostwo, popycha do tłumoków. Sztuczka wybornie się udała. Później Grabowski, oznajmiwszy że lokaj zachorował, zostawił go w Warszawie, a sam pospieszył na Ukrainę.

Z grona młodych literatów tutejszych, Zaleski ukochał szczególnie Stefana Witwickiego. Powinowactwo duchowe łączyło młodych idealistów, a wspólny im żar religijny tém silniej jednoczył ich serca. Stefan wprowadził Zaleskiego do literackich domów, wśród których

blyszczał dom pani Katarzyny Lewockiej. Tu młody ukraińiec poznał się z całą inteligencją warszawską. Na krótko jeszcze przed skonem mówił nam o tym gościnnym domu, w którym pełna wdzięku gospodyni rozpościerała czarodziejski urok, zachwycając wszystkich rozumem i dobrocią. Tu spotykał Brodzińskiego, Odyńca, że pominiemy tylu innych. Utrzymywał również ścisłe stosunki z gronem uniwersyteckich kolegów: z Ludwikiem Nabelakiem, Kazimierzem Wojskim, Dominikiem Magnuszewskim, którego talent poetycki cenił bardzo wysoko.

Życie umysłowe, rozbudzone w Warszawie, aczkolwiek nie zagłuszało wspomnień Ukrainy, silnie jednak pociągało poetę. Ulegając wszakże konieczności, rad nie rad zmuszony był opuszczać niekiedy stolicę, a szukać utrzymania w zawodzie nauczycielskim. Około roku 1825 przebywał pod Kutnem we wsi Leszczynku, w domu pułkownika Górskiego, zajmując się wychowaniem jego syna. Wesola to była, gwarna i ludna okolica. Kasyna i reduty kutnowskie przyciągały licznych gości, nie tylko z zamóźniej ziemi gostyńskiej, lecz niemniej od Łęczycy i Kujaw. Pułk strzelców konnych, konsystujący w Kutnie, dodawał bodźca nieustannym zabawom. Znany dobrze ten zakątek kraju, kochamy go jako drogą kolebkę naszą, nie przypuszczamy jednak, aby w rozgwarze, jaki tam podówczas panował, tęskny ukraińiec znalazł żywioł odpowiedni dla siebie. Osoby, które go widywały na balach kutnowskich, opowiadały nam później jak krążył wśród strojnych tłumów milczący i zadumany, nie biorąc udziału w piasach wesolej młodzieży gostyńskiej.

Wśród tych smętnych dumań, Zaleski otrzymuje przerażającą wiadomość: Jan Krechowicki donosi mu, że Mickiewicz w przejeździe z Odessy do Moskwy odebrał sobie życie. Jakby uderzony piorunem poeta pisze rozpaczliwy list do Warszawy; donosi o nieszczęściu młodemu pocięciu Ludwikowi Żukowskiemu. Szczególną pomyłką list ten wpadł w ręce innego Żukowskiego, obywatela z księstwa Poznańskiego, który czasowo zamieszkał w Warszawie. Ten nie słyszał nigdy o Zaleskim ani o Mickiewiczu, nie zrozumiał też wcale o co idzie. Ale prozaiczny ów ojciec miał ładną córeczkę Rózię, entuzyastkę, rozmiłowaną w literaturze, która do innych darów łączyła śliczny głosik. Zaciekawiona Różia ukazała list Brodzińskiemu, a dowiedziawszy się, że ten zna dobrze Zaleskiego, błagała, aby poznał ją z ukraińskim słowikiem. Było to przed samą Wielkanocą. Brodziński napisał do Zaleskiego, powołując go na święta do Warszawy. Poeta przybiegł jak na skrzydłach: wraz z Brodzińskim poszedł na święcone do państwa Żukowskich. Młoda marzycielka zachwycała się od razu ukraińskim piewą, Zaleski upodobał ją sobie nawzajem. Byłaby to owa rusalka, wypieszczona w duszy poety? Samo zbliżenie imienia Rozyny do Zoryny, nasuwa nam ten domysł. Ale cóżby znaczyły te porohy i ostrowy, te wybrzeża Dnieprowe, na których rozwija się cudny poemat? Wisła od nich daleko! a przecież poeta nosił w sercu swoim

Ukrainę, nie mógłże przystroić swój nadgoplański czarodziejki w kwiaty uszczknięte na kurhanach stepowych? Zresztą: po co nam od grzebywać tajemnicę? dość nam wiedziéć, że serce Zaleskiego drgnęło silnie nad Wisłą, że złote sny roztracone o zimną rzeczywistość,— jakby cud po cudzie, w pół wędrówki go odbiegły — i świat piękny, świat rozległy, w sennéj rozwiął się uludziel!

Pod wpływem zbudzonych uczuć Zaleski opuścił Leszczynek, przeniósł się do Warszawy. Wrzała wówczas zacięta walka klasyków z romantykami. Zaleski nie wziął w nią żadnego udziału. „Inni spierali się, mówił do nas, — ja siedziałem cicho, ciągnąłem dalej swoje.“ Polem zapasów był, jak wiadomo, dom generała Wincentego Krasińskiego. Jakkolwiek wzywany na owe literackie obiady, pomimo, że mieszkał w tymże samym gmachu, poeta nasz nie bywał na nich wcale. Oburzały go żarty z Jaksy Marcinkowskiego, który był tam celem bezustannych pocisków. Ukraińiec brał gorąco stronę prześladowanego ukraińca. Podczas, gdy ściany pałacu trzęsły się od oklasków, w odpowiedź na szyderstwa Osieńskiego z *Dziadów* i innych utworów nadniemeńskiego wieszczą, podczas gdy klasyczni biesiadnicy śmieli się homerycznym śmiechem, słuchając żartów Morawskiego z geniuszków ledwie rozpowitych z pieluszek, w tymże domu wysoko, na poddaszu, Zaleski dumiał samotnie nad książką i piórem. Mieszkając pod jednym dachem, zaprzyjaźnił się tu z nauczycielem małego Zygmunta, Balińskim; był świadkiem gwałtownej jego śmierci, koł płacz nieutulonego w żalu, przyszłego piewcy Irydyona.

Wkrótce potem Zaleski opuścił znów Warszawę; zajmował się wychowaniem dzieci pułkownika Szembeka. Pozostał tam zapewne do roku 1830 go, pod koniec bowiem tego roku stanął w szeregach pierwszego pułku strzelców konnych, którym dowodził Szembek.

(*Dok. nastąpi.*)

# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

Ku czci ś. p. Pauliny Krakowowej. „Księżniczka,“ powieść, uwieńczona nagrodą konkursową, napisała Zofia Urbanowska. Kraków i Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1886 r., str. 370.

Od pewnego czasu dział belletrystyki pedagogicznój, przeznaczonój nietylko dla dzieci, ale i dcrastającój młodzieży z każdym się rokiem wzbogaca. Dowodzi to, że nakoniec zaczynamy się liczyć na seryo z potrzebami umysłowemi młodzieży i sprawę wychowania uważać za najżywotniejsze dla społeczeństwa zadanie.

Jeżeli jednak belletrystyka tego rodzaju stać się ma istotnie sprzymierzeńcem wychowania młodzieży, to, zdaniem naszém, koniecznie odpowiadać winna dwóm kardynalnym warunkom: nie zbaczać ani na chwilę z pedagogicznego gruntu, co do środków obranych w przeprowadzeniu myśli głównej w utworze i nadto odpowiadać, co do jego obrobienia, wymaganiom artyzmu. Bez zachowania tych dwóch warunków trudno wpłynąć dodatnio na duszę młodą, wrażliwą.

Tymczasem pod tym względem dziwne panują dotąd u nas pogjęcia: zdaje nam się, iż alfą i omegą wartości literatury, przeznaczonój dla młodocianego wieku koniecznie musi być wyraźnie wypowiedziany, bijący w oczy morał i zwykle téż do niego więksha część piszących, całą treść utworu nagina, nie bacząc na to, że morał, czy dla dziecka, czy dla podlotka zawsze jest nudny i że nieuniknione naciąganie do niego osnowy, dzieje się kosztem prawdy, którój brak instynktownie umysł młody odczuwa. Wszak już Goethe i Schiller przez sztukę chcieli uszlachetnić ród ludzki; a choć kraj, językiem ich mówiący, przyznając brutalnej sile wyższość nad prawem, dowiódł, iż ci, którzy

się szczyłą tymi wieszczami, nie wcielili w życie ideałów ich ducha; to przecież nie wynika ztąd, by idea, na której swą działalność artystyczną oparli, była dla świata bezpłodną. Owszem, może nawet wydałaby inne owoce, gdyby pokolenia, w które swój posiew duchowy rzucili, były należycie do niego przez wychowanie przygotowane. Zastosujmy te same wymagania arcyzmu do literatury pedagogicznej, jakie stosujemy do literatury na wyższą stopę pojętej, a kto wie, czy kształcąc estetycznie człowieka od samego dzieciństwa, nie uszlachetnimy prędzej, niż dotąd młodych pokoleń i nie przygotowujemy ich do tём głębszego odczuwania piękności arcydzieł świata, które, bądź co bądź, wpływają na uszlachenie ludzkiej istoty.

Tych kilka uwag nasunęła nam powieść zatytułowana w nagłówku. Wywołaną ona została specjalnie ogłoszonym konkursem, który za warunek położył, by w bohaterce powieści stawiono wzór, według którego młoda panienka „idąc przez życie, nie wyjątkowe, lecz pośrednie i znajdując się w okolicznościach i warunkach powszechnie spotykanych, mogłaby nauczyć się pojmować obowiązki względem Boga, kraju i rodziców,“ a przez ich spełnienie dojść do możliwej doskonałości.

O ile „Księżniczka,“ uwieńczona nagrodą, odpowiada warunkom konkursowym i stawionym przez nas żądaniom, to bliższy jój rozbiór wykaże.

Obecnie poznajmy jój osnowę.

P. Marcin Orecki, podupadły obywatel, jest agentem filii domu, prowadzącego handel zbożowy. Przez nieznamość jednak fachu i łatwowność, z jaką obywatelom daje zaliczki na zboże, które ci poraz drugi żydom sprzedają, doprowadza filią do upadku, a siebie na utratę miejsca naraża. Nadto przez dobroduszność, dochodzącą do idyotyzmu, poręcza zaciągniętą przez sąsiada Teckiego pożyczkę u Niemca Ofmana i tём do reszty się dobija. Tecki bowiem zamiast użyć pożyczonych pieniędzy, jak to przyrzekał, na zwrot pobranych z filii zaliczek, ulotnił się z miasta i żonę za granicę wyprawił; Niemiec zaś, mając poręczenie Oreckiego, zaciera ręce z radości, wiedząc, że tym sposobem najłatwiej wyzjuje go z własności domu i placu, który jego posiadłości dotykał.

Rodzina p. Oreckiego składa się z żony i córki. Pierwsza choruje na wielką panią i pozorami dostatków pokrywa nędzę błyszczącą; córka zaś Helena jest pięknym kwiatkiem wyhodowanym w ciepłarni salonu, nie mającym najmniejszego pojęcia o celu i obowiązkach życia. Matka bowiem za największe szczęście kobiety uważa: mieć wytworną toaletę, bawić się, czarować wszystkich pięknoscią, wreszcie zrobić świetną partya przez wyjście za bogatego i dystyngowanego człowieka. W tych tём pojęciach wychowuje Helene. W chwili, gdy ją poznajemy przed samą katastrofą, występuje ona poraz pierwszy na balu danym przez stryja Bartłomieja. Tu poznaje Stefana Jerskiego, który jój

tém więcęć zwraca główkę, że i mama, znajdując go nader dystyngowanym młodzieńcem, daje córce do zrozumienia, iżby nie przeciw temu nie miała, by się o jęć rękę oświadczył. Powodzenie, jakiego Helena doznała na tym pierwszym występie, skłania matkę do przyjęcia zaproszenia na bal drugi w sąsiedztwie, gdzie także miano spotkać Jerskiego. Znowu więc dla nięć zamówiono nowy kostyum leśnej bogini! Nim jednak bal przyszedł do skutku i suknią nadesłano z Warszawy, przybył do miasta M. p. Radlicz, delegat rady nadzorczęć, z dymisyą dla p. Oreckiego i pełnomocnictwem zlikwidowania i zamknięcia filii. Rozumie się, iż o skutkach przybycia delegata p. Orecka nie ma żadnego pojęcia i dla okazania zamożności domu występuje z sutém przyjęciem; ale zrozumiiała położenie rzeczy Helena, zwłaszcza, gdy jęć ojciec oświadczył, że stracił wszystko, nawet jęć posag, w którego istnienie dotąd wierzyła. Teraz tęcz dopiero wykazuje niepospolitą woli potęgę i po nocy spędznej bezsennie, postanawia opuścić dom rodziców i oddać się pracy. Nie zwierza się jednak z tęcz przed nikim, ale udaje się wprost do p. Radlicza, prosząc go o pomoc do wykonania powziętego zamysłu. Na nieszczęście, po kilku chwilach rozmowy z nim, przekonywa się, iż pomimo znajomości obcych języków i muzyki, włściwie nie jest uzdolnioną do żadnego zajęcia. P. Radlicz jednak, choć wątpi o stałości jęć postanowienia, ofiarowuje jęć miejsce w włsnym, przy składzie nasion kantorze. Powiadomieni w końcu o tęcz rodzice, usiłują ją odwieść od powziętego zamiaru, ale postanowienie jęć niezłomne i, pomimo łez matki, wyjeżdża do Warszawy z p. Radliczem. Mieszczañski dom Radliczów jest przeciwstawieniem pańsko-szlacheckiego domu Oreckich. Gdy tam panującym rysem jest niezaradność, brak myśli o jutrze i zużywanie ostatnich zasobów na utrzymanie pozorów pańskości; tu przeciwnie życiu całej rodziny przewodniczy praca rozumna, świadoma swego celu, uszlachetniona poczuciem obowiązku i przekonaniem, iż każdy trud jednostki, na jakimkolwiek polu podjęty, przyczynia się netylko do pomnożenia zamożności rodziny, ale i krajowego bogactwa. Jakoż każdy z jęć członków ma jakieś specjalne zajęcie. Andrzej, syn, 30-letni męczyzna, pracuje w kantorze ojca; starsza z córek, Andzia, zajmuje się kwaciarstwem; młodsza, Elzusia, maluje na porcelanie; sama zaś p. Radliczowa, jako ideał czynnej, zbiegliwej niewiasty, prowadzi gospodarstwo domowe. Otóż w takiém otoczeniu, gdzie każda godzina dnia miała swe przeznaczenie, gdzie sumienne spełnianie obowiązków stanowiło o wartości moralnej, a oszczędność posunięta do najmniejszych drobiazgów była panującą cnotą; Helena rozpoczęła twarłą szkołę życia i wewnętrzną pracę nad pozbyciem się nałógów próżniaczych, jakie w nią zaszczepiono w dzieciństwie. Doznawszy tęcz wiele upokorzeń i rozczarowań co do swęć osobistęć wartości, weszła nareszcie na drogę pracy i co za tęcz idzie wyższego udoskonalenia. Z jedynym tylko Andrzejem nie mogła się pogodzić. Był to bowiem typ, stanowiący zupełne przeciwieństwo z salonowym, pełnym dy-

stynkei Jerskim, który ani na chwilę nie przestawał jęj wyobraźni zajmować. Andrzej brzydki, szyderski, nadzwyczaj o nięj w sądach surowy, lekceważący jęj piękność i pańskie ułożenie, ztąd właśnie otrzymała nazwę „Księżniczki,“ był dla nięj wstrętną postacią. Późniejsze wszakże okoliczności łagodzą ostrość tego stosunku. Po ciężkiej, zimowej pracy w kantorze, którą Helena podwaja dla przysporzenia funduszu na wspomaganie pozostałych bez środków utrzymania rodziców, p. Radlicz uznał potrzebę wysłania ją z wiosną na wieś, by na świeżem powietrzu odzyskała stracone siły. Jakoż wyjechała w towarzystwie Andrzeja (?) i tu poznaje najstarszą siostrę jego Wandę, którą narzeczony dla idei poniósł życie w ofierze i ociemniałego dziadka, co z dalekiego Wschodu powrócił i niezłamany na duchu teraz resztę dui swych pod jęj opieką przeżywał. Ta Wanda występuje też w oczach Heleny, jako niepospolite zjawisko. Choć los ją okrył na całe życie żałobą, nie rozkliwia się jednak egoistycznie swoim nieszczęściem, ale w pracy szuka na ból serca lekarstwa i w każdej chwili czynna, zajęta, dla otaczających ją ma zawsze wypogodzone oblicze. Specyalnością jęj — smażenie na wielką skalę konfitur, które w Kijowie spienięża. Rozległy zresztą ogród, w znacznej części przeznaczony pod uprawę nasion, zasila Skład p. Radlicza w Warszawie. Słowem, Helena i tu spotyka się z tym samym trybem pracy systematycznej, rozumnej, a obok tego z osobami, których miększy charakter, łagodzi nieco ostry stosunek z Andrzejem. Do żywszego wreszcie zajęcia się nim panny przyczynia się zjawienie się jakiegoś łotra, który Andrzejowi zaprzysiągł zemstę, z przyczyny, iż ten odmawiał mu wsparcia i zapędzał do pracy. Świadomość grożącego mu niebezpieczeństwa przeraża Helenę i myśl jęj ciągle zajmuje. Pomimo jednak jęj ostrzeżeń, Andrzej lekceważy sobie pogróżki żebraka i każe go z dziedzińca wypędzić. To przyspiesza katastrofę. Mściwy bowiem żebrak podpala budynek, w którym przechowuje się cały zapas zeszlatorocznych nasion i na znaczną stratę naraża firmę Radliczów. Ale zaledwie Helena ochłonęła z wrażeń, spowodowanych pożarem, gdy odebrała od matki list z zawiadomieniem, iż Ofman, nie mogąc od Teckiego swęj należytości odebrać, zapozwał ojca i że im licytacya zagraża. Za poradą więc Andrzeja wyrusza wprost do Teckiego, lecz ten bez ogródki oświadcza, że nie ma na zapłacenie pieniędzy, gdyż wieś i wszystkie ruchomości są prawną własnością żony. Pędzi więc do rodziców; ale w dostaniu się do miasta w skutek wezbrania rzeki i zerwania mostu znajduje niezwyciężoną przeszkodę. Wysiłkiem jednak woli pokonywa wszystkie trudności i powiąwszy potrzebne informacye od ojca, udaje się do jego dłużników, domagając energicznie zwrotu pieniędzy. Tu, u jednego z nich Dońskiego, gdzie się zgromadziło liczne towarzystwo karciarzy, spotyka Jerskiego, który widząc już, że dziś nie ma posagu, choć niegdyś tak uprzedzający dla nięj w grzecznościach, teraz nawet powstać na jęj powitanie nie raczył. Doznany jednak afront tém więkšej dodaje jęj odwagi. Publicznem wyjawieniem obywatelskiej sztuczki

Dońskiego, jakiej się względem p. Oreckiego dopuścił, okłamując go, dla pozbycia się, że mu już do domu odwiózł pieniądze, wywołuje przeciw niemu oburzenie obecnych, którzy go do wypłaty długu i przeproszenia p. Oreckiego zmuszają. Wreszcie do licytacji, przed której rozpoczęciem dla dodania Helenie odwagi najniespodziewaniej zjawia się Andrzej; nie dopuszcza nikogo z żydów, stara Moskowa, pomna na dobrodziejstwo p. Oreckiego, który ją niegdyś, gdy pożar zniszczył jej mienie, zapomógł 5 rublami, nakarmił i napoił. W końcu pobudzony wyrzutami sumienia Tecki wypłaca Ofmanowi należność a wszystko to dzięki energicznemu wystąpieniu Heleny. Zachowanie się jej wszakże w tej sprawie ma ważniejsze jeszcze następstwa. Andrzej bowiem, przekonawszy się, iż teraz, gdy się pozbyła dawnych pańskich nawyknień, zdolną jest działać samoistnie w potrzebie, uznał ją godną siebie towarzyszkę życia i tём łatwiej jej rękę otrzymał, iż Jerski o tyle teraz upadł w jej przekonaniu, o ile on, danym dowodem troskliwości o nią, w najcięższej próbie losowej, na jej wdzięczność i uznanie zasłużył.

Taką jest treść tej powieści, bogatą w szczegóły, widocznie z bezpośredniej obserwacji życia czerpanych, oraz odznaczającą się szerokim na sprawy społeczne poglądem. Czy jednak szczegóły te odpowiednio do celów pedagogicznych i artystycznych zużytkowane zostały?

To inne znowu pytanie. „Księżniczka“ jest utworem belletrystycznym, mającym odzwierciedlać życia społecznego warunki, wśród których bohaterka twardą szkołę przebywa, by z lalki salonowej stać się myślącą i samodzielną istotą. Otóż, ze względów zarówno pedagogicznych i estetycznych, „Księżniczka,“ jako powieść, obok plastycznego odtworzenia zjawisk życiowych, powinna przedewszystkiemi odznaczać się prawdą psychiczną. Tymczasem autorka prawdę tę gwałci na każdym kroku, poświęcając ją dla tendencji, moralu, choć podobne naciąganie do nich faktów razi nienaturalnością i wpływ na czytających osłabia. Jakoż, jeżeli co w „Księżniczce“ należało uzasadnić w sposób zgodny z naturą ludzką, to bezwątpienia chwilę, w której Helena robi postanowienie opuszczenia domu rodzicielskiego. Tymczasem jestże to naturalnem, możliwem, by panna, wychowana w tём otoczeniu, jak ona, nie mająca dotąd najmniejszego wyobrażenia o poważnych zadaniach życia, zostająca pod świeżemi jeszcze wrażeniami triumfów, odniesionych na balu, wreszcie nie przywykła do liczenia się z jutrem, z główką rozmarzoną i zajętą Jerskim, przedstawiającym wszystkie warunki na męża, by taka panna, mówię, po jednej nocy przepędzonej bezsennie, mogła się zdobyć na krok tak heroiczny, stanowczy, jak zerwanie z całą przeszłością i nawykniemi nabytemi z dzieciństwa, by puścić się w świat na niepewne przygody i pracy zarobkowej poświęcić? Jużciż w powieści przeprowadzić to łatwo; ale czy to zgodne z prawami tworzenia się woli, która przecież podlega dość zawiłemu psychicznemu procesowi, by się w czynie mogła ujawnić? Chyba nie. Wprawdzie główną pobudką ma tu być miłość ku



rodzicom, zdolna do największych poświęceń, a zatem usprawiedliwiająca postanowienie Heleny, gdy z ust ojca dowiaduje się o ruinie majątkowej i nędzy, zagrażającej wszystkim trojgu w przyszłości; ale autorka nie wzięła na uwagę innych czynników, które tu jednocześnie działać musiały, a głównie egoizmu, który w pannach tego szczeplu, co Helena, wychowanie pieściotliwe i denerwujące rozwija. Takie panny w rzeczywistości nie tak łatwo oswajają się z myślą poświęcenia i pracy. Poświęcenie w nich w inny ujawnia się sposób. Będą one znosić wszelkiego rodzaju upokorzenia, oczekiwać na jakieś urojone pomoce, znosić głód, zimno, niedostatek, ale nie przenuwierzą się swemu stanowi, na jakie ich urodzenie wyniosło. I taką powinna być „Księżniczka,“ jeżeli miała istotnie nasze narodowe wady, z fałszywie pojmowanego wychowania płynące, przedstawiać. Wtedy byłaby istotnie dla wielu panien nauczającym przykładem, zwłaszcza, iż nic nie przeszkadzało, by po doznanych rozczarowaniach, koniecznością zmuszona, nie miała chwycić się pracy. Dopóki jednak nie wyczerpała wszystkich złudzeń; dopóki z jej różowego gabineczku nie sprzedano ostatniego mebelka, dopóty, rzecz biorąc po ludzku, nie mogła być zdolną do powzięcia tak ważnego postanowienia i to w tak krótkim, jak jedna noc przeciągu czasu, a tém mniej znaleźć w sobie tyle sił i męstwa, by nie uleść płaczom matki i perswazyom ojca, którzy jej zamiarom byli przeciwni.

A ta rodzina Radliczów, wśród której się Helena po przyjeździe do Warszawy znalazła? Dla czego autorka, poczynając od mamy, przypominającej jakąś majstrową z Podwala, przedstawiła w niej całą galeryą gburów, pozbawionych wszelkiego rodzaju delikatności?... Czy ludzie oddani pracy, koniecznie mają być źle wychowani i przez to ni-by wyżsi, iż nie uznają form przyjętych w całym ucywilizowanym świecie?... Jakież to bowiem w tym domu Helenie zgotowano przyjęcie? Oto gdy ona, odniosłszy nad sobą zwycięztwo przybywa oddać się pracy, wszyscy, jak gdyby do niej zrazić ją chcieli, wysadzają się na robienie jej impertynencyj i wszelkiego rodzaju upokorzeń i przykrości. Mama, napuszona w fotelu, przyjmuje ją zimno, bynajmniej nie ukrywając niechęci; Andrzej znowu jakby mu pilno było złożyć egzamin z dobrego wychowania, mierzy Helenę pogardliwie oczyma i wymienia z siostrami w jej obecności znaczące spojrzenia i uśmiechy. Po tym zaś, tak zachęcającym przyjęciu następuje na drugi dzień sławna rozprawa o mydło. Tak! dano jej do mycia proste mydło, które Helena nierozsądnie wyrzuciła za okno, nie mogąc znieść jego nieprzyjemnego zapachu. Tymczasem p. Radliczowa złożyła jej ranną wizytę. Już widok porozrzucanych sukien wydobytych z walizki, nie spodobał się mamie dobrodziejce; to też zgorszona nieładem, panującym w pokoju, odrazu wystąpiła z kazaniem. — „Patrząc na panią, niktby nie powiedział, żeś tu przybyła zarabiać na chleb powszedni; wyglądasz, jak „Księżniczka,“ która przypadkiem tylko zabłądziła do ubożego mieszczańskiego domu.“ A cóż dopiero, gdy spostrzegła przy niedu-

cy brak mydła i dowiedziała się, że wyjechało za okno. Jakiż to gniew ją ogarnął, gdy Helena oświadczyła, że jój zwróci za nie pieniądze. — „Ależ największa suma, jakabyś pani mogła zapłacić, nie może już wynagrodzić téj straty. Kto nie bogaci kraju, ten go uboży, ten jest złym patriotą! Mąż mój powiada, że pani dużo czytałaś i pracowałaś nad sobą; musi ci więc być wiadome zdanie francuzkiego publicysty Say'a: „Narody, nie umiejące pracować i oszczędzać, muszą zniknąć z powierzchni ziemi.“ Że to wyrzeczenie jest prawdą, którą należałoby złotemi głoskami na ścianach naszych domów wypisać, to więcej, niż pewna; ale wystąpienie z nią o kawałek mydła, które zresztą służąca mogła za oknem w ogrodzie odszukać, jest forsowném naciąganiem rzeczy wielkich do małych. Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas. To téż śmiesznym jest w ustach p. Radliczowej ten patriotyzm mydlany. Pomimo to, autorka zapewnia, że „pani Radliczowa zdawała się wtedy rosnąć (?). Był to ideał (?), którego szorstkie formy razity Helene, ale kazały ją podziwiać.“ — I my podziwiamy ją szczerze, ale zdaje nam się, że w każdym przyzwoitym domu nie traktowanoby w podobny sposób służącej na drugi dzień po przyjęciu jój do obowiązków, a nie dopieroż panny, która mogła mieć narowy i wady, ale szukając w domu pp. Radliczów pracy, nie straciła jeszcze przez to prawa, by się z nią obchodzono z należytą względnością. Nie dość na tém, gdy idzie na obiad, na zakręcie schodów, zatém w sieni, słyszy, jak Andrzej, rozmawiając o niéj głośno z Elżunią, porównywa ją, z przyczyny noszonej grzywki do kudłatego pinczera. Przy obiedzie znowu matka z synem, brat z siostrami wymieniają znaczące spojrzenia, krytykują głośno jój ubiór, zarzucając mu elegancyą zbytęcną. Helena tłómaczy się, iż dałaby dowód braku szacunku dla całego domu, gdyby pierwszego dnia zasiadając do stołu, ubrała się po codziennemu, ale to nie rozbraja tętnącej zasadami purytańskimi rodziny. Owszem, młodsze pokolenie Radliczów postanowiło ją upokorzyć za to hołdowanie formom światowym. Jakoż po obiedzie, przy którym, mówiąc nawiasem nic w usta nie wzięła, gdyż zepsute jój podniebienie nie mogło zasmakować w wygotowanej sztuce mięsa i kielbasie z kapustą — całe młode grono wyszło na ślizgawkę do ogrodu za domem. Ponieważ Helena miała ogoniastą suknię, przeto pozostała tylko widzem zręcznych ewolucyj dokonywanych przez pp. Radliczanki i Andrzeja. Ale ni ztąd, ni z owąd przyszła jój ochota, niczém wreszcie nie umotywowana, przejść przez całą szerokość sadzawki, po gładkim, jak szyba lodzie i to jakby uryślnie tuż koło otwartéj przerebli. I stało się, co się stać miało. Helena pośliznęła się i — upadła — rozumie się nie do przerebli, bo aloby się utopiła, albo z przeziębienia umarła i z powieści nicby nie było, ale jak raz, tuż przy saméj przerebli i tak, że się tylko ogon jój sukni zamacał. I teraz dopiero wszyscy w śmiech — hajże na Soplicę! „Zaczęto ogon z wody, jak wieloryba wyciągać, wróżyć mu, że kataru dostanie, doradzać różne lekarstwa“ etc. Poczém ugrupowano się w następujący

sposób: Helena szła przodem; za nią Andzia i Elżunia, niby dwaj paziowie, podtrzymując zmarzły, skostniały ogon; na końcu zaś Andrzej, 30 letni mężczyzna, bawiący się jak dzieciak, tą psotą. I jaki cel, pytamy, autorka zamierzyła sobie przez to osiągnąć? Oto chciała wyśmiać pretensjonalność ubioru Heleny. Tymczasem dała tylko swym czytelnikom rażący przykład złego wychowania całego roduństwa, tém niewłaściwszy w dziele pedagogiczném, że jój sympatye widocznie są po stronie Radliczów, których całe postępowanie jedynie na miano polissoneryi może zasłużyć.

Za przykładem państwa również i służba po grubiańsku traktuje Helenę. Gdy się na drugi dzień po tym wypadku na herbatę spóźniła i stół zastała sprzątnięty, na zapytanie, czy już było śniadanie, odbiera od Kunegundy szorstką odpowiedź: — „To się rozumie! Pewniebyśmy czekali do południa za panną” — (miało być chyba: na pannę). Po tém znowu dochodzą ją uwagi, jakie lokaj Franciszek robi o jój turniurze. — „Żeby moja baba włożyła taką maszynę, tobym jój w tym samym miejscu (sic), skórę kijem ogrzmocił. To jest nieprzyzwoitość!” — dodaje — no, i my się na to zgadzamy, ale z innego względu. Co zaś najzabawniejsza, to, że rodzina Radliczów, skazuje obok tego Helenę na głodową kuracyą. — „Godzin na posiłek przeznaczonych — mówi mama — pilnujemy się wszyscy bez wyjątku i, jeżeli się kto spóźni najczęściej nie jé dla nienaruszenia porządku domowego.” Słowem dom pp. Radliczów robi wrażenie jakiejś wielkiej maszyny, której wszyscy członkowie spełniają funkcją kręcących się według jednego nastawienia kótek i kóteczek. To téż choć p. Radliczowa spostrzeża, że dziewczyna od trzech dni nie jedząc, może umrzeć z głodu, nie zmienia jednak dań, oznaczonych na dzień każdy kolejno. Któż bowiem winien, że Helena miała buzię wykwintnemi potrawami zepsuta? To jój rzecz, nie p. Radliczowej. Niech się głodzi! Dopiero czwartego dnia, gdy Helena bojąc się spóźnić, przyszła do jadalni o 6-éj rano i, nie zastawwszy nawet przygotowań do herbaty, znużona w krześle zasnęła: wtedy dopiero rodzina znalazwszy ją w tym stanie, uczuła dla niéj litość i zaczęła się naradzać, „czy nie należałoby użyć środków łagodniejszych i czy sam przykład, jak się wyraziła Anna, nie podziałałby na biedną księżniczkę?” I zdawałoby się, że i autorka, znużona niepotrzebném szarżowaniem w tym kierunku, wejdzie nareszcie na drogę właściwą i oszczędzi czytelnikowi przykrych wrażeń, doznawanych na widok tego znęcania się nad biedną dziewczyną. Ale nie! Autorka chciała tylko zaznaczyć rys, malując dobroć serca Anny — nie więcej. O tém, jak z Heleną postępować należy, może tylko stanowić rozum; p. Radlicz przeto, jako jego uosobienie, zapowiada stanowczo, „że obrał metodę doraźnego, energicznego działania, bo on zna jój skuteczność,” że zatém środki łagodne na niego się tu nie zdały. Tak utrzymuje p. Radlicz, a jednocześnie żona, jak szpak wyuczony za nim powtarza, „że Helenę muszą wychować.” Że przedstawiciel firmy handlowej mógł się bawić w pedagoga doświadczo-

nego, temu nie dziwimy się wcale, wiedząc, że u nas w kwestyach wychowawczych i ortograficznych każdy się za kompetentnego uznaje; ale że autorka, znana na polu piśmiennictwa pedagogicznego, takie postępowanie za właściwe uznaje, to daleko trudniej zrozumieć. Bo najprzód, jaki cel tej barbarzyńskiej dresury? Jeżeli Helena, zrywając z przeszłością próżniaczą, gotowa była chwycić się pracy, to należało ją raczej po ojcowsku do niej zachęcić, a na złe nałogi wpływać przykładem, który skuteczniej działa, niż mogły działać wszystkie p. Radliczowej morały. Trochę zresztą serca, zyczliwości dokonałoby reszty. Tak radzi zdrowa pedagogika, która surowych środków jedynie w razach ostatecznych i to z wielką oględnością używa. Tymczasem z Heleną tej ostateczności nie było. W każdym razie nie zasługiwała na to, by ją oddawano do domu kary i poprawy.

Ale może autorka chciała w Helenie dać wzór wytrwałości w raz powziętym zamiarze? Jeżeli tak, to ku temu drogę najniewłaściwszą wybrała. Podobne postępowanie, jak Radliczów, gdyby miało być wszystkim chlebodawcom właściwe, może tylko zrazić każdą młodą osobę zamiast zachęcić do pracy. Piszący nie jest panną, a tém mniej szesnastoletnią, a jednak, gdyby miał nieszczerście znaleźć się pod jednym dachem z podobną rodziną, uciekłby od niej zaraz pierwszego dnia za dziesiątą granicę. Właściwie też celu obmyślanego na seryo nie było. Autorka zapewne znała taką rodzinę Radliczów, uchwyciła wszystkie charakterystyczne jój rysy i sądziła, że dość ją przenieść żywcem do powieści, by nadać utworowi cechę, tchnącego prawdą realizmu. Ale właściwie rodzina Radliczów bynajmniej nie nadawała się do roli wychowawczej, do jakiej ją autorka przeznaczła. W jój otoczeniu i Helena co chwila zmienia charakter. To raz jest dumną księżniczką, to znowu upokarza się, żądając zaliczki na pensyą i to wtedy, gdy w kantorze okazują niezadowolone z nieumiejętnej jój pracy, a nawet zapytują bez ceremonii, czy nie zechce do rodziców powrócić. Kto odebrał takie wychowanie, jak ona, wyniósł z domu poczucie dumy rodowej, ten nie przeniósłby podobnych upokorzeń, na jakie autorce podobało się skazywać bohaterkę swoją. Ta Helena zresztą w wielu razach na idiotkę zakrawa. Jakżeż? Wić, że na nią wszyscy oczy zwracają, że sztydzą z jój pańskich nawyknień i stroju, a pomimo to ciągle się na pośmiewisko naraża i na skromnym wieczorku, danym przez pp. Radliczów, gotowa wystąpić w nadesłanym jój przez matkę kostiumie bogini leśnej! Nie przychodzi jednak szczęśliwie do tego — lecz tylko w skutek w mieszania się osób trzecich. Obec uwagi a nie doświadczenie wśród własnej twardej szkoły nowych stosunków sprawiają, że właśnie wypadek ten znamionuje wybitny moment w odmiannym stanie psychicznego Heleny. Wszystko to jest nienaturalne, naciągane, wprowadzone jedynie dla tego, by znaleźć sposobność do wypowiedzenia morału. Innym znowu razem ukryta za portyerą w sąsiedniej bibliotece, słyszy, jak Andrzej nazywa ją śpiącą księżniczką, deklamując: Drzém sobie duszo! Bierze więc machinalnie jakąś książ-

kę do ręki i natrafia na wiersz Pauliny Kraków, w którym jest mowa o posłannictwie kobiety, — i oto nie umie sobie odpowiedzieć na znalezione w nim pytanie: Dokąd ja dążę? A przecież miała przed sobą cel jasno określony, skoro dla dopomożenia ojcu i matce przyjechała do Warszawy pracować. Co zaś najbardziej jest rażącym, to że na jęj poprawę dwa tygodnie czasu w zupełności wystarcza — ani inniej, ani więcej. Jak się w niej jednak ten wewnętrzny proces udoskonalenia odbywa? Na czym ta jęj poprawa zależy? Gdzie przedstawione owe walki z dawnymi nałogami i nawyknięciami — słowem, cała praca wewnętrzna, która przecież w dziele pedagogiczném najważniejszą część stanowić powinna? Tego napróżno szukamy.

Część trzecia i czwarta powieści, zatytułowane: „Na przebój“ i „Na progu nowego życia“, w których Helena występuje jako już poprawiona z dawnych nałogów, rozwija się o wiele naturalniej, lubo i tu o niejednej sytuacji to i owo powiedzieć można. Przedewszystkiém w trzeciej części razi odstępianie od wymagań nakreślonych w programie konkursu. Według niego bohaterka miała być postawioną w okolicznościach i warunkach powszechnie spotykanych; tymczasem trudno do nich zaliczyć ryzykownęj przeprawy przez wczbraną rzekę na łodzi, noclegu w kajucie berlinki, oraz jęj wystąpienia w obec karciarzy w domu Dońskiego. Całkiem tóż jest nienaturalny ów szyper przewożący Helenę i dający jęj w siebie na noc przytułek. Poglądy, jakie rozwija przy wieczery o wyższości rasy niemieckiej nad słowiańską, o wadach Polaków i nieuniknionej ich zagładzie, a co wszystko podśluchuje przebudzona Helena, byłyby odpowiednie w ustach innej osoby, choćby nawet samego p. Radlicza, rozumie się ze zmianą punktu zapatrywania się na tę kwestyą drażliwą. Przypisywanie jednak prostemu człowiekowi tak szerokich poglądów na stosunki między narodowe i ekonomiczne, obejmujące już nie tylko Europę, ale Amerykę i Australię, jest naciąganiem rażącym. Słuchając tego szypra możnaby mniemać, że się ma do czynienia z jakim skrybą, zbiegłym z kancelaryi Bismarcka, lub reporterem, wyszłym z pod kierunku Pindtera. Co ważniejsza, iż autorka, nie znając obowiązujących u nas przepisów prawnych, na nich jednak opiera najważniejsze czynności Heleny. Powiada np. iż Helena dowiedziawszy się, że Tecki odziedziczył spadek po zmarłym krewnym, jedzie do miasta gubernialnego, by przypilnować działów majątkowych. Tymczasem, gdzie pełnoletność, gdzie plenipotencya, bez których nie można rozpocząć sądowego działania? Autorka powiada, że Helena wyjechała zaopatrzoną listem ojca, który ją jakiemuś znajomemu polecał. Czyżby list ten miał plenipotencyą zastąpić? Ale nie dość na tém. Dział majątkowy był dopełniony. Tecki odebrał pieniądze. Szło o to, by mieć dowód prawny, że jest w możności zapłacić dług, gdyby się tómaczył brakiem funduszu, jak to już raz się było zdarzyło. Potrzeba więc było u regenta wyjąć urzędowy akt działu. I oto na proste zażądanie Heleny kancelaryja regenta, wydaje jęj urzędowy odpis całego aktu. Tymczasem każdemu wiado-

mo, iż bez upoważnienia sądu żaden regent takiego aktu wydać nie może. Sam Tecki mógłby mu o to sądową sprawę wytoczyć. By zaś takie upoważnienie uzyskać, należy koniecznie tytuł prawny do akcyi sądowej wykazać. Całe więc działanie Heleny oparto na fałszywej podstawie.

Powię kto może, iż „Księżniczka,” to nie traktat naukowo-prawny, lecz powieść, w której, jako w utworze fantazyi o ścisłość drobiazgową nie idzie. Dobrze! jeżeli chcemy powieść za bawidełko uważać. Ale właśnie „Księżniczka,” według wymagań programu miała uczyć owe czytelniczki „jak obowiązki swoje względem kraju pojnować.” Sama zresztą autorka przez usta Andrzeja potępia za to Helenę, że ją nie obchodzą sprawy krajowe; należało więc oprzec się w tym względzie na rzeczywistość, a nie fikcyjnej podstawie, jeżeli nie chciała powiększać tego zamętu, jaki u nas w głowach co do stosunków prawnych panuje. Czego zaś nie spodziewaliśmy się znaleźć w książce poświęconej pamięci Pauliny Krakowowej, to tak hazardownego twierdzenia, że dzieci łatwo przywykają do obcego języka. Gdyby autorka, która taki nacisk kładzie na potrzebę interesowania się krajowemi stosunkami, lepiej statystykę szkolną poznała, możeby się była cofnęła przed tak niedorzecznym wyrzeczeniem, które i zdrowo pojnowana pedagogika i inne względy bezwarunkowo nakazują potępić.

Rozpisałiśmy się o „Księżniczkę” obszernie, ale występując z jej oceną po innych krytykach, które z nader małym wyjątkiem, odezwały się o tym utworze pochlebnie, czuliśmy się w obowiązku umotywoować własne, nieco odmienne zdanie. Zkądże jednak ta różnica w sądach pochodzi? Bezwątpienia z odmiennego punktu zapatrywania się na dzieło. Ponieważ cel utworu był pedagogiczny; przeto według przyjętego zwyczaju szukano w nim tylko dydaktycznego żywiołu. Żywioł zaś ten daje się odszukać na każdej niemal stronicy i to powiedziny, podniesiony jeszcze tak szerokim na społeczeństwo poglądem, jakiego dotąd w żadnym, przeznaczonym dla młodzieży, nie natykamy utworze. Ta więc strona, istotnie nader bogata, zaimponowała do tego stopnia, że jeden z krytyków nie zawahał się nazwać „Księżniczki” Panem Podstolim niewieściem. Ale właśnie tym epitetem mimowoli scharakteryzował znaczenie i wartość tego utworu. Cóż to jest bowiem Pan Podstoli? Jużciż chyba nikt dzisiaj nie zechce go za arcydzieło powieściowe poczytać. Niema w nim ani oryginalnego pomysłu, ani intrygi. Jest to tylko szereg luźnie powiązanych z sobą rozdziałów, w których główna postać występuje dla tego, by wypowiedzieć poglądy samego autora na potrzeby tamtoczesnego społeczeństwa i życia. Ten P. Podstoli nie jest nawet typem obywatela-szlachcica, jakim go chciał mieć Krasiecki w duchu konserwatywno-postępowym XVIII stulecia, bo i cóż to za typ, którego sobie nie można w wyobraźni odtworzyć w rysach pełnych, skończonych, pomimo, iż go mamy ciągle na oczach. Jeżeli jednak P. Podstoli, jako utwór powieściowy niema dziś dla nas pod względem artystycznym wartości, to za to ni-

gdy nie przestanie być monumentalnym pomnikiem tych prądów reformatorskich, jakie pod koniec XVIII wieku naszym społeczeństwem wstrząsały. Otóż dopatrzenie pod tym względem pewnego podobieństwa pomiędzy dziełem Krasieckiego, a dydaktyzmem, płynącym dość szerokim korytem w utworze p. Urbanowskićj, nasunęło to porównanie krytykowi z Gazety Warszawskićj. Ale pomijając już, że to porównanie ze względu na znaczenie P. Podstolego w naszej literaturze jest przesadne, to z drugićj strony bynajmnićj ono nie przemawia na korzyść „Księżniczki.“ Dla uwydatnienia bowiem ulubionych sobie poglądów i sympatyj, autorka poświęciła w nićj prawdę i to w części drugićj, zasadniczćj, gdzie właśnie szło o przeprowadzenie myśli głównej: „pozbycia się nałogów, zaszczerpionych wychowaniem, przez pracę samodzielną, wewnętrzną.“ Ztąd ani pod względem pedagogicznym, ani estetycznym nie odpowiedziała swemu zadaniu, z tém większą dla całego dzieła szkodą, iż to, ze względu na opracowanie pozostałych części, mogło być w beletrystyce pedagogicznćj zająć miejsce bardzo wydatne.

W każdćj książce polskićj, a tém bardzićj jeszcze w książce mająćj cel pedagogiczny, uważać trzeba za najpierwszy warunek jćj uznania czystość języka i poprawność stylu polskiego, nie mordowanego zwrotami obcemi, nie szpeconego cudzoziemską budową okresów, słowem zachowanie natury oraz istoty logiki języka równie pod względem odmiany części mowy, jak i pod względem składni zgody, rzędu, nie mnićj i składni szyku.

Książka p. Urbanowskićj nie nastęrcza powodu do większych pod tym względem zarzutów, jakkolwiek przecierają z nićj pewne naleciałości stylu publicystyki nowszćj, która pod wpływem piór maczanych ciągle w obćej atmosferze, zaciera niepostrzeżenie piękny majestat stylu polskiego. Zamiast dłuższego traktatu z pola stylistyki polskićj ośmielamy się przedstawić czytelnikowi początek książki w redakcyi autorki z poprawionym, jak mniemamy tekstem recenzenta.

Czytamy tedy:

„Gdy w miasteczku M. rozeszła się wieść o założeniu domu handlowo-komisowego rolników nadw...skich, w celu oswobodzenia właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy, przez dawanie im (czy lichwiarzom?) taniego kredytu na zboże — między kupcami tamecznymi, w rękach których dotąd koncentrował się handel zbożem całej okolicy, objawił się nie mały popłoch, a obrady giełdowe odbywające się regularnie codziń z rana na śródku rynku zwanego żydowskim, bywały głośniejsze niż kiedykolwiek.“...

Mybyśmy okres powyższy szykowali w sposób następujący:

„Gdy w miasteczku M. rozeszła się wieść o założeniu domu handlowo-komisowego rolników nadw...skich, w celu oswobodzenia właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy przez ułatwienie rolnikom kredytu na zboże, objawił się nie mały popłoch między kupcami tamecznymi,

w których rękach koncentrował się dotychczas handel zbożem całej okolicy. Obrady giełdowe, odbywające się codzień z rana na środku rynku, zwanego żydowskim, stały się głośniejsze niż kiedykolwiek," i t. d. Autorka popełniła tu 1) błąd przez mylne użycie zaimka wskazującego, z czego zrodziła się konstrukcja nie jasna, 2) kredytu nie można dawać z ręki do ręki, ale chodzi tylko o jego ułatwienie, 3) przy domyślnym tylko subiekcie w zdaniu pobocznym należało postawić na początku zdania słowo, które końcówką swoją zaimkową wyraża dokładnie myśl okresu; 4) przez użycie zaimka względnego po rzeczowniku, należącego już do zdania względnego psuje się logika składni zgody, bo „których“ nie odnosi się do „w rękach;“ ale do „kupców.“— W zdaniu: obrady giełdowe rozpoczyna się myśl nowa — należy ją tedy wypowiedzieć w nowym okresie.

„Solution de la question d'Orient“ par Mathias Ban.—Belgrade, imprimerie d'état, 1885.

Autor pisemka, którego tytuł przytaczamy powyżej, Maciej Ban jest jednym z najznakomitszych pisarzy serbskich. Urodzony 18 grudnia r. 1818 w Dubrowniku, za młodu przebywał w Grecyi i Carogrodzie. W tych czasach pisywał w włoskim języku wiersze tudzież tragedye: „Radimira,“ „Fingal,“ „Il Moscovita.“ Od r. 1844 jako profesor mieszka w Białogrodzie, gdzie wydał cały szereg dramatów w serbskim języku. Jako najlepsze uważane są „Mejrjima“ (1851), „Dobrosław, czyli zemsta dalmacka“ tudzież „Marojica Kaboga“ (1880). Prócz tego ogłosił mnóstwo broszur politycznych w języku włoskim i francuskim.

W pierwszej części niniejszego pisemka autor przypomina „najważniejszy punkt z starożytniej i nowszej historii narodu serbskiego.“ Nie będziemy powtarzać tych dostatecznie znanych rzeczy i zaznamy tylko, że autor wystawia Serbów jako najgroźniejszego i najniebezpieczniejszego, dla tego też najbardziej znienawidzonego wroga Turków. „Zacięta walka — powiada na str. 9 -- którą wydano imieniu i językowi serbskiemu od chwili upadku jego aż do dnia dzisiejszego, jest zjawiskiem może jedynym w dziejach (?). Turcy nazwisko Serbów ukryli w całej Macedonii pod nazwą Bułgarów, w Stariej Serbii pod nazwą Albańczyków. W ostatnich czasach tak dalece sprzyjali Bułgarom, że pozwolili im wprowadzić swój język do szkół w wymienionych serbskich prowincjach, które poddali równocześnie egzarchatowi bułgarskiemu. Nazwa Serb w mniemaniu Turków było równoznacznikiem rewolucjonisty, gdy nazwa Bułgar oznaczała człowieka posłusznego i potulnego. Całe gminy serbskie, widząc, że nazwa bułgarska broni od prześladowania, przyjmowały imiona bułgarskie, zachowując jednak swój język i zwyczaje. W innych stronach



narodowość serbską ukryto pod nazwą terytoryalną Bośniaków i Hercegowińców. W Carogrodzie Serbów przewali Chorwatami. Łatwo zrozumieć przyczyny tego wstępu do imienia serbskiego. Szczepy sąsiednie usiłują z bogacić się puścizną naszą; rządy boją się dzielnego ducha naszego narodu i niszcząc nazwę, pragną zarazem zniszczyć płynące z niej prawa polityczne. Daremne usiłowania! Serbowie wszędzie opierają się im mężnie i skutecznie; ich język, najpiękniejszy pomiędzy słowiańskimi <sup>1)</sup>, został przyjęty przez Chorwatów w piśmiennictwie i administracyi i jest teraz używany przez 8 milionów ludzi. Jest to najsilniejszy żywioł narodowy na półwyspie bałkańskim.“

W drugim rozdziale autor rozbiera traktat san-stefanowski i twierdzi, że traktat ten na wszystkie ludy półwyspu wywarł wrażenie gromu (str. 16), ponieważ najpośledniejszy z tych ludów, bułgarski, otrzymał o wiele więcej „niż waleczne narody serbski i grecki, które uzyskały były niepodległość kosztem własnej krwi, niż Rumunowie, Czarnogórcy i znów Serbowie, którzy wzięli tak wybitny udział w wojnie przeciwko Turcyi.“ Wszystkie te narody na to smać tylko położyły tak wielkie ofiary, aby się przyczynić do powstania wielkiej Bułgaryi. „Cały Wschód rozdrażniony, niezadowolniony, w traktacie tym widział jabłko niezgody, rzucone pomiędzy narody półwyspu.“

Z traktatu berlińskiego (rozdział III), zdaniem autora, narody półwyspu bałkańskiego, wyjąwszy Bułgarów, były więcej zadowolnione, chociaż i przez niego nie zostały usunięte źródła zatargów. „Sprawiedliwie uczyniono, odbierając Bułgarom Macedonią, zamieszkałą przez Serbów i Greków, ale chybiono, pozostawiając im powiaty, nienależące do ich szczepu, a mianowicie ustanawiając sztuczny rozdział pomiędzy księstwem bułgarskiem a Rumelią wschodnią, które z natury rzeczy dążyć muszą do zjednoczenia swego.“

„Z ludu najpotulniejszego i najspokojniejszego na półwyspie, Bułgarzy, zaledwo uwolnieni z pod jarzma tureckiego, przemienili się w naród najniespokojniejszy i najdumniejszy w obec sąsiadów. Serbowie, przybywający do Bułgaryi w interesach handlowych, byli narazeni na najrozmaitsze prześladowania; co chwila wydarzały się krwawe zatargi na granicy.“ Dalej autor wylicza różne nieporozumienia, które się wywiązały pomiędzy Bułgaryą a Serbią, a które według innych źródeł dokładniej streściliśmy w rozprawie: „Sprawa bułgarska“ w zeszycie lutowym „Biblioteki.“ Następnie zdradzając pewną chęć prawnienia morałów braciom bułgarskim, karci ich za ich niewdzięcz-

<sup>1)</sup> W ustach poety i patrioty serbskiego oświadczenie to nie obraża nikogo. Każdy z narodów słowiańskich powinien tak samo sądzić i twierdzić o swym własnym języku. Ale zdanie Bana znalazło zwolenników także u obcych, jakoż przed kilku laty znany poseł i romansopisarz Maurycy Jokay, który naturalnie innych języków pochodzenia słowiańskiego nie zna, oświadczył się z tém, że się uczy serbskiego, ponieważ go uważa za najdzwiężniejszy.

ność względem Rossyi. Nie posiadając żadnej wprawy w kwestyach politycznych, ale uważając się za zdolnych do wszystkiego, Bułgarzy, chcąc stanąć na równi z najoświecześniejszymi państwami Europy — statut organiczny, opracowany już w duchu zbyt liberalnym, jeszcze rozszerzyli w kierunku liberalnym, nie zgodnym z niskim stanem oświaty narodu, z kąd powstał chaos, i doszło do tego, że jeden z najwybitniejszych mężów Bułgaryi nie wahał się oświadczyć raz pewnemu znakomitemu turyście: „on n'est bon bulgare qu'a la condition d'être ennemi de la Russie.“ Podróżując przed trzema laty po Bułgaryi słyszałem z ust wysokiego urzędnika rossyanina, pozostającego w służbie bułgarskiej, takie słowa: „Bułgarzy nas nienawidzą, my nimi pogardzamy, a jeżeli pozostajemy na naszych urzędach, to jedynie z posłuszeństwa dla rozkazów rządu petersburskiego.“

Opisawszy w ten sposób tendencyjnie braci bułgarskich, Mathias Ban zastanawia się nad sposobami ostatecznego rozwiązania kwestyi wschodniej, i jako jeden taki środek zaleca zreorganizowanie stosunków narodowych na półwyspie na podstawie dawnego podziału kościelnego.

Atoli najstósowniejszego rozwiązania kwestyi wschodniej autor spodziewa się od Turcyi saméj. „Przed 30 laty — powiada na str. 49 — byłem z innymi gorliwym obrońcą niepodległości i nietykalności cesarstwa ottomańskiego, żywiąc nadzieję, że pojmując nowoczesny prąd narodowościowy W. Porta uczyni zadość umiarkowanym życzeniom dwóch najwaleczniejszych narodów, serbskiego i greckiego, bardzo skłonnych do zgody. Niestety nadzieje te zawiodły. W. Porta zawsze poparcie zagranicy przekładała nad poparcie swych narodów, więcéj dowierzała sile zapożyczonéj, niż naturalnéj. Ta fałszywa polityka pozbawiła ją sympatyj swéj ludności chrześcijańskich, która poczęła także szukać protekcyi zagranicznéj“.

Według téj opinii przypuszcza autor możliwość utworzenia ligi narodów półwyspu, nie wyłączając Turcyi. „Powiadam ligi, nie federacyi, ponieważ pierwsza oznacza tylko ścisły związek sił wojskowych celem wspólnéj obrony od napaści zagranicznéj, gdy wyraz federacya zapowiada także pewne zespolenie spraw politycznych. Otóż, zważywszy wielką różnicę narodowych i religijnych czynników, federacya jest niemożliwą. Natomiast liga jedynie w celach obronnych ze wszech miar odpowiada potrzebom narodów półwyspu. Aby dojść do takiej ligi, trzebaby rozkładać sił narodowych półwyspu oprócz na podstawie granic dawnych patryarchatów greckiego, bułgarskiego i serbskiego. Albowiem ten rozkład kościelny powstał naturalnym sposobem w czasie niepodległości tych narodów i ściśle odpowiadał ich etnograficznemu granicom. Stosunki etnograficzne od owych czasów wcale się nie zmieniły, upadły tylko polityczne granice. Uzupełnienie państw bułgarskiego i serbskiego w granicach ich dawnych patryarchatów nie podlega żadnym trudnościom. Natomiast dawny patryarchat grecki nie mógłby być przywrócony politycznie, chyba żeby się Turcyja zrzekła

wszystkich swych posiadłości europejskich. O tém zaś nie można myśleć, skoro ma powstać liga w zakreślonym powyżej pojęciu. Należałoby więc Grecyą wynagrodzić południową częścią Albanii, która dawniej pośrednio należała do patriarchyatu serbskiego“ (w rzeczywistości zaś, jako prowincya katolicka nie należała do żadnego z trzech wymienionych patriarchyatów greckiego obrządku).

Autor wprawdzie uznaje, że odstąpienie Serbii i Grecyi pewnych prowincyi tureckich wyda się W. Porcie rzeczą „twardą.“ Ale jakże innym sposobem dojść do ligi? Główną rzeczą jest, aby sułtan nie stracił swego wpływu wśród ludności otomańskiej. Otóż tego nie potrzebaby się obawiać, skoroby W. Porta z własnej woli uczyniła owe ustępstwa. „Turcya się odmładza i wzmacnia, dzięki lidze staje się zdolną odegrać wielką rolę w Europie (?) i w Azji. Czyż to upokorzenie a nie raczej mądrość? Wielcy czasem małych przypuszczają do używania swego zbytku. Anglia odstąpiła Grecyi wysp jońskich. Tak świetny przykład uwalnia Turcyą od wszelkiego skrupułu co do godności i powagi.“ Odstępując Serbii i Grecyi to, czego się domagają, Turcya, zdaniem autora, zamiast się osłabiać, wzmacnia się, otacza się silnym wałem narodów, sprzymierzonych z nią, aby dzielić wspólne losy. Na domiar wspaniałomyślności królowie grecki i serbski pozwoliliby sułtanowi używać tytułu władcy Macedonii i Albanii (jak w teorii jest dotąd panem Bośni i Hercegowiny) a nawet — to już hojność poety-dyplomaty zakrawająca na rozrzutność, tytułem wynagrodzenia oddawaliby pewną sumkę rocznie do skarbu sułtańskiego!

Extra ligam nulla salus! Jeżeli, powiada autor na str. 57, intrygi obce zniweczą plan ligi, natenczas wszystko stracone, bo Turcy, serbowie, bułgarowie, grecy i rumuńczycy skarżą się na dalszy ciąg wiekowych walk i sami na siebie wydadzą wyrok śmierci. Liczy jednak na rozum stron interesowanych i odzywa się nie bez pewnego połotu poetycznego do Europy:

„Bądź równie sprawiedliwą i wspaniałomyślną, jak jesteś potężną. Wstrzymaj się od wszelkiego niewczesnego mieszania się do spraw, które przedewszystkiem do nas należą. Nauczyłaś nas, że prawo jest jednakowe dla słabych i silnych (?), daj nam przykład, że to prawo szanujesz: pozwól W. Porcie nazwać swą własnością, co do niej należy, pozwól narodom chrześcijańskim porozumieć się z nią w wspólnym interesie, a dzieje XIX stulecia zapiszą czyn wielki ludzkości i sprawiedliwości. Kwestya najtrudniejsza naszych czasów, którą uważano jako niemożliwą do rozwiązania, z powodu której ciekły strumienie krwi i ginęły miliardy, a która pomimo tego ciągle zagraża pokojowi powszechnemu, kwestya ta będzie nagle załatwiona w sposób najprostszy, najtrwalszy a równocześnie zabezpieczający wszystkie interesa.“

Projekt ten nestora pisarzy serbskich, ogłoszony w drukarni królewskiej, z wielu względów jest ciekawym. Nietylko dla tego, że zdradza gorącą żądzą Serbów zwiększenia swych dzierżaw i równie gorącą nienawiść do braci bułgarskich, ale przedewszystkiem dla tego,

że zaznacza pewien stanowczy zwrot w stosunkach narodów słowiańskich półwyspu bałkańskiego do Turcyi. Aż pod koniec wieku zesłego stosunek ten równał się antagonizmowi religijnemu, emancypacyjne dążności tych narodów były niejako dalszym ciągiem lub epilogiem krucyat. W bieżącym wieku antagonizm religijny przybierał pozory walki narodowościowej, ale w miarę, jak w skutek emancypacyi coraz dobitniej wytwarzał się samodzielny charakter narodów greckiego, serbskiego, rumuńskiego i bułgarskiego, a tém samém uwydatniały się przechodzące często w otwartą nienawiść różnice pomiędzy niemi, antagonizm ów tracił powoli cechę spólnego interesu narodowościowego. Bułgarzy nienawidzili Turków, ale dziś pono więcej nienawidzą Greków. U serbów dawna nienawiść przeciwko turkom widocznie przenosi się na braci bułgarskich i t. d. Interes słowiański przestał być hasłem użytecznym, skoro już na swój drodze nie napotyka samych turków lecz greków, rumuńczyków i albańczyków, stanowiących razem większość ludności półwyspu. Zwrot ten bardzo dobitnie wyjaśnia pismo Bana.

Powtórę zaś projekt poety serbskiego zasługuje na uwagę z tego względu, że właśnie na tych samych zasadach powstał układ księcia bułgarskiego z W. Portą. Książę Aleksander śmiałym zwrotem za odstąpienie sobie władzy nad Rumelią uznał sułtana jako zwierzchnika w sprawach wojskowych i tym sposobem uczynił pierwszy krok na drodze do owęj ligi a w każdym razie uroczyście zerwał z wiekową tradycją, według której narody półwyspu bałkańskiego w sułtanie nie tylko nienawidzili pana swego, lecz przedewszystkiem kalifa, czyli naczelnika obcej wiary, z którym już z tego względu należało walczyć na zabój. Poeta serbski w słowach tylko, ks. Aleksander Battenberg w czynie okazał się rewolucjonistą, zainaugurował nową erę na półwyspie bałkańskim. Jednakże apostrofa poety do Europy okazała się nieskuteczną. Europa wystraszyła się, usłyszawszy o śmiałym i sprzeciwiającym się wiekowym tradycjom kroku młodego księcia. Europa nie pozwala, aby wojsko bułgarskie ewentualnie miało stanąć pod naczelną komendą sułtana! To też liga, o jakiej marzy Maciej Ban, pozostanie snem tylko a na półwyspie bałkańskim, choćby już nie stało sułtana i turków, nie przestanie płynąć, jak od wieków, szerokiem kołem krew narodów.

*E. Lipnicki.*

Estudios literarios par Martin Garcia Merou. Madrid 1884.

Ensayos literarios par Emilio Castelar. Madrid 1885.

Za naszych czasów — mówi p. Merou — krytyka jest niewątpliwie placówką wysuniętą, gotową w każdej chwili do żądania hasła

i zrobienia alarmu w porze właściwej. Nigdy nie nadawano takiej pełności studjom analitycznym, owemu rozbirowi umysłowemu rzeczy oraz idei, owój walce ducha z samym sobą, która tylu ciekawemi odkryciami wzbogaciła w wieku naszym olbrzymi zasób wiedzy ludzkiej. Ale obok krytyki prawdziwej tych badaczy zadziwiających, którzy wszystko przenikną, którzy, wzięwszy dzieło rozłożą je, rozbiorą cząstka po cząstce, kółko po kółku, wykazując z bystrością nieubłaganą mechanizm życia umysłowego, jego czynniki wielkie, jego siły, jego dążności, roi się jeszcze tłum krytyków innego rodzaju, wytwór oryginalny naszej epoki. W czasach obecnych walki, rozpraw, sporów, analizy, w czasach, gdy usiłujemy poddawać studjom rozbioreczym i zimnym zarówno to co ludzkie jak i boskie a przyszedłszy do granic tego drugiego w poczuciu bezsilności zaprzeczamy jego istnieniu, — krytyka była przede wszystkim bronią w walce, czasem za taran, niekiedy za sztandar służyła. Niczego nie wyłączano z pod jej władzy, ponieważ nie się nie uchyla z pod sądu naszego i z pod owój dążności powszechnój zdawania sobie sprawy z tego wszystkiego co nas otacza. Przeniknęła więc ona wiedzę, przekształciła dzieje, wstrząsnęła instytucjami społecznymi i wierzeniami religijnymi. Pokolenia przeszłe zgromadziły jeden po drugim zbiory prawd i błędów, nasion złych i dobrych, zboże na chleb zmieszane z cykutą, która zabija — do tego składu umysłowego, w którym należało rozklasyfikować wszystko, uporządkować, strzedz jednego jako skarbu a inne poddać działaniu kamienia probierczego. To dzieło olbrzymie wymagało geniuszu i wytrwałości, nie tego geniuszu gwałtownego, który idzie za niepohamowanym prądem swego natchnienia lecz przenikliwego wzroku mędrca, który poszukuje ducha w głoskach, treści w formie źródła i przyczyn, który się nie zraża sprzecznościami, który szuka swój Ameryki wymarzonej tak długo dopóki jej nakoniec nie wydobędzie z głębin błędów lub wątplenia. Krytyka jest nauką tyle wartą co inne, byleby tylko z tych innych brała natchnienie, znała je, badała i z nich zrobiła swoją podstawę, wówczas tylko bowiem przestaje uważać zniesławianie za broń swoją a niezadowolenie za system. Nie pojmują celu i doniosłości krytyki, którzy sądzą, że stanowi ją owo krótkowidztwo literackie zaznaczające koniuszkiem pióra szczegóły zbyteczne, przecinki brakujące, duże litery niewłaściwe, wyrazy źle użyte, zwroty nie trafne, aby je poddać drwinom satyry niefortunnej. W obec takiego systemu nie ostoi się żaden geniusz. Wszelako życie nasze nowożytne jest wielce skomplikowane i różnorodne. Nauka i sztuka ze wszystkich stron nas otaczają, ruch umysłowy potężnieje, po dziełach następują czyny, teorie upadają pod ciosami doświadczenia, a idąc za postępem ludzkim, chociaż z daleka tylko, musimy pracować, uczyć się i używać. Porwani wirem pozostawiamy specjalistom kopanie się w studiach jednorodnych, eksploatowanie jednej żyły, chcemy wiedzieć wszystko, a nie mamy czasu zgłębić nieczego. Z tej potrzeby wyłonił się cud wielki dni naszych... d z i c n n i k a r s t w o, które rodzi się i umiera ażeby wró-

cić i zmartwychpowstać świeżem, niez mordowanem, niosącym do wszystkich zakątków swe słowo ostatnie, szybkie, jasne, skupione i ponętne. Prasa przekształciła zupełnie literaturę. Dała ona początek ocenie spiesznój, która w jednym ustępie streszcza całe księgi, jednemu pociągnięciem pióra zaznacza idee, nie bawi się w rozprawy szczegółowe, lecz szuka przedewszystkiem punktu widzenia, całokształtu, ogólnego rzutu oka, która pod tą samą chorągwią jednoczy różne legiony, której słownik malowniczy obejmuje wszelkiego rodzaju frazeologie i musi dostarczać wyrazów tak barwnych, żeby odrazu jak błyskawice oświetlały przestrzenie całe.

Otóż takim właśnie krytykiem-dziennikarzem usiłuje być p. Merou w każdym ze studyów swoich i, przyznać potrzeba, spełnia zadanie przedsięwzięte z wdziękiem niezaprzeczonem. Autor kształcił się widocznie na wzorach francuzkich, znać, że mu mistrzami byli Jules Janin i Paul de Saint Victor. Błyskotliwością raczej niż głębią poglądów graniczących dość często z paradoksem, w porę zastosowaną erudycją lżejszego kalibru, a wreszcie natchnioną prawie barwnością słowa autor przykuwa do siebie czytelnika, darząc go ucztą na poły naukową, na poły artystyczną, w każdym razie przyjemną i łatwo strawną. Dla przykładu przytoczymy charakterystykę Don Juana, téj postaci na wskróś hiszpańskiej, którą tylu poetów europejskich odtwarzało.

Dusze pospolite — mówi p. Merou — nie pojmą D. Juana, uprzywilejowane podziwiają go i opiewają. W téj ruchliwości (oscillation) wiekuistej, w téj ciągłej zmianie idei, poglądów i wrażeń, jest rzeczywiście pewien sybarytyzm, nie pojęty dla człowieka nierozumianego w uraganach. Praca monotonna, ognisko spokojne, zajęcia systematyczne — oto ideał życia większej części synów téj ziemi, ideał nie mający w sobie cienia poezyi. W duchu naszym, w sercu i ciele istnieją siły rwące się do używania i w zetknięciu ze światem zadowolnić je trzeba. D. Juan to człowiek par excellence, on bowiem wprowadził w grę najwięcej sprężyn, on przebiegł najwięcej aren życiowych, on żył najwięcej, robiąc się nieustannie ogniskiem wrażeń wszelakich. I rzeczywiście porównajmy jedną z tych istot pospolitych, przejętych jednem uczuciem spokojnem, które im towarzyszy aż do grobu bez żadnych wzruszeń, bez niepokoju prawdziwych, bez niebezpieczeństw i grozy sumienia własnego z ową walką ustawiczną człowieka, który zbiera pierwociny tysiąca uczuć miłosnych, obejmuje tysiące ramion dziewczycych, składa pocałunki na tysiącu ust, z których nie wyszło nigdy nic... krom słów modlitwy. A gdy mu miłość nie wystarcza ma jeszcze zbrodnię, posiada niebezpieczeństwo, które mu dostarczają nowych rozkoszy źródeł. Walczy i zabija, bo walczyć honorowo z narażeniem życia własnego — to nowy rodzaj rozkoszy dla tych dusz nadzwyczajnych. Nie drży przed nikim, bo patrzy na wszystkich z wyżyn wielkości swojej. Pogarda jego jest powszechna, bo wszystkie zmysły jego tryumfują. Jest bezbożny, gdyż nigdy nie odczuwał potęgi wyższej, która przeznaczeniem naszym kieruje, owęj dłoni, która w cieniu ukry-

ta, rozdziela kary i nagrody. Jak on może zrozumieć wszechmoc niebieską, on, który do pewnego stopnia jest wszechmocnym w życiu. Przed nim wszystkie się bramy roztwierają, wszystkie przeszkody nikną, wszystkie zasłony opadają, wszystkie serca słabną, wszystkie szpady pryskają, wszystkie niewiasty korzą się!... Niewinność, cnota, religia nie mają dość siły do zwalczenia jego pożądliwości, jest w tryumfach jego coś z fascynacji węża... D. Juan to typ hiszpański do szpiku kości, mężny i awanturiczny syn Sewilli, która w klasztorze pogrzebała wspomnienie o jego życiu walk i wybryków. Piękne to miasto strzeże imienia jego jak relikwii, bo jego duch namiętny, odważa gotowa zawsze do walki, postawa piękna, hojność szalona, wszystko to uosabia dziecię Południa, syna ziemi słonecznej i miłości, w którego żyłach kipi krew gorąca i którego młodość jest poematem o strofach olśniewających.

Z przeglądu celniejszych poematów europejskich o tym uwodziele Sewilskim autor wynosi przekonanie, że „nikt charakteru D. Juana nie zrozumiał tak gruntownie i nikt go nie odtworzył z taką energią, prawdą i miłością, jak Alfred Musset. On go nosił w duszy był jego bożyszczem, jego muzą“ (str. 38).

W dalszym ciągu swęj książki p. Merou mówi o powieściach fantastycznych, o balladach, dając nadzwyczaj trafne ich określenie, potępia surowo naturalizm Zoli, poddaje trafnemu rozbirowi „Pawła i Wirginią“ oraz „Gil Blasa“, zaznacza rysy znamienne twórczości Wiktora Hugo i składa gorący hołd miłości w artykule „Mujeres y autores.“ „Kolana mężczyzny, woła autor — są na to, aby się gięły przed Bogiem i... przed kobietą<sup>1)</sup>. Ona to w istocie jest bożyszczem nowożytnym, władczynią, której nieśmiertelne świątynie się wznoszą. Kobieta jest owym aniołem, do którego wrywa się serce, którego widzimy nieustannie w marzeniach naszych, który szrydłami świetlnymi pieści nam czoło; jest ona Antygoną ową, która nam w niedoli towarzyszy, osładza troski i przechodzi jak sen, jak wizya, zostawiając na niebie gwiazdę promienną a w sercu bruzdę wiekuiście otwartą i wiecznie płodną.”

Zaprawdę szczęśliwe te hiszpanki, że w dzisiejszej epoce skrajnego pesymizmu tak gorących mają czcicieli! A może kto sądzi, że p. Merou należy do entuzyastów wyjątkowych? Niech tę wątpliwość rozstrzygną słowa znakomitego pisarza i męża stanu, którego „szkice literackie“ mamy przed sobą. W artykule p. t.: Doña Carolina Coronado Castelar mówi: „Kobieta, to kapłanka uczuć, anioł skrapinający łzami wszystkie cierpienia, skarbnica miłosierdzia nieszczęśliwych, najwierniejsza w niedoli towarzysza, gotowa zawsze do abnegacyi, przyjaciółka wszelkiej ofiary i poświęcenia! Odczuwa ona ze szczytną

<sup>1)</sup> Las rodillas del hombre están hechas para doblarse delante de Dios y delante de la mujer (pag. 85).

przenikliwością zgryzoty, które nas trapią, dostrzega chmury zasępiające nam czoło, odgaduje myśli będące męczarnią ducha, zna wszystkie nurtujące nam pierś tajemnice i wszystkie hydry zwątpienia, gdy się zaś pogrążamy duchem w noc czarną, niby tęcza w barwach ponętnych roztacza przed nami płynące z niebios światło, oddając nas cnocie i nadziei (str. 47). Od tej płomiennej apostrofy przechodzi autor do twórczyni poematu „El amor de los amores,” w którym podług niego „zjednoczyła się cała wspaniałość (gala) poezji południowej ze smutkiem głębokim — północnej.” P. Castelar nie ma dostatecznych słów zachwytu dla utworów p. Coronado, współczesnej poetki hiszpańskiej. „Jaśnieje w niej idea, prawda przyodziana we wszystkie blaski pięknej formy. Nie znam w naszym parnacie nowożytnym śpiewaka natury wynowniejszego: w jej wierszach rozbrzmiewają echa gór i lasów i płynie woń balsamiczna kwiatów polnych. Gwiazdą przewodnią, która ogniskuje wszystkie jej myśli — cnota. Upiększyć ją, zrobić ponętną, wskazać drogę ku niej wiodącą — oto zadanie Karoliny, która zna daleko lepiej głębie serca ludzkiego niż filozofowie oddani studjom nad niemi. Geniusz wielu potów marnieje na usługach rozpacz i zwątpienia, Coronado jest jedną z tych śpiewaczek, które są zwiastunkami nadziei a dobrej wieści, bo w ten sposób jedynie można pojąć poetę i wytłumaczyć. Bóg nie dla tego dał mu natchnienie, nie dla tego złożył w jego dłoni złotą lirę, żeby nią dręczył współbraci; więc cel jego wyższy, bo sztuka jedyną ludzi nauczycielką. Ja szukam zawsze w sercu poety przybytku, któryby mi w ucieczce przed światem i społeczeństwem za schronienie spokojne mógł posłużyć, ja pragnę w słowach jego odszukać Boga i zwracam ku niemu prośbę, aby mnie na skrzydłach swjej fantazy wzniósł po nad nędzę żywota i dał oglądać twarzą w twarz upragnione duchowi... słońce prawdy. Ja go tu na tym padole mizernym nie potrzebuję, lecz wymagam, żeby ugasił żądze nieskończoności, która mnie trawi. Wy, poeci zwątpienia, jesteście dla mnie ptakami nocy, bo w pieczarach ukrywacie światło, które w piersiach waszych Bóg zapalł. Nie znam potęgi większej nad geniusz poety i dla tego cierpię gdy głos jego marnieje w próżni lub poświęca się złemu. Tu właśnie leży przyczyna główna mego uwielbienia największego, którym duszę moję przejęły pieśni Karoliny“ (str. 60).

W dalszym ciągu swjej książki autor poświęca duży rozdział „Helenie uważanej za symbol sztuki klasycznej,” rozprawia o „powszechności demokracji” i rozbiera dzieło p. t. „Iturbide” Karola Navarro y Rodriga. Po wypowiedzeniu wielu bardzo ciekawych uwag o stanie dzisiejszym Ameryki, p. Castelar woła: „Tajemnica cudowna... niepojęta!... Hiszpania, która miała być ziemią instytucyj umarłych, krainą oporu, stawianego duchowi nowemu, ziemią, na której inkwizycya myśl zabijała, której wojska walczyły z Holandją, schroniskiem wolności naukowej i z Anglią, przybytkiem wolności politycznej; ta Hiszpania przeznaczona była przez Opatrzność do odkrycia Ameryki, krain



wolności i tolerancyi, wielkiej pracowni hasel rewolucyjnych, ziemi, która obudzić miała świat stary elektrycznością, krain demokracji i przyszłości. „Piszmy — konkluduje szanowny autor — mówmy, podnośmy wielkie idee, a z téj wymiany pojęć wypłyną iskry elektryczne, które zgalwanizują Hiszpanią, kraj absolutyzmu i nietolerancyi”... (str. 103).

Następne rozdziały poświęca autor opisowi podróży swoich po kraju, pełnemu szczegółów bardzo ciekawych, a wreszcie kończy książkę rozdziałem p. t. „Bulgaros y nihilistas,” którego bohaterem wuj dzisiejszego księcia bułgarskiego. Szlachetny autor postawił tu najpiękniejszy pomnik synowi obcej ziemi, druhowi swemu, którego czcił za życia i otoczył nimbem świetlanym po śmierci!..

*J. A. Świącicki.*

„Geschichte Oesterreichs“ vom Ausgange des Wiener Oetoberaufstandes 1848“ von Jos. Aelxander Freiherr von Helfert, Praga i Lipsk, I—IV tomy, 1869—1885.

Pierwszy tom tego dzieła wyszedł bezimiennie w roku 1869. Wkrótce dowiedziano się, że autorem jest bardzo znany w Wiedniu były podsekretarz stanu w ministryum oświaty (1849—1860), późniejszy dyrektor różnych niefortunnych banków, baron Aleksander Helfert. Le style c'est l'homme! Sam ultra-reakcyjny kierunek dzieła, oraz to oryginalne mieszanie biurokratyzmu niemieckiego z aspiracyami słowiańskimi w najgorszym znaczeniu tego wyrazu, zdradzały dostatecznie autora, który też na następnych tomach nie omieszkał wymienić nazwiska swego. Wszakże z czasem i p. Helfert, który zwłaszcza po „krachu“ w r. 1873 zdawał się być na zawsze usunięty z widowni, wytypnął znowu szczęśliwie na wierzch, został przez hr. Taaffego mianowany członkiem Izby panów, w której często teraz figuruje jako sprawozdawca większości „autonomistycznej,” bywa wymieniany jako kandydat do teki oświaty, inspirowane nie tylko dzienniki, lecz nawet wpływowych postów. Po cóż więc miał się dłużej ukrywać jako autor swego dzieła o dziejach Austrii.

Pierwszy tom zawiera na 34 arkuszach szczegółowy, ale nie bezstronny, opis oblężenia i zdobycia Wiednia przez księcia Windischgraetza i Jellaczycę. Naturalnie baron Helfert w rewolucyi wiedeńskiej (w paźdz. r. 1848) nie widzi nic innego, jak tylko intrygę węgrov i innych. Ludziom tego kierunku, co baron Helfert, zawsze zdaje się, że rewolucya musi być dziełem sztuki, bo nigdy nie chcą się przyznać do winy i nie chcą uznać, że są pewne rzeczy i stosunki, które całkiem logicznie sprowadzają powszechny przewrót. Drugi

tom, noszący specjalny tytuł: „rewolucya i reakcya w jesieni roku 1848,“ wyszedł w r. 1870. Tu autor dawniejsze opowiadanie uzupełnia obrazem stosunków w innych prowincjach monarchii habsburskiej. Trzeci tom: „Wstąpienie na tron cesarza Franciszka Józefa I-go,“ wydany w r. 1872 zawiera bardzo dokładny i szczegółowy opis zakulisowych prac i walk, które się skończyły ustąpieniem cesarza Ferdynanda i wyniesieniem na tron 18-to letniego synowca jego arcyksięcia Franciszka Józefa, w którego imieniu niejako z władzą dyktatora miał ocalać monarchią i przywracać porządek dumny i szorstki, ale przytém bardzo niezdolny książe Windischgraetz. Czwarty tom niewiadomo dla czego, ma się składać z trzech części czyli tomów, pod ogólnym tytułem: „Kampania zimowa w Węgrzech i okrojona konstytucya.“ Pierwsza część ukazała się r. 1876 i opowiada wkroczenie księcia Windischgraetza do Węgier, oraz równoczesne rokowania dyplomatyczne, wywołane zwłaszcza sprawą włoską. Druga część czwartego tomu, stanowiąca znowu nowy tom o 568 stronicach ukazała się teraz, trzecia i ostatnia ma się pojawić później.

Tom IV-ty opowiada wypadki od 1 stycznia do marca r. 1849, opisując bardzo dokładnie obrady sejmu kromierzyskiego nad konstytucją, tudzież zajścia na polu wojny w Węgrzech. P. Helfert wówczas zasiadał w gabinecie księcia Szwarzenberga, który już w styczniu był zdecydowany rozpedzić pierwszy sejm austriacki. To też teraz jako historyk obrady sejmu przedstawia tendencyjnie, aby wykazać konieczność zamachu stanu. Składający się przeważnie z ludzi młodych, doktrynerów, nie obeznanych dokładnie z realnymi potrzebami społeczeństwa, pierwszy sejm austriacki popełniał istotnie błędy, jakim niezawodnie było np. zniesienie szlachectwa, gdy zupełnie wystarczyło uchwalić, aby nadal tytuł szlachecki nie nadawał żadnych przywilejów w dostępowaniu urzędów. Ale rząd światły, któryby był szczerze pragnął porozumieć się z sejmem, a nie szukał pretekstu do rozpedzenia go, byłby łatwo skierował prace sejmu na właściwe drogi. Poza parawanem sejmu, obradującego w Kromierzyżu, pomiędzy Ofomuńcem, gdzie przebywali z dworem ministrowie, a Budą, gdzie rezydował „dyktator“ książe Windischgraetz, toczyły się ciągle układy - co do ustroju, jaki po rozpedzeniu sejmu miał być nadany Austrii. Książe Windischgraetz bronił zasad historycznych, a zatém przemawiał za poszanowaniem dawnych organizmów prowincjonalnych i za oparciem rządu na szlachcie, gdy przeciwnie książe Szwarzenberg i hr. Stadion dążyli do systemu czysto biurokratycznego, który też później usiłował przeprowadzić baron Bach.

Przechodząc do spraw węgierskich, które zajmują główną część niniejszego tomu, musimy przedewszystkiemi przypomnieć, że baron Helfert do madziarów pała nienawiścią niemieckiego a zarazem słowiańskiego biurokraty. Jest to niejako Bach w podwójnym wydaniu, Oczywiście więc w dziele jego nie napotkasz ani jednej z tych uwag, które można przytoczyć na uniewinnienie madziarów, jakoż nagła

zmiana tronu i wyniesienie młodego arcyksięcia Franciszka Józefa, nie korowanego na króla węgierskiego, jak przepisywało dawne prawo, mogło nawet bardzo lojalnych madzarów skłonić do przerwania się na stronę obrony krajowej. Pod względem czysto militarnym węgry wówczas okazali rzeczy nadzwyczajnych, choć najświetniejszy epizod rozpoczyna się dopiero w kwietniu r. 1849, a zatem nie wchodzi jeszcze w ramy niniejszego tomu. Ale baron Helfert z swego jednostronnego i skoszlawionego nienawiścią punktu widzenia, nie uznaje po stronie madzarskiej żadnych zalet, ni zasług. Świetny marsz czy odwrót Görgeja przez kraj słowacki do Tokaju, w „dziejach“ Helferta przedstawia się jako pospolita ucieczka. Natomiast odwrót generała austriackiego Schlika, któremu się udało ująć przed oddziałami Dembińskiego i Klapki, wystawia jakby jaką drugą anabasis Ksenofonta. Z szczególném zamiłowaniem opisuje bana Jelacyca, tego faufarona militarnego i intryganta politycznego, który później umarł w obłąkaniu; oraz serbskiego patriarchy Rajacyca, który dowodził bandami ochotników serbskich, popełniających najbrutalniejsze gwałty w południowych Węgrzech. Jako tako nieuprzedzony dziejopisarz dziś musi uznać, że chorwaci i serbowie wówczas popełnili bardzo grubo błąd, gdy się dali użyć jako narzędzie kamaryli niemieckiej. Dalej prawdziwie austriacki dziejopisarz, nie zaślepiony nienawiścią szepową, łatwo przyjdzie do wniosku, że zamiast walczyć na ostre z madzarami, należało raczej pojednać ich, jakoż w r. 1867 osiągnęli wszystko a nawet więcej, aniżeli się domagali w r. 1848. Ale p. Helfert nie należy do dziejopisarzy zdolnych to zrozumieć i przyznać.

Ciekawym jest ten ustęp dzieła, który się odnosi do wezwania pomocy rosyjskiej. Książę Schwarzenberg jako dyplomata, oglądający się na zagranicę, był stanowczo temu przeciwny. Tak samo były minister baron Wessenberg ostrzegał, że lepiej uczynić jak największe ustępstwo, aniżeli wzywać obcej pomocy. Natomiast generałowie, począwszy od księcia Windischgractza, tego najniedołężniejszego z wszystkich dyktatorów, nie myśleli o niczém, jak tylko o spieszném przywołaniu pomocy. Wreszcie jeden z generałów austriackich Puchner, przyparty w Siedmiogrodzie do ściany przez Bema, na własną odpowiedzialność wezwał pomocy stojącego w Bukareszcie generała Lüdersa. Na tém kończy się tom niniejszy.

*E. L.*

## KRONIKA MIESIĘCZNA.



Sytuacja ogólna państw europejskich.—Narodowość w stosunku do państwa.—Uгода kościelno-polityczna w król. Pruskiem.—Rzut oka na ruch umysłowy wśród społeczeństwa polskiego: Prelekyo w Warszawie Brandesa („O poczty polskiej XIX-go wieku) i Janikowskiego („O wyprawie afrykańskiej“).—Posiedzenia Akademii umiejętności w Krakowie: wydziału matematyczno-przyrodniczego i filologicznego.—Odezwa zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie do artystów w sprawie konkursu do projektowanego Albumu z reprodukcji prac artystów polskich zamiast dotychczasowych premii.—Stary obraz Władysława Jagiełły w katedrze sandomirskiej.—Zjazd nauczycieli szkół średnich w Krakowie d. 20, 21 i 22 kwietnia.—Sprawozdanie z odczytu prof. Ćwiklińskiego (Wykopaliska Sohlimana) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu.—Posiedzenie wydziału historycznego Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.—Sprawozdanie Tow. pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu za rok 1885-ty (45-ty swego istnienia).—Teatr w Warszawie („Dzisiejsi“ Gawalewicz; „Antea“ Wł. Okońskiego (Al. Świętochowskiego); „Wigilia 8-go Andrzeja;“ „Romans paryzki“ Feuilleta).—% ruchu muzycznego (Wieczory Tow. muzycznego: benefis dyr. Noskowskiego, Fr. Zawadzki; p. Magde Wickham, Korostaszewski. Opera w Teatrze wielkim: Jenny Broch, Sembrich-Kochańska, „Lohengrin“, Wagnera, zdyskredytowany przez p. Moskowicza. Echo muzyczne i muzyka klasyczna).—Z ekonomiki: Nasz rynek pieniężny; z Tow. popierania przemysłu i handlu; sprawa handlu ze wschodem; spółki zarobkowe; szkoły fachowe.

Rzuciwszy okiem na stosunki polityczne państw europejskich i spojrzawszy na ich położenie wzajemne, możnaby przyjść do przekonania, że żyjemy w chwili tak serdecznego zaufania mocarstw do siebie, iż nie ma sposobu objawić go dotykałniej, jak, uzbrowwszy się od stóp do głów, czuwać nad tem, żeby jaka przypadkowa katastrofa nie zamąciła tego najserdeczniejszego spokoju. Rosnące budżety wojenne, przy zaniedbaniu innych gałęzi obowiązków publicznych, udoskonalanie środków i narzędzi morderczych, organizowanie jak najszersze

szęj gotowości obrony w „pospolitém ruszeniu,” wszystko to ma służyć do urzeczywistnienia idei: „si vis pacem, para bellum.” Wzburzone na półwyspie bałkańskim interesa, kryjące się w nierozwiązanej kwestyi wschodniej, nie mniej i gwałtowne poruszenia socjalistyczne wśród mordu i pożogi na zachodzie, nakazują czujność tym, którzy, przekształcając państwo na opiekuna i gospodarza wszechwładnego w najdrobniejszych interesach prywatnych, wzięli na siebie z pobudek filantropijnych i oportunistycznych obowiązki urzeczywistnienia doktryn, które uprawiają w niezwykły ruch wszelkie elementarne siły społeczeństw europejskich.

Ogólna nieufność ubiera się przy tém wszystkiém w maskę ufności jak najserdeczniejszej. Cóż więc dziwnego, że w obec biedy i trwogi ekonomicznej, przy naprężonych stosunkach politycznych, zatrutowanych co dzień przez pożądliwość namiętności narodowych, że, mówię, w obec takich konstelacyi narody żyją pod strachem nieprzewidzianej jakiegóś katastrofy.

W chwili, gdy Napoleon III-ci wprowadzał do prawa międzynarodowego ideę narodowości, jako pierwiastek orzeźwiający i krzepiący aspiracye narodowe, nie przewidywał nikt, że państwa najpotężniejsze pod względem militarnym ukręcą z tego materiału bicz do smagania swobody ruchów indywidualności drobniejszych, że znajdują w tym arsenale środki jak najskuteczniejsze tępienia narodowości, fizycznie słabszych przez militarnie mocniejsze. Zepchnąwszy bowiem idee narodowości do znaczenia rasy, jedności plemienia, obudzono w masach, zorganizowanych w danęj chwili najlepiej pod względem państwowym i militarnym, instynkta dzikie, które szukają dobra i powodzenia swego w wytępieniu innych indywidualności słabszych, z któremi je powiązał łańcuch wypadków dziejowych.

Nie możemy na tém miejscu rozprawiać w sposób wyczerpujący o stosunku indywidualności narodowych do idei państwa nowożytnego, nie zamierzamy też rozbierać momentów, które składają się na wytworzenie téj wielkiej potęgi politycznej, jaką w ręku państwa zaborczego stanowi idea narodowości, ponieważ pojęcie to nie jest jeszcze dokładnie sformułowane. Momenta, które się kryją, w pojęciu *narodowości* nie są dokładnie skryształizowane, ale znajdują się dopiero w chwili rozwoju,—rosną jeszcze—i nie można wiedzieć, co majstrowie gwałtownej dzisiejszój etnografii z nich raczą zrobić, jakie pęta z nich ukują.

Koniec wieku XVIII-go obruszył się przeciwko nadużyciom przywilejów stanu i podeptał je, nie oszczędzając nawet korony, jako stanu uprzywilejowanego. W miejsce wywróconych dawniejszych potęg uprzywilejowanych, postawiono nową abstrakcyą uprzywilejowaną w idei państwa wszechwładnego, które wciskając się wszędzie ze swoją opieką i gospodarką, obraża często prawa oraz interesa prywatne i narodowe, przygotowując reakcyą gwałtowniejszą może jeszcze od powyżej

wzmiankowanój,— reakcją, która nie waha się już obnosić po całym świecie teoryi, podkopujących kościół, państwo, rodzinę, bezpieczeństwo własności, zwyczaje i obyczaje.

W obec namiętnych, żadną potrzebą nie wywołanych pokuszeń księcia Bismarcka, w celu wytopienia narodu polskiego dla samolubstwa państwa niemieckiego nie będzie bez korzyści dla społeczeństwa polskiego, gdy sobie przypomni warunki, wśród których nakazuje mu nauka stać wytrwale w obronie tych skarbów rodzinnych, których żaden naród wyrzec się nie może.

Narodowości nie można uważać za pojęcie jednoznaczne z państwem. Ani państwo nie jest w stanie uwięzić narodowości w uwidzia- nych przez siebie granicach, ani też narodowość nie jest często w stanie wypełnić obszernych granic władania państwowego. Istota narodowości a istota państwa nie są pojęciami, któreby się dokładnie pokrywały, któreby do siebie dokładnie przystawały na sposób np. dwóch kątów równoramiennych: *non congruunt*. Jedno państwo może okrywać berłem swoim kilka narodowości, czego dowodzi wiele państw europejskich; narodowość zaś nie w każdym stopniu swego rozwoju zdolną jest spełniać godnie i z pożytkiem dla ludzkości władzę państwa. Narodowość nie zawiera się w granicach jednego plemienia, ani w warunkach jednej krwi, ani w sferze jednego języka i jedne- go wyznania kościelnego; bo narodowość mająca znaczenie polity- czne, jest dziełem wytworzonem przez koleje, które pewne gromady populacyi w pewnych granicach terytoryalnych zamieszkałe, przecho- dziły; narodowość jest wynikiem i rezultatem organicznego rozwoju historycznego ludów; narodowość jest wyrazem zewnętrznym tej spo- łeczności, której siły żywotne i potęgę polityczną składają, obok wska- zanych powyżej momentów antropologicznych i etnograficznych, wspól- ne losy dziejowe, pamięć wspólnego szczęścia i nieszczęścia, nadziei i trwogi, wspólnego wesela i cierpień wspólnych. „Twórcą narodo- wości jest zatem czas; pierwiastkami zaś składowemi i pomocniczemi, z których wyrabia się pod wpływem dziejów potężny organizm naro- dowości, są: jedność języka, religii, pochodzenia, przyrodzonych wła- sności kraju pod względem topograficznym, klimatycznym i geografi- cznym. Rozwój organiczny tych elementarnych potęg narodowości wpływa też stanowczo na organizacją zewnętrzną tego ustroju poli- tycznego, który państwem nazywamy.

„Politycy dzisiejsi, pod wpływem bałwochwalstwa dla wszech- władzy państwa, jakie rewolucya francuzka z nienawiści do przywile- jów stanu ulegalizowała, widzą tylko ten ustrój zewnętrzny, a mało zwracają uwagi na owe znamiona i siły wewnętrzne, duchowe, głębo- ko w duszy ludności wyciśnięte jak: język macierzyński przy zwycza- jach i obyczajach swojskich, — religia i ziemia ojczysta, tradycye przodków i pamięć ich wielkich czynów—nie mniej pomniki przeszłej i teraźniejszej wielkości, właściwy kierunek oświaty, literatury i sztuki — a nadewszystko znajomość, cześć i miłość tych wszystkich rzeczy

jako swoich, ze sobą od wieków zrosniętych. To duchowe znamię nadaje narodowi jego indywidualność psychologiczną, wyróżniającą go od innych narodów. Był polityczny narodu, jako ciało zależne od warunków zewnętrznych, może się zachwiać, a nawet chwilowo uleść, wskutek zmiany tych warunków; ale narodowość jako potęga duchowa nie ginie z upadkiem państwa; ona pozostaje i spełnia dalej swe zadanie w ogólnym rozwoju ludzkości. Zadanie to spełniać powinna nawet w obcym państwie, do którego przyłączoną została, żyjąc jako zdrowy i pożyteczny dla całości członek—byle znalazła warunki życia narodowego, których potrzebuje w tym stopniu jak roślina potrzebuje do swojego rozwoju ciepła, światła i powietrza. Gdzie zaś jej tego żywiołu odmówią, tam wegetować będzie wiekami, zarażając w nieuleczonym bólu nawet organizm, z którym ją gwałtem spojono (Irlandya). Uważając narodowość jako utwór i rezultat rozwoju dziejowego ludności nawet różnoplemienną, ale zamieszkałą w pewnych naturalnych lub w trakcie dziejów ustalonych granicach, musimy temu utworowi przyznać opiekę praw wrodzonych i nabytych, musimy w stosunku do ludzkości uważać nie tylko za najświętszy obowiązek, ale i za prawo moralne każdej takiej jednostki dziejowej, gdy ona stara się wszelkimi godziwymi sposobami zachować te charakterystyczne znamiona, stanowiące jej przyrodzoną rację bytu. Każdy człowiek ma przyrodzone prawo do życia w kraju, w którym się urodził, do mówienia własną mową, do pielęgnowania zwyczajów i obyczajów rodzinnych, do sprawowania w kraju tych stanowisk publicznych, do których posiada uzdolnienie, słowem: ma prawo czynienia wszystkiego co się nie sprzeciwia równym prawom bliźnich. Gdy obok tego przychodzi jeszcze uznane przez cywilizację dzisiejszą prawo własności, zadokumentowane przez wielowiekowe posiadanie puścizny po ojcach, zrosnięcie się duchowe z kawałkiem ziemi rodzinnej, wtenczas prawa wyżej wskazane muszą być dla każdego człowieka nieskończenie droższe; ale też i świętsze i nietykalniejsze w obec zakonu przyrodzonego. Jakkolwiek bowiem prawa pisane zdolne są zawarować tylko dziedzictwo materialne, to prawo natury, wypisane na sercach ludzkich, w równą a nawet w trwalszą miarę uświęca i legalizuje posiadanie oraz wszelkie dziedzictwo duchowe. Zadanie państwa ograniczone jest w tej sprawie tylko do tego, aby prawo wszystkich obywateli ramieniem swoim osłaniało i równowagi ich podług sprawiedliwości strzegło, nie kępując w niczym rozwoju organicznego tych potęg dziejowych. Państwo zatem, które, zapominając o swoim zadaniu, chce samo sobie być celem, które według przemagających w daną chwilę doktryn, nie waha się wkraczać w sferę praw prywatnych, które, przekraczając swoje atrybucje moralne i polityczne, chce gwałtem przetworzyć wszystkich obywateli na jedną modłę, dopasowując ich duszę i ciało do swoich zamiarów zaborszych, które druzgocąc w tej robocie mechanicznej uczucia i prawa jednostek, nawet tak drogie jak narodowe i tak święte jak religijne—takie państwo wywraca

przyrodzony porządek rzeczy, popełnia bezprawie olbrzymie i nieustające, w którym się tyle krzywd i bólów mieści, że je Bóg jeden policzy." (Zob. X. M. Morawski: „Chryścjanizm i narodowość.“ w Przegl. powsz. 1886 r. zesz. marzec, str. I-- VIII. Porównaj Rob. Mohl: Encyklop. d. Staatswissenschaften, Tübing. 1859, str 576—582 i. dr. Bluntschli: Allgemeines Staatsrecht. München 1857, t. I, str. 73—77).

Dzisiejsi politycy pruscy nie uznają tych zasad, dla tego nie wahają się pomiatać prawami natury. Czy rozwój dziejowy pozostawi bezkarnie taki gwałt, wyrządzony ludzkości przez siłę brutalną — o tém nie może być wątpliwości.

Tymczasem prusaczyna kroczy na drodze obranej. Wnioski rządowe, skierowane przeciwko narodowości polskiej, przeszły już wszystkie formalności potrzebne do nadania formy postanowienia sejmowego temu aktowi przemocy!

Sprawa ugody kościelno-politycznej została wreszcie ostatecznie załatwioną przy pomocy pośrednictwa biskupa Fuldy, ks. Koppa, będącego jak się zdaje, tłumaczem zapatrywania się kuryi rzymskiej na tę kwestyą. Przy tém wszystkiém dobrodziejstwo téj zgody nie dosięgnie prowincyi polskich, bo dla W. ks. Poznańskiego i Prus zastrzegają się przepisy wyjątkowe!

Rząd pruski, ścigając narodowość polską w każdym kierunku pracy publicznej i prywatnej wyjątkowemi, upośledzającemi ją przepisami, zrzeka się téj najcelniejszej podpory, jaką znajduje każde państwo w sile indywidualności różnych narodów, wchodzących w skład jego! Pozornie rzeczy sądząc, mogłoby się zdawać, że prusaczyna znajduje się w téj kwestyi dzisiaj na stanowisku tych naszych politykujących poetów z 3, 4, i 5-go dziesiątka wieku 19-go, którzy, uważając narodowość za rzecz, której nie jesteśmy w stanie objąć ani się jój dotknąć, ale tylko czuć ją możemy—nie wahali się poświęcać jój najżywoźniejszych interesów materialnych i duchowych—dla mamideł jak najbardziej zwodniczych, dla doktryn urojonych lub dla fantazyi niedouczonej dyplomatów.

I w Izbie panów pruskiej pokutują jeszcze podobne halucynacyjne politycznego kuglarstwa.

Odwróciwszy oko nasze od tego smutnego wizerunku położenia naszego, potracić przedewszystkiém musimy o zjawisko nieco weselsze i pod wieloma względami pożyteczne, za jakie uważamy odczyty duńczyka Brandesa „O poezyi polskiej XIX-go wieku,“ i ziomka naszego Leopolda Janikowskiego: „Z podróży po Afryce.“ Kronika „Bibl. Warsz.“ rozporządza atoli zanadto ciasnymi ramami, abyśmy mogli kusić się o rozbiór choćby najtreściwszy przedmiotów tak wielkiej doniosłości społecznej i naukowej: zadaniu temu sprostałby tylko mogło studyum specjalne, a sprawozdanie z samej treści prelekcyi



po tém, co już opowiedziały pisma codzienne w chwili najodpowiedniejszej nie przyniosłoby pożądanéj korzyści.

Wystąpienie głośnego krytyka duńskiego, nieznanego naszego języka, z odcytem o arcydziełach poezji naszej nasuwało pewne wątpliwości, czy uczony prelegent, reprezentujący kierunek realistyczno-pozytywny w dziełach swoich, potrafi dokładnie ocenić przedmioty artystyczne i duchowe poezji naszej w wieku bieżącym. Metoda porównawcza uczonego krytyka zawiodła atoli wielu krótkowidzów literackich; bo p. Brandes potrafił dosyć szczęśliwie wniknąć w ducha epoki i tych kierunków myśli i uczuć, któremi społeczeństwo polskie żyło przez kilka dziesiątków lat naszego wieku; jakkolwiek niektóre szczegóły sprostowaćby należało. Ponieważ odczyt ten mamy już w całości wydrukowany w odcinku „Gazety Polskiej,“ przeto szczegółowy rozbiór tego ciekawego studyum nie byłby bez korzyści dla badaczy nowszej literatury naszej.

Cztery odczyty Leopolda Janikowskiego „Z podróży po Afryce“ nie przedstawiały rezultatów naukowych téj wyprawy polskiej na wybrzeż Afryki zachodniej i do gór kameruńskich, któreby na ogół umięjętności geografii stanowezy wpływ wyrzucić mogły, ale były raczej powabną, bezpretensjonalną opowieścią przygód i kolei, jakie podróżnicy nasi w wyprawie do Afryki przechodzili. Obok tego opowiadał p. Janikowski o wielu faktach i spostrzeżeniach, które rzucają pewne światło na stosunki etnograficzne okolic kameruńskich, na zwyczaje i obyczaje ludów tamtejszych, a to wszystko z taką skromnością, że go żaden słuchacz o przesadę nie posądzi, a relacya jego, którą zapewne pisma drukować nie omieszkają, nie spotka się z tak poważnemi zarzutami, jakie przywalały głośne dzieło Stanleya pod tyt. „The Congo and the Founding of its Free State,“ 1885, t. 2. (cf. S. Ruge w „Deutsche Litteratur Zeitung.“ Berlin 1835, nr. 5).

W Akademii umięjętności w Krakowie odbyło się dnia 20 marca posiedzenie Wydz. matem. przyrodn. pod przewodnictwem dyrektora d-ra Teichmana. Sekretarz dr. Kuczyński przedstawił rozprawę prof. Frankego pod tytułem: „O kręceniu się ciała stałego około punktu,“ i odczytał nadesłaną przez autora treść téj rozprawy. Sekretarz przedstawił pracę pod tytułem: „Rosae a C. D. Dre Wołoszczak in agro Leopolitano anno 1885, lectae auctore H. Braun,“ i rozprawę p. S. Dicksteina: „O twierdzeniu Crocchi'ego.“ P. Gotfryd Ossowski przedłożył i odczytał rozprawę: „O Wołynicie,“ objaśniając rzecz okazami. Prof. dr. Szajnocha przedstawił fotografie ryb kopalnych z Monte Bolca. Rozprawy pp. Brauna, Dicksteina i Osowskiego oddano członkom Wydziału do sprawozdania na najbliższém posiedzeniu, rozprawę zaś prof. Frankego odesłano do komitetu wydawniczego tudzież postanowiono ogłosić po raz trzeci konkurs do nagrody

z funduszu d-ra Kretkowskiego, za rozwiązanie zadania z Algebry, gdyż dwa pierwsze terminy upłynęły bez skutku.

Dnia 31 marca, odbyło się pod przewodnictwem d-ra Estreichera zwyczajne posiedzenie Wydziału filologicznego, na którym prof. Morawski odczytał referat o rozprawie p. M. Kawczyńskiego, p. t.: „Studia Romańskie: I. Romański wokalizm,“ polecił ją wydziałowi. Następnie sekretarz złożył pracę p. J. Hanusza p. t.: „O języku ormian polskich: I. Wyrazy zebrane w Kutach nad Czeremoszem.“ Wydział uchwalił obie wymienione prace ogłosić w swych wydaniach.

Na posiedzeniu administracyjnym, Wydział wybrał dwóch delegatów prof. Tarnowskiego i Malinowskiego do komisji, która na żądanie Wydziału krajowego, ma wydać opinię w sprawie dwu języków wykładowych w szkołach Galicyi wschodniej. Odezwe c. k. komisji centralnej dla zachowania zabytków sztuki i pamiątek historycznych, prosząc Akademię o udzielenie klisz podobizn zabytków do zamierzonego przez c. k. komisję atlasu, wydział odstąpił do załatwienia komisji historii sztuki. Z prac nadesłanych na konkurs z fundacji ś. p. Kaspra Bieleckiego, wydział zgodnie z wnioskiem referenta, pierwszą nagrodę przyznał autorowi rozprawy na temat zadany, p. t.: „Stosunki Stefana Batorego z humanistami zagranicznymi; drugą nagrodę autorowi rozprawy na temat dowolny, p. t.: „Wzajemne stosunki i sądy o sobie Mickiewicza i Krasńskiego.“ Po otworzeniu kopert okazało się, że autorem 1-jej pracy jest Ignacy Meyer, 2-jej zaś Jan Michał Rozwadowski, obaj słuchacze 1-go kursu Wydz. filoz. Uniw. Jag.

Dyrekcya zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie postanowiła w miejsce dotychczasowych premii, wydawać album z reprodukcji prac artystów polskich. Album na rok bieżący w okładce artystycznej, złożone będzie z pięciu tablic, z których jedna kolorowa (chromolitografia). Dla uzyskania potrzebnych tablic, ogłasza się konkurs na następujących warunkach: 1) Przedmiot i rodzaj tablic dowolny. 2) Rysunek lub akwarella ma być zupełnie wykonczona. 3) Wielkość rysunku nie mniejsza niż 25 × 31 centymetrów; akwarelli zaś należy ściśle przestrzegać 21 × 29 centymetrów. 4) Rysunek do karty tytułowej (okładka) ma być w jednym lub dwóch tonach bez napisów;—przedmiot ma jasno tłumaczyć cel i charakter albumu. 5) Termin do nadesłania prac konkursowych naznacza się na 15 maja r. b. do godziny 4-jej po południu. Prace nadesłane po tym terminie, bezwarunkowo nie będą przyjęte do konkursu. 6) Nagrody za najlepsze prace, uznane za kwalifikujące się do albumu i przyjęte przez sędziów konkursu są następujące: za akwarellę a. w. zhr. 300 za rysunek I-szy a. w. zhr. 250, za rysunek II-gi a. w. zhr. 150 za okładkę a. w. zhr. 250. Prace nagrodzone stają się własnością Towarzystwa wraz z prawem reprodukcji. 7) Przesyłka na koszt i pod adresem Towarzystwa: Kraków, Sukiennice.

Ks. Apolinary Knothe z Sandomierza donosi „Przeglądowi Katolickiemu“ o odkrytym przez siebie wielkim, półczwarta łokcia wysokim portrecie jednego z królów w przedsionku katedry sandomierskiej. Portret malowany na drzewie, na jednolitej grubiej desce lipowej, na pokładzie gipsowym, według domysłów ks. Knothe jest portretem zwycięzcy z pod Grunwaldu, jednego z dobrodziejów tej wspańskiej świątyni. Portret wisiał w przedsionku katedry w kącie, od strony północnej, przy zbiegu dwóch ścian, zasłonięty nieco statua wysoką Matki Boskiej i dla tego niczyj jej nie zwracał dotychczas uwagi. Do wniosku, że to portret Jagiełły, doszedł ks. Knothe z wiadomości, iż Jagiełło był jednym z największych dobrodziejów tej świątyni i porównania portretu z opisem postaci króla i jego rysów, jaki znajdujemy u Długosza. O starożytności dzieła można wnosić tylko z jego cech zewnętrznych, żadnego bowiem napisu ani daty ks. Knothe nie znalazł.

W dniu 20, 21 i 22-im kwietnia odbył się w Krakowie zjazd członków Towarzystwa nauczycieli szkół średnich, na którym rozbie-rano kwestye nader ważne w obec wymagań dzisiejszej nauki pedagogii, mianowicie: dr. German przedstawił w obszernym wywodzie kwestyą co do nadmiernego obarczania pracą uczniów szkół średnich, i przyszedł do wniosków następujących: 1) Plan nauki, obowiązujący w szkołach średnich, należycie wykonany, nie może być źródłem istotnego obarczenia młodzieży; 2) objawy obarczenia dają się stwierdzić tylko sporadycznie i mają źródło: a) w niedostatecznym przygotowaniu znacznej części młodzieży na wszystkich stopniach nauki, b) w niezawsze harmonijnem traktowaniu wszystkich przedmiotów nauki przez nauczycieli jednej klasy.

Nad wnioskami temi rozwinęła się obszerna dyskusya, po której wyczerpaniu przyjęto tezy referenta z tym dodatkiem, iż objawy obarczenia mają także źródło w braku należytej harmonii między intelektualnem a fizycznem wychowaniem.

Prof. Leopold Świcz przemawiał w sprawie umundurowania młodzieży szkolnej, dowodząc, że środek ten przyczyni się do obudzenia większego zmysłu porządku i większej karności szkolnej, podtrzyma ducha wspólności, ściętni węzły koleżeństwa, zatrze różnicę stanów i ułatwi kontrolę nad uczniami zarówno władzy szkolnej, jak nadzorowi domowemu. Po ożywionej nader dyskusyi wniosek referenta przyjęto 75-iu głosami przeciw 43-ym. Prof. Harwot rozbie-rał kwestyą uregulowania stosunków służbowych nauczycieli szkół średnich, które znajdują się w tak anormalnem położeniu w obec położenia materialnego i urzędniczego stanu nauczycielskiego w reszcie Europy, że mają prawo domagać się reformy jak najgruntowniejszej. Dr. Bandrowski przedstawiał wnioski wydziału w sprawie szkół przemysłowych, które po dłuższej dyskusyi uchwalono w następującej redakcyi: 1) Pożądaną jest, aby kraj pokrył się rozległą siecią

niższych szkół przemysłowych wszelkiego rodzaju, a mianowicie: *a*) aby w kilku miejscowościach, najwybitniejszych pod względem przemysłu urządzono szkoły majstrów; *b*) aby w miastach, posiadających żywszy ruch rzemieślniczy powstawały ogólne szkoły rzemieślnicze; *c*) aby w każdej miejscowości przemysłowej zaprowadzono naukę uzupełniającą dla czeladzi przemysłowej; *d*) poleca się wydziałowi, aby się postarał o wygotowanie jednolitego planu naukowego, obowiązującego wszystkie w kraju istniejące szkoły przemysłowe najniższej kategorii. 2) Przed zupełnym zorganizowaniem i rozwinięciem wyższych szkół przemysłowych we Lwowie i Krakowie nie jest pożądanem zakładanie nowych szkół tego rodzaju. 3) Pożądanem jest: *a*) aby zarząd szkół przemysłowych w Galicyi był jeden; *b*) aby w skład krajowej komisji dla spraw i szkół przemysłowych wszedł pedagog, obeznany z potrzebami szkół przemysłowych i przemysłu krajowego; *c*) aby inspekcją krajowych szkół przemysłowych powierzono pedagogom, obeznanym z istotą tychże szkół. 4) Pożądanem jest, aby w obu wyższych szkołach przemysłowych urządzono kursa pedagogiczne dla kandydatów na nauczycieli szkół niższych przemysłowych, jak to się dzieje za granicą.

W dalszej dyskusji przyjęto wnioski d-ra Samolewicza, oświadczającego się przeciw pomnożeniu liczby godzin dla języka polskiego, odsyłając równocześnie wnioski referenta co do rozkładu przedmiotu nauki języka i literatury polskiej w klasach wyższych do wydziału z poleceniem ułożenia instrukcyi do nauki języka, którą po zasięgnięciu opinii kół nauczycielskich powinien przedstawić radzie szkolnej do rozbioru i decyzji.

Następnie przedstawił prof. Harwot wnioski swoje, odnoszące się do wewnętrznej organizacyi stanu nauczycielskiego, a zawierające następujące postulata: *a*) mają być zaprowadzone częściowe egzamina nauczycielskie z filozofii po 1-ym i 4-ym roku; *b*) kandydaci powinni odbierać w uniwersytecie gruntowne wykształcenie pedagogiczno-dydaktyczne przed objęciem obowiązków nauczycielskich. W rozprawach, jakie się w téj sprawie odezwały, przestrzegał prof. Straszewski przed zbytnią rutyną i przed narzucaniem wszystkim nauczycielom jednej metody, bo nie należy zabijać indywidualizmu i samodzielności nauczyciela <sup>1)</sup>. Natomiast domagał się prof. Straszewski od nauczycieli szkół średnich gruntownego i wszechstronnego wykształcenia filozoficznego, aby nauczyciel, chociaż jest rzecznikiem

<sup>1)</sup> W relacyi téj zschodzi pewna niejasność pojęć, bo metoda wypróbowana doświadczeniem i na nauce pedagogii oparta nie stanowi bynajmniej więzów mechanicznych, któreby indywidualność nauczyciela w czémkolwiek krępować mogły: owszem na szerokiej podstawie naukowej jest dosyć swobody dla pedagoga obeznanego z metodologią szkoły; ale nie ma żadnego pola dla improwizacyi nieudolnych nauczycieli, którzy swoje widzimisię prawomby mieć chcieli.

Red.

tój lub owój szkoły filozoficznej, „potrafił ogarnąć rzeczy w pewnym widoku ogólnym.“ (Śniadecki), ponieważ w szkole potrzebnym jest harmonijne współdziałanie sił nauczycielskich i jeden i ten sam pogląd filozoficzny na rzeczy. — Pogląd p. Str. mieści w sobie opinie, przekraczające zakres pedagogiki praktycznej.

Prof. Smolka zwrócił też uwagę zgromadzenia na niebezpieczeństwo, jakim podobne pojmowanie zadania filozofii groziłoby nauce filozofii w uniwersytecie, gdyż przy takim ideale nauki filozofii zepchniętoby wydział filozoficzny uniwersytetu na stanowisko szkoły fachowej, powołanej wyłącznie do kształcenia nauczycieli szkół średnich.

Ostatecznie przekazano pierwszy wniosek prof. Harwota wydziałowi do zbadania; co do drugiego zaś, to ten przyjęto z poprawką prof. Straszewskiego, iż koło nauczycieli uznaje konieczną potrzebę gruntowniejszego i ogólniejszego wykształcenia filozoficznego kandydatów nauczycielskich oraz łączącą się z tem potrzebę pomnożenia katedr filozofii w uniwersytecie.

Po załatwieniu zwykłych formalności porządkowych, zjazd nauczycieli szkół średnich zamknięty został po trzechdniowych ożywionych dyskusjach nad sprawami obchodzącymi w wysokim stopniu stan nauczycielski w Galicyi.

Na jednem z posiedzeń wydziału historycznego Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, miał odczyt prof. wszechnicy lwowskiej dr. Ćwikliński „o najnowszych wykopaliskach Schliemanna,“ którego treść zawiera się, według relacji naszego sprawozdawcy, w osnowie następującej:

Schliemann rozwinął działalność swoją w dwóch terytoryach: przedewszystkiem w Trojadzie i Argolidzie. Do sławnej krainy trojańskiej przedsięwziął Schl. siedm wypraw, uwiecznionych pomyślnym skutkiem. W argolskiej zaś ziemi wykonał Schliemann, otoczony liczną drużyną robotników, pierwsze poszukiwania w ziemie r. 1876/77.

Obszar argolski, położony w Peloponezie, rozpada się na trzy części, z których jedna jest właściwą Argeią, równiną 3—4 mil szeroką i równie długą, przerznąętą niemal w środku przez rzekę Inachos. W tej płaszczyźnie, wznosząc się powoli ku północy, istniały w najdawniejszych wiekach starożytnej ery miasta Nauplia, Tiryns, Argos, Mykenai, Mideia. Właściwe centrum tej równiny pod względem geograficznym i militarnym tworzy miasto Argos, czyli raczej akropolia jej, stożkowata góra Larisa, pozycya rozległa i nadzwyczaj silna, dominująca nad całą równiną. Podanie sadowi też na tę wyżynę pierwszą osadę Pelasgów, siedzibę mitycznych królów Phoroneusa i Danaosa. Jak w obec tej warowni powstać mogły inne silne warownie, mianowicie Tiryns i Mykenai — było do niedawna zagadką; pozycye ich są bowiem niekorzystne i nie mogą uchodzić za pozycye siły obronnej obszaru Argei. Zagadkę tę rozwiązał przy pomocy archeologów kapitan generalnego sztabu pruskiego, Steffen, i wytłómaczył ją

w komentarzu, dodanym do znakomitych kart mykeńskich, które na podstawie dokładnych pomiarów sam wykonał i kosztem archeologicznego niemieckiego instytutu przed kilku laty ogłosił. Wojowniczy jakiś szczerp żeglarczy osiedlił się w porcie Nauplii; ztąd posuwał się powoli naprzód. Najpierw zajął jeden z najbliższych pagórków i przemienił go na miejsce zbrojne; później nieco założono Mykenai i Mideia, epokę tę reprezentuje mityczna dynastia Perseidów. Pelopidzi, którzy z dzielną drużyną od północy, od Isthmosu korynckiego posuwali się ku południowi, przeobrazili Mykenai w wielką warownią, zabezpieczyli ją przeciwko północy przez wysunięte w tym kierunku forty i przemienili ją zarazem na pozycją obronną przeciwko południowi. W tej epoce były Mikenai punktem środkowym potężnego państwa.

W roku 1876/77 zajął się Schliemann wyłącznie niemal odkopaniem dolnej akropolii mykeńskiej i oczyszczeniem jednego z wspinających sześciu kopulistych grobowców, znajdujących się poza obrębem warowni na terytorjum dawnego miasta Mykenai. Rezultat tych kilkumiesięcznych prac, które następnie kontynuowało archeologiczne towarzystwo ateńskie, przewyższył wszelkie oczekiwania. Wydobyte z gruzów przedmioty ze złota, srebra i innych metalów, wyroby z gliny, mianowicie niepomierne ilości waz i naczyń z terracotty ujawniły odrębną kulturę, której okazy znaleziono następnie i w różnych innych miejscowościach Grecyi i Azji. Kulturę tę ochrzczono mianem kultury mykeńskiej.

W następnych latach zajęty był Schliemann archeologicznemi badaniami w Orchomenos w Beocyi i w Troadzie, oraz publikacją dzieł swoich. Dopiero na wiosnę r. 1884 powrócił do Argolidy. Tą razą przeniósł swoją działalność na wyżynę Tiryntu. Prace rozpoczęte w r. 1884 kontynuował na wiosnę r. 1885, dzielnie poparty przez kilku archeologów, mianowicie przez dr. Dörpfelda, któremu powierzył techniczne kierownictwo robót. O rezultacie tych badań mówił Schliemann na zebraniach archeologów niemieckich w Wrocławiu w sierpniu r. 1884 i w Karlsruhe w r. 1885; w ostatnich zaś tygodniach roku 1885-go pojawiła się obszerna publikacja, która zdaje szczegółowo sprawę z przebiegu i wyniku poszukiwań dotychczasowych. Nader cennym dodatkiem do właściwego dzieła jest wstęp tajnego radcy Adlera, zawierający zarys historii najdawniejszego budownictwa na ziemiach Grecyi.

Nie możemy w tej chwili powtórzyć szczegółowego opisu położenia murów warowni tiryneckiej, który podał dr. Œwikliński w swym wykładzie, ale wspominamy tylko w ogóle o osnowie tej ciekawej relacji. W obrębie górnej części fortecy odkrył Schliemann znaczne szczątki pałacu książęcego. Jest to pałac dosyć rozległy, w którym dwa przedewszystkiem oddziały wyraźnie się uwidatniają: wielka sala króla t. zw. „megaron“ wraz z przedpokojem, i mniejsza sala niewieścia; obie przytykają do dziedzińców, otoczonych kurytarzami i poko-

jami. Obok „megaronu“ króla odkryto łazienkę, której posadzka składała się z jednego odtamu kamienia breccia, ważącego 20,000 kilgr. W bliskości łazienki znajdowały się komnaty sypialne dla królewskiej rodziny, izby przeznaczone dla służby, spiżarnie i t. d. Budynek cały odznacza się dobrym rozkładem. Nie brak w nim było idealnego centrum, przy którym władzca, otoczony gerontami, czynił ofiary bogom i załatwiał sprawy swego królestwa. Centrum tem jest ołtarz Zeusa (Jowisza) „Herkeios“, zbudowany w kształcie dołu ofiarnego.

Architektom, którzy pałac budowali, wystawia to dzieło dobre świadectwo. Główne komnaty są łatwo przystępne i w odpowiedni sposób ugrupowane w około otwartych dziedzińców. Fundamenta pałacu stanowią wielkie bryły kamienne, połączone ze sobą bez cementu; mury wyższe aż do 1 metra wysokości składają mniejsze kamienie, zespolone gliną, następnie cegły suszone na słońcu.

Najwięcej bodaj rozgłosu przysporzą odkryciom w Tirynsie nalezione tamże liczne szczątki malatur, wykonanych al fresco na ścianach pałacu. W jednej komnacie znaleziono resztki malatury jeszcze na samej ścianie; w innych pokojach leżały kawałki bezładnie w gruzie, a ten gruz właśnie uchronił je od zupełnego zniszczenia, gdyż tym sposobem nie mogła się woda łatwo do nich przedostać. Malatury nie zakrywały całych ścian. Przyozdabiano raczej tylko cokuł dolny, a może i fryz górny. W sali, w której się malatury przechowały in situ, oddzielony jest cokuł dolny 60 centymetrów wysokości mający; ten jest przystrojony malaturami, a zakończają go w górze żółta wstążka z czerwonymi kreskami poprzecznymi i niebieska z czarnymi kreskami poprzecznymi.

W Tirynsie zatem napotykamy już ten sam rodzaj dekoracji ściennych, który w tak świetnych okazach ujawnia się w domostwach pompejańskich. Malatury tiryńskie przedstawiają różne ornamenta linijne, między niemi motywa, które do dzisiejszego dnia znajdują zastosowanie jako motywa tapet. Na dużych kawałkach ukazują się zwierzęta. Najciekawszy zaś fragment przedstawia buhaja w profilu, pędzącego w szalonym biegu; na jego grzbiecie kłęczy jakiś mężczyzna, widocznie poskramiacz byka, który się produkuje ze swoją zręcznością w wskakiwaniu na grzbiet zwierzęcia.

Poszukiwania Schliemanna w Tirynsie wzbogaciły nadto archeologią obfitym zasobem naczyń i wyrobów z gliny. Należą one w przeważnej części do klasy naczyń, którą archeologowie nazywają mykejską lub naturalistyczną. W mniej znacznej liczbie reprezentowane są naczynia z dekoracją t. zw. geometryczną, opierającą się na kombinacji linii. Natomiast niemal zupełnie brak w Tirynsie naczyń późniejszego pochodzenia wyrobów prawdziwie greckiej ceramiki.

Nie możemy zapuszczać się tutaj w rozbiór kwestyi spornej co do tego, kiedy Tiryns został zburzonym. Prelegent dowodził, że miasto straciło samodzielność polityczną niezawodnie już na początku pierwszego tysiąclecia przed narodzeniem Chrystusa, wskutek zajęcia

Argolidy przez doryczyków w czasie gminoruchów greckich, że w wieku VII-ym zapewne, za czasów tyrana Pheidona ożywił się znowu nieco ruch na wyżynie tiryńskiej, że jednak argolijczycy, skoro wzrosli na siłach, stłumili to życie choć skromne i zmusili mieszkańców Tirynsu i Myken do upuszczenia swych siedzib.

W końcu zastanawiał się dr. Ówikliński nad pytaniem, kogo uważać możemy za twórcę warowni, grobowców i pałacu w Mykenach i w Tirynsie, i w jakim stosunku pozostaje kultura mykeńska do kultury, reprezentowanej przez pieśni Homera. Prelegent uważa za pewnik ten wniosek, że kultura mykeńska jest starszą od Homerowskiej i sięga II-go tysiąclecia przed erą chrześcijańską. Dowodu jednak pewnego na to nie ma. Że fenicyanie wywarli wpływ na nią, nie ulega wątpliwości; sztuka mykeńska styka się również pod niejednym względem z sztuką egipską i górnoazjatycką. Z drugiej atoli strony mają wyroby i budowle mykeńskie i tiryńskie odrębny swój charakter. W pomnikach tych upatrywać musimy świadomy wyraz starogreckiego ducha, który zetknawszy się z elementami przybyłymi z drugiej strony morza, już tak wcześnie stworzył pomniki zdolne podziw wzbudzić u nowożytnych narodów.

Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, sekretarz zarządu, hr. Engeström, zawiadomił, że w tym roku wyjdzie VII-my tom „Roczników Towarzystwa,“ i że odpowiedni materiał już przygotowany. Następnie dr. Żebliński, nawiązując rzecz do wzmianki, uczynionej na jednym z poprzednich posiedzeń przez przewodniczącego wydziału, p. Wł. Bentkowskiego, jakoby w archiwum jednego z zamków w Chinach Mugdale, znajdowały się dokumenta urzędowe i akta polskie z czasu napadu Mongołów, to jest z wieku XIII-go, oświadczają, że wedle informacyi osób, które tą sprawą się zajęły, istotnie akta podobne mają się znajdować w rzeczonym zamku, ale podjęte starania dotarcia do nich nie odniosły pożądanego skutku. Do zamku bowiem i do archiwum wzbroniony przystęp Europejczykom pod karą śmierci. Być może, że dalsze starania, które się robią, odniosą pomyślniejszy skutek. Dalej dr. Erzepki referował w imieniu komisji o sprawie spisu nazw miejscowości niezamieszkałych. Na sprawę tę, będącą w należytem rozwoju, zwracają uwagę uczeni, jako na fakt niepomiernej naukowej doniosłości. Profesor uniwersytetu berlińskiego, Brückner, pisze o niej w „Archiv für Slavische Philologie“ te słowa: „Zwykle uczeni ograniczają się na zbieraniu nazw miejscowości zamieszkałych i dodają dowody z dokumentów. Praca taka nie jest trudną, bo ją wszędzie, choćby i w Berlinie zrobić można; ale czego w Berlinie zrobić nie można, co wiele wymaga zachodów, a przez to do większej zasługi ma prawo, jest zbieranie starych, coraz bardziej się zacierających nazw miejscowości niezamieszkałych, ponieważ to można tylko na miejscu uskutecznić. Byłoby to pięknym zadaniem dla towarzystw historycznych



w Meklemburgii, na Pomorzu, w Braudenburgii i t. d., gdyby one przez członków swych przedsięwzięły odnośne poszukiwania. Polskie Towarzystwo naukowe w Poznaniu rozpoczęło zbieranie nazw miejscowości niezamieszkałych, a widzę z gazet, że otrzymuje bogate zbiory nazw tego rodzaju. Przykład taki należałoby naśladować wszędzie, zwłaszcza zaś we wschodnich Niemczech, gdzie często właśnie już tylko w nazwach miejsc zamieszkałych i niezamieszkałych zachowały się ślady zaginionych plemion.“

Według ostatniego sprawozdania za 45-ty rok swego istnienia, Towarzystwo pomocy naukowej imienia d-ra Marciukowskiego w Poznaniu wspomagało 163 stypendystów. Dochód Towarzystwa w ciągu ostatniego roku wynosił 72,088 marek 55 fen., rozchód zaś 62,321 m. 80 f. Pozostało rewanentu 9,766 m. 69 f. Z pomiędzy stypendystów Towarzystwa złożyło egzamin na nauczycieli gimnazyalnych 11, na aptekarzy 4, na chemików 2, na lekarzy 4, zaś 10 wyświęconych zostało na księży. Z pomiędzy ofiar, jakie w r. sprawozdawczym wpłynęły na rzecz Towarzystwa zaznaczyć trzeba: zapisy ś. p. Mikołaja Wirskiego z Bydgoszczy 11,000 mar. i ś. p. ks. dziekana Pałzewicza 15,000 marek.

Sporo nowości, od czasu naszej ostatniej kroniki zamieściły afisze teatralne, i gdyby o tym objawie decydowała tylko ilość... Wprowadzie nowości te, nowościami były tylko na deskach teatru, nam nie przyniosły żadnej niespodzianki: znane były częścią z druku, częścią z przedstawień na innych deskach. W każdym razie, fakt to pocieszający że na afisz coraz częściej wjeżdża nazwisko pisarza krajowego: chodzi tylko o to, aby ono tam jak najdłużej pozostawało. Tego ostatniego przywileju spodziewać się może jednoaktówka „Dzisiejsi,” dyalogowana przez p. Gawalewicza. Jest to jedna tylko, ale stanowcza scena, przeprowadzona między ponętą wdówką a młodym lekarzem, który ujęty wdziękami, a rażony kapryсами osoby światowej, radby dowiedzieć się nareszcie, czy znajdzie tam tyle przynajmniej dla siebie serca, ażeby mógł mu powierzyć szczęście całego życia. Przychodzi mu to niełatwo wobec snadź nawykłej do strategicznych manewrów pani, która raz demaskuje, to znowu osłania swoje baterie, i tą grą wykwintnej zalotności bardziej jeszcze drażni przeciwnika. Odstręcza go ironią, niewiarą w jego uczucie, a już usuwającego się przyciąga spojrzeniem, wyrazem pełnym obietnic: chciałaby tylko uwierzyć w jego miłość, a natychmiast gotowa jest serce mu na rozcięcie otworzyć. On nie cofa się przed żadną próbą, a ona wybiera taką, która mogła tylko wykryć dzieciunność jej charakteru i egoizm. Dowcipny lekarz zrećźnie zwraca tę próbę przeciwko niej samiej, i skonfundowaną zalotnicę raz na zawsze, wytrzeźwiony, opuszcza. Szybki, stopniowo podnoszący zajęcie dyalog, zmierzający do niepewnego rozwiązania, ma nadto tę zaletę, że uwydatnia w miarę psychiczne wnętrze osoby zim-

nój, zalotnej a powierzchownemi przymiotami powabnej: wszystko to w grze pani Lilde, artystki w sam raz nadającej się do tego rodzaju postaci, złożyło się na całość żywotną; kiedy jednocześnie p. Prazmowski wyzyskał co się dało, zwłaszcza przy końcu sztuki, ażeby figurze lekarza nadać cechę męzkiej stanowczości. Duet przemknął harmonijnie, i przyjemnie po sobie zostawił wrażenie.

Komu niekoniecznie chodzi na scenie o dramat, kto gotów poprzestać tylko na jego dalekiem zaznaczeniu, na domyśle, a lubi postuchać rozprawy ujętj w akcyą nie wyłączaćącą nawet podskoków, ten także z przyjemnością wystucha „Antei,” jednoaktówki Władysława Okońskiego (Aleks. Świętochowskiego), nazwanj dramatem. I istotnie, jest to dramat, dramat wielki ze względu na godność ludzką i na interes duszy ludzkiej, bo ostrze jego zwraca się w stronę jej najdotkliwszą — w swobodę i fizyologicznie najdrażliwszą, — w uczucie miłości: ale na scenie, do prawdziwego, według wymagań teatru uświęconych wiekami estetyki scenniczj, dramatu, ma się on jak nasienie do rośliny. Czyli, w zarodzie posiada on wszystko, z czego, przy stosownym gruncie i uprawie, ma powstać dramat, brakuje mu tylko jego form, rozgałęzień i barw: jaśniej mówiąc, jest to rzucona myśl dramatyczna, nad której kilkuminutowym przebiegiem cięży długa dyskusya dwóch niewolników ateńskich z wieku poperyklesowego. Obaj są to urwisy, na podobieństwo wszystkich niewolników, którzy na enocie nie mają nic do zyskania, a będąc sami uważani za rzecz, obojętnie znajdują się względem człowieka. Różnica między nimi ta, że jeden bierze poniżenie z pewną cyniczną rezygnacyą, drugi oburza się nad swym stosunkiem do ludzi wolnych, a zwłaszcza do własnego pana, którego tyranją przeklina. Na domiar, ten pan zabiera mu jedyną istotę, którą serce jego ukochało, towarzyszkę lat dziecinnych, z którą przebył najmiłsze chwile, ozłacane pieścizotami równj jemu niewolnicy, póki losy ich nie rozłączyły. Teraz widzi ją znou, wygraną w kości przez nowego pana, ale poto tylko ażeby się przekonać, że jego Antea raduje się nie z połączenia z nim, ale na widok piękności i bogactwa, którego u nóg pana ma stać się uczestniczką. Pocałunek złożony na ustach jej przez nędznego niewolnika, kosztuje go życie, u którego kresu innego objawu uczucia ze strony ukochanej doczekać się nie może nad prośbę wyrażoną do pana, aby mu pozwolił przed śnierzją pożegnać się z matką. To uznanie się w swych prawach człowieczych, a przy rozpaczliwej niemożności ich windykowania, jakie przedstawia Dulos, ta jego, mocą ocknionj godności ludzkiej, pięść wzniesiona ku panu, a wyrażająca całą bezwładność przeciw uciskowi; ponieważ jaką narażone jest uczucie najmocniej wzruszające sercem; zawód jakiego uczucie doznaje w samym przedmiocie; narzecie ta krzycząca samowola, z jaką ktoś rozporządza życiem równego sobie, w porządku praw przyrodzonych człowieka; toż to istotnie wielki dramat, i nietylko starożytny, — tylko trzeba go zrobić. Tymczasem ukształcony widz z zadowolaniem spogląda na te zaznaczenia,

z przyjemnością słyszy zbudzone przez myślącego autora odgłosy społeczeństwa starożytnego, w poprawnej dycei pp. Kotarbińskiego i Prazmowskiego; tylko idąc na „Anteg“ niech sobie nie nabija głowy tém, że będzie uczestnikiem widowiska dramatycznego, bo dozna zawodu, na czém ucierpi wrażenie, jakie istotnie dać może obrazek zdjęty z atyckiego fresku.

O „Wigilii Ś. Andrzeja, jednoaktówce nieznanego autora pod kryptonimem Dominik, niewiele mamy do powiedzenia. Jest to obrazek ludowy, urozmaicony, jak zwykle, śpiewem, napisany bez pretensyi, ale nie bez pewnej zdolności scenicznój. Treść jego, podciągnięta pod znany obyczaj odlewania wosku i wróżb z tworzących się przezeń figur, nie odznacza się żadną pomysłowością; pojednanie starszych przez miłość młodszych nie jest ani nowe, ani głębokie. Charakterystyka ludu dosyć powierzchowna. Ale ponieważ autor, jak na pierwszy raz, niezle obraca swemi figurami na scenie, warto mu poradzić, ażeby swe pomysły dramatyczne, jeżeli w nich trwać będzie, opierał na głębszej obserwacji, nie powtarzając szczegółów mocno przed nim wyzyskanych. Lud, lubo wielki konserwatysta, rusza się przeciw; i trzeba śledzić te jego ruchy. Obrazek ten, jakkolwiek wąty, wzmocniła dzielna gra artystów teatru Małego; panie Czosnowska, Micińska, p. Sikorska zwłaszcza, sprawili się z wybornym humorem; nie brakło go i innym. Dla takiego kompletu, wielce przydałby się repertuar ludowy, ale będący owocem prawdziwego i dojrzałego w tym kierunku talentu. Oto rzeczywiste zadanie tej trzeciej sceny, jej tryumf niezawodny przy artystach tak ku temu uzdolnionych, jakich tam jest kilku. Gdybym był Dyrektorem teatru, ogłaszałbym konkursy na utwory ludowe, albo płaciłbym za nie dobrze, bo przekonany jestem, że ten posiew wydałby obfite żniwo, na którym zyskałaby nie tylko kasa teatru, ale i sztuka w ogóle. Niech świadczą utwory Anczyca, albo i dzisiejsza „Chata za wsią.“ Tylko broń Boże fuszerki, bo jeden tego rodzaju fabrykat zdyskredytuje i zniechęci tak, że później ciężko i dziesięcioma dobrami naprawić. Jakkolwiek „Wigilia Ś. Andrzeja“ nie należy do świetnych, nie odstrasza jednak; i wolimy ją przecie, niż to głupstewko francuzkie p. t. „Jegomość z pod białego królika,“ z którym jednocześnie wystąpił teatr Mały, jakby dla ostatecznego zaświadczenia, że bulwarowa Muza paryzka, nawet na naszej ulicy Danielewiczowskiej już przytulku znaleźć nie może. Czy długo jeszcze Teatr Mały będzie tak uporczywie gościnnym dla cudzych nonsensów?

Nie dziwimy się bynajmniej teatrowi Rozmaitości, który gościnności udzielił „Romansowi Paryzkiemu“ Feuilleta. Jest to sztuka, która może zniechęcić reżysera, bo w niej przynajmniej znajduje on materyał do gry, barwność sytuacji, i nieco wzruszeń, wydobywających żywe zaskórne z pod powiek czułych słuchaczek. Jest tam, słowem kobieta, comme de raison upadająca. Cóż innego moglibyśmy dziś zaczerpnąć z dramaturgii francuzkiej, godnego przedstawienia publiczności polskiej; a rozbrajającego krytykę, która ma siebie za urzędową?

Probowano raz, nie tak dawno, zaprodukować francuzki dramat Augiera, *Dy a nę*, z innej sfery: kobietę wzniosłą, która dla idei ojczyzny czyni najwyższe poświęcenie, na jakie zdobyć się może niewiasta-obywatelka. Dramat ten, artystycznie wcale nie niższy od takiego na przykład „Romansu paryzkiego,” przez krytykę krzyczącą najgłośniej ogłoszony został za jakiś rodzaj skandalu. „Źle się dzieje!” wołano. Nie pomogła szlachetna idea sztuki, polot poetyczny, aluzje do faktów społecznych i sztuka musiała zejść z pola pod ciosami krytyki, odstraszającej publiczność. Dla „Romansu paryzkiego” musimy być względniejsi; bo jest tam, jak powiadamy, nasamprzód kobieta upadająca, przez nienawiść do ubóstwa a przez miłość dla sztuki, powracająca po upadku, ażeby się otruć u nóg męża i matki. Jest tam nadto rozpustny baron, finansista bez sumienia, który umiera wśród orgii, w otoczeniu półnagich baletniczek. Są to efekta, któremi nie godzi się pogardzać, gdy kto chce swą publiczność zajmować i kształcić. Krytyka też okazała się nierównie względniejszą.

Niepoważymy się mówić z lekceważeniem o utworach tej miary pisarza jak Feuillet. Ale, bez względu na rzeczy poboczne, jego „Romans paryzki,” rzecz niepoślednia jako powieść, dużo traci w przeróbce na scenę. Motywa, w powieści wybornie tłómaczące upadek bohaterki, na scenie tak błędna, że wobec nich wydaje się ona więcej waryatką niż ofiarą fatalnych pociągów. Wreszcie, ten stokroć już obrabiany temat upadku, te namiętności mieszczańskie francuzkiego kraju, tyle się już wytarły na scenach naszych, tak znudziły, że uznając nawet pewne niewątpliwe zalety utworu, nie możemy w nim dopatrzyć żadnego przybytku do skarbcza naszej sztuki. A język przekładu, Boże zmiłuj się! jakżeby się wytworny Feuillet zbudował tą polską reprodukcją swojego dzieła!

Wprawdzie przyznać trzeba, że sztuka ta graną jest wybornie. Panna Marczello w roli Heleny de Targy tryumfuje, gra rzeczywiście prześlicznie, zwłaszcza w akcie piątym, jako skruszona grzesznica. P. Rakiewiczowa wspaniale sprawia się jako *mère-noble*, czegoś tak pięknie odegranego dawno nie pamiętamy. P. Ładnowska przejmuje sympatyę; pani Lude czaruje humorem; p. Prażmowski z całą szlachetnością i młodzieńczą energią artystycznie miarkowaną przedstawia sztywną nieco postać zdradzonego męża; nareszcie p. Rapacki, lubo w tonie fałszywym, ale z życiem wciela się w cynicznego barona. Wszystko to tworzy grupę składną, harmonijną, kipiącą życiem, a przeto dla oka i ucha ponętną, tylko pod innymi względami zgoła bezpożyteczną. Szkoda czasu, wobec zadań wyższych. Spodziewać się należy, że przy niesłychanej dotąd obfitości produkcji krajowej w zakresie tak dramatu poważnego, jako i komedyi, zarząd teatru będzie miał coraz mniejszą potrzebę uciekania się do tłómaczeń. Jakoż, niebawem ma on zaprodukować kontuszoną komedią ulubionego pisarza Edwarda Lubowskiego, p. t. „Osaczony;” podobno nawet w końcu tego miesiąca. Jeżeli to się sprawdzi, żałujemy, że warunki tech-

niczno-drukarskie zmuszają nas do odłożenia sprawozdania aż do kroniki następnej.

Ostatnie wieczory Towarzystwa muzycznego zgromadziły pomimo nieznośnego gorąca w Salach reductowych, bardzo liczną publiczność; jeden z tych koncertów przeznaczony na benefis dyrektora Noskowskiego, składał się przeważnie z dzieł benefisanta, z których „Wędrowny grajek,” suita mazurków na mieszane głosy z akompaniamentem fortepianu na cztery ręce, były pociągającą nowością. Kompozytor powziął myśl zilustrowania muzyką ładnego wiersza Czesława Jankowskiego, i trzeba przyznać, że dokonał zadania swego w myśl poety, tworząc przy tém nową formę muzyczną, suitę mazurków, mieniących się różnym nastrojem w miarę rozwijającego się serdecznego uczucia, sarkazmu, lub grozy. Faktura muzyczna zaleca się pięknem opracowaniem, a temata świeże, szczególnie w numerach drugim i szóstym, odznaczają się szczególnym wdziękiem.—W tymże koncercie, oprócz chórów Towarzystwa, i orkiestry amatorskiej, która coraz lepiej się organizuje, występowali także: panna Pilzówna, bardzo sympatyczna artystka, a pomimo swój młodości, już wielce wyrobiona śpiewaczka, oraz pan Franciszek Zawadzki, który piękny swój głos basowy, coraz to więcej kształci i ujmuje w karby poprawnej szkoły; wykonanie „Pieśni lirnika“ z opery Noskowskiego „Wiara, Miłość i Nadzieja,” dowiodło sumiennój pracy i znacznego postępu we władaniu głosem, od czasu ostatnich jego występów na estradzie.—Na drugim znów koncercie, wystąpiła pierwszy raz w Warszawie, panna Madge Wickham amerykańka, wiolinistka. Młodziutka ta wirtuozka z naiwnością właściwą młodzieży, traktuje sztukę trochę powierzchownie; gra jęj jest śmiałą o pełnym tonie, prawie męzkim, lecz pozbawioną uczucia i głębszego pojęcia, nie odnajdzie się w niej subtelnych wykończeń, delikatności i jasności we frazowaniu, natomiast jest dużo werwy, dowcipu i zamaszystości. Technika choć znaczna, pod względem wyrównania i czystości, wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Z tém wszystkiem, pannie Wickham łatwiej niż komukolwiek droga sławy uściela się kwiatami, albowiem jest bardzo wdzięcznej, ujmującej powierzchowności, a wiadomo, że to nigdy nie było przeszkodą do kariery, a tém bardziej artystce.—Pan Korostaszewski baryton, były uczeń Konserwatorium warszawskiego, a później w petersburskiem u Ewerardi'ego, przedstawił się jako śpiewak z niezwykle giętkim i pięknie brzmiącym głosem, widać jednak, że pomimo szukania nauki, nie dość systematycznie ją prowadził, gdyż skala jego głosu, nie jest jeszcze należycie wyrównaną, a niektóre brzmienia zupełnie wadliwie postawione. Szkodaby była więc, gdyby pan Korostaszewski poprzestał na dotychczasowych zdobyczach i sądząc z dobrego przyjęcia przez publiczność, uważał się za skończonego artystę śpiewaka.

W Teatrze wielkim w operach: Cyruliku Sewilskim, Lunatyczce i Łucyi występowała gościnnie panna Jenny Broch, śpiewaczka kolo-

raturowa Opery wiedeńskiej. Dziwny to głos, składa się bowiem jakby z dwóch regestrów zupełnie odrębnego brzmienia, z których niższy nie jest bardzo dźwięczny i czysty, a wyższy uformowany z falsetowych tonów, jest znuwu za słaby, by pomimo ładności brzmienia, mógł być wystarczającym. Piękną jest zaiste ta pajęczka tkanka, złożona z delikatnych pasażów, tryli i gam, czy to legato czy staccato branych, lecz niepodobna nią zastąpić wszelkich efektów ekspresyjnych; to też śpiew panny Broch do pewnego stopnia może być zajmującym, lecz wzruszyć ani zachwycić nie może.

Cóż za wielka różnica w porównaniu ze śpiewem Kochańskiej; tutaj, pomimo wyższej jeszcze brawurowej koloratury, samo brzmienie głosu jest tak miłe, dźwięczne, a silne, że wszelkie stopniowanie cieniowania otrzymać można. Tłómaczy to, dla czego artystka nie potrzebuje wciąż uciekać się do tych popisowych łamigłówek, by zniewolić swych słuchaczy i dowolnie ich uczuciami zawładnąć. Ież to razy jedna piosenka wystarczyła do wywołania szalonego entuzjazmu, a jeśli w roli operowej, jak to miało miejsce w Kucyi z Lamermoru, Kochańska potrzebuje rozwinąć cały zasób techniki głosu, czyni to zawsze bez najmniejszej przesady. Naturalne pojęcie piękna, inteligencya oparta na doświadczeniu, i głos ślicznie wyrobiony, jednoczą się w niej nierozdzielnie, i na tém właśnie polega siła jój talentu.

Jakże smutnem było wystawienie opery Wagnera „Lohengrin.” Główną rolę sposobem próby, śpiewał pan Moskowicz, sprowadzony przez dyrektora Rebiczkę w celu stałego zaanangazowania do opery naszej, jeśliby debiut się powiódł. Niestety nie powiodło się panu Moskowicz, nie powiodło się i panu Rebiczek, gdyż cała opera słabo była wystawioną, bez zrozumienia intencji autora, i dokładności w wykonaniu. Najsmutniejsza w tém, że takie eksperymenta szkodzą naszej operze, budząc brak ufności w kompetencyi dyrekcji, zniechęcając artystów miejscowych, i odstrasżając publiczność od uczęszczania do teatru.

Echo muzyczne, na podstawie powodzenia, jakie doznawał repertuar koncertowy pani Barbi, powzięło szczęśliwą myśl wydawnictwa muzyki klasycznej, wokalnój ubiegłych wieków. Są tam śliczne arye i Canzony, Pergolého, Salvator Rosy, Scarlatti'ego, Porpory, i wielu innych najcelniejszych kompozytorów, których dzieła bardzo mało dotąd były u nas znane a tém mniej wykonywane. Dobrze więc że rozpowszechnią się te świetne wzory stylu, na których gust artystyczny śmiało kształcić się może.

Rynek pieniężny u nas może służyć poniekąd za bussole ogólne położenia ekonomicznego kraju, na nim bowiem, jak w zwierciadle odbijają się wszelkie objawy życia gospodarczego, jego pochylenia i zwroty to na gorsze, to na lepsze. Pochodzi to niewątpliwie ztąd, że w naszym organizmie ekonomicznym, ów nerw, rozprzewadzający soki żywotne i uruchamiający pojedyncze organy, jakim jest

kredyt, nie funkcjonuje prawidłowo, nie pozyskał należytego rozgałęzienia, do wielu członków zgoła nie dochodzi. Skutkiem tego, podczas, gdy w jednych miejscach gromadzi się stosunkowo za wiele kapitału, w innych daje się uczuwać jego brak dotkliwy. Tak np., dzieląc ustrój gospodarczy na trzy główne organy: rolnictwo, przemysł i handel, dostrzegamy, że pierwsze dwa mają do rozporządzenia bez porównania mniej środków kredytowych, niż trzeci; co zaś do pojedynczych członków tych trzech pni zasadniczych, w rolnictwie lepiej jest obsługiwany kapitał nakładowy niż obrotowy, lepiej jest rozwinięty kredyt hipoteczny niż wekslowy i t. d. Nadwyżka kapitału ponad potrzeby, panująca w handlu, szuka ujść na zewnątrz, rozlewa się na inne pola pracy, lecz, nie znajdując tu właściwych sobie zbiorników, któreby regulowały jój prawidłowóm funkcjonowaniem, działa pokątnie i wytwarza drogi kredyt prywatny. Gdyby był choćby jeden więcej w kraju bank kredytu przemysłowo-rolnego, kapitały znalazłyby w nim lokacyą, jakiej dziś nie mają i w której braku nie mogą też otrzymać racjonalnego, z korzyścią dla interesów gospodarstwa narodowego, zastosowania.

Uwagi powyższe nastęrcza nam stan obecny rynku pieniężnego, a szerzej biorąc — rynku ekonomicznego. Przesilenie od lat 3 trwa nieprzerwanie, przedsiębiorczość wygasta, nowe zakłady przemysłowe powstają ospale, wiele fabryk upada, cukrownictwo zachwiane, gospodarstwo rolne uciśnięte niżką cen za ziemiopłody i za ziemię, wiele majątków, wystawionych na sprzedaż, idzie w cenie niżej rzetelnego szacunku. Pod wpływem niepowodzenia nastąpiło zniechęcenie do interesów,—a przecież mimo to wszystko rynek pieniężny obfituje w masę gotowizny. Co więcej, cyfra rozporządzalnych kapitałów zwiększyła się nawet, gdyż w obawie bankructwa wielu kapitalistów wycofywa swe fundusze z interesów przemysłowo-rolnych i umieszcza je w papierach procentowych. Na giełdzie spotykamy nomenklatury najrozmaitszych biletów, rumuńskich, włoskich, serbskich, ba nawet tureckich, nie mówiąc już o papierach krajowych. Na chwilę nie wahał się twierdzić, że cała ta masa papierów, nabywanych w części skutkiem zamknięcia kas bankowych przed lokacyami, w części skutkiem wyrabiającej się w społeczeństwie „żyłki“ spekulacyjnej,—dałaby bogate uposażenie nowemu bankowi, na który od lat tylu napróżno czekamy, a który miałby za zadanie uruchomić tę masę funduszy, dziś dla gospodarstwa krajowego straconą.

Owóż, w jaki sposób odbija się na rynku pieniężnym stan ekonomiczny. Przesilenie terazniejsze ma swoje odrębne cechy. Przedwyszystkiem, nie jest to burza, doraźnie niszcząca ten lub inny dział gospodarczy, zostawiająca po sobie spustoszenie i pustkę. Przesilenie, jakie od lat trzech przechodzimy jest może pod tym względem niebezpieczniejsze, gdyż nie dotykając bezpośrednio pojedynczych gałęzi, wytwarza duszną atmosferę, w której powoli schnie całe drzewo

pracy społecznej. Taki krach, jak giełdowy w Wiedniu lub kolejowy w Ameryce łątwo zostały w kilka lat zniszczone, u nas nie ma wprawdzie „krachu,” lecz są poderwane, zachwiane ogólne zasady gospodarstwa, a tych naprawa daleko trwalszych i większych wymagać będzie ofiar. W pierwszym zaś rzędzie tej reformy postawilibyśmy właśnie wzmocnienie systemu kredytowego, od którego rozwinięcia zależy prawidłowy podział kapitałów między poszczególne grupy wytwórców.

Korzystamy z przytoczonych uwag, ażeby przejść od nich do przeglądu ostatnich bilansów w tutejszych instytucjach kredytowych. Mamy właśnie przed sobą dwa sprawozdania roczne:—„Kasy pożyczkowej przemysłowców warszawskich“ i „Warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu.“ Jeżeli gdzie możemy szukać dowodu na poparcie naszych desideratów co do systemu kredytowego, to najpierw w historii kasy. Założona przed 16-tu laty, jako pierwsza w kraju spółka kredytowa, według wzoru Schultze'a z Delitsch, kasa w krótkim bardzo przeciągu czasu wynaturzyła się, zatraciła swój charakter drobnego stowarzyszenia i, ulegając parciu kapitałów, stała się.. bankiem. Dziś, na 337,398 rs. kapitału udziałowego, 136,892 zapasowego i 16,665 zarezerwowanego, czyli na 190,905 rs. funduszu własnego, kasa posiada 1,028,942 rs. na lokacjach, czyli kapitału obcego; portfel zaś wekslowy z końcem ubiegłego roku wynosił 1,232,026 rs., przyczem weksle indosowane reprezentowały sumę 535,733 rs., a solidarnie poręczone 434,218 rs. Dla lepszej charakterystyki dodajmy, że w ciągu roku kasa zdyskontowała weksli indosowanych na 2,214,655 rs., z weksli solidarnie poręczonych rs. 663,911. Słowem, jakkolwiek do kasy należą drobni przemysłowcy, z natury jednak operacji zbliża się ona ściślej do banków, niż do towarzystw zarobkowych. Jako wreszcie szczegół na dobie, przytaczamy, iż w r. z. kasa udzieliła o 141 pożyczek mniej i na sumę o 552,843 rs. mniejszą, niż w 1884 r.

Co się tyczy Warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu, to nadmieniamy, że na zgromadzeniu jego uczestników w d. 7 kwietnia dowiedzieliśmy się, iż liczba stowarzyszonych dosięgła obecnie 2,756 osób z kredytem na 12,414,620 rs. Między innymi spotykamy tu 795 ziemian z kredytem 2,648,750 rs., 229 przemysłowców z kredytem 1,492,500 rs., 274 rzemieślników z kredytem 361,440 rs. i aż 867 kupców z kred. 3,226,380 rs. Zestawienie to, zdaje się, dostatecznie przekonywa, w jakim kierunku operacje kredytowe Towarzystwa przeważają—przemysłoworolnym, czy handlowym. Towarzystwo rozwija się pomyślnie i pod tym względem korzystnie się wyróżnia pośród niefortunnych towarzystw w Cesarstwie. Kapitał obro-



towy t. j. wnioski 10% uczestników wynosi 1,241,462 rs., lokacye 1,902,383 rs., skup solawekski i z podpisami około 3 $\frac{1}{2}$  mil. rs.

Tegoroczne zgromadzenia ogólne, zarówno kasy jak i Towarzystwa, nie nastęrczają materyału do dyskusyi poważniejszej. Wyboru odbyły się spokojnie, dając mandaty dawnym członkom władz zarządzających, wnioski dyrekcji uzyskały zatwierdzenie, opozycja zaś — w kasie protestująca przeciw operacyom bankowym, a w Towarzystwie domagająca się troskliwszego traktowania interesów rolnych — tym razem milczała. Wszystko więc odbyło się „w porządku.“

Na zakończenie kroniki słów kilka o tutejszym oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Ożywiony ruch w téj instytucyi nie przestaje zasilać prasy codziennéj świeżemi nowinami. Pomijając sprawy drugorzędnej wartości, zanotujemy tylko trzy prace, niedawno podjęte przez Towarzystwo i dotyczące: pierwsza handlu ze wschodem, druga spółek zarobkowych, trzecia szkół fachowych. Wszystko to są kwestye pomyślane na szerszą skalę i mające być stałym przedmiotem zabcigów instytucyi.

Handel wschodni nieraz już był dyskutowany; gruntowne atoli zajęcie się nim w Towarzystwie zawdzięczamy rodakom, rozproszonym po odległych krańcach Rosyi. Polacy w Syberyi, nad Amurem, za Kaukazem i t. d., na wiadomość o powstaniu w Warszawie Towarzystwa przemysłowego, zaczęli zbierać dane ekonomiczne i zachęcać nas do zbadania dróg handlowych na wschodzie. Oddział tutejszy znalazł się niebawem w posiadaniu cennych materyałów o jarnarkach w Niżnym-Nowgorodzie i Irbicie, o rynkach zbytu nad Amurem, o komunikacyach i handlu w Syberyi. To zachęciło zarząd instytucyi do wybrania specjalnej delegacyi pod przewodnictwem p. St. Kronenberga, któraby zajęła się kwestyą handlu wschodniego. Do komisyi weszli pp. Ernest Gay, Józef Szlenker, Władysław Rudnicki, Bronisław Werner, Stanisław Ostrowski, Fr. Eutsche i jako sprawozdawca Fr. Olszewski. Dotąd odbyły się dwa posiedzenia delegacyi, na których ostatecznie powzięto następujące wnioski. Z uwagi, iż handel wschodni może przynieść istotny pożytek krajowemu przemysłowi jedynie pod warunkiem odnalezienia solidnych firm na wschodzie, komisya zaproponowała utworzenie w Warszawie biura wywiadowego, z filiami w Syberyi i Rosyi, a to celem dostarczenia informacyi o kupcach wschodnich. Dalej, uwzględniając warunek, że przemysł nasz może mieć stały zbytu na wschód, jeżeli znać będzie tamtejsze potrzeby, komisya uchwaliła opracować geografią przemysłową wschodu, do której to pracy powołani zostaną polacy w Rosyi zamieszkali. Wreszcie, pragnąc ściśle mieć baczenie nad stosunkami handlowymi, komisya zażądała utworzenia biura statystycznego, kontrolującego wywóz i dowóz między Królestwem a Cesar-

stwem. Nakoniec, dla prowadzenia samego handlu, komisya rzuciła myśl zorganizowania wspólnemi siłami agentów handlowych w głównych centrach zbytu: —w Moskwie, Niżnym-Nowgorodzie, Charkowie i Carycynie. Prace komisji mają wkrótce wyjść w druku, a wykonaniem jej wniosków zajmie się zarząd Towarzystwa.

Inna komisya obraduje nad szkołą przemysłową, chodzi zaś jej głównie o wytworzenie takich zakładów wychowawczych, w którychby nietylko młodzież nasza znalazła łatwą naukę, jakiej dla braku miejsc nie dają jej dziś szkoły średnie, ale i w których kształciłoby się przyszli pionierzy polskiego przemysłu, t. j. majstrowie, dozorczy, kierownicy i t. d., dziś po wszystkich niemal fabrykach z cudzoziemców się rekrutujący. Komisya, złożona z pp. Przysiańskiego, Paszkowskiego, Dynowskiego, Diehla, Kühna, Lepperta, Hocha, Olszewskiego, Dąbrowskiego, Zatorskiego, Kuczyńskiego i Bormana, również odbyła dwa posiedzenia, na których uchwalono zająć się przede wszystkim urządzeniem szkół fachowych średnich, z podziałem na trzy główne działy—budowlany, mechaniczny i chemiczny. Komisya przychylnie też przyjęła myśl instytutu politechnicznego w Warszawie, na teraz jednak uznała ją z wielu względów za niewykonalną. Dzięki tej pracy pozyskamy niezmiernie ciekawą historią szkół przemysłowych w Królestwie, pióra szan. dziekana Przysiańskiego, obejmującą dzieje mało znanych zabiegów około organizacji politechniki w Puławach, Łodzi i w Warszawie, podejmowanych od 1827 r. Nadto, komisya zamierza czynić starania o wprowadzenie nauki rzemiosł do szkół wiejskich, o rozszerzenie programu szkół niedzielnych, o rozpowszechnienie nauki rysunków przez tworzenie po miastach sal rysunkowych i t. p.

Losy spółek zarobkowych teraz dopiero zwróciły uwagę Towarzystwa. I nic dziwnego: któż bowiem u nas ma dokładne pojęcie o tém, jakie spółki i gdzie istnieją! A przecież mozolna praca nad ich rozwojem znaczne już wydała owoce. Zaczęły one powstawać bez rozgłosu, sposobem gospodarczym, przez pomoc wzajemną i dziś już liczymy 11 spółek pożyczkowych, 9 kredytowych, 6 rzemieślniczych i 31 rolnych. Zapewne, są to cyfry tak małe, że niejednen mógłby zapytać, dla kogo właściwie ma być zakładane projektowane przez Towarzystwo biuro centralne spółek? Ani słowa, rozporządzamy materiałem jeszcze bardzo ubogim, na pociechę jednak dodać należy, że sprawa spółek zarobkowych, którą za granicą szczerze interesują się rozmaite pierwszorzędne instytucje i dla której powstały nawet specjalne banki, u nas oddaną jest samej sobie. Może więc pod dobroczynnym wpływem proponowanej centralizacji, otrzymamy choćby tylko rozpowszechnienie wiadomości o spółkach, spopularyzowanie

ich ustaw i sprawozdań a zarazem kierownictwo ich interesami, dotąd po większej części „po domowemu“ prowadzonymi. Rzecz ta była dyskutowana w Towarzystwie na posiedzeniu sekcji V-ój, handlowej w d. 20 kwietnia.

Jak widzimy, Towarzystwo popierania przemysłu i handlu podjęło sprawy pierwszorzędnej doniosłości, życzyć téż tylko należy, ażeby pomyślnie ukończone zostały.

---

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

---

Oczekiwana od dawna z niecierpliwością druga część tomu drugiego dzieła ks. Waleryana Kalinki pod tyt. „Sejm czteroletni,“ wyszła nareszcie z druku we Lwowie, nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego, jak donoszą pisma lwowskie; i wkrótkim czasie ukaże się zapewne i w księgarniach warszawskich.

Ks. Bukowski Julian wydał w Krakowie 2-gi tom znanego czytelnikom Bibl. Warsz. dzieła (1885 r. styczeń, str. 130) pod tyt. „Dzieje reformacyi w Polsce od wejścia jój do Polski aż do jój upadku.“ Kraków, 1886. Tytuł niejasny. Wyrazy: „Dzieje reformacyi w Polsce“ czynią zupełnie zbytecznym dodatek: „od wejścia jój do Polski,“ bo nie wskazana brama, którą reformacya wchodziła do Polski; a przy wyrazach: „aż do jój upadku“ mógłby czytelnik być w wątpliwości co do tego, czy autor mówi tu o upadku reformacyi, czy téż o upadku Polski. Dodatkowe te objaśnienia były zupełnie nie potrzebne przy wyraźnej wskazówce, zawartej w tych słowach: „Polityczny wzrost i wzmaganie się reformacyi aż do sejmu 1558/9 r.“ które na karcie tytułowej czytamy.

Otwarta przed kilku laty w Poznaniu nowa księgarnia C. F. Piotrowskiego i Sp., wydała w roku bieżącym 2-gi tom Opowiadań i studyów historycznych Kazimierza Jarochońskiego, seryi nowej — pod tyt. „Z czasów saskich spraw wewnętrznych polityki i wojny.“ Poznań, 1886, str. 544. Studya zebrane w tomie niniejszym nie są nowością dla czytelników polskich, ponieważ były drukowane po czasopismach lwowskich, krakowskich i warszawskich. Bibliograf byłby wdzięczny wydawcy, gdyby był przy każdym studyum wskazał pismo, w którym pierwsiastkowo było drukowaném, bo zdarza się w prasie naszej, że jedne i te same artykuły przedrukowują się w różnych czasopismach, co za ujemny objaw literatury peryodycznej uważać należy. Zjawisko takie dowodzi bowiem albo szczupłej liczby autorów, umiejących pisać rzeczy poważniejsze, albo nadmiaru czasopism w stosunku do producentów równie jak i do konsumentów. W każdym razie

jest to objaw niepożądany w literaturze, gdzie tyle kwestyi naukowych leży odłogiem, zapełniać pisma peryodyczne rzeczami już raz gdzieindziej drukowanemi. Do dziejów wewnętrznych odnosi się artykuł 1-szy pod tyt. „Lauda połączonych województw Kaliskiego i Poznańskiego za panowania Augusta II-go. Do dziejów polityki zaliczyć trzeba artykuł 2-gi: „Dwie misye Franciszka Ponińskiego, starosty kopanicznego, do Cara Piotra w latach 1717 i 1718“ i 3-ci „Epizod Rakoczozy w dziejach panowania Augusta II-go od r. 1703 — 1717;“ wreszcie do dziejów wojennych odnoszą się 3 pozostałe studia, mianowicie: 4) Bitwa pod Poniecem d. 9 listopada 1704 r.; 5) Bitwa kaliska 19 paźdz. 1706 r. i 6) Oblężenie Gdańska w r. 1734 r. Zalczyty studyów historycznych Jarochońskiego są zuane, a nie odłączne od dzieła ludzkiego strony słabsze, mogłaby tylko krytyka szczegółowa ujawnić i w interesie nauki udokładnić.

W podobny, co Opowiadania Jarochońskiego, sposób powstało także dzieło p. Adama Bęcikowskiego, wydane przez zabieglivą firmę warszawską Teodora Paprockiego i S-kę, pod tyt. „Ze studyów nad literaturą polską. Wydanie pamiątkowe ku uczczeniu 25-cio letniej działalności literackiej autora z życiorysem, skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego,“ str. XXXII i 604. Dzieło, całe poprzedzone biografią pisarza dosyć szczegółową, składa się z 2-ch części, z których pierwsza zawiera następujące artykuły: 1) O znaczeniu historii literatury i rzut oka na całość naszego piśmiennictwa. Potém idą 2 rozprawy o literaturze z wieku XVI: a) Mikołaj Rój z Nagłowic i b) Jan Kochanowski; 7 rozpraw o literaturze z wieku XVII, mianowicie: 1) Notaty o literaturze i oświacie XVII-go wieku; 2) Słów kilka o najdawniejszém romansopisarstwie polskiem; 3) Samuel ze Skrzypny Twardowski; 4) O satyrykach polskich XVII-go wieku: a) Andrzej Rysiński, b) Krzysztof Opaliński. 5) Andrzej Morsztyn, poeta romantyczny wieku XVII. 6) Wacław z Potoka Potocki w VII-u ustępach rozbierających szczegółowo dzieła Potockiego. 7) Okruchy literackie; Stanisław Serafin Jagodyński, Dominik Morolski i Józef Bielawski. W części II-jej czytamy: wiek XVIII-ty: 1) Elżbieta z Kowalskich Drużbacka; 2) Dwie epoki naszego pseudo-klasycyzmu; 3) O narodowym charakterze i zasługach literatury z czasów Stanisława Augusta; 4) Pierwszy sceniczny pisarz polski (Ks. Fr. Bochomolec S. J.); 5) Adam Naruszewicz jako poeta; 6) Jeden rozdział z monografii o Ignacym Krasickim; 7) Franciszek Zabłocki; 8) Franciszek Karpiński. Wiek XIX-ty: 1) Główne prądy poezyi polskiej w XIX-ym wieku; 2) Romantyczność przed Mickiewiczem; 3) Kazimierz Brodziński; 4) Gustaw i Werter; 5) Konrad Wallenrod; 6) Kilka myśli o „Panu Tadeuszu;“ 7) Ideały kobiece dwóch poetów; 8) Balladyna Stowackiego; 9) Irydion Zygmunta Krasieńskiego; 10) Dramaty historyczne Józefa Korzeniowskiego; 11) Charaktery kobiece w poezyi polskiej; 12) Kilka słów o poezyi. Studya p. Bęcikowskiego nie odznaczają się głęboką i bystrą analizą przedmiotu; ale dostarczają wiele informacyi w tonie spokojnym, wszech-

stronnie rzecz przedstawiającym, przy sądzie ogólnym nigdy napróżd nie powziętym; ale z istoty rzeczy rozbieraną płynącym. Badacz dziejów literatury polskiej znajdzie p. B., bardzo sympatycznego przewodnika w wielu szczegółach sumiennie zgromadzonych.

Biblioteki Matematyczno-fizycznej, wydawaną pod kierunkiem M. A. Baranieckiego i A. Czajewicza, z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia Józefa Mianowskiego, wyszedł seryi III-jej tom IX-ty, przedstawiający: „Kosmografią,” napisaną przez Jana Jędrzejewicza. Warsz., 1886, str. XLVI i 400 z wielu tablicami, objaśniającymi szczegóły w tekście wykładane. W przedmowie objaśnia prof. Baraniecki znaczenie dzieła astronomicznego w literaturze polskiej dzisiejszej, a p. Merczyng przedstawia w obszernym wstępie „krótki rys rozwoju astronomii od najdawniejszych aż do naszych czasów. Dzieło p. Jędrzejewicza zawiera treść nadzwyczaj zajmującą, przedstawioną w sposób, o ile podobna przy kwestjach kosmografii, przystępny i zrozumiały językiem naturalnym. Dzieło p. Jędrzejewicza uważać trzeba za prawdziwe zbogacenie naszej literatury naukowej.

We Lwowie wyszła, jako odbitka z „Kosmosu,” broszura p. H. Merczynga p. n. „Elektromagnetyczna teoria światła James'a Clerk'a Maxwella.“ Jest to wykład popularny wniosków, do których drogą wyższej analizy matematycznej doszedł przedwcześnie zgasły uczonej angielski, a które zdają się niezbitcie dowodzić, że światło i elektryczność, dwa napozór tak różne objawy energii, są jednym rodzajem ruchu.

Ten sam autor wydał drugą pracę swoją pod tyt. „Motory gazowe.“ Zarys ustroju kilku ważniejszych typów (w szczególności maszyny systemu Otto), oraz teorii ich działania. Szkic z zakresu fizyki przemysłowej. Warsz., 1886.

„Historia medycyny.“ Przekład trzeciego wydania dzieła: H. Haeser, „Lehrbuch der Geschichte der Medicin. Zweiter Band, 1876—1881,“ dokonany przez prof. d-ra H. Łuczkiwicza. Tom drugi. Dzieje medycyny nowożytniej. Warsz., 1886.

Fritsche dr. Gustaw. „Sprawozdanie z kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci, urządzonych w r. 1885.“ Warsz., 1886.

„Wędrowki i przygody,“ powieść pouczająca, napisał Leopold Szyller-Racki b. n. Warszawa, 1885. (20 kop.). „O Wiśle,“ jej dopływach i miastach, nad nią leżących, opowiedział Konstanty Krynicki. (Książeczka dziesięciogroszowa). Warsz., 1885. Obiedwie książeczki różne co do formy, do jednego zmiierzają celu: do zainteresowania ludu geografiją, etnografią i wspomnieniami kraju. Jeżeli idzie o zainteresowanie tylko, autorowie dopiełi pięknego swego celu; jeżeli zaś poszukamy korzyści pod względem rzeczowym, to opinia nasza niezupełnie pomyślnie wypadnie.

W obydwóch książeczkach spostrzegamy pewną trudność w obej-

mówianiu materiału różnolitego i bogatego w szczupłych rozmiarach tanięj książeczki ludowej, powiększoną zapewne względami niezależnemi od autorów i wydawcy.

P. Leopold Szyller, b. nauczyciel, autor kilku książek dla młodzieży i wydawnictw z zakresu początkowego nauczania, opowiada losy podlasiaka Mateusza Cholewy. Powieści tej nie brak fabuły zaciekawiającej, figur dość charakterystycznych i akcesoryów dość barwnych: jest tam i śliczna Marysia Gizianka, pani serca naszego bohatera i despotyczny, a pretensjonalny jój ojciec, jest także i lekko-myślny panicz, Władysław, i nieuczciwy wyzyskiwacz ludu, rywal Mateusza ex-dygnitarz Bąbelko, obok praktycznego górala Holika i starego ojca Michała, wzoru rozsądku i doświadczenia; jest tam i dramatyczna, omal nie krwawa scena w lesie, rozegrana pomiędzy paniczem, Marysią i Mateuszem i walka Mateusza z Bąbelką w karczmie, i pożar zagrody Mateusza i samobójcze zamiary w głowie tego ostatniego. Tymczasem zajmują uwagę naszą przedewszystkiém losy bohatera, który ma być przykładem wytrwałości i samopocy.

Mateusz, niewłaściwie przez autora Maćkiem zamiast Matysem nazywany, pojednany z paniczem Władysławem, co mu chciał być zabrać—Marysię, największe szczęście, opuszcza w jego towarzystwie rodzinne strony, (było to w r. 1862). Panicz zginął, a Mateusz znalazł się w Kałudze razem z towarzyszami różnego stanowiska społecznego, różnego wykształcenia. Od nich nauczył się czytać i pisać, a powróciwszy do domu, zaczyna rozpowszechniać w wiosce naukę zdobytą. Niezadługo Bąbelko pozbawia go Maryi, a pożar niszczy zagrodę ojcowską. Cóż pozostaje zrospaczonemu? Utopić się. Góral Holik powstrzymuje go od straszliwego kroku i daje dobre rady. Mateusz wypuszcza grunt w dzierżawę, a sam zaciąga się do flisaków. W podróży Bugiem, Narwią, Wisłą do Gdańska dowiaduje się wiele rzeczy od starego Michała, który umierając objawia mu wolę i zapis panicza Władysława, rannego i zmarłego pod Sokołowem. Wypełniając tę wolę, Mateusz uczy się gospodarki postępowej w Poznańskiem. Podczas powrotu z tej szkoły został napadnięty i obrabowany przez niemców, na jednym z traktów szlązkich, wskutek czego popada w nędzę. Gdy się dowiół do Krakowa spotkał tam towarzysza wygnania, który mu pomógł znaleźć skromny zarobek w Wieliczce. Ztamtąd udaje się w głąb Galicyi, pomiędzy górali i razem z Holikiem i jego towarami przybywa do ojczystej wioski. Tu odebrał od proboszcza 2,000 rs. i tytuł własności folwarku z zapisu Władysława, odszukał następnie Marysię w Warszawie i wyrobił się na wzorowego gospodarza.

Powieść mieszcząca się na 95 stronicach czyta się z zajęciem; a gdyby autor nie był jój w tytule nakazał być „pouczającą“ nie czynilibyśmy jój dla tego braku zarzutu, poprzestając na zaznaczeniu, że książeczka jest zaciekawiającą. Wszystko, co się przed oczyma Mateusza i czytelnika przesuwają, przesuwają się bez pozostawienia głębszego

śladu w umyśle; czytelnik, dla którego książeczkę pisano, nie wyniesie z niej nauki, którąby w praktyce życia wiejskiego zastosować należało. Bylibyśmy np. ciekawi zwyczajów, obyczajów, zajęć, zabaw mieszkańców różnych stron, w których Mateusz przebywał. Pragnęlibyśmy się dowiedzieć, na czóm właściwie polegała owa dwuletnia praktyka postępowego gospodarstwa Mateusza, w jaki sposób urządził on swoje gospodarstwo i o ile przez to wpłynął na mieszkańców swojej wioski. Można by zarzucić autorowi brak inwencji w układzie osnowy, brak oryginalności w scenach i sytuacjach, szarżowanych i nienaturalnych niekiedy; oryginalność przecież w tych rzeczach (nie zawsze podobno szczęśliwa) nie jest nieodzownym warunkiem powieści ludowej. To, co dla ludzi czytanych wydaje się powszechnie znaniem, dla ludu będzie nowem. Zaletą powieści ludowej jest umiętna faktura, której odmówić p. Szyllerowi nie można, bo książeczka jego odznacza się umiętnością przemawiania do ludu z domieszką pewnego humoru, rysunkiem swobodnym i dość wyrazistym. Sądzymy że autor za dużo nawet czasem robi ustępstwa, celem zjednoczenia sobie czytelnika, popadając w trywialność lub dowcip niesmaczny (opis sali więziennój str. 26 i 27, opis żydów str. 38 i in.). Zakradło się też nieco błędów językowych, np. „poczuwszy namiętne uściski, ogarnął ją strach (str. 15), podobny błąd niewłaściwego użycia zwrotu imiesłowowego powtarza się parę razy (str. 12 i inne) „uczyć dzieciaków“ (str. 36) „nie ma gdzie głowę położyć (str. 50) „co się nauczył“ (str. 85).

Zbytecznie sądzymy nadmieniac, że takie wyrazy jak prażnik, ku raż, że zwroty cudzoziemskie i to jeszcze w obcej pisowni (str. 30) także się niepotrzebnie tutaj zabląkały.

Książeczka „O Wiśle“ nastęrcza uwagi następujące. Książeczki dziesięciogroszowe wszystkie są tanie, a książeczka o „Wiśle“ zawierająca 5 arkuszy druku, 20 drzeworytów i 2 mapki, (to wszystko za 10 groszy) jest z nich wszystkich najtańsza. Pomysł prowadzenia czytelnika z biegiem Wisły do Gdańska i rozpatrzenia po drodze tego wszystkiego, co godne uwagi nie jest nowością od czasów „Flisa“ Kłownowicza. Temat to bardzo wdzięczny nie tylko dla poety. Jeden z pedagogów galicyjskich stworzył z niego bardzo dobrą książkę ożywioną duchem narodowym p. t.: „Z Krakowa do Gdańska Wisłą“ przez Aleksandra Kisielewskiego (Lwów, cz. I, 1869, cz. II, 1870). Podobną napisał i p. Krynicki. Oceniamy skrzętność i pracowitość autora, który zebrał obfitość materiału jakby do wyczerpującego studjum o Wiśle; oceniamy ofiarność nakładcy czy nakładców, którzy za bezcen dają w ręce ludu książkę pełną treści i niepośledniego interesu: wyznać jednak musimy szczerze, że praca o której mówimy, nie może się bez zastrzeżeń uważać za koronę zastużoną.

Autor nie potrafił stworzyć książki jednolitej, tryskającej życiem i pociągającej tém właśnie, co lud najłatwiej zrozumie, co go najwięcej zainteresować może. Spotykamy tu np. obrazki przedstawiające gó-



rali, krakowiaków, mazurów, kujawiaków, typy warszawskie; tymczasem w opowiadaniu o nich głucho: ich zajęcie, ubiór, przystawie, śpiewka wreszcie—możeby ożywiły nieco książkę, która na 77 stronicach dwieście kilkadziesiąt imion własnych mieści, że już nie mówimy o wielu wyrazach (zwłaszcza przy opisie miast, instytucyj, zabytków historycznych), niezrozumiałych dla ludu bez osobnych wyjaśnień. Autor nie panuje nad materiałem, nie ugrupował szczegółów, ztąd stał się suchym, a nawet chaotycznym.

Nie wymagamy w książce dla ludu rzeczy metodycznie i artystycznie doskonałej, ale poprzestajemy na zbiorze wiadomości, ugrupowanych podług tego, jak się nasuwają jadącemu w dół Wisły.

Mimo tak skromnych wymagań praca p. Kr. zadowolnić czytelnika nie może. Znajdujemy tu nieco błędów, a więcej jeszcze niedokładności tak pod względem rzeczowym jak i językowym. Zarzut ten stosuje się do pierwszych rozdziałów, chociaż one odznaczają się pewną metodą wykładu i większą przejrzystością niż następne. Zaraz na samym początku autor nie dość trafnie rozpoznaje strony świata: najpraktyczniej oznaczać najprzód północ, którą wskazuje busola, a jak dla ludu—omszała strona drzewa w lesie lub kamienia na polu. Ten sposób oznaczania stron świata łatwo przenieść na plan lub mapę, gdy im mamy położenie poziome. Na karb niedokładności stylowej policzyć musimy twierdzenie autora, że „każda rzeka ma swój początek czyli źródło w górach albo też w miejscu nieco wyższym, niż otaczająca ją okolica (str. 6); miało to znaczyć, że woda bieżąca potrzebuje spadku, że źródło rzeki musi być wyższe niż bieg jej środkowy i ujście. Głębokość mórz, mająca dochodzić „do kilku wiorst” (str. 6) jest w sposób przesadny podana. Szczyty Tatr nigdy nie pokrywają się „wiecznym śniegiem“ (str. 7); śnieg znaleźć tu można tylko w cienistych szczelinach, w kotlinach. Poprzestajemy na tych zarzutach, dodając jeszcze, że wątpliwości, jakie sobie sam autor stawia (str. 19 i 32) nie powinny były znaleźć miejsca w książce ludowej; że zdanie: „kępy tém gęściej się zdarzają, *czem* (zam. im) bliżej ujścia“ jest rusycyzmem; że niektóre drzeworyty nie dość starannie odbito.

*Władysław Nowicki.*

Nowe pismo polskie. Z dniem 16-m b. m. rozpoczęło wychodzić nowe pismo dla ludu raz na tydzień w Olsztynie (po niemiecku Allenstein) w Prusiech, w obwodzie królewieckim w dawniej Warmii. Miasteczko Olsztyn albo Olsztynek leży nad rzeką Allą, po większej części zamieszkałe przez ludność katolicką. Pismo polskie w tej okolicy jest ze wszech miar pożądanem, témbardziej, że pierwszy numer, jaki mamy przed sobą, pisany jest wcale czystą polszczyzną.

Gloger Zygmunt. „Skarbczyk.“ Zabawy, gry, zagadki, żarty i przypowieści. Z ust ludu i ze starych ksiąg. Warsz., 1886.

„Jak prowadzić gospodarstwa?“ Rozprawy odznaczone na konkursie „Gazety Rolniczej.“ Warsz., 1886.

Profesor gimnazjum św. Anny w Krakowie, Czesław Pieniążek, wydał broszurę p. n. „Syrokomla w obec rozwoju poezyi ostatniego okresu.“

Pan Kałużniacki wydał ważne studyum p. t: „Die polnische Recension der magdeburger Urtheile und die einschlägigen deutschen, lateinischen und tschechischen Sammlungen,“ które budzi niepospolity interes dla historyka dawnego prawa polskiego.

Pan Diguères wydał w Paryżu książkę p. t: „Lettres inédites de la reine Marie Leszczyńska.“

---

## N e k r o l o g i a.

— † Dnia 9-go kwietnia 1886 r. umarł we Lwowie ś. p. **Kazimierz hr. Stadnicki**, ces. kr. szambelan i em. radzca Namiestnicstwa, b. członek i deputat Stanów galicyjskich, kawaler orderu żelaznej korony, znany zaszczytnie autor i badacz historyczny, członek krakowskięj Akademii umiejętności. Kazimierz Piotr Hieronim ze Stadnik hr. Stadnicki urodził się dnia 29-go czerwca 1796 r., z ojca Antoniego, właściciela Żmigrodu. Schodzi z nim do grobu mąż, który poważną a cichą pracą uczciwie przez całe swe życie służył krajowi i społeczeństwu. Z dzieł historycznych zmarłego wymieniamy: „Bracia Władysława Jagiełły,“ jako dalszy ciąg „Synów Gedymina;“ „Komentarz do ustępu o rodzie Stadnickich w herbarzu Niesieckiego;“ „Piasty, rys historyczny;“ „Rodowody domu Stadnickich“ i t. d. Sprawy współczesne kraju zajmowały ś. p. Stadnickiego równie żywo, jak przeszłość nasza, a z publikacyi zmarłego w tym kierunku wymieniamy: „Projekt do tymczasowego prawa wyborczego dla zwołać się mającego zgromadzenia narodowego w Galicyi,“ ogłoszony w r. 1848. Cześć pamięci zacnego obywatela!

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

# NOWA KONSTITUCYA IRLANDYI.

PRZEZ

Edmunda S. Naganowskiego.

## I.

Pięć lat upłynęło od czasu, kiedyśmy w „Bibliotece Warszawskiej“ omawiali położenie Irlandyi ekonomiczno-polityczne. Powiedzieliśmy tam, że „nikt w Irlandyi nie wierzy w skuteczność jakichkolwiek środków rządowych. Nadzwyczajne prawo koercyjne wywołało już kilka zbrodni; obiecana reforma nigdy nie odda ziemi krajowcom, nie odda domorządztwa krajowi. Póki zaś to nie nastąpi, irlandczycy zawsze wołać będą sprawiedliwości, zawsze powtarzać stary celtycki okrzyk wojenny: Eryn na przebój!—Erin go bragh!“<sup>1)</sup>

Organiczna zmiana, jaka zaszła w metodzie agitacyi konstytucyjnej postów irlandzkich, była najgłówniejszą pobudką owego artykułu. Na czele partyi narodowej stanął mąż młody, 33-letni, należycie ceniony w kołach dublińskich, lecz mało znany w szerokich warstwach ludowych. Karol Steward Parnell nie posiada tych przymiotów, jakie cechowały wszystkich przywódców narodu w walce z brytanizmem kolonialnym i z brytanizmem westminsterskim; przeciwnie, występował z obozu tradycyjalnie wrogiego ludowi irlandzkemu. Parnell, członek a dzisiaj głowa rodziny angielskiej, jest potomkiem baronetów Jakóba I-go, kreowanych za dni plantacyi ulsterskiej—protestant żarliwy, wychowaniec wszechniczy Kantuaryeńskiej (Cambridge), nie odznaczający się żadnym przymiotem, któryby wpadał od razu w oczy ogółu, nie mogący się równać z najmniej wymo-

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt kwietniowy Biblioteki r. 1881.

wnym członkiem koła irlandzkiego; a nadto małowówny, milczący, chłodnego obejścia, był też Parnell i dla tego jeszcze nie popularnym w kraju, że należał do znienawidzonego Kościoła i więcj jeszcze znienawidzonej klasy „landlordów.” Dziedzic pięknego klucza w hrabstwie Wexford, stawiając swą kandydaturę poselską w mieście Cork, stolicy największego i najmniej brytańskiego hrabstwa w Irlandyi, ogłosił manifest, w którym ambicyą swą usprawiedliwił temi słowy: „Z mlekiem matki, amerykanki, wysłałem nienawiść ucisku. Widok krwi irlandzkich patryotów, rozlanj w koło szafotu irlandzkich męzczenników w Manchester, uczynił mnie irlandczykiem. Dzierżawcy moi w Avondale niech dadzą świadectwo o mnie. Przychodzę do was w imieniu partyi narodowj.”

Cóż postawiło Parnella na czele partyi? Jego naówczas dziwnie śmiała i chłodno powzięta decyzja. Poprzednik jego, Izaak Butt, z wiarą szczerą w alianse z partyami brytańskimi w parlamencie, kierował wszystkie wysiłki koła irlandzkiego ku otrzymaniu decentralizacyi władzy państwowj w Irlandyi i zastąpieniu jej przez rady powiatowe; Parnell przedstawił kołu plan inny: — plan usamowolnienia partyi w izbie, plan bezwzględnej obstrukcyi (?) parlamentarnj, stopniowego przestoczenia koła w niezależne centrum, słowem plan otwartj walki o kompletne wyzwolenie Irlandyi z pod jarzma landlordyzmu i z pod jurydykcyi parlamentu cesarskiego. Wszyscy młodszy członkowie koła stanęli z zapałem pod tym sztandarem; starsi—pozostali przy Butt'cie i przy decentralizacyi. Pierwszych nazwano „parnellistami” — drugich „domorządzcami” (homerulers). Butt nie długo przeżył rozkład koła: umarł, podobnie jak wielki O'Connell, zgryziony niestatecznością stronników oraz przez to, co nazwał „szaleństwem szkolnych żaków...” Domorządzczy nie obrali po nim następcy; rozłączając się z parnellistami, jedni przrzucili się do brytańskiego obozu radykalnego, drudzy pozostali faktycznie bezczynnymi. Do tych to ostatnich należy Frank Hugh O'Donnell, pozbawiony mandatu w zeszlórocznych wyborach i agitujący dziś w wiedeńskich pismach przeciwko Parnellowi.

Z sześćdziesięciu członków koła tylko trzydziestu i trzech zasiadło w izbie obok Parnella. Było to w r. 1880-ym. Natychmiast po pierwszj sesyi Parnell pospieszył do Irlandyi, by akcyą swą usprawiedliwić i zreorganizować siły agitacyjne w jedno koło najwyzszj w kraju i jedynj powagi. Napotkał atoli opór potężny ze strony hierarchii katolickiej, przerażonej następstwami, jakie akcyą otwarcie rewolucyjna sprowadzić mogła przeciw Kościołowi; i ze strony jednego człowieka... który był bożyszczem ludu i jego głosem: Michała Davitta, założyciela Ligi Ziemiśkiej. Davitt nie należał do zwolenników Butt'a; podzielał i pochwalał zasadę konieczności zerwania unii z r. 1800, ale niemniej głęboko był przekonany o palącej konieczności ratowania włościństwa z pod niezmierzonego ucisku landlordów. „Zanim—mówił—akcyą parlamentarna zdoła zniszczyć

fatalny akt r. 1800-go, lud częścią wymrze z głodu, częścią wyrzucony zostanie za morze!“

Zwołano więc walną konwencyą narodową do Dublinu, której rezultatem było skupienie wszystkich sił agitacyjnych w jeden organ—w Ligę Ziemską. Głową ligi został obrany Parnell, lecz nie przedźj aż współ z Davittem udał się do arcybiskupiej stolicy Cashel, gdzie klękając przed słynnym obywatelem-kapłanem, d-rem Croke, wyrzekł słowa pamiętne: „Wasza Łasko, przyszedłem żądać Waszój pomocy i Waszego błogosławieństwa. Z hierarchią rzymsko-katolicką, narodową—wszystko zdziałamy; bez niej—kroku nie zdołamy uczynić!“

Wiadomo dobrze, iż od owej chwili w Irlandyi stanęły naprzeciw sobie dwa narody w zwartych szeregach; że poraz pierwszy w dziejach wyspy, naród irlandzki postanowił na gruncie konstytucyjnym walczyć o śmierć lub życie... Wiadomo dobrze, iż na tym gruncie był wrogiem narodowi oranżyzm, rozporządzający całym bogactwem kraju, administracyą i głosem izb westminsterskich... że Irlandya amerykańska, reprezentowana w Stanach Zjednoczonych przez dwumilionowy Clan-na-Gaël, a w kraju przez rozliczne gałęzie tajemnych związków włóściańskich i mieszczańskich, postawiła veto stanowcze przeciw agitacyi konstytucyjnej, że nagromadziwszy zasobów materialnych do walki tajemnej, radziła ojczyźnie szukać rozwiązania wszelkiej łączności z W. Brytanią. Przez dwa lata toczył się bój zacięty: otwarty—między Ligą z jedną a brytanizmem z drugiej strony; sekretny—między władzą, porządkiem i powagą z jedną a rozłożoną po całym kraju siecią anarchizmu z drugiej strony. Rząd trzymał się stale swęj zasady: jedną dłonią dawał ustępstwa, drugą... nie rozróżniając między agitacyą prawną a zbrodniczą, zalewał kraj ustawodawstwem koercyjnym, zawiesił akt Habeas Corpus i do obwodów, gdzie ludność ginęła z głodu i nędzy, słał całe pułki żołdactwa. Polityka gabinetu p. Gladstone'a

A little bit of this, and a little bit of that,  
A little bit of lean, and a little bit of fat...

zniechęciwszy najlepszych jego stronników, a między nimi zmarłogo przed miesiącem Forstera i ówczesnego wice-króla Cowper'a, dodała bodźca agitacyi amerykańskiej, rozpałiła wściekłość loży oranżystowskich. Najpierwszym wynikiem koercyi było morderstwo ministrów w parku Feniksa (6-go maja 1882 r.), a ostatnim... układy pierwszego ministra z uwięzionym w Kilmainham Parnellem. Następca Cowper'a, hr. Spencer, mąż zasad liberalnych, lecz niezdolny do akcyi samoistnej, sprawował swe rządy, słuchając jednego tylko w Irlandyi głosu t. j. biurokracyi zamku dublińskiego. Rozwiązał Ligę Ziemską, ściagał bezwzględnie i z surowością żelazną każdy objaw oporu, napełniał więznicia podejrzanymi, winnymi i niewinnymi;—a niestety! wysyłał i na rusztowanie ludzi, których niewinność nie ulega

dzisiaj najmniejszej wątpliwości! Lord Spencer chciał oczyścić kraj z anarchizmu, by przekonać Anglię, iż jedynie anarchizm uniemożliwia działalność skuteczną reform rządowych... W końcu swego urzędowania przekonał się o mylności tego sądu, a będąc człowiekiem honoru, wyznał zarazem, iż reformy dotychczasowe były półśrodkami, a t. zw. rząd zamkowy—krzyczącą anomalią. To zapatrywanie Spencera rzuciło pierwsze ziarno niezgody między członków gladstońskiego gabinetu i spowodowało zeszłoroczną zmianę rządu angielskiego.

Wypada nam poświęcić słów kilka rozbitej Lidze Ziemskiej. W ostatniej chwili swego istnienia, składała się liga z dublińskiej komisji centralnej i z 1,500 komitetów prowincjonalnych. Zadanie, jakie sobie założyła, obejmowało całą myśl Michała Davitta i program agitacji Parnella: prowadziła walkę eksterminacyjną przeciw landlordyzmowi, brała w opiekę eksmitowane rodziny osadników i prowadziła bezustanną kontrolę nad nowo-kreowanymi trybunałami ziemskimi. — Liga musiała stać się stanem w stanie... o tyle potężniejszym, o ile potężniej wspartym przez olbrzymią większość mieszkańców. Fundusze jej pochodziły ze składek narodowych w Irlandyi, w W. Brytanii, w Ameryce i Australii; a tak obficie płynął grosz ratujący glebę ojczystą z każdego zakątka świata, że skarbnik Egan wykazał — w dniu przymusowej kasaty Ligi — remanentu czystego £. 867,000! Tę samą godzinę, gdy Ligę Ziemską skasowano Parnell ogłosił w ratuszu dublińskim powstanie Ligi Narodowej. Nowa organizacja zajęła miejsce zniszczonej, jej biura stołeczne i prowincjonalne, jej kapitały. Program swój ogłosiła w następujących wyrazach: „Otrzymaliśmy od rządu brytańskiego, co rząd ten dać się odważył; teraz zażądamy tego, co rząd dać musi: Parlament narodowy w Dublinie. Agitacja nasza będzie opartą na prawach konstytucyjnych posłów, zasiadających w parlamencie cesarskim.“

Program ten odstręczył od Ligi Michała Davitta, któremu chodziło przedewszystkiém o wyzwolenie włościństwa od ucisku landlordów. Hasłem jego było: „Ziemia irlandzka dla irlandczyków!“ Hasłem Parnella i nowej Ligi: „Irlandya dla irlandczyków!“ Davitt dążył do osiągnięcia niezależności ojczyzny przez wyrugowanie z niej kolonistów; Parnell był przekonany o niepodobieństwie urzeczywistnienia tej idei w Westminsterze, — i dlatego radził Lidze starać się przedewszystkiém o wyzwolenie Irlandyi z pod jurydykcyi parlamentu westminsterskiego, innemi słowy: odwołanie unii z r. 1800-go.

Zaznaczyć tu należy, że czysty patryotyzm założyciela Ligi Ziemskiej zasługuje na uznanie najwyższe!

Przez dwa lata następne 1883 — 84, pozostawał Davitt przy swych przekonaniach... lecz ani razu nie wystąpił przeciwko Parnellowi, owszem, żadnej nie pominął sposobności publicznej, by naczelnikowi partyi nie wyraził absolutnego zaufania i posłuszeństwa. Wszystkie starania

oranżystów i rządu, by rozdzielić lud między obydwóch, zarówno uwielbianych szermierzy, pozostali bezowocnymi.

Stronę racjonalną programu Ligi Narodowej każdy pojął i uznał; lecz sposobu, jakim miał być ten program przeprowadzony, mało kto się domyślał; ci, którym był zrozumiały, nie wierzyli w jego skuteczność, lub nie ufali mu ze względów natury czysto technicznej, nie ufali takiej taktyce parlamentarnej. Przekonanie nasze o możliwości przeprowadzenia programu Ligi i nadzieję rychłego załatwienia kwestyi irlandzkiej w parlamencie, wyśmiano w prasie rosyjskiej jako „halucynacye pseudo-korespondenta dzienników warszawskich“<sup>1)</sup>.

Plan akcyi parlamentarnej parnellistów mógł atoli wtedy dopięro być wprowadzonym, gdy w izbie niższej przeszedł bil reformy wyborczej, dający prawo wyborcze dwom milionom mieszkańców zjednoczonego Królestwa. O istocie tego bilu i o gwałtownej przeciw niemu opozycyi stronnictwa torysów pisaliśmy w „Bibliotece“ (listopad, 1884); nie jest już dziś tajemnicą, iż go uratowała sama królowa Wiktorya, gdy przez księcia Richmond et Gordon zaklinała lorda Salisbury'ego do pewnych ustępstw dla planu p. Gladstone'a.

Zanim przystąpimy do rozbioru wypadków z jesiennej kampanii parlamentarnej, dających nam miarę szczeroci p. Gladstone'a i jego kolegów w tegorocznej taktyce irlandzkiej, musimy zastanowić się bliżej nad widokami partyi irlandzkiej na początku ostatniego lata.

W Irlandyi cały naród, jak jeden mąż, stał wiernie przy Parnell'u. Amerykański Clan na-Gaël przyklasnął programowi i powiększył swe składowki do tego stopnia, że przed wyborami generalnemi Liga Narodowa odbierała ze Stanów od 12-tu do 16-tu tysięcy dolarów tygodniowo. Związki tajne, przerażone groźbą kongresu, sfolgowały znacznie w swych machinacyach. Lecz ucisk landlordów trwał w Irlandyi, bo trwały ich prawa; wzmagał się nawet w obec oczekiwanych reform gwałtownych. Trwały więc i wzmagaly się zbrodnie agrarne. Ustawy koercyjne zbliżały się do końca swego terminu prawnego; lord Spencer żądał od ministrów wczesnego ich przedłużenia, a ministrowie byli różnych pod tym względem zapatrywań. W izbie wyższej nie mieli parnellisci w pierwszych miesiącach zeszłego roku ani jednego rzecznika. W izbie niższej mieli ich... pięciu, między nimi Jana Morley'a, znakomitego literata. Sami zaś liczyli głosów 33, przeciwko 618-tu zdecydowanym antagonistom programu Ligi. Jakiż był podówczas sąd p. Gladstone'a o „marzeniach“ narodowej partyi? Najświeższe debaty w izbie przypominają nam wszystkie jego energiczne deklaracye przeciwko akcyi Parnell'a, lecz żadna z nich nie była tak stanowczą i decydującą, jak ta, którą uczynił w pierwszej

<sup>1)</sup> Zdanie to, objawione przez „Journal de St. Petersbourg,“ powtórzył miesięcznik „Blackwood's Magazine“ (lipiec, 1883). Berlińska „Germania“ usprawiedliwiła w podobny sposób usunięcie korespondencyi tej treści.



swój mowie po zebraniu się posłów na sesyą zimową (1885): „Anglia ma dość mężkiej odwagi, by na pierwsze żądanie wrzekomo narodowej partyi, zasiadającej tutaj, odpowiedzieć jednym głosem: Non possumus!... Co nasi ojcowie zbudowali, to my wiernie i święcie zachowamy, wzmacniając, spajając coraz silniej potęgę tego wielkiego cesarstwa, jednego i niepodzielnego!“

Sir William Harcourt, dzisiejszy kanclerz skarbu, a naówczas minister spraw wewnętrznych, nie inaczej nazywał kolegów Parnell'a, jak: *the men stepeed to the lips in treason* — „zanurzonych w zdradzie po same usta!“ Inni ministrowie, jak lord Kimberley i sir Charles Dilke, lord Hartington i Forster, sir Henry James i Trevelyan, Mundella, Chamberlain i lord Granville, nie pomijali nigdy danej okazji, by świat cały zrozumiał dobrze, iż, o ile to od nich zależeć będzie, ani jeden paragraf aktu unii naruszonym nie będzie. Lecz w radzie gabinetowej, z jednomyślną zgodą nad zachowaniem fundamentalnej konstytucyi Irlandyi, wybuchło w maju gwałtowne nieporozumienie co do sposobów, jakimiby wypadło rządzić w Irlandyi po 1-ym czerwca, z chwilą, kiedy ustać miała prawomocność ustaw koercyjnych.

W przekonaniu naszym, nieporozumienie to ministrów stworzyło źródło, z którego wypłynąć musiała ewolucyjna akcyja rządu angielskiego, reprezentowanego czy to przez radykałów, czy whigów, czy też torysów. Przewidywał to Parnell i od razu zajął swoją pozycyą. W gabinecie liberalnym trzech najznakomitszych jego członków, z których każdy liczy w izbie szczerze sobie oddanych stronników, przedstawiało trzy plany rządzenia Irlandyą od 1-go czerwca. Pierwszy minister, p. Gladstone, obstawał za zachowaniem częściowém aktów koercyjnych na dwa lata następne; przywódzca whigów i umiarkowanych liberałów, lord Hartington, żądał przedłużenia całkowitej ustawy na lat pięć; koryfeusz kliki birminghamskiej i bōżyszczce pewnej sekcyi radykalistów, Chamberlain, upierał się przy bezwarunkowém zniesieniu koercyi. Tym sposobem i olbrzymia większość ministeryalna w izbie rozłożyła się niebawem na trzy stronnictwa, z których każde uledz musiało głosującej w czambuł mniejszości konserwatywnej. Przypominam, że Parnell nie oczekiwał już żadnego ustępstwa dobrowolnego od p. Gladstone'a; od Hartington'a mógł się tylko spodziewać koercyi; Chamberlain'owi nie dowierzał, bo sądził, że na stosunkowo słabiej w izbie partyi radykalistycznej nie można nic trwałego budować. Zwrócił więc całą uwagę swoją na stronnictwo zachowawcze.

Nie potrzeba było wcale późniejszych zaprzeczeń i protestacyi ze strony torysów, żeby być przekonanym o tém, iż żadnych między nimi nie było traktatów i układów, ponieważ czegoś podobnego nie pozwalają przypuszczać znane powszechnie stosunki parlamentarne między torysami i narodowcami. Było jednakże mileżące porozumienie... Wiedzieli torysi doskonale, iż z pomocą parnellistów łatwo im

przegłosować stronnictwo rządowe przy lada sposobności; wiedzieli nadto, że przy zbliżających się walnych wyborach uwydatni się wdzięczność irlandczyków, zamieszkałych w Anglii, ich nienawiść do whiggizmu Hartington'a i do oportunistów pierwszego ministra. Z drugiej strony, Parnellowi zależało nieskończenie na wczesnym obznajmieniu p. Gladstone'a z maszyneryą przyszłej taktyki narodowej, zależało mu bardzo wiele na przekonaniu go o tem, iż partya, licząca głosów 33 a będąca siłą, stanie się niezwyciężoną potęgą, gdy (jak obrachowywał ostrożnie) liczyć będzie głosów 80.

Gabinet liberalny upadł w czerwcu. Tegoż samego miesiąca, gabinet zachowawczy oświadczył, iż ze względu na małą stosunkowo liczbę zbrodni agrarnych w Irlandyi, ze względu również na konieczność odbycia wyborów na wyspie bez przeszkód praw koercyjnych—ustawy nadzwyczajne zostaną całkowicie zniesione. Wypadek ten bardzo ważny posłużył Gladstone'owi do usprawiedliwienia jego reformy fundamentalnej. Rząd wysłał do Irlandyi hr. Carnarvon'a, naród witał namiestnika z nietajoną serdecznością, oranżyści milczeli, ale nie przestali uczęszczać do salonów vice-króla.

Walne wybory rozpoczęły się w listopadzie. Nigdy ciekawość powszechna nie drgała prądem niecierpliwym! Jakież będzie program „wielkiej partyi liberalnej?“ pytano; a jaki manifest ukaże się z obozu torysowskiego, w którym rej wodzą Salisbury i Churhill, w którym konserwatyzm demokrntyczny wystrzelił nagle pod wpływem czerwcowego coup d'etat, przy współudziale parnellistów?... A jak przemówi sam Parnell do wyborców w Irlandyi i do irlandzkich wyborców w W. Brytanii? Na którą stronę głos swój dadzą, po raz pierwszy w dziejach konstytucyjnych Anglii, dwa miliony świeżych wyborców, wyrobników rolnych, sług, robotników fabrycznych, górników? Pomijamy tu natężoną uwagę Europy, Europy zwłaszcza wschodniej i wschodnio-południowej! Tak bowiem doniosłe kwestye i tak palące oczekują tu załatwienia na gruncie domowym, że sprawy międzynarodowe stracić musiały w okręgach wyborczych wszelkie znaczenie. Przeciągnie wykształcony anglik, szkot i irlandczyk zostawia te sprawy do załatwienia specjalistom w parlamencie, wysokim oficerom sił obydwóch w izbie lordów i szeroko spekulującym bankierom w izbie gmin!

Kraj cały wiedział, że „wielka partya liberalna“ była w sobie rozdzieloną—lecz i to wiedziano, że samo imię sędziwego męża stanu, który w dziejach Anglii znakomitym był jeszcze przed laty 50-ciu i nim być nie przestał—że imię Gladstone'a zdoła do pewnego stopnia skupić w koło jednego sztandaru liberalnego, wszystkich wyborców, nad którymi wpływ jakikolwiek wywierały rozlane po całym kraju unie, stowarzyszenia i związki liberalne. Manifestu, przygotowanego starannie w wolnych od służby publicznej miesiącach, oczekiwano niecierpliwie.

Wyszedł on nareszcie z zamku Hawarden, ozdobiony znaną Gladstone'a frazeologią, i zawierał cztery punkta: 1) Obietnicę oswożenia hrabstw W. Brytanii z pod zbytej władzy centralnej parlamentu, czyli częściowej hrabstw autonomii; 2) wniesienie bilu reformy agrarnej dla Anglii; 3) reformę rejestracji wyborców w całym królestwie i 4) reformę procedury obrad w izbie niższej. Byłazi w manifestie wzmianka o Irlandyi? Owszem: przy punkcie pierwszym zapowiadał manifest rozszerzenie bilu autonomii hrabstw i do Irlandyi—, o tyle, o ile na to pozwolą polityczne i inne warunki w Irlandyi.“ Za to nie tajem było nikomu, że punkt czwarty zmierzał ku wyzwoleniu posłów angielskich, walijskich i szkockich od obstrukcyi (?) irlandzkich. Najbliżsi stronnicy Gladstone'a oświadczyli wyraźnie, iż t. zw. ustawę klotury trzeba będzie zmodyfikować o tyle, iżby porządek obrad nie zależał już, jak dotychczas, od woli najmniej 40-stu, lecz od woli najmniej 80-ciu głosów! Około tych głównych czterech punktów, Gladstone w manifestie poruszył, z znaną powszechnie ostrożnością i dwuznacznością, wszystkie te kwestye, które na estradach radykalistycznych prym niemal trzymały nad reformą agrarną i rządu wewnętrznego: wspomniał więc o konieczności zajęcia się sprawą kościelną, unikając słowa „kasaty;“ dotknął kwestyi dziedzicznych pensyi, sławiąc wymownie i przodków i potomków z pensyi korzystających; nie ominął też, lecz zręcznie zamglili frazesami potrzebę radykalnej reformy izby lordów.

Parnell zrozumiał dobrze, iż, jeżeli najotwartzszy oportunista w obozie liberalnym żadnych Irlandyi nie obiecał ustępstw, w chwili, gdy od irlandzkich głosów w Anglii zależeć musiała potęga liberalna w izbie, o układach mowy być już nie mogło. Począł atoli na manifest pierwszego ministra lorda Salisbury'ego.

Lord Salisbury zapowiedział politykę konserwatywną w Newport. Kto w jesieni śledził faktykę wyborczą obydwóch naczelników, ten mógł naprawdę zwątpić o doskonałości tyle wychwalonych rządów w Anglii przez stronnictwa, ten mógł zaiste z największą słusznością powiedzieć, że nie stronnictwa rządzą W. Brytanią, lecz jednostki! Program Salisbury'ego zapowiadał też same reformy, co manifest Gladstone'a, z wyjątkiem trzeciej, rejestracji wyborczej. W jej atoli miejsce chciał, żeby czempredziej podjęto w izbach reformę agrarną w pewnych hrabstwach i na pewnych wysepkach szkockich. Ale gdy Gladstone, ulegając radykalizmowi, potrafił o sprawy kościelne, o pensye i o izbę lordów—Salisbury z chwalebna odwagą, powstał gwałtownie przeciwko roztarganiu istniejących stosunków między stanem i kościołem (stosunków, niegdyś tak wymownie bronionych przez Gladstone'a); i wskazał wyborcom swe tryumfy dyplomatyczne przeciwko hanbiącym klęskom antagonisty, kładąc nacisk na konieczność odbudowania znaczenia Anglii, od którego zależy jej potęga kolonialna i co za nią idzie, rozwój dobrobytu narodowego. Cóż o Irlandyi? Irlandya, mówił lord Salisbury, a za nim

i przed nim głośno oświadczał lord Randolf Churchill: Irlandya dzisiaj nie potrzebuje ustaw koercyjnych, zbrodnie się zmniejszają. Anglia może zaufać potędze Ligi Narodowej, mogącej wstrzymać instynkta ludności. Stronnictwo rządowe (torysowskie), pragnąc z jednej strony zabezpieczyć w całości unią trzech królestw, gotowe każdej chwili użyć surowej represyi, gdy się okaże jój potrzeba—przygotowuje, równocześnie taki plan reformy konstytucyi irlandzkiej, który zadowolniając większość ludności, w niczem nie zaszkodzi interesom mniejszości.

A little bit of this, and a little bit of that!

Manifest narodowy irlandzki, wygłoszony w Dublinie w sali ratuszowej, zawierał jedno tylko zdanie: „W nowo wybranej izbie —zawołał Parnell— staniemy wszyscy razem na jednej estradzie irlandzkiej; a na tej estradzie jednej tylko trzymać się będziemy deski: całkowitej autonomii! Taktyka walki będzie prosta i łatwa: partya narodowa nie stanie ani po stronie whigów, ani torysów, ani liberałów, ani radykałów. Stawi swe żądanie, a jeżeli je rząd odrzuci... to przy najpierwszej okazji partya się złączy z jego przeciwnikami i zmieni rząd W. Brytanii; nowemu rządowi przedstawi partya znowu swoje ultimatum, z identycznym warunkiem żywotnym! Oto cały plan walki, barbarzyński w swój niemoralności! zawołał Gladstone; przesiąkły zdradą stanu! przywodził lord R. Churchill. Tak, bez wątpienia... gdyby od reprezentantow Irlandyi żądać mogła Anglia poświęcenia najdroższych interesów ojczyzny, gwoli interesom obcym. Plan kolosalny w możliwych dla Anglii następstwach! uniemożliwiający z gruntu wszelkie prawodawstwo, obalający jeden gabinet po drugim, niszczący wszelką powagę brytańskiej dyplomacyi, brytańskiego oręża—płatający chaotycznie wszystkie nici intryg i transakcyi międzynarodowych, dający Iwa brytańskiego na pośmiewisko trzecio- i czwartorzędnym sztandarom Europy! To też rozumiały stronnictwa brytańskie straszliwe niebezpieczeństwo. Łudziły się jednakże nadzieją, że w obec żądań Parnella, znikną nie-nawiści i nieporozumienia stron brytańskich; przeciwko 80-ciu posłom stanie posłów 570-ciu; wreszcie, irlandzki charakter nie dopisze posłom narodowym, rozbije ich łączność i zwali z nóg Parnell'a, jak przed nim wywrócił O'Connell'a i Butt'a!

Obydwa niebezpieczeństwa zrozumiał Parnell. Zażegnał je draścycznie. Jako naczelnik Ligi Narodowej, wybrany i zaufany szermierz narodu, postanowił użyć do przeprowadzenia swego planu środków, pozornie najmniej zgodnych z duchem agitatyi narodowej i narodowych pragnień, lecz nawet skandalicznych i wręcz przeciwnych konstytucyi angielskiej. Oparł się na tej zasadzie, że najlepsza teoria strategii wojskowej ustąpić musi praktycznej potrzebie.

Przed rozpoczęciem wyborów, Liga odbyła generalną konwen-

cyą w Dublinie. Z sali posiedzeń wykluczono obcych i wszystkich bez różnicy reporterów dziennikarskich. Obrady i rezolucye konwency zachowano w tajemnicy aż do końca wyborów. Żadne stronnictwo angielskie nie przejrzało taktyki Parnella, aż już było zapóźno. Kierowano zaś nią starannie, by zabezpieczyć partyi narodowej w izbie siłę decydującą; w tym celu starano się o to, aby przeszkodzić zbytnej większości jednego stronnictwa nad drugim, ale równoważyć je ile możności, tak iżby partya narodowa mogła każdej chwili być panią sytuacji. Należało dalej przedsięwziąć środki zaradcze, uniemożliwiające rozkład w samej partyi narodowej, apostazy, starania się o względy ministeryalne i o rządowe posady—wreszcie zapewnić w łonie koła ten rygor ślepy, który w danych okolicznościach jest nieodzownym, a którego brak rozbił był siły O'Connella i Butta. Nakoniec, trzeba było zaciągnąć pod sztandar koła ludzi, których wierność byłaby niewzruszoną. Partya irlandzka miała dość wytrawnych i doświadczonych posłów, dość mówców i zdatnych do komisji pracowników. Nie chodziło tą razą wcale o pomnożenie ludzi utalentowanych; chodziło prosto o automaty.

Parnell przystąpił do wykonania całej swej myśli nagle, ażeby utrzymać w Anglii i Szkocyi liczne złudzenia i dziwaczne nadzieje do samego końca. Na dwa dopiero dni przed rozpoczęciem pierwszej seryi wyborów, w okręgach miejskich (borough elections), ogłosił w dziennikach list otwarty „do irlandczyków w W. Brytanii,“ w którym, przypomniawszy im straszne dni koereyi Forster'a i Trevellyana, nazwawszy Gladstone'a „mężem słabego charakteru, chwiejnych przekonań, w gruncie dobrego, lecz gotowego poświęcić sumienie w zamian za władzę,“ polecił ziomkom dać głosy swe kandydatom konserwatywnym. Polecenie Parnella przyjęto jako rozkaz: półtora miliona irlandzkich wyborców w W. Brytanii sprawiło, że po ukończeniu pierwszej seryi wyborów, torysi mieli słabą większość, odniosszy niespodziewane zwycięstwa w miastach, jak Bradford, Sheffield, Leeds, Manchester i Liverpool—w których dotychczasowo przewaga liberalna była niezaprzeżona! Nie będę opisywał przerażenia „wielkiej partyi liberalnej,“ ani przedczesnej satysfakcyi torysów. Nadmienię tylko, że pierwsza ogłosiła Parnell'a „czarnym niewdzięcznikiem;“ parnellistów zaś „otwartymi wrogami Anglii.“ Torysi, spodziewając się ostatecznego tryumfu w hrabstwach, powtórzyli wprawdzie życzliwe względem Irlandyi intencye swoje (było to w miesiącu, w którym dwie okropne i bezwątpienia „agrarne“ zaszły zbrodnie na wyspie); lecz zaprzeczyli pogłoskom o ich układach z parnellistami, ponawiając gotowość swoją do użycia w Irlandyi koereyi, gdy jej w interesie rządu będzie potrzeba.

Zaszła tu okoliczność charakterystyczna, dająca nam miarę moralności publicznej stronnictw angielskich: Chamberlain, koryfeusz radykałów, postanowił bądź co bądź naprawić fortunę liberalną w wyborach prowincjonalnych (county elections), w których mieli po raz

pierwszy zabrać głos nowo wyzwoleni wyrobownicy i górnicy. Z tych pierwsi, jako zależni od zachowawczych zwykle farmerów, pastarów i landlordów, skłaniali się ku stronnictwu czerpiącemu swą powagę z interesów ziemiańskich; drudzy, ulegający wpływow ultra-sekciarskich „związków wstrzemięźliwości“ (mających swą niezmiernie bogatą i potężną komisją centralną — the British and Foreign Temperance Associations) — otrzymali byli swe hasło: Disestablishment of the Church, innemi słowy: równo-uprawnienie sekt dyssydenckich! Wśród wyrobników rzucił Chamberlain socjalistyczną agitacją przeciwko landlordom i farmerom z znaną obietnicą „trzech akrów roli z krową“ każdemu wyrobnikowi. Górnikom obiecał skrócenie godzin roboczych, reformę kontroli nad eksploatacją min i kopalni węgla, i.. kasatę Kościoła państwowego. Przypomnę, jak szalona powstała w Anglii burza przeciwko tej propagandzie Chamberlain, zaproszony do Hawarden, zmuszony był odwołać kasatę. Przystąpiwszy do władzy, zmuszony był również „odłożyć trzy akry z krową“ do chwili sposobniejszej. Ale wyborcy, którzyby może nie byli głosowali za Gladstone'm, głosowali za Chamberlain'em.

Parnell nieżał. Koledzy zato jego czuwali po hrabstwach W. Brytanii. Gdzie przeważała opinia radykalno-liberalna, tam polecili ziomkom wspierać kandydatów konserwatywnych; gdzie przemagał toryzm — irlandczyk miał głosować przeciw niemu. W ostatecznym więc rezultacie, co torysi zdobyli w miastach, to utracili w hrabstwach; stronnictwo zaś p. Gladstone'a w Anglii zaledwie wsparte, znalazło jaką taką siłę w Szkocyi lub Walii — tracąc tym sposobem zupełnie dotychczasowy swój charakter partii nie tyle angielskiej, ile brytańskiej. Siedmiu członków byłego rządu Gladstone'a nie zdołało wcale odzyskać poselskich mandatów.

Wybory w Irlandyi odbywały się tymczasem według niezwykłej dotąd metody. Szczupły komitet Ligi Narodowej, złożony z Parnella i siedmiu parlamentarnych jego kolegów, sporządził spis narodowych kandydatów do izby poselskiej. Powiedzieliśmy już, że nie chodziło bynajmniej o postów zamożnych ani utalentowanych; ale też nie można było pominąć zupełnie opinii i głosu okręgów. Na żądanie przeto komitetu, poszczególne gałęzie Ligi w hrabstwach, miastach i parafiach przygotowywały również swoje spisy popularnych osobistości, a to w celu zaopatrzenia partii w kandydatów lojalnie znanych i szanowanych, w razie gdyby kandydaci komitetu nie zdołali w pewnych miejscowościach zdobyć sobie wziętości. Nie wiem atoli, czy można wskazać lepszy dowód głębszego wpływu osobistego Parnella nad ten, iż nie zdarzyło się w ciągu wyborów, by kandydat przez niego polecony został przez wyborców odrzucony. Dowód także niepoślednio rozwiniętych uczuć obywatelskiego obowiązku widzieliśmy w samych kandydatach, którzy przyjęli bez oporu nadzwyczajne warunki Ligi. Zanim bowiem który z nich stanął przed wybor-

cami w imieniu i z potężnem poparciem Parnell'a, musiał przyjąć i podpisać następujące zobowiązanie:

1) Że w izbie będzie zasiadał i głosował bezwarunkowo z partją narodową;

2) Że w żadnej kwestyi, obchodzącej Irlandyą, nie zabierze głosu bez upoważnienia partyi;

3) Że bez zezwolenia partyi nie wstrzyma się od żadnego głosowania i nie oddali się z Londynu;

4) Że od rządu nie przyjmie żadnego urzędu;

5) Że w razie przekroczenia któregoś z powyższych punktów lub na żądanie partyi zrezygnuje natychmiast z mandatu.

Dodajmy, że Liga wyznaczyła pewien fundusz żelazny na opłacenie tych posłów, którzyby nie mogli bez straty posad zajmowanych, przenieść się do Londynu i wyłącznie poświęcać się parlamentarnym pracom.

Rezultat wyborów przewyższył śmiało nadzieje Parnella: Liga przeprowadziła w Irlandyi 85-ciu swych kandydatów, a jednego w Liverpoolu; rozbiła zupełnie kolonialne stronnictwo whigów i przez agitacyą w Ulsterze sprawiła, że kolonialni torysi zdobyli sobie tylko 16-stu reprezentów!

## II.

Rozpisałiśmy się nieco szczegółowo o usiłowaniach partyi irlandzkiej i jej stosunkach do stronnictw brytańskich; a uczyniliśmy to z powodów ważnych. Pismo peryodyczne dążności poważnych powinno zaznaczyć nie tylko ostateczne rezultaty tak doniosłego rozwoju politycznego, lecz i kronikę wypadków, które wywierały wpływ potężny na dalszy przebieg olbrzymiej kwestyi. Przegląd tych wypadków ułatwi nam rozbiór eklektycznego projektu ministeryalnego, da słuszną miarę szczeroci polityki anglo-irlandzkiej i pozwoli wypowiedzieć otwarcie zdanie o... wartości reformy, przedsięwziętej wśród takich okoliczności.

Z chwilą, w której o ostatecznym zwycięztwie parnellistowskiej w Irlandyi kampanii nikt już wątpić nie mógł,—Parnell znów zamilkł, zamilkli wybitni jego koledzy. Milezeli aż do dnia 8-go kwietnia. W stronnictwach za to brytańskich popłoch powstał i zamieszanie chaotyczne. Jedno pytanie było w ustach wszystkich: Które stronnictwo, liberalne czy konserwatywne, zakupi sobie obietnicami pomoc 86-ciu narodowców. Stronnicy Gladstone'a i Chamberlain'a zaręczyli, iż tylko zdradziecki toryzm, już i tak skompromitowany przez odwołanie koercyi poświęci resztę skrupułów i wzmocni się „nieświętem przymierzem z buntownikami.“ Stronnicy Salisbury'ego

i Churchilla oczekiwali zaprzeczenia tym pogłoskom, a doczekali się tylko ponownego protestu przeciwko wieściom o „sekretnych z parnellistami układach“. Nie podobna wątpić, iż sam Gladstone święcie był przekonany o prawdopodobieństwie aliansu, jeżeli nie Salisbury'ego, to Churchilla z Parnellem. Dowodzi tego osobista jego kampania wyborcza w Midlothian—rozpoczęta nader późno, z powodów łatwo zrozumiałych.

Dziwnie się czytają mowy Gladstone'a listopadowe obok kwietniowych! Przypomnijmy sobie, że w Szkocyi, w okręgach edymburskich (Midlothian), ludność przyjęła manifest październikowy z zapamiętem; że w listopadzie, po agitacyi Chamberlain'a na rzecz kasaty Kościoła, szkoci oczekiwali z żywą niecierpliwością od sędziwego męża stanu stanowczej obietnicy kasaty. Tymczasem—zgrzybiały, lecz pełen młodzieńczego ognia, kandydat, zaraz w pierwszej swój mowie odłożył tę wybitnie szkocko-walijską kwestyą to a dim and distant future—, „do mgławiej i dalekiej przyszłości;“ to a long vista of Parliament — „do dłużej perspektywy parlamentów...“ a natomiast wystąpił gwałtownie z nową zupełnie sprawą w niespodziewanym charakterze: oskarżyciela partyi irlandzkiej! Dzisiejszy pierwszy minister, a naówczas naczelnik opozycyi zaklinał z mównicy edymburskiej, by wielkie stronnictwo liberalne zapomniało swych kłótni i swarów, „w obec najgroźniejszego niebezpieczeństwa, na jakie dotąd cesarstwo pełne chwały jest narażone... niebezpieczeństwa zbrodniczego przymierza z buntownikami!“ Parnellistów nazywał „niewdzięcznikami,“ ludźmi, którzy „pod maską patryotyzmu szachrują własnym sumieniem i przyszłością Irlandyi;“ „pseudo-patryotami, niegodnymi szacunku uczciwych ludzi“ i t. p. Naród W. Brytanii jeden miał tylko obowiązek: stanąć łącznie i zgodnie w szeregach zwartych, przeciwko koalicji, „której niewątpliwym wynikiem musiałoby być wprowadzenie doniosłych zmian w fundamentalnym akcie unii W. Brytanii z Irlandyą!“<sup>1)</sup>.

A jednakże... p. Gladstone nie miał zamiaru zamykać sobie wszystkich dróg wyjścia! W tej matni krasomówczych uniesień słyszano lub czytano zdania, które w listopadzie zdawały się nie mieć wielkiego znaczenia, które dziś atoli przybrały znaczenie jedynę. Wyrzekając na niewdzięczność parnellistów, Gladstone po kilkakroć zawołał: „A w końcu, od kogóż oczekują irlandzcy wicej ustępstw, ustępstw najobszerniejszego zakresu? Czy od swych nowych mecenasów?“ Na inném miejscu czytamy w stenograficznych sprawozdaniach słowa jeszcze wicej znaczące: „Ja mam ustaloną opinią o członkach partyi irlandzkiej, jednego im tylko odmówić nie można: ich by-

<sup>1)</sup> Dosłownie: „An alliance of which the undoubtful result must be the introduction of portentous changes in the fundamental Act of Union between Great Britain and Ireland“—Ostatnia mowa w Edyburgu, 22-go listopada 1885 r., według sprawozdań stenograficznych.



strości i dowcipu. Pytam się więc was, panowie, jakże można pojąć, iż tacy posłowie, jak pp. Healy, Sexton i Justyn Mac-Carthy, jak przedewszystkiém p. Parnell—nie chcą uznać, iż jedyną ich nadzieją jest nasze wielkie, nasze postępowe, nasze wspaniałomyślne, nasze narodowe stronnictwo liberalne?''

Czy rozumie czytelnik, jaki był cel bezpośredni tych frazesów? Naczelnikowi opozycji chodziło przedewszystkiém o... wywabienie Parnella z milczenia, które on sobie i swoim stronnikom nałożył, o spróbowanie raz jeszcze drogi układów nie oficjalnych, o przekonanie się, czy już nie byłoby sposobu porozumienia się? Ale Parnell milczał. Ponowiono więc z głębszą goryczą agitacją przeciwko „nieświętemu przymierzu“ torysów z „buntownikami.“ Już ta sama okoliczność, że gabinet Salisbury'ego nie zrezygnował natychmiast po skończonych wyborach, (do czego nie miał żadnego powodu, bacząc na słabą większość opozycji i na panujące w jej łonie niezgody) wystarczała, by agitacja przeciw wrzekomemu sojuszowi wzmogła się do ostatnich granic. Dzisiejszy kanclerz skarbu, dzisiejszy główny po Gladstonie rzecznik nowej konstytucji irlandzkiej, a w pięciu latach ubiegłych najzjadliwszy wróg Ligi, sir W. Harcourt, wołał i pisał publicznie: „Owszem, niechże torysi pozostaną przy władzy! nam to najlepsze odda przysługi, zdyskredytują się ze szczerem, let them stew in the parnellite juice! „niechże się marynują w parnellowskim sosiel!“

Tymczasem lord Salisbury, zmuszony powziąć stanowczą decyzją w wypadkach Europy wschodniej, postanowił nie zwlekać dłużej, postanowił oczyścić się z zarzutów i tém samém poznać istotne względem swój partyi usposobienie narodu. Uchwycił więc najpierwszą okazją i na ministeryalnym bankiecie w londyńskiej Guildhall (halli cechów), wypowiedział mowę, która miała następstwa najnie spodziewane. Wystąpił w niej w imieniu jednomyślniej niemal opinii angielskiej, przeciwko zamachom na kasatę Kościoła i—w imieniu jednomyślniej opinii brytańskiej, przeciwko naruszeniu aktu unii z Irlandją. Nie dość na tém: biorąc pochop z kilku świeżo spełnionych zbrodni agrarnych w Irlandyi, Salisbury zapowiedział gotowość wznowienia pewnych artykułów ustawy koercyjnej, w razie, gdyby prawo zwyczajne nie było zdolne utrzymać na wyspie porządku!

Po tej deklaracji, przyjętej w obozie liberalnym z szyderczemi aluzjami do „kwaśnych winogron,“ nastąpiło kilka dni spokoju i skupienia. Co robił naczelnik opozycji? Używał wczasów w Hawarden i jeśli swym zwyczajem drzew nie ścinał, żczywał lekarstwo i pielęgnował swe gardło. Zapytywany w pismach publicznych, jakież przeciwstawi projekt rządu Irlandją, odpowiedział: Nie wypada mi z zacisza mego stawiać propozycji; należy czekać na oficjalną deklaracją ministrów w parlamencie; „cokolwiek bądź ma się uczynić dla Irlandyi, inicjatywę podjąć może jedynie... pierwszy minister korony.“ Odpowiedzieć taka nie zdradzała jawnie tego, żeby polemizujący

z Huxley'em starzec miał w tece szemat anti-ministryalny rządu irlandzkiego. Czekano na wyraźniejsze objawienie—daremnie.

Milczał bowiem ten, który mógł być jedynie ułatwić zadanie „wielkiego starca.“ Parnell zrozumiał doskonale, że, o ile dotyczyło torysów, gra w ciuciubabkę się skończyła; nie wynikało ztąd przecie, by zdjął z oczu przepaskę przed ci-devant wielką partją liberalną i jej wcielonym wyrazem! Milczał i czekał, by „góra sama przyszła do niego.“ I przyszła! W pierwszych dniach grudnia, jeden z synów Gladstone'a, Herbert, członek izby, wypowiedział mowę w Chester, tuż w sąsiedztwie ojcowskiej siedziby; a rozbierając powody wrogiego zachowania się wyborców irlandzkich w W. Brytanii, rzucił niby od niechcenia, niby w przystępie desperackiej fantazyi, wykrzyk następujący: „Bał panowie, jeśli większość posłów z Irlandyi domaga się samorządu (homerule), to jużci jabym się nie sprzeciwił żądaniu takiemu! Niechże się irlandczycy rządzą sami, czemu nie? Żaden liberat nie zobowiąże się rządzić w Irlandyi wieczystą koercyą!“

Ileż to listów odebrał ojciec Herberta, ileż naglących telegramów, żądających wyjaśnienia słów synowskich! Gladstone atoli odwłóczył odpowiedź aż do pierwszych dni stycznia; wtedy dopiero, pewien już swego odpisał jednemu z najwięcej natrętnych, że „za syna nie odpowiada“—*acta tē habet; ipsū quaeratis!*...

Wiadomo, że gabinet Salisbury'ego nie zapowiedział w mowie korony żadnego prawodawstwa dla Irlandyi; że wysłany do Dublina nowy sekretarz generalny, W. H. Smith, powrócił z projektem odnowienia pewnych artykułów ustawy koercyjnej; że lord Carnarvon ustąpił z zanku dublińskiego. Korzystając z ubocznej zupełnie interpelacji Collings'a, odnoszącej się do reform agrarnych w Anglii, Gladstone obalił gabinet torysowski i złożył nowy gabinet, w którym nie zasiadł ani 30-to letni jego towarzysz, Hartington, ani Goschen, whig w przekonaniu i utalentowany dyplomata, ani sir Henry James, dotychczasowo filar wielkiej partyi. Panowie ci, nie pochwalając porozumienia z parnellistami, odmówili udziału w rządzie pozornie dla tego, że większa część kolegów premiera zobowiązała się w Szkocyi i w Walii przeprowadzić kasatę Kościoła państwowego.

Nie wspomniemy już rekryminacyi torysowskich na niemniej „nieświęte przymierze“ posła z Midlothian „z buntownikami, niegodnymi szacunku uczciwych ludzi.“ Lecz na zachowanie się stronnictwa liberalnego nie można nie zwrócić uwagi, bo dowodzi ono, do jak nieograniczonego stopnia przywiązana jest W. Brytania liberalna do swego sędziwego koryfeusza. Stronnictwo liberalne sąd swój o nowém ukształceniu stosunków w izbie zawiesiło, nie zganito wielkiego polityka, ani go nie pochwaliło. Styszeliśmy na prowincyi opinią angielskiego włóściaństwa: *We wouldn't trust Salisbury, but we*

trust Gladly: he can't be wrong, and so he is right; the Grand Old Man—God bless him! <sup>1)</sup>.

Na zadane sobie w końcu stycznia zapytanie, pierwszy minister odpowiedział, że ustawodawstwo dla Irlandyi będzie natychmiast przedmiotem ciągłych obrad gabinetu, i że gabinet uczyni odnośną deklaracyą w pierwszych dniach kwietnia. Powiedzmy więc słów kilka o przygotowaniu wielkiego projektu.

Z góry już zazuaczamy, że projekt nie jest dziełem 1) partyi liberalnej, bo partya ta wszelką myśl o nim odrzucała statecznie i z oburzeniem w ciągu wyborów, a nadto nie miała najmniejszego udziału w jego wypracowaniu; 2) projekt nie jest dziełem gabinetu liberalnego, bo przeciwnie do przestrzeganego obyczaju, a obyczają zgodnego z tutejszym konstytucjonalizmem, ministrowie, składający gabinet, nie byli przypuszczeni do pracy swego szefa, projekt został wygotowany w całości przez pierwszego ministra i w całości dopiero przedłożony radzie gabinetowej. Natychmiast po jego przedstawieniu zrezygnowali dwaj najwybitniejsi członkowie gabinetu: Chamberlain <sup>2)</sup> i Trevelyan; ten ostatni, był sekretarz generalny irlandzki za rządów hr. Spencera. Powody ich secesyi poznamy niżej.

Jeżeli jednakże ani partya brytańska, ani brytański gabinet nie noszą odpowiedzialności za pierwszą myśl projektu i jego poszczególne postanowienia, to z drugiej strony, nie można powiedzieć, iżby Gladstone nie radził się, przed rozpoczęciem swój kolosalnej pracy i w jej ciągu, osób najwłaściwszych. Owszem, zapytany oficjalnie przez jednego z „wielkich mistrzów“ łóż oranżystowskich, lorda De Vesci, na jakichby podstawach zbudował przyszły rząd w Irlandyi — odpowiedział przez zaproszenie irlandczyków, bez różnicy wyznania i opinii politycznych do spisania swych zapatrywań — narodowych i kolonialnych, i przesłania mu ich do Londynu. Łatwo pojąć, z jakim zdziwieniem (by nie użyć dosadniejszego wyrazu) wyczytano odpowiedź tę w pismach brytańskich! Wyśmiano dość ogólnie stronę techniczną śmieszności żądań pierwszego ministra; zapytywano, ile furgonów wysyła rząd pocztowy stolicy do pałacu przy Downing-street, ilu tam jest sekretarzy, czytelników; co p. Gladstone robi z przeczytanemi dokumentami i po czemu sprzedaje żona jego centnar zużytego papieru?... Nie dowiedzieliśmy się też dotąd jeszcze, czy minister znalazł w tak rozlicznych komunikacyach cokolwiek, coby mu było podało myśl przewodnią projektu. Tyle pewna, że pierwsza pośpieszyła z od-

<sup>1)</sup> Nie ufamy Salisbury'emu, lecz ufamy Gladstone'owi, bo on się mylić nie może, dla tego też ma racyą, dzielny starzec — niech mu Bóg błogosławi.

<sup>2)</sup> Tekę ministra administracyi hrabstw (Local Government) objął po nim wuj znanej czytelnikom pani M. A. Biggs, p. James Stansfold, który piastował ten sam urząd w gabinecie Gladstone'a od r. 1870—74-go.

powiedzią hierarchia rzymsko-katolicka, za nią — t. zw. „The Loyal Patriotic Union of Great Britain and Ireland,” ciało reprezentujące interesa oranżyzmu; dalej, prowincjonalne komisye podatkowe. Partya parlamentarna milczała i żadne między nią i ministrem nie zostały porozumienia, jak tego dowodzi przebieg rozpraw nad wniesionym następnie projektem.

Ośm tygodni trwała praca wielkiego ministra razem z tajemnicą głęboką nad ewentualną formą projektu. Czego się domyślano i czego się nie domyślano, nie tu miejsce opowiadać; przeczuwano atoli uroczystość i niezmierną doniosłość chwili, w której, poraz pierwszy w dziejach W. Brytanii, odpowiedzialny pierwszy minister korony... więcej jeszcze, kiedy Gladstone, mąż zgrzybiały wiekiem wśród tylu reform brytańskich, stanie w izbie, by w imieniu monarchini złożyć „ostatni możliwy szemat przyszłego rządu w Irlandyi“<sup>1)</sup>. Wystąpienie ministra w izbie (wiedziano to dobrze), musiało być ostatnim aktem 700 letniej przeszłości Zielenój wyspy!

### III.

Podejmujemy teraz część najważniejszą naszej pracy: — należyte streszczenie dwoistego bilu pierwszego ministra. Rozpoczynamy od rozbioru zasad, jakich się trzymał p. Gladstone w projekcie swoim.

Pierwszą zasadę znajdujemy dosadnie wyrażoną w samym początku jego mowy z dnia 8-go kwietnia: jest nią konieczność znalezienia spokojnego i przyjaznego modum *vivendi* z ludnością kraju, zawojowanego przed 700 laty. W. Brytania rządziła dotychczas jedną tylko alternatywą w Irlandyi — koercyą: „Przedewszystkiém — mówił Gladstone — chciałbym skierować uwagę waszą na to, że podczas gdy prawodawstwo zaprowadzające w ustawach prowizye wyjątkowe, powinno samo być z własnej natury absolutnie wyjątkowem, stało się ono u nas nie wyjątkowem, lecz zwyczajnym, chronicznem. Jesteśmy jako człowiek, który, widząc lekarstwa, które mogą mu pomódz do zdrowia, żyćby chciał jedynie i wyłącznie owemi lekarstwami. A juźci narody równie jak indywidua nie znajdują sił żywotnych w tém, co miało stanowić tylko środki lecznicze! Byłż atoli te środki z bawienkami? Czy osiągnęliśmy cel, któryśmy osiągnąć pragnęli? Nie, panie!”, zbrodnia agrarna stała się w Irlandyi złem równie zwyczajnym i chronicznem, jak prawodawstwo, które ją miało wypenić; a te zbrodnie agrarne, choć w téj chwili właśnie nie częste, mają fatalną dążność do szerzenia się pod wpływem okoliczności, dodających im bodźca, i mnożą się od czasu do czasu i wzmagają się do rozmiarów takich i w tak groźnych formach, że ży-

1) Z mowy pierwszego ministra, 8-go kwietnia.

2) Wszystkie przemowy zwracają się w angielskiej izbie niższéj do przewodniczącego (Speaker—mówcy).

cie społeczne i spokój pracy domowej wystawione są przez nie na największe niebezpieczeństwo. Od początku obecnego stulecia zajmowaliśmy się rozszerzaniem i utwierdzaniem wielkich interesów cesarstwa. Dzielę peryod ten od aktu unii z Irlandyą na dwa poryody—pierwszy od r. 1800 do 1832-go, epoka dotąd pamiętna z „wielkiego aktu reformy,“ i drugi od r. 1833 do 1885-go. Nie wiem czy zauważono dotąd, że w pierwszym z tych peryodów w ciągu lat 32-óch, niemniej jak lat jedenaście przeszło w parlamencie bez najmniejszej represyi, bez jednego aktu koercyjnego dla Irlandyi; lecz w 53-ech latach następnych, takeśmy zaiste daleko postąpili w drodze zasad liberalnych, że dwa tylko lata wolne są w księgach statutowych od wyjątkowego prawodawstwa! Czyż to samo nie wystarcza, byśmy raz przecie uczynili troskliwy przegląd stanowiska? Odważyłbym się nawet—ufając, że izba myśl moję zrozumie—powiedzieć dziś, że ta koercya, jakiejśmy dotąd używali, była niedostateczną i nieradykalną, że więc, jeżeli już innego nad koercyą nie ma sposobu rządzenia Irlandyą, to niechże ta koercya będzie absolutną, niechże się sroży bezwzględnie i bez wytchnienia, niechże odpowie wymaganiom i celom!“

Drugą zasadą projektu jest przekonanie, że naród irlandzki nienawidzi prawodawstwa obcych: „Cóżemy w Irlandyi sprawili? pyta Gladstone. Tyle tylko, a uważam to za fundament wszystkiego złego—że wszelkie prawo, słuszne czy niesłuszne, nie ma w Irlandyi zachowania—a nie ma go dla tego, iż przychodzi do kraju w obcej szacie i z obcą fizyognomią.“

Jako trzecią zasadę wypowiada projekt, że prawo zwyczajne nie wystarcza w Irlandyi. „Natchmiał po upłynięciu prawo-mocy każdego aktu koercyjnego zbrodnie pomnożyły się w czwórnasób.“ Minister wypowiedział dalej o ustawach wyjątkowej represyi następujące uwagi: „Moglibyśmy wykazać w dziejach przypadki, w których koercya bezwzględna, stała i rezolutna odniosła skutki pomyślne; lecz w przekonaniu mojem, dwóch ku temu potrzeba warunków, mianowicie: samowładztwa rządu i tajnej tranzakcyi spraw publicznych. Czyż więc koercya może być pomyślną w otwartém świetle dnia? i czyż ludność Anglii i Szkocyi zastosuje ją do ludności Irlandyi, gdy sama ehełpi się, jak świat wielki i szeroki, z swęj nieograniczonej swobody i wolności? Nigdy, dopóki nie spróbuje drugieję alternatywy.“

Czwartą więc zasadą projektu jest konieczność powrócenia samorządu Irlandyi. Lecz dwie ostatnie zasady — nierozzerwalności unii z r. 1800 i zabezpieczenia praw irlandzkieję mniejszości—stanowią rdzeń największych trudności i opokę, o którą—zdaniem naszym—rozbić się musi każdy projekt „to the better goverment“ Irlandyi, dopóki Irlandya sama, przyjąwszy szczerpłą miarę samorządu, nie rozszerzy jęj sobie zgodnie z potrzebami całej swęj ludności.

Dla czego projekt pierwszego ministra składa się z dwóch bilów, mających otrzymać prawomoc swęj równocześnie? Dla tego, że p. Gladstone nie ufa irlandczykom, nie dowierza, by narodowy parlament

irlandzki zechciał, lub mógł nawet traktować kwestyą ziemiaństwa sprawiedliwie, by mniejszość irlandzka przyjęła decyzycę większości bez oporu. Naród irlandzki może dopiero wtedy otrzymać autonomią, gdy reprezentanci jego utracą możność uregulowania kwestyi agrarnej.

Obznajmiemy tedy czytelnika z bilem agrarnym; tu i owdzie przyjdzie nam jednak rozbiierać artykuły pierwszego bilu w świetle zamieném drugiego i odwrotnie.

Przedewszystkiém więc, irlandzcy członkowie izby niższej (103) i irlandzcy członkowie dożywotni izby lordów (28) mają opuścić Westminster i przenieść się do Dublinu. Lecz jeżeli w przyszłości W. Brytania zmieni lub cofnie tę, jak ją nazwał Gladstone, Magnam Chartam Irlandyi, to wszyscy ci członkowie, czy ich następcy będą mieli prawo powrotu do Westminsteru, aby albo bronić swęj konstytucyi, lub też zająć ponownie swoje w Anglii stanowisko. Irlandya więc nie będzie miała wpływu na wybór angielskich gabinetów, ani na politykę Anglii zagraniczną, ani na jęj wojny. Pod tym przynajmniej względem, przestanie być częścią cesarstwa i zostanie faktycznie kolonią. Rząd irlandzki będzie reprezentacyjnym; składać go będą: wicekról i parlament, względnie gabinet, obrany większością głosów w parlamencie. Ale wicekról przestanie być reprezentantem ministerjalnego stronnictwa w W. Brytanii, przestanie być reprezentantem Kościoła państwowego: może być katolikiem, a funkcyę jego będą te same stosunkowo, co funkcyę królówęj.

Skład i jurydukcya parlamentu stanowią pierwszą seryą nader skomplikowanego organizmu. Ciało prawodawcze dublińskie składać się będzie z dwóch „porządków czyli Stanów“ (Orders), wyższego i niższego, obradujących pospołu, lecz posiadających wzajemne względem siebie prawo, kasujące wynik obrad. Gdy więc większość posłów uchwali ustawę lub rezolucyą—mniejszość będzie mogła założyć veto; to zaś veto ma uniemożliwić ponowne nad wnioskiem obrady na lat trzy lub do czasu rozwiązania izby i świeżych wyborów. „Porządek wyższy posłów“ (możemy go nazwać protestanckim, oranżystowskim, antinarodowym) składać się będzie ze 104-ech członków, mianowicie z owych 28-iu parów, zasiadających dziś dożywotnio w Londynie, i z 75-ciu członków z wyborów. Atoli wybory „Porządku wyższego“ nie będą się odbywały na tych samych zasadach, co wybory Niższego, a to właśnie w celu zabezpieczenia mniejszości od przewagi narodowców. Wyborcami do „Porządku wyższego“ będą ci tylko mieszkańcy Irlandyi, których domy lub role są oszacowane na 25 f. szt. w urzędzie podatkowym. Dalęj: członkowie tegoż Porządku będą wybierani na lat 10 (t. j. będą niezależni od trwania poszczególnych parlamentów) i muszą posiadać najmniej po 200 f. dochodu rocznego z majątku rzeczywistego, lub z pensyi. „Porządek niższy“ składać się będzie z 204 członków, t. j. ze 103-ch posłów dzisiejszych (z których 86-ciu jest narodowych) i ze 101 posłów, wybieralnych według praw wyborczych istniejących.

Wracając na chwilę do owego veto, wskażemy jak w praktyce postępować ma maszynerya parlamentarna w Dublinie.

Przypuśćmy, że z łona więkzości narodowej wyjdzie wniosek prawa niemiły mniejszości; obrady postąpią oczywiście do drugiego, może i do trzeciego czytania; natenczas mniejszość, korzystając z przywileju swego zażąda, by głosowanie odbyło się osobno w każdym Porządku. Porządek wyższy odda swe głosy oczywiście przeciwko wnioskowi... wniosek musi być cofniętym na trzy lata, lub izba musi być rozwiązana. Otóż zważając, iż gabinet będzie wyrazem narodowej więkzości, że więc pierwszym ministrem będzie np. p. Parnell—cóż łączniejszego, jak poradzić wice-królowi rozwiązanie i po nowych wyborach, ponowić w izbie wniosek? Na tym punkcie claudicat, zdaje się, ochronna przezorność p. Gladstone'a.

Irlandzki parlament narodowy będzie miał swobodną i od Westminsteru niezależną jurysdykcyą nad wszystkimi sprawami kraju, z wyjątkiem ziemi, której ustawodawstwo, wychodząc z drugiego bilu Gladstone'a, pozostanie i nadal przy parlamencie cesarskim; i z wyjątkiem podatków celnych i akcyzowych (Customs and Excise), których pobór przez W. Brytanią ma świadczyć o trwającej między obydwoima krajami unii. Ciało dublińskie nie ma za to posiadać żadnej kompetencji w sprawach, dotyczących prerogatywy korony, następstwa tronu, apanażów; nie ma zabierać głosu w sprawach, obchodzących siły lądowe i morskie cesarstwa, w kwestyach kolonialnych, przemysłowych, mennicznych i dyplomatycznych.

W ten sposób ograniczone atrybucye parlamentu muszą ewentualnie stawić równie Irlandyą jak W. Brytanią na stopie nietylko wzajemnej nieufności, lecz, przysławszy zasadę Gladstone'a o „prawie w obecj szacie“, nawet wzajemnej nienawiści. Autonomia w takiej formie nie jest zgodną z duchem i literą konstytucyi brytańskiej, występuje przeciwko kardynalnej zasadzie Magnae Chartae angielskiej, stanowiącej „o nierozłączności reprezentacyi od podatkovania“ (taxation is inseparable from representation). Wykażemy to nieco szczegółowo, z finansową statystyką Irlandyi w ręku.

Przychody Irlandyi (wnoszone dzisiaj do skarbu W. Brytanii) przedstawiają się, jak następuje:

Z podatków celnych . . . . .	£. 1,880,000
Z akcyzy . . . . .	„ 4,300,000
Z podatków stemplowych . . . . .	„ 600,000
„ dochodowych . . . . .	„ 550,000
Z dochodów nieopodatkovanych (włą- czając poczty i telegrafy) . . . . .	„ 1,020,000
Razem	£. 8,350,000

Przeciwko téj sumie przychodów postawmy proponowany przez p. Gladstone'a budżet rozchodów. Dzielimy go na dwie klasy: cesarską

i irlandzką, według rozkładu sum, na takie, które Irlandya ma spłacać nadal W. Brytanii i na takie, które użyje na swe własne potrzeby:

I. Cesarska	{	a) kontrybucya (w stosunku $\frac{1}{15}$ do W. Brytanii) do spłaty długu narodowego . . . . .	£. 1,486,000
		b) kontrybucya ( $\frac{3}{4}\%$ ) do funduszu amortyzacyjnego (Sinking Fund) . . . . .	„ 360,000
		c) opłata administracyi brytańsko irlandzkiej. . . . .	„ 100,000
		d) „ na utrzymanie sił zbrojnych Anglii (z wyjątkiem ochotników) . . . . .	„ 1,666,000
		Razem	£. 3,612,000
II. Irlandzka	{	a) na utrzymanie sił policyjnych . . . . .	£. 1,000,000
		b) na opłatę administracyi rządowej (Civil Service) . . . . .	„ 2,500,000
		c) na koszta poborów celnych i podatkowych . . . . .	„ 834,000
		Razem	£. 4,334,000

Zatem ogólny rozchód roczny = £. 7,946,000

Odciągnąwszy tę sumę od sumy dochodów, pozostanie w skarbie narodowym irlandzkim corocznie nadwyżka wysokości 404,000 f. szt.

Otóż, co nasamprzód zwraca uwagę naszą, to owa wielka nieregularność budżetu, obliczającego z góry dochód Irlandyi jako pewny, według tabeli ostatniego roku; i obciążającego irlandzką administracyą równie stanowczym, statutowym, niezmiennym ciężarem kontrybucyi t. zw. „cesarskich!“ Dwa lata ostatnie dały Irlandyi dobre urodzaje; nie wiadomo, czy wyspa jest daleką od peryodycznej klęski kartoflanej. Powtóre, konkurencyja targów amerykańskich zniża ceny zbożowe w Irlandyi (tak samo, jak w Anglii) każdego roku; znakomici statyści obliczają pod tym względem roczną stratę Irlandyi do minimum 23,000 f. szt. przeciętnie, co czyni 230,000 w latach 10-ciu. Do tych dwóch względów wypada nam jeszcze dodać trzeci — i to najważniejszy. Produkcyjna siła w Irlandyi ześrodkowała się najprzeważnie w protestanckiej i oranżystowskiej prowincyi północnej. Ludność Ulstern, przetgowana wyjątkowo w pierwszych 250 latach po „plantacyi“, a złożona z oszczędnych szkotów, walijczyków i anglików, dierży poniekąd i dziś wyłącznie monopol rękodzielnictwa irlandzkiego, które krajomcom było nasamprzód surowo wzbronione, dalej utrudniane, ostatecznie w stanie ich podupałym uniemożebnione. Irlandzkie jedwabie, płótna i sukna wyrabiają się w Ulsterze; Belfast, współzawodniczące rozległością i pięknością z stolicą kraju, Dublinem, jest nierównie zamożniejszém miastem i, jako port handlowy, niezmiernie więcej znaczącém. Nakonięc, ulsterskie miasta wybrzeżne stanowią łańcuch najlepszych w zachodniej Europie warsztatów okrętowych. Ta siła produkcyjna



najwyraźniej się uwydatnia w proporcji finansowej: Ulster płaci dzisiaj do skarbu państwa  $\frac{3}{5}$  całego dochodu krajowego! Niewątpliwie też ta finansial capacity Ulsteru oddziaływa potężnie na ogólne stosunki finansowe wszystkich czterech prowincji. Otóż, pomijając zupełnie pogrózki „wojny domowej między północą i południem,“ w razie ustanowienia osobnego parlamentu w Dublinie, to jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości, że za przykładem kilku wielkich przemysłowców ulsterskich, którzy w tej chwili (koniec kwietnia) robią przygotowania do przeniesienia swych zakładów do Anglii, pójdzie więcej. Wiedzą oni bowiem najlepiej, że irlandczyk, byle tylko miał „szansę,“ wzorowym jest przemysłowcem; a jużci parlament z ogromną większością narodową źleby spełniał swe obowiązki, gdyby ziomkom nie zwrócił korzyści dawnych i nie otworzył im nowych!

Tym sposobem wytworzy się w Irlandyi sui generis zbawienne przesilenie, mogące potrwać lat 10, 20, które zniży niepomału sumę dochodów i wystawi na wielkie niebezpieczeństwo nadwyżkę słabą 404,000 funtów. Lecz mniejszaby o tę... ciasnotę choćby 20-to letnią! Ręchować się przyjdzie nadto z retaliacją ex-ulterczyków w Anglii i w Szkocyi! O odwet będzie im bardzo łatwo: mogą srogo zaszkodzić, jeśli nie zniszczyć irlandzki przemysł wódczany. Wprawdzie słynna irlandzka whisky produkuje się najwięcej w południowej prowincyi Cork; lecz istnieją szeroko znane firmy dystylatorów w Belfast, w Londonderry i w hrabstwie Antrim. Te, gdyby przemysł swój przeniosły do Szkocyi (gdzie się znajdują korzystne dla wyrobu whisky warunki), odwróciłyby z pewnością olbrzymi popyt od hrabstwa Cork. Więcej zastraszającą może stać się kwestya portu, wyrabianego dzisiaj przez jedyną w całym świecie firmę dublińskich oranżystów, braci Guinness; lecz podobno sekret produkcji tego piwa (tak kolosalnie fałszowanego w Niemczech i... w Anglii), leży w nurtach dublińskiej rzeczki Liffey i żadna inna woda jój nie zastąpi. Bądź co bądź, z faktów przytoczonych, którymby można dodać sto innych, czytelnik łatwo wyrozumie niepewność budżetu, obciążonego statutowemi kontrybucjami do skarbu koniec końcem obcego.

Pozostaje do wykazania strona niekonstytucyjna bilu, wydalającego postów irlandzkich z parlamentu cesarstwa, a żądającego od Irlandyi spłat ciężarów cesarstwa. Gladstone usiłował dowieść słuszności wypłaty  $\frac{1}{15}$  części corocznej angielskiego długu narodowego; mybyśmy powiedzieli, że dług ten wzrastał od czasów Wilhelma III-go o tyle z powodu potrzeb Anglii domowych i zagranicznych, o ile (jeśli nie więcej) z powodu jój nierządu w Irlandyi, zmiennój, lekomyślnój i koercyjnej polityki. Dwie pierwsze pozycye (1,846,000) w budżecie „cesarskim“ tyle mają racyi, ile miałoby jój żądanie, by wierzyciel skwitował dłużnika, przyjmując na siebie tegoż obligil. Przystajemy na trzecią pozycyą: opłaty administracyi brytańsko-irlandzkiej, mającej stanowić pensye wice-króla i pownych wydziałów

administracyi pośredniej. Czwarta za to kontrybucya na utrzymanie wojska i floty cesarstwa, jest zdaniem każdego rozumnego człowieka, skandalicznem naruszeniem konstytucyi i być nióm musi tak długo, dopóki Irlandya pozbawioną będzie głosu w parlamencie cesarstwa. Jakżeż bowiem można wymagać grosza Irlandyi na wydatki, które Irlandya może ewentualnie potępiać? Anglia ma trzech możliwych wrogów: Rosyą, Francyą i Stany Zjednoczone; lecz zarówno z Francyą, jak ze Stanami Zjednoczonymi, łączą irlandczyków silne węzły gorącej sympatyi, sympatyi wymownie zatwierdzonej krwią i ofiarnością wzajemną! Miałażby więc Irlandya podawać broń przeciwko swym przyjaciółom, a w Stanach przeciwko spółziomkom... bez możności protestu w izbie westminsterskiej? Jeżeli Anglia pozostanie w oporze przy tej pozycyi, to wątpić nie można, że wojska jój stracą kwiat najdzielniejszy — kontyngensu irlandzkiego, któremu zawdzięczają swych najstynniejszych wodzów i swe najgłośniejsze zwycięstwa lądowe.

Biorąc, nakoniec, cały ten „budżet cesarski“ pod uwagę, możemy być przekonani, iż partya narodowa nigdy się nań nie zgodzi bez odpowiedniej w Westminsterze reprezentacyi. Jeden z znajomych kolegów Parnell'a tak się pod tym względem wyraził: „Gdyby Anglia odmówiła nam głosu w swój izbie, żądając tych kontrybucyi, ostateczne rozerwanie unii stałoby się natychmiastową koniecznością; bo w nieobecności tu naszój, pracowałyby przeciwko Irlandyi cały interes handlowy i portowy W. Brytanii; skarb jój, zasilany przez nas, szukałby sobie kanałów, któremiby marnie ubiegały wszystkie nasze usiłowania. Anglia, zaurzając się w błędną politykę zagraniczną, szkodziłaby żywotnym naszym interesom; w razie wojny, którejbyśmy nie pochwalali, nasze wybrzeża, porty i ujścia rzek zablokowałaby flota brytańska, lub obca; nakoniec, dzisiaj—inny sami niemal jedni w Westminsterze podnosimy stale głos przeciwko uciskowi swobod narodowych, gdy nas tu nie będzie, samolubstwo lub ociężałość Anglii stłumi jój lepsze i wspaniałomyślniejsze instynkta.“

Zapiszemy ostatni jeszcze punkt w bilu autonomii, przeciw któremu zaprotestował p. Parnell, ustanowienie w Dublinie t. zw. „poborcy generalnego“, mającego w imieniu Anglii odbierać owe kontrybucye i przysyłać do skarbu cesarskiego. Parnell wyraził energicznie swoje opinią o takiej „statutowej nieuczynności“ Anglii; a mógł być dodać, że lud irlandzki uważałby w obcym poborcy, uosobienie obcej przewagi, opłacanej dorocznym haraczem!...

Tyle o bilu autonomii. Przechodzimy do bilu agrarnego.

#### IV.

Jak wzmiankowany co dopiero „poborca generalny“ ma być w projekcie Gladstone'a reprezentantem unii Irlandyi z W. Brytanią,

tak samo reprezentantem jurydyki brytańskiej nad ziemią, należącą dziś do antynarodowej mniejszości, ma być wysoki urzędnik angielski, lub też komisyja, czyli t. zw. State Authority, „powaga, władza stanu.“ Ta władza stanu ma pośredniczyć, w imieniu rządu cesarskiego, między aktualnymi właścicielami gleby i jej ewentualnymi nabywcami; w pewnych nawet razach, władza ta ma sama nabywać ziemię. Ustanowienie jej oznaczać zatem będzie także „statutową nieufność“ Anglii, jej obawę przed zbyt peremptorycznym ułatwieniem stosunków ziemiańskich w parlamencie dublińskim.

Bil agrarny pierwszego ministra zawiera artykułów 53; największa ich część określa atoli rutynę procedury między sprzedawcą i władzą z jedną, a władzą i nabywcą z drugiej strony. Zanim przedstawimy czytelnikowi główne artykuły, wypada nam jednakże wykażać z góry, na jakich one spoczywają zasadach. W pierwszym miejscu przypominamy, iż w r. 1879, gdy Liga Rolna zażądała od gabinetu pożyczki sześciu milionów funtów „na wykupienie landlordów i uwłaszczenie ich osadników,“ p. Gladstone (jak mu to temi dniami przypomniano w izbie) wyraził swe „niewzruszone przekonanie, iż na cel taki potrzebaby przynajmniej 300-tu milionów.“ Jakże wyłómaczyć tak kolosalną różnicę oceny? Nasamprzód Liga nie domagała się wyraźnie zupełnego usunięcia wielkich właścicieli z Irlandyi: owszem, zamierzała zachować w kraju rodziny zamożne, byle tylko pozostawały w kraju, byle tylko grosz irlandzki wydawały w Irlandyi, nie zaś wzbogacały nim obczyznę. Z tego też powodu, Liga zamierzała wykupić od rodzin takich samą glebę orną, a pozostawić im ich pałace, zwierzyńce i parki. Gladstone obliczał wykupienie bezwzględne wszystkiej posiadłości ziemskiej. Autor znakomitego dzieła „Land in Ireland“ p. Giffen, szacuje wartość owych włości i pałaców na najmniej 100 milionów funtów. Pozostaje do usprawiedliwienia różnica 6 do 200-tu milionów, i to zadanie jest o wiele trudniejszem, jeżeli mamy przyjąć obydwie cyfry... w prostocie dobrej wiary. Nie ulega przecie wątpliwości, że, jak Gladstone ocenę swą oparł na ocenie samych landlordów, tak znów Liga nazaczyła sześć milionów według oceny ludowej, a nadto mogła być przeświadczoną o możliwości otrzymania drugiej i trzeciej pożyczki w przyszłości. Dodajmy jeszcze, że w r. 1880-ym, wskutek oficjalnej ankiety i t. zw. „oceny Griffith's Valuation,“ wartość gleby spadła w Irlandyi o 27 1/2%; że we dwa lata później, komisye ziemiańskie, stworzone skutkiem ówczesnej reformy agrarnej <sup>1)</sup>, zniżyły ją ponownie o 13%; że, nakoniec, w obecnych nawet stosunkach, włościaństwo skarży się głośno na czynsze wygórowane (rack-rents), a nadewszystko, niejednostajne, nierówne i niestałe. Jakkolwiekby, chodzi nam tu o stwierdzenie opinii irlandzkiej i opinii p. Gladstone'a, jakimi były przed sześciu laty.

W jesieni ubiegłego roku, wspominając o „szalcństwie agrarnych

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt „Biblioteki“ z m. stycznia 1882 r.

mrzonek irlandzkich“ (w Midlothian), oświadczył Gladstone, że „150 milionów funtów — to suma, któraby mogła załatwić kwestyą rolną w Irlandyi, gdyby W. Brytania, w przystępie dziwniej wspaniałomyślności, straciła wszelki zmysł odpowiedzialności;“ a nieco dalej: „Jakie gwarancye otrzyma brytańczyk, płacący podatki, za pożyczkę 150,000,000? Cóż znaczy rewers Ligi Narodowej?“

Gladstone — jak nam już wiadomo — wypracowywał projekta swoje bez zasięgania porady kolegów, lecz i to wiemy z zeznań Chamberleina (9-go kw.), że Gladstone, stanąwszy na czele gabinetu ostatniego stycznia, przedstawił w dniu 15-go marca obydwu bile radzie gabinetowej i że w bilu agrarnym polecił emisją pożyczki na wykupienie gleby irlandzkiej — w wysokości 113,000,000. Cyfra ta przeraziła Chamberlain'a i Trevelyan'a: obydwaj zrezygnowali. Wśród groźnych zjawisk w łonie własnego stronnictwa, Gladstone uznał za stosowne bil swój zmienić, ograniczyć jego prawomocność i wartość... by nie odstręczyć od siebie reszty „wielkiej partyi“ Rezultatem tych „opaków“ jest bil — niezadowolniający irlandczyków, przerażający „brytańczyka, płacącego podatki“...

Wnosząc projekt ten w izbie (16-go kw.), uzasadnił p. Gladstone jego konieczność w wyrazach tak wymownych, że obecny w swój łoż najstarszy syn księcia Walii, zapomniawszy o swiej konstytucyjnej powadze i o obyczajach parlamentu — powstał z miejsca i ze łzami w oczach przyklasnął sędziwemu ministrowi. Na tém miejscu atoli, parę tylko przytoczymy wyjątków z świetnej, wspaniałej przemowy.

Porównywając stan irlandzkiego włościaństwa przed „kolonizacyą“ z jego następnem położeniem, Gladstone tak się o nim wyraził: „Cztery piąte włościaństwa musiały się przekonać, że zmiana panów sprowadziła im okrutną tyraniją, tyraniją tém straszliwszą, iż wychodzącą od obcych — obcych wyznaniem i krwią. Lud cierpiał pod swymi własnymi naczelnikami, to pewna; — ale cierpiał z rąk swych naturalnych zwierzchników; jestem zaś pewien, że irlandczyk ma bardzo wiele przywiązania do swego naturalnego zwierzchnika. Clansman irlandzki, noszący nazwisko swego „ojca,“ choć przez niego źle często traktowany, mógł przecie liczyć na jego opiekę i pomoc przeciw innym. Lecz ucisk włościaństwa do końca zeszłego stulecia, nie był uciskiem nawet żyjących jednostek — był to ucisk całego systemu. Osadnik był w kleszczach martwej ręki: prawo bowiem krajowe zmuszało go do poddawania się pod brutalne jarzmo tych, których on nigdy nie widział i którzy o nim żadnej nie mieli idei. Tak i do dni naszych! Bawiący po za krajem irlandzcy właściciele nie mają z ludem ani wspólnych interesów, ani sympatyj rasowej; nie boją się wyzywać gniewu włościaństwa — bo żyją w bezpiecznym oddaleniu; dobra swe w Irlandyi uważają jedynie jako źródło swych dochodów. Jedynem ich pragnieniem jest — wydobyć jak najwięcej z ludu, jak najwięcej z roli, a o ciała i dusze tych, za których są przecież odpowiedzialni,

nie troszczą się nawet tyle, co właściciele zachodnio-indyjskich plantacji o czarnych niewolników!“

Taki stan rzeczy spłodził pierwsze „zbrodnie agrarne,“ rząd więc, zawsze jednostronny, zawsze biorący w opiekę interes kolonialny, „interes cesarstwa,“ rozpoczął „haniebne dzieje koercyi“... Z jakim skutkiem w łonie włościństwa, pozbawionego prawnie wszelkiej nauki, religii i cywilizacji na gruncie narodowym?... „Panie, — mówił Gladstone — w różnych przejściach życia społecznego, są niestety liczne małżeństwa niepłodne i liczne wynierają rodziny; ale jedno jest małżeństwo, które nie jest nigdy bezpotomnem: gdy ucisk z jednej strony, wiąże się w małżeństwo z nędzą z drugiej strony — natenczas z związku takiego powstaje fatalny i ohydny ród — zbrodni! a zbrodnia ta obdarzona jest żywotnością straszliwą, uwieczniającą się i przekazującą z pokolenia na pokolenie dziedzictwo okropne, brzemiennie mściwą nienawiścią!“... „A teraz, panie, jakież ma obowiązki W. Brytania? Streszczam go jedném słowem — my ręk naszych od odpowiedzialności obmyć nie możemy! Jesteśmy participes criminis, bośmy z władzą w rękę przypatrywali się i nie tylko przypatrywali się ochocie landlordów, aleśmy ich wspierali i zachęcali!“

Chcielibyśmy przytoczyć w całości to exordium pierwszego ministra korony, stanowiące uroczyste i *n d i c t m e n t* — oskarżenie i potępienie tej „kolonialnej“ ludności w Irlandyi, która po dziś dzień, po chwilę obecną zowie się „ludnością, lojalną wiernopoddańczą“ — w imię lojalności obryzgując sztandar ucywilizowanej Anglii błotem dwójakięj ehuci: okrucieństwa i chciwości. Nie lud Anglii odpowiada za wieki męczeństwa Irlandyi, za dzisiejsze jej położenie moralne i materialne — lecz rządy Anglii dawne, gdy faworytyzm wspierał się na pomocy awanturników, nagradzanych głębą irlandzką... i rządy Anglii współczesne, ponieważ stanem Irlandyi w zamiarach, manewrach i widokach stronniczych.

Ale gdy tak znakomitemu, jak Gladstone, krasomówcy nie trudno było zalewać izbę potokami ognistej wymowy, dopóki tematem była mu przeszłość — przez nikogo niezaprzeczona... zapał jego znikł zupełnie, kiedy przystąpił do wyjaśnienia swego bilu, mającego przynieść Irlandyi wyzwolenie, a Anglii spokój wynikający z zadośćuczynienia. I nie dziwi! Dopóki minister zechce pogodzić interes włościństwa z interesem landlordyzmu — z jednej strony; i dopóki starać się będzie o zadowolenie Irlandyi bez najmniejszego uszczerbku interesów brytańskich — dopóty też sam musi być przeświadczony o błahości swych szematów i dla tego ma tylko pół serca — jak się tu mówi — w swém przedsięwzięciu. A to tém więcej, — gdy w opozycji namiętnęj najzaciętszymi są długoletni jego towarzysze, zarazem koryfeusze idei radykalno-liberalnej w ciele prawodawczém.

Bil agrarny ocenia wartość gleby ornej w Irlandyi na... 50,000,000 funtów. Jakże wytkómaczyć tę, czwartą z rządu, zniżkę? Gladstone nie dał wyjaśnienia — znajdujemy je przecież w artykułach bilu: nie

jest to bowiem projekt przymusowego wywłaszczenia, lecz dowolnej wyprzedaży; a dalej, wyjęte są z pod akcyi tego bilu wszelkie parki, pałace, zwierzyńce, grunta sportowe i grunta przez właściciela obrane na jakiegobądź cele! Pięćdziesiąt milionów wydaje się sumą stosunkowo nieznaczną, gdy wspomnimy, że tylko trzy tygodnie przed wniesieniem bilu w izbie, Gladstone nazaczył w radzie gabinetowej sumę 113 milionów! A jednak p. Parnell sumę tę uważa za ogromnie wygórowaną, gdy p. Chamberlain i cała niemal izba uważają ją za bezproporcjonalnie niską, dla tego nie dającą żadnej gwarancyi, iżby po upływie lat kilkunastu nie przyszło do koniecznej pożyczki 63-ch lub może i 100 milionów! Oto bowiem, w jaki sposób ma się odbywać dowolna wyprzedaż. Streszczam artykuły:

Art. II. Po dniu naznaczonym i aż do 31-go marca 1890 (tylko!) każdy bezpośredni właściciel ziemski może uczynić podanie do „State Authority,“ ofiarując na sprzedaż swą ziemię rolną za cenę statutową; władza zaciągnie to podanie do rejestru i rozbierać je będzie kolejną pierwszeństwa.

Art. III. Skoro tylko sprzedaż zostanie dokonana, wszyscy osadnicy na kluczu sprzedanym staną się (z pewnemi ograniczeniami czasu i warunków) właścicielami absolutnymi, in fee simple, swych odnośnych osad; gdzie zaś osadnicy nie staną się właścicielami, tam władza stanu będzie właścicielką i rozporządzi ziemią według woli.

Art. 17. Statutową cenę ziemi stanowiąc ma miara czynszu netto, w sposób następujący: 1) czynsz netto równa się ogólnej sumie dochodów z klucza po strąceniu pewnych ciężarów, jak: podatku kościelnego (tithe rent-charge), płaconego do komisji ziemiańskiej i zwyczajnych sum przeciętnych na stracone długi (bad debts), podatki lokalne, reparacje i t. p. 2) Za „ogólną sumę dochodów“ uważać należy sumę, stwierdzoną oficjalnie przez cyfrę przeciętną w ostatnich latach dziesięciu aż do 25-go marca 1885 r.

Art. V. Wysokość statutowej ceny sprzedaży równać się będzie sumie 20-to letnich czynszów netto; otrzyma ją zaś sprzedający właściciel z osobno na ten cel kreowanego funduszu 3<sup>o</sup>/<sub>o</sub>-ego—the Three per Cent. Perpetual Annuities Fund.

Art. VI. Jeżeli właściciel, uczyniwszy podanie, nie przyjmie zdecydowanej następnie ceny statutowej, wolno mu będzie cofnąć swe podanie, pod warunkiem opłacenia kosztów i t. d.

Z licznych sub-paragrafów tego i następnych 12-tu artykułów wyjmujemy postanowienia najważniejsze: Gdzie właściciel zechce sprzedać swe ziemię, lecz dzierżawcy i osadnicy jego nie będą mogli nabyć ich za pomocą czynszu 20-letniego z powodu ubóstwa lub innych przyczyn, tam władza stanu albo się umówi z właścicielem o cenę niższą, przystępną dla dzierżawców, albo sama nabędzie ziemię i z jakiegobądź (opisanych w bilu) remanentów skarbu irlandzkiego uzupełni roczne czynsze dzierżawców; w tym jednak razie, nie osadnicy lecz władza stanu dzierżyć będzie ziemię tytuło własności przez dany (20—25-io

letni) przeciąg czasu. W jednym tylko przypadku może właściciel być zmuszony do sprzedania ziemi, mianowicie w okolicach przeludnionych; i z w tym razie władza stanu będzie dzierżycielką, lecz cena sprzedaży naznaczona przez właściciela, musi być przyjętą bezwarunkowo. (Podobnie ma się rzecz z właścicielami domów w londyńskiej City i z ich tranzakcjami z kompaniami kolejowymi, lub budowniczymi). Przyjmując liczbę lat 20-tu za normalną granicę zależności włościństwa od władzy stanu, przekonujemy się, że wpłacając do skarbu roczny czynsz, od dotychczasowego (mnień więcej  $7\frac{3}{4}\%$ ), uprawiacze roli będą potem absolutnymi i wieczystymi właścicielami.

Artukuły 13—27 określają warunki, w jakich dzierżawcy długoterminowi (long lease-holders) mogą zmodyfikować swe kontrakty tak, aby należeli do ogólnej kategorii 20-to letnich dzierżycieli *cum jure possessionis*.

Nakoniec pośrednicząca władza stanu wpłacać ma roczne czynsze (a raczej roczne spłaty) do urzędu „poborcy generalnego,“ który zuów sumy te prześle z sumami „ciężarów cesarskich“ Irlandyi do skarbu cesarskiego. Gdyby po spłaceniu rocznej raty pożyczkowej i po spłaceniu ciężarów podatkowych, pozostała w kasie poborcy nadwyżka, to należec ona będzie bezwarunkowo do skarbu narodowego, który jęj użyje według woli i upodobania parlamentu narodowego.

Słówko jeszcze o potrzebnej, według bilu pożyczce. Gladstone proponuje trzy emisye skarbowe: pierwszą, wysokości 20,000,000 funtów w brytańskim budżecie 1886/87; drugą i trzecią w dwóch budżetach następnych, każdą z wysokości albo 15-tu milionów, lub też 20-u i 10-iu milionów. Z dniem 31-go marca 1890 r. ma upłynąć, jak wiemy, termin „przeniesienia“ (!) własności ziemskiej w Irlandyi. Powstaje zatem ważne pytanie: Czy w przeciągu lat trzech i pół, władza stanu i komisye ziemiańskie w Irlandyi potrafią uporać się z wszystkimi kwestyami? Nam się to wydaje czystem niepodobieństwem, bo nikt nie wątpi, że olbrzymia większość dzisiejszych landlordów zechce czempredzję korzystać z aktu, dającego im dochody zapewnione w miejsce spazmatycznych i nieznacznych dopływów pieniężnych w chwili obecnej. Ta jedna kwestya, choćbyśmy pominęli zupełnie niepodobieństwo załatwienia stosunków włościńskich za pomocą sumy tylko 50-iu milionów, daje nam jasno do zrozumienia, że p. Gladstone dobrze jest przekonany o bezproporcyalności środków do zamierzonego celu, że więc pragnie tylko poruszyć raz chaotyczną masę trudności irlandzkich, poruszyć w kierunku właściwym i jedynie słusznym, pokładając największe nadzieje w rozwoju przyszłości; rozwoju idei decentralizacyjnej w Anglii i idei narodowej odpowiedzialności w Irlandyi.

W tém miejscu kończymy dzisiaj uwagi nad nową konstytucją Irlandyi; powrócimy do nięj skoro tylko wyjdzie z zamętu walki,

zawiści, wzajemnych nieufności i stronniczego współzawodnictwa wyjdzie miara sprawiedliwości zupełna. To jużci przecie pewna, iż oprzeć się ona musi na podwalinach, założonych w projekcie kwietniowym. Jedno ministerstwo po drugim zmuszone odtąd będzie zajmować się Irlandyą, już nie w celach koercyi, lecz w celu jedynym: ostatecznego załatwienia kwestyi krzywdy siedmio-wiekowej na zasadach, które odpowiedzialny minister cesarstwa złożył przed Anglią i światem, w części z konieczności faktycznej, w części z przeświadczenia o obowiązkach i odpowiedzialności moralnej względem cywilizacyi chrześcijańskiej.

Londyn, 4-go maja.



# WARTOŚĆ PEDAGOGICZNA MUZYKI.

---

NAPISAŁ

Bolesław Wilczyński.

Piękno muzyki, poczęte przez polifoników w wieku X-ym, wzrastało stopniowo, przechodząc kolej od dyscypliny surowej i ćwiczeń ścisłych, aż do mistrzowania w imię powagi indywidualnej i prawidłowości najniżej ograniczonej. Okres ów, zakończony niekorzystnym dla sztuki obłędem romantyków, znaczy w dziejach przewagę wiedzy nad samowolą, a zatem rozwój i ustalenie się zasad, bez których pięknoznawstwo istnieć ani społeczność estetycznie używać nie może. Patrzmy: na Zachodzie mnożą się szkoły coraz znamienitsze, powstają pracownie osobnicze, to wspólne, a geniusz twórczy jaśnieje blaskiem coraz wspanialszym wśród mieszkańców Italii, Francji, Holandyi i Niemiec. Nie dziw iż cenię umięją skarb, zdobyty nie bez mozola uczestnictwem własnym. Otóż do Polski ruch ów nie sięgał. Ztąd poszło, iż gdy romantyzm obudził w nas chęć zajmowania się sztuką, ta odwróciła się do nas tyłem, niby do nieuków, którym ochocka przyszła poetyzować bez przygotowania, opartego na doświadczeniach psychicznych, na tradycji. Pragniemy słynąć. Czyliż jednak stać na to społeczność zleniwiałą, która przywykła omijać szkołę i rządzić się przywilejami indywidualizmu skrajnego? Niech nas pozory nie mylą. Dość zwrócić uwagę na biedny stan muzyki w wychowaniu domowém i w zakładach, dość poznać na ziemi polskiej tę wieszczkę uroczą, pieszczoną bezmyślnie, częstokroć chłostaną i kalczoną, by złudzenia lubowników ustały na korzyść prawdy. Uczucie piękna, chociażby było dziedzicznóm, należy rozwijać nie za pomocą uprawy powierzchownej, lecz systematycznie, poczynając od najprostszyc pierwiastków świadomości. Tak postępują niemcy. My urzą-

dzamy arystokratycznie wystąpienia popisowe, żądając, iżby je popierała publiczność niewtajemniczona, niezasobna, lekceważąca nauczanie zasadnicze. W Polsce nie ma kąta, gdzieby struny fortepianu nie drgały pod palcami grajków płci obojęd. Konserwatorium wysła też corocznie poczet wyzwolenców, poszukujących zarobku w nauczycielstwie. Ruch niby artystyczny szerzy się i wzmaga, a duma podszeptająca nam mogła myśleć, iż opiekunowie, zmuszający młodzież do uprawiania sztuki, nawet pomimo braku uzdolnień, powodowani są celowością doniosłą, że troszczą się o zdobycze na przyszłość i przygotowują dźwignie dla geniuszów oryginalnych. Wieleż znaleźlibyśmy matek dość światłych, by zdołały dowieść, iż próżność naganna nie jest ostoją ich postulatów pedagogicznych? Anglicy, szwedzi, szwajcarowie, lubo w tradycyi szkolnej nie zbyt mocniejsi od nas, oddalając marzenia o oryginalności twórczej, usiłują poznać wartość muzyki w systemie pedagogicznym, ocenić jej wpływy na wykształcenie i poosiąść umiętność wszechstronnie. Gdzie młodzież zna doskonale teorię piękna, tam uczestnika nawoływać nie trzeba do wysłuchania oratorium Haendla lub Bacha. A jakaż to korzyść moralna, jak promienna częstość zadowolenia wynika ztąd, że człowiek może przez chwilę znajdować się na wyżynach ideału, odczuć więcej i pomyśleć głębiej. Właśnie tę korzyść mając na uwadze, chcę mówić o stosunku muzyki do władz psychicznych i o jej wpływach dodatnich. Przedstawię potem szkodę, jaką nam przynosi uprawa sztuki wadliwa, oraz warunki dobrej.

## I.

Muzyka — to mistrzowanie wyraziste, czynne, oddziaływające w sposób wręcz oryginalny na ustrój osoby. Technikę sztuki tej znamionują dwie dźwignie zasadnicze: 1) istota dźwięku i 2) rytmika. Co do pierwszej, wiemy, iż przedstawia skalę różnic, ustopniowanych za pomocą doświadczeń apriorycznych, w czém nauka odkryła ścisłość liczb znamiennej. Wysokość dźwięku zależy od sumy drgań, zaś pełnia i gatunek — od doboru akustycznego, to jest od względnej zgodności cząstek wydatniejszych, jakie wchodzi w skład całości muzycznej. Słuchacz, lubo drgań policzyć ani porządku w doborze ocenić nie zdoła, przejmuje jednak różnice same, jako dynamikę ruchów utajonych, przenikających się nerwów czucia. On objaw nazwie wrażeniem przyjemnym, a unikając badania, zażąda następstwa objawów, by mógł je porównać i mieć więzankę wrażeń tém przyjemniejszą. Gdybyśmy chcieli symbole muzyczne odrywać od źródeł i zamieniać na określniki, liryzm straciłby moc wyrażania żywostanów naszych. Nie znając dźwigni zewnętrznej, odczuwamy jej wpływ uwrażliwieniem organów najdelikatniejszych, gdzie promień światła zwiastuje tęczę, gdzie dźwięk pojedynczy wróży o akordzie. Właśnie ów ład zjawiska, porządkując prądy nerwowe, zapładnia uczucie radości pię-

kno-twórczej, które rozwinąć usiłujemy za pomocą jawniejszych związków lirycznych. Nie dość na tém. Krom prawidłowych tworzymy związki nieregularne, usprawiedliwione istnieniem rozdzźwięków w naturze, oraz dwulicowością stanów psychicznych. Radość i smutek — oto odmiany główne skali uczuciowej, której bogactwo liryzm wyrazi za pomocą zestawień mnogich, wciąż innych aż do indywidualizmu najskrajniejszego, o ile dźwięki nabrzmiewają rozmaicie przez ugrupowanie i znaczą kojarznię osobliwym doborem stopni. Uczuciem porządku nazwać przystoi to uczucie wielkie, nieporównane, jakim nas darzy prawidłowy ruch harmonii. Dla tego śpiew, oparty na podstawach wielodźwięczności, pozyskuje logiczną pełnię myśli.

Lecz grupy nie dałyby poznać wątku, gdyby kto chciał uwydatniać je luźnie, zamiast wiązać figurycznie. Odrzuć rytmy w adagio Mozarta — zamienisz postać na cień. Piękno muzyki polega całkiem na wymiarach dokładnych, na owych wartościach iloczynowych, to głównych, to podrzędnych, które masie dźwięków nadają kształty, nie dopuszczając zamętu ani na chwilę. Rytmika — to dźwignia najcelniejsza, ostoja złożoności i powaga rządów w sztuce, uznaną słusznie za najwyrazitszą ze wszystkich. Lubo pieśniarz dąży do uniezależnienia głosu i potęgę śpiewu usiłuje oprzeć na wartościach dynamicznych, niemniej wszakże w samym odstępstwie zachowa miarę, skoro jest mistrzem wymowy. Rytmika oddziaływa na nerwy ruchu i podnosi temperaturę mięśni, stwarzając w ustroju osoby stan czynny, grupowany rozmaicie wedle pobudek muzyki. Kompozytor umie rozszerzyć pierś uczestnika i zniewolić serce jego do uderzeń żywszych; umie podrażnić błonę głosową i spotęgować działalność nerwów sympatycznych; umie wywołać rumieniec i tęg, uśmiech lub wyraz smutku. On usposobi cię nieraz pantomimicznie, budząc ochotę do postaciowania i nadając objawom woli kierunek obyczajowy. Muzyk, baczny na ekonomią wzruszeń estetycznych, o ile jest znawcą natury ludzkiej, opanowuje słuchaczy zręczną grą rytmów, dając odpocząć po wysiłku i użyć spokojniej po każdym wezbraniu. Czyliżby miał godzić na wytrzymałość tych, którzy pragną w uczestnictwie znaleźć naprawę nierównowagi, zwaną zadowolnieniem? Nie dziw, iż mu ulegną, skoro dotknęci mocami sztuki w sposób wytworny, uczują w sobie chociaż przez chwilę większą dzielność i gotowość do życia.

Dwie dźwignie — dźwięk i rytm — zachowywać zwykły względem siebie stosunek odwrotny, podobnie jak nerwy czucia i ruchu. Człowiek nie zdołałby wykonać wielu poruszeń odśrodkowych, gdyby do tego sposobionym lub wręcz pobudzonym nie był przez wpływy dośrodkowe. Że tak jest — niech świadczy choreografia. Wszak tańczyć moglibyśmy przy jakiegokolwiek muzyce rytmów. Dla czegoż pożądamy wymownej? Bo bez poczty dźwięków nie ma poczty balu. Dynamika melodyi tancecznej rozgrzewa doborem stopni, rodząc we wnętrzu biesiadnika wezbranie czynników, a zatem niezbędną w poruszeniach lekkość. Kto wie jak trudnym jest ruch wysiłkowy, zwłaszcza

rytmiczny i złożony, przyzna, iż tańczyć pięknie można jedynie pod wpływem uniesień radosnych i uroków w salonie, gdzie dobra orkiestra niezaprzeczenie główną stanowi podniecie. Nierównie znamieniej stosunek ów przedstawia się w operze. Tu śpiewak przemawia do uczuć i usiłuje uniezależnić liryzm, by mógł tém dokładniej wyrazić moc związków psychicznych. Ztąd figurowanie orkiestry, której zadaniem opis, charakterystyka zewnętrzna i wiązadła akcji. Pamiętać należy, iż dwoistość dźwigni jest również podstawą nowoczesnej muzyki instrumentalnej.

Jakże sformułować należy pojęcie o oddziaływaniu sztuki muzycznej? Pomimo różnic, jakie istnieją między liryzmem i harmonią dźwięków z jednej a rytmiką z drugiej strony, muzyka oddziaływa przeważnie na stronę psychofizyczną, odnosząc się wprost do owych źródeł we wnętrzu osoby, gdzie ogromna treść życia spoczywa w stanie sił nieznanych lub nawpół uświadomionych. Owa bezpośredniość stosunku nadaje powagę wyłączną mistrzowi, umocowanemu do rozkazywania w państwie bezgraniczném, niby w podziemiach, dokąd światło umiejętności innej nie przenika w sposób podobny. Żadna bowiem obejść się nie może bez pośrednictwa władzy, która ze zjawisk stwarza całokształty i rządzi w dzielnicy form stałych, umiejscowionych. Tu ruch już drugostopniowy, a czynnikami—postacie uprzedmiotowane lub znaki martwe. By całą duszą odczuć kompozycyą malarza, musisz rozłożyć psychicznie przedstawienie unieruchomione; by odżyć myślą poety, winienes znaleźć jój dźwięki i barwy, przejąc znaczenie jój układu kryształowego. Otóż sztuka muzyczna, jakkolwiek usiłuje zająć stanowiska najwyższe w umysłowości, jest wszakże najpierw potęgą bezpośrednią, skierowaną wprost do żywostanów naszych. Ona naprawia wpływy natury, zkad właśnie pochodzi jój urok, jój moc tajemnicza. We wnętrzu człowieka jest toń niezgłębiona. Tam prawem rozwoju mnożą się zarodki bezkształtne; tam macierz powszechna składa nasiona nierozgatunkowane; tam czas porusza wciąż fale i sprowadza nieraz burze straszliwe. Kto wgląda w tę otchłań, gdzie lęzą się namiętności nasze? Nie jeden osobnik, wykształcony jednostronnie, zawdzięcza im wiele natchnień dobrych i złych, lecz nie wie częstokroć jak mu usłużą za chwilę, bo ich nie zna wcale. On przyczynę niewoli nosi w sobie, lecz jój szuka gdzieindziej. Nie dziw, iż ponosi skutki rozejmu pomiędzy dwiema dzielnicami osobowości, skoro społeczność zdobywać się zwykła na wysiłek w kierunku wiedzy oderwanój, zaniedbując uprawę stanów żywotnych. Czynimy odskok tak wielki już od pierwszych ćwiczeń w szkole, że nie pozostaje nam jak tylko nauczyć się ukrywania żądź własnych. Muzyka, pojęta jako czynnik przeciwdziałający, stanowi w systemie wychowawczym pomoc skuteczną. Mówię o muzyce dobrój i o jój zastosowaniu rozumném. Uprawiona bez wyboru, lekkomyślnie a jednostronnie, osłabi umysł i korzyści moralnych nie przysporzy.

Muzyka waży wiele w sprawie kształcenia ruchów towarzyskich,

o ile wpływa na piękny układ ciała. Wszak w obcowaniu, zanim kto poznać zdoła powagę osoby, wymaga od niej form ujmujących. One uchylają kolce miłości własnej i gładzą rażącą szorstkość sił fizycznych. Ztąd znamienne tytuły graczy u ludów romańskich; ztąd wartość obyczajowa pozorów, jako umówionej pomiędzy ludźmi harmonii, o ile ruchy wytworne nie przekraczają granic właściwych, nie prowadzą do zbytku, nie godzą na demokratyczną dzielność ducha. W dziejach muzyki był okres dworactwa. Wówczas mistrze upudrowani, przejęci urokiem form towarzyskich, uważni na symetrię ukłonów, uśmiechów i figur tanecznych, jeli uposażać sztukę przepychem rytmów, znajdując tu klasyczną dla muzyki instrumentalnej ostoję. Salon był pierwszą szkołą symfoników, a gracya dziś jeszcze w stylach muzyki francuzkiej wielce cenionym jest przymiotem.

Nierównie mniej zrozumiałym zdaje się być stosunek muzyki do objawów woli. Lubo determinizm wskazał granice téj władzy, czyliż przestaliśmy wszyscy pojmować ją jako bezwzględnie wolną, zależną jedynie od wpływów transcendentalnych? Pomijając upór zacofanych, sprostować należy błędne mniemanie tych, którzy utrzymują, iż bezpośrednią przyczyną czynów moralnych jest myślenie podmiotowe. Według ich teoryi, dość zważyć rozumem pewną liczbę wniosków, wybrać i powziąć postanowienie. Tu nie ma mowy o dźwigniach przyrodzonych. A jednak wybór i postanowienie mogą pozostać w stanie rozwagi biernój, skoro kto rozkazywać nie umie. Dla tego ludzie światli lecz słabi, biadają nieraz na sprzeczność pomiędzy wskazówkami rozumu a niemocą ustroju. Otóż wola, w znaczeniu moralném, nie może być czém inném jeno władzą psychofizyczną, zdolną powstrzymać żądze w ich kierunku szkodliwym. Taniowaniem porywów nazwaćby ją można. Wzdłuż kregosłupa idą od mózgu rozkazy stanowcze, paraliżujące w mięśniach pożądlivość rozigraną. Jednocześnie znika wyobraźniowe przedstawienie jój przedmiotu. Walkę taką powtarzać wypadnie wielokrotnie, postępując od żądz najniższych, zanim namiętność da się opanować, użyć szlachetniej i pokierować różnostronniej. Przecież wystąpić musi, skoro jój praw nie zdeptały przesady ascetyzmu szkolnego; przecież obecność woli zależy od zachceń, których forma zmieniana być powinna, lecz nigdy waga. W czém będę się powstrzymywał, jeśli nie mam upragnień żadnych? Wolę kształcić należy nie ascetycznie, lecz za pomocą utrzymywania stosunku jój do namiętności. Mógłżeby geniusz wykonać dzieło pomnikowe, gdyby nie żywił ognia w swém łonie? Badając znaczenie wielkości, jako tytułu mistrzów cenionych najwyżej, znajdziemy, iż w ich tworzywie mniej waży zdolność niż moralna potęga woli. Schyłamy głowy przed majestatem takich mocarzy, jak Shakespeare, Goethe i Mickiewicz, jak Haendel, Bach i Mozart, bo podziwiamy w nich nie tyle uposażenie wszechstronne, jak samodzielność niezwykłą. Ich wiedza buduje, lecz ich autonomia obudza wiarę. Walkę tytaniczną wiodł Beethoven, usiłujący pozyskać dla sztuki olbrzymie bogactwa żywo-

stanu swego. To téż rad był niezmiernie, ilekroć słuchacz uwielbił w nim moc artysty, zanim okazał współczucie dla cierpień poety. Zachowanie stosunku pomiędzy treścią a formą w żadnym mistrzowaniu nie jest tyle trudnem, jak w muzycznym. Tu żywioł powinien być gorącym, jego odpływ bezpośrednim i szczerym, jego prąd obfitym i pełnym, co właśnie muzyce najcenniejszy nadaje przymiot sztuki wyrazistój. Już sama istota dźwięku wprawia kompozytora w stan gorączkowy. Doznaje on wezbrania ruchu i słyszy grę pierwiastków w otchłani, gdzie mnogie powstają kojarzenie, niby porody luźne, do których przywiązuje się siłą miłości własnej. Nie dziw, iż go przerazi robota mętna, gdy ochłonie i oceni jej wartość trzeźwiej. Beethoven poczynił wielkie symfonie swoje szaleństwem bez granic, nie używając snu ani pokarmu, wśród wybuchów żalu, rozpacz, to wesołości rozkiełznanej. Jak lew rozdrażniony rzucał się w chwilach porodu ów pełen dobroci człowiek. A jednak burzę opanować umiał i z godnością królewską ujmował berło pięknotwórcy. Któż wiedzieć chce ile trzeba odcierpieć bólów, ile mózgiem wyrobić należy streszczeń, porównań i udokładnień, by z nieładu powstać mogło arcydzieło? To opanowywanie ruchów wewnętrznych przedstawia najwyraźniej muzyk, usiłujący zamienić treść żywostanu na przejrzystą technikę iloczasów i rytmów. Odczuwamy cały napływ tęten wezbranych, doznajemy prawem sympatii tych samych wzruszeń,—ale ułożonych wytwornie, o ile kompozytor nie ostudził natchnienia a uporządkował wątki. Przykład odniesionego podmiotowo zwycięstwa — to przykład wielce nauczający. Więc nie nadużyjmy prawideł sylogizmu,—utrzymując, iż uprawa muzyki wpływać może korzystnie, bo estetycznie, na ukształcenie samodzielności.

Powszechnie przyjętym jest zwyczaj puszukiwania w muzyce wyrazu uczuć. Że uczestnik niewtajemniczony, zwłaszcza nie psycholog, zwykł wrażenia muzyczne określać ogólnikami—dziwić się nie można. Formy brawienia uczuć,— uważane w dwu dzielnicach przeciwnych, posiadają znamiona subtelne i granice niepewne. Ileż razy w praktyce popełniamy błąd, biorąc jedne za drugie, lub utożsamiając liczne objawy uczuciowości, której władza gubią się w przepaściach indywidualizmu i zależą, w rozwoju swoim, od mnóstwa wpływów zewnętrznych! Psychologii obrazu nie pojmiemy bez określnika, skoro przywykliśmy oświecać umysł jedynie znakami mowy. Lecz mała wskazówka wystarczy nieraz, by dzieło malarza odkryło tajemnice, jakich nie wyda opis. Podobny przywilej służy kompozycyi muzycznej. Rzecz można, iż sztukę barw cechuje fizyognomiczność wyrazista, odwrotnie do sztuki dźwięków, której przymiotein wyrazistość fizyognomiczna. Obie nie znoszą wykładu ani powag zarozumiałych, usiłujących narzucić im prawa świadomości oderwanej. By wiedzieć jak daleko sięga ich ideologia, trzeba je zgłębiać za pomocą ich dyalektyki własnej. Muzyka, jako bezpośrednia przyczyna wzruszeń, pobudzając silnie czynniki wewnętrzne, spowodowuje pełnię żywostanu. Wśród téj powstawać mo-

gą grupy, niby kryształą osobliwe, dość spójne, by miały wartość formacyj psychicznych. One urosną z zarodków, z owych nasion plennych lecz nieuprawionych, które istnieją poza granicami świadomości, oczekując na działanie wpływów potężniejszych. Wieleż z zasiewów etyki dojrzewa we wnętrzu osoby? Jedne uwięzły w pamięci, inne uległy rozkładowi, inne poszły z wiatrem. Pomimo skłonności dobrych, czyliż każdej chwili gotowi jesteśmy do spełnienia czynów moralnych, wymagających pobudki, któraby wesprzeć zdołała humanitarne przysposobienie umysłu? Lecz dźwignie słabe—skłonność i pojęcie—zejsz się mogą wśród egzaltacji estetycznej i przedstawić kojarznię dojrzałą, nacechowaną znamienne indywidualnym uposażeniem osoby. Widziałem jak dobroć, mało skłonna do okazania litości, pełniejac pod wpływami piękna, zamieniła się w prześliczny czyn miłosierdzia; widziałem jak iuna, nie skora na wezwania altruizmu, poruszona do głębi uczestnictwem w sztuce, śpieszyła złożyć ofiarę na ołtarzu przyjaźni. Ów winę przebaczy, ów z serca wypędzi zawiść. Liryzm, uprawiany od czasu trubadurów w imię ideałów miłości, uszlachetnia rozliczne barwy erotyki i pobudza do moralnych wyzwoleń w tym właśnie kierunku. Ale muzyce służy inna jeszcze moc wpływów. Chcę mówić o rodzajach i stylach, wypracowanych przez historią, a uposażonych tak niezmiernym piętnem ideału, że je przejmujemy przedmiotowo, jako treść sformułowaną. Wszak styl gregoryański, uprawiony harmonicznie przez Palestrinę, skłania wielu słuchaczy obojętnych do podziwiania dziejowej potęgi katolicyzmu. Że hymny mistrza tchną prostotą wiary, wyrażając słodczyce bożostanu za pomocą składni konsonansowej, ztąd niemylna określność harmonii *alla capella*, użytój do scharakteryzowania sceny w operze. Podobną wartość ma styl fugowy, ów przewodnik mistycyzmu i głębokich nastrojów poezji. Gdy Francya, odrodzona demokratycznie, stawiała pomniki na cześć ojczyzny, gdy republikanie ubodzy dźwignęli sztandar przeciw najezdom, wówczas Rouget de Lisle wyśpiewał marsyliankę. Tu uczucie patriotyzmu tryska życiem tak promiennym, że dziś jeszcze pobudza do ujęcia trójkolorowój chorągwi. Pieśń tę bowiem odznacza charakterystyczne połączenie rytmów wojskowych, to jest rozkazu w imię waleczności, z liryzmem, wyrażającym szlachetniejszą stronę natchnień rewolucyjnych. Zważyć należy, iż najgłębsze tajniki treści wyrażać się zwykły fizyognomicznie i postaciowo w życiu społecznym. Niech mistrz przejmie dokładnie rysy i poruszenia, jakie znamionowały charakter okresu, niech użyje szczególniejszych dźwigni liryzmu, harmonii i rytmiki, już da nam odczuć samą istotę treści. Tak Meyerbeer, wtajemniczony w dzieje rycerskie Francyi, przedstawił w „Hugonotach“ dzieje dramatu rzeczywistego ze znanstwem psychologa i badacza. Chopin, ów nieporównany poeta uczuć, umiał rozpoznać postać i odtworzyć najdelikatniejsze tętna polskości w dobie romantyzmu. Moniuszko widział Polskę kontuszoną i przedstawił w pieśni rozmaitą ludność kraju. Do muzyki zastosowywać nie można formalizmu

mysłowego, jak czyni Hanslick. Wszak okreśności pospolitej unika nawet poezya, wymagająca klucza do niejednej kojarzni oryginalnej. Klucz otworzyć też może podwoje świątyni, gdzie czarodziejskie grają moce, lecz pozostać powinien u wejścia, nie kłępiąc w niczem psychicznej swobody uczestnika.

Uwaga o przedmiotowym muzyki charakterze prowadzi do oznaczenia stanowisk wyższych, jakie sztuka dźwięków, ubezpieczona psychofizycznie, zajmuje wśród ogólnej systematyki umysłowej. Że ostoją sztuki tej porządek ścisły, matematyczny, o tém świadczą poszukiwania badaczy, jak: Pythagoras, Arystoteles, Descartes, Rameau i inni, których myśl snuła teorye o muzyce wszechświatów lub spekulacye o samej składni harmonicznej. W wiekach średnich rozwój muzyki kierowanym był przez scholastyków, usiłujących mistrzowanie oprzeć na samookreśności figur geometrycznych. Z mnóstwa cegiełek powstawał gmach wielki, zrazu niekształtny, niby wieża babilońska, lecz coraz spójniejszy, w miarę znikania cząstek w planie ogólnym. Niktby dziś nie odnalazł śladu owych rozkazów hałaśliwych a sprzecznych, jakie szkoła wydawała codzień w imieniu piękna. Bo też nowoczesną teoryę muzyki odznacza przymiot nader cenny—racyonalizm, sprawdzony do pewników zasadniczych, naukowych. Tu systemat techniki, wielce złożony i różnostronny, znajdujemy uporządkowanym umiejętnie kwoli fantazyi swobodnej, która dzieł wielkich tworzyć nie zdoła bez pomocy rozumu. Zład przywilój znawców rzetelnych, umiejących oceniać muzykę przedmiotowo, ile że nauka harmonii, łącznie z zasadami kontrapunktu, instrumentacyi i kompozycyi, stanowi organizm wiedzy uniezależniony, jako bezwzględne rozwiązanie tajemnic piękna. Lecz wiedzę tę dopełnia ze strony humanitarnej historia fantazyi. Gdy scholastyk uczony pracował samotnie nad urobieniem form kunsztownych, świat słuchał pieśni, którą mu przynosił poeta wolny. Ten wzruszał natchnieniem, opiewając nie tylko miłość rycerską, lecz ideały wiary—wzruszał możnych i ubogich, aż mu zjednać wypadło samych przedstawicieli piękna. Liryzm wsiąkał we wiedzę suchą, a lubo zrazu nieśmiały, jął ożywić organizm bezduszny coraz treściwiój. Długo sztuce muzycznej przyszło nosić sukienkę niepokalaną. Jój zadaniem wzniosłość, raczój dobro niż prawda. Wszakże pieśń ludów dojrzewa. Już wiedzie ciemżonych do walki, już wyraża tragedye życia i tętni tysiącem ruchów indywidualnych, charakterystycznych. Teraz rozdźwięki i rytmy mnożyć się będą prawem kontrastów, bogacąc harmonią potęgami symboliki najwyrazistszój; teraz mistrze zapragną zgłębiać tajniki duszy ludzkiej i tworzyć poematy wielkie na tle stosunków człowieka do rzeczywistości.

Widzimy tedy że muzyka, uważana jako całość, jest systematem humanitarnym, odpowiadającym naszej potrzebie porządkowania treści wewnątrznej. Systemat ów posiada wartość ustroju żywego, o ile sztuka muzyczna pozwala na utrzymanie łączników psychicznych pomiędzy dzielnicą wrażeń a władzami umysłu. Wszak sztuka



ta stanowi przedmiot badań nie tylko dla przyrodników, lecz dla filozofów. Znać w niej bowiem dążność do ziszczenia równowagi, jakiej człowiek poszukuje w wypracowanych myślą całościach. Piękno, dobro i prawda — oto pojęcia osobnicze, które wynikły z naszych wyzwoleń życiowych. Chcemy tę trójcę mieć zawsze przed sobą; chcemy pewniki wiedzy przejmować w formie wytworniej i czciw w nauce powagi moralne, usiłując też czynić nie tylko dobrze, lecz pięknie i rozumnie. Nie dziw, iż spełnienia życzeń takowych wymagamy tém prawomocniej od geniuszów w postannictwie wyzwoloném, że ci nie potrzebują rozkładać syntezy na ułamki określniejsze. Systematyczność doskonała, wolna od przesady, stanowi rękojmią zadowoleniń wszechstronnych, jakich doznawać może człowiek zupełny. Kto we wnętrzu swoim rozwinie pień o trzech konarach, ten potrafi uniknąć starć zgubnych, rozwiązać nie jedno zagadnienie ważne, przyjąć i spełnić wiele obowiązków społecznych. Dla tego też wyznać należy, iż znajomość sztuki muzycznej, przedstawiającej syntezę osobliwą w dziedzinie piękna, nie może być lekceważoną bez szkody w dziedzinie wiedzy.

## II.

Systematyczność nie zawsze była dźwignią społeczną w Rzeczypospolitej polskiej. Tu szlachcic przedstawicielem przywileju, przeczącym porządkowi aż do granic ostatecznych — rycerzem butnym, zbłąkanym wśród bezprawia i bezrządu sił. Jego ostoją indywidualizm bezwzględny, nie znoszący przymusu ani ograniczeń na korzyść osoby innej; jego znamieniem rozstrój oryginalny, nadający mu patologiczną wartość nowotworu w organizmie państwowym. Pomnieć należy, iż cywilizacja staropolska, oparta wyłącznie na chrześcijańskiej idei dobra, obwarowywała się nadto szansem obyczajowości rodowej, zachowawczej, która unikać zwykła sprawdzianów rozumu, utrzymując spójnię społeczną jedynie mocą tradycji. Lecz cnoty domowe straciły urok, jak skoro postawić je przyszło w świetle sceptycyzmu naukowego. Opoka pękać zaczęła, a jej szczeliny dały odpływ potokom ognistym, których powstrzymać nie zdołał bezbronny geniusz narodu. Obcy wśród nowych kierunków umysłowości, on też wiedzieć nie chciał czém symetria i jedność, czém złożoność a zgodność, stanowiące istotę piękna. Ztąd ta noc straszna, jaką odcierpieć przyszło naszej świadomości dziejowej, kiedy wśród rozprzężenia żywiołów sejmowały furec krzykliwe, kiedy zamęt pojęć sięgał do szczytów, by stracić literaturę i wymowę w otchłań makaronizmu. Patrzmy na obraz szlachty, obradującej pod berłem ostatniego króla. To obraz dziwny — nawpół smutny, nawpół zabawny — rzekłbyś tragikomedia, gdzie role ważne powierzonymi zostały nie ludziom poważnym lecz dzieciom. Tu wiara naiwna zdaje się być żartem w obec rozkazów polityki żelaznej; tu rzuty kouwulsyjne budzą litość dla nieszczęśli-

wych. Im grozi zagłada. Czyliż umieją stanąć w obronie praw nieznanych, niesformułowanych? Pamiętniki dają nam poznać przodków z żywotności niezmierniej, jaką indywidualizm rozkietnany zużył na korzyść bezprawia. Czém szalone wicherzenia w gospodarstwie społeczném, tém we wnętrzu swoim bywał pieniącz nieprzytomny, którego osobę rozrywały żądze sprzeczne, mocne preistoczyć naturę dobrą w potwora.

Taki majątek odziedziczyliśmy prawem rozwoju po dziadach. Zmienić wypadło wiele. Uczuwając potrzebę oczyszczenia ideałów narodowych z pleśni, daliśmy im oblicze szlachetne w poezyi a nawet w sztuce; poznając groźbę przeszłości, weszliśmy z otuchą na drogę uświadczeń pracowitych. Czyliż przeto systematyczni jesteśmy? Powierzchnia umysłowości podniosła się i rozszerzyła znacznie, lecz u spodu czyni ten sam niedomiar sił, niby gra odruchów błędnych, przypominająca dzieje sejmików i bezrządu. Stan taki trwać musi, dopóki w postąnictwie matek nie zajdą zmiany poważne, dopóki wychowanie pokoleń zależeć będzie od niewiast słabych, pozbawionych pomocy mężkiej. Uważmy jak w rodzinach naszych pielęgnowane bywają bezwiednie zboczenia typowe; jak dziatwa rozwija się swawolnie pod opieką życiodawczyń rozkochanych; jak wiele pierwiastków zdrowych tonie w rozmiękczających mętach pieśczoży; jak znaczny pieniąż idzie nie na istotę potrzeb pedagogicznych, lecz na opłatę pozorów i okup niedołęztwa. Niech aniołkom służy czeladź liczna—niech sami nie dotkną rzeczywistości. To nie wychowanie—to romans. Ztąd charakterystyczne choroby woli, objawiające się brakiem zgody i wytrwałości w życiu obywatelskiém; ztąd niemniej osobliwe połączenie uzdolnień umysłowych z niemocą psychofizyczną. Znamy się dobrze i narzekamy, jak gdyby winowajcą był ktoś obcy. Czyliż w tém nie znać stanów rezdwojenia chorobliwego? Nie dziw iż zdobyć się nie możemy na filozoficzny systemat nauki, etyki i estetyki, skoro w domu naszym nie istnieją podstawy porządku.

Ktoby chciał poznać przedmiotowo czynniki psychofizyczne, cechujące w pewnej mierze młodzież polską, niech je bada przy lekcjach muzyki. Tu uczeń wyda na jaw treść utajoną, na którą zwrócić baczną podmiot nikt nie usiłował. Przełożeni bowiem zwykli określać wyrazem: „żywość”—wszelką nierównowagę, właśnie złą ekonomią ustroju, tamującą rozwój istotnej żywotności umysłu. Najcięższym skopułem w nauczaniu muzyki jest niedołęztwo bez granic. Niezmiernie małym znajdziesz poczet uczniów, nawet pomiędzy starszymi, zdolnych wypracować samodzielnie lekcją zadaną. Trzeba mieć cierpliwość psychologa i moralisty, trzeba dobierać środków przymusowych i prowadzić szkołę za pomocą najmóźolniejszej ze wszystkich metody nawyków. Znam rozliczne stopnie oddalenia pomiędzy sztuką a indywidualizmem nowicyuszów, wstępujących do jej przybytku. Znam chętnych, pojmujących wykład teoryi, a jednak nie zdolnych rządzić prawidłowo ruchami celowymi. Jakże im tru-

duo przywieść do zgody działalność trzech zmysłów—wzroku, słuchu i dotyku—by osiągnąć jakąkolwiek jedność wykonawstwa! Ci, jeśli wzrokiem wyprzedzają następstwo znaków, nie śledząc grupowania, to słuchem postępują leniwiej, gdy tymczasem rękami dać sobie rady nie mogą z aplikaturą instrumentu. System palcowania dla nich nie istnieje. Inni,—usposobieni lirycznie, chcieliby wygrać watek prędzej, niż im pozwala błędne przystosowywanie rąk i żreń. Wszyscy,—o ile nie są w stanie uposażać palców równomiernym i stosownie urozniczowanym dopływem siły nerwowej, przedstawiają oryginalne okazy gry poplątanę. Może być zadanie osobliwsze dla przewodnika sumiennego, któremu uczeń wciąż odpowiada że chce i pojmuje wiele, lecz nie łatwo wykonać nie zdoła? Znałem wychowawców łagodnych i dobrego serca, gotowych wpaść w rozdrażnienie, graniczące z obłądem furyatów, ilekroć zwałczył im przyszło najmniejszą trudność rytmiki i czasowania. Podśluchaj ich grę wewnętrzną, a poznasz przyczynę naszych rozstrojów towarzyskich, czynniki niewytrwałości i źródła porywów niedojrzewających. Nie jeden z tych, wdzięczny za przymus, śpieszył na lekcję jak na poradę, zachowując długo stosunek powinowactwa względem kierownika. To też moc wpływu znaczy wiele dla chwiejnych i bezwłasnowolnych, którzy bezwzględnie ulegać zwykli rozkazom i są poprawni tylko przez poduszczenie. Przywieść ich możesz do wykonywania kompozycji mniej lub więcej dokładnego, lecz pod warunkiem, że z przepisów szkoły nie pozostanie śladu poza godziną lekcji. Dla siebie, dla obcych nie zagrać nie potrafią. A jednak kto w ich wnętrzu znajdzie iskierkę drobną i tę rozdmuchać zechce na czynnik moralny, już ich skieruje na drogę wysiłków ku samodzielności. Zważyć należy iż upowszechniony dziś zwyczaj obarczania młodzieży nadmiarem pracy mózgowej nie sprzyja uprawie muzyki. Pod względem wiedzy korzyść żadna, Wszak to ładunek ciężki, złożony częstokroć z materiałów martwych. stosowany wadliwie, którym przez lat kilka zapycha się głowa chyba dla tego, by ofiara nauki przeszła później pod opiekę lekarzy. Zabraniamy w szkole wypoczynku i swobody, lubo dzieje rozwoju przekonywają o zanikaniu wszech istot, pozbawionych słońca, powietrza i odżywiania wiosennego. Godzina muzyki, wymagającej własnej swobody ruchów, mogłaby stanowić dobroczynną chwilę wypoczynku, gdyby uczeń, mniej męczony nad książką, zwłaszcza przepisywaniem, mógł przychodzić na lekcję rytmów rzeświejszym, zdrowszym. Otóż przychodzi bezwładnym, steranym psychofizycznie, jak długoletni więzień. Jego tkanki osłabły, straciły sprężystość, jego zmysł stępsiał, a ruch płynów nerwowych zwolnił aż do zastojów. Jak przystosuje rękę skurczoną, jak uniknie fałszów? Nie dziw iż w obec sztuki okaże niechęć tém większą, im mniej jest przygotowanym do używania jej darów; nie dziw iż wróciłby chętnie do zajęć biernych, nie z upodobania lecz z nawyku.

Poziom uzdolnień nie upoważnia nas wcale do zaniedbywania

uprawy muzyki. Owszem, należy lubownictwo podnieść na stopień wyższy i podjąć pracę raczej w imię dobra pokoleń niż na rachunek bieżący. Ze zdolności powstają z nasion i potęgują się kolejną spadkobrania przez dorobki, dla tego wychowywanie o tyle rozumnym być może, o ile opiekunowie młodzieży usiłują mieć na względzie przyszłość narodu. Otóż przezorności takowej przyznać sobie nie możemy bez szowinizmu. W okresie Stanisławowskim, lubo polacy uczyli potrzebę kształcenia się w kierunku estetycznym, lubo im dano oglądać oblicze piękna, to jednocześnie wprowadzono do kraju wiecznego wroga sztuki—modę. Ta zwykła szkodzić dogadzaniem próżności, o ile pobudza do błyszczenia przyborem powierzchownym. Moda—to lichwa, której społeczność zasobna wystrzegać się powinna. Patrz jak zaraza ta oszpeca polskość i obdziera ją z bogactw, jak niszczy znamiona indywidualne i naznacza młodzież piętnem zwyrodniałości. Ona to muzykę sprowadza do rzędu ozdób w salonie, gdzie mowa paryżan i beletrystyka francuzka mają wyróżniać wychowanie rzekomo estetyczne od gminnego. Kto stanowi radę pedagogiczną w rodzinach naszych? Oczywiście nikt; naśladownictwo bowiem nie potrzebuje wskazówek. Fortepian oklepywanym być musi, skoro popis w granicach nieużyteczności należy do dobrego tonu. O zawodzie artystycznym myśleć nie wolno bez ubliżenia godności szlacheckiej. To też z nauczania wykluczyć należy teorię i poezję sztuki, kolej ćwiczeń, znajomość stylów, zgoła porządek szkolny, by oszczędzić trudów niepotrzebnych uczniowi, który przecież tworzyć ani koncertów dawać nie będzie. Nieuctwo i słabość rodziców bywają przyczyną, że młodzież radzi sobie samowolnie w zatrudnieniach, nieobjętych programem gimnazyjalnym. Wychowawcy mogą wybierać i zmieniać nauczycieli muzyki według upodobania, mogą stawiać opór ich wymaganiom słusznym i zmuszać powagę do rachowania się z kaprysem. Strona bez głosu będzie nieledwie zawsze wygrywającą przed trybunałem opiekunów. Nie dziw że schlebiano jój stając się warunkiem koniecznym zawodu, którego nie wszyscy przedstawiciele mogą lub chcą być misionarzami; nie dziw że dla taudety muzycznej, przeznaczonój na handel codzienny, pominąć wypada arcydzieła mistrzów. Że młodzież nie pragnie poznać istoty piękna i godzinę muzyki bierze za chwilę rozrywki swawolnej, wina ciąży na owym domu polskim, gdzie pozór odbiera cześć prawdy i poniża wartość ideału.

Skutki takiego postępowania muszą być wielce ujemne. Polacy nie znają wcale mowy powszechnoludzkiej, która węzłem sympatycznym łączy plemiona i wzywa namiętności ślepe—do stawiennictwa wśród oczyszczających światła harmonii. Muzyczne lubownictwo nasze nie przekracza granic mody lub zgoła trywialności naiwnej. Pięścimy zmysł italianizmem jałowym, nie bacząc iż rozkosze czysto zmysłowe geniusz historii przeznaczył dla starców i reakcyonistów; hołdujemy bożyszczom nierozumu, bawiąc się dziecinnie

operetką, to jest rozpustną karykaturą piękna. Mogłaby potęga muzyki rozwijać się na scenie, gdzie dramat ustąpić musi przed bezmyślnym popisem głosów, gdzie uczestnik zwykł unikać zadań poważnych i szuka rozrywki ubocznej? To też opera nasza przedstawia szereg porywów i upadków, niby zwierciadło, świadczące niekorzystnie o tém co się dzieje w domu. Kto lekceważy wartość systematu, ten nie zrozumie nigdy mądrej dyalektyki ani poetycznej mowy symfoników. Ileż darów olimpijskich omija karciarzy, nie będących w stanie po pracy obowiązkowej zasiąść do kwartetu; ileż swarów rodzinnych zażegnałoby mogło muzykowanie zbiorowe! Młodzież zna nudy i marnotrawstwo. W jej wnętrzu roją się nieraz dziwadła fantastyczne. Czemuż tam nie ma idealnych kojarzni ze świata dźwięków?

Obojętni na ruch artystyczny w ogóle, zachowujemy się tém naganniej względem muzyki polskiej. Wszak dziecię to, poczęte w bólach romantyzmu, żyje przez chwilę siłą porywów, potem upada i zamiera. Lud nasz nie skąpo ma udzielonym sobie dar tworzenia pieśni. Gdzie stąpisz, idąc wzdłuż i wszerz kraju, usłyszysz liryzm odmienny, zawsze świeży i charakterystyczny. Lecz on nie piękny, nie rozwinięty, bo jest nawpół świadomem utworzem natury. Nadto, pomiędzy skarbami poezji śpiewanej, znajdziesz u ludu nie jeden motyw dawny, uroniony przez rycerza a przechowany przez chłopka. Trzeba materyał ów uporządkować umiętnie, przetopić kruszec w ogniach fantazyi wyższej, nadać bryłom kształty i blaski świadomości zupełnej. Kto to wykona? My umiemy zniechęcać naszych mistrzów, którzy w około siebie nie znajdują pomocy do budowania. Wszak dzieła wielkie powstają z mniejszych; wszak geniusze to ludzie wybrani, zdolni urzeczywistnić postanowienie zbiorowe.

Posiadamy dwie instytucye—Konservatoryum i Towarzystwo muzyczne—obie zanadto poważne by zasługiwały na lekceważenie, obie wśród nas obce, jak gdyby je zakładali przybysze z daleka. Konservatoryum liczy szereg zasług, przerwany koleją wypadków od roku 1830. Tu pomoc otrzymał nie jeden talent rodzimy, tu garstka ludzi, przejętych miłością dla sztuki, walczy z niedostatkiem, usiłując prowadzić w porządku wykład umiętności. Dla czego szkoła ta nie jaśnieje blaskiem akademickim? Ona omdlewa wśród zapomnienia, gdy tymczasem Warszawa trwoni kapitał na kupno pozorów i przywłaszcza sobie bezwstydnie tytuły miast najmuzykalniejszych. Inaczej sprawami sztuki zajmuje się Towarzystwo muzyczne. Tu rozstrój nieustanny zniechęca kierowników najwytrzymalszych; tu ogół szuka zabawy płochęj i radzi gwarnie o wszystkim, byle nie o zadaniu wskazaném. Nasze ciała zbiorowe, odznaczające się separatyzmem, wpadają bezwiednie w stan niemocy, jakiej ulegać zwykł indywidualizm skrajny. Nawet pokrewne nie wspierają się wzajemnie, bo ich nie łączy systematyczna jedność idei. Instytucye wyższe rozwijać się nie mogą tam, gdzie brak jest podstaw najpierwszych,

gdzie społeczność lekceważy dźwignie pedagogiczne i nie uczuwa potrzeby zogniskowywania sił swoich w danym kierunku.

Tyle co do szkód, ponoszonych przez społeczność polską w zakresie sztuki muzycznej. Nie utrzymuję iż naprawę zawdzięczałobyśmy jedynie dobremu tejże sztuki nauczaniu, byłby to bowiem objaw specjalny systematyczności, kształconej wszechstronnie. Baczyć jednak należy na pomoc znakomitą, jaką gruntowna uprawa piękna przynieść może w przedsięwziętych przez naród zabiegach. Wszak on na ubóstwo pod względem pierwiastków uczuciowych biadać nie powinien. Czemuż je trwoni? Bo mu ciężko przewyciężyć miękkość natury słowiańskiej, bo zdobyć się nie może na potęgę woli, utrzymując w porządku kształtowanie wyobraźniowe. Dopóki językoznawstwo polskie nie otrzyma podstaw trwalszych, a naukowość ogólna nie zostanie unarodowioną w imię samodzielności twórczej, tak długo myśl o postępie pozostanie dla nas czczem tylko marzeniem. Piękno, to systemat, bez którego nie ma pomysłów oryginalnych ani uwłaśczeń wśród obszarów idealizmu powszechnego.

### III.

Społeczność, dbająca o prawidłowy rozwój stosunków pomiędzy osobą a towarzystwem, uwzględnia w wychowaniu pokoleń dwie dźwignie: dom rodzinny i szkołę. Pierwszej zaleca ona opiekę nad dzieciństwem jednostek, pielęgnowanie indywidualizmu, kształcenie pierwiastków egoistycznych; drugiej nadaje powagę odmienną, o ile jej obowiązkiem baczyć na korzyść wielu, przestrzegać spójni, kształcić altruizm. Obie dźwignie współdziałać powinny. Jeśli bowiem wpływami domowymi należy długo równoważyć kodeks szkolny, to towarzyskość ma wiązać młodzież w dobie najwcześniejszej, już pod postacią ogródków i zabaw pouczających, o jakich pomyślał Froebel. Otóż wyrazem towarzyskości w muzyce jest śpiew zbiorowy, znany najdawniejszym uspołecznieniom teokratycznym i humanitarnym. Chóry hebrajskie przedstawiały jedność ludu wybranego, spójnię w imię deizmu. Chóry greckie były, niezależnie od mitologicznych, w tragedji bohaterów głosem sumienia narodowego, wśród igrzysk pochwałą dzielności pięknotwórczej. Lecz chórom starożytnym brakowało składowi harmonicznój. Tu homofonia wyrażała bezwzględną moc idei, więc zjednoczenie wręcz nieuróżnicowane, wzbraniające osobie mieć głos własny. Używany był podział antifoniczny śpiewaków na dwie grupy jednostajne, które deklamowały po kolei strofy i antistrofy, zachowując względem siebie różnicę kwinty lub oktywy. Podobna melopea uprawiana też była w ustanowionem przez Grzegorza W. państwie chrześcijańskim. Polifonią poczyna duch szkoły—harmonią geniusz realizmu. Śpiew wielogłosowy uróżnicowuje się znamienne. Zrazu nieskładny, pełen ruchów samowol-

nych, właśnie jak towarzyskość w wiekach średnich, kształci się on jednak pod wpływem systematyki, porządkującej coraz dokładniej stosunki różnic w imię syntezy. On teraz wyraża ugodę dobrowolną, opartą na sympatii i nie wyłączającą wcale charakterystyki indywidualnej. Ztąd niezmierną potęgą liryzmu zbiorowego, gdzie uczucia odmienne, sfornułowane dość niezależnie by miały cechy osobnicze, ocenić się dają przez kontrasty harmoniczne. Chór spełnił usługę znakomitą, ilekroć poezya i muzyka wezwanemi były na pomoc przez ustawodawców religijnych i przewodników ruchu, ilekroć przyszło zagrząć jednostki do wyzwoleń i postawić pomnik na polu działalności ludzkiej.

Skoro tak jest dotąd, chciałżeby kto zaprzeczać wartości pedagogicznej rodzajowi muzyki, najbardziej ze wszystkich humanitarne-  
mu? Śpiew wielogłosowy wzywa do porządku młodzież rozigraną i zamienia rozterkę szkolną na uczestnictwo uroczyste. On uczy hamować porywy osobnicze na korzyść harmonii, która tém przyjemniej zajmie uwagę wykonawców, im lepiej ci potrafią zachować jej warunki estetyczne, im ohotniej staną pod sztandarem piękna. Uważ jak im miło ulegać rozkazom, mającym na celu spójnią sympatyczną, jak coraz świadomiej pojmują role wskazane i odczuwają pełnię sił połączonych. Śpiew wspólny nadaje szkole powagę świątyni, uszlachetnia zabawę i umacnia węzły koleżeństwa, stanowiąc nadto środek najdzielniejszy, bo łatwy i praktyczny, do uzasadnienia znajomości muzyki. To też do postępowych nie powinny zaliczać się zakłady wychowawcze ani uczelnie, gdzie zaniedbaną jest chociażby skromna tej umiejętności uprawa. Tak właśnie sądzą przewodnicy młodzieży w krajach Europy zachodniej. Niech chóry niższe, zaczynając od ćwiczeń wstępnych i homofonii, wyśpiewają w partyach mało złożonych pogodną rzewność i niewinność uczuć, jak przystoi na wiek bezchmurny uczestników. Liryzm patetyczny nie dla nich. To mogłoby spowodować tkliwość przesadną, rozdrażnić lub uspokoić czułościowo naturę prostą. Tylko harmonia spokojna licuje z dobrocią serc dziewczych. Niech chóry wyższe złożą harmonią różnostronniejszą, głębszą, by wykonawcy poznawać mogli piękność muzyki stylowej i kształcić uczucia dojrzewające. Wybór pod względem osnowy ma znaczenie równorzędne, skoro śpiew spotęgowywa natchnienie poety i nadaje słowom oblicze żywe. Na ów stosunek poezyi do muzyki zwrócić uwagę uczniów należy koniecznie. Myśl i jej wyraz odosobnione, przebrzmiały nieraz bez śladu, lecz związane, zaciągną w pamięci prawem wzruszeń psychicznych.

Zważyć należy iż śpiew wielogłosowy posiada moc spójni demokratycznej. On wyraża liczbę mnogą i odnosi się zawsze do uświadomień przedmiotowych, do praw natury i związków rzeczywistych. Tę jego wartość poznał Pestalozzi, zalecający uprawę muzyki, jako dźwigni wielce ważnej w systemie wychowawczym dla ludu. Pfeiffer, znany w dziejach sztuki muzycznej dydaktyk, pośpieszył wykonać

pomysł filantropa, urządzając w Yverdon popularny wykład oraz praktykę śpiewu. Inny mąż światły, Naegeli z Zurichu, gromadził głosy, przewodniczył im i kształcił słuchaczy za pomocą odczytów. On zasłużył na pomnik. W Szwajcaryi bowiem obaczysz mnóstwo stowarzyszeń czynnych, mających na celu zdrowy rozwój uspołecznienia, a pobudzanych do ruchu przez ożywczą potęgę harmonii. Stany zjednoczone helweckie — to jeden chór wielki w małej krainie górskiej. Cóżby utrwać mogło ów związek ludności różnojęzycznej, jeśli nie wychowanie szkolne, usuwające nierówność w zakresie zobowiązań moralnych? Szkolnictwo niemieckie usłuchało wskazówek z sąsiedztwa, a towarzystwa orfeoniczne powstają coraz liczniej wśród ludów, którym pora iść naprzód pod hasłem porządku.

Ale śpiew nie posiada wielu przymiotów cennych, znamionujących nowoczesną sztukę muzyczną. On głosem poezyi, z którą pieśniarz rachować się musi, pomimo nieliczności dwu składni — podobnych lecz niejednakowych. Inną bowiem jest prozodia wiersza niż melodi, zwłaszcza pod względem miary, zawsze uwarunkowanej sprzecznie na szkodę mistrza słów lub mistrza dźwięków. Nie dość na tém. Im potężniej śpiew oddziaływa wyrazem uczuć żywym, bezpośrednim, tém mniej zadawalniać może zmysł, poszukujący dźwięczności czystej, matematycznie wytwornej. Pomijając mechanizm krtań, już same spółgłoski stanowią przeszkodę niezwalzoną. Nadto, że figurowanie głosu jest raczej wymownem niż reprezentacyjnem, że liryk stwarza motywy wewnętrzne, nie zaś charakterystykę ruchów, ztąd wielce ograniczony rozwój rytmiki i symetryczności, których bogactwa nie przystoją wcale śpiewowi. Inaczej w muzyce instrumentalnej. Ta, o ile całkiem uniezależniona, przedstawia doskonałą pełnię i subtelne granice tonowania, zwracając uwagę słuchacza na więź harmoniczną i modulacje, na swobodę ruchów, jedność składni i symetryę formy. Niemcy przyznają jęj wyłącznie tytuł sztuki, zapominając iż od klasyków neapolitańskich otrzymali pierwowzory piękna w cantilenie, iż sensualizm włoski dziś jeszcze lekceważy wymowę na korzyść uroczych całokształtów śpiewności czystej. Skoro jednak ów sensualizm spełnił postannictwo swoje, skoro symfonikowi przyszło ująć samodzielnie berło mistrza-poety, to wyznać pora, bez ujmy dla pieśniarza, iż w muzyce instrumentalnej uchylonemi zostały sprzeczności i rozwiązaniem najtrudniejsze zadania techniki.

Z rodziny instrumentów, żaden równie dobrze celom pedagogicznym nie odpowiada, jak fortepian. Udoskonalony wszechstronnie, on przedstawia skalę orkiestralną i posiada nader cenne przymioty gry złożonej. Czy bogactwa rytmiki wynagradzają krótkotrwałość brzmienia, czy różnice dotknięcia pozwolą zapomnieć o kolorytach panharmonii, dość że artysta okaże samodzielność wykonawczą i zaśrodkuje poloty fantazyi w mistrzowaniu reprezentacyjnem, gdzie znajdzie największą pełnię zadowolnień estetycznych. Pamiętać należy iż pul-



pit fortepianowy, niezależnie od literatury specjalnej, niezmiernie różnoliciej, dźwiga partye wszelakie, niby streszczenia, obznajamiające lubownika z wielkim światem muzyki. Nie dziw iż instrument ów zajął w salonie miejsce pierwszorządne, jako dar cywilizacji; nie dziw że mu przyszło być pośrednikiem ucieki estetycznych wśród rodzin i narzędziem właściwem, ze strony muzyki, dla pielęgnujących indywidualizm jednostek w wychowaniu domowem.

Całe niemal nauczanie muzyki objąć można lekcjami przy fortepianie. Mówię o nauczaniu rzetelnem, mającém na celu znajomość przedmiotu, nie zaś instrumentu wyłącznie, raczej istotę piękna niż grę automatyczną. Jaka ztąd korzyść iż uczeń posiada pozorną biegłość ręki i potrafi wykonać nie źle kompozycją bez stylu? On pozostanie obcym w dziedzinie systemu i zapomni dość wczesnie o lekcjach, które mu tajemnic sztuki poznać nie dały. Dwie ostoje psychiczne uwzględniać głównie należy: 1) bierne przymioty zmysłu i 2) czynniki woli. Obie służą łącznie za podstawę znanstwa podmiotowego, o ile zmysłem ukształconym posługuje się świadomość w stosunku do systemu dźwięków, o ile znów osoba porządkować zdoła ruchy własne równoważnie i rytmicznie na korzyść stosunku do strony postaciowej w muzyce.

Kształcenie zmysłu muzycznego powinno być uświadamiającem. Chodzi tu o umiejętne do lekcji fortepianu zastosowanie wykładu szczegółowego, więc oczywiście o godzinę poglądów, którymi przewodnik zajmie wyobraźnię ucznia, postępując z nim coraz śmielej drogą szkolną. By uświadamianie takowe przyniosło korzyść istotną, należy, w miarę czynionych postępów, nakłaniać ucznia do rozpoznawania zasad już w samych dziełach sztuki. To mu wskaże źródło zadowolnień estetycznych, o ile umyślnie oceni on zdoła każdy szczegół nieznan i uczuje się być szkolnikiem nieobojętnym w obec symboliki symfonicznej.

Estetyczne kształcenie woli opłaca się korzyścią znakomitą, mało znaną tam, gdzie pedagogowie nie są poszukiwani. Doświadczenia dynamometryczne przekonują, iż zachodzi ścisły stosunek pomiędzy ruchem umysłowym a zewnętrznym ruchem kończyn. Gdy głowę zajmiesz książką lub słowem żywem, a prąd wszelaki skierujesz do środka, wówczas członki spoczywające pozyszczą większą sprężystość w mięśniach i okażą się zdolniejszymi niż były przedtem do ruchu wysiłkowego. Oddziaływanie może być odwrotnem, skoro czynność mózgową ustanie, a organ szlachetny zapotrzebuje pobudki ze strony sił, wyćwiczonych najdzielniej. Chód umiarkowany przywraca myślicielowi zgubioną nić wątku; poruszanie rąk pomaga do ożywienia rozmowy. Że człowiek myśli znakami mowy, której rządzą spoczywają w lewej półkuli mózgowia, że tuż umiejscowionemi są również dźwignie ręki prawej, ztąd osobliwe objawy mimiki u rzeczników niespokojnych, używających nierównie wyraźniej prawicy niż ramienia lewego. Tacy,

o ile nie wytrawni i niezdolni panować nad sobą, wpadają częstokroć w obłąd, okazując uderzeniem pięścią grozę i gniew bez przyczyny. Słyszano ich w zgromadzeniach nieparlamentarnych, ilekroć czas zamącił namiętności ludzkie. Inaczej zwykł postępować aktor, który mimiką rytmiczną wspomaga przedstawienia myślowe również usystematyzowane. On umie wyrazić wszystkie uczucia, nawet uniesienia, za pomocą równoważnych ruchów w postaciowaniu i w wymowie, nadając tém samém grze swojej cechę spokoju pięknotwórczego. Rzecz można ogólnie iż ruchy kończyn, wyrobione estetycznie, odpowiadają ruchom słowa, utrzymanym w granicach rytmiki siłą porządkującą woli. Kto baczy przeważnie na poruszenia zewnętrzne, może być pewnym zręczności swojej; kto wymierza ruch myśli, może być pewnym wymowy płynnej, nie przerywanej węzłami, które powstają wśród bezładnej gontwy pojęć. Podobne węzły, spotęgowane rozlicznie, znajdziesz w zająkiwaniu się lub poszarpanej mowie osobników, źle uposażonych pod względem równowagi psychofizycznej i nie uzdrawianych za młodu. Ta sama wada znamionuje grę wielu uczniów, nawet starszych, o ile ci bezsilni są w obec trudności rytmicznych w muzyce.

Muzyka instrumentalna — to przedewszystkiém figurowanie dźwięków, gdzie zachowaną być winna ścisłość matematyczna, więc doskonała hierarchia wartości i niezachwiana proporcya w całościach iloczynowych. Uświadamiając teoretycznie o tém, należy grajka nałamywać, by zdobył samodzielne poczucie rytmiczności w mięśniach większych, nim je wyrobi wytworniej w palcach. Niech zaczyna od muzyki łatwej, gdzie linie i wymiary są proste, ułożone tanecznie, gdzie nie znajdzie przeszkody ze strony nacisków ani częstych zmian ruchu. Przewodnik powinien obmyślać środki metronomiczne i trzymać uczniów w karbach ścisłości tón surowszej, im młodszy są oni karni w stosunku do prawideł sztuki. Tylko w dawniej szkole klasyków znajdziesz tę rzeźbę taktów wytworną, jaka pod wpływem przedstawień postaciowych uczy rządzić subtelnie poruszeniami palców. Couperin, Rameau, Haydn — to mistrze „wymiarów złotych“, przedstawiciele formalizmu, który w wiekach XVII i XVIII urabiał przesłiczną manierę salonową. Ich styl waryacyjny znaczy wiele w nauczaniu muzyki, oczywiście nie dla powagi innej jak tylko pedagogicznej, rozsądnie ograniczonej. Głęboki Bach przystoi nie poczynającym — raczej wyzwoleńcom. Rozwijając najwyższe stopnie samodzielności, on stawia zagadnienia zanadto oderwane, by mogły zająć wyobraźnię żywą.

Kształcąc wolę osobnika, winniem mu dać moralny przykład panowania nad sobą. Jak to rozumieć w zastosowaniu do godzin muzyki? Nauczyciel bierze w lekcyi udział czynny, usiłując kierować wykonawstwem podług własnej samodzielności artystycznej. On pobiłdzi jeśli uwzględniać zechce indywidualizm rzekomy, który długo jest tylko materiałem do wyrobienia. Otóż z kolizyi dwu żywiołów sprzecznych — porządku i nieładu — wynikają stany psychiczne zbyt

uciążliwe, by nie wybuchały objawami zniecierpliwienia i gniewu. Lecz pedagog światły wybuchów takowych nie dopuści nigdy, wiedząc iż pierwiastki mętne słabiej pod silnym wpływem władzy porządkującej. On zachowa spokój stoicki, jakkolwiek stanowczym i rozkazującym być nie przestanie; on powagą moralną zniewoli ucznia do uległości, opartej na zaufaniu. Wszak łamać czynniki woli — to trud nie mały. Uczeń nic nie wie o pierwiastkach ujemnych swojej istoty, nie zna winy żadnej. Należy tedy obejściem najłagodniejszym koić spowodowane muzyką rozdrażnienie i okazywać wyższość przewodnictwa w sposób delikatny. Wypada przedewszystkiem poznać psychiczne przymioty wychowanka. Bywają natury bierne lub rozkiełznane, uporne lub tkliwe, ubogie lub posażne. Gdy wzrokiem znawcy przeniknę gmatwaną pierwiastków, jakie znamionują charakter, wówczas zdołam nakreślić plan szczegółowy, rozstrzygający o wyborze środków pedagogicznych. Te, o ile poparte sympatyczną mocą spokoju, pomogą mi zaprowadzić ucznia na szczyt indywidualizmu, gdzie już kierownictwo moje przydać się może jedynie w znaczeniu rady nader względnej.

Dwustronny stosunek uczestnika do sztuki, oparty na objawach doskonałości oraz na symbolizmie wyrazistym, pociąga za sobą konieczność kształcenia dwu sprawdzianów podmiotowych: 1) pojęć i 2) uczuć.

Ręce, o ile wykonać mają pewien szereg ruchów celowych, są narzędziami władzy wyższej, to jest ośrodka, gdzie in potentia istnieje pewien szereg przedstawięń, dość określnie zarysowany, by mógł być przez czynniki zewnętrzne ujawnionym. Wykonawca muzyczny musi wprzód ująć kompozycyę w karby myśli rozsądkującej, odtworzyć i upodmiotować pomysł obcy, zanim w grze zdobędzie panowanie wirtuoza. Jak sposobić świadomość ucznia w tym właśnie kierunku? Przewodnictwo prywatne, wychodząc z zasady, iż powaga sama mogłaby zrazić młodzież do uprawiania sztuki, urozmaica lekeye przyjemnostkami, które też ofiaruje uprzejmie w utworach stylu mieszanego, niby w barokizmie muzycznym. Zasada to fałszywa, o ile zakrawa nie na ułatwianie pracy lecz na ustępstwo. Młodzież lubi owe podarki nauczycielskie, bo one ją bawią. Nie dziw iż staje się wynagającą, nabiera wstrętu do prawidłowości i zwyczajności w imię zachcianek kapryśnych. Tak zwane *pièces modernes*, to jest utwory nijakie, przyczyniają się wielce do szerzenia ciemnoty w dziedzinie pigkna. Lecz stokroć gorszym w skutkach jest ustępstwo, czynione niepełnoletnim wielbicielom romantyzmu. Patrz jak chciwie pochłaniają oni narkotyki słodki, czytając pokryjomu powieść cudowną, jak wyobrażnią sycą szalonym wirum przedstawień nieprawdziwych a jednak suowanych prawdopodobnie, jak żyją wezbrany żarem gorączki, by omdleć i wpaść w otchłań tęsknoty. Ledwie setny z dzisiejszych wychowanców weźmie do ręki Homera. Inni wolą upojenia, zwiększone

ponętami owocu zakazanego. W romantyce muzycznej znajdziesz harmonią zwichniętą i rytmy połamane, wątki bez związku i modulatory mętne. Tu całokształtu nie ma, lecz są szczegóły powabne, owe właśnie wątki melodyjne, wyszukane, delikatne i pełne uroków niewieścich, które najbardziej pociągają młodzież dzisiejszą, rozlubowaną we wdziękach słabości. Uczeń powinien unikać długo tej muzyki syreniej, podobnie jak wszystkiego co trąci sentymentalizmem, co prowadzi drogą negacyi do przesady w uczuciach, do ubolewania bez przyczyn.

Piękno znamionuje muzykę klasyczną, gdzie istnieje doskonała jedność przedstawień, ułożonych symetrycznie w całokształt nieposzlakowany. Typem tej muzyki jest Sonata, której kompozytorka daje poznać budowę Symfonii orkiestralnej i przypomina sceniczny układ Opery. Są tu bowiem części osobnicze, niby akty, wyróżnione obrazowaniem odmiennym, są okresy, niby stawiennictwa, są zawiązki, stopnie szczytowe i rozwiązania — wszystko prowadzone tak umiętnie, by kompozytorki nie zepsuł najłżejszy brak ani rys niepotrzebny. Mistrz sztuki prawidłowej, nie zrywając ciężarów, jakie na szalach humanizmu stanowić powinny równowagę władz, hołduje majestatowi piękna i nie dopuści nigdy wypaczenia formy na korzyść treści. Jego ideałem — namiętność uspokojona; jego królestwem — harmonia światła; jego potęgą — twórczość jednolita, oparta na prostocie stylu. By wydać arcydzieło, on nie potrzebuje symbolów mnogich. Dość że posiada natchnienie, zmysł niemylny i wiedzę. Kompozytorką klasyczną poznasz po liniach kształtnych i wymiarach proporcjonalnych, po zboczeniach naprawionych i harmonii ścisłej. Tu chromatyka miękka ustępuje wciąż przed dyatoniką, chwiejność przed dokładnością; tu powaga mistrzowania polega na jedności tonicznej, zaś oryginalność na zestawieniach wielorakich. Przedstawiciele tej sztuki — to pokrewni arcymistrzów plastyki. W ich areopagu przoduje Haydn — twórca symfonii typowej, ów poeta naiwny, który połączyć umiał wdzięki natury z manierą arystokratyczną. W ślad po nim idzie Mozart — symfonik myślący, wytworny, poeta najsympatyczniejszy w zakresie optymizmu. On to założycielem szkoły fortepianistów, prowadzonej później przez dwu odstępców — Hummel'a, twórcę gry popisowej i Moscheles'a, twórcę kolorytów subtelnych. Scarlatti — to mistrz brawury, ujętej w karby symetrii klasycznej. Clementi stanął również na czele szkoły, której przewodniczył pedagogicznie, tworząc zbiór sonat wielce pouczających, ustopniowanych podług wymagań postępu. Zawsze oryginalny, poważny i pełen pomysłów treściwych, on umie zająć wyobraźnię i nadać ton wytworny nawet igraszkom fantazyi. Field i Cramer idą tuż za nim. Pośród klasyków odznacza się postać Bacha, który wiąże romantyzm gotycki z realizmem nowoczesnym. Jego symetrie polifoniczne — to niby architektura ostrołuków i wieżyc koronkowych. Niemniej przeto arcymistrz fugi składa na ołtarzu piękna dar

cenny — umiejętność pogłębiania ruchów harmoniczych. Potęgą wieszcza góruje Beethoven. On w formy symfonii typowej tchnął ducha poezji dramatycznej, wyzwolił fantazję z pod przewagi prawideł ścisłych i wskazał romantykowi niedościgniony szczyt systematyki wyższej, ideologicznej. Muzyce mistrzów wymienionych historia przyznała słusznie tytuł sztuki wielkostylowej. Wszak mowa o kilku geniuszach, którzy odtwarzali ideały powszechno ludzkie, dając je poznać nie tylko w utworach wielce złożonych lecz w najmniejszych. Lubo każdy z tych mistrzów był w pewnej mierze indywidualnym, o ile miał do uporządkowania inną treść, inną potęgę namiętności, to jednak wszystkich znamionuje humanizm, towarzyszący nieodzownie bezwzględnej idei piękna. Ich muzyka roznieca ogień estetyczny — radość niezmierną i podniosłość duszy.

Spieszę powiedzieć iż epoka romantyzmu nie samém odstępstwem waży w dziejach sztuki. Kiedy prysnęły ogniwa piękna, jednocześnie zawartym został sojusz pomiędzy fantazją wyswobodzoną a realizmem, który oddawna postępował naprzód pomimo przeszkód licznych. Ów realizm zbliżał mistrzów do natury, wskazując im cele wśród otoczenia i ostoję bezpieczną w granicach prawidłowości coraz mniej sztucznej. Jawią się geniusze narodowi, a w poezji i w muzyce poczynają rozbrzmiewać dźwięki charakterystyczne. To pieśni, wyjęte z gorących serc ludu, świeże i wymowne, podniesione do wzniosłości idealnej w imię praw indywidualizmu. Romantyzm chciał być uczuciowym, a szalał wyobraźnią. O doskonałość nie troszczył się wcale. Otóż, ilekroć trafił na przedmiot żywotny i celowością rozumną ograniczył egzaltacyą, wtenczas stwarzał dzieła oryginalne, znane nam jako całokształty raczej wyraziste niż piękne. Pomiedzy przedstawicielami muzyki fortepianowej w stylu romantycznym są umiarkowani, jak Weber, Schubert i Mendelssohn, są śmielsi lecz wytworni, jak Schumann, Chopin, Rubinstein, Grieg, są znów uniesieni kołowrotem bez hamulca, jak Liszt i zwolennicy wagneryzmu. Oceniając tę twórczość oryginalną, znajdujemy iż nie wszystkie dzieła mistrza-romantyka mają wartość jednaką. Poeta dźwięków, że się opiera na dźwięgniach natchnienia, że zależy całkiem od stanów wyjątkowych, częstokroć wielce zawodnych, wydaje naprzemian pomysły genialne, to znów porody fantazyi zbląkanjej. I nie dziw. Wszak on tworzy wysiłkiem niezmiernym i znosić musi omdlenie długie. Czemże są utwory natchnione mistrzujących w muzyce romantyków? Są wprost dziełami fantazyi, która wstępuje w dziedzinę poezji opisowo-lirycznej, by mogła za pomocą techniki swobodnej wyrażać mnóstwo przedstawień określonych. Tu obfitość środków niezwykła i różnaitość kompozycyi ogromna. Romantycy bowiem usiłują stwarzać formy, odpowiadające stanom podmiotowym osoby, a razem ujawniać stosunek tych stanów do czynników zewnętrznych, do otoczenia, jak gdyby chcieli śpiewać najwymowniej i opisywać żywo, fizyognomicznie. Wszystkie ich kompozycye noszą nazwy poezji opisowo-lirycznej, uświadamiające uczest-

nika o treści przedstawienia. Schumann, przejęty hoffmanizmem, tworzy galerye obrazków, gdzie chce dać poznać rozliczne nastroje ironii i humoru. On słucha muzyki w duszy dziecięcej i podaje mnóstwo ucieleśnień, znamionujących egzaltacją młodzieży współczesnej. Mendelssohn opromienia *Gemüth* niemieckie tysiącem światła przeszlicznych. Chopin, współnik wieszczów narodowych, przedstawia najpoetyczniejszą w życiu polskim dobę uniesień, żalów i upragnień. W jego utworach poznasz dumę rycerską, usłyszysz płacz rzewny i podziwiesz wysokolotne harmonie marzycielstwa naszego. Tę różnorodność uczuć wyobraźnia romantyków umieszcza rada wśród ruchów i barw przedmiotowych. Ztąd też ich muzyka pobudza do przypomnień, do zestawiania wrażeń, rzecz można do twórczości indywidualnej, tém płodniejszej, im więcej uczestnik widział, czytał i poetycznie zbierał.

Otóż wirtuoz znajduje w mistrzowaniu takowem trudność nie mającą do zwalzenia. Skoro nie zna dziejów romantyzmu w Niemczech, czyliż potrafi wykonać „Kreiserlied“? Skoro mu obcą ojczyzna Mickiewicza, czyliż wie jakim duchem ożywi ballady i poematy taneczne Chopin'a. Wykonawca powinien stworzyć komentarz do natchnień pierwotwórcy. On w myśli ułoży obraz fantazyjny, byle treściwy, jeśli pragnie zająć słuchaczy. A jednak przywilój poety nie zwalnia go wcale od obowiązku służenia sztuce w imieniu piękna. Wszak on ma naprawić nieład romantyczny, usiłując przywieść różnorodność porywów uczuciowych do znaczenia wykształtów skończonych. Wypadnie mu nieraz podjąć pracę mozolną, by mógł wzniosłość i wyrazistość ująć w karby przedstawienia. To też poezją muzyki romantycznej najlepiej wydatniać może tylko wyzwoleniec szkoły klasycznej, który potrafi spajać dźwięki harmonii rozległej i umiejętnem zastosowaniem gry wypukłej nadać wysoką wartość nie jednej kompozycji źle pojowanej. Wykonywanie muzyki w stylu romantycznym wymaga ćwiczeń długoletnich i dojrzałości. Trzeba posiadać skalę sił, zawartą pomiędzy uderzeniem herkulesowem a dotknięciem aksamitnym kobiety, by podołać trudnościom techniki, opartej na wyszukanych dźwigniach sensualizmu.

Że ów kierunek sztuki, nawet realistycznie ukrzepiony, zasad szkolnych nie posiada, dla tego pedagogicznym właściwie nie jest. Czyliż przeto lekceważyć należy wpływy muzyki nie-klasycznej? Bynajmniej. Ona kształci uczucia, ilekroć młody uczestnik zbliża się do niej jako przygotowany do ślubów kochanek. Ona zamienia radość młodzieńczą, ów promień jednobarwny, złocisty, jaki wynika z równowagi estetycznej, na mnóstwo związków rdzennych i uniesień przyczynowych. Należy wszakże ów promień posiadać, bo w romantyzmie są noce ciemne i zasadzki zgubne. Przewodnictwo powinno dać wskazówki, rzucające światło na osobliwy stosunek muzyki do poezji, a mianowicie na żywotność wykształtów psychicznych, które odtwarzać należy za pomocą czytania i pięknoznawstwa. Romantyzm oddziałuje potężnie na system nerwowy. Nie dziw iż staje się przyczyną owych upojeń

obezwładniających, które muzyk roznamiętniony rad przedłużać, zapominając o warunkach równowagi fizyologicznej. Fortepianista nowoczesny wiedzieć nie chce, że w imię rozkoszy coraz despotyczniejszej okrada władze szachetne na korzyść siły mięśniowej, że wyrazistość harmonii, zjeżonej rozdźwiękami a nierówną, raz subtelną jak pajęczyna, raz chmurną i wezbraną, spowodowuje rozkład strun uczuciowych, które też pękać muszą z jękiem, zwanym tęsknotą. Tej choroby unikać należy, bo ona nieuleczalna i wtrąca pokolenia całe w otchłań pesymizmu.

---

# BOHDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

PRZEZ

*Sewerynę Duchińską \*)*.

## III.

W dniu 8 września 1831 roku, Bohdan Zaleski z wielu innymi opuścił Warszawę; przez Zakroczym udał się do Prus, ale tam nie pozostał, od granicy zawrócił w inną stronę, pospieszył do Lwowa. Zastał tu miłego sercu Józefa Zaleskiego, którego, jak mówiliśmy, poznał u brata w Krzewcu, a później spotykał chwilowo w Warszawie. Pociąg, jaki przy pierwszém poznaniu złączył małego ucznia humanistycznego z okrytym ranami wiarusem napoleońskim, wzmocnił się we Lwowie. Z sercem pełném miłości obaj poślubili sobie braterstwo i dotrwali w niém wiernie. Do każdego z tych ślubnych braci zastosować możemy słowa Mickiewicza:

Szczęśliwy na ziemi  
Kto świętą przyjaźń zawarł ze świętymi;

bo jeśli praktyczniejszy i więcej doświadczony Józef czuwał jak ojciec nad Bohdanem, to znów Bohdan Zaleski, przejęty na wskroś duchem religijnym w domu ciotki Jasięńskiej, rozdmuchał w płomień wiarę przygasłą nieco w sercu dawnego legionisty. Obaj dopełniali się i uświęcali nawzajem.

Krótki czas spędzony we Lwowie, obfity był w różnego rodzaju przygody. Śpiewak cudnych dumek ukraińskich znalazł tu liczne

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. maj r. b.



grono wielbicieli. Do tych należał Józef hr. Borkowski utalentowany tłumacz pieśni nowogreckich i ztąd nazwany grekiem. Usprawiedliwiła tę nazwę sama powierzchowność: rysy miał pociągłe, klasycznie piękne, cerę smagłą, oko czarne pełne wyrazu. Żył w sposób bardzo oryginalny, jak nam opowiadał Zaleski. Zajmował wspaniałe mieszkanie matki, w ogromnym salonie pod żyrandolem kazał postawić łóżko, przy nióm stół; waty już na zdrowiu tu pracował, nie poruszając się z miejsca.

Dnia jednego Józef Borkowski zaprosił Zaleskiego do siebie, chcąc mu dać poznać przekłady greckich poetów. Wśród najzapalczyszej deklamacyi, siedmastoletnia panienka, siostra jego otwiera drzwi cichutko, skinieniem daje znak poccie naszemu, aby zbliżył się do niój. Podaje mu obie ręce z uśmiechem.

Po chwili spostrzega Borkowski, że nie ma przed sobą słuchacza; obraca nagle głowę, cóż widzi? ręce jego splecione z rękoma siostry.

— A zkąd-że wy znacie się z sobą? zapyta zdziwiony, ja właśnie miałem zamiar przedstawienia cię dziś siostrze mojej. No proszę, jakie to szczęście poetów!

Jakoż w rzeczy samój, nie pierwsze to było spotkanie. Widzieli się już z daleka może nie raz, a lubo słowa nie wyrzekli jeszcze do siebie, oczy ich zbiegły się już nawzajem. Cudne dumki śpiewaka „Rusałek“ porwały wyobraźnię panienki, a zaślugi poety na inném położeniu polu tém silniej przemówiły do jój serca.

Wszystko jednak na tém się skończyło. Pobyt Zaleskiego we Lwowie zwrócił uwagę władz miejscowych; wkrótce potem zatrzymany, odzyskał wolność dzięki usilnym staraniom Wacława Zaleskiego, ojca dzisiejszego namiestnika.

Panna Borkowska poszła niebawem za mąż, za bogatego obywatela z Galicyi pana Niezabitowskiego. Żyła z nim tylko sześć miesięcy. Po śmierci męża urodził się syn, lecz i ten wkrótce umarł. Ogromny majątek spadł na matkę. Młoda wdowa nie weszła w powtórne związki. Zamiłowana w literaturze wiele świadczyła akademii lwowskiej, liczne ufundowała stypendya. Odtąd unikała spotkania z Zaleskim, aby, zdaniem jego, jak Aldona na wieży, nie zatrzeć mu obrazu, który tak uroczo odbił się niegdyś w wyobraźni poety-entuzjasty. A może też i sama, jak mówi Zaleski, nie chciała doznać podobnego zawodu, na widok starca z siwą brodą i pooraném czołem.

Z zalem w sercu poeta nasz opuścił Lwów w towarzystwie Worcela. Józef Zaleski pozostał jeszcze w Galicyi dla urządzenia spraw majątkowych, poczem miał pospieszyć do brata. Zatrzymał się Bohdan Zaleski w Krakowie na dzień jeden. Ukradkiem pobiegł na Wawel, ukląkł na grobie Kościuszki, gorącemi oblewał go łzami. Te łzy nie uszły pilnych oczu, zwróconych na niego. Zmuszono go niezwłocznie opuścić Kraków; wyjechał do Paryża.

W zgiełku wielkiego miasta czuł się Zaleski dziwnie osamotnio-

nym. „U nas inaczej! inaczej! inaczej! powtarzał sobie w duchu, zadumany o drogić Ukrainie. Wkrótce jednak ożywiło go spotkanie z Mickiewiczem. W wiele lat później opisał tę chwilę w liście do syna wielkiego poety.

„Z różném powodzeniem ale spótcześnie, pisze Zaleski, na dwóch krańcach ojczyzny, i wielki Mickiewicz i ja, bezwiednie o sobie jęliśmy się swojskiej lutni, spótcześnie téż po pierwszych rozdźwiękach, wywiązał się pomiędzy nami sympatyczny duchowy prąd. Na dziesięć lat wprzódy, zanim się się poznali i zaprzyjaźnili, kochałem już Mickiewicza i wielbiłem, nawzajem od niego ceniony i miłowany. Z Wilna, Odessy, Moskwy i Rzymu, za pośrednictwem spólnych znajomych, jako to Józefa Jeżowskiego, Bonawenturowej Zaleskiej, Joachima Lelewela, Waleryana Krasińskiego, A. E. Odyńca, Stefana Witwickiego i innych, wywiadywaliśmy się ciekawie o sobie i znosili się w rzeczach parnaskich. Pierwszą wileńską edycją poezyi, a potém Sonety Krymskie, Wallenroda i wydanie pism petersburskie, przysłał mi Mickiewicz zaraz po wyjściu z druku do Warszawy, z pochlebniemi własnoręcznemi dopiskami. Za przybyciem do Paryża w roku 1832-im prosto z dylizansu przyszedł do mnie z Joachimem Lelewelem, który sam jeno cichaczem dla sprawienia mi niespodzianki, czekał na Mickiewicza w biurze messażeryi. Od razu stanęliśmy na stopie przyjacielskiej. W dniu zaznajomienia się czytał mi do późna w nocy świeżo napisaną w Dreźnie precudowną swoją trzecią część „Dziadów.“ Odtąd żyliśmy, rzec można, nierozłączni, w spótc duchowej z kilkoma jeszcze druhami.“

Do innych oddalonych przyjaciół pisywał Zaleski długie listy: obznajmiał ich z ruchem politycznym i umysłowym. Krew żartko kipiła w piersi młodej: stan gorączkowy podniecały burze, wzbierające w powietrzu. Nieraz téż ostre słowo wybiegło z pod pióra poety, ale po chwilowém uniesieniu następowała szczerza skrucha. Zobaczmy jak Zaleski określa sam siebie w liście do Ludwika Nabielaka, przebywającego w Szwajcaryi w końcu 1832 roku.

„Nie pamiętam już com do ciebie pisał; może się uniosłem, może niesprawiedliwie! Przepraszam cię w zupełnej skrusze i pokorze serca za wszystkie przyostre skłótki, jakie w ówczesnym kapryśnym i romansowym humorze moim wymknęły mi się nieumyślnie z pod pióra. Poeta i ukraińcie! W podwójnej takiej skórze z natury muszę być żywy, fantastyczny—i często brać na kiel, jak brat—koń tabunowy. Drażliwy i drożący się jak rozkochana dziewczyna,—jak ta w miłości, tak ja w przyjaźni lubię dręczyć się i dręczyć drugich, a dalibóg! sam nie wiem dla czego i na co? Chyba dla przyjemności czulszej potém zgody. Cóżkolwiek bądź, taki to jest chleb mój powszedni—twardy, obozowy, który nie bardzo tuczy, ale krew utrzymuje wiecznie w potrzebnym ruchu i cieple. Kochający przyjaciel po mojemu, płomiennie, bo przyjaźń u mnie jest namiętnością; biada wam i mnie! jeśli coś nieczystego spostrzege. Mam osobne prorockie uczucie prawdy i wszystkie zmysły przez poezję jak instru-

ment ograne, tak że dźwięk, woń, barwę czuję pod palcami memi. Słabsze uściśnienie ręki, gra fizyognomii, promień nieco ukośny oczu, wyraz ust, głosu i t. d. nie prześlizgnie się płazem przed mojem baczniem. Raz między tysiącem mogę się omylić i przypuszczam, że mnie się to wydarzyło z tobą w Zurychu czy Baden. Kochany Ludwik! żałuję za grzechy. I oto w tej chwili zadałem sobie strzelistą pokutę. Mimo nieznośnego bólu głowy, postanowiłem koniecznie napisać list do ciebie. Piszę tedy jak w zaćmieniu, zielonym atramentem na złotym papierze; ale piszę, osiodłałem wolę moję i choćby miała pęknąć czaszka, nie zatrzymam się w drodze...

...Żyję jak pustelnik, sam, wśród pójczystych, porodzinnych, pomiotnych moich pamiątek. Wiele piszę. I pieśni moje, jak wody strumienia, w miarę swego łożyska, płytkie to głębsze, mętne to jasne, odbijają atoli coś z blasku i barwy nieba i okolic, przez które płyną i dźwięczą. Wieczory przepędzam sam na sam z Adamem Mickiewiczem. Kochamy się jakby rodzeni bracia, którzy się poznali dopiero z sobą na wygnaniu, w nieszczęściu i sieroctwie. Drogi nieoszacowany nasz Mickiewicz! Jak świat—wielki, cudowny poeta i człowiek. Mam u siebie jego rękopisma, które na kilka grubych tomów wystarczą. Jaki skarb dla literatury polskiej! Dziady, będzie to olbrzymie, oryginalne, narodowe, poema, coś nakształt Divina Comedia nasza. Ogromne ramy, które wszystkie światy poezyi i filozofii obejmą. Ani się domyślisz treści, ani podobna dać o niej wyobrażenia. Jakimi słowy odmalować złotą nić, która przechodzi przez środek tyłu różnych zdarzeń i uczuć! Bohaterami poematu są Bóg i sam poeta. Na kłęczkach czytałem drukowane i niedrukowane części poematu. Genialne, szekspirowskie sceny!

Po przybyciu do Paryża w końcu 1832-go roku, Mickiewicz zajął się pilnie „Panem Tadeuszem,“ którego plan obmyślił już w Poznaniu i tam nakreślił już początek poematu. W pięćdziesiąt lat potem Zaleski, w innym liście do syna poety, opowiada jak w oczach jego tworzyło się i rosło arcydzieło. Przytaczamy ustępy z tego listu, który uważamy jakoby piękną kartę, wyrwaną z autobiografii ukraińskiego wieszca. W każdym słowie jego drga najwznioślejsze uczucie, miłość dla twórcy poematu i zachwyt pod wpływem arcydzieła, które miało stać się chlubą literatury naszej.

„Zajęty wydawnictwem „Dziadów“ i poezyi Stefana Garczyńskiego, mówi Zaleski, użalał się często Mickiewicz przed przyjaciółmi, że te zajęcia dławiają mu w pieluszkach Tadeuszka. W pogodniejszych jednak godzinach ówczasowego a z znojnego życia dorzucał po kilkadziesiąt wierszy do swój „ulubionój powieści“ jak ją sam nazywał.

Otaczało już wtedy Mickiewicza kilku rodaków, do których przyłączył się sercem. Bliższe to, niejako przyboczne grono składali: Antoni Górecki, Ignacy Domejko, Bohdan Jański, Stefan Zan, ja, a nieco później Stefan Witwicki i brat mój Józef. Mieliśmy wolny przystęp do Mickiewicza o każdej godzinie dnia, czy dumał, czy pisał, czy obiadował. Używaliśmy też swego przywileju i często nadu-

zywali, osobiwie przynosząc niepotrzebne rozgwały z bruków paryzkich. Wielkoduszny i czuły Mickiewicz pobłażał wszystkiemu, kochał nas pomimo nieznośnych wad tego lub owego w gronie. „Ulubiona powieść“ niejednokrotnie szkodowała i od przyjaciół. Najwięcej nadokuczałem Mickiewiczowi ja z mojem politykowaniem.“

Był to w rzeczy samej czas wielkiego wzburzenia w umysłach: przy ulicy Taranne garstka rozbitków naszych toczyła namiętne spory: echo ich dobiegało Mickiewicza, a kto wie, czy nie znalazło oddźwięku w owym wykrzyku Dobrzyńskich: „Hejże na Soplicę!“ Nasz Zaleski, śpiewny słowik ukraiński, ulegał mimowoli tym panującym prądom, wyparty z guiazda szamotał się jak drudzy. Miejscowe zawichrzenia utrzymywały jeszcze ten zamęt. Tron Ludwika-Filipa chwiał się na trzęsawisku; ledwie rozwalone barykady wznosiły się na nowo. Ład społeczny widocznie był zagrożony. Wśród takich burz zewnętrznych Mickiewicz tworzył swą piękną epopeę.

„Z początku pisanie szło twardo, mówi Zaleski, aż rozgrzał się w duchu i wkrótce tém obficie dlań wytrysło źródło Hypokreny: napisał drugą i trzecią księgę Pana Tadeusza. Przy czytaniu piękniejszych ustępów z poematu, którego nie znaleźmy jeszcze rozmiarów, ani obejmowali całości, napędzał i nas do pracy, osobiwie do pracy wewnętrznej nad sobą. Radził, abyśmy zaniechali na czas reformy społeczeństw, aż on i my z nim zreformujemy się sami wprzód, aż rozniecimy w skołatanych sercach stygnącą wiarę, miłość i nadzieję. „Smutni, chorzy, my zamiast cieszyć się i leczyć, wolimy wzajem siebie smucić i kaleczyć!“ W rzeczach wiary wszyscyśmy już wtedy stali przy kościele, z odcieniami różnych osobistych uwidzeń przeciw księżom, które druh Jański usiłował szarmonizować. Około tego czasu zaczęliśmy u Mickiewicza wspólne modlitwy, które wygłaszał najstarszy wiekiem Antoni Gorecki z osobiwem namaszczeniem. Ku wiosnie zapachniał Mickiewiczowi las, opanowała tęsknota za wsią, poetycka tęsknota, którąśmy obadwaj zawdy po bratersku spólczuli. Ogród Luksemburski wtedy okazały, przestronny, zaciszny, nęcił go ku sobio głównie z powodu Pana Tadeusza.“

W onym to czasie Zaleski powitał z radością przybyłego z Galicyi brata Józefa. Zamieszkał z nim w Sévres pod Paryżem, nie przerwało to jednak najściślejszych stosunków między poetami. Zaleski odwiedzał raz po raz Mickiewicza, który rozgościł się chwilowo u Domejki, ucznia szkoły górniczej, tuż obok ogrodu luksemburskiego, gdzie musiał po raz drugi tłómaczyć Giaura, zatrąciwszy rękopism ustąpiony wydawcom.

„Po niemiłej przerwie, mówi Zaleski, z wypogodzonym umysłem zasiadł Mickiewicz do błogostawionego swego arcydzieła i natchnienie powróciło mu wnet strumieniściej. Wtedy to pisał po sto i sto pięćdziesiąt wierszy na dzień za jednym zamachem, które nam odczytywał wieczorami, jeszcze nie zaschłe na papierze. Podziwialiśmy ich świeżość, krasę, barwę i woń rodzinną. Rozdobruchany

Mickiewicz zachęcał rymujących swoich przyjaciół, aby przynosili mu luźne rapsody szlacheckie, które on wcieli do swęj powieści, na pamiątkę stosunków między nami. Tym to sposobem kilkadziesiąt wierszy Witwickiego zostało się w opisie macecznika wplecionych tak zgrabnie, że za ledwie je kto rozróżnić zdoła. Zaczęły się skwary letnie. Wieszczył pisał a pisał, korzystając z dobrego usposobienia. Rzadko wychodził z domu, chyba wieczorami na przechadzkę. Kiedy niekiedy po większém znużeniu i wyczerpaniu, zabiegał na dzień jeden i drugi do mnie, nieszkającego w Sévres, jak mawiał na wypoczynek i dla chłypnięcia świeżego powietrza. Wiedziałem doskonale o każdym przyroście Pana Tadeusza. Już róg myśliwski pana Wojskiego grał mi bez ustanku w słuchu i sercu, i gwary braci szlachty zaściankowej poczynalem rozumieć. Księga czwarta już była napisana a i piątą wykończal. Przyjaciele życzyli końca Panu Tadeuszowi, bo Mickiewicz wędnal nam i sechl w gorączkowej pracy.

Smutna okoliczność wytręciła wtedy pióro z rąk pœecie. Odbiera z Drezna list, że Stefan Garczyński bardzo słaby, wyjechał ku Szwajcaryi. Mickiewicz bez namysłu spieszy do gasnącego przyjaciela, przewozi go z miejsca na miejsce, zdążają oba do Włoch. Zatrwożony Zaleski pospiesza w te tropy za Mickiewiczem, pragnie, jak mówi, pielegnować trzech biedaków: „Stefana, Mickiewicza i Pana Tadeusza,“ Wielka to podróż, nie było wtedy dróg żelaznych, ale miłość bratnia łamie najtrudniejsze zapory. Listy pokrzyżowały się, tymczasem Stefan umarł w Awinionie, Mickiewicz pogrzebał go ze łzami i wyjechał, lecz gdzie? niewiadomo! Długo Zaleski goni za nim na domysł; szukają się nawzajem, bo i Mickiewicz wie, że opuścił Paryż; nakonec znajdują się w Lyonie.

„Przechodząc około jakiegoś hotelu, mówi Zaleski, zaoczyłem Mickiewicza w oknie, z papierem w ręku; zastałem go dosłownie zacietrzewionego nad panem Tadeuszem. Wieczorem tegoż dnia, ostatniego września 1833 roku, puściliśmy się w podróż ku Paryżowi.

Od razu wpadł Mickiewicz na swój trop i cieszył się najlepszém natchnieniem. Pan Tadeusz wystąpił teraz dopiero w zarysach wyraźnych architektury swęj epicznej. Mistrz potężny opanował całkiem swe narzędzie: język, rytmy, rymy, jak roztopiony kruszec, lały się w ogromne tygle, że na skinienie czarodzieja, posąg, dzwon, lub działo wyskakiwały w mguceniu oka już z pod ziemi. Rozkoszowaliśmy się wespół z Mickiewiczem, spożywając te nowalie poetyckiego jego geniuszu. W czasie odczytów żyliśmy jak przemienieni, jak przeniesieni cudownie do Polski między braci i siostry, tak w „Panu Tadeuszu“ wszystko jest żywe i swojskie. Zapomnieliśmy bied i trosk powszednich, zapomnieliśmy piękących tęsknot porodzinnych. Unosiliśmy się chlubą Mickiewicza, a zarazem dumą narodową, że oto Polska posiada swęj eposeg. Błogie wieczory u Mickiewicza nie zamierzchną nigdy w pamięci przyjaciół. Nuciliśmy pieśni litewskie, białoruskie, ukraińskie w chorowód za wieszczem. Mickiewicz opowiadał nam

ustępy z dziejów swój młodości w Nowogródku, Wilnie i Kownie, wzywając nawzajem do poufnych zwierzeń, że każdego z nas poznał niejako na wskroś. W uroczystych godzinach z lubością rozprawiał o tajemnicach zaziemskiego życia, o świecie duchów, słowem do subtelności mistycznych miał już od owego czasu niepowściągniętą skłonność. W codziennym obejściu z nami był nad podziw dobrotliwy, słodki, że pomimo woli Witwickiemu i mnie przypominał się dobroduszny Kazimierz Brodziński. Umiał każdemu umilać dolę wygnania, zażegnać bóle i boje wewnętrzne, których nam nigdy nie brakło. Z tego okresu czasu Tadeuszowskiego ileż osobiście zadłużyłem się Mickiewiczowi. Nosilem ucisk w sercu, bolesny jak zastrzał. Otóż zabliznił tę ranę moją czułością brata i pieśczętami siostry. Łzę zcałowaną wtedy, po dziś dzień odwdzięczam łzami przed Bogiem za jego duszę.“

Zima bardziej jeszcze ścieśniła przyjacielskie kółko. Bracia Zalescy opuścili Sèvres, osiedli w Paryżu i znów codziennymi byli gośćmi w domu Mickiewicza. Z uniesieniem Zaleski wspomina triumfalny dzień, kiedy wieszcz ukończył wielki poemat.

„W połowie lutego 1834 roku, mówi on, wieczór pod szarą godzinę, kiedyśmy się już byli zebrali i po cichu gwarzyli, widząc gospodarza w drugim pokoju przy kominku, szparko machającego piórem powstał od stolika Mickiewicz z rozpromienioną twarzą i zawołał ku nam: Chwała Bogu! oto w tej chwili napisałem pod Tadeuszem wielkie finis. Radośnie za nim powtórzylśmy: Chwała Bogu! i wykrzyknęliśmy trzykrotny wiwat, z oklaskiem przy uściskach serdecznych. Nazajutrz staropolskim obyczajem wysłuchaliśmy Mszy Ś-jej, a potem zaprosiliśmy go na skromną ucztę.

„Żądał odtąd Mickiewicz, abyśmy wcześniej do niego przychodzili, odbędzie się bowiem jeszcze jedna ceremonia, to jest imienin i chrztu pana Tadeusza. Tak nazwał autor niezbędne poprawki w poemacie. W pierwotnym tekście stały imiona własne i rodowe osób z przeróżnych miejscowości na Litwie, które należało koniecznie przekreślić, to jest zastąpić wymyślonemi. Oczywiście na pierwszym zaraz posiedzeniu nawymyślaliśmy bez liku dziwnych imionisk, które Mickiewicz rozgatkował i przyjmował je lub odrzucał. Najpożyteczniej mu w tym służył Domejko, który jako Litwin i współpawietnik pana Tadeusza, doskonale znał ojczyste strony. Mickiewicz wymagał także od nas, zaklinając na przyjaźń, abyśmy póki czas po temu, wskazywali mu do sprostowania ważniejsze błędy, bądź w duchu bądź w treści, bądź w formie, bądź to nakoniec w wyrażeniach. Wymawialiśmy się w tej mierze i targowali z nieudanym sromem, ale w końcu musieliśmy uleść jego niezłomnej woli. Mickiewicz z piórem w ręku sam czytał „Pana Tadeusza,“ księgię po księdze, a kiedy uczył zmęczenie odsuwał rękopis ku Witwickiemu lub ku mnie do czytania. Z początku branie inicyatywy tej cenzorskiej szło twardo, ten to—ów bąkał jakieś uwagi, które Mickiewicz po krótkim

namyśle uznawał za niesłuszne lub słuszne i natychmiast mazał lub podkreślał do poprawki, a czynił to z nieocenioną skromnością a nawet z pokorą. Nieraz w czasie czytania wyrывał mi rękopis i przekreślał piękne wiersze bezlitośnie. Wypraszaaliśmy je najwymowniej od śmierci. Mickiewicz zbywał głębokim słowem: „Wiersz umorzony jak ziarno pszenicy rozradza się tém bujniej.“

Ten obraz genezy „Pana Tadeusza,“ nakreślony z tak głębokim uczuciem, jakże cudne światło rzuca na ówczesne stosunki braci po piórze! Skupieni około wieszczą, patrzą nań z młością i dumą, nie pytają czy aureole ich nie zbledną w słonecznym blasku jego chwały. Wyższa myśl ożywia ich i raduje: naród pozyskał arcydzieło!

Lato rozproszyło przyjaciół. Życie paryzkie wstrętne było Zaleskiemu; schronił się więc do Sèvres z bratem Józefem. Mickiewicz pozostał w Paryżu dla dopilnowania druku „Pana Tadeusza,“ ale odwiedzał często przyjaciół, niekiedy nawet przybywał na czas dłuższy. Zaleski wspomina z uczuciem te miłe odwiedziny. Wiosna w tym roku nadzwyczaj była pogodna i ciepła, w pobliżu Wersalu pełno przebywało życzliwych druhów. W Marly mieszkał Maurycy Mochnacki, zagrzebany w pracy około swój historyi. Dwaj poeci nasi, dalekie odbywali przechadzki po lasach okolicznych; sam Zaleski mógł w chodzeniu sprostać Mickiewiczowi. Zachodzili nieraz do Saint Germain, odwiedzając po drodze Mochnackiego i innych rodaków, garząc i dumając o tém, co pozostawili daleko.

Mickiewicz chętnie przebywał u Zaleskiego, raz że kochał go całym sercem, a potem, że w domu jego spotykał nieraz typowe postacie ukraińców, którzy, garnąc się do druha, przynosili z sobą jakiś powiew stepowy. Do tych należał major Kosmański, vulgo Kosmans, butna postać, oryginał niezmiernie wymowny, zapalający się za każdym słowem.

Razu jednego Mickiewicz przyszedł do Sèvres z Paryża piechotą. Dzień był skwarny: czując się zmęczonym, położył się na łożku i począł drzemać. W tém słyszy w przyległym pokoju, jak ktoś rozprawia z niezmiernym zapałem i co chwilę powtarza: „niech bombę połknę.“ Zaciekawiony Mickiewicz pyta, kto tam jest: Zaleski przedstawił mu Kosmansa. Buńczuczna postać uderzyła poetę.

— „Powiedźże mi bracie, kto ty jesteś, zagadnął.

Kosmans nastroił minę uroczystą, pokręcił węża, podniósł głowę do góry.

— Jestem, zawołał, synem nieszczęścia a kapłanem wolności!

Mickiewicz uśmiechnął się, ale upodobał sobie ukraińca. Wyciągnął go na słowa, śniął się szczerze z jego prawdziwych a często zmyślonych dykteryjek.

Zaleski znał Kosmansa w Warszawie. Raz na krótko przed opuszczeniem kraju, wszedłszy do kawiarni zastał go perorującego z wielkim ogniem i żywą gestykulacją, w obec towarzyszków przy

szklankach. Na widok Zaleskiego, Kosmans przerywa mowę, biegnie do poety: „Oto nasz wieszcz i nasz wódz!“ woła z uniesieniem i upada mu plackiem do nóg. Obecni otaczają mowę, a on im prawi, jak Zaleski na czele jakiegoś oddziału dokazywał cudów waleczności. Określił to w tak żywych i świetnych barwach, że zelektryzowani słuchacze rozszlochali się mimo, że poeta powtarzał bezustanku, iż to wszystko wierutna bajka.

Ale oprócz Kosmansa i innych podobnych mu typów dni bezpowrotnie zaginionych, odwiedzali Zaleskiego w Sèvres inni jeszcze ukraińscy druhowie. Dot takich gości należał także słynny powieściopisarz Hohol. Ten synął mu pełną dłońią macierzanki z nadnieprza i stęsknionego do mógł i limanów skapał, rzec można, w domowej atmosferze. Długie rozmowy z Hoholem, w których i Mickiewicz brał udział, wprowadziły Zaleskiego w tę czarodziejską krainę mów i marzeń, opiewaną w owiej nieporównanej dumie.

U nas inaczej! miłość i tęsknota  
 To jak dwie prządki naszego żywota,  
 Bożeś mój Boże! łzami modłę Ciebie,  
 Jak umrę daj mi ukraiń w niebie;  
 Nie ma bo rady dla duszy kozaczój,  
 U nas inaczej! inaczej, inaczej!

Na zimę Zaleski z nieodstępnym bratem Józefem powrócił do Paryża. W końcu tegoż roku obaj z Mickiewiczem i kilku innymi towarzyszami zawiązali po spowiedzi w dniu 19 grudnia 1834 roku bractwo p. t. „Bracia zjednoczeni w celu chrześcijańskim i polskim ćwiczenia się w pobożności tudzież pobudzania do niej innych rodaków“. Akt założenia, skreślony przez Witwickiego, pozostał w rękę Zaleskiego. Podpisali go Antoni Gorecki, Adam Mickiewicz, Stefan Witwicki, Cezary Plater, Bohdan i Józef Zalescy. Wkrótce przyłączyli się do nich Ignacy Domejko i Bohdan Jański. Ten ostatni w żarliwości ducha, z przybranymi do boku swego Hieronimem Kajsiwiczem i Piotrem Semenczką, rozszerzył wkrótce zakres działania między młodszą bracią na szerszą skalę w tak zwanym klasztorcu swoim. Z wybrańców tego klasztorcu, spowinowaconego z powyższem bractwem Zjednoczenia wytworzył się następnie zakon ojców Zmartwychwstańców.

Następnego lata, Zaleski wyjechał z Józefem nad Ren w okolice Strasburga, krótko tam jednak bawił, gdyż w końcu tegoż roku 1835 widzimy go w Paryżu, w chwili gdy umarł Maurycy Mochnacki. Opowiadał nam bolesną niespodziankę, jaka go naówczas spotkała. Dótkór jeden polak, obecny przy śmierci Mochnackiego, powziął szczególną myśl: uciął umarłemu głowę i przywiózł ją do Paryża, dla modelowania. Zaprosił do siebie kilku bliższych znajomych, między którymi był nasz poeta. Gdy się zebrali, rozwinął w obec nich płótno,



i ukazał im dobrze znaną głowę, którą śmierć okropnie zeszcpeciła. Widok ten przeraził obecnych, i na pociec naszym zrobił najsmutniejsze wrażenie.

## IV.

Zgiełk paryżki coraz to bardziej ciężył Zaleskiemu. Duch jego potrzebował ciszy i głębokiego skupienia. Tęsknił do pieśni jak ptak więziony w klatce, pragnął rozwinąć skrzydła i rączym polotem wybiedz w nieskończony świat ideału, od którego życie powszednie nazbyt go odrywało. Z wiosną r. 1836 dwaj bracia opuścili na długo Paryż, spieszyli nasamprzód do Strasburga, potem zamieszkali w cieniu gór Wogezkich, to w Robertsau, to w Molsheim, gdzie prowadzili życie pustelnicze. W tój to pustelni Zaleski czuł się prawdziwie natchnionym, tu wyśpiewał cudny poemat: „Duch od stepu,“ tu również utworzył wielki poemat historyczny p. t. „Potrzeba zbarzaka.“

Odwiedził przyjaciół Ignacy Domejko, który zdeptał Wogezy w celu geologicznych poszukiwań. W liście do Mickiewicza geolog nasz wysławia pobożny lud góralski. Do listu tego przypisuje się wesoło nasz poeta. Słowa jego świadczą o niesłychanej sile twórczej, jaką uczuł i rozwinął w tём życiu pustelniczém.

„I ja tu, Mickiewicz kochany, pisze Zaleski, mieszkam w cichój i pustój okolicy u podnózu Wogezów. Był czas w Paryżu, kiedy myślałem, że już zapomniałem wierszować. Gdzie tam! kropię i kropię, jakby upust ze łba wystrzelił; rymuję okwicięj niż przez cały wiek, okwicięj niż ty kiedyś w Dreźnie. Dobrzem zrobił, zem się nie kwapił z drukowaniem dawnych moich bredni; w dzisiejszych rzecz, duch i forma więcj warta. To, co piszę, będzie obszerne, obszerniejsze może niż „Pan Tadeusz.“ Jestem już w połowie, a daj Boże skończyć. Treść wzięta z początku 1650 roku. Wesele i smutek narodu. Dni moje pogodne i chmurne, wiara i miłość wsiakają tam jak w gąbkę, zapachną na milę. Daj Boże tylko skończyć. Wyobraźcie sobie, że ja wojuję gdzieś na straszliwój wyprawie. Zmówcie więc pobożnie *ore mus*.

Podobno, że naszych braci wiernych ciemiężą, nie ma rady; cierpmy, bośmy długo grzeszyli. My choć żyjemy na ustroniu, złość ludzka i tu nas nawiedza. Nie może darować, że modlimy się i siedzim cicho. Mniejsza, nie warto o tём wspominać. Odkąd zostałem po prostu literatem, nie dbam na krzyki.

Trzaskajcie gromy zgubnemi  
Pioruny niebios i ziemi,  
Oka nie zwróć od księgi!

Najzapalczywsze słowa, jakie w całym życiu wyrzekł ś. p. Brodziński, stały się godłem mojm.

Co też tu za cudowne widoki, naprzykład z góry 3-tój Otylii. Myślę osiąść w klasztorze. Dowiesz się od Żegoty, ale co tam wiedzą geologi, wilki, astronomy i tym podobni poganie.

Rok 1836 był dla Bohdana Zaleskiego dobą zupełnego rozkwitu poetycznego. „Duch od stepu,“ długo zapewne wypiastowany w duszy, wylał się z pod jego pióra w ciągu kilku dni, jak nam powiadał o tém. Ów liryczny poemat, pełen twórczej fantazyi, przesiąkły na wskroś duchem chrześcijańskim, zyskał serdeczne uznanie tych, którzy zdolni byli ściagać orła w wysokich polotach. Mickiewicz w prelekcjach zowie go utworem drugiej, to jest podniesionej potęgi; utrzymuje, że Zaleski urosł tu w siłę i wzniósł się wyżej niż we wszystkich poprzednich utworach.

Cudnaż to owa „przygrywka do nowój poezyi,“ w której syn Ukrainy, upowity w pieśń od dziecka, wypiastowany na łonie Rusałek, napojony mlekiem dum i mleczem kwiecia, kołysany wiatrem stepowym, przy podzwiku gęśli bojanowej, ulata wysoko nad poziom i z wyżyn podstępnych patrzy na ziemię, przebiega dzieje ludzkości, to krwawe, to promieniste chwałą, to zanurzone w powodzi błędów, to rozkwitające na nowo, w miarę jak idą za głosem Bożym lub odwracają oczy od światła.

Ogół nie pojął cudnej pieśni, nie mógł się do niej podnieść. Bolał poeta nie nad sobą, ale nad tymi, którzy zrozumieć go nie umieli. Sercem rodzicielskim ukochał on to dziecko ducha swego; na jednym z ofiarowanych egzemplarzy czytamy piękną zwrotkę:

I ja brzmiącą pieśń od młodu  
Ogrywałem w jęk narodu,  
Zwiastujący Bożo dziwy,  
To uczestnik chorowodu,  
Rozmodlony, to senliwy  
Wtórowałem wielkiej pieśni,  
Którą bracia tu rówieśni  
W świat posłali na podziwy.  
Godyż, gody narodowe!  
Między pary tam książęco  
Ruską nutę, polską mowę,  
Jak dwie siostry, dwie królowe,  
W onem gody wiódł pod ręce.

Grzmiałaż pieśń! dodaje smutno, ale jesienny wiatr zadął, rozwiął pióra górnym latawcom i potargał ich wieńce.

Wczesna zamroź, mgły i deszczo,  
Inne, inne, z zewnątrz droszczo,  
Spopielili żary wioszczo!

W tymże roku w téjże samój pustelni wogezkiej poeta nasz wys-

piewał wielki poemat historyczny, obejmujący do tysiąca pięćset wierszy, wspomnianą wyżej „Potrzebę zbarazką.“ Jest to opowiadanie kozacka po ukończonej wojnie. Poemat ten, z niewiadomych nam przyczyn, od pięćdziesięciu lat spoczywa w ukryciu. Ukaże się wkrótce jako pośmiertny upominek wieszczu naszego. Wydaniem zajmie się Teofil Lenartowicz zgodnie z wolą zmarłego poety.

Obok dwóch ważnych dzieł, wykonanych pod wpływem tak rozbudzonej siły twórczej, widzimy jeszcze rozpoczęty w tym czasie przekład rapsodów serbskich o bojach na Kossowém polu. Zaleski odczuł głęboko boleść serbów, pokonanych przed pięciuset laty, ową boleść, którą w ciągu wieków karmił się naród i rozwijał ją w pieśni dopóty, aż pieśń wydała owoc. Królestwo Serbskie utworzone wczora, nie jestże wynikiem owęj boleści, wylewanej ze łzami przez liczne pokolenia! Odczuł nasz lirnik ważność tych pieśni, świadczy o tém precudnie dokonany ich przekład.

Świeża śmierć Brodzińskiego dała zapewne pobudkę Zaleskiemu do zajęcia się pieśniami bratnich plemion, które zmarły mistrz pierwszy ukazał w tłómaczeniu ziomkom, jako zdroj żywój, odradzającej wody. Silniejszą pobudkę jeszcze dał mu prąd powiewający w czasie. Była to właśnie pora, kiedy idea narodowości, dawniej już podniesiona w teoryi, zaczęła rozwijać się na polu praktyczném u słowian południowo-zachodnich; dość tu przypomnieć usiłowania Gaja, powstanie pism peryodycznych w Zagrzebiu, ruch umysłowy w świeżo utworzoném księstwie Serbskiém, wydawnictwa naukowe w Pradze i t. d.

W końcu lata rozspiewany lirnik opuścił z bratem pustelnię, pośpieszył do Ostendy, gdzie znalazł dla ducha nowy pokarm. Poznał tu siostrzenicę Józefa Zaleskiego, panią Dyonizę Poniatowską, kobietę głęboko religijną i wykształconą naukowo, z którą dozogonna połączyła go przyjaźń. Nazwał ją Beatrice swoją, w najbardziej uduchowioném znaczeniu słowa, to jest przewodniczką w świecie niebiańskich ideałów.

Z Ostendy bracia Zalescy powrócili do Alzacyi, zatrzymali się czas jakiś u Trapistów na Oelbergu; snać w skupieniu ducha i modlitwie chcieli usposobić się na pielgrzymkę do Rzymu. Pospieżyli tam wreszcie przez Marsylią. Jak głębokie wrażenie sprawił na Zaleskim ów Rzym od wieków panujący narodom, to jako potężny gród Czarów, to jako potężniejsza ostoja świata chrześcijańskiego, wyraził to nasz pielgrzym w wierszu do Hamilkara (Stankiewicza). Cudnyż to ów obraz koloseum:

W krąg klatki

Szczwalnia na chrześciany, wielkich panów jatki;

Wojują z wiarą świętą, pokonaliż ducha?

Spytajmy wiatru, o czém w przysionkach tam dmucha...

Oto krzyż ubożuchny, niepyszny, drewniany  
 Króluje w koloseum, a sprosne pogany:  
 Ich cezary, tygrysy, lwy i zwierzętarnie,  
 Jak plewy po wymłocie rozwiały się marnie.  
 Po nocy idź tam dumać,—rozjęki tysięcy  
 Słychać,—słychać oklasków grzmot i ryk zwierzęcy;  
 Pomimo zgrozy lubość jakaś igra w łonie,  
 O! ludożerców krwawych także noc pochłonił

Ale wśród czarów pogańskiej, wśród cudów chrześcijańskiej Romy, dobiega poetę jakiś dźwięk swojskiej liry; słyszy sobótkę Jana z Czarnolasu, który jak on stąpał po tych odwiecznych rumowiskach. Wita go słodką, pełną uroku pieśnią:

Jani! jako na ziemskiej, ciężkiej tu żałobie  
 Matka twoja z Urszulką jawiła się tobie,  
 Takż ty mnie nawiedzał.. pamiętasz pachole  
 Jako ongi przez bujne szalało gdzieś pole,  
 Sierotka—och! zaledwie świecący się proszek,  
 Prosił cię o dźwięk pieśni—u kolan pieszozoszek,  
 Tyś mnie nauczał mistrzu, po ojcowsku, czule,  
 Bom sercem dziecka kochał ciebie i Urszulę.

Gdziekolwiek w wędrówce swojej poeta zwróci kroki, wszędzie go ściga drogi sercu obraz Ukrainy. Szeroka przestrzeń morza Śródziemnego, przedstawia się jego oczom, jak step szeroki, nieskończony. Ale wiatr ustał, na morzu cisza głucha... I czemuż to, pyta, nie szumią burzyny stepowe?

Gdzież te wrące, grzmiące wały,  
 Co jak tabun w stepach dziki,  
 Białogrzywe swawolniki  
 Tyle dni nam tu hasały?  
 I łódź z nimi—jak na łowy,  
 Niby sokół ponad głowy!

Burzy! burzy! miłsza burza  
 Niż ten pokój na otchłaniach,  
 Niechaj wicher w żywe wzgórza  
 Łódź pomiećcie! niech rwie, nurzał  
 Człowiek śmielszy w tych płasaniach;  
 O! w uściskach śmielszy śmieroci,  
 Niż gdy w ciszy tak—bezwładnie  
 Myślą—deskę swoją wierci,  
 A drga sercem gdzieś—aż na dnie.

Dziwna zagadka serca ludzkiego; poeta spragniony burzy, nie  
 Tom II. Czerwiec 1886.

rzucał się przecież w wir życia. Za powrotem z Włoch, osiadł z bratem w odludnej pustelni, wśród nagich skał prowanckich, w Endoume pod Marsylią. Rozśpiewał się tu na nowo, a pieśń jego w tój samotni, przy huku pobliskich fal morskich, spiżowemi brzmiała podzwigieli Ztąd rodem strzelisty wykrzyk „Sam z pieśnią:“

Tulę smutek i płacząc,  
Bo jak pisklę sokole,  
Tam na źerdzi,—to kracze,  
Ale wyjdźmy no w pole,  
Niech wiatr pocznie poświsty,  
Step zapachnie ojczysty,  
Nuta ozwie się w dumie,  
Obaczmy w tym szumie!

Bracia! znacież Bojana?  
Dziw omroczny,—wiedź stara  
Jarych moich snów mara,  
A słowiańska, kochana.  
Bojan zmierzohłych stuleci,  
Oho! leci—już leci!  
Wieszcz ten, niby wcielona  
Prawda Boża—w polocie  
Jak kometa z ogona,  
Trzęsie w koło gwiazd krocie;  
Mieci wichry pod stopy,  
Skrzydły bije w nieb stropy,  
Gdzie po drodze zapuka  
Wszystko na głos odpowie:  
Starostawni ojcowie,  
Z moglił wstają do wnuka.

Listy Mickiewicza przynosiły radość Zaleskiemu. Obaj tęsknili do siebie. Kiedy Zaleski oglądał się za druhem i zamierzał odwiedzić go w Paryżu, Mickiewicz ze swój strony zapytuje go, co kosztuje życie w Endoume? radby, jak pisze, przyjechać tu z rodziną.

Zachwycał się Mickiewicz oryginalnością dumek Zaleskiego, ale gniewały go nędzne ich naśladownictwa, tak powszechnie w tych czasach. W liście pisanym do Endoume, po przeczytaniu nowych poezyi w „Tygodniku petersburskim,“ chłószcze żartobliwie tę nieszcześliwą modę. „Ukratńcy, mówi on, jak wsiedli na Zaleskiego, tak tóż i jada, pokrzykując hop! hop! cup! cup!“ aż mnie nakoniec rozgniewali. Cóż u licha, żeby im tóż nic nowego do głowy nie przyszło! staje mi w myśli mania ballad niegdyś panująca. Kułakowski napisał balladę o szurcze, gdzie były kapitalne wiersze:

I strzyże uszami,  
I kłapie zębami,  
I kręci ogonem...

Warto, żeby ktoś napisał coś o hop! hop! aby tych pismaków z konia ukraińskiego zrzucić.“

Przyjazd Mickiewicza spełzył na niczém, bracia pozostali sami. Żegnając w końcu cichą ustron, Zaleski upamiętnił ją śliczną pieśnią: „Nasze Endoume,“ poświęconą miłemu towarzyszkowi.

Mój jedynaku, Józefie kochany,  
W tém naszóm Endoume sierocém,  
Dwaj samotniki jako pelikany,  
Ku sobie jeno kłokocem;  
Zawsze to samo,—daleko od ludzi,  
Niechciwi wielkich tam rzeczy,  
Lecz nas natrętny pyszałek nie nudzi,  
Ni nam bezbożnik złorzeczy.

Mokro coś w oczach, patrz-no w mój zakątek!  
Gniazdko gdzieś w skałach—altanka,  
Ileż tam codzień rozbrzmiewa pamiątek  
Chrześcianina, kochanka.  
Pieśń swojczyta, porodzienna, święta,  
Dźwięk, to wojenny, to czuły,  
Te krasnopióro—z pod serca—piskłeta  
W tém mi się gniazdku wykluły.  
Kiedyś ta dziatwa moja mnie odleci,  
Ku słońcu wionie świecąca,  
Józefie! ojcu ukazesz w zamieci,  
Które z którego micsiąca.

Niestety zabrakło dziś Józefa, aby nam wskazał, które z tych piskląt wyleciały na świat z prowanciéj pustelni. Pieśni Zaleskiego w ogólnym zbiorze lwowskim wyszły nie opatrzone datami. Niektórych tylko i to późniejszych lepiej nam znany rodowód.

Po drodze z Endoume zatrzymał się Zaleski w Awinionie, odwiedził grób Stefana Garczyńskiego, a następnie grób Laury w Wokluzie; na pamiątkę przełożył sonet z Petrarki, ztąd pospieszył żywo do Paryża. Mamy w tych czasach własnoręczne jego zapiski, które tu powtarzamy.

„W Endoume wiele dumałem i wierszowałem. Owocem tego rozśpiewania się na pustyni, był spory zwitek rytmów, który żywnie pragnąłem co najrychlej pokazać Mickiewiczowi najpierwшему. Jakoż w r. 1838 wróciliśmy z Józefem pod Paryż do Sèvres. Jak dawniej tak i teraz odwiedzaliśmy się z Mickiewiczem, nawzajem i nie-

mal codziennie. Mickiewiczowi podobały się pieśni moje, i rozgrzały go do tego stopnia, że wiele z nich nauczył się na pamięć od deski do deski. Odtąd ciemniżył mnie codosłownie o druk moich poezyi. Sam dobrowolnie zajął się wynalezieniem nakładcy dla mnie, i również w troskach nawet późniejszych i smutkach domowych nie zaniechał interesować się ich losem na świecie. Nadmieniam o tém dla tego, że jak ongi tak i po dziś dzień rozrzewniam się i buduję tą dobrocią serca dla mnie naszego wiekopomnego.“

W roku następnym (1839) widzimy dwóch Zaleskich w Fontainebleau. Tu odwiedzał ich często Mickiewicz. Przypomina Zaleski przechadzki z nim po lesie. W Fontainebleau, mówi on, przeżyłem z Mickiewiczem bodaj najmiłsze chwile na obczyźnie. Obadwaj mie waliśmy widzenia, sny, dużo natchnień, które przebrzmiały bez śladu w improwizacyach.“ Później w témże samém miejscu wydzwonił poeta śliczną pieśń do anioła, co przed laty, gdy brnęli obaj z Mickiewiczem wśród wrzosów i paproci, cudowne zsyłał im widzenia.

Pomnę, w odludziu ongi tém samém,  
Ze spółtułaczem, bratem po lutni,  
Ochl z wieńcocośnym, wieszczom Adamem  
Szliśmy pod ręce obadwaj smutni.

W tém, tyś aniele w jasnowidzeniu,  
Ponad głowami przemknął naszemi,  
Wskroś promieniący, gęśl na ramieniu,  
Blizój i blizój wiałeś ku ziemi.

Spojrzym—przed nami wzdłuż przestwór siny,  
Stop i na stepie Dniepr w skały pluszcze,  
Dwa morza—Tatry—znowu równiny,  
Piaśtowe Gopło,—litewskie puszczoł

Obok tych słonecznych chwil, miał tu Zaleski inne pochmurniejsze. Dobiegały go zdala jakieś dotkliwe zarzuty; widzimy to z listu Mickiewicza, drukowanego w tym czasie.

„Że téż ty bierzesz do serca broszury strasburskie, mówi Mickiewicz. Spotkałem Goszczyńskiego, żartowaliśmy z ciebie, żeś taki vates irritabilis. Zresztą niech sobie bazgrzą; my budujmy swoje, oni swoje, obaczym czyja robota ostoi się. Muie lżej teraz na sercu, kiedy mnie łąją o katolicyzm, niż wtedy, kiedy mnie chwalo no za szurum burum, z którego nic dobrego nie wyniknęło. Gdybym ja był teraz w takim sztosie pisania jak ty, toby mi na chwilę humoru nie popsuky broszury całego świata.“

Jakoż w rzeczy samój gęśl Zaleskiego podzwaniała w tych czasach na ton uroczy, powiewny, samodzielny, godny Rusałek, tych kwiatów młodzieńczej fantazyi. Tu wyspiewał „Kalinowy most,“ ów tęczy obraz złudnych omamień, odbiegających lirnika w miarę, jak włos srebrny połyska mu na skroni.

Ale napróżno lirnik woła: „Cyt! cyt pieśni!“ Ta szczebiotka snuje mu z kołowrotka swego to srebrne, to złote niteczki, i płące je w dziwną tęsknotę. Wyśpiewał tu „Smutną krakowiankę“, i inne dmki, które wprawiły w zachwyt Mickiewicza. Widzimy to z listu do Domejki, przebywającego już w Cocquimbo u stóp Kordyliarów. „Bohdan Zaleski przyjechał tu z ogromnym plikiem poezyi, pisze Mickiewicz, poezyc to najcudniejsze zdaniem mojem, i stawia go na czele naszych poetów.“ W innym późniejszym liście oznajmia Domejce pocieszającą wieść: „Czekaj na poezye Zaleskiego, które niezadługo wyjdą, będziesz miał na kilka miesięcy najmiłsze czytanie.“

Szczególny oddźwięk w sercu Mickiewicza znalazła „Wiośnianka w spółce ze Słowikiem.“ Cudnie też lirnik wyśpiewał w niej tęsknotę do swego gniazdeczka. Smutno słowikowi wśród cudzych zarośli, milczkiem biedzi się z wieszczym snem swoim, a jednak śpiewać musi. Dla czego? On sam powie:

Jeżeli śpiewam nikiiedy tu,  
To, aby w piersiach sprobować tchu,  
Czy po staremu lekki i czysty,  
Stepowe wiatru wygra poświsty.  
Żeby co rychlój, żeby... och! och!  
Z nóg moich cudzy otrzepać proch,  
Bojan ja młodszy, jako on stary,  
Z pod serca ziomkom rozbrzmiałbym czary!

W tym roku właśnie Mickiewicz opuścił Paryż i przyjął katedrę łacińskiej literatury ofiarowaną mu w Lozannie. Miejsce przyjacielskich pogadanek zastąpiły listy, Zaleski posłał do Lozanny kilka ostatnich dumek; z wdzięcznością przyjął je Mickiewicz. „A przecież, pisze z nad Lemanu, przysłałeś mi swoje piosenki. Muza ci zaptać! Tém lepij mnie się te pieśni wydały wśród chłodów i mgły łacińskiej, środkiem których brnę a brnę. Ale i bez tego arcy piękne. Biedbieda, przygrywka cudnie wykonypowana, i żebym teraz wiersze pisał, tobym ci konceptu pozazdrościł. Nie raz ją sobie śpiewam, i mam zamiar kiedyś do niej muzykę zrobić <sup>1)</sup>. Ale, ale, twój wiersz senny, dziwna to, dziwna, arcydziwna rzecz; bo uważ, że ja kiedyś w Auguście czy Septembrze rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy, w celu dorobienia pierwszej części Dziadów. Owoż rzecz ta sama: Chłopiec tuła się między mogiłami... Twój ułomek aż mnie nastraszył tak jest ładny. Kto wie, czy ty teraz nie okradasz nas przez sen z wszelkiej poezyi? Kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciagniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego? i widno, dla czego my nie piszem!”

<sup>1)</sup> W Petersburgu Mickiewicz z kompozytorem Kozłowskim ułożył muzykę do dumki Bohdana o Kosińskim, i przysłał ją do Warszawy piewcy ukraińskiemu.



W innym liście z Lozanny, Mickiewicz nalega silnie na Bohdana o wydanie pieśni. Radzi drukować je w Poznaniu. „Poznańczycy, mówi, regularni i zapewne nie zdradzą arcywieszczą. Nie uwierzysz, jak czasem gniewam się, żeś dotąd nie ogłosił, jak doskonale czuję tego potrzebę, szczególnie dla Poznańczyków. Dobry to znak, że oni zasmakowali w tobie i że cię arcymistrzem zowią.

„Ja pożeram łącinę i pluje francuzczyzną. Nie prędko będę mógł spotkać się z tobą na lutnię. Śpiewaj tymczasem za nas, mój słowiku, nie ustawaj póki ci skrzydła służą.“

I Bohdan nie ustawał w pieśni. Z lutnią swoją podróżną zmienił raz poraz i miejsca i widoki, przyspiewując żałośnie:

Przez miejsce tyle, chwil tyle,  
Każdy dla mnie zakątek,  
Wszystkie moje tu chwile,  
Są bez wrażeń, pamiątek.

Wiosną jednak w 1840 roku znalazł się w miejscu pełnym pamiątek, bo zdeptanym tułaczą stopą Stanisława Leszczyńskiego, gdzie wspomnienie króla żyje na każdym kroku. Kilka tygodni spędził Bohdan w Plombières. W cieniu Wogezów, jakby zaklętą przywołała siłą, Ukraina stanęła przed oczyma poety, głosy z mogił dobiegły mu do ucha, szeptały stare wieści. Tu wyśpiewał owe prześliczne dумы: Z mogiły Sawor, o pierwszym atamanie Daszku, orłęciu wyrosłem pod skrzydłami lackiej orlicy; o niemowłęciu Iwoni, wyniańczonem na kulbace przez brodaczy, osmalonych prochem w tyłu bojach; tu struny jego liry drgnęły z całą potęgą, słowo zadźwiękło spiżem, jak oto w pysznej dumie o Lachu serdecznym na marach:

Żal się Boże, step i morze, obiegliśmy z nim,  
Grody dawne, kraje sławne; Wołosza i Krym  
Nie zapomną na wiek wieków jak z pola na pole,  
Bujał orzeł tam i wodził swe stada sokole.

Z bujnie zebrany płonem pospieszył nasz lirnik z Plombières do Lozanny, powoływany przez utęsknionego Mickiewicza. Przeszło miesiąc gościli tam bracia Zalescy. Kurs roczny jeszcze się nie skończył; z zachwyceniem słuchał go Zaleski i chlubnie wyraża się o nim. „Pomimo sarkau Mickiewicza, mówi on, kurs lozański był arcypięknym, zajmującym. Mickiewicz wypogodził się był w duchu, odmłodził pod wpływem reminiscencyi z czasów wileńskich, po swoim profesorsze Grodsku. Improwizował cudne rzeczy, co do słowa oczarowywał młodzież szwajcarską. Byłem osobiście na kilku jego ostatnich prelekcjach, kiedy mówił o poezyi i poetach na rozswicie chrześcijaństwa. Mickiewicz stał wtedy na zenicie żarliwości katolickiej. Budował na oko wiary swoją, nawracał nawet protestantów.“

Po zamknięciu kursu, obaj Zalescy z Mickiewiczem odbyli wycieczkę na Montblanc, obiegli pieszo najpiękniejsze okolice Szwajcaryi, jesienią powrócili do Fontainebleau. Wkrótce potem Mickiewicz przeniósł się do Paryża, powołany na profesora w Kolegium francuzkiem. Po pierwszém zaraz wystąpieniu pisze list do Zaleskiego. „Odbyłem tedy pierwszą próbę, ale to początek. Każda lekcyja jest bitwą. Bóg jeden wie jak się uda. Stary żołnierz Józef zna może najlepiej moje uczucia w takich razach. A módlcie się za mnie. Bo to tylko łaska Boża, żem z téj katedry nie spadł haniebnie.

„Wczoraj byliśmy na sutéj wieczerzy u Eustachego Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania Dziadów nigdym nie czułem. Było to dobre, bo wszyscy ludzie różnych partyi rozpakali się i bardzo nas pokochali; na chwilę wszyscy napełnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną. Chciałbym wiedzieć, co ty wczora robił i coś myślał? bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch tylko jednego mamy ducha i że w jednym czasie nie możemy być poetami na ziemi. Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem, kiedy się w nas wciela.”

W ciągu zimy Zaleski opuszczał niekiedy Fontainebleau, przybywał do Paryża, słuchał z rozkoszą genialnych wykładów. Z wiosną bracia puścili się do Burgundyi, jak mówił Mickiewicz „na czumactwo:“ zatrzymali się dłużej w Beaune. Tu 15 sierpnia spada jak piorun pismo Mickiewicza: „Bohdanie, skro ten list przeczytasz, upadnij na kolana i dziękuj Panu. Wielkie tu dzieją się rzeczy. Spiesz zaraz, abyś serce swe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozienił.

Słowiczku mój, a leó, a piéj  
Na zmartwychwstanie piéj.  
Wylanym łzom, spełnionym snom,  
Skończonój piosuce twój.“

Zaleski nie wie o niczém, nie pojmuje, co się stało. W takt zagadkowej pieśni Mickiewicza, podzwania równie zagadkową piosenką.

Kto? z jakich stron? w przeczysty ton  
Jak zwierciadlany zdrój,  
Niewoli słuch?... O! bliźni duch,  
Do chóruż głosie mój!

I w téjże chwili obaj Zalescy opuszczają Beaune, lotem strzały przybiegają do Paryża. Ale urok cały pierzeł przy pierwszém spotkaniu z Towiańskim. Widok mistrza w ciemnozielonym surducie, w złotych okularach, dziwne sprawił wrażenie na Zaleskim. Opuścić natychmiast Paryż z bratem Józefem: wkrótce potem wyjechali obaj do Rzymu. Przybyła tu właśnie z Ukrainy pani Felicya Iwanowska,

rodzona siostra Józefa, którą Zaleski, młodem jeszcze chłopięciem poznał w Krzewcu, gdy chory na ospę przebywał czas jakiś u brata.

Po skwarach życia tułaczego, dom czcigodnej matrony ukraińskiej stał się dla Zaleskiego jakby ożywym źródłem; uczuł w nim świeżą woń rodzimych macierzanek. W Rzymie poznał też młodszego druha w pieśni, słynnego już twórcę Irydyona.

Bracia Zalescy mogli nakoniec urzeczywistnić zamiar dawno wypiastowany w duszy. Nieraz czy to w pustelni alzackiej u podnóża Wogezów, czy w prowankiej nad morzem układali w myśli pielgrzymkę do Ziemi świętej, ale pragnienia ich łamały się o nieprzewyciężone trudności. Usunęła je pani Iwanowska. Otrzymała ona znaczny spadek; część jego przywiozła bratu Józefowi.

— Na co nam to złoto? — rzekł do Zaleskiego skromny Józef — pospieszmy do Jerozolimy. Zaleski przyklasnął całym sercem tej myśli. Z początkiem roku 1842 przez Neapol, Maltę, Smyrnę i Jaffę udali się do Ziemi świętej; zwiedzili pobożnie wszystkie miejsca, zdeптane stopami Zbawiciela. Jak niegdyś ubodzy pastuszkowie, padli na twarz przed Żłobkiem Betleemskim, obleli łzami Golgotę i Grób święty. W pielgrzymce tej spotkali się na Malcie z pobożnym misyjnarzem księdzem Ryłło; w inném znów miejscu z księdzem Ignacym Hołowińskim, późniejszym arcybiskupem Mohylewskim.

Pielgrzymka ta poruszyła nowe struny w lirze poety naszego. Natchniony widokiem miejsc świętych, zobrazował je za powrotem w precudnym poemacie „Przenajświętszej Rodzinie.“ To arcydzieło prostoty i religijnego namaszczenia, słusznie porównano do obrazów rafaelskich. Z jakąż to miłością, z jakim naiwnym wdziękiem, właściwym tylko poezyi ludowej, ale ujętym w formę wysoko artystyczną, maluje poeta owo pachole Boże, odnalezione w kościele przez stroskaną Matkę i Świętego opiekuna. Droga to perła w poezyi polskiej. Biskup Hołowiński stawia ten poemat nad wszystkie eposy, osnute na życiu Jezusa.

Za powrotem z Ziemi świętej, znaleźli bracia Zalescy nowy zasiłek dla ducha w ścisłej przyjaźni z księdzem Topolskim, z zakonu Kapucynów, który powracał z misyi po Indyach wschodnich, wyczerpany z sił, skutkiem podjętych trudów. Rychła śmierć pobożnego zakonnika była dla nich bolesnym ciosem. Zachwiane zdrowie Stefana Witwickiego stało się też dla Zaleskiego powodem ciągłego niepokoju. Związani serdeczną przyjaźnią za pobytu w Warszawie, tém ściślej połączyli się w duchu, że stali niezachwiani na gruncie Kościoła, podczas tak silnej propagandy Towiańskiego.

## V.

Nadszedł rok 1846; rok to najważniejszy w życiu poety naszego. Poznał pannę Zofią Rosengartównę, upodobał ją sobie i pozyskał jej rękę.

Panna Zofia czas jakiś przebywała już w Paryżu, najprzód w domu Klementyny z Tańskich Hofmanowej, a po jej śmierci pod opieką innych poważnych osób. Była to panienska wysoko wykształcona, pełna wdzięku, artystka duszą całą. Obdarzona w niezwykłym stopniu talentem muzycznym, pragnęła rozwinąć go pod kierunkiem Chopina. W tym celu zamieszkała w Paryżu na czas dłuższy. Zналиśmy ją dobrze nim opuściła Polskę. Wówczas już melodyjne dumki Zaleskiego, miały dla niej niesłychany urok. Czytywała je z zachwytem, jakby modlitwę. Łatwo pojąć, że dwie dusze tak poetyczne, musiały przy pierwszym spotkaniu zrozumieć się od razu i ukochać na zawsze.

Zaleski przebył już „Kalinowy most“ młodzieńczych omamień, miał lat czterdzieści z górą, ale duch poetyczny, pełen zapału, czynił go jeszcze młodym. Nie znał wcale panny Zofii, kiedy pisał o sobie:

Guślarz, guślarz dusza rwista,  
 Nic sto, żebym żył lat trzyستا,  
 Wiem, że ptaszę sobie zwabię,  
 Chowam bowiem kwiat paproci,  
 Przędę śliczno zeń jedwabie,  
 Siatkę niby — co się złoci,  
 Śpiewam, śpiewam jak za młodu,  
 Co mi śni się i co nie śni.  
 Na zieloność wieczną pieśni,  
 Bom rajskiego stróż ogrodu.

Wśród tych słodkich rojeń spada piorunem wieść o rzeczy galicyjskiej. Wieść ta przepełnia serce poety niesłychaną goryczą. Spiesz z bratem na Oelberg do Trapistów alzackich. Tam w pieśni „Zgryzota i Łaska“ wyplakał boleść swoją przed Panem. W zwrotkach tych podzwania jęk struny Dawidowej.

Co szkód — bez liku szkód — do nieprzoczycia!  
 Zieloniejące tak ślicznie nadzieje  
 Na niwecz starły oto gradobicia,  
 Że w przerażenia zgrozio dusza mdleje.

I smętny lirnik wyrzuca sobie owe pieściwe dźwięki, któremi dawniej kołysał do snu braci; wyrzuca sobie, że na zło bezdusznemi patrzył oczyma, że widział zło, a nie rzucił nań klątwy.

Widzę, ach Panio, winy mój szkaradę,  
 Toż nim zgryzoty dreszcze krew zamrozą;  
 Pod cień świętego Krzyża głowę kładę,  
 Do skonu różgę Twą całuję Bożą!

Ale w chwili głębokiej skruchy czuje lirnik jak światłość spły-  
 Tom II. Czerwiec 1886.

wa nań z ramion krzyża, jak stróż anioł wybłagał mu łaskę i odpuszczenie winy.

Ślub poety naszego odbył się w listopadzie 1846 r. Družbą jego był gasnący już Stefan Witwicki. Józef Zaleski pobłogosławił nowożeńców jak ojciec, przyrzekając do śmierci nie opuścić ich domowego ogniska. Po ślubie, Witwicki pośpieszył do Rzymu; Zaleski z żoną i bratem wyjechał na zimę do Hyeres, gdzie przebywała rodzina Poniatowskich. W tém rodzinném kółku, w którym obok czciodobnej matki, pani Dyonizya Poniatowska przyświecała jak gwiazda blaskiem nauki i wdzięku niewieściego, a raczej jeszcze wzniosłością ducha; błogo zeszała zima nowożeńcom; jedyny cień rzucały tu listy Witwickiego, z każdym dniem wężlejszego na siłach. Z wiosną Zalescy z bratem pośpieszyli do Rzymu, aby osłodzić ostatnie chwile przyjacielowi; zastali grób tylko co usypany!

W tymże czasie przybył do Rzymu hr. Aleksander Branicki; ztąd miał się udać do Paryża. Przywiózł on Zaleskiemu drogi upominek, garstkę ziemi z grobu matki w Stawiszczach. Z polecenia hrabiego, p. Szwański zajął się pilnie odszukaniem tego grobu; znalazł go wreszcie, a w nim trumnę Maryi Zaleskiej, otoczoną sześcioma trumienkami dzieci, które ją poprzedziły. Ziemię tę chował Zaleski jak najdroższą relikwią. Widzieliśmy, jak tę ziemię ukraińską posypano na jego trumnę.

Pozostali Zalescy w Rzymie dopóki wiosenne upały pozwoliły im na to. Przyjęli błogosławieństwo Ojca świętego, zwiedzali pomniki i zbiory artystyczne. Między innymi poznali się z kardynałem Mezofantim. Słynny ten polyglotta opowiadał im, jakim sposobem odkrył w sobie zdolności do uczenia się obcych języków. Nasamprzód wyuczył się po polsku. Był jeszcze proboszczem, kiedy generał Dąbrowski stał kwaterą w jego parafii. Razu jednego uskarżał się wódz, że jego żołnierze nie mają przed kim odprawić wielkanocnej spowiedzi.

— A czy trudny wasz język? zapyta Mezofanti, może mi który z panów ułatwi jego poznanie.

Dąbrowski wskazał mu dwóch generałów, Rymkiewicza i drugiego jeszcze, jako biegleszych w tym względzie od siebie. Ci dostarczyli proboszczowi książek, mianowicie Trotza i Meindyngera. I otóż w kilka tygodni potém Mezofanti z podziwieniem wszystkich, spowiadał żołnierzy po polsku. Po téj pierwszej próbie, z równą szybkością wyuczył się francuzkiego języka, następnie wielu innych.

Z Zaleskimi kardynał rozmawiał zawsze po polsku. Nie tylko, że wyrażał się biegle, ale znał nawet różne dodatki, używane w potocznej rozmowie, powtarzał *Mości Dobrodzieju*, odzywając się bądź do męża, bądź też do żony. Na pożegnanie skreślił wierszyk polski, poświęcony pani Bohdanowój.

Za powrotem do Paryża, zamieszkali Zalescy opodal od zgiełku, na przedmieściu Batignolles; brat Józef nie odstępował ich wcale. Po długich wędrówkach poeta nasz zakosztował wreszcie słodczy

domowego ogniska. Szczęście jego powiększyło się jeszcze, kiedy przy tém ognisku zakwilił piewszy synek. Tak upłynęło lat dwa niezmaconej pogody. Zburzyła ten spokój zanieć rewolucyjna w lutym 1848 roku, po czóm nastąpiła groźniejsza jeszcze burza w krwawej pamięci dniach czerwcowych. Wypadki zaszcze w świecie wyrwały Zaleskiego z zaciszy domowej: pospieszył do Pragi na zjazd słowiański, na który liczył wiele i Adam Mickiewicz. Zanim przybył tam Zaleski, kongres rozpedzony został, jak wiadomo, przez wojska austriackie.

Od roku 1850 Bohdanowie zamieszkali w Fontainebleau. Poeta upodobał sobie tutejsze lasy i skały omszone, cień ich „orzeźwiał niegdys błogo pierś młodą, świeżym krwawiącą zastrzałem,” tu też i na dalsze lata uszał sobie ciche gniazdeczko, tu jak mówi:

Przy towarzysze wiornój na pustyni,  
Skleciłem gniazdo niby pelikanie,  
Druh obok—z nieba przysparzał opieki,  
Tom zadomował tutaj—ptak daleki.

Gniazdeczko to stawało się coraz gwarniejszém. Raz po raz nowa w domu przybywała kołyska; do dwojga dziątek przywiezionych z Paryża, przybyło troje zrodzonych w Fontainebleau. Brat Józef piastował przybywające dziatki, pomagał matce w zachodach gospodarskich. Kochający i kochany nawzajem był opieką i błogosławieństwem domu.

Pierwszy głos, jaki wybiegł z téj cichój ustroni, była to cudna przedmowa do pełnój namaszczenia książeczki Kazimierza Brodzińskiego: „Postanie do Braci.“ Nikt lepiej od Zaleskiego nie mógł ocenić zmarłego brata w pieśni. W tym wstępie czytamy wyrazy pełne głębokiój a szczerój pokory, zlewające się do chóru z łabędzim śpiewem Brodzińskiego. „Rodacy, mówi Zaleski, nie śmiem wystoić uczucia, co rozpiera mi pierś. Jestem prostaczek maluczki i najmniejszy w gronie braci wieszczój. Zmarnowałem bodaj dawno talent swój. Ale nie zapomniiał nigdy modlitwy pańskiój, alem tulił się zawždy do wielkich miłośników Chrystusa Pana w Polsce, to miwam też w duchu i słuchu po nich cudowne rozbrzmienia, niestety, niklejsze i rozwiewne.

Mickiewicz odwiedzał jak dawniej przyjaciela; złamany troskami, osierocony śmiercią żony, przybywał tu niekiedy, aby orzeźwić myśl wspomnieniem chwil pogodniejszych.

Wyjechał Mickiewicz na Wschód; wkrótce potóm dobiegła Zaleskiego smutna wieść o skonie wieszca naszego, przebolał ją głęboko. Lira potrącona łzami wydała jęk żałosny:

Aniele pieśni, gdzieżeś?—odpowiedz.  
I . . . . przy mnie dzisiaj nie gwarzy,  
Jam się pozostał sam narodowiec,  
Z tego zastępu polskich pisarzy.

Zmierzoł, po nieszpórach, dzwony w około  
 Huczą i anioł leci na zorzę.  
 Im wyżej w słońcu skąpałem czoło,  
 Tém niżej panu w prochu się korzę!

Smutno ów rok 1855 wyrzył się w kochającój duszy Zaleskiego. W tym to właśnie roku umarł starszy brat Eliasż w owym Krzewcu, gdzie poeta nasz pożegnał go przed trzydziestu pięciu laty. Słodką jednak pociechę przyniosła mu wiadomość o pięknej pamięci, jaką Eliasż zostawił po sobie, o czci, z jaką tłumy ludu i obywateli szły za jego zwłokami.

Dziesięć lat przebył Zaleski w Fontainebleau. Znalazł tu kółko miłych druhów i gorących wielbicielei. Do tych należał drogiój nam pamięci wuj nasz, Franciszek Trzcziński, podeszły już w latach, ale pełen życia i dowcipu niewyczerpany w spomnieniach z dawnych czasów, zawołany myśliwiec. Obdarzał on Zaleskich zajęciami i kuropatwami; poeta nasz, lubo młodszy, nie towarzyszył mu w tych łowieckich pogoniach za zwierzyną, ale za to chodził z nim na rydze do lasu. W r. 1857 i my przebywaliśmy czas jakiś w Fontainebleau, w ówczas to pochyliliśmy ze czcią głowę przed jednym z ostatnich wieszczów wielkiej plejady. Zaleski wystawiał przed nami urok fontenbłowskich lasów, szumy owych dębów tysiąco-letnich, sięgających epoki krucyat: jednego tylko nie dostawało im czaru: ptastwo nie stało tu gniazd; ni wiosną, ni latem nie było słyhać w powietrzu innych dźwięków prócz świergotania wróbli.

Wspomnieliśmy mu zakłątą fletnią Orfeusza. Lira bojanowa, w którą on tak cudnie potraça, nie miałażby tój samój siły? czyliżby na jój dźwięk nie zbiegły tu całe chmury skrzydlatych piewców.

Zaleski odrzekł na to z uśmiechem, że niedawno właśnie ściągnął jój dźwiękiem najspiewniejszego z mazowieckich skowronków, Teofila Lenartowacza. Nie mógł wypowiedzieć jak głęboko poruszyły go czarodziejskie tony jego lirenki, zachwycone żywcem z serca wieskiego ludu. Ukochał on szczerze Lenartowicza, oceniał go wysoko, cieszył się nim jak dzieckiem ducha swego.

Niedługo potem nowy cios okrył żałobą dom Zaleskiego: umarło jedno z pięcorga dzieci, Kazio. Nicutuleni w żalu rodzice przenieśli się z Fontainebleau do Paryża; wymagało tego zresztą wychowanie trzech synów. Zamieszkali znów na Batignolles.

Lira Zaleskiego umilkła chwilowo, ale ilekroć potracił jój struny jakiś powiew zewnętrzny, odzywała się z równą jak dawniej siłą. Taki to podźwięk wybiegł z niój na wieść o zgonie Tarasa Szewczenki. Zaleski oceniał geniusz piewcy ukraińskiego, boć jakże cenić i rozumieć go nie miał? Obaj wykarmieni od dziecka mlekiem jednychże pieśni i podań, obaj wsłuchali się w poszept stopowych mogił; kołysani pogwizdem wiatru i szumem burzanów, współcześnie nieomal pochwycili za teorbany, ale na inną nastroili je nutę. Zaleski w cud-

nych dumach swoich opiewał bohaterskich atamanów, którzy błyszczą jak gwiazdy w dziejach narodu. Szereg ich zamyka Sulima, skazany na śmierć za spalenie Kudaku; Sulima, wierny królowi do kresu dni, rozżalony tylko przeciw potężnym panom, którzy pychą i bezmyślnością wykopali przepaść i sami w nią utonęli. Przez usta Sulimy rzuca poeta groźne na przyszłość ostrzeżenie:

Na kresach pustki, zamków tam nie zbroim.  
Brak i żelaza, lub rdza na żelazie;  
By spać wygodnie: Kudak staw ku swoim!  
Pany, nie ohocicie wojen, będą rzecie!

Słowa prorocze spełniły się niestety. Nie zbrakło na Ukrainie mołojców, którzy w późniejszych czasach wzrosli, jak on Sulima, w boju i wyzywali śmierć w zapasy. Tych nie opiewa Zaleski; rzeka krwi i łez płynie pomiędzy nimi a wielkim naszym lirnikiem, którego pieśń żywym jest obrazem ducha narodowego. Tych bohaterów odepchniętych przez Zaleskiego, opiewał Taras Szewczenko. Ztąd to wielu u nas widziało w nim jedynie apologetę Gonty i Żeleźniaka; nie tak sądzili przecież ci, którzy badali cierpliwie cały system jego poglądu ua przeszłość i przyszłość. Do tych należał Zaleski; nie rzucił on kamieniem na Szewczenkę, wymawiał mu tylko, że słowa zgorzkniały w sercu chorém. Z wielkim żalem i wielką miłością wypowiedział ten zarzut w dumce „Mogiła Tarasowa,” a wyrzuciwszy z serca słuszny żal, woła z głębokim uznaniem:

Poskramiajże braoi grzeszne wstręty,  
Podsłuchaj w mogilo wieszozby ptasio,  
Z mogiły nawołuj o mir święty.  
Poloniki spółpiewco mój Tarasio.  
Ku nowój, nie znanój mi mogile  
Co świeżo wyrosła u Kaniowa,  
Poluński wieszoz siwą głowę ohyle,  
Przesławnaś mogiła Tarasowa.

I milcząca chwilowo lira Zaleskiego zabrzmiała znów cudnym podźwiękiem. Wyśpiewał poeta do trzydziestu dumek, pełnych żaru i wzniosłego natchnienia. Te pieśni wydał w r. 1865, poświęcił je żonie, jako wydumane przy jój sercu. Tu spostrzegamy nowy zwrot w natchnieniu poety. Sięga on wzrokiem w głęboką przeszłość, z pomroku wieków wydobywa zapomniane podania. W jednej pieśni ukazuje apostoła Andrzeja na wzgórzu ponad Dnieprem, błogostawiącego miejsce, gdzie ma stanąć sławny gród. W innej pieśni, nowy czarodziej Bojan rozbudza duchy, śpiące od wieków w mogiłach nadnieprzańskich, wstuchuje się w rozhówr kijowskiego Szczeki z Radymem, co przywiódł tu z powiśla garstkę druhów i siadł z nimi nad



Sozą. Wieszcz potrąca tu w nowe struny swój gęśli i toruje artystom nieudeptaną drogę, dotąd jedynie znaną archeologom.

Wśród tych dumek znajdujemy jedną dziwnie żalną, ku pamięci zmarłego brata Józefa: dumka to wypłakana raczej niż wypiewana.

Tułam się oto sam po nocy,  
 Myśłami lecę, lecę w dal,  
 Wśląd za księżycem wzrok siorocy  
 Czepiam o rąbki srebrnych fal.  
 Po długiej spioce dnia—po płaczu,  
 W osamotnieniu pierśom lżęj,  
 O! zmarły druhu—współtułacz,  
 Jakże mi braknie duszy twój!  
 Macierzankowa woń mych pieśni  
 Tu cię rzeźwiła wiele lat,  
 Zwano nas: bracia dwaj boleśni:  
 Brat wieszczy—świętobliwy brat.  
 Księżyc samotnik tam po niebie  
 Przechadza się na jaśni wzdłuż,  
 Druhu! samotnik twój bez ciebie  
 Z za mgły nie wybrnie nigdy już!

Dzwon pogrzebowy, co zabrzmiał nad trumną brata, był jakoby hasłem do nowych dzwonów żałobnych nad grobami, które otwierać się miały kolejno i zabierać istoty najdroższe sercu naszego wieszca. Rok 1868 rozpoczął się dlań w najboleśniejszy sposób. Z żoną od dawna słabą, i młodziuchną córką zagrożoną cierpieniem pierśiowém, wyjechał do Hyeres, gdzie dogorywała pani Dyonizya Poniatońska. Z rozkazu lekarzy odwiózł żonę z córką do Nicei i powrócił sam do Paryża, by otoczyć opieką młodych synów. Nagle, rozpaczliwy list pani Iwanowskiej, oznajmia mu, że córka jej Dyonizya niemal już konająca. Zaleski pospiesza co tchu, zamyka oczy tej, którą ukochał jakby rodzoną siostrę. Ztamtąd odwiedza żonę w Nicei. Zaspokojony wyprzedza ją o kilka dni z powrotem do Paryża. Niestety! mylą pozory. Bohdanowa, opuściwszy Niceę, zatrzymała się w St. Etienne, w domu doktora Michałowskiego; stan jej pogorszył się gwałtownie. Zaledwie że uwiadomiony mąż miał czas przybyć w porę i odebrać ostatnie jej pożegnanie.

Z ciałem żony przybył Zaleski do Paryża. Pogrzebał na cmentarzu Montmartre, obok brata wierną towarzyszkę, która osłodziła mu dwadzieścia lat tułaczysty.

Nastąpiła wojna francuzko-pruska; klęski Francji dobodły do żywego poetę. Patrzy ze zgrozą, jak armia nieprzyjacielska rączym pędem sunie na Paryż. W obec trwogi powszechnej, z rękoma wyciągniętymi ku niebu, wyrzuca z piersi gorącą skargę do Boga:

Mnich apostata, lennik spanoszony,  
 I tu krzyżackie rozpostarł zagony!  
 Grozi najstarszój Kościoła dziś córce.  
 „Siła przed prawem!“ bezbożnie wykrzyka,  
 O jakby oiebie nie było tam w górze,  
 Tuki rogaty wyzow bezbożnika!

Nim spiżowa obręcz dział i bagnetów opasała Paryż, Zaleski z córką puścił się do Hyeres, gdzie mieszkała pani Iwanowska, siostra Józefa Zaleskiego; pozostał tu zimę całą. Tu pobłogosławił związkom jedynej córki z doktorem Okińczycem. Po ślubie wyjechał do miasta Aix w Prowancyi, gdzie syn jego Dyonizy, odbywał kurs prawa w tamtejszym fakultecie.

Powrócił Zaleski do Paryża, ale ciężko mu było samemu w obec tyłu bolesnych wspomnień. Na prośby córki i zięcia wyjechał do nich na lato do wsi Villepreux, w bliskości Wersalu. Odetchnął tu nieco swobodniej, przy kołysce maleńkiej wnuczki Bohdanki, słaby promyczek rozjaśnił mu zaciemniony widnokrag. Ale nowy cios ugodził w to kochające serce. Piersiowa choroba rozwinęła się u córki z całą gwałtownością; umarła w końcu 1873 r. Zbolały ojciec pogrzebał ją obok matki i brata na paryzkim cmentarzu Montmartre, zachowując przy nich miejsce dla siebie; poczem wrócił do ciszy wiejskiej w Villepreux.

Głęboko religijny wieszcz nasz złożył krzyż swój u stóp krzyża Zbawiciela. Wypłakał oczy w cichój modlitwie przed Bogiem, a dla ludzi miał zawsze łagodny uśmiech na ustach, szczere współczucie w sercu. Nowe ciosy miały jeszcze ugodzić w to serce tak ciężko już zranione. Dziwnym zbiegiem—urodzony w lutym, „pogrzebowe i gromniczne dzieciątko,“ jak się sam nazwał w pieśni do matki, w lutym miał utracić wszystkich ukochanych, oprócz córki, która umarła w grudniu. W lutym pogrzebał żonę, a dawniej syna Kazia; w lutym umarł brat Józef i pani Dyonizya Poniatowska, którą nazwał rozmodlonym aniołem na jego Tebaidzie tułaczęj.“ W lutym nakoniec 1876 r. zapłakał nad zgonem Seweryna Goszczyńskiego, szkolnego towarzysza, brata po lirze ukraińskiej i pani Felicji Iwanowskiej, przyjaciółki od lat najmłodszych.

W tymże czasie wyszedł na świat czterotomowy zbiór poezyi wieszca naszego. Zakończył go dumką wyśpiewaną w Villepreux podczas śnieżycy listopadowej 1876 roku.

Płowieje sioła krasa rodzima,  
 W mroźnego wiatru poświście;  
 Z poza gór ciągnie ponura zima,  
 Co zwarzy kwicocie i liście.

Powiejcie dumki moje och! w górę;  
 Nie długoć tutaj zabawim;  
 Ptastwo serdeczne, hej krasnopióre,  
 Rozwiń się w szyku żurawim!

I ja za wami zagną odlecę,  
 Minał bo dzionek nasz miły;  
 W brzasku zarania, w południa spioce,  
 Przy was mi dziwy się śniły.

Na krótko jono się pozostanę,  
 Jaskółki w stawie niech usną;  
 Aż lód im zamknie łożo świetlano,  
 Na drzemkę mroczną i gnuśną.

I ja za niemi utonę w ciszę  
 Pod zwaly śniegów i lodu;  
 Bodaj anioła pieśń znów zasłyszę,  
 Niezrozumianą za młodu.

W śnieżycy ptastwa śladu ni znaku,  
 Nad głową cynowe wieko;  
 Ni żórawiego dopatrzedź szlaku,  
 Dalekoć ptastwo, daleko.

Dumki o druzki! Kędyż wy ninie  
 I żegnać nawet daremnie;  
 O wiecznój zmorze, o Ukrainie,  
 Śpiewajcież teraz bezemnie.

Śpiewajcie matco słodko, miłośnie,  
 Nim kiedyś w zmirzochu stuleci  
 Ujrzym się jeszozę raz—gdy ku wiosnie,  
 Bojan słowikiem wyleci!

Po tój pieśni łabędziej umilkła lira Zaleskiego; ale ktokolwiek miał szczęście zbliżyć się do poety naszego, ten wie, iż jego żywot do ostatniego tchnienia nie przestał być żywą pieśnią, pełną wiary, miłości i nadziei.

## VI.

Poraz ostatni Zaleski odbył pielgrzymkę do Rzymu w r. 1881. Wówczas to ksiądz Aleksander Jełowicki przedstawił go Ojcu Świętemu, jako ostatniego ze słynnej plejady wieszczów polskich.

Umocniony w duchu, powrócił do zacisznego kącika swego

w Villepreux. Tu zacny doktor Okińczyc, mimo że nową otoczony rodziną, pozostał dla niego troskliwym i przywiązanym zięciem. Bliskość Paryża pozwalała również kochającym synom odwiedzać ojca, o ile zgadzały się z tém biurowe ich obowiązki. Dzięki téj bezustannej opiece, cierpienia nieodłączne od późnego wieku, a szczególnie gasnący wzrok i słuch, mniej ciążyły ojcu Bohdanowi, niż komukolwiek w podobnym położeniu. Z prawdziwem zdumieniem widzieliśmy, że znał doskonale nie tylko sprawy obchodzące ogół, ale śledził pilnie cały ruch literatury naszój; każdy nowo pojawiający się talent napełniał go radością. Mimo sił osłabionych nie uchylał się od żadnych obowiązków; uczęszczał na wszystkie zebrania i uroczystości, to jako prezes Towarzystwa podatkowego „Czei i chleba,“ to jako członek Towarzystwa historyczno-literackiego, to wreszcie jako należący do rady szkolnej polskiej na Batignolu.

Za każdą niemal bytnością w Paryżu, ojciec Bohdan uszczęśliwiał przyjazne mu rodziny odwiedzinami swemi. Wielką to była radość w każdym domu, ilekroć ten przeczacny patriarchy z białą do pasa brodą, ukazał się wsparty na ramieniu syna; każdy z nas przyjmował go z głęboką czcią i przekonaniem, że błogosławieństwo Boże wchodzi z nim razem w nasze progi.

W lutym r. 1882-im Zaleski ukończył ośmdziesiąt lat. Obchodziliśmy ten dzień Mszą Świętą w parafialnym kościele polskim Wniebowzięcia. Towarzystwo historyczno-literackie ofiarowało jubilatowi ozdobny adres z podpisami wszystkich członków. W miesiąc potem w dniu 5-go Józefa mieliśmy zaszczyt należęcy do delegacyi, reprezentowanej przez trzy pokolenia, która wręczyła sędziemu pocie niezliczone adresa, nadesłane nie tylko z różnych części kraju, ale co więcej ze wszystkich stron świata, gdziekolwiek garstka ziomeków skupiła się w mniejsze lub większe ognisko. Te dowody miłości przyjął ojciec Bohdan z głębokim rozrzewaniem. Zdało nam się, jakby odmłodził pod wpływem miłych wrażeń. W rysach jego panował spokój, na czole pogoda. Myśl krążąca bezustannie w wyższych sferach, wycisnęła na tém czole jakieś niezwykle piętno. Cera biała, lekko zarumieniona, ślicznie odbijała obok śnieżnej, długiej do pasa brody. Patrząc na tę piękną postać, pełną prostoty i dobroci, powtarzaliśmy sobie w duchu słowa Wincentego Pola:

Geniusz, co bywa w pokorze natchnięty,  
To już nie geniusz—to na ziemi święty!  
Bo czemu świętość jak nie cęztem trwaniem,  
Wiecznym natobnieniem i wiecznym kochaniem!

Ożywiała Zaleskiego słodka nadzieja, że wkrótce powita ukochanego druha Ignacego Domejkę, z którym łączyła go półwiekowa przyjaźń, wsparta na jedności uczuć i wiary. Z jakąż to radością

ukazywał nam list przyjaciela z San Jago, oznajmiający rychły przyjazd.

„Ah! żebyś ty wiedział jak ja tęsknię za tobą, najdroższy sercu memu rówieśniku Bohdanie, pisał czcigodny Domejko, często przychodzi mi na myśl, że jeśli przeszkoda, jaka nie pozwoli mi zasiąść przy córce, tobym z ochotą obrał sobie na mieszkanie ową wioseczkę pod Wersalem, gdzie ty mieszkasz, i dokonalibyśmy spokojnie gawędki na tym świecie, jak Gerwazy i Protazy!“

W kilka miesięcy potem przybył Domejko z drugiej świata półkuli. Nie zamieszkał w Villepreux, ale za to Zaleski częstym bywał gościem u przyjaciela w Paryżu. Niewyczerpani w rozmowach obaj rówieśnicy, przypominali sobie dawne czasy, ścigali myślą drogich sercu druhów, śpiących snem wiecznym po cudzych cmentarzyskach: Mickiewicza w Montmorency, Stefana Witwickiego w Rzymie i tyłu, tyłu innych. Widzieliśmy żyły płynące z pod ich powiek, kiedy Domejko, przyjmowany uroczyście na zebraniu Towarzystwa historyczno-literackiego, przypominał poważne grono, które żegnał tu przed laty zgórą czterdziestu, a z którego on sam pozostał już tylko z Zaleskim.

W pogawędkach Gerwazego z Protazym, jak je nazwał Domejko, obok dawnych wspomnień snuły się i projekta na przyszłość. Krzepki jeszcze nasz geolog, zaprawny do dalekich wędrówek po łąkach i morzach, przemyślał o pielgrzymce do ziemi świętej. Zaleski, który był już w Jerozolimie, nie sięgał myślą tak daleko, byłby jednak pragnął odwiedzić raz jeszcze Rzym w towarzystwa miłego druga. Stał temu na przeszkodzie wzrok gasnący z dniem każdym. Katarakta zasłoniła już prawie oko, lewe niemniej było zagrożone.

Po dość długim wahaniu przystał Zaleski wreszcie na operacyę. Dokonał jej biegłą ręką słynny okulista nasz dr. Ksawery Gałęzowski. Udało się najpomyślniej, ale niestety, w osmdziesięciodwuletnim starcu brakło siły żywotnej, jakiej wymagało zabliznięcie rąki. Nadzieja przecież nie od razu zagasta. Nasz biegły okulista nie spieszył się z ogłoszeniem wyroku, aby nie rozdzierać serca tak Bohdanowi Zaleskiemu, jak kochającym synom i przyjaciółom.

Po operacji odbytej w Paryżu, dwaj nieodstępni druhowie pożegnali się na czas jakiś: Domejko wyjechał na Litwę, Zaleski powrócił do Villepreux, gdzie dr. Okińczyc opatrywał troskliwie chore oko. Za powrotem do domu poeta nasz uczuł się swobodniejszym. Miłe mu było to gniazdeczko, w którym przebył już lat dwanaście. Znał tu każdy kącik, wiedział, gdzie po co sięgnąć ręką. Pokój jego na pierwszym piętrze ładny był i wygodny, jasny, pełen słońca i powietrza.

Dajemy tu najwierniejszy obraz tego pokoju z całym przekonaniem, że uczucie, z jakim oglądaliśmy to ostatnie gniazdko poety, zwanego przez Mickiewicza słowikiem ukraińskim, znajdzie oddźwięk w sercu oddalonych ziomeków, którzy nie mieli sposobności wstąpić w te błogosławione progi. Pod główną ścianą stało łóżko żelazne, wygodne, nad niem rozwieszony kobierzec i drogie wizerunki: meda-

lion Adama Mickiewicza dłuta Marcinkowskiego, fotografie całej rodziny Poniatowskich, sztychowany portret Mickiewicza, litografowany księżda Ryłty i Domejki. Bliżej okna stało biurko, na którym oddawna Zaleski pisywał, a nad nióm fotografie zmarłych ojców: Aleksandra Jełowickiego, Kajsiewicza i innych. Przy drugiej ścianie nad komodą zawieszony obraz Chrystusa kopia z Guido-Reniego. Dalej komin, na nim zegar, kandelabry. Powyżej medaliony Witwickiego i księdza Topolskiego dłuta Władysława Oleszczyńskiego; rysunek Szewczenki, wyobrażający „Taniec kozaków,” fotografie przyjaciół, a w posrodku 5-ty Augustyn, sztych według obrazu Ary Scheffera.

Przed kominem piec okrągły na kółkach, według metody Szuberskiego, utrzymywał jednostajne ciepło w pokoju.

Przy innej ścianie stała obszerna szafa z biblioteką, wygodna kanapa, wielki, mięko wysłany fotel. Stół wielki, drugi mniejszy i kilka krzeseł dopełniało umeblowania.

Obok tego pokoju był drugi zajmowany zwykle przez synów, ilekroć na dłużej przybywali do Villepreux. Było tu łóżko, szafa z bielizną, komoda, stolik, fotel i cztery krzesła; ściany zdobity litografowane portrety, kopie mistrzów, rysunki i t. d.

W tój to miłej i wygodnej ustroni, wśród drogich sercu wizerunków i pamiątek, żył ojciec Bohdan, otoczony troskliwą opieką przybranej rodziny, którą uważał za własną. Miłość i głęboka cześć dobrych synów napełniała serce jego pociechą, widok nieodstępnej wnuczki Bohdanki radował mu wzrok niedogasty.

Z chrześcijańską rezygnacją przyjął stratę prawego oka, lewe jakkolwiek zagrożone służyło mu trochę; mógł nióm nawet czytać po pół godziny na dzień. Ranki poświęcał modlitwie to w domu, to w kościółku wiejskim. Doktor Okińczyc w chwilach wolnych czytywał mu na głos „Potop.” Z najżywszém zajęciem słuchał Zaleski tój pięknej powieści, osnutej na wątku dziejowym, który on sam opiewał w „Potrzebie Zbaraskiej.” Od czasu do czasu odwiedzał jeszcze Paryż. Poraz ostatni przybył tu na uroczystość pięćsetletniej pamiątki ślubu Jadwigi z Jagiełłą, obchodzonej w kościele Wniebowzięcia w dniu 27 lutego.

Nadchodził dzień 6-go Józefa, grono czcicieli wybierało się jak co rok z powinszowaniem do Villepreux. Nagle otrzymujemy przerażającą wieść o ciężkiej chorobie, a zaraz potóm o skonie doktora Okińczyca. Umarł 18-go marca. Ojciec Bohdan przygnębiony tym ciosem zniósł go z pobożną rezygnacją. Nazajutrz w dniu własnych imienin, wsparty na ramieniu syna, poszedł na Mszę do kościółka wiejskiego. Ostatni to był wysiłek; za powrotem do domu położył się napół omdlały, nie miał już powstać z łóża.

W parę dni potóm przyjął Sakramenta święte z rąk księdza Witkowskiego, proboszcza parafii polskiej w Paryżu. Po skończonym obrzędzie, kapłan prosił chorego o błogosławieństwo dla ziomeków. Za-

leski podniósł obie ręce do góry, wyszeptał modlitwę i z głębokim namaszczeniem wyrzekł błogosławiące słowa.

Odtąd życie zwolna go opuszczało. Niekiedy tracił przytomność, ale i w tych chwilach nawet myśl jego obiegała wyższe sfery. Mówił ciągle o kraju, o wielkich obowiązkach, jakie ciążyą na każdym, zachęcał do miłości i zgody. "Z uczuciem tulił i błogosławił nieodstępnych od łóża synów, dziękuje serdecznie panu Władysławowi Mickiewiczowi, który przez ciąg choroby przepędzał przy nim dni i noce.

Z modlitwą na ustach, bez cierpień, w dniu 31-ym marca oddał pobożnie ducha Bogu. W ostatniej chwili podano mu gromnicę, poświęconą na grobie Zbawiciela, którą przed laty czterdziestu przywiózł z Jerozolimy. Dziwnym zbiegiem 31-szy marca jest dniom ś-go Józefa według starego kalendarza. W tym dniu za lat młodych Bohdan Zaleski obchodził na Ukrainie święto patrona swego.

Zwłoki przewieziono do Paryża, złożono je najprzód w kościele Wniebowzięcia Panny Maryi, zamienionym w rozkwitły ogród. Katafalk znikł pod stosami wieńców, złożonych z miłością na drogiej trumnie. Wszyscy ziomkowie bez różnicy barw i odcieni zebrali się na żałobną uroczystość, kościół był przepełniony. Po nabożeństwie liczny orszak odprowadził zwłoki na cmentarz Montmartre, gdzie czekał grób gotowy. Tu przed laty zgórą dwudziestu Zaleski złożył kości ukochanego brata Józefa, a potem drogiej małżonki i ukochanej córki. W sześciu mowach ziomkowie oddali hołd zmarłemu wieszczowi, przypominając zasłużony żywot jego, przeczytany jak strumień żywej wody. Żyzy obecnych przywtażały mówcom; rzewniej jeszcze potoczyły się, kiedy zsunięto trumnę do grobu, a kapłan rzucił garść ziemi z nad Bohu i Rosi na zwłoki lirnika ukraińskiego.

W kilka dni potém, kiedy synowie jeli rozpatrywać papiery pozostałe po ojcu, wpadła im naprzód w oczy, kartka nakreślona jego drogą nam wszystkim ręką. Było to podziękowanie ziomkom za życzliwość jakiejś dali mu dowody, przez nadesłanie adresów w ośmdziesiąt rocznicę jego urodzin. Zrazu miał myśl rozesłać tę kartkę na różne strony, ale przy wątłym stanie zdrowia i osłabionym wzroku, odłożył to na później. Tak minęło kilka miesięcy. Odtąd powtarzał często synom: „Zapóźniłem się z odpowiedzią, czas ku temu już minął. Chyba po śmierci podziękuję, będzie to zarazem pożegnanie.

Tym serdecznym głosem z poza grobu kończymy wspomnienie o drugim wieszczu naszym.

### *Kochani Rodacy!*

Uczciliście ośmdziesięciolecie moje jak najdostojniej, że mi doprawdy aż sromno. Otrzymałem z różnych stron Polski adresów, listów, telegramów stosami. Wdzięczny jestem nad wszelki wyraz, całą duszą za te chlubne i drogocenne dowody łaski waszej i życzliwości dla mnie. Napełniliście serce starca słodką duchową pociechą, iż topnicie w rozrzewnieniu. Bóg zapłać za wszystko.

W późnej atoli mojej starości nie przeceniam się, ani chwalebna już nie grzeje. Służyłem pocziwój sławie jak umiałem, ale snopek tój zasługi szczupły jest i niepokaźny. Uczczenie odbieram z dobrej woli jeno waszój rodacy. Tytuł to mój pieśniarza w przestawnym poczcie wielkich wieszczów narodu sprawia wam urok, przemienia mnie i umila w miłujących oczach waszych, jak wzrok matki dziecię upięknia. Z opromienienia owój ery poetycznej niewątpliwie i na mnie pada trochę.

Oślabienie wzroku uwalnia mnie od przydłuższego pisania.

Jeszcze raz Bóg wam zapłać.

*Bohdan Zaleski.*



## II. WALNY ZJAZD

TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

w Krakowie (w d. 20 i 22 kwietnia b. r.).

PRZEZ

*Romana Zawilińskiego.*

### I.

Od początku istnienia Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych w Galicyi ujawniała się potrzeba opracowania instrukcyi do nauczania języka polskiego w szkołach średnich galicyjskich. Na zeszłorocznym walnym zjeździe we Lwowie, przedstawiono w dwu gruntownych referatach potrzebę instrukcyi i zmiany książek szkolnych, służących do nauki języka polskiego równie w niższém jak i wyższém gimnazyum, oraz potrzebę wydania utworów prozaicznych jak poetyckich, w całości lub stosownie skróconych, a przeznaczonych do lektury szkolnej lub domowej klas wyższych. Ponieważ sprawę wypracowania instrukcyi polecono téj saméj komisyi, której wspólnym owocem były „wskazówki“ przez prof. Próchnickiego zestawione, dodając zarazem, aby wysłuchano opinii wszystkich poszczególnych kół w téj sprawie, dlatego w ich pracach spotykamy najwięcej zajęcia się tym przedmiotem. I tak koło drohobyckie w końcu czerwca z. r. obszernie tę rzecz traktowało na miesięczném posiedzeniu, a przez usta referenta prof. Polaka wypowiedziało przekonanie, że nie należy zbyt ograniczonego stanowiska wyznaczać historii literatury polskiej w gimnazyum wyższém, ale utrzymać ją na tém, jakie jój wyznacza najnowsza instrukcyja ministeryalna dla języka niemieckiego; że następnie nie należy pomijać pomników języka XIV-go i XV-go wieku i pisarzy w. XVII-go, ale im odpowiednie wyznaczyć miejsce, i w tym celu pragnie wykazu pisarzów i ich utworów, które się w wyższém gimnazyum czytać powin-

no; nakoniec w sposobie czytania chciałoby uwzględnić rodzaje prozy i poezyi, a przy objaśnianiu utworów trzymać się téj zasady, że komentarz dopiero się tam kończy, gdzie się poczyna jasna świadomość rzeczy.

Koło krakowskie, pracując skrzętnie w raz obranym kierunku, zajęło się także instrukcją do nauki języka polskiego w wyższém gimnazjum. Wychodząc z téj zasady, że nam ile możności potrzeba wyzyskać to wszystko dla języka ojczystego, co dla niemieckiego nowe instrukcyje ministeryalne przepisują, zastanawiało się gruntownie nad sprawą nauczania gramatyki polskiej w klasie V-ój i VI-ój, i uznało ją dla języka ojczystego za doniosłą i ważną. Zgadzaając się analogicznie z przedmiotem nauczania, wskazanym w instrukcyach dla języka niemieckiego, odstąpiło atoli od rozkładu na dwie klasy w przekonaniu, że nie należy do klasy VI-ój, w której rozpoczyna się systematyczną lekturę literacką porządkiem historycznym, wprowadzać więcej gramatyki (1 godz. na dwa tygodnie), ale wszystek czas poświęcić już literaturze, na czém nietylko ona zyska, ale i sama nauka gramatyki, jeśli się jój w klasie V-ój zamiast co 2 tygodnie jedną godzinę, tygodniowo jedną poświęci. Wymiar czasu więc ten sam, ale w mniejszym przeciągu, przez co tylko na intensywności zyskuje. Z rozwiniętym planem téj nauki postanowiło Koło krakowskie wystąpić na walnym Zjeździe, celem uzyskania uchwały ogólnej. Co do nauki literatury polskiej uznało Koło krakowskie (w myśl instrukcyi a odmiennie od „wskazówek“ Komisji lwowskiej) za potrzebne, aby wprowadzić w klasie V-ój 2 godziny tygodniowo rysu poetyki i prozaiki, popartego wyborynymi ustępami w Wypisach, ilustrującymi najważniejsze rodzaje prozy i poezyi z wyjątkiem dramatu. Od klasy VI-ój zaś do VIII-ój powinniaby się uczniowie zaznajomić z rozwojem literatury polskiej w porządku chronologicznym i to tak, aby wiek XVI, XVII-ty i XVIII-ty zajął trzy półrocza, drugie zaś trzy poświęcić wiekowi XIX-mu. Nauka odbywałaby się powinna na podstawie podręczników, obejmujących nietylko wyjątki z pism wybitniejszych autorów, ale i historyczno-literackie uwagi o wiekach XV—XIX-go, z dołączeniem życiorysów cenniejszych pisarzy. Z wnioskiem tym postanowiono również wystąpić na walnym tegorocznym zjeździe.

Koło przemyskie doszło co do nauki literatury do zupełnie zgodnych z krakowskiem wniosków; tylko co do nauki gramatyki, nie uważa za potrzebne rozszerzać jój i do klas wyższych, ale ukończyć w 4-ch latach a w dwu kursach: elementarnym i systematycznym, (w myśl instrukcyi co do klas niższych). Równie szeroko traktowało tę sprawę koło stanisławowskie, ale z suchój sprawozdawczej notatki niepodobna wyciągnąć, do jakich doszło rezultatów. W kole tarnowskim dyrektor Bronisław Trzaskowski poruszył sprawę nauki języka polskiego w klasach niższych.

Drugą sprawą więcej wewnętrznej natury, poruszoną przez Koło krakowskie, była sprawa umundurowania młodzieży szkolnej, dyskutowana żywo we wszystkich kółach. Głównym powodem, dla któ-

rego Koło krakowskie za umundurowaniem się oświadczyło, było poczucie potrzeby jakiegoś środka, któryby nawet zewnętrznie zacierał różnicę stanów, a w ten sposób przyczyniał się do większego koleżeństwa; przez wybitną zaś różnicę zewnętrzną umożliwiał przelożonym kontrolę nad uczniami poza szkołą, której się szkoła jako zakład wychowawczy z rozmaitych względów wyrzec nie może i nie powinna. Wniosek Koła krakowskiego, mający formę życzenia w obec władz przelożonych, doznał u kół Towarzystwa rozmaitego przyjęcia. Koło lwowskie przystąpiło w zasadzie do uchwały Koła krakowskiego, stanisławowskie uczyniło to z zastrzeżeniem, jeżeli rzecz praktyczną się okaże, a tarnowskie, uznając wszystkie strony dodatnie, ze względu na stosunkową drogosc munduru, nie przychyliło się do wniosku krakowskiego; kół drohobycko-stryjskie i przemyskie oświadczyły się stanowczo przeciwko mundurom. Nie przytaczając tutaj powodów, które zmusiły te kół do opozycji, zaznaczyć musimy, że mogło się to stać głównie z braku odczuwania potrzeby na prowincyi, gdzie i ilość młodzieży mniejsza, i rozległość miast nie tak wielka, ułatwiają kontrolę.

Przechodząc do innych spraw, poruszanych lub opracowywanych w kółach Towarzystwa, zauważyć musimy, że najgoręcej zajmowano się tylokrotnie już wspomnianą instrukcją ministeryalną z r. 1884, badając, o ile teoretycznie te wskazówki mają grunt realny w praktyce, lub o ile odpowiednio do innych stosunków galicyjskich należałoby je zmienić, aby nie chybić celu właściwego wychowania. Językami klasycznymi zajmowano się we wszystkich kółach (z wyjątkiem krakowskiego i stanisławowskiego), i to szczególnie lekturą w klasach wyższych; po nich nauką matematyki, nauk przyrodniczych, historyi i geografii. Sprawę nauczania t. zw. propedeutyki filozoficznej poruszył w Kole krakowskim prof. M. Straszewski; język zaś niemiecki a przedewszystkiem jego nauczanie w klasach niższych było tylko przedmiotem obrad w kole tarnowskim. Ostatni ten przedmiot wymaga jednak gorliwego zajęcia się nim nauczycieli fachowych, aby jego nauczanie utrzymać na właściwem stanowisku; ku temu potrzebna niezbędnie instrukcja, aby zbyt gorliwi albo nieopatrzeni nie chcieli stosować miary wymagań w tym języku przez instrukcyje ministeryalne dla prowincyi niemieckich wskazanej, do szkół galicyjskich, gdzie on nie jest ojczystym, ale obok ojczystego drugim nowożytnym.

W zakresie nauk gimnazyalnych udzielano sobie również wiadomości naukowych, szczególnie co do języków klasycznych, języka polskiego i matematyki.

Ze spraw ogólniejszej pedagogicznej natury, oprócz sprawy umundurowania uczniów powyżej przedstawionej, zajmowano się w kole krakowskim sprawą obarczenia uczniów pracą pozaszkolną, i sprawą uroczystych popisów i nagród szkolnych; w kole tarnowskim sprawą karności i reorganizacji szkół średnich; w kole lwowskim sprawą jednorazowej dziennicze nauki. Nad stanowiskiem i stopniem służbowym nauczycieli zastanawiano się w kole drohobycko-stryjskim, nad

odpowiedniem przygotowaniem i wykształceniem nauczycieli w kole tarnowskim.

Z tego szkicu pobieżnego pracy Towarzystwa w kótkach można powziąć wyobrażenie o jej kierunku. Jakkolwiek nikomu to nie jest tajne, że reorganizacja szkół średnich byłaby jednym z najskuteczniejszych środków ich podniesienia, przecież oceniając trzeźwo sytuację i licząc się z okolicznościami, Towarzystwo nie podjęło opracowania planu stosownej reformy, pragnącej z góry ogólnej naprawy, ale poczęło z dołu, od drobiazgów niemal, które się łatwo administracyjną drogą dadzą uzyskać, bez apelowania do najwyższych władz ustawodawczych. To też nie dziw, że ta trafna metoda pracy wieńczy ją dotąd jak najpomyślniejszymi rezultatami. I tak: sprawa reorganizacji szkół realnych, należących do kompetencji sejmu krajowego, poruszona na zeszłorocznym walnym zjeździe, weszła już na właściwe tory. Wskutek memoriału wniesionego przez wydział Towarzystwa do sejmu, wezwał sejm rząd, aby już teraz drogą administracyjną wprowadził do programu nauk obowiązkowych szkół realnych galicyjskich, prócz języka polskiego i niemieckiego, naukę przynajmniej jednego jeszcze języka nowożytnego, a to francuzkiego lub angielskiego, bez powiększenia ogólnej liczby godzin wykładowych, jeśliby się tyle pożądanego zmniejszenie nie dało żadną miarą uskutecznić. Taki sam memoriał przedstawiony radzie szkolnej spowodował jej odczwę do wydziału Towarzystwa z d. 27 lutego b. r., w której tak się wyraża: „Szanowny Wydział, zajmując się wielostronnie tą sprawą, przyczynił się niewątpliwie do załatwienia jej szybszego, gdyby przedstawił radzie szkolnej krajowej szczegółowy program dla szkół realnych galicyjskich, oparty na zasadach i życzeniach wyrażonych w swém podaniu. W tym celu udaje się też rada szkolna kr. niniejszemu do szanownego wydziału.“

W podobny sposób powzięta uchwała przez zeszłoroczne walne zgromadzenie w sprawie podręczników szkolnych, znalazła przychylnę przyjęcie. Wydział Towarzystwa wniósł podanie do sejmu z prośbą o przywrócenie dawniej dotacji w kwocie 1,000 ztr. na nagrody za najlepsze podręczniki dla młodzieży szkół średnich i o oddanie tej kwoty do dyspozycji rady szkolnej, następnie przedłożył radzie szkolnej projekt, zmierzający do ożywienia ruchu na polu piśmiennictwa szkolnego, jakoteż do ulepszenia książek szkolnych przez utworzenie stałej komisji, któraby, pod kierownictwem i bezpośrednim wpływem rady szkolnej, układała plany podręczników, ogłaszała konkursy i zajmowała się recenzją prac nadsyłanych. W odpowiedzi na to, sejm petycją Towarzystwa „dotyczącą przedmiotu bardzo ważnego,“ przekazał wydziałowi krajowemu do rozpatrzenia i przedstawienia wniosków w przyszłej kadencji, rada szkolna zaś zajęła się zbadaniem projektu i postanowiła usilnie poprzeć petycją Towarzystwa wniesioną do sejmu.

Sprawa suplentów tylokrotnie przedtém już poruszana, w któ-

rój wiele petycyi do władz powysyłano, nie wymagała już nowych kroków; jednak wydział wniósł do rady szkolnej prośbę o usunięcie interkalaryów w mianowaniu dyrektorów i nauczycieli, przez co przynajmniej pewna część suplentów mogłaby prędkiej otrzymać posady.

Nakoniec sprawa fizycznego kształcenia młodzieży, którą tak żywo na zeszlórocznym walnym zjeździe przedstawił prof. Palmstein, doznała poparcia ze strony wydziału filozoficznego uniwersytetu lwowskiego, który na wniosek prof. Br. Radziszewskiego przedstawił ministertwu potrzebę utworzenia katedry higieny i somatologii.

Takimi i tak rychłemi owocami swych prac i życzeń, rzadko które Towarzystwo, zwłaszcza w początkach swego istnienia, poszczycić się może. Daje to miarę powagi i znaczenia, jakie sobie Towarzystwo u władz i reprezentacyi kraju od razu zyskało, z drugiej strony jest silną podniecią dla samego Towarzystwa, a zwłaszcza jego wydziału do podejmowania dalszych prac, skoro uznanie jawną jest wskazówką, że się kroczy po właściwej i prosto do celu wiodącej drodze. To też nie dziw, że każdy niemal nauczyciel poczytuje sobie za obowiązek, a zarazem i zaszczyt być członkiem Towarzystwa, wskutek czego liczba ogólna członków dochodzi obecnie do 560. Mimo to „nieobecnych“ jeszcze wielu, zwłaszcza w miastach prowincjonalnych; z niektórych bowiem gron zaledwo jeden na dziesięciu do Towarzystwa należy, a za pomyślny rezultat trzeba poczytywać fakt, jeżeli liczba członków Towarzystwa wynosi połowę członków całego grona nauczycielskiego. Można nad tém ubolewać, ale wytłómaczyć łatwo; natomiast dziwić się należy, że w miastach głównych są liczni „nieobecni“, którzy nawet ironicznie i dwuznacznie o Towarzystwie mówią i „nieobecnością“ swoją się chełpią... Miejmy nadzieję, że nawet silne uprzedzenia ustąpią z czasem dobru kraju i całego stanu nauczycielskiego.

## II.

W wielki wtorek t. j. dnia 20 kwietnia b. r. o godzinie 10-ój przed południem zapełniła się piękna sala Rady miejskiej krakowskiej nauczycielami szkół średnich i profesorami uniwersytetu. Przybyłych z prowincyi i ze Lwowa na trzecie walne zgromadzenie było do 70-ciu. Zebranie zaszczyteli swoją obecnością: ks. biskup krakowski, naczelnik władzy politycznej, prezes Akademii umiejętności i rektor uniwersytetu.

Zagaikł posiedzenie pierwsze prezes Towarzystwa prof. Bronisław Radziszewski. Wyraziwszy radość z powodu spotkania się w prastarój stolicy i skonstatowawszy, że Towarzystwo ogólną cieszy się sympatyą zaznaczył czeigodny prezes, że celem prac Towarzystwa jest pożytek kraju. Nagrodą za nie jest przeświadczenie o pożyteczności pracy, którego nabyć można tylko wówczas „gdy społeczeństwo zechce nas i nadal wspierać, oświecać i wzmacniać; gdy między oświeconą

warstwą narodu i stanem nauczycielskim wytworzy się zupełna harmonia w zapatrywaniach na cele i środki edukacyjne.“ Skreślony obraz tych prac Towarzystwa, kierunku i dążenia do celu wychowania, „którym jest i pozostanie: cały zasób wrodzonych sił fizycznych, moralnych i intelektualnych rozwinąć i do pełni życia doprowadzić,“ wyraża życzenie, aby pracą każdego nauczyciela ogrzewało ciepło własnego uczucia i opromieniała osobista godność, aby zaś trudności lżejszemi się stawały w poczuciu koleżeństwa.

Po przywitaniu zgromadzonych przez prezydenta miasta i przyjęciu do wiadomości drukowanego sprawozdania wydziału, przystąpiono do pierwszego punktu porządku dziennego, którym był referat prof. d-ra L. Germana: „O obciążeniu uczniów.“ W ostatnich latach kwestya obciążenia uczniów pracą pozaszkolną powstała prawie równocześnie w Austrii i w Niemczech. „Die Ueberbürdungsfrage“ ma prawie osobną literaturę, przeważnie broszurową, a artykuły dziennikarskie temu pytaniu poświęcone zliczyćby ledwie można. Zkąd nagle to pytanie powstało? Odpowiedź trudna. Nieprzyjaciele studyów klasycznych, chcący widzieć w szkole średniej szkołę fachową, praktyczną, wołać zaczęli na przeciążenie młodzieży preparacyami, wokabularzami, ćwiczeniami gramatycznymi i t. p., które ich zdaniem na nic się nie przydadzą; lekarze i hygieniści wystąpili ze statystycznymi datami, przedstawiając coraz większą słabość wzroku u młodzieży i wczesne wstrzymanie rozwoju fizycznego, zwłaszcza w obec braku ćwiczeń cielesnych; nakoniec rodzice, których dzieci odznaczały się albo małą pilnością, albo brakiem wszelkich zdolności, zaczęli ręce łamać, narzekając na wysokość wymagań i nawet domowej pracy w ogólności. Kiedy prof. Cz. Pieniążek na jednym z zeszłorocznych posiedzeń Koła krakowskiego sprawę tę podniósł i przytoczył jako oczywisty dowód przeciążenia fakt, że obecnie, zwłaszcza w większych miastach, uczeń nawet o lepszych zdolnościach bez korepetytora obejść się nie może, dały się słyszeć w toku długiej dyskusyi rozmaite zdania prawie sprzeczne, bo jedni stanowczo twierdzili, że przeciążenia nie ma, inni że jest i szukali go bądź to w systemie nauczania czyli w planie szkolnym, bądź w nauczycielach samych, którzy, bez harmonii z innymi przedmiotami nauki, na swój przedmiot tylko główny kładą nacisk, zmuszając uczniów do szczególniej w tym kierunku pilności. Nie da się przeczyć, że we wszystkich tych zdaniach jest coś prawdy. I tak prawdą jest, że plan naukowy gimnazjów austriackich w ogóle pisany przedewszystkiém dla szkół z językiem wykładowym niemieckim, a zastosowany bez zmiany do szkół galicyjskich przeciążenie sprawić musi; tu bowiem oprócz języka ojczystego, którym jest polski, uczniowie muszą się uczyć w znacznej liczbie godzin języka niemieckiego we wschodniej Galicyi, i drugiego krajowego ruskiego (rusińskiego), przeto i liczba godzin szkolnych, i pracy domowej musi być znacznie wyższą, niż w prowincjach niemieckich monarchii Austro-węgierskiej. Prawdą jest również, że zwłaszcza młody,

niedoświadczony, nieposiadający pedagogicznej miary i dydaktycznej zręczności nauczyciel może uczniów w swym przedmiocie przeciążyć, ale będzie to trwało niedługo, bo albo kierownik zakładu zwróci mu na to uwagę, albo sam powoli się przekona, że miarę przekraczał.

Bądź co bądź narzekania były i są, między samymi nauczycielami zdania bardzo były podzielone, warto więc było zająć się tą kwestyą bliżej i zbadać ją o ile możności wszechstronnie. Krakowskie Koło powierzyło tedy referat w tej sprawie dwom referentom, poczem po dyskusyi wyczerpującej w Wydziale, postanowiono wystąpić z wnioskami na walnym zjeździe i referat oddano prof. Germanowi.

Szan. referent przedstawił tedy wszystko, co mogło wywołać skargi na przeciążenie, zbadał wszystkie na tę sprawę wpływające względy i przedstawił jako rezultat następujące wnioski:

1. Plan nauki obowiązujący w naszych szkołach średnich należycie wykonany nie może być źródłem istotnego obciążenia młodzieży;

2. Objawy obciążenia dają się stwierdzić tylko sporadycznie i mają źródło:

a) w niedostatecznym przygotowaniu znacznej części młodzieży na wszystkich stopniach nauki;

b) w niezawsze harmonijnym traktowaniu wszystkich przedmiotów nauki przez nauczycieli jednej klasy.

Z dyskusyi w Kole krakowskiem niegdyś toczonęj wnioskować można było, że najmniej ożywioną będzie na zjeździe. I w rzeczy samej tak się stało.

Dr. K. Petelenz (z Krakowa) sądził, że instytucya egzaminów wstępnych nie może spełnić swego zadania: poznania umysłowego rozwoju ucznia, i dlatego mniema, żeby odpowiedniejszym było przyjmowanie uczniów bez egzaminu a relegowanie po pierwszym półroczu nauki gimnazyalnej.

Prof. Sołtysik (ze Lwowa) konstatuje, że wnioski postawione zwracają się równie przeciw nauczycielom jak i przeciw uczniom. A jednak przypatrzwszy się np. planowi języków klasycznych, nie można obwiniać nauczyciela, jeśli uczniów przeciąży; plan ten bowiem wykonać się nie da, i uczeń wymaganiom nie odpowie. Zostaje tedy alternatywa: albo planu nie wykonywać, albo go téż wykonać bez względu na rezultaty nauki. Jedno i drugie złe. Przeciążenie tedy istnieje a jego przyczyna w dysproporcji między wymganiami a czasem do nauki przeznaczonym.

Dr. Pechnik (z Tarnowa) widzi w planie naukowym dążność do obciążenia; prócz tego nauczyciel zamiłowany w swym przedmiocie żąda wiele a uczniowie ambitni, chcąc mu zadosyć uczynić są przeciążeni zwłaszcza w kl. VIII, gdzie obok bieżącego materiału naukowego, który sobie przyswajają, muszą powtarzać wiele do egzaminu dojrzałości. Sądzi tedy, że zwłaszcza starszym uczniom należałoby dać więcej czasu do samodzielnego rozwijania się. Przecią-

zeniu w niższych klasach możnaby, zdaniem Dr. P., zapobiedz w ten sposób, że gospodarz klasy zaraz na początku roku wyznaczałby uczniom czas do domowej pracy i kontrolował potem spełnienie polecenia. Następnie przedstawia wniosek (wkraczający w sferę organizacji planu), aby Walne zgromadzenie poleciło przeniesienie większej ilości godzin dla filologii do niższych klas, wyższym zaś pozostawiło przedewszystki-  
 kiem przedmioty realne, jak matematykę i fizykę, nadto filozofią.

Dyr. B. Trzaskowski (z Tarnowa) zgadza się na pierwszy wniosek referenta, ale z zastrzeżeniem jeżeli plan się należyście wykona a uczniów tylko dobrze przygotowanych do wyższych klas szczególnie promować będzie. Co do drugiego wniosku zdanie jego jest odmienne. Obciążenie jest i to więcej niż sporadyczne, a w pierwszym rzędzie dotyka ono abiturjentów, od których corocznie się dowiaduje, że najlepsi potrzebują poświęcać nauce dziennie 10 do 15 godzin a przed egzaminem dojrzałości do 20 godzin. Przyczyny tego leżą nietylko w niedostatecznym przygotowaniu uczniów, ale i w niedostatecznym wykonaniu planu, t. j. bez uwzględnienia pedagogicznych i dydaktycznych warunków. Konstatuje, że młodzi nauczyciele nie są ani teoretycznie, ani praktycznie obznajomieni z pedagogią i dydaktyką, nie mają świadomości, jakie stanowisko zajmuje w planie ogólnym przedmiot, którego oni nauczać mają, w skutek czego następują wygórowane wymagania i obciążenie szczególnie w klasach wyższych. To nie może mieć innych u uczniów skutków tylko znużenie i zniechęcenie. Brak znajomości dydaktyki sprawia, że nauczyciele często wykładają zamiast uczyć i przenoszą przez to ciężar nauki do domu. Do tych przyczyn dołącza się przepełnienie klas, w których nauczyciel nie może dobrze poznać uczniów, i przesadne nieraz temata do wypracowań domowych. Skoro te przyczyny istnieją, istnieje i skutek, którym jest obciążenie uczniów, szczególnie w kl. VIII powszechnie.

Dr. Żuliński (ze Lwowa) zwracał uwagę na zaniedbanie wychowania fizycznego i pomijania względów na konieczny wypoczynek, jakim są np. święta dla młodzieży uczącej się. Nauczyciele zadawający wiele na te ferye źle czynią. W obec podniesionych przez poprzednich mówców trudności i przyczyn, uważa korepetycje domowe za małym necessarium i dla tego proponuje, aby sprawę tę wydziałowi przekazać do gruntownego zbadania. Nakoniec chciałby większej ścisłości w klasyfikacji, w skutek czego ani po wakacjach nie byłoby poprawczych egzaminów, ani by nieprzygotowani do nich nie przechodzili do wyższej klasy, tworząc balast.

Prof. Habura (z Tarnowa) widzi przyczynę przeciążenia istniejącego wszędzie w tój okoliczności, że szkoła ludowa, mając inne cele na oku, nie rozwija uczniów pod względem formalnym tak, że uczniowie przychodzący do gimnazjum nie rozumieją budowy zdania pojedynczego. Obok tego źródło obciążenia tkwi i w dydaktyce gimnazjalnej, która za wiele pracy przenosi do domu. W pewnej mierze przyczyną może być i zbyt duża gorliwość nauczyciela.



Prof. Rostafiński zalecał egzamin z IV do V klasy jako bardzo pożyteczny, prof. J. Petelenz (ze Lwowa) bronił nauczycieli przed zarzutem zbyt technicznej gorliwości i podnosił chwalebny zapach, potwierdzając zarazem, że plan nowy np. co do nauk przyrodniczych absolutnie wykonać się nie da. Nakoniec prof. Cz. Pieniążek polecał Wydziałowi gorąco sprawę korepetycyj domowych, o których usunięcie chodziło mu przedewszystkiem przy poruszeniu sprawy przeciążenia.

Po przemówieniu generalnego mówcy (za przeciążeniem) prof. Jana Lewickiego (z Przemysła), który myśli dyr. Trzaskowskiego popierał i zaznaczył, że uczniowie obciążeni nie mogą kształcić się lekturą arcydzieł literatury i przez to wielkie ponoszą straty — zabrał głos ostatni referent i kładł nacisk na wyraz należyte wykonanie planu, przez które rozumiał uwzględnienie względów pedagogicznych i dydaktycznych. Odpierając zarzuty oponentów zaznaczył, że fizyczne wychowanie młodzieży i wiele innych proponowanych przeciwko obciążeniu środków nie od nas zależy, i wchodzi w kwestyę reformy szkół. Twierdząc stanowczo, że uczeń pilny o średnich zdolnościach może bez przeciążenia wymaganiom podołać, poleca zgromadzonemu gorąco uchwalenie podanych wniosków, bo wynik głosowania będzie miał znaczenie nietylko dla nauczycieli ale i dla kraju; „dla wypełnienia naszych zadań potrzeba nam pomocy innych czynników, mianowicie usilnej pomocy domu rodzicielskiego, szkoły ludowej i władzy.“

Przewodniczący prof. Rądziszewski reasumując dyskusyę konstatuje, że obciążenie istnieje, ale że referent nazywa je sporadycznym, inni powszechnym. Ponieważ najważniejsze różnice istnieją w zapatrywaniu na przyczyny obciążenia; mianowicie czy plan naukowy jest przyczyną przeciążenia, lub czy należyte wykonanie go nie jest, przeto poddaje pod głosowanie pierwszy wniosek referenta. Przyjęto go większością podobnie jak i wniosek drugi, do którego dodano w myśl żądań prof. Pieniążka i Żulińskiego: „Poleca się Wydziałowi, by sprawę korepetycyj domowych poddał pod dyskusyę kół i aby na przyszłym walnym zgromadzeniu przedstawił odpowiednie wnioski w sprawie klas przygotowawczych do gimnazjum.“

Na tém zamknięto pierwsze posiedzenie.

Tego samego dnia po południu referował prof. I. Świerz (z Krakowa) w sprawie zaprowadzenia mundurów u młodzieży szkół średnich. Wspomnieliśmy już o tej sprawie we wstępie, bo ona zajmowała żywo wszystkie Koła towarzystwa, i w większej części doznała nieprzychylnego przyjęcia. Referent przeto miał ciężkie zadanie nawet sceptyków nawrócić i dla swój sprawy ich pozyskać. Przedstawił tedy potrzebę ścieśnienia swawoli uczniów, zdania tych co mundurki studenckie nosili, a szczególnież położył nacisk na to, że mundurki wyrabia poczucie korporacyi, utrwała koleżeństwo i zacięra różnicę stanów, kładąc

tamę paniczkością, w większych miastach grasującemu. Nie przemilczał i o tém, że w mundurku uczeń lepiej się przedstawia, aniżeli w tandetnym ubraniu, z którego nawet choroby zaraźliwe przeszczipać się zwykły. Ponieważ podniesiono przeciw mundurkom ich drożyznę, przeciwstawił temu referent orzeczenie krawca, który oznajmił, że 12 złr. na mundurek wystarczy. Rzecz swą zakończył wnioskiem: „Walne zgromadzenie wyraża życzenie, aby władze szkolne zaprowadziły w szkołach średnich mundury dla młodzieży.“

W dyskusyi zabrał głos najpierw dyr. Br. Trzaskowski, który skreślił na wstępie historyczny przebieg téj sprawy w ostatnich dwudziestu latach. Przed laty 13 poruszyła tę rzecz Rada szkolna krajowa, ale skoro się większość gron nauczycielskich okazała przeciwną, rzecz poszła ad acta. Podobnego losu doznała wznowiona przez Towarz. pedagogiczne. Dziś występuje po raz trzeci i zaprzeczyć nie można, że za wnioskami Koła krakowskiego przemawia bardzo wiele. Przytaczane przeciw unundurowaniu względy na swobodę obywatelską rodziców, którzyby byli zmuszeni takie a nie inne suknie sprawiać dzieciom, uważa mówca za mało znaczące, boć w wielu zakładach istnieją mundury (np. w szkołach rolniczych) i nikt na ograniczenie swobody nie narzeka. Popiera dalej wszystkie motywy referenta, jako to: podniesienie karności, wyrobienie poszanowania stanu i godności osobistej — a jednak wraz z Kołem tarnowskiem mówca oświadcza się przeciw wprowadzeniu mundurów. Względem prawie jedynym a w téj sprawie decydującym jest wzgląd na ubóstwo większej części młodzieży szkolnej, rekrutującej się z synów wieśniaków, małomieszczan, przemysłowców, urzędników, sług i sierot. Na 650 uczniów gimnazjum tarnowskiego 109 jest synów włościan, 5 małomieszczan, 85 rękodzielników i przemysłowców, 105 urzędników niższych i sług rządowych, 50 synów sług a 60 sierot.  $\frac{3}{4}$  tedy frekwencyi gimnazjum tarnowskiego należy do młodzieży ubogiej, której rodzicom umundurowanie byłoby uciążliwe. Kompletne bowiem umundurowanie ucznia (palto i czapkę wliczając) kosztowałoby 20 do 30 złr., a u niektórych dwa razy tyle, jeśli prędyj zniszczą. Dziś ubranie, które z tanięj materyi sama nieraz matka uszyje, kosztuje 5 do 8 złr.; na zimę kupi tani paltocik i tak przyodzieje się ucznia co najwyżej za połowę tego kosztu, któregooby mundur wymagał. Dziś gdy tyle kosztują książki, opłata szkolna dość znaczna, którą przy wstępie do gimnazjum złożyć muszą, wprowadzenie mundurów zaparłoby wielu wstęp do szkoły. Gdyby to trafiło młodzież nientalentowaną, toby środek taki można nawet uznać za praktyczny; ale że w większej części z téj ubogiej młodzieży wychodzą tacy, którzy później stają się chlubą narodu, przeto środek ten jest zły i niegodziwy. Oświadcza się tedy stanowczo przeciw wprowadzeniu mundurów, i tylko wtedy dałby się przekonać, gdyby mundurek kosztował tyle, co dziś zwykłe ubranie lub mało co więcej.

Następnie imieniem Koła przemyskiego przemawiał Dr. M. Warm ski (z Przemyśla). Uważa on, że przeceniano korzyści mogące wypłynąć z wprowadzenia mundurów i sądzi, że rzecz taka mogłaby być dopiero koroną reformy ogólnej, bez niej zaś będzie zwykłą zmianą sukni. Wszystkie zresztą podniesione przez referenta motywy nie są decydujące. Różnicy stanów bowiem nie potrzeba zacierać w szkole, gdzie ona nie istnieje przynajmniej w obec przełożonych, a dla późniejszego życia ona istnieć musi, i mundur jej nie zniesie, który uczeń po skończeniu szkoły zrzuca. Onby tylko różnicę stanu zakrył na jakiś czas, jakby coś złego, czego się uczeń ubogi w szkole wstydzić powinien. Próżności, jeśli jest, nie wykorzeni, bo wiadomo że jej może najwięcej u tych, co mundur noszą, a koleżeństwa, wynikającego z wewnętrznego poczucia i potrzeby, mundur — znak zewnętrznego — pewnie nie obudzi. Jako środek na wzmocnienie karności, uważa mówca umundurowanie za rzecz niestósowną; rzuca się bowiem na młodzież podejrzenie, że ona nie jest karną, i aż tego trzeba użyć środka, aby ją w karby przywrócić. Jako kara będzie mundur na ulicy dla ucznia pęgiem i słuszną rzeczą byłoby, aby ten, który na ten pęgiem nie zasługuje mógł go jak najprędzej zrzucić. Przytaczane przykłady innych krajów nie przekonywają, bo pytanie czy młodzież tamtejsza, jeżeli lepsza, zawdzięcza to mundurkom. Uważa tedy mundurki za drogą parady, której nie mamy potrzeby wprowadzać.

Dr. Ign. Petelenz (ze Lwowa) mniema, że ten tylko ma prawo decydować o ubraniu, kto to ubranie płaci, jak to bywa w wojsku i w służbie rządowej niższego rzędu. Demoralizacyi, jeśli jest, mundur nie usunie, a gdybyśmy chcieli naśladować przykłady innych państw tobyśmy właśnie nie powinni zaprowadzać mundurów, bo tam tylko istnieją w konwiktach <sup>1)</sup>.

Po przemówieniu prof. Rostafińskiego za umundurowaniem zamknięto dyskusyę i wybrano generalnych mówców: przeciw mundurkom prof. K. Fischera (ze Lwowa) za prof. M. Bobrzyńskiego. Oponent zestawił tylko podniesione przeciw mundurkom zarzuty i sądził, że ich wprowadzenie nie jest potrzebne; prof. Bobrzyński zaś odwołuje się do tych, którzy mundur nosili, sądzi że on pożyteczny, i że on wzięł u nas początek ze szkoły kadetów, przeszedł do Krze-

<sup>1)</sup> „Muzeum“ z maja r. b. podaje wynik poszukiwań w tym przedmiocie:

W Szwajcjuryi uczniowie szkół średnich noszą mundur tylko w tych zakładach, które mają organizacyę wojskową. Tu i owdzie noszą mundurki gimnastyczne. We Francyi istnieje mundur tylko w zakładach mających cechę internatów — po za szkołę nikt munduru nie nosi. W Szwecyi, Belgii, Anglii i Niemczech uczniowie szkół średnich nie noszą żadnych mundurów. Na Szwajcaryi zabroniła Rada szkolna nawet noszenia czapok, jedynęj odznaki u uczniów szkół średnich.

(Przyp. sprawozdawcy).

mieńca i szkół późniejszych Królestwa aż do dnia dzisiejszego. Po przemówieniu referenta zarządził przewodniczący głosowanie, w którym większością głosów wniosek Koła krakowskiego przyjęto.

Następny punkt porządku dziennego stanowił wniosek w sprawie wydania pragmatyki służbowej dla nauczycieli szkół średnich, o którym referował prof. Jerzy Harwort (z Przemyśla). Co to jest pragmatyka służbowa? Jestto określenie dokładne praw i obowiązków urzędnika państwowego tak, że on z jednej strony, wiedząc jakie do jego stanowiska przywiązane są obowiązki, może się sumiennie z nich wywiązywać i mieć przekonanie, że go władza tylko podług tych a nie innych kryteriów ocenia; z drugiej strony wie jakie ma prawa, których w razie nieformalności dochodzić może. Taką pragmatykę posiadają nawet niższej kategorii urzędnicy—nie posiadają jej tylko—nauczyciele szkół średnich. Jeszcze co do obowiązków, to każdy nauczyciel ma ich świadomość, chociaż nie wie czy władza i czego innego żądać od niego nie będzie, ale świadomości praw swoich nie posiada i dochodzić ich nie może. Do tego, jako zabytek dawnych czasów, istnieją t. zw. tajne tabele kwalifikacyjne, w których bezpośredni przełożony nauczyciela wpisuje swoje uwagi bez świadomości tego, kogo dotyczą, a dla wiadomości władzy wyższej. Referent wyrazistemi barwami podniósł niesprawiedliwość wyrządzaną nieraz nauczycielom przez owe tabele oraz przez brak pragmatyki i postawił wniosek:

„Walne zgromadzenie uznaje potrzebę wydania pragmatyki służbowej dla nauczycieli szkół średnich i upoważnia Wydział towarzystwa do poczynienia w tym kierunku kroków, które uzna za potrzebne.“

W dyskusyi zabrał głos prof. Tomaszewski i dziękując referentowi za poruszenie sprawy, leżącej na sercu każdemu nauczycielowi, zwraca uwagę na najnowsze instrukcye, które żądają od nauczyciela, aby był idealnym, a nie ma niczego, coby mu przyznawało pewne prawa z jasnym ich określeniem. Jak dalece nauczyciele niżej stoją od innych urzędników, dowodem jest to, że stabilizacya (t. j. zatwierdzenie na posadzie) i przyznanie dodatku pięcioletniego (kwinkwennium) jest rodzajem łaski, o którą prosić musi nauczyciel, a nie prawem, o któreby się mógł upomnieć. Tego w żadnej dykasteryi urzędniczej nie ma. Żąda tedy dodania tych dwu punktów do wniosku prof. Harwota, a skoro się referent na to zgodził, zgromadzenie wnioski jednogłośnie przyjęło.

Na tém zakończono pierwszy dzień obrad.

Trzecie posiedzenie rozpoczął prof. E. Bandrowski (z wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie) wnioskami w sprawie szkół przemysłowych, szeroko i gruntownie z prawdziwem znanstwem rzeczy i fachowo umotywowanemi. Przedstawiwszy zamierzoną organizacyą szkół przemysłowych w Austrii i podział ich na wyższe i niższe

(pierwsze dla kierowników, drugie dla majstrów i czeladników), i postawiwszy zasadę, że potrzeba i rozwój szkół przemysłowych ma się tak do przemysłu, jak popyt do produkcji, zastanowił się nad tém, jakich Galicya przedewszystkiém podług powyższej zasady szkół przemysłowych potrzebuje. Przemysł bowiem jest w kraju, ale nie tworzy on organicznej całości, a warunki jego rozwoju nie wyzyskane. Na każdym kroku przemysł galicyjski zawisły jest od zagranicy, a ogranicza się prawie wyłącznie do konsumpcyi krajowej. Dlatego to przemysłowców w pełném tego słowa znaczeniu nie ma w Galicyi, a ci co są, stali się nimi z przypadku, i synów pchają do szkół wyższych i służby rządowej. Przemysł w Galicyi spoczywa w rękach niewykształconych i niewprawnych, i dla tego należyce rozwinąć się nie może. Jeżeli można mówić o przemysłowcach jako o klasie ludności, to chyba tylko o klasie robotników. Dla nich to potrzebne nam przedewszystkiém szkoły, i te mają warunki rozwoju, czego dowodem szkoły przemysłowe niższe we Lwowie, w Zakopanem i założone przez Tow. pedagogiczne w różnych miastach. Frekwencya tam liczna i z rokiem każdym się wzmaga. Inaczéj się rzecz ma z wyższemi; te nie znajdują u nas poparcia, bo wychowawiec, który je ukończył, nie znajdzie w kraju odpowiedniego zajęcia. Zanim tedy stosunki się poprawią, radzi referent ostrożnie postępować z zakładaniem szkół przemysłowych wyższych, bo dwie: we Lwowie i w Krakowie zupełnie wystarczą. Wnosi przeto:

Walne zgromadzenie uchwała:

1. Pożądaniem jest, aby kraj nasz pokrył się rozległą siecią niższych szkół przemysłowych wszelkiego rodzaju, a mianowicie: *a*) aby w kilku wybitniejszych pod względem przemysłowym miejscowościach urządzono szkoły majstrów; *b*) aby w miastach posiadających żywszy ruch rzemieślnicy powstawały ogólne szkoły rzemieślnicze; *c*) aby w każdej miejscowości przemysłowej zaprowadzono naukę uzupełniającą dla czeladzi przemysłowej.

2. Pożądaniem jest, aby rychło weszła w życie wyższa szkoła przemysłowa we Lwowie i aby obie wyższe szkoły przemysłowe, lwowska i krakowska były wzorowo urządzone. Zakładanie zaś nowych tego rodzaju szkół nie jest na razie potrzebne.

W obec powyższych punktów jasną jest rzeczą, że szkoły przemysłowe muszą mieć odpowiedni zarząd w kraju, i siły nauczycielskie stosownie wykształcone. Komisya centralna we Wiedniu nie zna potrzeb kraju i nie może im odpowiedzieć, ale potrzeba koniecznie krajowych inspekcji złożonych z pedagogów. Wnosi przeto referent:

3. Pożądaniem jest: *a*) aby zarząd szkół przemysłowych w naszym kraju był jeden, *b*) aby w skład krajowej komisji dla spraw i szkół przemysłowych wszedł pedagog obeznany z potrzebami szkół przemysłowych, *c*) aby inspekcją krajowych szkół przemysłowych powierzono pedagogom obeznanym z istotą tych szkół.

Szkoła przemysłowa każda ma pewne właściwości, dla których

jéj nauczyciele potrzebują posiadać specyalne wykształcenie. Gdzie je mają otrzymać? Rząd uważa kwalifikacyą do szkół średnich za wystarczającą, ale nie za jedynie dobrą. W naszym kraju są rozmaici nauczyciele, ale dobrzeby było dać kandydatom pedagogiczne wykształcenie na specyalnym kursie, któryby mógł być na przyszły rok utworzony we Lwowie,

4. Pożądaniem jest tedy, aby w wyższych szkołach przemysłowych urządzano kursa pedagogiczne dla kandydatów na nauczycieli szkół niższych przemysłowych, jak się to dzieje za granicą.

Przewodniczący otworzył dyskusyą nad każdym punktem wniosku z osobna. Prof. Graczyński (z Jasła), popierając wniosek referenta, zwraca uwagę na istniejący w Jasielskiem przemysł, ale nie racjonalny i dla tego uznaje wielką potrzebę szkół przemysłowych. Dyr. T. Stahlberger (z Krakowa) rozwija uwagi ogólne o potrzebie równowagi między fizyczną a umysłową pracą i o potrzebie zaprowadzenia warsztatów przy szkołach. Prof. Lewicki (z Przemysła) proponuje wniesienie memoriału do wydziału krajowego z prośbą o jednolity plan w szkołach przemysłowych wieczornych; prof. Dziwiński zaś porozumienie się z Towarzystwem politechniczném co do rozmieszczenia i sposobu urządzenia szkół przemysłowych. Na wniosek referenta przyjęto tylko do jego wniosku poprawkę prof. Lewickiego i wniosek pierwszy uchwalono.

Wniosek drugi popierał prof. Rotter (z Krakowa), prof. Bobrzyński zaś nazwawszy go ogólnikiem zapronował natomiast inaczej sformułowany:

„Przed zorganizowaniem i rozwinięciem wyższych szkół przemysłowych w Krakowie i we Lwowie, nie jest pożądane zakładanie szkół tego rodzaju.

Tę zmianę wniosku przyjęto.

Do punktu a) wniosku 3 zabrał głos prof. Rotter i żądał, aby wyższą szkołę dla przemysłu artystycznego włączono do szkoły przemysłowej. Prof. Dziwińskiemu nie podobał się wyraz „pedagog“, ale po obronie prof. Rottera i Odrzywolskiego wyraz ten się utrzymał i wniosek 3-ci przyjęto. Podobnie jak wniosek 4-ty, do którego prof. Rotter wniósł wstawienie przed wyrazem „wyższych“ wyrazu „obu“, co ma zdążać do tego, aby nie tylko we Lwowie, ale i w Krakowie utworzono kursa pedagogiczne dla kandydatów na nauczycieli szkół przemysłowych.

Po sprawozdaniu komisji lustracyjnej zdawał sprawę dyrektor dr. Z. Samolewicz z przekazanego wydziałowi z. r. wniosku, co do powiększenia w klasie I-jej i II-jej gimn. godzin nauki języka polskiego z 3 na 4 tygodniowo, (jak to mają prowincye niemieckie dla języka ojczystego) i co do utworzenia drugiej posady nauczycielskiej dla języka polskiego i niemieckiego.

Co do pierwszego, przedstawił referent negatywne zdanie wydziału; dodać bowiem godzin niepodobna a ująć również nie można żadne-

mu przedmiotowi, a zwłaszcza językowi niemieckiemu, który potrzebuje dla osiągnięcia w nim dobrych rezultatów większej liczby godzin, a na jego dokładnej znajomości ze względów praktycznych zależeć nam musi.

Z drugim wnioskiem wydział się oświadczył i postanowił go popierać. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że w normalnym gimnazjum o 8-iu klasach, w 8-iu tylko oddziałach tygodniowo liczba godzin dla języka polskiego wynosi 24, dla języka niemieckiego zaś 36. Ani tego, ani tamtego przedmiotu jeden nauczyciel udzielać nie może, zobowiązany w pierwszym razie najwyżej do godzin 18-tu, w drugim tylko do 16-tu tygodniowo. Jeżeli przeto do języka polskiego i niemieckiego przy normalnym gimnazjum znajduje się tylko po jednym nauczycielu, reszta godzin dostaje się w ręce niekwalifikowanych, a nieraz i młodych i niedoświadczonych nauczycieli, którzy wprowadzić z zapałem mogą się oddać przedmiotowi, ale brakiem dydaktycznego w tym przedmiocie rozglądu zaszkodzić mu mogą. Zważywszy atoli, że w Galicyi prawie nie ma gimnazjum, któreby przynajmniej w najniższych klasach oddziałów równoległych nie posiadało; zważywszy dalej, że nauczyciel języka polskiego, samego tylko polskiego w 18-tu god. tygodniowo t. j. w 6 klasach, zwłaszcza wyższych, nie mógłby uczyć ze względu na poprawę ćwiczeń piśmiennych, przychodzi się do przekonania, że większość znaczna godzin obydwu tych przedmiotów spoczywa w rękach niekwalifikowanych do tego nauczycieli. Jeżeli język ojczysty wymaga troskliwej opieki, słuszną również jest rzeczą, aby i języka niemieckiego od najniższych klas uczyli władający nim dobrze i kwalifikowani nauczyciele. Wnosi tedy referent:

1. Walne zgromadzenie nie uznaje w obecnych warunkach za konieczne pomnożenia liczby godzin dla języka polskiego i wyraża przekonanie, że ściśle wykonanie przepisów, odnoszących się do egzaminów wstępnych do klasy I-jej szkół średnich, umożliwi lepszy i szybszy postęp w nauce tego języka.

2. Walne zgromadzenie uznaje za potrzebne, aby w gimnazjach galicyjskich istniało czternaście posad nauczycielskich i aby między temi posadami, były dwie posady dla nauczycieli języka polskiego i dwie do nauki języka niemieckiego.

W dyskusyi zabrał głos pierwszy p. Sędzimir, występując energicznie przeciwko pierwszemu wnioskowi i polecając zgromadzeniu jego odrzucenie. Język ojczysty powinien i musi być przewodnikiem wszystkich innych, a tymczasem ustępuje on miejsca niemieckiemu, przez niego wyprzedzony. Odebrać jedną godzinę językowi niemieckiemu, który i tak 5 tygodniowo zatrzyma (więcej zatem od języka polskiego) uważa mówca za rzecz koniecznie potrzebną. Egzamina wstępne nie mogą sprawić tego, aby więcej formalnie rozwiniętych przyjmować uczniów do gimnazjów, a tego formalnego wykształcenia w rudimentach gramatycznych potrzebują oni koniecznie i nie później, jak w I i II-jej klasie otrzymać je muszą. Z tego względu dziwi się nawet

mówca wnioskowi wydziału i poleca gorąco zgromadzeniu jego odrzucenie.

Wszyscy atoli następni mówcy przemawiali za wnioskiem wydziału: prof. German przypominał na zaufanie, jakieśmy w wydziale położyli poleceniem zeszytowanej uchwały do zbadania; dziś więc nieufności okazywać mu nie możemy. Dyr. Trzaskowski i prof. Pechnik przedstawiali, że trzy godziny zupełnie wystarczy, jeżeli się je wyzyska i z językiem łacińskim umiętnie potoczy. Ostatni przemawiał referent i zastrzegłszy się przed podejrzeniem, aby jakiegokolwiek względy uboczne kierować miały w tej sprawie nim i wydziałem, sądzi, że nie w liczbie godzin spoczywa ważność przedmiotu. W teorii zgadza on się z projektem 4 godzin, ale widzi w praktyce niemożliwość zmiany obecnego stanu.

W głosowaniu przyjęto wniosek wydziału.

Do drugiego wniosku uczynił prof. Siedlecki poprawkę stylistyczną, aby dwie posady dla języka polskiego uważać za pożądane, a dla języka niemieckiego za konieczne. Prof. Smolka atoli radził zastrzymać stylizacją wydziału; p. Matusiak zaś wniosek cały, uważając go jako wynagrodzenie języka polskiego za krzywdę w mniejszej liczbie godzin naukowych. Dyr. Trzaskowski nie obiecuje sobie z wykonania tego wniosku wielkich rezultatów; uważa natomiast za rzecz praktyczniejszą, aby komisje egzaminacyjne żądały od każdego filologa kwalifikacyi z języka polskiego na niższe gimnazjum. Na to p. Sas (kand. zawodu nauczyciel.) odpowiedział, że właśnie najnowsze przepisy egzaminacyjne, które wejdą w życie od przyszłego roku szkolnego, żądają tego od filologów.

Po przemówieniu referenta, który 14-tą posadę uważał za ważną, przyjęto ten wniosek w brzmieniu podaném przez wydział.

Na porządek dzienny czwartego i ostatniego posiedzenia przyjsć teraz miały dalsze wnioski w sprawie nauki języka polskiego, a mianowicie wnioski Koła krakowskiego, odnoszące się do nauki tego języka w klasach wyższych, równie co do jego gramatycznej jak i historyczno-literackiej strony. Wniosek pierwszy, którego referentem był p. S. Matusiak, opiewał:

Walne zgromadzenie uchwali:

„Materiał gramatyczny ma być w klasie V-jej powtórzony i uzupełniony w zakresie głosowni etymologii i nauki o formach: a) przez uwzględnienie form języka dawniejszych; b) przez zwrócenie uwagi uczniów na siły twórcze w języku działające.

Wniosek drugi (referent p. Wł. Lech): Walne zgromadzenie uchwali:

a) Na podstawie odpowiednio ułożonych Wypisów, mają uczniowie klasy V-jej uzupełnić sobie wiedzę o zasadach stylistyki i o najważniejszych kształtach prozy i poezyi z wyjątkiem dramatu.

b) W klasach VI—VIII-jej zaznajomią się uczniowie z rozwojem



literatury polskiej w porządku chronologicznym, na podstawie podręczników, obejmujących nie tylko wyjątki z pism wybitniejszych autorów, ale i historyczno-literackie uwagi o wiekach XV—XIX-go, z dołączeniem życiorysów pisarzy cenniejszych.“

Tymczasem ledwo pierwszy referent na trybunę wstąpił, zażądał głosu prof. Rostafiński i wniósł, aby wnioski te, jako zbyt specjalne odesłać do wydziału, a na walnym zgromadzeniu nad nimi nie dyskutować. Na to prof. German, obierając drogę pośrednią zaproponował, aby obydwa referaty wydrukować w „Muzeum,“ poddając je pod opinią kół, a obecnie je z porządku dziennego usunąć.

Na to oświadczył przewodniczący, że II-gie walne zgromadzenie (zeszłoroczne) uchwaliło, aby na podstawie „wskazówek“ prof. Próchnickiego, zasięgnąć zdania kół co do dalszych punktów metodyki języka polskiego i w ten sposób zredagowany przez wydział projekt instrukcyi przedstawić Radzie szkolnej do aprobaty i wprowadzenia. Wszystkie koła odpowiedzieć swą nadesłały, z wyjątkiem Koła krakowskiego. Zdaniem przewodniczącego fachowe te uwagi, będące na porządku dziennym, najstosowniej byłoby przekazać tej samej komisyi, która pracowała nad „Wskazówkami.“

Prof. Aug. Sokołowski uważał za rzecz pożyteczną ścieranie się zdań, prof. Siedlecki oświadczył zaś wprost, że okólnika wzywającego Koło do przesłania uwag w pewnym wyznaczonym terminie nie otrzymał. Przewodniczący stanowczo potwierdził wysłanie i zaznaczył, że nawet w listach prywatnych dr. Samolewicz (vice-prezes) dwa razy o tę rzecz prof. Germana zapytywał, ale odpowiedzi nie otrzymał.

Sytuacya zaczęła być drażliwą. Po wnioskach prof. Rostafińskiego, dyr. Trzaskowskiego i prof. Pieniążka, odsyłających referaty te do wydziału, zarządził przewodniczący głosowanie, którego wynikiem była uchwała, aby rzecz tę wydziałowi do referatu przekazać, a obydwa elaboraty wydrukować w „Muzeum,“ mianowicie w sprawozdaniu w odpowiednim miejscu porządku dziennego.

Skoro następny wniosek koła drohobyckiego, odnoszący się również do języka polskiego, spadł z porządku dziennego dla nieobecności referenta prof. Seb. Polaka <sup>1)</sup>, przedstawił prof. Harwot wnioski koła przemyskiego w sprawie przygotowania kandydatów na nauczycieli szkół średnich.

Referent rzucił okiem na dotychczasowe kształcenie kandydatów na nauczycieli szkół średnich, poddaje krytyce przepisy egzaminacyjne, wytyka brak planu studyów, podług którego słuchacze mogliby

<sup>1)</sup> Wniosek ten opiewał: „Walne zgromadzenie uchwali, ażeby wydział Tow., nie czekając inicjatywy odnośnych władz, w drodze właściwej zastanowił się nad pytaniami: a) jaki plan przy układaniu Wypisów polskich dla wyższych klas gimnazyalnych byłby najodpowiedniejszy; b) którzy pisarze, które ich utwory i w jakiej mierze mają dostarczyć materiału do tych Wypisów.“

odpowiedni zakres nauki zdobyć na uniwersytecie, nie marnując na próżno czasu na przerzucanie się z przedmiotu na przedmiot, i wykazuje zgubne skutki, jakie pociąga za sobą w praktyce nauczycielskiej brak teoretycznego i praktycznego, pedagogiczno-dydaktycznego wykształcenia. W przekonaniu, że taki stan rzeczy dłużej trwać nie może, przedstawia referent środki na usunięcie złego. Pierwszym z nich ma być unormowanie wykładów na wydziale filozoficznym, aby każdy kandydat z czteroletniego okresu swych studyów wyniósł całość wiedzy zaokrągloną, równie co do pedagogiki i dydaktyki, jak i co do fachowych przedmiotów. Aby mu zaś dziś trudny i długi nieraz lata trwający egzamin ułatwić, możnaby z pewnych przedmiotów urządzić egzamina częściowe np. po drugim i po czwartym roku studyów.

Drugim środkiem ma być urządzenie seminaryum pedagogicznego, gdzieby się kandydat mógł zaznajomić z metodyką i dydaktyką. Seminaryum takie istnieje pod kierunkiem prof. Vogta we Wiedniu. Dla przeprowadzenia atoli gruntownego przygotowania dydaktycznego, uważa referent za konieczne (trzeci środek) utworzenie 3 katedr dla pedagogiki, odpowiednio do głównych trzech grup przedmiotów egzaminu: filologii klasycznej, filologii nowożytnych języków z historią i matematyczno-przyrodniczej. Nakoniec kładzie referent szczególny nacisk na wykształcenie praktyczne. Dotychczasowy rok próby uważa za nieodpowiedni i do celu nie prowadzący, zwłaszcza z tego względu, że kto inny uczy kandydata teorii, a kto inny wskazuje mu praktykę. Uważa tedy za konieczne połączenie z uniwersytetem gimnazyum ćwiczeń, na którego czele stałby profesor pedagogiki na uniwersytecie. Referat gruntowny, ilustrowany wielu przykładami z codziennj praktyki, zakończył referent wnioskami:

Walne zgromadzenie uchwali:

1. „Jest rzeczą pożądaną, aby dla kandydatów stanu nauczycielskiego w ciągu ich czteroletnich studyów uniwersyteckich zaprowadzono, bez naruszenia swobody wykładów uniwersyteckich, egzamina częściowe z nauk teoretycznych, potrzebnych do objęcia obowiązków publicznych.“

2. „Należy kandydatom stanu nauczycielskiego obok ich wykształcenia teoretyczno-naukowego podać także gruntowne wykształcenie pedagogiczno-dydaktyczne przed objęciem obowiązków publicznych a to przez odpowiednio urządzone obowiązkowe wykłady z dziedziny pedagogii i dydaktyki, jako też przez obowiązkowe ćwiczenia praktyczne.“

Zabrał głos najpierw prof. Rostański i oświadczył się przeciw egzaminom częściowym. Natomiast uważałby za rzecz pożyteczną wynalezienie pewnego środka, z pomocą którego możnaby jednym kandydatów do egzaminu przypuścić, innych odsunąć. Środek ten widzi w założeniu przy uniwersytecie szkoły ćwiczeń, z którejby kandydaci mogli już od pierwszj chwili wstąpienia na Wydział filo-

zoficzny dawać dowody uzdolnienia do zawodu nauczycielskiego. Jeżeli by go nie posiadali, można ich wcześniej zwrócić na właściwą ich talentowi i usposobieniu drogę, prowadzącą do innego zawodu.

Prof. Straszewski, przyznając, że egzamina są uciążliwe, zwłaszcza z powodu klauzury i nie sformułowanych dokładnie żądań, uważa przecież częściowe egzamina za nie odpowiednie. Ulgę mogłoby spowodować tylko podniesienie ważności i wartości kolokwium prywatnych. Co do wykształcenia pedagogicznego a zwłaszcza dydaktycznego, nie radzi za wiele wykładów, ale zwraca uwagę na konieczność poznania ustaw szkolnych i historii pedagogiki. Przestrzega przed szablonem w metodzie, który mógłby się zgubnym okazać. Natomiast nacisk kładzie na wykształcenie filozoficzne kandydatów, mianowicie na znajomość kierunków myśli ludzkiej, któraby tym sposobem stworzyła grunt dla wszystkich zawodów wspólny. Dyscyplinami wiodącymi do tej znajomości byłaby przede wszystkim historia filozofii, etyka i psychologia.

Dr. Pechnik wystąpił przeciw seminaryom i szkole ćwiczeń, prof. St. Smolka zaś przeciw pojmowaniu zadania uniwersytetu jako szkoły pośredniczącej między szkołą średnią a właściwym uniwersytetem. Nie chciałby on nigdy widzieć Wydziału filozoficznego instytutem do kształcenia nauczycieli szkół średnich. Reforma uniwersytetu potrzebna, ale chyba w tym duchu, aby na każdym wydziale słuchacze obowiązkowo pięć lat przepędzali. Jakiegoś niższego i wyższego kursu nie podobna sobie na uniwersytecie wyobrazić, jak nie można wyznaczać drogi studiom i kierunku nauce. Żdaje mu się, że przyznanie pewnej wartości kolokwium i zobowiązanie do nich uczniów zapobiegłoby poniekąd złemu, nie naruszając organizacji uniwersytetu.

Prof. Anat. Lewicki mniema, że tych wniosków na razie i pospiesznie załatwić nie można, bo one zmierzają do zupełnej reformy wydziału filozoficznego, i dla tego są w znacznej części niewykonalne. Sprawa cała nie jest jeszcze tak dojrzała, aby ją można załatwiać głosowaniem na zgromadzeniu; wnosi przeto, aby na razie przekazać ją wydziałowi Towarzystwa do zbadania i omówienia w „Muzeum“ a na przyszły rok możemy o tym pomówić.

Prof. Żuliński, opierając na praktyce z seminaryum męskiego wyniesionej, nie poleca gimnazjum ćwiczeń i oświadcza się za wnioskiem prof. Lewickiego.

Zapisani jeszcze do głosu wybrali generalnym mówcą prof. Bo-brzyńskiego, który się oświadczył stanowczo przeciw pierwszemu wnioskowi, aby nie spowodować obniżenia poziomu naukowo wydziału filozoficznego. Radzi przeto debatę nad pierwszym wnioskiem odroczyć i poruczyć zastanowienie się nad nim wydziałowi, drugi zaś przyjmując w formie dezyderatu, nie przyjmując jednak umotywowania i projektów w niem zawartych referenta. Skoro się referent na to

zgodził, postanowiono w głosowaniu postąpić z wnioskami w myśl prof. Bobrzyńskiego.

Wśród toku referatów i dyskusji wybrano dotychczasowych członków wydziału nadal do zarządu Towarzystwa prawie jednogłośnie, dając im tym sposobem najpełniejsze wotum zaufania do dalszej dla dobra Towarzystwa pracy, a składając podziękowanie za działalność dotychczasową.

Zostawał jeszcze jeden punkt porządku dziennego, mianowicie wniosek prof. Żulińskiego opiewający:

„Walne zgromadzenie wyraża życzenie, aby zaprowadzono jednorazową naukę w tych zakładach naukowych, w których ze względu na stosunki miejscowe okaże się to potrzebnym i możliwym.“

Z powodu spóźnionej pory postanowiono prawie jednogłośnie przekazać ten wniosek przyszłorocznemu walnemu zgromadzeniu.

Zamykając zjazd, przewodniczący prof. Radziszewski dziękował nie tylko obecnemu dygnitarzom, ale i członkom, którzy z taką wytrwałością do końca w obradach uczestniczyli; dyrektor Trzaskowski zaś podziękował imieniem wszystkich przewodniczącemu za tyle taktu i cierpliwości w trudnym prowadzeniu obrad.

### III.

Na trzecim posiedzeniu, po zdaniu sprawy komisji lustracyjnej o obrocie funduszów Towarzystwa i ich stanie, prosił o głos prof. Rotter (z Akademii techn.-przemysł. w Krakowie) w celu pomówienia o „Muzeum“ a mianowicie o jego kierunku. Ponieważ uważano tę sprawę za więcej osobistą, bo dotyczącą przedewszystkiemu zapamiętań prof. Rottera, i sposobu prowadzenia „Muzeum“, jego redaktora odpowiedzialnego, zaproponowano interpelantowi, aby życzenia swoje piśmiennie komitetowi redakcyjnemu przedstawił, a może nawet z obecnym na zgromadzeniu redaktorem osobiście się porozumiał. Porozumienie nastąpiło i spodziewać się należy, że ku obopólnemu zadowoleniu.

W zeszłorocznym sprawozdaniu staraliśmy się na końcu podać charakterystykę nowo powstałego pisma wraz z główną jego treścią, a w ostatnich wierszach ośmieliliśmy się umieścić nawet pewne życzenia, które, naszym zdaniem, ku ulepszeniu pisma zmierzały. W charakterystyce pisma daliśmy niedwuznaczny wyraz przekonaniu, że „Muzeum“ powinno być przedewszystkiemu, jeżeli nie wyłącznie, muzeum pedagogicznym, a nie naukowym, a więc ani filologicznym, ani historycznym, ani przyrodniczym, choćby sobie tego nawet niektórzy członkowie Towarzystwa życzyli, bez względu na jego cel i zadanie. Dla czego takie ma być a nie inne, przyczyna jasna. Każdy nauczyciel filolog, historyk czy przyrodnik powinien być obok tego pedagogiem, każdy więc powinien się interesować postępkami i zdobyczami pedagogiki, dla wszystkich powinna ona być gruntem

wspólnej pracy, porozumienia się i jedności. Jeżeli dotąd nie każdy nauczyciel jest pedagogiem ani się za takiego uważa, jeżeli dotąd istnieją nauczyciele twierdzący, że dosyć być wykształconym fachowo, aby być dobrym nauczycielem, nie dziwny się temu i przekonywamy się naocznie o tym, czym jest w skutkach brak osobnych katedr pedagogiki na uniwersytetach, i czym dowolność, w skutek której kandydat powinien się przynajmniej na jedno półrocze na jakiś wykład pedagogiczny zapisać, chociaż może nie uczęszczać na wykłady. Rachując się tedy z warunkami obecnymi, sądzimy że „Muzeum“ powinno być przedewszystkiem pedagogicznem, a to dla tego, aby z jednej strony pedagogom dać tę karm, której oni pragną, z drugiej przekonać niepedagogów o konieczności pedagogii. „Pedagogicznem“ powinno być w artykułach wstępnych, w sprawozdaniach z posiedzeń kół i w możliwie licznych rozprawach, mających na celu czy to rozwinięcie jakiej myśli przepisów, czy wskazanie sposobu ich wykonania, czy nakoniec podające sposób przeprowadzenia lekcji jakiegokolwiek przedmiotu— „pedagogicznem“ nakoniec w „Recenzjach“ przedewszystkiem książek szkolnych. To stanowić ma część pierwszą istotniejszą każdego zeszytu „Muzeum.“ Naukowe rozprawy, choćby były niezwykłej wartości, nie należą do „Muzeum;“ dla nich mamy miesięcznik lwowski „Przewodnik naukowy i literacki“ wydawany przy „Gazecie lwowskiej,“ dla nich mamy „Przegląd polski“ prof. Tarnowskiego w Krakowie, dla nich miesięczniki warszawskie jak „Biblioteka“ i „Ateneum,“ a jeżeli ich charakter zbyt specjalny, publikacye Akademii umiejętności w Krakowie. Pisma te i te publikacye posiada prawie każda biblioteka gimnazyalna, a oprócz tego wiele innych fachowych, do których chęci wiedzy i kształcenia się pewnie zawsze trafiają.

Inaczej ma się rzecz z takimi rzeczami, które mieszczą się w osobnych dziełach, i to tak w ojczystym jak i w obcym pisanych języku. Dla tych istnieje w „Muzeum“ „Kronika naukowa“ lub „Ruch naukowy,“ w którym w sposób przystępny, jasny i ile możności zwięzły i wolny od krytycznych uwag, sprawozdawcy wyniki odnośnego podają dzieła. Podnieśliśmy w zeszłorocznym sprawozdaniu, że dział ten zasilać przypadłoby w udziale najstosowniej profesorom uniwersytetu, którzy, idąc ciągle z postępem nauki i mając pierwi pod ręką najświeższe jej zdobycze, bez trudu takie notatki sporządzaćby mogli. Nie wyłącza to współpracownictwa nauczycieli szkół średnich, owszem, jest ono pożądane o tyle, o ile możliwe w obec licznych zajęć szkolnych. Czego kronika naukowa objąć nie może, osobliwie co do czasopism fachowych zagranicznych, pozostaje zadaniem bibliografii, działu osobnego w „Muzeum“ istniejącego.

W takiej treści widzimy istotny kierunek „Muzeum.“ Jego rocznik I, prowadzony zresztą bardzo umiejętnie przez prof. R. Palmsteina, miał przecież nieuniknione braki, któreśmy wskazali w zeszło-

roczném sprawozdaniu. Do końca r. 1885 pojawiały się jeszcze w nim nieodpowiednie rozprawy: W. Bruchnalskiego „O rymie w poezyi polskiej do J. Kochanowskiego“ (zeszyty 9 i 10) i A. Bądzkiewicza „Projekt nowego opracowania Pana Tadeusza.“ Rzecz pierwsza, bardzo sama w sobie ciekawa i nowa, kwalifikuje się do rozpraw Akademii umiejętności, jak to sam autor ostatecznie zrozumiał przesyłając do niej niedawno tego rodzaju studium. „Projekt“ zaś p. A. Bądzkiewicza, jakkolwiek bardzo piękny i pożyteczny, mógł być być umieszczony w któremkolwiek piśmie warszawskiem, bo on nietylko nauczycieli, ale i literatów do pracy może pobudzić.

Zresztą objął wspomniany rocznik rzecz bardzo ciekawą d-ra N. Maciszewskiego „O mnemonice“ zesz. 11 i 12), dalej artykuły treści pedagogicznej prof. d-ra Stadelaka „Jaki nauczyciel, taka szkoła“ (zesz. 9); prof. Tomaszewskiego: „O uroczystych odprawach i nagrodach szkolnych“ (zesz. 10). Dydaktycznych kwestyi dotyczą: prof. J. Winkowskiego „O lekturze łacińskiej i greckiej w gimnazyum wyższém“ (zesz. 9), prof. Palmsteina „Lekcje języka polskiego w klasie IV.“ (zesz. 9), i prof. K. Fischera: „O lekturze greckiej w gimnazyum wyższém“ (zesz. 12 i 1886, 1). W „Kronice naukowej“ obejmuje rocznik pierwszy w drugiej swój połowie 3 sprawozdania z dzieł treści filozoficznej, 1 z języka polskiego, 3 z języka niemieckiego, 2 z historyi, 5 z pedagogiki. „Recenzje“ odnoszą się 1 do dzieł dotyczących nauki języka polskiego, 3 do niemieckiego, 1 do historyi i 2 do matematyki. Obok tego mieszczą się tu, jak dawniej, ciekawe „Rozmaitości“ z zakresu szkoły i nauki, rozporządzenia władz i t. p.

Takim był półrocznik drugi Muzeum z r. 1885, w ogólności zbliżający się bardzo do obrazu naszych życzeń.

Z dniem 1 stycznia objął redakcją prof. dr. Maurycy Maciszewski, pracujący razem z dawnym komitetem redakcyjnym. Kierunek więc pisma pozostał prawie ten sam, szczególny niektóre zmiany doznały.

Mamy przed sobą pięć zeszytów. Do zmian najwybitniejszych, a naszym zdaniem niekorzystnych, należy złączenie dawniej „Kroniki naukowej“ i „Recenzji“ w jeden dział „Ruchu naukowego“, który obejmuje częścią recenzje, częścią sprawozdania z dzieł naukowych. Dlaczegośmy nazwali tę zmianę niekorzystną, łatwo zrozumieć po tém, cośmy wyżej powiedzieli o zadaniu „Kroniki naukowej“ a „Recenzji.“ Mimo to „Ruch“ ten naukowy, jakim jest, zawiera bardzo cenne sprawozdania z dzieł treści pedagogicznej (3), filologicznej (8), literackiej polskiej (2), niemieckiej (3), historycznej (11), matematycznej (1) i przyrodniczej (3).

Z rozpraw treści pedagogicznej mamy dyr. T. Stahlbergera rzecz „O systemie lokacyjnym“ (zesz. 1). Dr. Maciszewskiego „Ze statystyki szkół średnich u nas i w Prusiech“ (zesz. 5); Redakcyi „Rewizya bibliotek szkolnych“ (zesz. 3) wywołany rozporządzeniem p. ministra wyznań i oświaty d-ra Gautscha, i teje redakcyi związłe

przedstawienie „Spraw szkolnych w sejmie“ (zesz. 2 i 3) i w Radzie państwa (zesz. 3 i 5), nadto artykuł o „Szkoie a dziennikarstwie“ (zesz. 4). Wszystko to rzeczy bardzo na czasie i ogół nauczycieli interesujące. W części dydaktycznej umieścił dr. J. Tretiak „Rozbiór koncertu myśliwskiego z Pana Tadeusza“ (zesz. 2) i dyr. B. Trzaskowski „Uwagi“ nad nim (zesz. 3) nadto R. Zawiliński rzecz „O nauce gramatyki polskiej w gimnazjum wyższém“ (zesz. 4).

Rozpraw naukowych mamy dotąd dwie, nie licząc w to małej „notatki o podzielności liczb“ p. S. Dicksteina. Pierwszą z nich jest d-ra Aug. Sokołowskiego „Karta z dziejów wychowania w Polsce w w. XVI i XVII“ (zesz. 3, 4, 5), rzucająca jasne światło na dzieje wewnętrzne Polski w pomienionych stuleciach, szczególnie w końcu wieku XVI i początku XVII. Rozprawa ta, jako zajmująca się dziejami wychowania znalazła bardzo stosowne miejsce w „Muzeum“ i każdy pewnie nie tylko autorowi ale i redakcyi był wdzięczny za jój pomieszczenie. Drugą pomieszczoną w zes. 1, 2, 5 i jeszcze nieskończoną jest praca p. A. Chudzińskiego dotycząca pojęć i życia zagrobowego starożytnych Greków p. t.: „Thanatos“ I oto dobrnęliśmy do kamienia obrazu prof. Rottera, do przedmiotu, z powodu którego przedewszystkiäm chciał zainterpelować redakcyę „Muzeum.“ Czy rozprawa ta nadaje się do „Muzeum?“ Odpowiedź musi wypaść stanowczo przeczącą; jestto bowiem rozprawa specjalna, fachowa, napisana metodą ściśle naukową i gdybyśmy mieli pisma polskie, poświęcone filologii klasycznej, byłaby ona ich pierwszorzędną ozdobą. W „Muzeum“ jój za ciasno, i „Muzeum“ z nią ciasno. Tak być musiało— a jeżeli być musiało z powodów od redakcyi— a szczególnie od jój teki niezależnych,“ to daj Bóże, aby więcj w podobnej kolizyi redakcyja znajdować się nie potrzebowała.

Widzieliśmy więc, że kierunek pisma w całości prawie ten sam w szczegółach tylko nieco zmieniony a część redakcyjna bardzo staranna i uznania godna. Czy prof. Rotter oprócz zarzutu co do rozprawy p. Chudzińskiego, o którym wiemy, miał jeszcze inne— jest prawdopodobne, ale nie śmiemy twierdzić, aby one się zgadzały z tém, na cośmy powyżej starali się zwrócić uwagę.

Reasunując to, cośmy powiedzieli, zaznaczamy usilność redakcyi ku zadowoleniu życzeń czytelników, a pomni na zdanie, że każdy początek trudny, nie wyrzekamy się nadziei, że pismo to nie tylko wzniesie się do wysokości swego zadania, ale stanie się niezbędném dla każdego nauczyciela.

ODCZYTY JERZEGO BRANDESA

## „O POEZJI POLSKIEJ XIX WIEKU.“

(„Gazeta Polska“ nnr. 67-74 i 76-79 1886 roku).

PRZEZ

Józefa Kotarbińskiego.

Wystąpienie słynnego duńskiego krytyka na mównicy publicznej w Warszawie należy do faktów, które zostawiają trwałe po sobie ślady w życiu umysłowém. Już to samo, że pisarz bystry i głęboki, ale nieznający naszego języka, poważył się mówić o arcydziełach poezji, ujętych w mistrzowską formę słowa, nasuwało pewne wątpliwości, czy potrafi ocenić wiele ważnych przymiotów artystycznych naszej wielkiej poezji. Odzywały się nawet z góry głosy, które ironicznie wspominały o tej wyprawie autora „Głównych Prądów,” w nieznaną cudzoziemcom a tak bogatą krainę naszej fantazyi. Kto jednak znał metodę krytyka, tego z góry zaciekawiały rezultaty studyów, które wydały owoce nadspodziewanie bogate i piękne. Brandes, rozwijając dosadniej pewne rysy metody Taine'a, wyłożonej treściwie w jego rozprawie „O filozofii sztuki“ poszukuje głównie rozwoju zasadniczych dążeń wieku, rysuje główne strumienie, płynące z wnętrza umysłowego życia do wielkiego morza ogólnoludzkiej cywilizacji. Pomija on drobniejsze odnogi albo strumienie, toczące się leniwo po zakątkach lub wyżłobionych przez rutynę kanałach, śledzi tylko za biciem i falowaniem żywój wody ducha. Pomaga mu w tej robocie bystrość i rozległość wzroku krytycznego, pozwalająca obejmować całe dziedziny piśmionnicze à vol d'oiseau. Jego krytycyzm jest zarazem badawczy i malowniczy, że się tak wyrażę. Zwykle daleko świetniej Brandes zestawia różnorodne fakta, oświeca je blaskiem podobieństw i kontrastów, aniżeli je tłómaczy z filozoficznego punktu



widzenia. Jego metoda pisarska polega na wydobyciu i oświeceniu głównych rysów danej epoki, tak, aby rzucały się w oko czytelnika. Wśród krytyków Brandes posiada wyjątkowy dar plastyki, którego niekiedy nadużywa, rzucając porównania i obrazy czasem bardziej świetne aniżeli uzasadnione. Ma zresztą talent i temperament prawdziwego mówcy, który umie zawiązać ze słuchaczami moralną spójnią, działa żywo na ich przekonanie i uczucia.

Oczywiście, że pogląd takiego umysłu na literaturę naszą, musiał mieć i dla nas samych niepospolitą wartość. Arcydzieła wielkiej poczyi naszcej z wielu przyczyn są u nas przedmiotem kultu. Chociaż przemineła już świetna jej epoka, jednakże nie zerwały się nici, które ją wiążą z „sercem narodu.“ Rodzi się z tego powodu pytanie, czy nieprzeceniamy jej doniosłości, czy próżność albo przesad patryotyzmu nie powiększa jej rozmiarów w naszych oczach? Świadectwo o niej Brandesa nabiera znaczenia tém większego, że duński krytyk mógł ogarnąć jej dziedzinę zdaleka, okiem pewnym i bezstronnym. Byłem pewny, że zrozumie jej głębie, ale czy ją odczuje, czy pojmie dla czego dziś nawet dla zmysłów żywo przejętych najnowszemi prądami umysłowemi, jest ona „miodem i mlekiem,“ źródłem siły i pokrzepienia? Jesteśmy społeczeństwem osłabionem, nie więc dziwnego, że stajemy się drażliwi na punkcie wielu naszych ukochań i sympatyj. Zewsząd słyszymy tylko głosy, szczujące na nas nienawiścią, głosy wycia brutalnej siły, która stwarza nawet osobną filozofią, urągającą najpiękniejszym celom badawczej myśli. Brandes jednak należy do umysłów, które się wznoszą ponad nędzę wieku i błyszczą światłem prawdziwego humanizmu, wśród mnożących się objawów przejściowego zapewne zdziczenia. On jest nie tylko badaczem, ale szermierzem niepodległej myśli, bojownikiem stronnictwa dążeń idealnych, które wiedzą „do wolności i prawdy coraz realniejszej, a pojętej coraz idealniej.“ Wznosi się ponad suchy racjonalizm, ponad zachcianki radykalizmu, chcącego przerobić odrazu ludzkość wedle wyrozumowanych formułek, a z drugiej strony odrzuca wszelki dogmatyzm i wsteczniectwo, krępujące pochod niezależnej myśli. Należy on do téj humanitarnie postępowej partji, która w nauce umie ocenić wszystkie żywioły i czynniki ludzkiej natury, występujące w procesie rozwoju kultury i wierzy w zwyczajki pochod cywilizacji. Nie dziwnego, że taki umysł, stojący na przeciwnym biegunie w obec Hartmannów i całej rzeszy dusz ciasnych, posępnych, które karmią się nienawiścią i dyszą za gnębieniem słabszych, że taki duch iście nowożytny odnalazł w sobie źródło głębokiej sympatyj dla sprawy, której broni wielka poczya nasza. Nie była to chęć popularności, ani zjednania sobie słuchaczy. Brandes jest umysłem nadto silnym, aby potrzebował schlebiać. Zresztą w swój ojczyźnie dał dowody, że nie żebrze o sympatyją tłumów, bo występując stanowczo przeciw opiniom większości, był w kolizji ze swém społeczeństwem, które musiał na czas pewien opuścić. Sympatyja jego dla literatury polskiej płynie widocznie z głębokiego przekonania, z tego natural-

nego współczucia, jakie muszą mieć najszlachetniejsze umysły naszej epoki dla każdej żywej siły społecznej, która chce się wyzwolić z bezwładności i wziąć udział w wielkim warsztacie cywilizacyjnej pracy. Tylko taka sympatya mogła Brandesowi podyktować bardzo piękne porównanie poezji naszej do obrazu Maks'a „Chusta ś-ój Weroniki.“ Dla cudzoziemca jest ta poezja zamkniętą i otwartą, tak, jak na obrazie oblicze Chrystusa, które na pierwszy rzut oka wydaje się trupiém, ale skoro się patrzymy z właściwego punktu, „wyraz twarzy ożywia się, oczy otwierają się i zwracają na widza swe smutne a poważne spojrzenie.“ Znać z tego, że Brandes odczuł jeden z najgłówniejszych rysów poezji naszej, to jest cierpienie ofiarne, które jój nadaje często wyraz męczeństwa.

Rozwijając jój ogólną charakterystykę, Brandes dowiódł raz jeszcze, jak dobre rezultaty daje użycie metody porównawczej. Jedną z głównych jego zasług jest bystre wyszukanie podobieństw i kontrastów, jakie zachodzą pomiędzy poezją naszą i poezjami innych ludów w obecném stuleciu, oraz wskazanie głównych czynników, jakie składały się na wytworzenie jój cech naczelných. W kilku treściwych zarysach określił nasz charakter narodowy, jako bohaterski, marzycielski, żądny okazałości, skłonny do cnót rycerskich i uniesień religijnych, nie mający ani flegmatyczności niemieckiej, ani racjonalizmu ludów łacińskich, ani wreszcie machiawelizmu włoskiego i zmysłu do plastyki. Następnie wskazał trafnie, że położenie polityczne nadało romantyzmowi polskiemu zupełnie odrębny charakter, jak w Niemczech, Anglii lub Francyi, łącząc go ściśle z myślą o losach kraju. We Francyi i Niemczech romantyzm przy narodzinach swoich bratał się z prądami wstecznymi, z ówczesną reakcją, zwracał się ku tradycjom średniowiecznym. U nas tymczasem nawet katolicyzm związany z przeszłością społeczeństwa nie przybierał cech antynarodowych, jak to było w Niemczech, „łączył się ze wszystkim, co było najszczytniejszém w chrystyanizmie, z miłością prawdy, która zbawia, z zapałem męczeństwa, nie miał na sobie, jak gdzieindziej piętna wieków średnich.“ Brandes co prawda nie zaakcentował bliżej przyczyn, dla których katolicyzm istotnie u nas grał odmienną rolę, aniżeli w wielu społeczeństwach zachodnich. Do przyczyn tych należy przedewszystkiém odziedziona przez tradycją dziejową solidarność duchowieństwa z dołą społeczną, solidarność, która niedawno wywołała jedyne w swoim rodzaju zbratanie ducha religijnego nawet z prądami rewolucyjnymi.

Zasadnicza sprawa bytu zbiorowego usuwała na bok wiele sporów i przeciwieństw społeczno-politycznych, i łączyła często ze sobą wrogie gdzieindziej żywioły. Te warunki złożyły się na to, że katolicyzm, który na zachodzie występował tak często jako doktryna kościelno-polityczna, u nas w życiu umysłowem stawał się zwykle wiarą żywą, tętniącą w uczuciach wybrańców narodu, niemającą nic wspólnego z fanatyzmem. Chociaż romantyzm u nas tak jak gdzieindziej łączył się potroszę z religijną reakcją naszego stulecia, na-

stępującą po wieku oświecenia, jednakże wskutek odrębnych warunków, jak zauważył Brandes, należał on do opozycji, a jego przeciwnikami były powagi literackie, albo „urzędnicy konserwatywni w przekonaniach politycznych.“ Ponieważ romantyzm związał się u nas silniej niż gdziekolwiek ze sprawą bytu społecznego, wynika ztąd silnie zaznaczone przez krytyka jego „stosunkowo nowożytność piętno.“ Brandes wskazuje na tak realistyczne rysy naszego romantyzmu, że „zdają się nie należeć do owjej epoki” i stanowią jedną z zasadniczych różnic w porównaniu z romantyzmem w innych krajach, który prawie zawsze „szukał treści w dawnych czasach i odległych krainach.“ Prawdę powiedziawszy i w innych literaturach ta nowożytność stanowi część składową poezji romantyków *par-excellence*. Przecież Musset'a „Rolla“ i „Spowiedź dziecięcia wieku“ są nawskroś współczesne, a nawet Szyller lubo uprawiający historizm poetyczny—w „Intrydze i miłości“ malował świat, który własnymi oglądał oczami, nie mówiąc o wielkim olimpijczyku Göthe'm, który pisał romanse współczesne, wznosząc się co prawda zawsze ponad romantyczne sekiarstwo.

Cecha więc modernizmu nie jest tak wyłączną własnością naszej wielkiej poezji, która istotnie w porównaniu z innymi ma więcej żywiołu realnego, pojawiającego się współzależnie ze skłonnością do mistycyzmu, abstrakcyi, alegoryi i spirytyzmu.

Tę dwoistość, występującą głównie w dziełach Mickiewicza, Brandes dobrze podchwycił, wykazując potem trafnie jak odmienny charakter przybierał właściwy romantyzmowi kult geniuszu, który wyrósł u nas w część dla Napoleona i Byrona. Brandes nazywa niekrytycznym entuzjazm dla boga wojny, który budził uczucia Polaków, nie wahając się nawet użyć ze złą wiarą nazwiska Kościuszki, sfałszować odezwy w jego imieniu, aby tylko pociągnąć naród do ofiar i zrobić narzędziem swych ambitnych planów. Zaznaczywszy dalej jednostronny zapal dla Byrona, który w oczach poetów naszych przesłonił innych równie potężnych wieszczów angielskich, a przede wszystkim Shelley'a;—Brandes twierdzi słusznie, że oba te czynniki wiązały jednak Polaków z życiem ogólnoeuropejskim.

Trafnie ocenia dalej krytyk cechy poezji naszej, które wynikają z tułactwa wieszczów. Oddalenie od kraju wzmagą w nich idealizm i pierwiastek marzycielski, łamię naturalny rozwój uczuć osobistych. Miłość ich naprzykład staje się chwiejną, nie umie dążyć do swych celów. Porzucają niedawno uwielbiane kobiety, bo w ich duszy „jakaś struna pękła.“ Niesłusznie jednak twierdzi Brandes, że uczucia ich są silne, ale charaktery słabe. Przedewszystkiem trwałość w miłości nie zawsze jest dowodem charakteru, którego prawdziwą mocą jest często umiejętność zwalczania uczuć nienaturalnych lub bezpłodnych, unikanie tak częstych w życiu obłądów erotyzmu. Prawda, że np. Słowacki w swych sprawach sercowych był dość motylim, ale podobno ta wada jest wspólną wielu innym poetom romantycz-

nym, nie wyłączając Byrona, nie mówiąc o Gothe'm, który od miłości do miłości przelatywał jak ptak od jednego do drugiego źródła, szukając świeższej i jaśniejszej wody. Mickiewicz w dniach młodości był wierny swemu idealnemu uczuciu dla Maryli; od Henryki Ankwiczówny odsunęła go prawdopodobnie szlachetna duma. Jeżeli chodzi zresztą o całość charakteru, to Mickiewicz należy do najczystszych i najbardziej jednolitych postaci pomiędzy poetami wszystkich epok i czasów. Krasiński, opuściwszy ziemską kochankę, wyidealizował miłość dla niej po dantejsku, jako pewien rodzaj poetycznej religii. To pewna jednak, że w ich miłości i uczuciach osobistych tkwi pewna nienormalność, wynikająca z doli tułaczów, która pod koniec życia rzuciła ich w objęcia mistycyzmu albo pogrążyła w bezbrzeżnej tęsknocie.

Nastrój religijny nadaje ich poezji wiarę w dodatni rząd świata; „szukają boskiego planu, znaczenia w tém wszystkiém, co ich otacza.“ Jest to podług Brandesa bardzo romantyczne i bardzo średniowieczne. Duch bowiem średniowieczny ma tę właściwość, że widząc jakieś ważne zjawisko, pyta: co ono oznacza? gdy tymczasem duch nowożytny szuka jego przyczyny. „Gdy spadał naprzykład ze ściany obraz, z wizerunkiem jakiejś krewnej, nie troszczono się o przyczynę tego zjawiska; nie badano, czy gwóźdź był zardzewiały albo mur za stary, ale zastanawiano się nad tém, co ma znaczyć ten wypadek, czy nie jest przepowiednią albo oznaką jakiejś choroby, lub niebezpieczeństwa.“ To zestawienie znowu jest więcej śmiałe niż trafne. Duch średniowieczny nie tém się różni od nowożytnego, że pyta co jaki fakt oznacza, ale że widzi w życiu bezpośredni wynik boskiej interwencji, gdy duch nowożytny, a raczój w ogóle duch badawczy, szuka głębszego związku i prawidłowości w rozwoju życia. Tém porównaniem Brandes objaśnia, dla czego wielcy poeci nasi przejęci romantyzmem, nie szukali „przyczyn upadku swego narodu, ale zapytywali z niepokojem marzycieli o znaczenie losów swego kraju.“ „Nie mogli oni pojąć, że się tyle rzeczy udaje złym, niegodnym i okrutnym i że Bóg się w to nie wdaje, że musi być w tém ukryta jakaś głębsza tajemnica i że dobro w końcu zwycięży.“ Ten trafnie uchwycony pogląd naszych wieszczów na losy narodu, nie dowodzi, że szukali znaczenia jakichś wypadków dziejowych, ale w duchu chrześcijańskich na świat poglądów wierzyli w Bożą pomoc dla ukochanej sprawy. Psychologicznie tłumaczy się to uczucie tak samo, jak nadzieja i wiara syna przy łożu cierpiącej matki, który nie zdaje sobie sprawy z fatalizmu praw przyrody, z konieczności rozwoju choroby, ale chwytając każde weselsze słowo, każdy ruch chorób, jako oznakę utrudnej często nadziei. Nie trzeba, podług mnie, jak to czyni Brandes, uważać tego ducha romantycznego, szukającego znaczenia „za rodzaj atawizmu“ w sprzeczności do ducha współczesnego, który szuka przyczynowości. Oba te kierunki ludzkiego umysłu mają zarówno swą prastarą tradycję. Chociaż w wiekach średnich panował pogląd na świat, oparty na objawieniu i bezpośredniej interwencji Bóstwa, to jednak

jeszcze dawniej w Grecyi i Rzymie byli mędracy, którzy głosili, że trzeba „rerum cognoscere causas“ obok wieszczów, badających losy człowieka z ruchów gwiazd albo dymiących się trzewiów świeżo zabitego zwierzęcia. Nic dziwnego, że poci nasi nie mieli zmysłu badawczego, nie szukali przyczyn losów kraju, bo jest to w ogóle robota myślicieli a nie artystów. Trafnie określa Brandes, że właśnie ich utwory „przez swój jasnowidzący i proroczy charakter miały większe znaczenie dla przyszłości kraju, niżby mogła mieć poezya opisowa rozsądna i spokojna.“ Znaczenie to rozumiał i odczuł duński krytyk, racjonalista szerokiego pokroju daleko lepiej, aniżeli niektórzy nasi krytycy, powołujący romantyzm przed forum współczesne i patrzący nań przez szkielecka racjonalizmu groszowego, lub filisterskiego utylitaryzmu. Brandes rozumiał, że taka poezya jest źródłem niegasnącym duchowej energii społeczeństwa, że podtrzymuje jego naczelną ideę, że jest biblią narodowej wiary, wreszcie niespożytym po wszystkie wieki dokumentem życia i żywotności narodu, który ją wydał. Dotychczas sądy takie myśmy głosili, ale nie znalazły one jeszcze sankcyi na forum opinii europejskiej. Za sprawą pisarza, którego wpływ tak daleko sięga w dzisiejszym życiu umysłowym, pogląd ten stanie się zapewne częstką ogólnoeuropejskiej wiedzy o literaturze naszej, przeniknie do umysłów, które razem z najszlachetniejszym prądem obecnej filozofii wierzą w zwycięstwo kultury i podniosłych dążeń ludzkości, zamiast kuć z sofistmatów wstrętną broń dla ciemności i brutalnej siły.

Zaznaczywszy w pierwszym odczycie główne pierwiastki, które urabiały naturę poetów, w dalszych odczytach Brandes rozwijał wpływ tych czynników.

Miłość naprzykład jest w nich po większej części idealną, podniosłą, często dziką i ponurą, ale nigdy zmysłową, chociaż, dodam od siebie, ta ostatnia nuta brzmi dość silnie w niektórych lirykach Mickiewicza, napisanych podczas jego pobytu w Odessie. Bohaterowie męczy poczci naszej różnią się od innych bohaterów romantycznych. Nie widać w nich walki pomiędzy żądzą sławy a jałowością życia, ani rosterki ze społeczeństwem, ani gorącego ducha demokratyzmu, ani walki dwu następujących po sobie pokoleń. Wszyscy są solidarni ze społeczeństwem, cierpią bólem zbiorowym. Żąd też wyrobiło się zupełnie odrębne pojęcie posłannictwa poety, jako wieszca i przewodnika narodu, nie obce co prawda innym literaturom, albowiem Alfred de Vigny wypowiedział je dość wyraźnie w swym „Chattertonie.“ W poezyi naszej, to poczucie tej misyi jest główną moralną siłą wieszczów, którzy, jak słusznie zauważył Brandes, przejęci ideą narodową nie odzwierciedlili w swych utworach śmiałej pracy nowożytnej myśli, pragnącej wyswobodzić się z więzów przesądu i zbadać zagadkę życia. Z małym wyjątkiem istotnie nasi poci byli

dość obojętni w obec pracy nowoczesnej filozofii, którą nawet tak potężny umysł jak Mickiewicza sądził ze stanowiska wyłącznie religijnego.

Rys ten pochwycił Brandes szczególnie w zetknięciu Mickiewicza z Göthem, które barwnie opisuje Odyńiec w swych „Listach z Podróży.“ Przed kilkoma laty pisząc o pierwszych dwu tomach tego dzieła zwróciłem uwagę na te same nawet szczegóły, świadczące jak dwa potężne umysły Gothe’go i Mickiewicza, nawet w sympatycznym zetknięciu nie znalazły pomiędzy sobą łączących nici, jak Göthe napróżno wyczekiwał od naszego wieszca zapytania, co do idei „Fausta“ streszczającej jego pogląd na stosunek czynnej inteligencji człowieka, do zagadek wszechbytu. U Odyńca ta niechęć romantyków do filozofii wyrażała się nawet dość zabawnie, gdy o panteyzmie Göthe’go wspomina jak o dziwowisku z naiwnym przestachem i oburzeniem. Rzecz łatwa jednak do zrozumienia, że horyzont poczci naszej zacieśnił się w porównaniu do innych narodów, ponieważ nie mieliśmy środków do rozwinięcia kultury umysłowej, w tym stopniu jak na zachodzie, ponieważ naczelną sprawą zbiorowego bytu, zajmując wszystkie umysły, musiała na drugi plan odsunąć wiele innych spraw i zagadnień, które odbiły się w płodach romantyki zachodniej. Żywe uczucie religijne, poczerpnięte z łona rodziny i społeczeństwa, miarkowało nawet nieliczne zapędy sceptycyzmu, które skonały ostatecznie pod technieniem mistyki. Niepodobna mi streszczać szczegółowo dalszych poglądów krytyka, które są rozwinięciem i dopełnieniem rysów rzuconych w pierwszym odczycie; zwrócę więc uwagę tylko na niektóre szczegóły. Poezya cierpienia podług Brandesa łączy się w literaturze naszej z poezją okrucieństwa, której pełno jest szczególnie w utworach Słowackiego. Nie zaznaczył jednak Brandes, że okrucieństwo to nie jest poetyzowaniem dzikich instynktów narodu, ale wynika z zamknięcia romantyków do okropności w ogóle, a także z posępnego nastroju poetów, na których oddziaływały ponure obrazy Byrona, którzy odczuwali krwawy tragizm Szekspira silniej aniżeli jasne strony jego fantazyi. Poezya zemsty, którą dobrze ocenia Brandes, ukazując jęj teżę w Mickiewiczu i Słowackim antytezę zaś w Krasińskim, jest także koniecznym wynikiem naczelnego uczucia, panującego w życiu i literaturze, wypływa z bardzo wysokich pobudek. Miłość ideału zbiorowego jest uczuciem, namiętnością; nie więc dziwnego, że wywołuje namiętność przeciwległą w obec wszystkiego, co staje na drodze najdroższemu pragnieniu zbiorowym. Wallenrodyzm był bezwątpienia objawem moralnego zatrućcia uczuć zbiorowych, które jednak zrodziło się jako nieunikniony owoc doli społecznej. Oryginalnym i bystrym był cały ustęp wykazujący, co ma poezya nasza z Hamleta a co z Fortinbrasa, którego duch męzki, energiczny przeważa nad potomstwem bladego królowicza duńskiego. Szczytem energii tej poezyi jest „Oda do młodości“ a zwłaszcza „Farys“ jeden

z najdoskonalszych poematów Mickiewicza, wspaniała opoteoza męskiej siły, poemat, w którym u nas groszowy utylitaryzm dopatrył się niedawno wielu nieciekawych rzeczy a mianowicie chwalby... próżniactwa! Skupiając rysy zasadnicze trzech wielkich poetów, Brandes słusznie twierdzi, że Mickiewicz zwłaszcza w „Panu Tadeuszu,” tym „najdoskonalszym poemacie epicznym naszego stulecia;” zbliżył się najbardziej do duchów zdrowych w poezyi, takich jak Homer lub Göthe. Niemogę jednak przyklasnąć, jak niektórzy słuchacze, dość dziwnym ornitologicznym porównaniom krytyka: „Pomiędzy skrzydłami duchami Polski Mickiewicz jest orłem, Krasiński łabędziem a Słowacki—pawiem.“

Brandes wywarł tym frazesem krasomówczy efekt, ale nie przekała głębszych słuchaczów. Epitet orła jest użytym ozdobiakiem przy nazwisku Mickiewicza, chociaż nie wiem doprawdy dla czego potęgę poezyi twórczej i dodatniej porównywać mamy z siłą niszczącą drapieżnika? Podobieństwo do łabędzia dostało się Krasińskiemu, ponieważ jest poetą, czystym i szlachetnym—ale przeciw jego siła, powaga tragiczna i głębokość nie mają w sobie chyba nic... łabędziego.

Biedny Słowacki został pawiem!

Dla czego? Ponieważ celował świetnością słowa, oślepił barwami fantazyi, lubił przepych i świetność a nawet w jednym miejscu mówił o Bogu: „On piórem z ognia jest dumnych szyszaków.“ Prawda że „żaden inny poeta nie porównał Boga do pióra na szyszaku“, ale Słowacki spłodził tę rzeczywiście słabą poetyczną figurę nie dla samej tylko pompy, ale dla uwydatnienia swych pojęć o Bogu. W tej samej strofice „Beniowskiego“ mówi poeta że „On nie tylko jest robaków Bogiem i tego stworzenia co pełza.“ Myśl ta znowu tak śmiała i piękna, że tylko u największych poetów można znaleźć podobne. Brandes słusznie zauważył, że poruszenia opozycyjne myśli Słowackiego wynikały z ducha sprzeczności (contradiction) — niezależnie jednak od tego dla mnie bardzo sympatycznym rysem jest duma poety (o ile nie przechodzi w pychę), oraz niechęć do serwilizmu w pojęciach społecznych i religijnych.

Wynosząc „Pana Tadeusza“ na szczyt poezyi naszój, Brandes rzucił pogląd nieprzyznający prawa bytu historyczności w sztuce. Jako szermierz „nowożytnego ducha“ uważa on realizm poetyczny jako jedyny kierunek, odpowiedni dzisiejszym wymaganiom. Rzecz dziwna, krytyk tak szeroki zajmuje tu stanowisko trochę sekiarskie. Twierdzi, że poszukując ideału nie potrzeba się zwracać do przeszłości, albowiem może dostarczyć go życie współczesne. Nie widzę powodu, dla któregoby poecie nie należało czerpać idealizmu wszędzie, gdzie mu się podoba. Pogląd ten poczerpnięty z Taine'a jest nieuzasadnio-

ny szczególniej ze względu na naszą literaturę, jak to gdzieindziej zaznaczyłem.

U nas historyczność w sztuce nie jest tak jak w Niemczech owocem sztucznej literackiej hodowli;—ale wynikiem żywego uczucia z żywej potrzeby umysłów, szukających pokrzepienia w dziejowej tradycyi. Many świeże dowody na to, jak dalece historyzm w sztuce gra na strunach najszlachetniejszych i najżywszych uczuć zbiorowych, jak stanowi pożądaną przeciwwagę wobec płaskości filisterskiej, która się coraz więcej panoszy w stosunkach towarzyskich i umysłowych. Podług mnie zresztą estetyka stojąca na wysokości dzisiejszych wymagań naukowych, nie powinna wykluczać żadnego rodzaju, ale objaśnić i ać prawa jego powstawania, bo każdy rodzaj jest zawsze dobrym i uprawnionym, jeżeli tylko odpowiada duchowym potrzebom narodu.

U nas ta opinia Brandesa nie może nigdy być estetycznym dogmatem, jak chce jeden z jej obrońców, tém bardziej, że nie mamy bynajmniej nadmiaru historycznej sztuki, abyśmy potrzebowali w obec niej stwarzać krytyczną reakcyę. Słusznie jednak w dalszym ciągu twierdzi Brandes że zasadnicze uczucie, przewodnia idea romantyzmu polskiego może i powinna trwać w literaturze, ale nie może nadal wszechwładnie w niej panować. Gdyby znał współczesną naszą powieść i nowelistykę, a nawet najnowsze objawy odradzającego się dramatu, Brandes z pewnością stwierdziłby, że literatura zaczyna się rozwijać bardziej wszechstronnie, że znajdują w niej odbicie szersze idee naszego wieku, a nawet pomysły filozofii ewolucyjnej. Rzecz naturalna, że pisarze swojscy muszą przedewszystkiem zajmować się zagadnieniami naszego bytu, przedstawiać nasze bóle i nadzieje. Literatura polska zapewne nie prędko będzie się mogła pozbyć; pewnej patologiczności, nie nabierze tak łatwo słonecznej pogody; lecz istotnie pożądanem jest, aby rozwinęła wszystkie pierwiastki życia artystycznego naszej epoki, aby malowała barwnie wszystkie strony ludzkiej natury.

W zakończeniu ślicznie mówi Brandes o romantyzmie nieśmiertelnym, o téj szlachetnej, zdrowej egzaltacyi uczuć, które się wznoszą ponad poziom przeciętny. Cześć dla natury, miłość, przyjaźń, uczucie bratnie dla kraju i ziomeków, stanowią materyał dla tego entuzjazmu, który przetrwa dłużej w sztuce aniżeli wszystkie przejściowe cechy szkoły lub kierunku, co starzeją się lub idą między literackie rupiecie. „W niewielu literaturach—mówi Brandes—ten nieśmiertelny entuzjazm romantyczny objawił się w tak pięknej i wzniosłej formie jak w literaturze polskiej. Stare określenia romantyków i nieromantyków dziś straciły swoje znaczenie. Za naszych czasów zupełnie co innego dzieli stronnictwa zarówno w literaturze jak i w życiu politycznym. Dzisiaj istnieją właściwie tylko dwa stronnictwa: jedno z nich jest stronnictwem dążności idealnych, dru-



gie—stronnictwem faktów dokanych.“ Przeciwnieństwo tych prądów Brandes rozwinął w pysznym obrazie dwu pociągów, z których jeden stoi, chociaż zdaje mu się, że idzie, drugi jest nieskończonym, olbrzymim, bezgranicznym. „To wieczne dążenie ludzkości do wolności i prawdy coraz realniejszej, pojętej coraz idealniej, to zwycięzki nieskończony pociąg cywilizacji.“

Trudno o piękniejsze sformułowanie idei postępu. Zgodzą się na nie nie tylko zwolennicy danej szkoły lub metody filozoficznej, nie tylko wyznawcy danej doktryny społecznej, ale wszystkie szersze i jasne umysły, które umieją ocenić każdą zdobycz dla cywilizacji, każde pomnożenie bogactwa wiedzy lub kultury, każde zwycięstwo szlachetnych ideałów, bez względu na to, kto pod jakim hasłem dokonał tych zdobyczy. Brandes jest pisarzem wolnomyslnym i gorącym szermierzem liberalizmu. W przeciwieństwie do przedmiotowości Taine'a, który czasem chce być bezstronniejszym od samą bezstronności; duński krytyk otwarcie broni swych przekonań społecznych i filozoficznych, stacza utarczki w imię praw i swobody „nowożytnego ducha,“ chociaż umie uznać i ocenić wartość plodów umysłowych naszego wieku we wszystkich kierunkach artystycznych, naukowych i religijnych. W przekonaniach swoich zdecydowany, bez cienia chwiejności, umie bronić ich u podstaw, głosić wymownie zasadnicze poglądy, nie czepiając się drobnych szczegółów, lub stronniczych sprzeczności. Wywiera on głęboki i stanowczy wpływ na umysły, stawia dodatnio swe zasady, nie rozpraszając się na marnie swary i rosterki. Pod tym względem może stanowić przykład dla naszych pisarzy postępowych, którzy marnują niepotrzebnie tyle energii na szermierki, na kłótnie o drobiazgi, wytaczają wielkie armaty dla zabicia muchy, dbając bardziej o zwycięstwo własnej ambicji, aniżeli o tryumf idei. Przekonywać i podbijać umysły, nie drażnić ich bez potrzeby, to wielka umiejętność publicysty i szermierza jasno określonych zasad. Brandes ją posiada w takim stopniu, że mało który z pisarzy europejskich zrobił tyle dla pojęć wolnomyslnych w dzisiejszej reakcyjnej dobie.

Mówiąc o naszej literaturze Brandes uchwycił bystro jej zasadnicze rysy; ukazując je często w nowém oświetleniu, nakreślił obraz ciepły i malowniczy. Potwierdził wiele opinii naszej krytyki, uprawnił nawet z ogólnoludzkiego punktu widzenia nasz kult dla arcydzieł narodowego ducha. Niezależnie od błędów lub niedokładności szczegółowych, odczyty jego zawierają poważne wyniki studyów nad literaturą naszą. Świadczą one z jednej strony, że można dużo o niej dowiedzieć się z przekładów, z drugiej zaś strony zdradzają bystrość badacza, który zasięgał także informacji z dobrych źródeł i umiał stawiać sobie trafne pytania w obec trudnego przedmiotu. Obok tego Brandes umiał mówić żywo i barwnie, z temperamentem prawdziwego mówcy

dzisiejszej epoki, który nie stawia się w obec słuchaczy na sztucznej wyżynie, ale chce wpłynąć na ich opinie siłą szczeroci przekonania i jasnej argumentacji. Brandes nie jest napuszonym deklamatorem, ani kuglarzem frazesów, ale pełnym werwy rzecznikiem własnych przekonań. Dla nas jego badania nad literaturą polską mają tém większą wartość, że przenikną na forum opinii europejskiej, oświecą nieświadomych lub niechętnych, że stanowią dzielną przeciwwagę w obec głosów pisarzy zdziczałych lub najemnych pamflicistów.

---

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom III, str. 421. Warszawa, druk braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra) 1884 r.

Trzeci tom wydania jubileuszowego dzieł J. Kochanowskiego, obejmujący utwory łacińskie poety, opuścił właściwie prasę w kwietniu r. b.; data więc 1884 r., położona na tytułowej karcie, utrzymana została jedynie dla zachowania całemu dziełu charakteru wydawnictwa jubileuszowego, o którego 1-ych dwóch tomach, zawierających znane powszechniej utwory polskie Kochanowskiego, w swoim czasie powiadomiliśmy czytelników „Bibl. Warsz.“ (zob. „Bibl. Warsz.“ 1883 r., t. III, str. 316, 317; r. 1884, t. II, str. 476, 477). Oprócz przedmowy od komitetu wydawniczego i życiorysu poety (*Vita Joannis Cochanolii*), skreślonego przez niewiadomego pisarza, a wydrukowanego na czele wydania *Arata* z r. 1612, tom III, o którym w tej chwili mówimy, obejmuje: *Elegiarum libri IV*, *Foricoenia sive Epigrammatum libellus*, *Lyricorum libellus*, *Epiniciou*, *Epithalamion in nuptias Joannis de Zamoscio, Andreae Patricio*, *Epitaphium Doralices*, *Gallo crocitantis*, *Dryas Zamchana*, *Pau Zamchanus*, *Orpheus Sarmaticus*, oraz *M. T. Ciceronis Aratum, ad graecum exemplar expensum et locis mancis restitutum*. Na końcu dodano *Index nominum*, a nadto podobiznę rękopisu poety, obejmującego *Dryadem Zamchanam*. Tekst oryginału ustalił, oraz wstępy i przypiski dodał prof. Józef Przyborowski; dla czytelników zaś nieobeznanych z językiem łacińskim dokonał przekładu tekstu prozą Teofil Krasnosielski, przy czynnym współdziałaniu komitetu redakcyjnego. Wydanie tomu III-go uzupełnia całość wszystkich utworów J. Kochanowskiego i sta-

nowi ważny dla literatury ojczystej i jej miłośników nabytek. Bez znajomości bowiem łacińskich utworów poety, nie podobna sobie urobić nie tylko dokładnego pojęcia o całej jego działalności, ale i o wielu okolicznościach i stosunkach życia, o których w utworach polskich nie znajdujemy wzmianki. Nadto wydania poezyi łacińskich Kochanowskiego stały się dziś niemal rzadkością. Do tych, które wychodziły za jego życia, należą: *Dryas Zamchana*, *Pan Zamchanus* i *Orpheus Sarmaticus*, wydane w r. 1578; *M. T. Ciceronis Aratus* w roku 1579; *Lyricorum libellus* 1580 r., *Epinicion et in nuptias J. de Zamoscio* 1583, wreszcie *Elegiae* i *Foricoenia* w r. 1584. Ostatnie wydanie dzieł łacińskich Kochanowskiego posiadamy z r. 1612. Odtąd, aż do dni naszych nikt o ich rozpowszechnianiu drukiem nie myślał. Wydanie przeto pomnikowe po latach 274 podjęte, nawiązuje nawo to tę nie przewaną „między dawnymi i młodszymi laty,“ i daje możliwość zaznajomienia się ze wszystkimi dziełami Kochanowskiego, zbraniami w jedną całość i opracowaniami krytycznie. O ile zaś podobne opracowanie przyczynia się do dokładniejszego zrozumienia jego utworów, o tem może przekonać choćby parę przykładów. I tak, w elegii 1, ks. 1, poeta zwraca się ad *Cristophorum*, bez wymienienia nazwiska osobistości. Ponieważ Kochanowski napisał po polsku *Epithalamium* na wesele Krzysztofa Radziwiłła, przeto K. Brodziński, tłumacząc ową elegią, sądził, iż ta do tego ostatniego się odnosi. Otóż za nim aż do *Loewenfelda* powtarzali to wszyscy, którzy o Kochanowskim pisali. Tymczasem głębsze wniknięcie w osnowę tego utworu wykazało, iż owym Krzysztofem jest Tarnowski, syn hetmana, gdyż tylko do zwycięzcy z pod *Obertyna* mogą się odnosić słowa: „*qui Starodubaeas evertit funditus arces, vicit Dacos, perdomuitque Scythas.*“ W elegii znowu V, ks. III, w wierszu 79, we wszystkich wydaniach do r. 1612 włącznie, drukowano: „*Dixerat nuda,*“ co do tego stopnia myśl zaciemniało, iż wielu było przekonania, że ostatnie dwa wiersze tej elegii do innego należały utworu. Dopiero wniknięcie głębsze we wszystkie szczegóły naprowadziło na domysł, tym razem zupełnie trafny, iż wyraz: *nuda* (*naga*) jest prostą omyłką drukarską, popełnioną w pierwszym wydaniu, a powtórzoną w następnych, którą należy poprawić na: *unda* (*woda, fala*) i co zupełnie zrozumienie tekstu ułatwia. Nakoniec utwór zatytułowany: „*Epitaphium Doralices*“ dawał powód do rozmaitych domysłów, co do osobistości owej, po zgonie, przez poetę opłakiwaną, dziewczycy. *Rafael Loewenfeld* (*J. Cochranovius und seine lateinischen Dichtungen*. Posen, 1879) nie waha się nawet widzieć w niej *Urszulki*, choć apostrofa do oddalonego narzeczonego *Aviprata* domysł ten całkiem nieprawdopodobnym czyniła. I znowu bystre spostrzeżenie, iż *Avipratus* jest tylko zromanizowanym nazwiskiem *Fogelwедера* rozstrzygnęło wątpliwość. Takich zaś sprostowań i trafnych objaśnień, świadczących o sumiennosci przygotowującego tekst wydania jubileuszowego, można by wicęj naliczyć. Niemniej szczęśliwym pomysłem komitetu

było zaopatrzenie tekstu łacińskiego dosłownym, a jednak artystycznym co do formy przekładem prozą. Wprawdzie posiadamy dwa tłumaczenia wierszem utworów łacińskich Kochanowskiego, jedno dokonane przez Kaź. Brodzińskiego, drugie przez Wł. Syrokomlę. Ale pierwsze jakkolwiek wiernie odtwarzające oryginał, nie obejmuje wszystkich utworów poety; drugie zaś, uzupełniające przekłady Brodzińskiego, jest tak niedokładne, iż w wielu miejscach całkiem myśl poety odmienia. Jedynym więc punktem wyjścia było dać tłumaczenie nowe choćby mową niewiazaną, ale wierne, dokładne i tak też komitet uczynił. Szkoda tylko, iż komitet redakcyjny nie zaopatrzył niniejszego przekładu polskiego takimi objaśnieniami, jakie do tekstu łacińskiego dodano. Jeżeli dla znających język rzymian uznano je za konieczne, to tém bardziej dać je należało dla zwykłych czytelników, którzy nie mają ani sposobności, ani czasu robić poszukiwań w dykcyonarzach i encyklopedyach, by sobie wiele przedmiotów i nazw, wziętych ze świata starożytnego, objaśnić.

Zresztą, co do zalet zewnętrznych tom III-ci nie ustępuje tomom wydanym poprzednio. Zrobilibyśmy jedną tylko uwagę: zanadto wiele w nim zbitych i nie dość czysto wychodzących liter, a co gorzej omyłek drukarskich, które, choć zaznaczone w erratach, nie powinny jednak znajdować się w dziele pomnikowego znaczenia. Oprócz egzemplarzy, należących do ogólnego wydania dzieł poety, komitet przygotował jeszcze pewną ich liczbę dla zagranicznych bibliotek, pod osobnym tytułem: „*Joannis Cochanovii Carmina latina, emendavit argumentis et notis instruxit Josephus Przyborowski.*“ Myśl to także szczęśliwa. Należało bowiem w trzechsetną rocznicę zgonu przypomnieć zachodowi znanego mu niegdyś poetę, dziecko tego narodu, na którego tępieniem dzisiejsi przywódcy kultury zachodniej tyle sił, a więcej jeszcze namiętności marnują. Zdaniem jednak naszym, wypadło podjąć nieco więcej kosztów i edycją tę zrobić niezależną od przekładu polskiego, który pozostawiono w tej odbitec zagranicznej niewiadomo dla kogo.

„Uwagi o modelach na pomnik Mickiewicza, wykonanych podług pomysłu Matejki, oraz odpowiedź pp. recenzentom na ich zarzuty. Naszkicował członek komitetu pomnika dla Mickiewicza dr. Hubert hr. Krasiński.“ Bez wyrażenia roku i miejsca druku, str. 60.

Włokąca się żółtym krokiem sprawa budowy pomnika Mickiewicza w Krakowie miała już kilka gorących, nazbyt może nawet gorących momentów, i prawdopodobnie mieć je jeszcze będzie. To

paroksyzmy gorączki sprawiły nie mało zwichrzenia w opinii, dając powód do nie bezzasadnych skarg i utyskiwań na jej niesforność. Trudno jednak zaprzeczyć że jest coś żywotnego, coś niezmiernie interesującego w tym wpływie, jaki potężna postać wieszca narodowego z poza grobu jeszcze zdaje się wywierać na umysły społecznego nam pokolenia, elektryzować je i zapalać.

Czy owa mnogość zdań i poglądów na sprawę pomnika, głoszonych bądź w czasopiśmie bądź w broszurach, przyczyniła się w czém do zasadniczego postawienia kwestyi, czy rozjaśniła ją należycie w jej punktach ciemnych, zawilszych, mniej dla ogółu przystępnych—i czy podnoszone głosy zawsze z kompetentnej wychodziły strony?—to znów inne pytanie. Wiadomo że polityka i estetyka, to dwa pola, na które każdy czuje się mniej lub więcej powołanym wkraczać i swe amatorskie zapatrywania rozwijać. Nic też dziwnego, że i to, co w kwestyi pomnika Mickiewicza czytać się mi zdarzyło, miało powiększającą część cechą dyletanekich deklamacyi i wynurzeń. Ale były i wyjątki. Tak np. p. Maryan Sokołowski, członek Akademii i profesor historii sztuki na wszechnicy jagiellońskiej, napisał w tym przedmiocie aż dwie broszury; ale tu znów żalować przychodzi, że szanowny estetyk, dając swym pismom charakter czysto okolicznościowy, nie dotarł w nich ani razu do samego rdzenia kwestyi, jak się ona z estetycznego punktu widzenia przedstawia. Czytelnik spotyka się w nich z melancholijnemi konsyderacyami na temat podnoszącego głowę straszego upioru liberum veto, i wielu a wielu innemi, mniej lub więcej trafniemi uwagami—ale jasnych a pouczających informacji odnośnie projektowanego pomnika szuka w nich daremnie. Panu S. chodziło głównie o uśmierzenie téj gorączki, jaką w opinii wywołały rezultaty obu konkursów. Mnie się jednak zdaje, że w obec faktu, iż publiczność za nic w świecie nie chce się wyrzec swego gorącego udziału w sprawie pomnika uwielbianego wieszca i nad jej przebiegiem ustawicznie czuwa: gruntowne a przystępne roztrząśnienie kwestyi ze stanowiska zasad estetyki i artystycznej praktyki prędzejby doprowadziło do zamierzonego celu, niż prawienie morałów, których publika w ogóle słuchać nie lubi i zbici się niemi z tropu nie da.

Na praktyczniejszym gruncie stanął hr. Hubert Krasiński, autor broszury wymienionej na czele niniejszego artykułu. Rozstrząsając w niej bardzo szczegółowo modele, wykonane przez pp. Rygiera i Gadowskiego według pomysłu Matejki, rozwija on na tém tle swoje poglądy na zadanie sztuki monumentalnej w ogólności i cel pomnika Mickiewicza w szczególności. Takim popularnym wykładem estetyki w zastosowaniu do bieżącej sprawy, oddałby on istotnie wielką usługę, gdyby sam był gruntowniej obeznanym z przedmiotem. Autor powiada że oswajał się stopniowo z modelami, że przesiadywał przy nich po kilka godzin codziennie, i zdanie swe ogłasza „po długich rozważach;“ z tém wszystkiem „pragnąc w dostępnem opowiadaniu dać możność każdemu powzięcia dokładnego wyobrażenia o sprawie

wykonanych już w szkicach prac pomnikowych dla wieszca“ (str. 7), podjął się zadania nad siły. Dobra wola nie zastąpi fachowego wykształcenia, a tego właśnie autorowi brakuje.

„Możecie się gniewać—pisze on—na moję odwagę cywilną, ale otwartość uszanować powinniście; bo jakkolwiek jestem lekarzem, ale oprócz téj specjalności pozostaję przedewszystkiem obywatelem kraju, sztuka i monumenta narodowe gorąco mnie obchodzą, a w ciągu mych studyów i licznych podróży po Europie, zbliżalem się do artystów i starałem się pogląd na sztukę w sobie wyrobić“ (str. 22). Za odwagę cywilną autora, której istotnie niepospolite złożył dowody, gniewać się niema powodu; co najwięcej dziwić się jój tylko można. Pozwoli jednak sz. autor uczynić tu uwagę, że oglądanie po stolicach europejskich różnych pomników, z Beedeckerem w ręku, lubo nauczające i mogące stać się źródłem wielkiej estetycznej rozkoszy—nie jest jeszcze studyowaniem dzieł sztuki w poważném tego słowa znaczeniu. Sama broszura hr. H. K. dostarczyłaby wiele na to dowodów; poprzestaną na przytoczeniu jednego. Podawszy (na str. 8) pewne wskazówki co do skali modeli, powiada „z tego wynika, że postać wieszca musi być dwa razy większa od naturalnych rozmiarów, to jest większa niż dwa razy Kopernik Thorwaldsena w Warszawie, a sam pomnik (według projektu Matejki) który mieć będzie w naturze 10 metrów wysokości, będzie wyższy więcej niż 3 razy od monumentu Kopernika.” Autor niewątpliwie widział pomnik Kopernika w Warszawie i „studyował“ go, a przecież nie dopatrzył się rzeczy tak bijącej w oczy każdego, kto się choć trochę w tego rodzaju dziełach oryentować potrafi, że figura wielkiego astronoma nie jest naturalnej wielkości, jak mniema, lecz co najmniej dwa razy większa, i że obliczony na 10 metrów pomnik Mickiewicza, nie tylko nie byłby trzy razy wyższym od pomnika Kopernika, ale nie dochodziłby nawet do jego podwójnej wysokości. Takie to są owe „studya.“

Według autora, projekt Matejki jest genialny, wspaniały, świetny, a modele „podjęte w dużych rozmiarach, większych niż wszystkie jakie dotąd były robione, są bardzo pięknie i artystycznie wykonane“ (str. 19). A cóż dopiero gdy „żywa woda wprowadzoną będzie poniżej monumentu, to szum strumienia i kolor piany silnie ożywi i nada charakter oryginalny całej kompozycji“ (str. 15). Autor nie zdaje się odczuwać różnicy między dziwactwem, które nigdy dziełu sztuki na pożytek wyjść nie może, a oryginalnością, która stanowi jedną z najcenniejszych jego zalet. „Znalazłem—powiada—że praca ta jest chlubą wielką dla Matejki i rzeźbiarzy, ale chlubą stokroć większą dla narodu, że myśl tę odczuł w sobie, a pracę sztukmistrzów swoich uznał, uszanował i dał możność przekuć ją w bronzie i granicie w postaci monumentu dla samego wieszca—ku chlubie sztuki narodowej, ku chlubie narodowych uczuć, ku pamięci przyszłych pokoleń“ (str. 17). Czy to trochę nie przedwczesny entuzjazm? wszak dotąd jeszcze pomnika niema. Te entuzjastyczne wykrzykniki tém

mniej zdają się mi zrozumiać, że, o ile wiadomo, tak znawcom, jak ogółowi publiki, projekt Matejki wcale do przekonania nie trafił. Jakże wreszcie z tém rozumowaniem pogodzić to, co autor pisze na inném miejscu, że „opinia publiczna (której przed chwilą taki hołd oddawał) jest obafamucona, sama nie wie co sądzić“ (str. 22), że „zacieci wrogowie... od wschodu i sąsiedniego zachodu na nas czychają, cieszą się że my sami dręczymy swoich wielkich ludzi! (str. 23). Czém dręczymy, czy temi hołdami i uznaniem dla mistrza, o których autor z takim wylaniem wyżej wspominał? Jest on tu w oczywistej z samym sobą sprzeczności, jak i wówczas, kiedy twierdzi, że „co tu się daje jako szkic, jako materiał surowy, uszlachetni się, wygładzi potem z konieczności rozmiarów przy wykonaniu modeli ostatecznych, wiele się zaś poprawi, a nawet zmieni“ (str. 21). Jedna i ta sama rzecz przedstawia się nam raz jako arcydzieło, któremu nic odjąć, ani dodać nie można—drugi raz jako szkic surowy, który ma być jeszcze wygładzany, poprawiany, zmieniany. O owe gładzenie mniejsza, ale po co te poprawki i zmiany, jeśli autor rzecz za tak doskonałą uznaje? Prawda, że zastrzega się w inném miejscu, iż najstosowniej wszystko to zdać na rozwagę Matejki, „pozostawisz zupełną swobodę działania jemu i rzeźbiarzom, nie ścieśniając *wspaniałomyślnie* doradcą komisją“ i zaręcza „że wówczas wszystko pójdzie jaknajlepiej i monument będzie indywidualny i narodowy“ (str. 34). Nas to wszystko nie bardzo jakoś uspakaja.

Zdania ludzi fachowych i prawdziwych znawców sztuki nie mają dla autora żadnej wartości. Polega on wyłącznie na własnych obserwacjach i o zarzutach co do ogólnej architektoniki i sylwety, i idei pomnika i proporcej, nie zgoła wiedzieć nie chce. W rozumowaniach swoich postępuje się przytém iście naiwną dyalektyką, którą rad przepłata cytatami wierszy z Mickiewicza, mniejsza o to czy w porę. Te ostatnie zdają się nawet w arsenale jego argumentów grać rolę dział ciężkiego kalibru, któremi, gdy inne wywody nie dopisują—stanowczo rzecz rozstrzyga. Oto prókba téj dziwnej metody. Broniąc nagości poety w projekcie Matejki, przyczém wygłosił istotnie wiele zdań trafnych i estetycznie uzasadnionych, choć źle tym razem zastosowanych, kończy rzecz temi słowy: „A jak w Olimpie nigdy bogowie byli wobrażani bez szat, któreby cechowały narodowość, tak też Mickiewicz, zdaniem naszym, winienby być przedstawionym w stroju klasycznym. Nakoniec podług tradycyi biblijnych, wszelkie odzieże, suknie i stroje, są karą za grzechy pra-rodziców, piętuném zbrodni, przekleństwóm. Nic więc dziwnego—rozumuje dalej w tym samym tonie—że w świecie artystycznym przechowuje się upodobanie wyobrażania geniuszów w tych liniach cielesnych, które sam Bóg umodelował, a które są największą ozdobą ludzką. Przytoczny pogląd wieszcza na ciało ludzkie:



„Czemu Bóg na wzór siebie stworzył naszą postać?  
Bo sam lepszego wzoru nie mógł nigdzie dostać.“ (str. 25).

W ustępie V, p. t.: „Dla czego Mickiewicz ma włosy nieuczestane?“ w chęci zozydzenia téj niewczesnej ciekawości, rozpoczyna rzecz następującym dwuwierszem poety:

„Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego,  
„Zaczęła się najskromniej od słowa dla czego“ (str. 30).

Wreszcie ci, co na widok bosych stóp i nagiego ciała poety kręcą głowami, nie mają racyi, bo oto powiada Mickiewicz:

„Ciało jest małym światem, dusza książką małą,  
„W której spisano wszystko, co się w świecie stało.

(str. 28). Nie jestże to przekonywujące?

I w podobny sposób autor załatwia się ze wszystkimi kwestyami, będącemi w związku z projektem pomnika, dowodząc zawsze że projekt genialny Matejki wszelkim wymaganiom odpowiada—i paląc kadzidła na cześć „mistrzów.“

W ustępie X dając odpowiedź na pytanie: „dla czego Matejko malarz, kieruje pracami rzeźbiarzy?“ powiada między innymi, że „taki potężny rysownik, tak głęboki znawca linii, już tém samém kwalifikuje się i posiada warunki do kierowania sprawą pomnika Mickiewicza, warunki większe od innych.“ Nie pozostaje nic innego, jak wierzyć autorowi. Bo wreszcie „czy berło złote, jakie naród ofiarował, nie daje Matejce prawa panowania w krainie sztuki—czy chcemy go—woła z dramatyczném namaszczeniem—detronizować, nie mając następcy!“ (str. 51).

Broszura kończy się „Słowkiem o mistrzu Janie Matejce, o jego działalności artystycznej i uznaniu u obcych,“ w którym hr. K. tak rzecz zagaja: „Matejko opatrnością zesłany dla narodu naszego, kocha ojczyznę miłością nieograniczoną i rozumie jasno, iż przeznaczeniem jego jest cierpieć i znosić cierpli wie przykrości. Matejko więc kocha i cierpi bez szemrania“ (str. 50). Tego nigdybyśmy się nie domyślili, czytając jak wyżej autor oddaje sprawiedliwość narodowi że umiał pojąć i uczuć swego mistrza!

Nie potrzebuje chyba dodawać, że wszyscy ci, co považają się być innego zdania niż autor, przejmują go świętem oburzeniem, pod wpływem którego odsądza ich i od znawstwa i bodaj od patriotyzmu. Dostało się więc sędziwemu J. I. Kraszewskiemu, za wydrukowane w „Kraju“ uwagi nad projektem Matejki, uwagi, mówiąc nawiasem, nacechowane wielką znajomością rzeczy; dostało się jeszcze więcej p. Władysławowi Łuszczkiewiczowi, dyrektorowi Muzeum narodowego i profesorowi szkoły sztuk pięknych w Krakowie (str. 46 i następne) za to, że będąc znawcą fachowym, nie dopatrył się w modelach wszystkich tych zalet genialnych, jakie im autor przyznaje. W zaśle-

piającym go ferworze rzuca się więc na swoją ofiarę z niewytlomaczoną jakąś zjadłością. Już to Łuszczkiewicza autor szczególnieź zdaje się mieć na wątróbce, choć trudno wyrozumieć: dla czego? Wszak ucziwie wypowiedanie zdania, i to zdania opartego na fachowej znajomości przedmiotu, nie powinien brać za zło autor, który sam ze swobody wygłaszania własnego sądu tak szeroko pozwolił sobie korzystać.

Jeszcze jeden niewinny figielek: oto w wydrukowanėj na końcu broszury liście członków komitetu pomnika, autor kazał wydrukować imię nienawistnego sobie Wł. Łuszczkiewicza drobniejszemi literami niż innych, snać żeby mu tém wyraźniej swoją wzgardę okazać. Z tegom się już serdecznie uśmieł.

W pobieżném tém sprawozdaniu z pracy hr. K. nie biegłem wślad za myślą autora, gdyby bowiem przyszło punkt po punkcie zbijać go i prostować — wypadłoby napisać rozprawę takiej jak sama broszura objętości, a jak to z przywiedzionych cytát czytelnik łatwo wynioskować może, robota taka nie miałaby celu. Dodam tylko, że z metodą i logiką harmonizuje przedziwnie i styl autora, pełen przednich kwiatków, których przytaczaniem nie będę zresztą trudził czytelnika.

W ogólności po przeczytaniu broszury, pozostaje dziwny niesmak: gdyby wyszła była bezimiennie, to sądziłbym że pochodzi z pod pióra znanego krakowskiego stylisty i niestrudzonego komentatora obrazów Matejki.

*Karol Matuszewski.*

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

— 336 —

Rzut oka na sytuację ogólną stosunków europejskich. — Wskreszenie floty czarnomorskiej. — Germanizacya szkoły w W. ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich w sejmie pruskim. — Wymarzone „rozruchy“ galicyjskie. — Ruch życia umysłowego polskiego: Trzy odczyty prof. St. hr. Tarnowskiego w Warszawie (30 kwietnia, 3 i 4 maja r. b.) na dochód Osad rolnych i Towarzystwa ubogich Matek: „O literaturze polskiej za panowania Stefana Batorego. — Doroczne posiedzenie Towarzystwa historyczno-literackiego d. 3 maja w Paryżu: konkurs imienia J. U. Niemcewicza, odczyt p. Kallenbacha „O panowaniu Stefana Batorego.“ — Konkurs imienia Adama Chojackiego z funduszu na cele oświaty ludowej, pod zawiadywaniem Uniwers. warszawskiego. — Doroczne walne posiedzenie uroczyste Akademii umiejętności w Krakowie dn. 22 maja 1886 r. — Konkursy Akademii. — Przegląd zwyczajnych czynności: Posiedzenie sekcji matematyczno-przyrodniczej z dn. 15 i 17 kwietnia i 20 maja; wydziału historycznego 15 kwietnia i 18 maja; wydziału filologicznego z dn. 13 maja. — Czynności w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: August hr. Cieszkowski: „O archiwach weneckich,“ oprócz tego czytano rzecz „O pamiętnikach generała Lewickiego.“ — Ruch teatralny: „Osaczony“ p. Lubowskiego; „Co zwycięża“ p. Hajotę. — Sprawa sprzedaży akcyi drogi żelaznej Dąbrowskiej. — Instytucyo ubezpieczeń życiowych. — Sprawozdanie warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia za rok 1885. — Towarzystwo popierania przemysłu i handlu. — † Leopold Ranke, historyk niemiecki. — † Jerzy Waitz.

„Koncert europejski“ uszczęśliwiony, że jego fikcyja nie rozbiła się zupełnie na tej rafie, którą kwestyją wschodnią zowiemy; „nowinkarzo“ polityczni uszczęśliwieni, że im się udało bałamucić chociaż przez kilka chwil zacierzewanym wrogów kultury narodu polskiego przez sensacyjne „wieści z teatru powstania“ w Galicyi, którego ani śladu nie było; Rosya dumna z faktu odrodzenia czarnomorskiej floty rosyjskiej; Niemcy trwożliwi zawsze o swoje bezpieczeństwo zewnętrzne nie przestają uzbrajać państwa w coraz ostrzejszą broń dla zabezpieczenia spokoju wewnętrznego, nie cofając się przed żadnym eksperymentem ekonomicznym; Włosi rozbierają poważnie dalsze skutki prowadzonego na półwyspie italskim „transfor-

mizmu;" uwagę Anglii zajmuje przeważnie sprawa irlandzka i grecka; grandowie hiszpańscy uszczęśliwieni narodzeniem się króla, a „Rzeczpospolita francuzka,“ odegrawszy nieco odmienną rolę w koncercie europejskim przy sprawie greckiej, przestraszona koligowaniem się dynastyi portugalskiej z rodziną książąt orleańskich, stara się jak najgorliwiej naśladować baniecy pruskie, kując „prawa wyjątkowe“ co do swobodnego zamieszkiwania członków rodziny dawniej we Francyi panujących w granicach republiki, która powinna przeciw wszystkim obywatelom zapewnić równość praw — i żądać po nich równych obowiązków.

Tymczasem przechodzą sprawy wschodnie ze stanu zapalnego w stan swój zwykły — chroniczny. „Wojowniczość“ grecka spoważniała w obec pancerników europejskich. Zwołany na sesyą nadzwyczajną parlament wypowiedział się bardzo wyraźnie za pokojem. Przywódzca stronnictwa pokojowego, Trikupis, niedawno zdracją okrzyczany, został bohaterem „narodu,“ który ubóstwianego co tylko i wszechwładnego niedawno Delyanisa, sromotnie zepchnął z zajmowanego piedestału obrońcy wolności greckiej. Taka to już doła „aura e popularis.“ Zjazd dyplomatów w Liwadyi utrwała za granicą przekonanie, że Rosya nie opuści koncertu europejskiego, i że mimo pewnej różnicy ruchów floty rosyjskiej na wodach greckich, w przyszłości trzymać się będzie polityki reszty państw europejskich. Nie tylko w kwestyi greckiej, ale również i w bułgarsko-rumelijskiej nie obawia się Europa — jak głoszą dyplomaci — separatystycznego zachowania się ze strony Rosyi. Tymczasem fakt odrodzenia się floty czarnomorskiej pod okiem i błogosławieństwem cesarza budzi w prasie rosyjskiej pełne podniosłych nadziei myśli. „Rosya znowu władać poczyna morzem,“ piszą „Mosk. Wied,“ które w dawnych czasach nazywało się słusznie rosyjskiem. Dla Sewastopola nastąpił wreszcie dzień zmartwychwstania. Po pierwszym pancerniku nastąpi drugi, potem trzeci. Piętnaście lat upłynęło od chwili odnowienia się praw naszych do Czarnego morza. Okoliczności opóźniły ich urzeczywistnienie, lecz miejmy nadzieję, że nadal sprzyjać będą utwierdzeniu potęgi rosyjskiej na tém morzu, tak nieodzownie potrzebnem dla pomyślności i pokojowego rozwoju ojczyzny. Żadne wypadki, żadne niepowodzenia lub komplikacye nie są w stanie zachwiać w sercach rosyjan nadziei w przeznaczanie Rosyi i tryumf jój sprawy na Wschodzie. Próżne byłyby czyjekolwiek starania, by zmienić naturalny bieg rzeczy. Można go zatrzymywać, przerywać nawet; lecz za przyszłość ręczy historia, która świadczy, że wszystko, nawet kłeski wychodzą na dobre sprawie żywotnej.“ — „Nowosti“ oświadczają przy téj sposobności, „że odrodzenie się doków oraz zbudowanie nowych pancerników w zatoce sewastopolskiej jest początkiem formowania się południowo-rosyjskiej potęgi morskiej dla urzeczywistnienia zadań historycznych, jakie Rosya ma do spełnienia na Wschodzie... Projektowane przez Europę rozstrzygnięcie kwestyi bułgarskiej i greckiej odpowiada interesom Rosyi tylko pod względem utrzymania pokoju europejskiego; lecz sam

sposób regulowania téj sprawy sprzeciwia się historycznemu zadaniu Rosyi na półwyspie bałkańskim. Ze strony formalnej rozwiązana jest sprawa bułgarska, z faktycznej zaś — wprowadzoną dopiero na porządek dzienny.“

W kolei środków, obmyślanych przez rząd pruski dla wytepienia narodowości polskiej, obradowano w sejmie pruskim, po załatwieniu ugody kościelno-politycznej, nad zmienieniem szkoły w dawnych prowincjach polskich. Dyskusya, jakkolwiek nadzwyczaj doniosła, bo nawet komisya sejmowa uznawała, że sprawa jest do tego stopnia zasadniczą, iż dla uchwalenia prawa potrzeba żądać zarazem zmiany konstytucyi, przedstawiała jednak w ogóle smutny tylko obraz pasowania się skrupowanej sprawiedliwości z przemocą siły brutalnej, ponieważ rezultat obrad, choćby w nich wszyscy apostołowie i prawnicy korony udział wzięli, z góry był przesądzony i postanowiony przez potulne narzędzia urzędu kanclerskiego. W przebiegu rozpraw wyróżniały się głosy posłów Zakrzewskiego, ks. Stablewskiego i Windhorsta. Postanowiono tedy, że przy obsadzaniu posad nauczycielskich w W. Ks. Poznańskim i Prusach zachodnich, dozory i deputacye szkolne, równie po wsiach jak i po miastach mogą wyrazić swe życzenia, a nawet zanieść zażalenie przeciw powołaniu niemiłych sobie nauczycieli, ale władzą mianującą nauczycieli będzie odtąd rząd. Wyjątek stanowią miasta, tworzące osobne okręgi szkolne, jak: Poznań, Bydgoszcz, Gdańsk, tudzież powiaty przeważnie protestanckie: wałecki, malborski, suski i elblązki, niemniej i te miasta zachodniopruskie, których ludność przewyższa cyfrę 10,000 i które tego wyjątku zażądają. Ponieważ takie postanowienie sprzeciwia się artykułowi 112-mu (i 24-mu) konstytucyi pruskiej, dla tego zniesiono ten artykuł w granicach powyżej wskazanych. Rząd ma odtąd prawo karać nauczycieli i nauczycielki w drodze dyscyplinarnej, przerzucać ich z miejsca na miejsce w interesie dobra służby przy zapewnioném wynagrodzeniu za kosztą przenosin.

Od rozswywołonych bułgarów prowadzi patryotyzm publicystów prasy rosyjskiej a w części i niemieckiej prosto na wymaginowy „teatr powstania w Galicyi,“ którego nasi najserdeczniejsi tak bardzoby sobie życzyli. Kronikarzowi szukającemu genezy téj baśni, zastanawiającemu się nad znaczeniem i doniosłością téj gadaniny — nasuwają się uwagi następujące. Do przepowiedni Nostradamusa o Wielkiéjnoicy na Ś. Marka, jako terminie końca świata, przymieszało się nieco sztucznej agitacyi, którą epigonowie „wersalskich dzieci“ i domorośli reformatorowie skwapliwie — choć nierozważnie wyzyskali dla podrażnienia zagojonych antagonizmów między dworem a chatą, między jednym plemieniem a drugim z pewną przymieszką kwasów wyznaniowych. Pogłoski z karczyny wiejskiej dostały się do miast większych, niektóre dzienniki i tygodniki, polujące na wieści efektowne i przyznające sobie monopol wielkiej czujności i gorliwości o dobro publiczne, wy-

dęły tę bańkę mydlaną do wielkich rozmiarów, — a ztamtąd dostała się ona do gazet wiedeńskich centralistycznych i zagranicznych, gdzie już na seryo rozprawiano o rozruchach ludowych, o rzezi szlachty i t. p., upragnionych objawach życia „narodowego“ polskiego. Nie możemy twierdzić, aby stosunki galicyjskie nie potrzebowały naprawy; ale tój nie uskutecznią korespondenci gazet, tylko praca cicha a wytrwała, dążąca do tego, aby usunąć szkodliwość działalności starozakonných, jako jedyne go żywiołu eksploatującego równie dwór jak i gromadę, aby zapobiegać przechodzeniu dworów w ręce żydowskie, które psują robotę umoralnienia ludu wiejskiego, aby uporządkować sprawiedliwie wysokość cyfry podatkowej, aby pod wpływem światłej naczelnój władzy duchownej, która się zwolna odmładza, pobudzić duchowieństwo parafialne do energicznój, prawidłowój pracy, aby oświacie ludowój nadać kierunek praktyczny, odpowiedni, usuwając z programu szkółki wiejskiej to, co tam jest przesadne go, co służy tylko do pobudzenia proletaryatu inteligencyi, lecz nie rozłącza swoich ożywczych promieni prawdziwój oświaty na ogół ludu. Politykomania rozszerzyła zbyt szeroko swoje koło: rozprawiamy, piszemy może zawiele na wiatr w zakresie spraw społecznych a zamało pracujemy spokojnie i praktycznie. Zamiast dążyć do zgody między różnymi warstwami społecznymi, to pod wpływem reminiscencyi historycznych znajdujemy pewne upodobanie w drażnieniu jednego „stanu“ przeciw drugiemu, — zamiast eksploatować wszystkie warstwy na rzecz dobra publicznego, to spotykamy więcej apostołów propagujących zasadę wyzyskiwania jedne j warstwy przez drugą! Tym sposobem nie goją się rany społeczne; ale się coraz bardziej zaogniają, o czém zdają się zapominać ci publicyści, którzy po r. 1846 i 1864-ym niby nowi Donkiszoci wojują jeszcze przeciwko przywilejom szlachty. Mamy jednak nadzieję, że gruntowna praca umysłowa przyniesie i na tём polu pewne upamiętanie — i wyda owoc upragniony!

Na polu ruchu umysłowego w społeczeństwie polskiem mamy do zaznaczenia następujące fakta pocieszające:

W ostatnich dniach kwietnia i w początku maja słuchaliśmy w Warszawie trzech Odczytów prof. St. hr. Tarnowskiego „O literaturze polskiej za panowania Stefana Batorego.“ Szanowny prof. przedstawił z właściwemu sobie mistrzostwem słowa epokę, bogatą nie tylko w świetne czyny wojenne i polityczne; ale obfitą także i w dzieła unysku ludzkiego. Wyszedłszy z grobowca wielkiego króla, wskazał na znaczenie dzieł Jana Kochanowskiego z tój epoki, poczem mówił o jego naśladowcach (Sęp Szarzyński, Tobiasz Wiszniewski, Grochowski, Miaskowski, Klonowicz), od których postąpił do historyków (St. Orzechowski, Łukasz Górnicki, Solikowski, Orzelski, Warszewicki, Sarnicki, Heidenstein, Strykowski i Joachim Bielski), pomiędzy którymi najszczegółowiej rozbierał dzieło Heidensteina. Ostatni odczyt poświęcił sz. prof. pisarzem, zajmującym się sprawą reformy politycznej

i społecznęj za Stefana Batorego. Główną uwagę poświęcił tu uczony prelegent czterem postaciom, mianowicie: Łukaszowi Górnickiemu (*Rozmowa o elekcyi; Droga do zupełnej wolności*), Krzysztofowi Warszawickiemu, apostołowi hiszpańskiego absolutyzmu, biskupowi Wereszczyńskiemu, nawołującemu do poprawy wewnętrznej w celu wyparcia Turków z Europy — i najważniejszemu ks. Piotrowi Skardze, którego działalność wymownemi skreślił słowy. Nie wątpimy, że rzecz tak piękna i głęboko naukowa nie pozostanie w ukryciu, ale ukaże się niebawem w druku.

Dnia 3-go maja odbyło się w sali biblioteki polskiej w Paryżu doroczne walne posiedzenie towarzystwa historyczno-literackiego, na którym, po odczytaniu sprawozdania za rok ubiegły o stanie biblioteki, liczbie korzystających z biblioteki (mniejszej w porównaniu z latami dawniejszemi) o dochodach (25,454 fr.) i wydatkach towarzystwa (17,084 fr.) wspomniano także o posiedzeniach i odczytach miesięcznych w ciągu roku minionego. Z tego dowiadujemy się, że czytali rozprawy naukowe następujący członkowie towarzystwa: P. L. Niedźwiecki czytał rozprawę: „Uwagi o powszechnym diapazonie ze zwrotem ku badaniom Hoëne-Wronskiego;“ p. Waliszewski „Ustęp z pamiętników Scypiona, marszałka nadwornego;“ p. Goldstein: „Kilka słów o antropologii żydów,“ p. Waliszewski ustęp z pracy: „Walka stronnictw i programów politycznych przed upadkiem rzeczypospolitęj;“ p. J. Kallenbach: „Wspomnienie o Hip. Błotnickim.“

Co do sprawy konkursu dowiadujemy się, że mimo przedłużonego terminu dwuletniego nie nadeszło żadnej pracy na temat konkursowy, ogłoszony przed 4-ma laty pod tytułem: „Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładniej znanych sejmów (1548) aż do zagęszczającej się praktyki *liberum veto* w wieku XVII? Czy i jakie starania zdążyły do jego naprawy? Co jęj przeszkadzało?“ Zgodnie tedy z warunkami, ogłoszonymi dn. 3-go maja 1884 r. nagrodzono dwóch autorów dzieł historycznych, które w ciągu ostatnich lat czterech wyszły z druku i za najlepsze uznane zostały. Na wniosek uproszonej w tym celu Akademii umiejętności w Krakowie z dnia 17-go kwietnia r. b., przyznała Rada towarzystwa przewidziane nagrody dwom autorom, mianowicie p. Tadeuszowi Korzonowi za dzieło „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława-Augusta“ Kraków 1882—1886, t. 4, i Ludwikowi Kubali za dzieło: „Jerzy Ossoliński. (Lwów 1883). Za radą również Akademii umiejętności w Krakowie towarzystwo wyznaczyło na czas 1886—1888 r. nowy konkurs następujący: „Opracowanie monograficzne, (oparte na wyczerpującem użytkowaniu wydanych dotychczas materyatów), dowolnie obranego przedmiotu z zakresu historii stosunku politycznego między Litwą a Polską od r. 1386 do 1569.“ Żądana praca w języku polskim obejmować ma najmniej 10 arkuszy druku. Termin ostateczny przestania rękopisu pod adresem sekretarza Akademii w Krakowie lub se-

ekretarza towarzystwa w Paryżu (6, quai d'Orléans) dn. 15-go lutego 1888 r. Nagroda 1800 franków, które mogą być rozdzielone na dwie: 1200 i 600 fr. Po odczytaniu sprawozdania miał p. J. Kallenbach, wychowaniec uniwersytetu krakowskiego, odczyt o znaczeniu historycznym panowania Stefana Batorego w Polsce, a to na cześć zbliżającej się 300-sto letniej rocznicy zgonu tego znakomitego monarchy.

„Konkurs z funduszu Ad. Chojnackiego na cele oświaty ludowej.“ Ś. p. Adam Chojnacki, obywatel ziemski zapisał przed kilkunastu laty w testamencie poważny kapitał jako fundusz na nagrodę za dzieła poświęcone „celom oświaty ludu.“ Wykonanie ostatniej swój woli porучzył Uniwersytetowi Warszawskiemu, a ten ogłosił w skutek decyzji fakultetu historyczno-filologicznego dla ubiegania się o nagrodę Adama Chojnackiego w latach 1886—1888 temat: „Krótki rys historyczny wyparcia lechickich Słowian przez Niemców z nad Elby, Odry, Wisty i półwyspu morza Bałtyckiego, ze szczegółowym wyjaśnieniem przyczyn tego zjawiska.“

Dzieło powinno zawierać w sobie: 1) Ogólny obraz rozmieszczenia lechickich Słowian, t. j. Bodryczów, Lutyków, Pomorzian i Polaków, w IX—XI stuleciach, z dodaniem historyczno-geograficznej mapy. 2) Krótki rys stopniowego zmniejszania się terytorium lechickiego od zachodu w epokach średniowiecznej i nowszej, z dodaniem map XV i XIX wiek. 3) Dokładne wyjaśnienie przyczyn stopniowej przewagi Niemców nad Słowianami lechickimi, ze szczegółowym zwróceniem uwagi na sprzyjające tej przewadze warunki a) plemienne, zależące od osobliwości fizycznego i psychicznego typu jednych i drugich; b) kulturowe (?), w szczególności zaś polityczne, społeczno-ekonomiczne i religijno-moralne. W tym ostatnim dziale należy w badanym zjawisku dokładniej przedstawić rolę niemieckiej kolonizacji (w związku z napływem żydów), łacińsko-niemieckiej szkoły i zachodniego kościoła <sup>1)</sup>. Warunek zasadniczy: Wykład zrozumiały dla wszystkich, a zarazem zupełna obiektywność i naukowa ścisłość treści. Nagroda przyznana będzie w ilości rs. 900. Dzieło powinno być nadesłane nie później, niż 30 kwietnia r. 1888. Powinno być napisane w języku rosyjskim i przez rosyjskiego poddanego: bądź to już drukowane, bądź też w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim lub polskim pozostawia się uznaniu autora.

Odłożone w r. b. z dnia urzędowego 3-go maja posiedzenie publiczne Akademii umiejętności w Krakowie, odbyło się pod przewod-

<sup>1)</sup> Zastanowić musi każdego tak wyraźnie wskazana tendencja, w jakiej pożądanego dzieła ma być napisane obok zastrzeżonej „zupełnej obiektywności.“ Szkoła łacińska i kościół zachodni stanowią przeciwieństwo warunków indywidualności państwa lechickiego.



nictwem vice-protektora J. E. Alfr. hr. Potockiego, zastępującego protektora Akademii, J. Ces. Wys. Arcyks. Larola Ludwika, dnia 22-go maja. Po odpowiednim zagajeniu posiedzenia przez J. Eksc., który, wskazawszy jedyne warunki prawdziwego postępu i organicznego rozwoju nauk, wspomniiał o bolesnej stracie, jaką poniosła Akademia przez śmierć Kaz. hr. Stadnickiego, autora „Synów Gedymina,” prezes Akademii, dr. Majer, nawiązując odpowiedź swoją do słów J. Eksc. uważającego przyszłość za wynik przeszłości, wskazywał „obowiązek ciężący na teraźniejszości, będącej polem działania każdej generacyi, po którego zakresie i skutkach osądzi ją kiedyś historia. Ażeby sąd ten nie wydał wyroku potępienia, teraźniejszość pamiętać powinna, że jest ogniwiem łączącym przeszłość z przyszłością, dla której nie byłaby skutecznym posiewem, gdyby to, co po sobie zostawiła przeszłość, zmarniało w niej bez skutku i śladu.

Oglądanie się na przeszłość, nienaruszanie tego, co stoi gotowe, to konserwatyzm; przysparzanie warunków korzystnych przyszłości, to postęp. Skuteczność tych czynników warunkuje się nawzajem. Konserwatyzm rozumny zabezpiecza prawidłowy rozwój; ale bezwzględny, przy złém i dobrém zarówno stojący,—to zbezwładnienie, zastój, martwość, w obec której o postępie mowy być nie może. Postęp rozumny nie marnuje tego, co przeszłość przyniosła dobrego, ale działanie na własną rękę, bez oparcia się na doświadczeniu i zdobyczach przeszłości, nie byłoby postępem, lecz błękaniem się po manowcach, puszczeniem się na oślep po nieznanym, niepewnym, często niebezpiecznych bezdrożach. Rozum zatem, stojąc tu na straży, obu kierunkom słuszną miarę wskazywać powinien.

Jeżeli pamięć o dostarczaniu przyszłości tego żywotnego posiewu nigdy opuszczać nas nie powinna, to w tym właśnie czasie, jak na wszystkich innych polach działania, tak i na tém, które nam przypało w udziale, obowiązek ten groźnie staje przed oczyma! Dziś bowiem praca na tym skrawku ziemi dopełniać musi tego, do czego nie ma pola w innych dzielnicach. W tém przekonaniu któżby pożałował pracy? Czy skutki pracy naszej odpowiadają temu wysokiemu zadaniu? Sami orzekać o tém nie możemy i nie chcemy. Są one w ręku równych z nami pracowników na polu nauki, do nich sąd o nich należy. Poważne instytucye w kraju i za krajem, w Europie i poza Atlantykiem, zawiązują z nami naukowe stosunki, żądają prac naszych i wzajem ofiarują własne.

Nie budzi to w nas zarozumiałości, owój w najprostszym znaczeniu nieprzyjaciółki postępu; jednakże jako jedna z podniet zagrzewających do wytrwałości w pracy, obojętną być też dla nas nie może. Jeżeli pracy téj zawdzięczamy jakiegokolwiek skutki, to drogi jaką szliśmy dotąd, nie mamy powodu opuszczać i nadal.“

Potém sekretarz generalny akademii, prof. St. hr. Tarnowski, zdał sprawę z ruchu naukowego i administracyjnego w roku ubiegłym, uczciwszy pamięć zmarłych członków Akademii, Kaz. hr. Stad-

nickiego, Aleks. Szukiewicza i Maksym. Zatorskiego. Następnie przeczytał prof. St. dr. Smolka studyum p. t.: „Rok 1386 w dziejach Polski i Litwy.“ Podanie kandydatów na członków Akademii oraz sprawozdanie z konkursów zakończyło tę uroczystość. Na członka korespondenta II-go wydz. proponowano ks. prałata Edw. Likowskiego na członka koresp. III wydz. Emila Godlewskiego, prof. szkoły rolniczej w Dublanach.

Temata do nowych prac konkursowych, w części już dawniej opublikowane, w części nowo ogłoszone,—są:

1) „Wpływ i znaczenie królowej Bony w rozwoju humanizmu polskiego.“ Termin składania rękopisów do 1 marca 1887 r. Nagroda 160 złr.

2) „Opracowanie klimatografii Galicyi“ — ogłoszony 5-go maja 1883 r. Termin 1 lipca 1887 r. Nagroda 1000 złr.

3) „Historia kościoła powszechnego w życiorysach“—ogłoszony 6 czerwca 1885 r. Termin koniec grudnia 1886 r. Rękopis 30 arkuszy druku. Nagroda 600 rubli, może być rozłożoną na dwie 400 i 200 rubli.

4) „Prace leksykograficzne, monografie z zakresu gramatyki, historii języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi.“ Termin koniec grudnia 1888 r. Nagroda 375 rubli najlepsza, dwie następne co do wartości po rs. 337 każda.

5) Dwie nagrody 200 i 100 złr. za wypracowania z pomiędzy tematów: a) Jana Długosza służba publiczna od r. 1466—1480; b) Zatarg Kazimierza Jagiellończyka z biskupem warmijskim; c) Rządy Władysława Opoleczyka na Rusi; d) Stosunki Polski do Inflant za Zygmunta-Augusta aż do poddania się Inflant. Prawo ubiegania się służy tylko studentom akademii. Termin 1 czerwca 1888 r.

6) Konkurs z funduszu dr. Wład. Kretkowskiego, ogłoszony po raz drugi bez skutku, postawiony będzie stosownie do woli testatora po raz trzeci z terminem ostatniego lutego 1888 roku.

Doroczne posiedzenie komisji fizyograficznej Akademii umiejętności w Krakowie, które się odbyło dnia 15 kwietnia b. r. pod przewodnictwem prof. d-ra St. Kuczyńskiego, przedstawia nam z jednej strony obraz całorocznej działalności członków tej komisji w zakresie badań kraju pod względem przyrodniczym, a z drugiej strony rzuca światło na ogólny plan projektowanych prac i zatrudnień komisji na rok następny. Ze sprawozdania zarządu komisji o pracach już dokonanych widać, iż brali w nich udział liczni członkowie, pracujący w zakresie geologii, paleontologii, botaniki i zoologii. P. Ławnicki przedstawił prace: 1) „O utworze stódkowodnym trzeciorzędowym na Podolu galicyjskiem“ i 2) „Zapiski geologiczne“ w tejsze krainie; pp. Bieniasz i Zaręczny badali, pod

względem geologicznym, pierwszy wschodnią Galicyą, a drugi okolice Krakowa; p. G. Olchowski badał dalej jaskinie krajowe; p. Stabiecki zebrał materyały do fauny okręgu krakowskiego; p. Wierzajski dał pracę „O gąbkach słodkowodnych galicyjskich;“ p. Kotula „O zaciąg pionowym roślin naczyniowych w Tatrach, część I-sza;“ p. Boberski „Przyczynek do lichenologii Pienin;“ p. Zalewski „Zapiski roślinnicze z Królestwa Polskiego i Karpat;“ p. Raciborski opisał „Pelit niepołamski“ i „Uredineae“ (materyały do flory omarów Polski). Z rozpoczętego wydawnictwa atlasu geologicznego Galicyi ukończone zostały 4 arkusze, które nie wyszły jeszcze w świat dla tego, iż z powodu długięj i ciężkięj choroby głównego redaktora tęj publikacyi, prof. dr. A. Altha, tekst do części opracowanęj nie mógł być ukończony. Przy pracach literackich niektórzy delegaci przedstawili i zbiory zdobyte podczas wycieczek. P. Bieniasz złożył zbiór geologiczny badanych przez siebie miejscowości Galicyi wschodnięj; p. G. Ossowski liczne okazy fauny dyluwialnęj z jaskini Wierzchowskięj-Górnęj, znalezione w namulisku aluwialném tęj jaskini; p. Krupa zbiór Rodniowców z rozmaitych miejscowości; p. Raciborski zbiór omarów; p. Wiśniewski zbiór fauniczny z jezior Czarnohory; p. Karliński zbiór much i wijów. Niebrakło także i darów, złożonych w ciągu roku do zbiorów komisyi. P. Tarczyński ofiarował róg łosia kołpalnego, rogi żubra (*Bos primigenius*) i kilka innych szczątków zwierząt zaginionych, znalezionych w okolicy Płocka; p. J. Zieliński z płockiego—róg jeleni, znaleziony w Bugu; p. Ławnicki—trzy gatunki ślimaków dyluwialnych; p. Kotabka—zębro mamuta z pod Puław; p. Łapczyński, okazy paleontologiczne z okolic Szczakowęj; p. Raciborski, zbiór śluzowców. Redakcyje pism nadeszły do księgozbioru komisyjnego t. V-go „Pamiętnika Fizyograficznego,“ dwa tomy (XX i XXI) „Rocznika zakładu centralnego meteorologicznego“ w Wiedniu i tom X-ty „Pamiętnika tatrzańskigo.“

Na podstawie uchwał zapadłych poprzednio w oddzielnych sekcjach Komisyi, zatwierdzono projekt do prac fizyograficznych w roku bieżącym. Polecenia badań kraju otrzymali w sekcyi geologicznęj: p. Bieniasz, dalsze badania jaskiń krajowych; p. Zareczny, okolice Krakowa; p. Teyssyre, okolic Tarnopola; w sekcyi botanicznęj: pp. Krupa, badanie rodniowców Czarnęj-Hory; Trusz, okolice między Bugiem a Styrem; Raciborski, rewizyą dalszą zbiorów botanicznych; w sekcyi zoologicznęj, pp. Wiśniewski, badań jezior Czarnęj-Hory; Stobnicki, Podola galicyjskiego; Jelski, uzupełnienie zbiorów entomologicznych przez zastąpienie okazów zniszczonych nowemi.

Z zatwierdzonych cyfr budżetowych widać, że z ogólnęj sumy dochodu komisyjnego 6,100 ztr., przypada w roku bieżącym na druk tomów XX i XXI sprawozdań Komisyi ztr. 1,400; na wydawnictwo atlasu geologicznego Galicyi 781; na personel i wydatki drobne 619;

na wycieczki w sekcji geologicznej 1,200; zoologicznej 600, botanicznej 750, meteorologicznej złr. 350.

Wybór przewodniczącego na rok następny padł jednomyślnie na prof. dr. St. Kuczyńskiego, który już trzynaste lat przewodniczy Komisji. Gdy zaś ten, odwołując się do kilkakrotnie wyrażonej w latach poprzednich rezygnacji z tej posady dla wieku i sił nadwątłych, niniejszego wyboru przyjąć nie mógł, członkowie komisji wyrazili uczucie wdzięczności za tyloletnią gorliwą i niezmordowaną działalność jego dla spraw Komisji, poczem zarządzano wybór nowy, który większością głosów padł na prof. d-ra Rostafińskiego. Na sekretarza Komisji wybrano d-ra Wł. Kulczyńskiego; na nowego członka Komisji zaproszono d-ra Teysejre.

Dnia 17-go kwietnia odbyło się posiedzenie wydziału matem.-przyrod. pod przewodnictwem dyrektora dr. Teichmanna. Sekretarz prof. Kuczyński przedstawił XIV-ty tom „Rozpraw i Sprawozdań“ wydziału matem.-przyrod., który z początkiem kwietnia wyszedł z pod prasy, tudzież odczytał: a) sprawozdanie prof. Martensa o pracy p. Dicksteina pod tytułem: „O twierdzeniu Crocchi'ego;“ b) sprawozdanie prof. Frankego o pracy dr. Mieczysława Łazarzkiego pod tytułem: „O konstrukcyi i własnościach krzywych rzędu czwartego z punktem potrójnym.“ Prof. dr. Rostafiński zdał sprawę z pracy p. Brauna pod tytułem: „Rosae a C. D. Dre Wołoszczak in agro Leopolditano anno 1885 lectae.“ Prof. dr. Adamkiewicz wyłożył rzecz: „O budowie ciała i jądra zwojowego.“ W dyskusyi nad tym przedmiotem brali udział: dr. Teichmann, dr. Rostafiński, dr. Majer i dr. Adamkiewicz. Na posiedzeniu administracyjnym, które się odbyło w dalszym ciągu poprzedzającego, odesłano wyżej wspomniane rozprawy pp. Dicksteina i Łazarzkiego do komitetu wydawniczego, rozprawę zaś p. Brauna do komisji fizyograficznej. Następnie wybrano dwóch delegatów (dr. Kuczyńskiego i dr. Rostafińskiego) do komisji, mającej się zająć wypracowaniem umotywowanej opinii w sprawie utrakwizmu w średnich szkołach Galicyi wschodniej, poruszonej wnioskiem posta prof. Małeckiego. W tajnym głosowaniu obrano ponownie dyrektorem wydziału na następne dwa lata prof. dr. Teichmanna. Nakoniec zatwierdzono wybory następujących nowowybranych członków komisji fizyograficznej: p. Maryana Raciborskiego, asystenta przy katedrze botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim, p. Stefana Stobieckiego, asystenta przy katedrze mineralogii w c. k. szkole politechnicznej lwowskiej i p. Wawrzyńca Teysejrego, asystenta przy katedrze mineralogii w uniw. Jagiell.

Posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii umiejętności 20 maja b. r., pod przewodnictwem dr. Teichmana, poświęcone było przeważnie rozprawom treści matematycznej. Sekretarz wydziału, prof. dr. St. Kuczyński, przedstawił

wydziałowi następujące rozprawy: 1) p. Stodołkiewicza *a)* o dwóch układach równań różniczkowych o różniczkach zupełnych, *b)* dowód sposobu Bertranda na całkowanie równania różniczkowego o różniczkach zupełnych z wielu zmiennymi; 2) prof. Zajęczkowskiego: teoria ogólna równań różniczkowych liniowych jednorodnych z jedną zmienną niezależną; 3) p. Dicksteina, wraz z jej oceną przez prof. Martensa; 4) dr. Birkenmajera, „Nowa teoria kształtu i grawitacji sferoidu ziemskiego;“ 5) p. Rogozińskiego, „Materiał do zestawienia warunków klimatycznych zatoki Białej;“ 6) dr. Rumszewicza: „śródoczne mięśnie u ptaków, wraz z oceną jej prof. Nowickiego; 7) p. G. Ossowskiego, „o wołynicie z oceną jej przez prof. d-ra A. Altha;“ 8) p. Niemętowskiego, z oceną prof. Czzyrniańskiego; 9) d-ra Schrama, zaleconą przez prof. Radziszewskiego. W końcu nastąpiło posiedzenie administracyjne.

W dniach 17 kwietnia i 18 maja odbyła komisya historyczna posiedzenia, na których zdawano sprawę z postępu jej wydawnictw. Oznajmiono tedy *a)* o wyjściu z druku 3-go tomu archiwum komisji, oraz *b)* 2-go tomu Pamiętnika ks. Wielowieckiego, jezuita 1600—1608, *c)* o bliskim ukończeniu 2-go tomu Kodeksu dyplomatycznego Małopolskiego, oraz *d)* 2-go tomu korespondencji kardynała Hozyusza. Nadto dr. Wł. Abraham zdawał sprawę szczegółowo ze swoich poszukiwań w archiwum watykańskiem w Rzymie podczas zimy ostatniej; p. Zakrzewski zaś z poszukiwań w czasie przeszłej jesieni w archiwum miejskiem w Gdańsku. Oba sprawozdania uchwalono ogłosić w 4-ym tomie Archiwum komisji. Równocześnie odbyła posiedzenie komisya literacka, na którém przedstawiono wydany świeżo „Liber diligentiarum“ wydziału filozoficznego Uniwersytetu krakowskiego z lat 1487—1563, i oznajmiono o postępie druku 2-go tomu „Corpus poetarum latino-polonorum“ t. j. poezji Pawła z Krosna i Jana z Wiślicy, oraz powzięto uchwały co do dalszego prowadzenia tego wydawnictwa, mianowicie co do wydania poezji Krzyckiego.

Dnia 13-go maja, pod przewodnictwem dr. Estreichera, odbyło się zwyczajne posiedzenie wydziału filologicznego, na którém prof. Malinowski przedstawił odpis i podobiznę zabytków języka polskiego, z rękopisu wieku XV-go, zachowanego w bibliotece kapitulnej w Pradze. Jest to ustęp ewangelii św. Mateusza i homilia na dzień Wszystkich Świętych. Zawarte w homilii ustępy Pisma świętego, jako to: z Psalterza, z Izajasza, z Ewangelii, z listów św. Pawła, prelegent porównywał z jeduiej strony z tekstem Vulgaty, a z drugiej z odpowiedniami ustępami psalterza Floryańskiego i biblii Leopoldy, wyd. 1561. Wiadomo zaś, że ta ostatnia, jak to wykazał prof. Matecki, polega na jakimś dawniejszym przekładzie z w. XV-go, prawdopodobnie na tekście kodeksu Szarospatackiego. Z zestawień tych wypadła, że fragmenta polskie Pisma św., zawarte w kodeksie praskim, nie

opierają się bynajmniej na dawniejszych przekładach, lecz są oryginalnym tłumaczeniem lub parafrazowaniem Vulgaty. Godna uwagi, że język zabytku, z małym wyjątkiem, wolny jest od wpływów czeskich. — Następnie sekretarz złożył pracę p. N. A. Bruchnalskiego p. t. „O budowie zwrotek w poezji polskiej do J. Kochanowskiego,“ nadesłaną przez prof. Pilata ze Lwowa. Pracę tę oddano do referatu jednemu z członków. — Na posiedzeniu administracyjnym wydział wyznaczył na konkurs imienia ś. p. Kaspra Bieleckiego temat p. t. „Wpływ i znaczenie królowej Bony na humanizm.“ Na sekretarza wydziału wybrano ponownie prof. dr. L. Malinowskiego.

Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu zajmowało się w ubiegłym miesiącu następującymi sprawami. Prezes Towarzystwa p. August hr. Cieszkowski miał wykład o archiwach weneckich, a mianowicie o stosunkach Władysława Jagiełły z rzesząpospolitą wenecką. Ciąg to dalszy wykładu w tym samym przedmiocie z miesiąca stycznia roku bieżącego.

Na wstępie wykładu sz. prelegent wykazuje, że Władysław Jagiełło mimo przymierza ofiarowanego mu przez Wenecyą, zmuszony był ówczesnemi stosunkami politycznemi zawrzeć tak niekorzystny pokój z krzyżakami, jakim był toruński, i że z tego też powodu zarzutu robić mu nie można. Była to konieczność.

Dalej odczytał dokumenta z archiwów weneckich. Pierwszy z nich zawiera informacye i instrukcye rządu weneckiego dla posłów Mocenigo i Cantarini, udających się na zjazd do Budy.

Dalej z dnia 14-go kwietnia 1412 roku, powiadamiający Władysława Jagiełłę, że posłowie weneccy wyjeżdżają do Budy.

Z dnia 10-go maja 1412, zawierający instrukcyę dla posła Pawła Eremity.

Z dnia 13-go maja 1412, zawierający instrukcyę dla posłów Mocenigo i Cantarini.

Następnie kilka innych dokumentów także w sprawie rokowań w Budzie, pomiędzy cesarzem Zygmuntem a Jagiełłą się odbywających. Ostatni jest z stycznia 1413 r., poczem następuje przerwa a przynajmniej w archiwach weneckich nie znajdują się dokumenta, świadczące o dalszych stosunkach Wenecyi z Władysławem Jagiełłą.

Wszystkie powyższe starania dążyły do tego, by spowodować Władysława Jagiełłę do zawarcia z Wenecyą przymierza przeciw cesarzowi Zygmunтови.

Od r. 1419 znów się stosunki te zawiązują. Ostatni z dokumentów jest z dnia 13 stycznia 1424 wedle rachunku weneccyan, donoszący Władysławowi Jagielle o wysłaniu delegatów do obrzędu chrztu Władysława Warnieńczyka.

Niektóre z tych dokumentów nader ciekawe, wszystkie zaś stanowią bogaty materiał do charakterystyki chwili, oraz do obrazu dyplomacyi weneckiej. Niektóre też z nich, z wielkim mozołem, tru-

dem i kosztami z archiwów weneckich przez sz. prelegenta wydobyte i przepisane, drukowane będą w „Rocznikach Tow.“

Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego tegoż Towarzystwa, czytano dalszy ciąg bardzo zajmujących pamiętników generała Lewińskiego. Ustęp pomienionego odczytu wypełniła w przeważnej części charakterystyka działalności generała Umińskiego, która tém więcej zaważyć musi przy ocenianiu tego wodza, że Lewiński był przez czas dłuższy szefem sztabu korpusu, zostającego pod dowództwem Umińskiego, w stopniu pułkownika i wszystkie jego ruchy zna doskonale i ocenia bez namiętności. Umiński w pamiętnikach Lewińskiego przedstawia się bardzo niekorzystnie i jako wódz i jako człowiek. — Po odczycie wywiązała się krótka dyskusya, odnosząca się do zamierzonego wydania „Pamiętników“ w „Rocznikach Towarzystwa;“ zgodzono się jednomyślnie na to, że wydać je należy bez zmiany i bez wszelkich uwag, dbając jedynie o zupełną poprawność nazw w nich zachodzących, które niejednokrotnie przy przepisywaniu „Pamiętników“ uległy przekręceniu.

Towarzystwo imienia Mickiewicza. Dnia 8-go maja zawiązało się we Lwowie nowe Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, które obok szczenia czci tego największego poety naszego, wzięło sobie za zadanie zbieranie i porządkowanie materiałów, odnoszących się do pism i życia Mickiewicza, jakoteż do całego ruchu umysłowego, którego on był głównym przedstawicielem. Rozjaśnienie tych pism i tego żywota; stanowiska poety w literaturze polskiej; jego stosunku do swoich i obcych pisarzy, to cel Towarzystwa, a środkami, które służyć mają do osiągnięcia tych celów, ma być: utworzenie biblioteki ze wszystkich wydań dzieł poety, oraz i z tego, co o nim pisano w kraju i zagranicą; wydawanie pamiętnika literackiego imienia Mickiewicza; wydawanie pism poety w jak najlepszym układzie lub też popieranie usiłowań innych wydawców w tym kierunku; wreszcie urządzenie dorocznych obchodów ku czci Mickiewicza na własną rękę, lub wespół z innemi stowarzyszeniami. Na pierwszym tém posiedzeniu Towarzystwo się ukonstytuowało, statuta uchwaliło i poleciło wybranemu przez siebie sekretarzowi, panu Beźzie, przedstawić je w jak najkrótszym czasie do zatwierdzenia Namiestnictwu. Marszałek krajowy, powiadomiony o celach jakie sobie Towarzystwo wytknęło, z właściwą sobie życzliwością ofiarował jedną z sal w pałacu sejmowym dla zebrania członków. Jeden z punktów statutu zastrzega, że członkiem zwyczajnym zostać może ten tylko, „kto jest znanym z prac swoich historyczno-literackich, odnoszących się do okresu Mickiewicza, a także zasłużeni wydawcy pism jego i zbieracze materiałów do historii literatury tego okresu;“ ale zaraz następny paragraf otwiera furtkę dla innych także, gdyż powiada, że „nadzwyczajnym członkiem Towarzystwa może zostać

każdy miłośnik literatury ojczystej.“ Z zamieszkałych we Lwowie uczonych i literatów, zajmowali się daną epoką lub pisali o Mickiewiczu: Antoni dr. Małecki, dr. Józef Tretiak, Edward Pawłowicz, ksiądz Jan Siemieński, Bolesław Czerwieński, Wład. Beza, dr. Albert Zipper, dr. R. Pilat, Fr. Konarski i kilku innych. Jest więc dość spory zastęp pracowników, którzy w tém Towarzystwie wiadomości swoje i usiłowania mogą z korzyścią dla ogółu spożytkować.

Ze stołu konkursowego pierwsza na scenę wyskoczyła pięcioaktowa komedia p. Edwarda Lubowskiego, odznaczona trzecią nagrodą, improwizowaną i nieprzyjętą przez autora. Ta dobrowolna strata materyalna wynagrodziła mu się moralnie, bo utwór jego zyskał powodzenie bezsporne i trwałe. Zastępuje na to, chociaż nie jest to komedia doskonała, w dramatyczném znaczeniu tego wyrazu, gdyż brakuje jej jedności myśli i interesu. Autor, tworząc ją zapomniał o Moliere (wybaczamy mu Arystotelesa), a myślał więcej o Pailleronie, zapatrywał się na jego np. „Świat Nudów“, który sam niegdyś tłómaczył. Tylko Pailleronowi lepiej udało się zaprowadzić równowagę, a tém samém jedność pomiędzy satyrą towarzyską a intrygą sceniczną, gdy u p. Lubowskiego dwa te żywioły usiłują iść w parze, ale usiłowania nie dopisują, a satyra, zapewne mimowoli, w ciemny kąć zapędza to, co istotny dramat stanowi. Ztąd utwór jego podobny do pięknego z oblicza mężczyzny, mającego jakąś wadę organiczną, którą spostrzegłszy, powiadamy: szkoda!

Satyre swą, ową piękną i silną stroną organizmu swego dzieła autor kieruje przeciwko tym zgubnym instynktom naszego społeczeństwa, które, nawet przy tak świętej sprawie, jaką jest dobro publiczne w czasie najkrytyczniejszym, rządzą się względami osobistemi. Reprezentantów tego zbrodniczego samolubstwa przedstawił on sporą liczbę, a każdy z nich ma coś odmiennego, co go wśród innych odznacza. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nigdy jeszcze nawet w najlepszej swjej sztuce, w „Nietoperzach“ nie stworzył tyle wydatnych indywidualności. Rzecz idzie o wybór posta w jednym ze znaczniejszych miast galicyjskich, któryby godnie cele narodowe popierał w wiedeńskiej radzie państwa, i na ten ważny posterunek opinia publiczna przeznacza pełnego zdolności i poświęcenia człowieka, w osobie Władysława Wrzeckiego, szlachcica z zasadami umiarkowanie postępowemi, ale bez splendoru majątkowego i koligacyi. I cóż się dzieje? W sam dzień narady przedwyborczej, wszystkie stronnictwa obracają się przeciwko niemu. Księżę August, najbardziej wpływowy wśród wyborców, widzi w nim przeszkodę do swego zamierzonego romansu z hrabiną Stefanową; hrabina, która właśnie zawróciła sobie głowę tym kandydatem, nie rada puszczać go aż do Wiednia, chciałaby go zatrzymać przy sobie wbrew jego woli, bo Wrzecki kocha Jadwigę, młodą siostrę jej męża, ale to tembardziej drażni roznamiętnioną ku niemu hrabinę; więc i ta sprzeciwia się jego kandydaturze; a że jej



dem i kosztami z archiwów weneckich przez sz. prelegenta wydobyte i przepisane, drukowane będą w „Rocznikach Tow.“

Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego tegoż Towarzystwa, czytano dalszy ciąg bardzo zajmujących pamiętników generała Lewińskiego. Ustęp pomienionego odczytu wypełniła w przeważnej części charakterystyka działalności generała Umińskiego, która tém więcej zaważyć musi przy ocenianiu tego wodza, że Lewiński był przez czas dłuższy szefem sztabu korpusu, zostającego pod dowództwem Umińskiego, w stopniu pułkownika i wszystkie jego ruchy zna doskonale i ocenia bez namiętności. Umiński w pamiętnikach Lewińskiego przedstawia się bardzo niekorzystnie i jako wódz i jako człowiek. — Po odczycie wywiązała się krótka dyskusya, odnosząca się do zamierzonego wydania „Pamiętników“ w „Rocznikach Towarzystwa;“ zgodzono się jednomyślnie na to, że wydać je należy bez zmiany i bez wszelkich uwag, dbając jedynie o zupełną poprawność nazw w nich zachodzących, które niejednokrotnie przy przepisywaniu „Pamiętników“ uległy przekręceniu.

Towarzystwo imienia Mickiewicza. Dnia 8-go maja związało się we Lwowie nowe Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, które obok szerzenia czci tego największego poety naszego, wzięło sobie za zadanie zbieranie i porządkowanie materiałów, odnoszących się do pism i życia Mickiewicza, jakoteż do całego ruchu umysłowego, którego on był głównym przedstawicielem. Rozjaśnienie tych pism i tego żywota; stanowiska poety w literaturze polskiej; jego stosunku do swoich i obcych pisarzy, to cel Towarzystwa, a środkami, które służyć mają do osiągnięcia tych celów, ma być: utworzenie biblioteki ze wszystkich wydań dzieł poety, oraz i z tego, co o nim pisano w kraju i zagranicą; wydawanie pamiętnika literackiego imienia Mickiewicza; wydawanie pism poety w jak najlepszym układzie lub też popieranie usiłowań innych wydawców w tym kierunku; wreszcie urządzenie dorocznych obchodów ku czci Mickiewicza na własną rękę, lub wspólnie z innymi stowarzyszeniami. Na pierwszym tém posiedzeniu Towarzystwo się ukonstytuowało, statuta uchwaliło i poleciło wybranemu przez siebie sekretarzowi, panu Bekzie, przedstawić je w jak najkrótszym czasie do zatwierdzenia Namiestnictwu. Marszałek krajowy, powiadomiony o celach jakie sobie Towarzystwo wytknęło, z właściwą sobie życzliwością ofiarował jedną z sal w pałacu sejmowym dla zebrań członków. Jeden z punktów statutu zastrzega, że członkiem zwyczajnym zostać może ten tylko, „kto jest znanym z prac swoich historyczno-literackich, odnoszących się do okresu Mickiewicza, a także zasłużeni wydawcy pism jego i zbieracze materiałów do historii literatury tego okresu;“ ale zaraz następny paragraf otwiera furtkę dla innych także, gdyż powiada, że „nadzwyczajnym członkiem Towarzystwa może zostać

każdy miłośnik literatury ojczystej.“ Z zamieszkałych we Lwowie uczonych i literatów, zajmowali się daną epoką lub pisali o Mickiewicz, ksiądz Jan Siemiński, Bolesław Czerwiński, Wład. Beza, dr. Albert Zipper, dr. R. Pilat, Fr. Konarski i kilku innych. Jest więc dość spory zastęp pracowników, którzy w tém Towarzystwie wiadomości swoje i usiłowania mogą z korzyścią dla ogółu spożytkować.

Ze stołu konkursowego pierwsza na scenę wyskoczyła pięcioaktowa komedia p. Edwarda Lubowskiego, odznaczona trzecią nagrodą, improwizowaną i nieprzyjętą przez autora. Ta dobrowolna strata materialna wynagrodziła mu się moralnie, bo utwór jego zyskał powodzenie bezsporne i trwałe. Zasluguje na to, chociaż nie jest to komedia doskonała, w dramatycznym znaczeniu tego wyrazu, gdyż brakuje jój jedności myśli i interesu. Autor, tworząc ją zapomniał o Moliere (wybaczamy mu Arystotelesowi), a myślał więcej o Pailleronie, zapatrywał się na jego np. „Świat Nudów“, który sam niegdyś tłómaczył. Tylko Pailleronowi lepiej udało się zaprowadzić równowagę, a tém samym jedność pomiędzy satyrą towarzyską a intrygą sceniczną, gdy u p. Lubowskiego dwa te żywioły usiłują iść w parze, ale usiłowania nie dopisują, a satyra, zapewne mimowoli, w ciemny kąt zapędza to, co istotny dramat stanowi. Ztąd utwór jego podobny do pięknego z oblicza mężczyzny, mającego jakąś wadę organiczną, którą spostrzegłszy, powiadamy: szkoda!

Satyrę swą, ową piękną i silną stroną organizmu swego dzieła autor kieruje przeciwko tym zgubnym instynktom naszego społeczeństwa, które, nawet przy tak świętej sprawie, jaką jest dobro publiczne w czasie najkrytyczniejszym, rządzą się względami osobistemi. Reprezentantów tego zbrodniczego samolubstwa przedstawił on sporą liczbę, a każdy z nich ma coś odmiennego, co go wśród innych odznacza. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nigdy jeszcze nawet w najlepszej swój sztuce, w „Nietoperzach“ nie stworzył tyle wydatnych indywidualności. Rzecz idzie o wybór pośła w jednym ze znacznie-szych miast galicyjskich, któryby godnie cele narodowe popierał w wie-deńskieć radzie państwa, i na ten ważny posterunek opinia publiczna przeczyna pełnego zdolności i poświęcenia człowieka, w osobie Władysława Wrzeckiego, szlachcica z zasadami umiarkowanie postępowemi, ale bez splendoru majątkowego i koligacyi. I cóż się dzieje? W sam dzień narady przedwyborczej, wszystkie stronnictwa obracają się przeciwko niemu. Książę August, najbardziej wpływowy wśród wyborców, widzi w nim przeszkodę do swego zamierzonego romansu z hrabiną Stefanową; hrabina, która właśnie zawróciła sobie głowę tym kandydatem, nie rada puszczać go aż do Wiednia, chciałaby go zatrzymać przy sobie wbrew jego woli, bo Wrzecki kocha Jadwigę, młodą siostrę jój męża, ale to tembardziej drażni roznamiętnioną ku niemu hrabinę; więc i ta sprzeciwia się jego kandydaturze; a że jój

Wreszcie czyż p. Lubowski jedną tylko miał na myśli Galicyą? Sądzę, że tak wytrawny pisarz, jeżeli przemawia to do wszystkich, których uważa za braci, i jego satyra może być uważaną za lekcją powszechną.

Za panem Lubowskim pospieszyła na scenę ze swym pierwszkiem dramatycznym Hajota, by pokazać światu: „Co zwycięża“ mężczyzną. Wynałazła ona takiego rozkosznego młodzieńca, który przez miłość dla matki, zdeptawszy miłość zdeptanej przez się dziewicy, pozwala się otumaniać kobiecie fantastycznej i ziemnej... ale to tylko tak dla dystrakcyi, bo serce zawsze go pociąga tam w stronę opuszczonej jasnowłosój. Jeżeli mama nie pozwoliła mu ożenić się z tamtą, czystą, dla tego tylko, że matka jej miała na czci swęj jakieś plamy, cóżby było gdyby go zastała na tym nowym półromansie z kobietą podejrzaną a uroczą i demoniczną! Jednakże tak się dzieje; i biedny chłopiec drżący ze strachu już ma się usunąć, ażeby serca matczynego nie zakrwawiać, kiedy czarodziejska Adda próbuje, ażali urok jej nie będzie silniejszy, niż ta bezwzględna miłość dla matki i niezagaste dotąd uczucie dla jasnowłosój. Ej! pokusy z odległości idą jej jakoś oporem; nie wiele też myśląc, skraca odległość, wpada na młodzieńca z pocałunkiem... i bierze go w jasyr. Więc cóż to zwycięża mężczyznę? Oto bodziec zmysłowy, pocałunek pałający lub udający, że pała namiętnością, boć i cała ta gra Addy była tylko komedią. Jak u p. Lubowskiego, tak i tu jest to także rodzaj lekcyi, ujawnienie przed adeptkami niechybnego środka zwycięstwa. Tylko jak względem jakiego subjektu. Tutaj subjektem jest osobistość, którą, ażeby zwyciężyć, dosyć wziąć ją za uszy lub dać jej pstryczka w nos. Takim ze swęj siły moralnej wydał się nam ów pan Zdzisław, w którym Adda artystka malarka, upatrzyła model na Peryklesa: szczęściem, że obraz zamazała, bo dopieroby narobił śmiechu, gdyby się kiedy dostał na pola Elizejskie. Autorka ten jeden akt, w którym gorączka nerwowowa walczy z mazgajstwem, nazwała obrazkiem dramatycznym. Dramatu w nim nie dostrzegliśmy, ale jest w nim niezaprzeczenie obrazek pewnej siły, jaką odznacza się postać kobieca, dosyć barwnie nakreślona; znać przytém wprawę pisarską, która jednak nie przesądza o zdolności władania temi warunkami, jakich wymaga scena. Panna Marcello pięknie wyglądała jako Adda, szkoda tylko, żeśmy ją mało słyszeli dla zbyt pośpiesznej i niedość wyrazistej dykcyi. Panu Żadnowskiemu życzymy, aby się w podobnych Zdzisławowi postaciach nie dał wyzyskiwać, zwłaszcza gdy chodzi o podobieństwo z Peryklesem; a p. Rakiewiczowej wyrażamy serdeczny żal że skazaną została na śmieszna rolę matki niańczącej trzydziestoletnie niemowlę.

W zapale krytycznym dzienniki petersburskie gotowe bodaj na słońcu plam dopatrywać! Oto znowu na porządek dzienny gazedciar-

skiej dyskusji weszła t. z. sprawa sprzedaży akcji drogi żelaznej Dąbrowieckiej, sprawa w gruncie rzeczy najniewinniejsza, z której przecież prasa rosyjska nie omieszkała ukuć ciężkiego przeciw akcyonaryuszom zarzutu. Faktycznie, kwestya przedstawia się tak: wkrótce ma być otwarta subskrypcya na akcye kolei Dąbrowieckiej, w obec czego Komitet akcyonaryuszów wyszukał sobie pośrednictwo w sprzedaży rzeczzonego papieru, zawierając umowę z 5 firmami: z petersburskim bankiem międzynarodowym, z bankiem rosyjskim dla handlu wewnętrznego, berlińskim bankiem dyskontowym, domem bankierskim J. G. Bloch i domem J. Goldstanda w Warszawie. Na czele syndykatu pośredników stanęła znana w Rosyi, jako trudniąca się specjalnie lokatą papierów rosyjskich, firma p. Hansemanna, dyrektora berlińskiego banku dyskontowego; według zaś umowy Syndykat podejmuje się sprzedaży  $\frac{2}{3}$  akcji w liczbie 44,000 na giełdach krajowych i zagranicznych, przyczém domy krajowe mają mieć udział w ilości  $47\frac{1}{2}\%$ , a zagraniczne  $52\frac{1}{2}\%$ ; subskrypcya ma być otwarta w Petersburgu i Berlinie, w porze najdogodniejszej dla tranzakcyi, przed tym atoli terminem syndykat będzie tylko czasowym posiadaczem papieru. Takie są fakta, przedstawiające szkielet najwyczałniejszej operacyi finansowej. A przecież prasa petersburska w gonitwie za artykułami „patryotycznymi“, zwłaszcza, gdy materiału do nich dostarczają stosunki w prowincjach kresowych, wytacza akcyonaryuszom proces o zdradę, na podstawie jedynie okoliczności, że do pośrednictwa w sprzedaży akcji użyte zostały firmy niemieckie i że kolej Dąbrowiecka jest — strategiczna — jak to woła „Now. Wremia“, przodujące w tej orkiestrze obrońców państwowego interesu. Jak to; będziemy patrzeć spokojnie, gdy jedna z najważniejszych dróg strategicznych przejdzie w ręce niemieckie? Otóż w tém właśnie kwestya, iż gazeta patrzy na rzeczy niespokojnie. Trochę więcej refleksyi i pamięci, a toż smo „Now. Wr.“ przyponiałoby sobie, najpierw, że „pośrednictwo“ w sprzedaży, to jeszcze nie sprzedaż, powtóre, że rezultat subskrypcyi może wypaść tak dobrze na korzyść kapitalistów krajowych, jak zagranicznych, wreszcie, że podobne operacye finansowe dzieją się niemal codziennie, są w Rosyi zjawiskiem powszedniem i do tego na znacznie większą skalę. Toż te same pociski, wymierzone dziś przeciw polskim akcyonaryuszom, chyba dla tego tylko, że polscy, możnaby z daleko większą siłą zastosować nie już do zarządów innych dróg żelaznych, lecz do całej historii skarbowości rosyjskiej, nie wyłączając dni bieżących. Jeżeli prasę petersburską przejmują taki strach na samę myśl, że akcye kolei strategicznej mogą się znaleźć w posiadaniu kapitalistów niemieckich, dla czegoż bez trwogi godzą się z faktem zależności finansowej państwa od placów pieniężnych za granicą, dla czego nie podnoszą alarmu, gdy idzie o pożyczki zewnętrzne. Podniesione kontrasty są tém więcej charakterystyczne, że w chwili, gdy „Now. Wr.“ zagrało pobudkę przeciw nowój „polsko-żydowskią intrydze“, w tej samej chwili ministerstwo

skarbu pracuje nad projektem kolosalnej operacji finansowej, za pośrednictwem tegoż berlińskiego Diskonto-Gesellschaft i tegoż p. Hansemanna — konwersyi obligów kolejowych. Zresztą, z ogólnego wychodząc stanowiska, zapewne każdy przyzna, że dopóki zasób rozporządzalnego przez naród kapitału nie dorówna w Rosyi sile wytwórczej społeczeństwa, dopóki do wszechstronnego wyzyskania przyrodzonych bogactw, warunków handlu i źródeł przedsiębiorczości kapitały miejscowe będą niedostateczne, dopóty Rosya w interesie dobrobytu ekonomicznego musi uciekać się do współudziału obfitszych i tańszych kapitałów zagranicznych. Na to żadne „najpatryotyczniejsze“ artykuły gazeciarskie nie pomogą, co najwyżej — świadczyć one będą o upodobaniu prasy rosyjskiej w powtarzaniu znaną zwrotki: delenda est, doprowadzającą ostatecznie dziennikarstwo petersburskie, jak o tém świadczy omawiany powyżej wypadek, do nielogiczności, do nieprawdy, do śmieszności.

W operujących w kraju naszym instytucjach ubezpieczeń życiowych spostrzegać się daje pewien zwrot w kierunku spopularyzowania tego pożytecznego działu asekuracyj; słuszność wszakże wyznać każe, że pod tym względem same instytucye nie idą jeszcze tak daleko, jak tego wymagają stosunki społeczne. W ogóle, ubezpieczenia na życie były dotąd traktowane u nas ospale, przy czém towarzystwa całą winę przypisywały społeczeństwu, słabo rozwiniętemu w niem poczuciu przezorności, lekkomyślności, nie oglądania się na przyszłość i t. d. Społeczeństwo znowu skarżyło się na małe udogodnienia ze strony towarzystw asekuracyjnych, na wysokie składki, a niskie wynagrodzenie, na przesadne ryzyko, słowem, wzajemnie się wymijano, a choć towarzystwa nieraz podejmowały próby rozszerzenia swych operacyj, nigdy przecież nie zdobyły się na obmyślenie kombinacyi, odrazu zapewniającej idei ubezpieczeń życiowych trwałe powodzenie. Nie jesteśmy w możności poprzeć uwag naszych dokładną statystyką, gdyż towarzystwa nie wyróżniają w swoich sprawozdaniach terytoryów, na jakich operują, dość wszakże będzie przytoczyć, że na 83,910 tys. mieszkańców państwa, wypada zaledwie 19,021 ubezpieczonych na życie, czyli 23 osób na każde 100,000 ludności! W innych krajach asekuracye życiowe dosięgły pomyślniejszych rezultatów i w Danii na 100,000 mieszkańców przychodzi 1,424 ubezpieczonych, w Szwajcaryi 1,313, w Niemczech 148, w Anglii 2,659, a w sferze robotniczej nawet 17,251 (dane według tablic Marko-Resso). Nie mamy tu bynajmniej zamiaru rozwodzić się nad sposobami możliwych ulepszeń, gdyż jest to rzeczą samych towarzystw, jako najbardziej zainteresowanych w sprawie pomyślnego prosperowania ubezpieczeń życiowych, chcemy natomiast zwrócić uwagę na ostatnią przytoczoną wyżej pozycyą, w asekuracyach angielskich, na owe 17,251 ubezpieczonych na każde 100,000 robotników, jest to bowiem właśnie szczegół, zostający w związku z omawianym przez nas zwrotem w dziedzinie ubezpieczeń.

Na zachodzie zwłaszcza w wielkich ogniskach życia przemysłowego, już dawno zarzucono system emerytalnego ubezpieczania losu rozmaitych warstw pracujących, a natomiast przyjęto system asekuracji. Wynikło to z konieczności. Zabezpieczoną starość pragnęliby mieć wszyscy, począwszy od oficjalisty domu bankierskiego, kończąc na smarowozie kolejowym, tymczasem emerytura, a raczej stowarzyszenie emerytalne, jest dobrodziejstwem wcale nie dla wszystkich, przeciwnie, dla mniejszości, gdyż tylko dla tych instytucji, które zatrudniają masę ludzi mniej więcej jednakowych zajęć, a więc dla rządowej magistratury administracyjnej, sądownictwa, oficjalistów i robotników kolejowych i t. d. Wprawdzie w tych działach spotykamy olbrzymie ilości pracowników, jeszcze większe jednak cyfry dadzą się zebrać po zakładach pojedynczych, obsługiwanych pojedynczo nie wielkimi siłami. Czy zaś słusznym jest, ażoby pierwsi korzystali z wygodnego przywileju, a drudzy byli pozbawieni wszelkiej pomocy jedynie dla tego, że są rozproszeni? Z drugiej znowu strony, system emerytalny okazał się zawodnym nawet w wielkich kompleksach administracyjnych, o czym najlepiej przekonywa stan obecny instytucji emerytalnej rządowej w Królestwie. W obec takiego doświadczenia i w obec wzrostu liczby proletaryatu roboczego, potrzeba jest obmyśleć sposób względnie korzystnego zabezpieczenia jego starości, choćby w widokach zażegnania grożącej nędzy. Jaki to ma być sposób? Probowano różnych w rodzaju kas zapomogi po fabrykach, kas zabezpieczenia, kas starców i t. p., wszystkie jednak uznane zostały za paliatywy chybiające celu, chwyciono się więc innego środka — ubezpieczenia robotników i w ogóle oficjalistów w towarzystwach asekuracji życiowych. U nas przy zupełnym braku stowarzyszeń, jest to kwestya niezmierniej doniosłości, co też — chętnie to przyznajemy — uznali zarówno właściciele fabryk, jak i właściciele ziemski. Co się tyczy ostatnich, nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, iż obywatele nasi od dawna starali się o zatwierdzenie towarzystwa emerytalnego oficjalistów wiejskich, ofiarując na ten cel znaczne fundusze, gdy atoli zabiegi ich nie odniosły skutku, dziś pierwsi usilnie popierają myśl ubezpieczeń życiowych.

Owóż przed operującymi u nas towarzystwami otwiera się nowe pole, które należałoby rozumnie wyzyskać z korzyścią obustronną, t. j. i dla towarzystw i dla ubezpieczonych. Zrozumiały to instytucje, gdyż w tych dniach ukazały się w dziennikach z ich strony ogłoszenia, zapowiadające przyjmowanie ubezpieczeń od grup fachowych, innymi słowy, towarzystwa czynią ustępstwa w razie asekuracji zbiorowej czy to robotników z danego folwarku, czy oficjalistów danej fabryki lub przedsiębiorstwa. Na takie, rzadkie co prawda „udogodnienia“ wpłynęły nie tylko wskazane potrzeby życiowe, lecz nie mniej i budzące się między instytucjami współzawodnictwo: do rzędu funkcjonujących w kraju towarzystw przybywa niebawem nowy, silny konkurent w osobie towarzystwa New-york'skiego, trudniącego się specjalnie ubezpiec-

zeniami życiowcami. Tow. to, po uzyskaniu koncesyi na operacye w całym państwie, tworzy obecnie za pośrednictwem jednego z dyrektorów swoich p. Wernera, agenturę w Warszawie na Królestwo polskie.

Gdy mowa o ubezpieczeniach, wspomnieć nam wypada choć w kilku słowach o Warszawskiem towarzystwie ubezpieczeń ogniowych, które przed laty wносиło bezskutecznie podanie o koncesyę na dział asekuracyi życiowych i które w d. 11 b. m. odbyło doczesne zgromadzenie akcyouaryszów, pod przewodnictwem Stefana ks. Lubomirskiego. Jak zwykle teraz w interesach, mających jakikolwiek bądź związek ze stosunkami ekonomicznymi, rozpoczęto je od utyskiwań na „złe czasy,“ na zmniejszenie premii o 137,465 rs. w porównaniu z rokiem 1884 (ogółem w 1885 r. premia dosięgły cyfry 2,151,288 rs.), na wzrost pogorzeli (1,010 t. j. o 130 więcej), a ztąd i strat o 436,668 rs., pocieszając się jedynie spostrzeżeniem, że towarzystwa rosyjskie straciły jeszcze więcej, bo blisko 2 mil. rs. w ciągu dwóch lat ubiegłych, oraz że bądź co bądź zysk czysty z roku sprawozdawczego dał 112,645 rs., z których 90,000 rs. przeznaczono na dywidendę w stosunku 9% czyli po 11 rs. 25 kop. na akcyę. Rezultat finansowy, jak widzimy, zupełnie pomyślny. Do innowacyi, wprowadzonych przez nasze towarz. zaliczyć należy powołanie do udziału w pracach dyrekcyi sz. delegatów ziemiańskich, po 2 z każdej gubernii, a to celem polubownego załatwiania wątpliwości, mogących się nastęrczyć przy ustanawianiu szkód pogorzelowych. W składzie dotychczasowego zarządu, na skutek przeprowadzonych wyborów, żadna zmiana nie zaszła.

W tutejszym oddziale towarzystwa popierania przemysłu i handlu, skutkiem zbliżających się feryj, panuje ruch ożywiony, rozmaite komisye i delegacye szybko wykończają swoje czynności, a sekeye porządkują swoje materyały i redagują uchwały. Jakkolwiek większość tych prac znajduje się jeszcze w fazie przygotowawczej, dziś wszakże możemy już powiedzieć, że rok bieżący upamiętni się w dziejach towarz. kilkoma dużej wagi przedsięwzięciami. I tak, oprócz dawniej wspomnianych projektów organizacyi biura statystycznego i biura dla potrzeb handlu ze Wschodem, obecnie działalność oddziału ma być rozszerzona przez utworzenie biura dla interesów spółek zarobkowych, na zewnątrz zaś oddział czyni starania około przywrócenia, dotąd na papierze tylko istniejącej giełdy produktowej, otwarcia rolnikom kredytu w banku państwa, zreformowania urzędzeń cechowych i zaopatrzenia kraju w najniezbędniejsze średnie szkoły fachowe. W niektórych z wyszczególnionych interesów inicjatywa tow. odniosła już pożądaný skutek, komitet giełdowy np. udzielił swęj sali zebrań na urządzenie giełdy towarowej, co zaś do spółek zarobkowych, odnośne biuro ma powstać w sekeyi IV rzemieślniczej i dla oszczędności a zarazem i dla pośpiechu tymczasowo ma być reprezentowane przez

jednego sekretarza. W przedmiocie znowu szkół, właściwa komisya zaprojektowała na początek urządzenie szkoły tkackiej w Łodzi, przemysłowo-chemicznej w Warszawie, średnich i niższych szkół rolniczych po wsiach oraz rozpowszechnienia sal rysunkowych po miastach fabrycznych, projekt zaś instytutu politechnicznego na Królestwo z wielu względów komisya uznała za właściwe odroczyć ad feliciora tempora. Nie wchodząc na teraz w szczegóły prac komisji, zaznaczamy tylko, że będą one umieszczone w oddzielném sprawozdaniu, które między innymi obejmie niezmiernie interesującą rozprawę b. dziekana p. Przysiańskiego z zakresu historii szkół fachowych w kraju naszym. Referat ten na posiedzeniach komisji zyskał powszechne uznanie, przypominał bowiem te niedługotrwałe czasy, kiedy Królestwo, jakkolwiek niżej stało, niż dzisiaj pod względem przemysłowym, posiadało przecież instytuty i zakłady, mające na celu przygotowanie sił technicznych. Dzięki tej rozprawie, komisya otrzymała możność oprzeć swe wnioski na danych historycznych, uwzględnić je przy opracowywaniu nowego programu, słowem, przyjąć kierunek, wytknięty jeszcze w przeszłości. Do najczynniejszych też organów towarz. należy delegacya przemysłowo-rolnicza, podzielona, jak wiadomo na 21 komisyj; czynności jej mają być wykończone na d. 15 czerwca, w którym odbędzie się gremialne posiedzenie delegacyi. Ponieważ komisye pracują poza biurem towarz., możemy więc tylko powtórzyć tu dochodzące nas zdania echa — o proponowanym banku parcelacyjnym, o wygotowaniu ustawy dla spółek rolniczo-handlowych, o popieraniu ubezpieczeń życiowych w miejsce niedosłej emerytury oficyalistów wiejskich i t. d. W ogóle, na m. czerwiec przygotowują się w Towarz. bardzo ożywione rozprawy.

† Leopold Ranke, najznakomitszy współczesny historyk niemiecki, umarł dnia 23-go maja r. b. w Berlinie, licząc lat 90. Słynny profesor berlińskiego uniwersytetu, urzędowy historyograf pruski i członek pruskiej Rady państwa, Ranke zajmować będzie po wszystkie czasy pierwszorzędne stanowisko w historyografii swego narodu. Niezmordowana do ostatnich dni życia pracowitość, najtroskliwsza badawczość, zaglądnąca do wszystkich niemal archiwów cywilizowanej Europy, potrafiła u niego wyrazić się w pięknej, plastycznej formie przedstawienia, które jeżeli nie odpowiadało zawsze czytelnikowi gorętszych usposobień, silniejszych przekonań, to odznaczało się możliwą jak na historyografa pruskiego obiektywnością, jaką Ranke słynął równie na katedrze uniwersyteckiej, jak i w licznych swych dziełach historycznych. Zasłużonemu profesorowi należy się wdzięczne wspomnienie w „Kronice Biblioteki,“ ponieważ wielu pracowników polaków na niwie dziejowej kształciło się pod jego okiem, brało udział w ćwiczeniach jego seminaryum, a wszyscy korzystali ze znakomitych badań jego. Wykład Rankego był dla słuchacza z początku tak trudny do zrozumienia, że trzeba go się było koniecznicz przez kilkana-



ście godzin nauczyć słuchać, aby tok wyrazów dobrze zrozumieć; ale wsłuchawszy się raz, odnosiło się wiele korzyści, bo profesor zapatrywał się na każdą kwestyą ze stanowiska uniwersalno-historycznego. Pierwsze jego dzieło, które zaznaczyło nowego szermierza na arenie historyografii, poświęcone było krytyce źródeł do historii nowszej, pod tyt. „Zur Kritik neuerer Geschichtsschreiber, 1829.“ Dzieło to stanowi początek szkoły Rankego przez wprowadzenie do badań historycznych nowych źródeł w dokumentach dyplomatycznych, chociaż już dawniej wydane: „Fuersten und Voelker von Südeuropa im XVI u. XVII-en Jahrhundert. 1827“ (tomów 4, z których 3 tomy obejmują Historią papieży w w. XVI i XVII-ym), praca równie znakomita pod względem źródłowym, jak i metodologicznym, zastrzyczyła sobie na uznanie całego świata uczonego. Liczny szereg dzieł Rankego (w najnowszym wydaniu Dunckera i Humblota w Lipsku obejmuje tomów 48, które kosztują 240 marek), jak „Historia Francji w XVI i XVII-ym wieku“, „Historia Anglii w XVII-ym wieku“, „Dwanaście ksiąg historii prusko-brandenburskiej“, w którym R. stoi na stanowisku interesów wyłącznie brandenbursko-pruskich: „Historia Wallensteina“, „Dzieje rewolucji serbskiej“, „Dzieje genezy wojny siedmioletniej“, „Początki wojen rewolucji francuskiej“, wydane krytycznie „Pamiętniki i dokumenta po kanclerzu Hardenbergu“, i wiele innych. Ostatniem dziełem Rankego, którego doprowadzić do zamierzonego kresu już mu nie było daném, jest szczęciotomowa dotychczas „Historia powszechna“, sięgająca aż do objęcia korony cesarskiej przez dynastję saską, czyli do końca wieku X-go. Jest to praca podjęta na wielkie rozmiary, odznaczająca się głęboką nauką i pięknem plastycznym przedstawieniem; ale pożyteczna tylko dla tych, którzy znają dobrze fakta historyczne. Mąż nauki, zachował Ranko w działalności swęj profesorskiej na katedrze i w pismach olimpijski spokój i równowagę pośród prądów i aspiracyi swego czasu. Stanowisko jego jest na wskroś protestanckie, bo wychodził zawsze z tego założenia, że reformacja była najwybitniejszym czynnikiem duchowego odrodzenia Europy, dźwignią postępu cywilizacyjnego, społecznego i politycznego. Jakoż dzieła Rankego przyczyniły się pod tym względem i u nas wielce do utwierdzenia wielu błędnych opinii zasadniczych co do znaczenia reformacyi, do których pochopnego rozsiewania bez krytycznego rozbioru przyczynili się najwięcej: Michał Wiszniewski, wypisujący z dzieła Rankego („Historia reformacyi w Niemczech“) całe ustępy w swojej „Historji literatury polskiej“, Józef Łukaszewicz i Adryan Krzyżanowski. Z tém wszystkiém był Ranko zbyt głębokim umysłem, żeby pod wpływem tych uprzedzeń miał utracić zdrowy zmysł historyczny w ocenianiu wielkości katolickiej sprawy i jej przedstawicieli.

† W dwa dni po swoim mistrzu, bo dnia 24 maja r. b. umarł w Berlinie nie mniej zasłużony badacz dziejów niemieckich Jerzy Waitz, autor licznych prac na polu wydawnictwa źródeł do historii

Niemiec oraz jeden z najgruntowniejszych badaczy istoty i znaczenia instytucji politycznych narodu i cesarstwa niemieckiego. Waitz urodził się 9 października 1813 r. we Flensburgu, studia uniwersyteckie odbył w Berlinie, należał do górnijszych, pilniejszych i zdolniejszych członków seminarium Rankiego. Przez czas niejaki był profesorem uniwersytetu w Kiel i w Getyndze. Wywieszony w takiej szkole, jak seminarium Rankiego, brał czynny udział w pomnikowym wydawnictwie źródeł do historii Niemiec („*Monumenta Germaniae historica*“) którego zwierzchni kierunek po śmierci Pertza na jego spoczął głowie. Pomijając w tej chwili liczne jego źródłowe i krytyczne dzieła z historii niemieckiej nie możemy zamilczeć o najważniejszym pod tyt: „*Deutsche Verfassungsgeschichte*“ mianowicie w 2-ém wydaniu zupełnie przerobioném i zupełnie powiększoném—(1884 tomów III, jeszcze nieskończone), ponieważ ono stanowi podstawę dla wszelkich badań, odnoszących się do organizacji instytucji państwowych i politycznych Europy zachodniej.

## KORESPONDENCYA.

---

*List p. Ernesta Sulimczyka-Świeżawskiego do Redaktora „Biblioteki Warszawskiej“ z powodu opinii o książce jego: „Rozmowy o dawnych dziejach,“ oraz kilka słów sprostowania nieuzasadnionych twierdzeń tej odezwy, którą niniejszém dostawnie drukujemy:*

„Do Redaktora Biblioteki Warszawskiej.“

W imię prawa prasowego, wezwawszy 6 i 21 kwietnia 1886 r. p. Redaktora „Bibl. Warsz.“ o pomieszczenie niniejszego w najbliższym N. swego pisma, poraz trzeci wezwanie ponawiam.

W styczniu „Bibl. Warsz.“ umieściła artykuł bezimienny (więc pokryty chyba egidą Redaktora odpowiedzialnego), pisany germańskimi okreskami, pełen czczą frazeologią i komunałów, a bez przeczytania książki w całości, odsądzający mnie za moje „Rozmowy o dawnych dziejach,“ zarzucając książkę gołosłownie lub ułomnie cytując niby uwłaczanie przeszłości naszej.

Gdy inni recenzenci mieli odwagę fałszywe swoje twierdzenia i oszczercze zarzuty podpisać, anonim z „Bibl. Warsz.“ strzela z za płotu, używając broni u nas najbardziej zabijającej. Wzywam anonimna o udowodnienie swych zarzutów moją książką, sumiennie czytana i cytowana, i odsłonięcie w „Bibl. Warszawskiej“ w druku przyłbicy, wyraźnie okrywającej prywatne jakieś urazy, małoduszność i powierchowość.

W pracy mój może być czuć ból, nawet pesymizm, ale nie ma chęci plugawienia tego, co istotnie się kocha i czei, nie posługując się tém, jako reklamą. Gdy się widzi zresztą poważny organ nadużyty tak ohydnie dla zabicia moralnie kogoś niewinnego, można być pesymistą i w potomkach wielkiej przeszłości uznać tylko dziedziców jej wad.

Z należnym szacunkiem

*Ernest Sulimczyk-Świeżawski.*

## ODPOWIEDŹ.

Czyniąc zadość powołanym przez p. Św. przepisom prawa „prawnego,” ogłaszam odezwę powyższą, jakkolwiek uważam ją za nieodpowiednią do poważnego rozbioru naukowego, ponieważ przeładowana insynuacjami osobistemi, odbiega zupełnie od osnowy zarzutów, jakieśmy z obowiązku publicystycznego musieli zrobić książce pod tyt.: „Rozmowy o dawnych dziejach.” Odezwa p. Św. jest sama przez się dokumentem tak wymownym, a w tonie swoim świadectwem tak dobitnie przekonywającym o stanowisku naukowym jej autora, że gdyby nie wzgląd na przedmiot, którego dotyczy, powinniśmy pozostać ją bez żadnej odpowiedzi objaśniającej.

Dla poparcia wytkniętych w książce błędów naukowych i pedagogicznych, nie powoływaaliśmy wprawdzie kart pojedynczych, gdyż każda dostarcza ich więcej aniżeli potrzeba; ale motywowaliśmy twierdzenia nasze wywodem logicznym o pojęciu historii, jako mistrzyni życia a nie grobu, jak uczy p. Św. tudzież o błędnem pomieszaniu drobniaków zazwyczaj bez znaczenia z faktami prawdziwie historycznemi. Na żądanie p. Św. wskazujemy niniejszém następujące karty: Str. 46 u dołu i 47 do str. 50. Cała odpowiedź na pytanie 93-cie, nie odpowiadająca bynajmniej na to, o co autor pyta. W odpowiedzi na pytanie 99-te fakt wywrócenia namiotu wozem, który zawadził o róg namiotu W-go ks. (str. 54).—Str. 59 w odpow. na pyt. 107. Odpow. na pyt. 114. Wyszukana oryginalność poglądu razi czytelnika w tytule okresu IV, str. 73: „Przewaga różnych dzielnic, czyli krwawy odbijany”—z objaśnieniem w uwadze, tłómaczącém ów termin techniczny z tańca polskiego, polonczem zwanego. Str. 108: „Skupianie się dwu Polsk w jedno państwo.” Prawie z bezmyślnością graniczy odpowiedź na pyt. 116-te: „Czy potem“ (poprzednie pytanie brzmi: „Co zaśzło po śmierci Kazimierza II-go?) Leszek Biały rządził Krakowem bez przeszkody? Odpowiedź. Bynajmniej, gdyż to Mieszko III-ci, póki nie umarł“ (pocieszne zaiste objaśnienie!), to wojewoda Mikołaj przez ciągłe intrygi pozbawiali go Krakowa. Porównaj odp. na pyt. 138, 139 z odsyłaczem 1; odp. na pyt. 168; odpow. na pyt. 171, 172 i wiele innych, których spis przekraczałby granicę zeszytu, a Bibl. nie może być organem do rozgłaszania bezładnych pomysłów i błahych szczegółów. Porównaj zresztą pytania i odpowiedzi 446, 447, 448, 452, 454, 461, 468. Koniec w odpowiedzi na pytanie 476.

Podejrzywanie nas o „prywatne jakieś urazy, małoduszności i powiarzchowności“ nie jest usprawiedliwione, bo dla scharakteryzowania wartości „Rozmów“ uciekliśmy się w naszej opinii nawet do tak wielkiego ducha, jak Samuel Johnson, który przecie nie mógł mieć pretensyi do żadnego z Sulimczyków, a tém mniej do Autora

„Rozmów.“ Że zarzutów, jakieśmy zrobili „Rozmowom“ pod względem naukowym, pedagogicznym i stylistycznym, nie dyktowały żadne inne względy, prócz zasad przyjętych powszechnie przez naukę, tego dowiodły wszystkie recenzje, jakie po naszym głosie ostrzegały publiczność polską przed tak niefortunną książką, tém szkodliwszą, że formą swoją zapowiadała się niemal, jako podręcznik do nauki dziejów ojczystych. Nie możemy przypuszczać, żeby tylu poważnych uczonych i literatów mogło mieć pobudki prywatne do potępienia książki źle pomyślanój, źle usystematyzowanój i źle napisanój. Najwcześniej odezwała się „Gazeta Warszawska“ i nie mogła się zorientować w „szufladkach umysłu“ autora Rozmów. Nie odbiegał od tego widzenia rzeczy „Przegląd tygodniowy,“ z wyjątkiem pochwalnego głosu Jeża, na który jednak redakcyja Przegl. tygodn. się nie godziła. Opinia redaktora „Prawdy“ względniejsza w ogólnój opinii dla autora, obrusza się jednak na chaotyczność szczegółów. W surowy sposób karcił autora p. T. Korzon w „Kłosach“ i p. Smoleński w „Ate-neum,“ a repliki autora na te recenzje potwierdziły tylko sąd wy-trawnych znawców dziejów naszych. Odmienny dopiero głos odezwał się w „Wiadomościach bibliograficznych,“ wydawanych przez p. T. Paprockiego, nakładcą „Rozmów,“ oraz względniejsza dla autora re-cenzya p. E. Bogusławskiego w „Przeglądzie pedagogicznym,“ która atoli została zupełnie zneutralizowaną przez replikę, jaką nagabywa-ny przez p. Św. p. Bogusławski napisał w n-rze 11-ym tego pisma, konkludując ją w tych słowach: „to co może być dobrego w tój książ-ke, ginie w obec przeważającego balastu piramidalnych błędów pod względem treści i formy,“ str. 356.

W obec takich faktów uważam się za zwolnionego od włożone-go na mnie przez p. Św. obowiązku wykazywania stron dodatnich „Rozmów.“ Może napisać ich pochwałę pióro, mające więcej czasu dla takich studyów bezowocnych.

P. Św., nie przypuszczając, żeby w książce swojej mógł tyle błędów popełnić, ile mu wytykano, pedejrzywa nas niestlusunie, żeśmy zarzuty nasze napisali „bez przeczytania książki“—„lub ułomnie cy-tując“ (nie cytowaliśmy ani jednój stronicy, powołaliśmy zaś tylko jedno pytanie 562-gie), ponieważ każdy z naszych zarzutów poparty stokrotnie błędami całej książki, jak to p. Świeżawskiemu wykazali krytycy, którzy się jój szczegółową recenzją zajmowali. Szkoda czasu i miejsca na tego rodzaju polemikę. Nadmieniamy tylko dla zaspoko-żenia p. Św., że książka pod tyt. „Rozmowy“ była przedmiotem relacyi osobnego referenta w komitecie redakcyi, oraz dyskusyi na zwykłej se-syi tygodniowój członków komitetu redakcyjnego.

Co do uwagi p. Św. o „germańskich okresach“ naszej wiadomo-ści bibliograficznój o jego książce, to odpowiadamy, że dłuższy okres nie jest koniecznie wadą, byle był dobrze zbudowany i myśl jasno tłómaczył; a kto zaś składa takie dowody zaniedbania pod względem

formy, jak książka pod tyt. „Rozmowy,” oraz odezwa, którą wyżej drukujemy, ten nie jest kompetentnym sędzią w kwestyi prawidłowej budowy okresów.

Główny nasz zarzut dotyczy braku metody naukowej w książce p. t. „Rozmowy.” Forma katechetyczna, którą autor posługuje się w swoim wykładzie dziejów, właściwa przy niewątpliwych prawdach objawionych, jest mniej odpowiednią w książce treści historycznej, bo pojmowanie istoty faktów historycznych, zależy zawsze od stopnia rozwoju badań historycznych, ukazujących zgodnie z postępem oświaty wypadki dziejowe w coraz doskonalszym, w coraz jaśniejszym świetle. W każdym razie trzeba przy takiej formie pamiętać o tém, aby każda odpowiedź zaspakajała dokładnie stawione pytanie, oraz aby pytania pojedyncze następowały w takim po sobie porządku, iżby tworzyły ogniwa jednego łańcucha, obejmującego pewien szereg faktów historycznych w danej epoce, — faktów, złączonych ze sobą pragmatycznie, bo tylko wtenczas można pochwycić nawet na tój drodze wyraźny obraz całości. (Sokrates w dyalogach Platona). Czy autor jest wstanie wskazać mi aby jedną kartę, gdzieby temu warunkowi czynił zadość? Czy pytania 67, 68, 69, 70 i 71, mające przedstawiać obraz panowania Bolesława Chrobrego, którego autor ze szczególną odmalował nienawiścią, zostają ze sobą w związku logicznym? Czy dają wyobrażenie o zasługach dziejowych tego wielkiego Piasta, który w oczach autora jest tylko siłaczem i opilcem? (str. 37). Czy można odpowiedzi na pytania 356, 357, 358, 359-te uważać za przedstawiające fakta, o które autor pytał? Czy zdanie: „Talerze przy jedzeniu obcierano chlebą kromką, połą ubrania lub wiechciem z butów“ (str. 239), i w końcu tego samego ustępu: „Ławy i stoły obcierano lisim ogonem,” można uważać za należące historycznie do odpowiedzi dobrze zdefiniowanej na pytanie 356-te: „Jakie są zwyczaje w wieku XVI-ym?” Czy ktokolwiekbydź, znający dzieje nasze, zadowolnić się może odpowiedzią na pytanie 397-me: „Z czego głośny Jan Zamoyski?” P. Św. nie może wymagać, abyśmy to wszystko, szczegółowo roztaczali przed oczami czytelnika „Bibl. Warsz.,” bo sposób, w jaki „Rozmowy” sprawy te przedstawiają, obraża prawidła nauk historycznych i jest do tego stopnia chaotyczny, że uporządkować go niepodobna. Dosyć przecie czynię żądaniu p. Świeżawskiego, że książkę jego cytuję i czytelnika do niej odsyłam.

Pod względem pedagogicznym grzeszą „Rozmowy,” oprócz braku metodologicznego uporządkowania przedmiotu, głównie przez to, że gromadzą zanadto szczegółów nie tylko ujemnych, ale często wstrętnych <sup>1)</sup>. Oprócz tego nie rachują się „Rozmowy” wcale z tą zasadą

<sup>1)</sup> Str. 166 u dołu, 179, uwaga 3, str. 328. Odp. na pytanie 461, str. 341. Koniec odpowiedzi na pytanie 476: „Jakie jest znaczenie rządów Sobieskiego?” — „Jest (so. Sobieski) przykładem szlachcica na tronie, zawojowanego przez żonę i pachciarza.“ cf. str. 416 i 417.

pedagogiczną, która nie pozwala przed rozwijającemi się dopiero umysłami dzieci, roztaczać samych czynów złych, brudnych i wstrętnych, obrażających uczucia moralne i religijne. Pedagogia uczy, że władze i zdolności dziecka nie tylko rozwiązać należy, ale téż uszlachetniać i udoskonalać. Nie można przeciągać umysłów młodocianych mnóstwem niepotrzebnych, a często wprost szkodliwych przedmiotów, które w życiu praktycznym i na stanowiskach socyalnych żadnego zastosowania nie mają. P. Świeżawski mówi (str. V, cf. odpow. na pytanie 447, str. 315), że „cnota się kryje, a występki jawniejszy w źródłach,“ należało mu zatem wystawiać cnoty, jako wzory do naśladowania. „Rozmowy“ nie zwracają na te warunki najmniejszej uwagi: rozprawiają uszczypliwie lub z lekceważeniem o religii, o kościele, o duchowieństwie katolickim (odpow. na pytanie 334, str. 218, 219; odpow. na pytania 344 i 345), i zajmują się więcej błędami i ułomnościami powszedniemi ludźmi, aniżeli czynami historycznymi w ich dziejowym znaczeniu. Czy p. Św. nie widzi już dziś owoców takiego krytycyzmu (czytaj: szkalowania) przeszłości w szkole? Zkąd uformowała się ta atmosfera dzisiejsza, w której miłość kraju, miłość gorąca, synowska przeszłości do przesądów się zalicza? Jużby był czas okiełznać te zapędy arogancji i krytyki antypedagogicznej w książkach szkolnych! Piszmy studia gruntowne, rozbierajmy krytycznie dzieje dla umysłów dojrzałych; nie okrywajmy błędów i braku cnót obywatelskich szarym płaszczem wyrozumiałości; ale nie zatruwajmy sprośnemi szczegółami życia szkolnego, — nie zatruwajmy epoki nauki młodzieńczej jadem nienawiści zohydzonej przez nieuctwo przeszłości naszej.

P. Św. przypuszcza, że w pracy jego „może czuć ból, nawet pesymizm.“ Z załem wyznaje, że z książki jego nie odczuwamy żadnego bólu. Umienimy uszanować boleść, rozdzierającą piersi głośnego autora „Ostatnich przestroóg dla Polski,“ ale ból p. Świeżawskiego pojmującego historją jako „grób,“ w obec którego „historyk także ze śmiechem spisuje upadki przeszłości“ (str. IV) jest skąpany w tak ogromnej rzece cynizmu, pastwienia się nad ułomnościami a nawet powszechnemi grzechami ludzkimi, że nie budzi współczucia dla autora „Rozmów,“ ale podnieca tylko oburzenie na jego szczególny jakiś „pesymizm“ ponieważ takiego „śmiechu goryczy“ (str. IV) nie można w żaden sposób zaliczyć do szeregu uczuć szlachetnych.

P. Św. wojuje bardzo zapalczywie z „Anonimem“ Bibl., który, jak nam notorycznie wiadomo, nie był od m. stycznia ani dla niego ani dla żadnego z czytelników Bibl. Warsz. tajemnicą, bo za artykuły nie podpisane nazwiskiem autora, odpowiada redaktor główny, zwłaszcza w „Wiadomościach bibliograficznych“ bieżących, które do jego wydziału należą. Zresztą dnia 21-go kwietnia, doniosłem wyraźnie panu Świeżawskiemu, kto jest autorem wiadomości o jego książce, zawiadamiając go równocześnie, że ponieważ odezwa jego do Redaktora wymienia nazwiska dwóch poważnych uczonych, mianując ich „oszczercami,“ przeto Bibl. nie może być organem do dyfamacji

osób, które o „Rozmowach“ w niej nie nie pisały. Wskutek tój odpowiedzi usunął p. Św. w swój redakcyi nazwiska pozostawiając jednak zarzut, za który sam wyłącznie odpowiadać winien, bo Red. stanowczo się przeciwko takiemu postępowaniu oświadczyć musi. Wojowanie zaś z „Anonimem“ z „strzałami z zapłotu“ jest co najmniej udaną naiwnością.

W końcu musimy jeszcze nadmienić, że w odezwie p. Św. czytamy wyrazy którycheśmy w zesz. styczniowym Bibl. nie wypowiedzieli.—P. Świeżawski nie wykaże nam, abyśmy w opinii naszej o „Rozmowach“ użyli wyrazu, że go „odsądzamy“ (nie wiemy od czego, bo odezwa druga poprawiona, którą drukujemy w zapale polemicznym nie domówiła rzeczownika komplementującego: czy od nieomylności w rzeczach historyografii, czy od bystrości w przenikaniu przeszłości, czy . . .). P. Św. nie wykaże również, abyśmy mu zarzucali „chęć plugawienia tego, co istotnie się kocha i czczi“, bo myśmy tylko litowali się nad grabarzem, który miał odwagę taki „grób“ wykopać i który potrafił tyle zgnilizny do niego naznosić.

Powtarzając te wyrazy z zeszytu styczniowego Bibl., czynię to z tym zamiarem, aby zastrzedz się jak najuroczyściej przeciwko insynuacyi, którą mi p. Świeżawski podsuwać się zdaje, jakobym w ten sposób miał uwłaczać jego charakterowi obywatelskiemu. Pierwszym warunkiem dyskusyi naukowej jest, aby nie mieszać ze sobą rzeczy i pojęć, które się z sobą nie potrzebują koniecznie wiązać. Rozprawialiśmy się z książką źle złożoną pod względem naukowym i źle napisaną pod względem literackim, a nie z obywatelem, którego uczuć i charakteru tykać krytycznie nie mamy prawa, dopóki nie da do tego powodu. Autor „Rozmów“ przyzna przecie, że można być obywatelem, w obec którego wszystkie Arystydesy, Regulusy, Scypiony, Gracchowie błędną jak szmaty wytarte, a być przy tak świetnych zaleczeniach obywatelskich lichym pedagogiem, lichym literatem, niepraktycznym pedantem, chaotycznym erudytem,—można być nawet „dziwnie“ uczonym, a nie umieć pisać stylem Krasieckich, Śniadeckich, Kołłątajów, Libeltów, Kremerów, Korzeniowskich, Kraszewskich i i. Niedostatek talentu w którymkolwiek z tych kierunków nie uwłacza w niczem charakterowi obywatela, byle tylko ten szlachetny obywatel nie miał tój małostkowej, bo próżnej arogancyi być na każdym polu ideałem, który nie tylko naśladować, ale przed którym w pokorze i małoduszności korzyć się tylko należy. Mylne to—i pełne przykrości uroszczenie, z którego się powinien prędko wyleczyć każdy, co występuje publicznie. Nam w tój chwili tylko z książką źle napisaną sprawa. P. Św. nie może mieć do nas żadnej pretensyi za to, że co do wartości prac jego historycznych nie różnimy się w zdaniu od prof. Zeissberga i Fr. Ksaw. Liske'go.

Ani wyrazu, ani myśli o „chęci plugawienia tego, co istotnie się kocha i czczi“ nie znajdzie nikt w naszej opinii o książce p. Świeżawskiego.“ Podejrzliwość atoli podobną niczem przez nas nie



wywołaną, możnaby sobie psychologicznie wytłómaczyć tylko w ten sposób, że autor „Rozmów,” nie znalazłszy pochwał spodziewanych w żadnej recenzji, które o tej książce ostrzegwały; ale słysząc tylko same i to najcięższe nagany z ust poważnych badaczy przeszłości naszej, uczuł mimowiednie pewną skruchę w swoim sumieniu obywatelskiem i nazwał *sam* po imieniu to, czego recenzenci nie śmieli lub też nie chcieli dopowiedzieć. Zarzut zatem „chęci plugawienia tego co istotnie się kocha i czi” zwracamy p. Świeżawskiemu, jako prawowitemu autorowi.

Końcowe wyrazy odezwy p. Św. stawiamy na równi z tą frazeologią afektującą, jaką autor rozpoczął książkę swoją, gdzie ani Danta ani Herkulesa, ani Orfeusza ani Lety nie pozostawił w spokoju, ale „ze znamieniem ogniów i widoków podziemnych na twarzy” w dzieje się zapuścił. Zapewniamy go przy tém, żeśmy bardzo niechętnie ponownie temi „Rozmowami” zająć się musieli. Uczyniliśmy to wszakże z tém postanowieniem, aby odpowiedzią niniejszą zamknąć wszelką dalszą polemikę o tej książce, chyba żeby się w tłumaczeniu niemieckim jako podręcznik nauki dziejów polskich ukazać miała.

J. K. Plebański.

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Niedawno podaliśmy czytelnikom sprawozdanie z przekładu na język angielski nieśmiertelnej epopei Mickiewicza, a dziś spieszymy z wiadomością, że arcydzieło naszego wieszczu wyszło i... w majestatycznym języku Cerwantesa. Za nim rozbierzemy szczegółowo ten hiszpański przekład „Pana Tadeusza,” zaznaczamy tymczasem, że tytuł tej pracy jest następujący:

„Adam Miękiwicz Tadeo Soplica ó el ultimo proceso en Lituania narracion historica prim era, traduccion española“ Madrid 1885  
Po tytule powyższym następuje taka dedykacja w języku francuzkim.

„Moim ukochanym krewnym Kamilii i Michałowi oraz wszystkim przyjaciółom moim w Warszawie. Tłómacząc na język hiszpański po raz pierwszy dzieło wielkiego wieszczu waszego, wypełniam godną pożałowania próżnię naszej literatury i oddaję zarazem hołd méj ojczyźnie gdyż te słowa „Rien ne manque à sa gloire, il manquait à la notre“ nie mogły nigdy znaleźć słusniejszego zastosowania.“

*L. Medina.*

Prof. Aleksander dr Raciborski wydał swoim nakładem dzieło pod tyt. „Podstawy teoryi poznania w systemie logiki dedukcyjnej i indukcyjnej” J. S. Milla. Lwów 1886. Tomów 2. T. I, str. 333. T. II, str. 308. W obec niebogatej naszej literatury filozoficznej, żyjącej za dni naszych, z wyjątkiem prac prof. Henryka d-ra Struvego w Warszawie, M. d-ra Straszewskiego i Stef. d-ra Pawlickiego w Krakowie, oraz drobniejszych studyów Jul. d-ra Ochorowicza, przeważnie tłómaczeniami z obcych języków kierunku materialistycznego, zasługuje dzieło prof. Raciborskiego, będące owocem gruntownych badań samoistnych na wdzięczne uznanie. Zanim podamy rozbiór szczegółowszy tych studyów poważnych, popieszamy tymczasem wskazać treść, jaką te dwa tomy zawierają. W tomie I-szym czytamy następujące traktaty: Wstęp str. 4—40. Rozdz. 1-szy: Znaczenie kategorii u Milla, od str. 40—114. 2-gi: Tworzenie pojęć, str. 114—164. 3-ci: Zapatrywania Milla na prawdy matematyczne, str. 164—333. W tomie II-im Rozdz. 4-ty: Znaczenie pojęcia przestrzeni w stosunku do praw matematyki,

str. 4—100. 5-ty: Zapatrywania Milla na pewniki logiczne, str. 100—158. 6-ty: Zapatrywania Milla na pojęcie przyczynowości, str. 158—279. Dodatek: Przedmiot i podział filozofii. Wykład wstępny, str. 279—308. Czytelnikom Bibl. nie jest obce nazwisko szan. profesora uniwersytetu lwowskiego, bo mieli sposobność czytać już w Bibliotece traktat 6-ty oraz „Dodatek,“ któremu Redakcyja (Czerwiec 1885 r.) dała tytuł: „Nauka filozofii oraz rozkład systematyczny jój gałęzi pojedynczych.“ Uczyniliśmy to z upoważnienia autora do zmian stylistycznych, o co ze względu na szersze koło czytelników nie fachowych, autora prosiliśmy. Prof. Raciborski uznał niektóre z tych zmian za nie odpowiadające jego poglądom i uważał za potrzebne objaśnić różnicę, (str. 304—308), jaka zachodzi między jego wystowieniem a redakcyą, którąśmy ze względu na warunki pisma peryodycznego przyjęć musieli. Badacz filozofii, patrząc na obiedwie redakcyje, ma tedy zupełną możność pójścia za redakcyą szan. profesora, chociaż mniemamy, że różnice leżą więcej w literze, w słowie a nie w myśli. Kształcenie się filozofów naszych na obcych, szczególnie niemieckich wzorach, nie może pozostać bez wpływu na nasz styl filozoficzny, który przecie do pewnego stopnia wydoskonalili Śniadeccy, Libelt, Kremer i Aug. hr. Cieszkowski.

W drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wyszła w pięknej nader edycyi gruba książka pod tyt. „Rocznik filarecki.“ Rok pierwszy z dedykacyą: Pamięci filaretów Wileńskich. Kraków, 1886, str. VIII i 719. Książka, o której mowa zawiera prace kształcącej się młodzieży w uniwersytecie krakowskim, związanej wśród całej rzeszy akademickiej w osobne kółko, które nazwą swoją charakteryzuje najwymowniej cele szlachetne i obywatelskie, jakie mu przyświecają. Nie mogąc w zeszytce niniejszym dla braku miejsca drukować przygotowanego szczegółowego rozbioru tego wydawnictwa, ograniczymy się tymczasem na podaniu treści jego, przy dołączeniu uwagi ogólniejszej, którą wydawnictwo zbiorowe, wydawane przez uczącą się młodzież, mimowoli budzi.

W grubym tomie I „Rocznika filareckiego“ czytamy następujące prace studentów uniwersytetu jagiellońskiego:

Po dedykacyi i słowie wstępnem czytamy 8 utworów poetycznych (str. 1—15), natchnionych jak najszlachetniejszą myślą, ale noszących na sobie zbyt wyraźne jeszcze piętno pierwocin poetyckich pod względem techniki wiersza i nie zawsze poetyckich obrazów. Dalej idą rozprawy następujące: 1) St. Feliks Momidowski: Filomaci i Filareci w Wilnie; 2) Ignacy Rosner: Kronika węgiersko-polska; 3) Kaź. Szkaradek: Stosunki polskie po śmierci Leszka Białego. 4) Witold Rubczyński: Wielkopolska pod rządami synów Władysława Odonca. 5) Romuald Wśetecka: Zabiegi o Węgry w 1527 r. 6) Antoni Marylski: Karol Malczewski, generał czasów stanisławowskich. 7) Stanisław Windakiewicz: Pobyt Kochnowskiego za granicą. 8) Karol Łepkowski: Poezyja polska na nagrobkach XVI wieku. 9) Józef Ko-

rzeniowski: Nieznane polskie i łaćńskie wiersze politycznej treści, 1548—1551. 10) Stanisław Krzyżanowski: Andrzej Ciesielski. 11) Alfred Blumentstok: Kilka słów o znaczeniu prawnym interdyltu kościelnego. 12) Karol Łepkowski: Petyhorzec.— Zastanawia nas pewna jednostronność studyów. Czy między filaretami krakowskiemi nie ma ani jednego reprezentanta nauk ścisłych? Przykład starego Domejki może tu być wzorem i dowodem, że nauki ścisłe nie płoszą koniecznie szlachetnych ideałów z duszy młodzieży. Lecz odłóżmy to do rozbioru szczegółowego. Tymczasem nadmieniamy, że kwestya wydawnictw studenckich przedstawia obok wielu stron dodatnich także i niektóre ujemne. Wzgląd na warunki postępu naukowego kazałby dopuszczać do druku tylko prace gruntownie wyrobione, przynoszące nową jaką cegiełkę do świątyni wiedzy ludzkiej. Nie przeczymy, że obok tego poważnego celu wydawnictw książkowych i peryodycznych, może jeszcze wzgląd na interes spraw bieżących pobudzać ludzi świątłych do rozbioru kwestyi na dobre będących w dyskusyi publicznej. Żadnej z tych pobudek nie możnaby w zwykłym rzeczy porządku przypuszczać w wydawnictwie, podejmowanem przez młodzież dopiero się uczącą, która ze względu na swój wiek, pełen zapału i uniesień jest zbyt skłoną do wszelkich utopii na polu pracy około uszczęśliwienia ludzkości, a w arsenale umysłu swego nie posiada jeszcze tyle materiału naukowego, żeby go na przygodne harce trwonić mogła. Pozostałby zatem w wydawnictwie tego rodzaju tylko wzgląd wyłącznie pedagogiczny; należałoby je uważać za pole ćwiczeń, za pole współzawodnictwa szlachetnego, które siły duchowe młodzieży podnieca, hartuje i do pracy czynnej na polu naukowem zaprawia. Pomijamy w tej chwili możliwą także pobudkę nienagannej jeszcze miłości własnej, chęć pokazania się przed tymi, którzy nas najbardziej obchodzą. Zachodzi tedy pytanie, czy wzgląd na potrzebę posuwania nauki naprzód może pobudzać do pisania książek młodzież, która się dopiero uczy — i przede wszystkim o tém naczelnym swoim zadaniu pamiętać powinna, aby bogacie jak najwszechstronniej swoją wiedzę, aby ćwiczyć i doskonalić harmonijnie swoje władze umysłowe w pracy metodologicznej. Wskazane powyżej względy zdawałyby się mówić przeciw temu. Gdy jednak doświadczenie uczy, że żaden kodeks nie był jeszcze w stanie zmienić skłonności i popędów natury ludzkiej, gdy wiele, wiele względów przemawia za podtrzymaniem szlachetnej ambicyi stużenia dobru ogólnemu wedle możności, gdy nie brak pomiędzy młodzieżą, nigdy i takich osobistości, które wcześniej rwą się do pióra, zwłaszcza w naszym wieku wyrobnictwa literackiego, to daleko pożyteczniejszą i odpowiedniejszą będzie rzeczą, gdy te podnioślejsze, niepowsięgliwe umysły wystąpią pod własnym sztandarem, gdy się gromadzą około widnej chorągwi pragnień szlachetnych i nadziei młodzieńczych, aniżeli gdyby się miały nużać pośród namiętności jak najrozmaitszych organów przeróżnych „obozów“ i „stronnictw.“ Dla tych względów

witamy życzliwie 1-szy „Rocznik filarecki,” co nie przeszkodzi nam wcale w sądzie — jakkolwiek pobłażliwszym dla początkujących — być wymagającymi pod względem metodologicznym i formalnym.

„Szkoły rolnicze w Niemczech, sprawozdanie z podróży naukowych przez d-ra Emila Godlewskiego, prof. szkoły rolniczej w Dublanach“ (odbitka z „Niwy“). Warszawa, druk „Wiek”, 1886, w 8-cu, str. 68

Obszerne sprawozdanie prof. Godlewskiego, drukowane pierwotnie w nnr. 253—258 „Niwy“ roku 1885, dzieli się na dwie części: a) szczegółowy, obiektywny opis 12-tu instytucji, ich organizacji, laboratoriów, zbiorów, przyrządów i modeli, stacji doświadczalnych, stacji kontroli nasion, pól doświadczalnych, ogrodów botanicznych i zoologicznych (ras); b) uwagi i wnioski autora o tych zakładach w porównaniu ze szkołą dublańską. Wnioski te są po większej części niekorzystne. Szkoły rolnicze niemieckie nie osiągają zdaniem autora celu; mało liczą słuchaczy a przyjęta tam zasada wolnego uczenia się sprawia, że młodzież nie oddaje się systematycznej pracy, chwytając wiadomości powierzchownie i zaledwie 3%—4% tej młodzieży opuszcza zakłady ze świadectwem egzaminów końcowych. Nowy przytym system przyłączania takich szkół do uniwersytetów, okazał się nader wadliwym: wykład profesora w obec różnorodnych słuchaczy nie może być korzystny zarówno dla wszystkich. Profesor nauk przyrodzonych inne strony swego przedmiotu będzie wydatniał przed przyszłymi lekarzami, farmaceutami, inne znowu przed agronomami, leśnikami. Czytając opisy bogatych zbiorów, laboratoriów, stojących pustkami, przychodzimy do wniosku, że korzystają z nich wprawdzie wiele, ale nie uczniowie, tylko profesorowie, nauka.

Opisywane zakłady podzielono na 4 grupy:

1) Szkoły będące tylko oddziałami wydziałów uniwersyteckich, których uczniowie słuchają przedmiotów zasadniczych wraz z innymi słuchaczami uniwersytetu we Wrocławiu, Lipsku, Halli-Jenie, a także w Getyndze, Giessen, Kiel i Królewcu (ostatnich czterech autor nie zwiedzał).

2) Szkoły będące osobnymi wydziałami w politechnikach w Monachium, Zurychu.

3) Szkoły pomieszczone w uniwersytetach, ale mające odrębny ustrój i odrębne wykłady wszystkich przedmiotów w Berlinie, Wiedniu, Popelsdorfie.

4) Izolowana akademia rolnicza w Hohenheimie. Na pierwszym miejscu autor stawia akademię w Popelsdorfie, na drugim w Hohenheimie. Szkoła dublańska dość zwycięzko wychodzi z porównania z niemieckimi. Rozpatrzenie atoli, tych ostatnich naprowadza profesora na pewne wnioski, któreby rad widzieć zastosowane w swój szkole; radzi przeto:

1) Strzedz się wprowadzenia w Dublanach wolności uczenia

się, która w Niemczech bardzo niekorzystnie pociąga za sobą skutki: młodzież samowolnie traci dużo drogiego czasu, a do nauki bierze się tylko dorywczo po dyletancku bez sytematycznego planu.

2) Zaprowadzić obowiązkowe półroczne egzamina, znoszące wszelką dowolność w tym względzie; młodzieży nie przygotowanej odpowiednio, nie przepuszczać na wyższe kursa.

3) Zaprowadzić piśmienne wypracowania, skierowane ku wyrobieniu samodzielności i krytyczności poglądów uczniów.

4) Rozszerzyć wykłady geologii i technologii, zmniejszając kurs zoologii.

5) Zaprowadzić bliższy związek między szkołą niższą a zarządem folwarku.

6) Stworzyć wygodniejsze warunki pobytu w Dublinach, na co się złożą: odpowiednie mieszkania, chodniki, komunikacja ze Lwowem, apteka, szpital, lekarz miejscowy. N.

Nakładem „Gaz. roln.“ ukazało się świeżo z pod prasy dzieło p. t. „Krótki zarys budownictwa wiejskiego,” napisane przez p. K. Obrębowicza. Znajdujemy tu treściwie, lecz jasno i umiejętnie przedstawione dla użytku ziemian wskazówki, potrzebne przy wznoszeniu wszelkiego rodzaju budowli gospodarskich. Jest to pierwszy i jedyny tego rodzaju w naszej literaturze rolniczej podręcznik dla gospodarzy wiejskich. Zaletą jego jest przedewszystkiem, że wszelkie tam pomieszczone wskazówki oparte są na znajomości naszych stosunków, a więc uwzględniają nasze potrzeby gospodarskie i ekonomiczne. Za zasadę w swój pracy przyjął autor, jak to na samym wstępie zaznacza, że oszczędność i praktyczność w budownictwie wiejskiem jest najpierwszym i najkardynalnijszym warunkiem. Dzieło to obejmuje cały zakres budownictwa wiejskiego, począwszy od domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych aż do zakładów rolniczo-przemysłowych, a mianowicie młeczarni, browarów wiejskich, gorzelni i mączkarń. Wartość dzieła podnoszą liczne rysunki w tekście, przedstawiające najpraktyczniejsze plany normalnych budowli gospodarskich.

Przy téj sposobności przypominamy, że część ogólna, omawiająca nader ważną sprawę materiałów budowlanych i konstrukcyj, rozbiła bardzo szczegółowo i dokładnie podręcznik, wydany przed dwoma laty nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa p. t. „Budownictwo wiejskie” przez B. Harresa, tłómaczony wedle drugiego wydania niemieckiego tego dzieła.

Podręcznik Harresa zawiera około 400 rysunów pomieszczonych w tekście.

Józef Wolff wydał w Krakowie dzieło pod tyt. „Ród Gedymina,” Dodatki i poprawki do dzieł hr. K. Stadnickiego: „Synowie Gedymina,” „Olgiard i Kiejstut” i „Bracia Władysława Jagiełły.” Kraków, 1886, str. VI i 171. P. Wolff, uważając, że hr. Stadnicki nie u-

względnił dostatecznie znaczenia całego szeregu kniaziów, którzy we współczesnych źródłach występują jako krewni Jagajły lub Witowda, postanowił uzupełnić znakomite badania zmarłego niedawno autora „Synów Gedymina.“ Dzieło p. Wolffa rozpada się na 2 główne części z licznemi poddziałami, mianowicie: w 1-szej mówi „o Rodzie i synach Gedymina,“ w drugiej „O synach Olgierda.“

„Sabina,“ powieść Michała Bałuckiego, stanowi IV-ty tom prac beletrystycznych tegoż autora, wydanych nakładem S. Lewentala. Powieść ta drukowaną już była w „Kłosach.“ Treść poczerpnięta z małomieszczańskiego życia, przedstawia walkę dwóch kobiet, z których jedna działa na wyobraźnię mężczyzny swą pięknnością, druga podbija zaś jego serce przymiotami duszy — i ta, oczywiście, zwycięża.

„Kwiat szczęścia,“ powieść Elżbiety Werner, tłumaczona z niemieckiego przez Antoninę Morzkowską, pomieszczona pierwotnie jako dodatek do „Świtu.“ Miłośne dzieje dwóch par wypełniają treść utworu.

We Lwowie wyszły z druku wspomnienia z wycieczki odbytej w r. z. do Skandynawii przez p. K. O. Barańskiego p. n. „Z okien wagonu.“ Lwow 1886, str. 193. Literatura nasza podróżnicza, dość w ogóle uboga, nie zajmowała się, prócz dwóch dzieł dawniej już napisanych, Skandynawią, chociaż jest to kraj niezmiernie ciekawy, i w stosunkach politycznych Europy północnej ze względu na rozwój potęg państwowych nadzwyczaj ważny. Lekka forma, jaką autor nadał swoim „wspomnieniom,“ czyni książkę łatwą do czytania, szkoda tylko, że pod względem stylu i ducha naszego języka spotykamy tu krzyżące horezyo

---

## N e k r o l o g i a.

— † Dnia 3 maja umarła w Nowej Aleksandryi (Puławy) ś. p. **Łucya** z kś. Gedroyców **Rautenstrauchowa**. Ś. p. *X.* pochodziła z rodziny historycznej litewskiej książąt Gedrojców, jedna z pierwszych w bieżącym stuleciu przodowniczek literatury naszej. Ś. p. *X.* R. urodziła się dnia 22-go czerwca 1798 roku; od dzieciństwa znajdowała się za granicą, w pobliżu dworu cesarzowej Józefiny, przy której starsza jej siostra była damą honorową. Wychowana wytwornie, z umysłem należycie rozwiniętym i sercem kłiwym dla ludzkości, poszła w roku 1820 za mąż za generała Rautenstraucha, człowieka znacznie starszego od siebie. Zarówno jako małżonka i jako wdowa, pełniąc surowo cnoty domowe, żyła dla sprawy ogólnej; pracowała sama na polu literackim, i zachęcała innych słowem i przykładem do pracy. Zajmując wyższe stanowisko towarzyskie od Tańskiej, dzielniejsza umysłem od autorki „Pielgrzyma,“ miała w otoczeniu swoim wpływ większy od nich. Z winy cudzoziemskiego wychowania, z razu nie władała należycie językiem ojczystym i musiała się uciekać do poprawek obcej ręki; to jej wszakże nie zrażało: pracowała, aż się wyrobiła na niepospolitą autorkę. Najpierwszym znanym utworem Rautenstrauchowej była powieść: „Emmelina i Arnolf,“ ogłoszona w roku 1821 w Warszawie. Za tą powieścią poszły później kilka innych, jak: „Ragana“ 1830, „Przeznaczenie“ 1831, oraz tłumaczona „Korynna“ 1853. Atoli prawdziwe jej powołanie stanowiło zwierzenie się z postrzeżeń i wrażeń, w luźniejszej formie wspomnień i opisów podróży. Jej „Wspomnienia o Francyi“ 1839, „Ostatnia podróż do Francyi“ 1841, „Miasta, góry i doliny“ (pięć tomów) 1844, a zwłaszcza „W Alpach i za Alpami“ (trzy tomy) 1847, mogą być ozdobą każdego piśmiennictwa. W r. 1862 sędziwa autorka ogłosiła nową pracę pod tyt.: „Kalendarzyki wspomnień narodowych,“ pod przybranym nazwiskiem Pauliny Mikułowskićj. Zamieszczała też niemało artykułów w pismach peryodycznych; między innymi w zeszłorocznych „Kłosach“ życiorys starszej siostry Białołpiotrowiczowej, damy hono-



rowej cesarzowej Józefiny. Cześć szczerą otaczała ją za życia i towarzyszy jej po zgonie!

— † Dnia 15-go maja 1886 r. umarł w Poznaniu dr. **Teodor Teofil Matecki**, osobistość bardzo zasłużona i popularna w W. ks. Poznańskim, w 76-ym roku życia. Ś. p. dr. Matecki, urodził się r. 1810 w Poznaniu, studia uniwersyteckie odbył w Wrocławiu (1837). Idąc w ślady dr. Marcinkowskiego, nie odłączał obowiązków wzniosłych obywatela od zatrudnień poważnych lekarza i szlachetnego człowieka. Owoce swych badań i doświadczeń składał już to w prelekcjach, już też w cennych rozprawach i dziełach lekarskich. Kiedy w jesieni roku 1841-go rozpoczął się w pałacu Działyńskich szereg naukowych odczytów, obok Moraczewskiego i Libelta wystąpił Matecki z wykładami o chemii i fizyce, które cieszyły się wielkim powodzeniem. Z dzieł lekarskich i naukowych ś. p. Mateckiego wspomniemy: 1) „O najnowszych sposobach leczenia skrzywień ciała ludzkiego i zezowatości. Poznań 1840. 2) „Poradnik dla młodych matek czyli fizyczne wychowanie dzieci w pierwszych siedmiu latach. Poznań 1848,“ 3) „Słownictwo chemiczne polskie,“ 1865; 4) „Domowa apteczka,“ 1860; „Rady i nauki starego lekarza dla nielekarza,“ 1867 i inne. Społeczeństwo uznając jego zasługi, położone na polu nauki, powierzyło mu stanowisko wice-prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk, na którym pozostał aż do końca życia. Nadto był nieboszczyk prezesem sekcji lekarskiej Tow. przyj. nauk, członkiem różnych towarzystw lekarskich, najstarszym członkiem dyrekcji Pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego, członkiem rady nadzorczej spółki bazarowej, gdzie reprezentował Towarzystwo przyjaciół nauk. Z pomiędzy licznych jego zasług obywatelskich wyszczególnić się godzi jeszcze danie inicjatywy do wzniesienia pomnika Mickiewiczowi obok kościoła św. Marcina w Poznaniu.

— † Dnia 19-go maja zmarł w Warszawie ś. p. **Michał Czepiński**, zasłużony na polu ogrodnictwa naszego równie jako hodowca i jako pisarz. Ur. w Lublinie w r. 1798-ym, po skończeniu szkół piarskich wyjechał do Erfurtu dla wydoskonalenia się w swoim zawodzie. Praktykując później w różnych miejscowościach, wykształcił się przy osobistej wielkiej pracy, na zdolnego ogrodnika. W roku 1832-im spotykamy go we Francji, następnie w Belgii, z kąd udał się do Haarlem i Bambergu, gdzie zawiązał stosunki ze specjalistami. Po powrocie do kraju w roku 1835-ym założył w Warszawie ogrody przy ulicach: Marszałkowskiej, Hożej i Wielkiej i zaczął pisać dzieła ogrodnicze. Razem z Pawłem Leśniewskim pracował nad botaniką i podawał artykuły do jego wydawnictw. Nadto wydrukował oddzielnie: „Powszechne ogrodnictwo“ w Warsz. u Sennewalda 1841, wyd. 2, 1851. Wyd. nowe, w III t. przejrzał i pomnożył Kar. Langie.

Warsz. 1869, oraz „Rzecz o uprawie wina w ogrodach.“ Warsz. 1874. Jako nauczyciel położył nie małe zasługi, popularyzując praktyczną naukę urządzania inspektów, cieplarni, oraz pielęgnowania ziół. On pierwszy w roku 1848-ym urządził wystawę kwiatów ozdobnych i warzyw, a następnie orędownał i popierał uprawę drzew owocowych. W pismach codziennych, (1857) występował przeciw protekcyi zagranicznego przemysłu ogrodniczego kosztem swojskich stosunków. Cześć pamięci zacnego obywatela!

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

# OGŁOSZENIA.

---

OD REDAKCYI

## „Biblioteki Warszawskiej.“

Przypominamy Sz. Prenumeratorom, odbierającym Bibl. Warsz. za pośrednictwem ekspedycyi pocztowej, że czas odnowić opłatę prenumeraty za II-gie półrocze.—Prenumerata wynosi w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie . . .	rs. 12 kop. —
Półrocznie . . .	„ 6 „ —
w Warszawie zaś:	
Rocznie . . .	„ 10 „ —
Półrocznie . . .	„ 5 „ —
Kwartalnie . . .	„ 2 „ 50

Upraszamy o nadsyłanie premuraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Nowy Świat Nr. 41** (nowy), gdyż tylko wtenczas może Redakcyja brać na swoją odpowiedzialność akuratną ekspedycyą pisma. Równocześnie prosimy o **wczesne** nadsyłanie prenumeraty, ponieważ podług tego stosujemy ilość drukujących się egzemplarzy.

---

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1886.

stron.

## *Nauki polityczne.*

Pessymizm i wszechwładza państwa. Przez Eugeniusza Lipnickiego . . . . . 1, 188

## *Filozofia.*

Z psychologii empirycznej. (Pamięć, Wola, i Osobowość wedle T. Ribot). Przez S. Smolikowskiego . . . . . 30

## *Historya.*

Łukasz Górnicki. (Kilka nieznanych szczegółów z życia dzierżawcy tykocińskiego i wasilkowskiego). Przez St. Ptaszyckiego. 161

## *Szkoła i Pedagogika.*

Szkoły ludowe w Galicyi. Przez H. d-ra Biegeleisena . . 177

Wartość pedagogiczna muzyki. Przez Wład. Wilożyńskiego. 342

II-gi walny zjazd nauczycieli szkół średnich w Galicyi w Krakowie dnia 20 i 22 kwietnia 1886 r. Przez Romana Zawilińskiego. 398

## *Literatura.*

Dobry uczynek. (Nowolka). Przez T. Zygmunta. . . . 48

Hessy O'Grady. Powieść oryginalna, osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi. Napisał Działosza. (C. d.) . . . . .	225
Bohdan Zaleski. (Wspomnienie pośmiertne). Przez Sewerynę Duchnińską. . . . .	240, 365
Odczyty Jerzego Brandosa „O poezyi polskiej XIX-go wieku.“ Przez Józefa Kotarbińskiego. . . . .	421

### *Sprawy społeczne.*

Z ekonomiki XI.—Oswobodzenie włościan na Litwie i Rusi. Dane statystyczne co do liczby poddanych w Cesarstwie, zebrane w 1855 r. przez Kawioline. — Liczba poddanych na Litwie i Rusi w czasie wojny krymskiej. — Komitet sekretny.—Projekty prywatne. —Udział inteligencyi polskiej w sprawie reformy włościańskiej. — Adres szlachty litewskiej do panującego.—Reskrypt cesarza Aleksandra II-go w odpowiedzi na ten adres. — Niechęć dworzan i możnowładztwa.—Utworzenie na Litwie komitetów gubernialnych i komisji ogólnej w Wilnie.—Instrukcyja Łąnskoja dana Nazimowowi.—Główne zasady wyzwolenia i uwłaszczenia włościan na Litwie.—Skład osobisty komisji ogólnych w Wilnie i Kijowie, oraz komitetów gubernialnych.—Cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów. — Komitet główny do spraw włościańskich. — Początkowa bezczynność. —Wejście W. Ks. Konstantego do komitetu.—Program zajęć komitetów gubernialnych.—Komisyja specjalna.—Wydział ziemiański.—Komisyje redakcyjne, ich skład i program. — Komisyja finansowa.—Możnowładztwo i operacya.—Coup d'état. Ks. Paskiewicz i hr. Piotr Szwałow.—Wytrwałe postanowienie reformy ces. Aleksandra II-go. — Główni działacze: Rostowcew, Milutin i Sołowjew.—Pierwszy okres prac komisji redakcyjnych.—Powołanie ekspertów do Petersburga.—Wydawnictwo urzędowe téj epoki . . . . .	201
Nowa konstytuoya irlandzka. Przez Edm. Naganowskiego . . . . .	313

### *Kronika zagraniczna.*

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Uroczystość w Akademii francuskiej: Przyjęcie pana Halevy: mowa p. Pailleron.— „Wspomnienia z lat sześćdziesięciu,“ przez Ernesta Legouvė.— „Lotaryngia,“ dzieło illustrowane. — „Raporta Bartłomieja Sturmora,“ komisarza austriackiego na wyspie Świętej Heleny, wydane w Wiedniu.—Nowy akademik Lecomte de Lisle.—„Rok 1802,“ dyalog umarłych, na cześć Wiktora Hugo, przez Renana. — Wagner i Lohengriny. — „Komedyanci w średnich wiekach wo Francyi,“ p. profesora Sorbony Petit de Julleville. — Nowe kartony pana Andriollego: „Koncert nad koncertami“ z Pana Tadousza.—Pomnik grobowy pani Tamberlick, dłuta pana Cypryana Godebskiego . . . . .	59
---	----

*Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

- „Pamiętnik fizyograficzny,” tom V za rok 1885. Wydawcy E. Dziowulski i Br. Znatowicz. Warszawa, druk E. Skińskiego. 8-ka wielka, arkuszy 38, stronic 607, tablic litograficznych 24. Przez A. W. . . . . 85
- Histoire de la litterature portugaise depuis ses orgines jusqu'à nos jours par Loiseau Paris 1886, stronic 409. Przez J. A. Świącickiego. . . . . 96
- „Il Libro dell' Amore.”—Poesie italiane raccolte, e straniere raccolte e tradotte, da Marco Antonio Canini (volume 1). Venezia, 1885. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . . 111
- Ku czci ś. p. Pauliny Krakowowej. „Księżniczka,” powieść, uwieczniona nagrodą konkursową, napisała Zofia Urbanowska. Kraków i Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1886 r., str. 370. . . . . 257
- „Solution de la question d'Orient” par Mathias Ban. Belgrade, imprimerie d'état, 1885. Przez E. Lipnickiego. . . . . 269
- Estudios literarios par Martin Garcia Merou. Madrid 1884. Ensayos literarios par Emilio Castelar. Madrid 1885. Przez J. A. Świącickiego. . . . . 273
- „Geschichte Oesterreichs” von Jos. Alexander Freiherr von Helfert. Praga i Lipsk, I—IV tomy, 1869—1885. Przez E. L. . . . . 278
- Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom III-ci, str. 421. Warszawa, druk braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra) 1884 r. . . . . 422
- „Uwagi o modelach na pomnik Mickiewicza, wykonanych podług pomysłu Matejki, oraz odpowiedź pp. recenzentom na ich zarzuty. Naszkicował członek komitetu pomnika dla Mickiewicza dr. Hubert hr. Krasiński.” Bez wyrażenia roku i miejsca druku, str. 60. Przez Karola Matuszewskiego. . . . . 434

*Kronika miesięczna.*

*Kwiecień.* — Kilka słów o stosunkach publicznych w Europie. — Wzburzenia socjalistyczne we Francyi, Anglii i Belgii. — Zachmurzony horyzont polityczny z powodu niepewności stosunków na Wschodzie. — Dalszy ciąg robót anti-ekonomicznych i anti-społecznych w Prusach, oświetlonych przez smutne dla nas dane statystyczne o stosunku polskiej własności ziemskiej do niemieckiej w W. ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich. — Ostrzegający głos Ferdynanda ks. Radziwiłła w Izbie panów dnia 27-go lutego 1886. — Przyczyny fałszywej opinii prasy europejskiej o zasadniczych ideach naszego życia społecznego. — Ruch umysłowy: I) w Akademii umiejętności w Krakowie: a) Rozprawa St. Smolki: „Projekta refor-

my wojskowej i skarbowej za Zygmunta I-go; b) Stef. Szolc-Rogoziński: „Rysy charakterystyczne narzecza murzyńskiego Bakwiri w górach kameruńskich;“ c) Posiedzenie sekcji antropologicznej; d) P. Kawczyński: „Poszukiwania rytmiczne.“ II) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: a) ks. prałat Likowski: „O przygotowaniach do unii brzeskiej (dokończenie), b) ks. kanonik Korytkowski: „O księciu Floryanie Kazimierzu Czartoryskim, arcybiskupie gnieźnieńskim († 1674).—Konkurs króla szwedzkiego z dziedziny literatury semickiej.—Otwarcie nowej drukarni uniwersyteckiej w Krakowie.—Towarzystwo geograficzne w Krakowie.—Z Towarzystwa zachęty sztuk pięknych: Obraz Munkaczego „Chrystus przed Piłatom.“—Z teatru (Mozera „Porucznik Szykowski“ i „Wojna podczas pokoju;“ Przybylskiego „Pst;“—„Za późno“ Tomaszewicza).—Wynik konkursu imienia Wojciecha Bogusławskiego.—Spółki spożywcze.—Z Tow. popierania przemysłu i handlu: narady rolników, młynarzy.—Sprawozdanie I-sze Tow. ogrodniczego w Warszawie.—Lecznico w Warszawie. . . . .

123

*Maj.*—Sytuacja ogólna państw europejskich.—Narodowość w stosunku do państwa.—Uгода kościelno-polityczna w król. Pruskim.—Rzut oka na ruch umysłowy wśród społeczeństwa polskiego: Prelekcye w Warszawie Brandesa („O poczty polskiej XIX-go wieku) i Janikowskiego („O wyprawie afrykańskiej“).—Posiedzenie Akademii umiejętności w Krakowie: wydziału matematyczno-przyrodniczego i filologicznego.—Odczwa zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie do artystów w sprawie konkursu do projektowanego Albumu z reprodukcji prac artystów polskich zamiast dotychczasowych premii.—Stary obraz Władysława Jagielly w katedrze sandomirskiej.—Zjazd nauczycieli szkół średnich w Krakowie dn. 20, i 22 kwietnia.—Sprawozdanie z odczytu prof. Ćwiklińskiego (Wykopaliska Schliemana) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu.—Sprawozdanie z 2-go posiedzenia wydziału historycznego.—Sprawozdanie Tow. pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu za rok 1885-ty (45-ty swego istnienia).—Teatr w Warszawie („Dzisiaj“ Gawalowicza; „Antea“ Wł. Okońskiego (Al. Świętochowskiego); „Wigilia 8-go Andrzeja;“ „Romans paryzki“ Feuilleta).—Z ruchu muzycznego (Wieczory Tow. muzycznego: benefis dyr. Noskowskiego, Fr. Zawadzki; p. Magde Wickham, Korostaszewski. Opera w Teatrze wielkim. Jenny Broch, Sembrich Kochańska, „Lohengrin“ Wagnera, zdyskredytowana przez p. Moskowicza. Echo muzyczne i muzyka klasyczna).—Z ekonomiki: Nasz rynek pieniężny; z Tow. popierania przemysłu i handlu; sprawa handlu ze wschodem: spółki zarobkowe; szkoły fa-chowe . . . . .

281

*Czerwiec.*—Rzut oka na sytuację ogólną stosunków europejskich.—Wskreszenie floty czarnomorskiej.—Germanizacja szkół w W. ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich w sejmie pru-

skim. — Wymarzone „rozruchy“ galicyjskie. — Ruch życia umysłowego polskiego: Trzy odczyty prof. St. hr. Tarnowskiego w Warszawie (30 kwietnia, 3 i 4 maja r. b.) na dochód Osad rolnych i Towarzystwa ubogich Matek: „O literaturze polskiej za panowania Stefana Batorego. — Doroczne posiedzenie Towarzystwa historyczno-literackiego d. 3 maja w Paryżu: konkurs imienia J. U. Niemcewicza, odczyt p. Kallenbacha „O panowaniu Stefana Batorego.“ — Konkurs imienia Adama Chojnickiego z funduszu na cel oświaty ludowej pod zawiadywaniem Uniwers. warszawskiego. — Doroczne walne posiedzenie uroczyste Akademii umiejętności w Krakowie dn. 22 maja 1886 r. — Konkurs Akademii. — Przegląd zwyczajnych czynności: Posiedzenie sekcji matematyczno-przyrodniczej z dn. 15 i 17 kwietnia i 20 maja: wydziału historycznego 17 kwietnia i 18 maja; wydziału filozoficznego z dn. 13 maja. — Czynności w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: August hr. Cieszkowski: „O archiwach weneckich,“ oprócz tego czytano rzecz „O pamiątkach generała Lewickiego.“ — Ruch teatralny: „Osaczony“ p. Lubowskiego, „Co zwycięża“ p. Hajotę. — Sprawa sprzedaży akcji drogi żelaznej Dąbrowskiej. — Instytucje ubezpieczeń życiowych. — Sprawozdanie warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia za rok 1885. — Towarzystwo popierania przemysłu i handlu — † Leopold Ranke, historyk niemiecki. — † Jerzy Waitz . . . . . 440

### Korespondencya.

I-sza. P. Biggs z P. M. Wentz'l . . . . .	115
II-ga. Nienieckie Towarzystwo w Poznaniu z P. Callier. . . . .	121
III oia. List p. Ernosta Sulimczyka Świeżawskiego do redaktora Bibl. Warsz. . . . .	464
IV-ta. Odpowiedź redaktora Bibl. Warsz. . . . .	465

### Wiadomości bibliograficzne.

*Kwiecień.* — J. dr. Mycielski: Porwana z klasztoru (154). — Albert dr. Zipper: Franciszek Grillparcer (155). — J. Kirszrot-Prawnioki: Kredyt włościański (156). — Biblioteka historyczna rosyjska t. VIII, (156). — Truwnau: „Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Inflantach“ (157). — Forsten: Walka o panowanie na Morzu bałtyckim w XV i XVI wieku. Materiały do historii guberni Podolskiej (1792—1796). — Fr. Miklosich: Słownik etymologiczny języków słowiańskich (158). . . . . 154—158

*Maj.* — „Sejm czterolatni“ ks. Wal. Kalinki. Część II-ga tomu II-go. — Ks. Bukowski: Dzieje reformacyi w Polsce, t. II-gi. — Opowiadania „Z czasów saskich“ K. Jarochońskiego, t. II-gi (303). — Ad. Bołcikowski: Ze studyów nad lite-



- raturę polską.—Jędrzejowicz: Kosmografia.—H. Merczynga; a) Elektromagnetyczna teoria światła James'a, Clerka Maxwella. b) Motory gazowe.—Haeser: Historia Medycyny.—G. Fritsche: Sprawozdanie z kolonii lotnic.—Szyllar-Racki: Wędrowki i przygody powieść pouczająca. Konstanty Krynicki: „O Wiślo.“—Nowe pismo polskie dla ludu w dawniej Warmii.—Zygmunt Gloger: Skarbozyk.—„Jak prowadzić gospodarstwa?“—Czesław Pieniążek o Syrokomli.—P. Kałużniacki.—Listy Maryi Leszczyńskiej . . . . . 305
- Czerwiec.* — Tłómaczenie „P. Tadeusza“ Mickiewicza na język hiszpański.—Al. dr. Raciborski: Podstawy teoryi poznania w systemie J. St. Milla (472).—„Rocznik filarecki, I.“—Szkoły rolnicze w Niemczech, p. Emila Godlewskiego (474).—„Krótki zarys budownictwa wiejskiego“ p. Obrębowicza (475).—J. Wolff: „Ród Gedymina.“—M. Bałucki: „Sabina“ (476).—„Kwiat szczęścia“ Elżb. Werner, tłóm. Morzkowska. . . . . 471—477

### *Nekrologia.*

Ś. p. Zygmunt Gawroński. — Ś. p. Bohdan Zaleski . . . . .	159
Ś. p. Kazimierz hr. Stadnicki . . . . .	312
Ś. p. Łucya z ks. Gedrońców Rautenstrachowa . . . . .	477
Ś. p. Teofil dr. Matecki . . . . .	478
Ś. p. Czepiński. . . . .	478

### *Ogłoszenia.*

Od redakcyi. Przypomnienie o odnowieniu prenumeraty na półroczu II-ic.

